

Gdzie jest ukryty najcenniejszy diament świata?



MIEJSCE I IMIĘ

MACIEJ SIEMBIEDA

MACIEJ
SIEMBIEDA

MIEJSCE I IMIĘ

 WIELKA LITERA

*(...) dam (im) miejsce w moim domu i w moich murach
oraz imię lepsze od synów i córek,
dam im imię wieczyste i niezniszczalne.*

*Księga Triumfu, Izajasz,
rozdział 56, wiersz 6*

Amsterdam

czerwiec 1942 roku

1

Falszerz uniósł prawą brew, co ułatwiło mu umieszczenie przy oku lupy jubilerskiej. Następnie zatańczył palcami w powietrzu, zginając je i prostując jak pianista przed koncertem, po czym sięgnął po leżący przed nim aksamitny woreczek. Podniósł go, rozwiązał tasiemkę i delikatnie wytrząsnął znajdujący się w środku niewielki przezroczysty przedmiot, który wypadł na prostokątną tackę wyłożoną czarnym suknem. Falszerz pochylił się nad nim w odległości dającej idealne dziesięciokrotne powiększenie, spojrział i najpierw znieruchomiał, a potem gwałtownie się wyprostował. Lupa – arcydzieło sztuki optycznej z achromatycznymi soczewkami osadzonymi w szczotkowanej stali, które musiało kosztować majątek – spadła z brzękiem na marmurowy blat biurka. Falszerz nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

– Co to jest? – szepnął z zachwytem, w którym brzmiała wyraźna nuta lęku, z jakim ludzie reagują na widok zjawisk nadprzyrodzonych.

– Brylant – odparł spokojnie krępy śniady mężczyzna siedzący po drugiej stronie biurka.

– Ale on...

– To złudzenie – wyjaśnił śniady. – On tylko tak wygląda. Jakby wewnątrz miał jakieś źródło światła. Oślepił cię blask, który ten kamień odbija, nic więcej. Kwestia obróbki.

– Skąd to wiesz? – spytał podejrzliwie fałszerz.

– Bo sam go oszlifowałem.

Właściciel lupy sięgnął po nią i podniósł do oka, jakby chciał zweryfikować słowa dziwnego gościa, ale nagle zrezygnował z tego zamiaru. Popatrzył badawczo na śniadego mężczyznę.

– Kto ci mnie polecił? – zapytał, a po usłyszeniu nazwiska gwizdnął. – Masz aż takie koligacje wśród holenderskich gangsterów?

Śniady nie odpowiedział. Sięgnął lewą ręką do kołnierzyka koszuli, aby poluzować krawat, do którego najwyraźniej był nieprzyzwyczajony, a wtedy fałszerz zauważył na jego przegubie osobliwy tatuaż – zegarek z tarczą bez wskazówek. Znał doskonale ten symbol. W więzieniu Het Arresthuis, w którym odsiedział dwa lata za paserstwo, tatuowane zegarki nosiła elita przestępców, ludzie z wyrokami dożywocia, dla których czas nie ma już znaczenia. Fałszerz nigdy nie widział takiego tatuazu u kogoś na wolności. Poczul chłodny dreszcz niepokoju i na wszelki wypadek porozumiewawczo wskazał ruchem głowy lewy nadgarstek gościa.

– Też byłem w Roermond. Co mogę dla ciebie zrobić, przyjacielu?

– Trzy rzeczy – stwierdził śniady mężczyzna, jakby wszystko już było postanowione. – Kupisz ode mnie ten kamień, wyrobisz mi lewe dokumenty i nie zadzwonisz do swoich kumpli z gestapo z usługną informacją, na jaki adres wystawiłeś papiery i gdzie mogą mnie znaleźć. Zrozumiałeś?

Fałszerz zaczerwienił się z gniewu i ze wstydu.

– Nigdy... – zaczął, ale śniady powstrzymał go gestem dłoni.

– Za brylant dasz mi to, co wczoraj zarobiłeś na podrobionych stumarkówkach – powiedział, nie zważając na spojrzenie fałszerza, w którym zaskoczenie walczyło z chłodną kalkulacją. – Połowa w złotych dwudziestodolarówkach, reszta we frankach szwajcarskich. Straty miał nie będziesz. Sprzedasz kamień za dwa razy tyle.

– Jest wyjątkowy – wydusił wreszcie fałszerz, zastanawiając się gorączkowo, skąd przybysz wie o jego wczorajszej transakcji. Czyżby gangsterzy mieli go na oku?

– A co z paszportem? – zapytał, aby zmienić temat. – Popraw krawat, to zaraz zrobię ci zdjęcie. Jak chcesz się nazywać?

– Johan van Buren – oświadczył śniady.

Fałszerz obnażył w uśmiechu zepsute zęby.

– Przyjacielu – powiedział – ja ci mogę wyrobić papiery nawet na nazwisko Heinrich Himmler, ale ze swoją koszerną buźką to ty długo nie poudajesz Holendra. Jesteś Żydem, co?

Śniady milczał przez chwilę.

– Byłem – odpowiedział po namyśle. – Czterysta pięćdziesiąt lat temu.

Fałszerz drgnął niespokojnie, jakby rzeczywiście miał przed sobą kogoś, kto żyje od wielu wieków. Dopiero co widział w kinie film o wampirach.

– Moi przodkowie uciekli z Hiszpanii przed inkwizycją, choć już się przechrzcili na katolicyzm – wyjaśnił.

– No widzisz – rozpromienił się fałszerz. – To ty jesteś Hiszpan. Porządny frankistowski faszysta, z powodów historycznych pod panowaniem holenderskiej królowej Wilhelminy. Czysty rasowo. To jakie piszemy nazwisko: Nunes, Pinto, Cordozo?

– Niech będzie Pinto – zgodził się śniady.

– Johan Pinto. – Falszerz wyciągnął dłoń w geście przywitania, który miał jednocześnie przypieczętować umowę.

A potem na tle rozwieszzonego prześcieradła zrobił swojemu gościowi fotografię paszportową z widocznym lewym uchem, naświetlił kliszę, wywołał ją w ciemni, wykąpał odbitkę w utrwalaczu, wysuszył i wkleił do oryginalnego blankietu. Następnie wkręcił książeczkę w maszynę do pisania i mocno uderzając w klawisze, wypisał personalia oraz adres. Całość ozdobił okrągłą pieczęcią z niemiecką wroną trzymającą w szponach swastykę. Na koniec sprawnie przedziurawił dokument za pomocą specjalnego urządzenia, pozostawiającego w prawym górnym rogu zdjęcia puste kółko w metalowej obwódce. Wszystko trwało nie dłużej niż trzy kwadransy.

Wręczył papiery Johanowi Pinto wraz z należnością za brylant, a kiedy tamten wyszedł, znów użył lupy firmy Schneider, aby obejrzyć kamień.

Serce biło mu jak oszalałe, jakby odkrył niezwykłą tajemnicę. Widział setki diamentów szlifowanych rękami mistrzów, ale czegoś takiego nigdy. Wstał, podszedł do szafy bibliotecznej, wyjął z niej karafkę, nalał sobie kieliszek sznapsa, wychylił go i odetchnął głęboko. Następnie sięgnął po aparat telefoniczny stojący na etażerce, wybrał numer centrali i poprosił o połączenie z siedzibą gestapo przy Euterpestraat.

Mimo czerwcowego upału Julia de Vries włożyła tego dnia nowe pończochy, lekkie i delikatne jak poranna mgiełka nad rzeką

Amstel. Dostała je przedwczoraj na dwudzieste urodziny od rodziców, którzy sprzedali kilka srebrnych łyżeczek, aby sprawić córce wymarzone amerykańskie nylony. Trzy lata temu Amsterdam był ich pełen, dziś przetrwały wyłącznie na czarnym rynku, osiągając ceny, od których oszczędnym Holendrom kręciło się w głowach. Julia naciągnęła je rano na swoje zgrabne nogi, starannie prostując szew i będąc przekonaną, że koleżanki z centrali telefonicznej zzielenieją z zazdrości.

Jej próżność miała właśnie zostać ukarana.

Przed paroma minutami połączyła, a zaraz potem potajemnie podsłuchiwała rozmowę człowieka, na którego kazano jej uważać. Człowiek ten był fałszerzem. Wyrabiał nielegalne dokumenty, a na czarnym rynku handlował wszystkim, czym się dało. Łącznie z ludźmi. Okropny typ. Otrzymał dwa pisemne ostrzeżenia od ruchu oporu, a jednak znów telefonował do siedziby gestapo.

Julia nie знаła zbyt dobrze niemieckiego, ale domyśliła się, że fałszerz chce wydać Niemcom kolejnego Żyda z Amsterdamu. Tym razem musiało chodzić o kogoś szczególnie ważnego, bo poza słowem *Jude* konfident użył określeń „cenny” albo „wielkiej wartości” – Julia była tak przejęta, że nie zapamiętała dokładnie.

Zapamiętała za to instrukcję, jaką otrzymała kilka tygodni temu od kolegi z konspiracji. Miała kontrolować rozmowy fałszerza, a jeśli będzie on nadal dzwonił do gestapo, natychmiast o tym zameldować. Osobiście, nie telefonicznie.

Zerknęła na wielki dworcowy zegar wiszący na ścianie centrali telefonicznej, w której pracowała z kilkunastoma innymi kobietami, i błyskawicznie ułożyła plan: o 15.58, dwie minuty przed końcem zmiany, wstanie i szybkim krokiem podejdzie do kantorka kierownika. (Musiała urwać te dwie minuty, bo bała się, że któraś

z dziewcząt ją uprzedzi). Kierownik będzie zły, że opuściła stanowisko przed czasem, ale jakoś go udobrucha. Przecież widzi, jak on na nią patrzy. Powie, że nie ma wyjścia i bardzo, ale to bardzo potrzebuje pożyczyć służbowy rower. Musi pojechać do apteki, daleko – aż koło kościoła Westerkerk – aby odebrać lekarstwo dla babci. Lekarstwo będzie czekało do 17.00, potem apteka zostanie zamknięta, a starsza pani de Vries potrzebuje go jeszcze dziś. Na co lekarstwo? Na drogi żółciowe i wątrobę. Sam pan kierownik rozumie, powie, spuszczać wzrok. Kierownik współczująco pokiwa głową, wyrazi zgodę i odprowadzi łakomym wzrokiem nogi Julii opięte eleganckimi nylonami ze szwem podkreślającym smukłość łydek.

Potem Julia weźmie rower i... No, właśnie. Tyle razy dziewczęta z centrali prosiły kierownika, aby wymienił łańcuch, ale tego nie zrobił. Powiedział, że Niemcy i tak w końcu zarekwirują rower, jak to robią w całym kraju, więc nie będzie dbał o ich wygodę. Ogniwa łańcucha tu i ówdzie pozostaną połączone kawałkami drutu i do diabła z nimi. Niech sobie szkopy poszarpią nogawki spodni, stwierdził konfidenckim szeptem, jakby dokonał sabotażu równoznacznego z wysadzeniem pociągu z amunicją.

Przez chwilę kobieca natura Julii toczyła rozpaczliwy spór z patriotyzmem. Jazda po kocich łbach nad kanałem Herengracht gwarantowała zniszczenie pończoch, ale cóż one znaczyły wobec zagrożenia życia jakiegoś nieszczęsnego, Bogu ducha winnego Żyda? Sam fałszerz powiedział, że było ono „cenne” lub „wielkiej wartości” – Julia ciągle nie potrafiła poprawnie przetłumaczyć określenia, jakie mgliście pamiętała z lekcji niemieckiego w podstawówce. Ponownie zerknęła na zegar.

Była 15.56.

W mieszkaniu z widokiem na kościół Westerkerk, w którym pochowany jest Rembrandt, mimo czerwcowego popołudnia panował półmrok jak na jego obrazach. Sprawiały to ciężkie zasłony z tkaniny o nieokreślonym wzorze i kolorze, niemal całkowicie zakrywające okno niewielkiego salonu i wpuszczające do środka zaledwie strużkę światła. Tak było przez cały dzień.

Anton, główny lokator mieszkania i szef organizacji konspiracyjnej, do której należała Julia i jej trzy najbliższe przyjaciółki, był tchórzem. Uważał, że Niemcy przechodzący ulicą nad kanałem mogą zajrzeć w okna jego garsoniery na parterze i to wystarczy, aby się domyślili, że Anton spiskuje przeciwko nim. Julia odnosiła się do niego z politowaniem zmieszanym z pogardą, codziennie żałując, że wraz z przyjaciółkami wybrały takiego dowódcę.

Same były sobie winne.

Organizację ruchu oporu założyły zaraz na początku okupacji, latem 1940 roku. Nie potrafiły znieść hańby. Armia holenderska wprawdzie stawiała czoło Hitlerowi, ale po zniszczeniu Rotterdamu przez bombowce Luftwaffe natychmiast złożyła broń. Brytyjskie radio powiedziało tego samego dnia, że Niemcy wjechali do Holandii sześcioma pociągami pasażerskimi. Uśmiechali się, jakby jechali na wakacje.

A potem był miesiąc miodowy okupacji. Rodacy Julii, uznani w Berlinie za przedstawicieli czystej rasy germańskiej, otrzymali prawo do własnych ministerstw, urzędów, fabryk, rozrywek, pieniędzy, policji, a nawet partii politycznych, choć masowo wstępowali do profaszystowskiej Niderlande Unie, która miała

odegrać ważną rolę w „nowej Europie” pod berłem Hitlera. Mieli nawet prawo do własnych rowerów. Zanim się ocknęli, zostali narodem kolaborantów.

Julia i jej trzy przyjaciółki nie mogły się z tym pogodzić. Organizację konspiracyjną założyły w kuchni państwa de Vries, gdy rodzice wyszli do kina. Nie miała nazwy. Była prywatna i nieśmiała, jak cały ówczesny ruch oporu. Dziewczęta złożyły przysięgę na wierność monarchii, która musiała przenieść się do Londynu, a że były cztery, przyjęły pseudonimy od czterech imion królowej: Wilhelmina, Helena, Paulina, Maria.

Dlaczego wtedy uznały, że powinny mieć dowódcę mężczyznę? Co za głupi przesąd. Co za zacofanie, za które sufrażystki pewnie by je opluły. Ale cóż. Stało się. Najwyraźniej zatriumfowały w nich geny sztywnego i zapiętego pod szyję holenderskiego porządku świata, w którym mężczyzna zawsze jest przywódcą, obrońcą i gwarantem bezpieczeństwa. To jeszcze można by zrozumieć. Ale co im przyszło do głowy, żeby wybrać Antona?

Był studentem nauk przyrodniczych i zalecał się do jednej z nich, teraz noszącej pseudonim „Paulina”. Zawsze ostrożny, zdecydowanie bardziej rozważny niż romantyczny, ku zaskoczeniu wszystkich zgodził się od razu. Szybko pojął, że w ten sposób utoruje sobie drogę do serca Pauliny, która jednak nie była nim zachwycona. Julia przejrzała go wtedy na wylot, ale nie powiedziała ani słowa. Może wierzyła, że obudzi się w nim mężczyzna?

Nie obudził się, bo go tam wcale nie było.

Na początku uważały, że Anton jest roztropny. Nawet to doceniały. Konspiracja potrzebuje rozwagi. Ale z czasem, kiedy

uświadomiły sobie, że pod płaszczkiem ostrożności kryje się u niego zwykły strach, zrozumiały, że popełniły błąd. Od tej pory unikały dowódcy. Pragmatycznie, po holendersku, robiły swoje. Julia – „Wilhelmina” i „Maria” pracowały w centrali telefonicznej, podsłuchując rozmowy i tworząc spis najaktywnych kolaborantów wraz z dokumentacją ich służalczości. Paulina była sekretarką w dyrekcji Philipsa i robiła notatki z wszystkiego, co koncern gorliwie wykonywał dla hitlerowców. Najbardziej ryzykowała Helena. Zatrudniona w Nederlandse Arbeidsdienst pomagała młodym mężczyznom uniknąć obowiązku półrocznego stażu na rzecz okupanta w Holandii lub na terenie Niemiec.

Pracowały jak pszczoły, coraz częściej myśląc, jak pozbyć się trutnia, którego same wybrały. Tym bardziej że Anton niemal jawnie przebąkiwał, że opór wobec Trzeciej Rzeszy jest pozbawiony sensu i że patriotycznym obowiązkiem powinno być raczej układanie się z Niemcami dla dobra przyszłości narodu. Kto wie, może nawet żałował, że nie wstąpił do Ochotniczego Legionu Holenderskiego i nie pojechał walczyć u boku Wehrmachtu na froncie wschodnim.

Dawno by już z nim zerwały, gdyby nie obawa, że wtedy doniesie gestapo o ich konspiracyjnej działalności. Urażeni tchórze są zdolni do wszystkiego. Tkwiły zatem w kłinczu własnego błędu, nie widząc drogi wyjścia. I wtedy właśnie pojawił się Daniel.

Był holenderskim Żydem. Przed dziesięcioma laty wyjechał do rodziny w Nowym Jorku, ale w 1940 roku, tuż przed wojną, został nagle deportowany i musiał wracać do Amsterdamu. On też budził skojarzenia z portretami Rembrandta. Ukryty w cieniu i nieodgadniony, wydawał się mieć wiele twarzy. Kiedy spojrzeło

się na niego pod pewnym kątem, można było ujrzeć miłą, przystojną twarz pogodnego młodzieńca. Ale wystarczyło zmienić kąt, aby dostrzec w Danielu coś ponurego i bezwzględnego. Coś, co mogło budzić lęk.

Od jakiegoś czasu ukrywał się pod zmienionym nazwiskiem. Ktoś zaufany polecił mu dziewczynę z Holenderskiej Służby Pracy, która mogła pomóc w uzyskaniu zaświadczenia o zatrudnieniu, i tak Daniel poznał „Helenę”. Nie bez przyczyny uznawana przez przyjaciółki za puszczałską, wkrótce została jego kochanką.

Fascynował ją. Był odważny i twardy. Czasami opowiadał o Nowym Jorku, gdzie pracował dla swojego rodaka Mayera Lansky’ego, który prowadził dobrze prosperujące przedsiębiorstwo wraz z jakimś Włochem o nazwisku Luciano, na którego wszyscy mówili „Lucky”. Zabawne, prawda? – uśmiechała się Helena, opowiadając przyjaciółkom o swoim żydowskim chłopaku.

Był w tych opowieściach również zły człowiek, który nazywał się Schultz, a wołano na niego „Dutch”, czyli „Holender”. Parę lat temu ktoś go zastrzelił. Daniel akurat wiedział, jak do tego doszło. Do restauracji przy East Park Street, gdzie Holender jadł obiad z kolegami, weszli jacyś faceci i rozwalili gościa wraz z całą obstawą. Dutcha nie uratowało nawet to, że w tym czasie był w toalecie. To się nazywa mieć jaja, emocjonował się Daniel, kiedy opowiadał jej tę historię, i Helena całkowicie się z nim zgadzała.

– Tacy ludzie przydaliby się teraz w Amsterdamie – westchnęła, ale Daniel nie chciał słyszeć o konspiracji. Stwierdził, że w jego zawodzie – nie sprecyzował w jakim – mieszanie się w politykę jeszcze nikomu nie wyszło na dobre.

Wszystko zmieniło się przed miesiącem.

W maju 1942 roku Niemcy wprowadzili w Amsterdamie nakaz

noszenia gwiazdy Dawida. Żydzi mieli je wyciąć z jasnego materiału i przyszyć do ubrania. W ten sposób zostało oznakowanych sto tysięcy ludzi, których przeniesiono do dzielnicy zajmującej znaczną część miasta wokół Waterlooplein, Rapenburg i Jodenbreestraat. W Amsterdamie nie trzeba było zamykać ich za murami, które Niemcy budowali w setkach miast podbitej Europy. Aby całkowicie odizolować getto, wystarczyło podnieść mosty na kanałach. Żydzi znaleźli się w pułapce. Tego samego dnia zakazano im korzystać z jakichkolwiek środków komunikacji. Z rowerami włącznie.

Nazajutrz rano do patrolu żandarmerii powoli przechadzającego się po Staalstraat podszedł piegowaty holenderski wyrostek. Niemcy zatrzymali się i słuchali go z uwagą, po czym jak na komendę odwrócili głowy i spojrzeli w stronę przeciwległej bramy, w której stał śniady chłopak z gęstą czarną czupryną. Nie miał przyszytej gwiazdy.

– *Jude?* – upewnił się dowódca patrolu konfidencjonalnym szeptem.

Piegowaty wyrostek skinął głową.

Chłopak po drugiej stronie ulicy nagle zrozumiał, co się święci, i drgnął niespokojnie. Chwilę potem chciał skrócić w prawo i wmieszać się w tłumek przechodniów, ale dowódca patrolu wrzasnął w jego stronę:

– *Halt!*

Chłopak nie posłuchał. Zdezorientowany skoczył w lewo, gdzie ulica była prawie pusta. Żandarmi ruszyli za nim. Dwóch biegło, podtrzymując pistolety maszynowe i blachy podskakujące im na piersiach, trzeci zdjął z pleców karabin i złożył się do strzału. Wąwóz ulicy wypełnił nagle huk, który wywołał panikę ptaków

i paraliż ludzi. A potem wszystko zamarło. Taką ciszę nazywa się często grobową i to było właściwe określenie. Chłopak znieruchomiał z twarzą na bruku, trafiony w plecy z siłą, która odrzuciła jego wątłe ciało aż pod krawężnik. Kilka dni temu skończył piętnaście lat. Był bratem Daniela.

Dwa dni później kochanek Heleny wstąpił do konspiracji czterech dziewcząt i jednego tchórza. Na swoich warunkach. Nie będzie składał żadnej idiotycznej przysięgi ani słuchał czyichkolwiek rozkazów. Na jakiś czas wprowadzi się do Antona. Nie interesuje go przepisywanie podziemnych gazetek z wiadomościami nadawanymi z Wysp Brytyjskich przez radio Oranje. Interesują go tylko kolaboranci wydający Żydów. Ci sami, których namierzają przyjaciółki Heleny z centrali telefonicznej. Chce znać wszystkie nazwiska i adresy.

Dlatego tamtego czerwcowego popołudnia siedzący przy stole w zatopionym w półmroku salonie Antona Daniel podniósł się z krzesła na widok wchodzącej do pokoju Julii, popatrzył pytająco, a potem wysłuchał jej z najwyższą uwagą.

4

Tydzień wcześniej, podczas zwołanego przez Antona zebrania, Daniel dowiedział się, że od dwóch miesięcy obserwują fałszerza. Faceta z dzielnicy Jordaan, który za ciężkie pieniądze sprzedaje Żydom lewe aryjskie dokumenty, a potem donosi na nich Niemcom. Jak wynika z podsłuchanych rozmów telefonicznych, fałszerz ma w gestapo przy Euterpestraat swojego opiekuna: obersturmführera

Oscara Rhodego, zatrudnionego w tajnej policji hitlerowskiej na stanowisku inspektora. Jak nietrudno się domyślić, Rhode ochrania działalność przestępczą fałszerza w zamian za informacje.

Daniel słuchał w milczeniu, po czym mimowolnie zacisnął pięści oparte na stole, marszcząc serwetę, która omal nie przewróciła wazonika z konwaliami przyniesionymi przez Julię.

– Przez dwa miesiące nic nie zrobiliście? Pozwalacie, aby nadal sprzedawał ludzi? – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Wysłaliśmy mu list z ostrzeżeniem – oświadczył z dumą Anton.
– Podpisany przez holenderskie państwo podziemne. A potem, kiedy nie przestał dzwonić, jeszcze jeden, ostrzejszy – dodał mniej pewnym tonem.

Daniel spojrzał na niego jak na przybysza z innej planety i odwrócił się do Julii.

– Dlaczego ta gnida jeszcze żyje? – zapytał tak, że przeszły ją ciarki. Poszukała wzrokiem wsparcia Antona, ale dowódca odwrócił głowę.

– Nie umiemy zabijać – wyjaśniła.

Daniel zamknął oczy i przez chwilę masował powieki kciukiem i palcem wskazującym prawej dłoni, jakby chciał poprawić ostrość widzenia.

– Nie umiemy i nie chcemy – Anton uznał za stosowne uzupełnić deklarację Julii. – Jesteśmy patriotami, nie...

Daniel nawet na niego nie spojrzał.

– Stul pysk – powiedział i zabrzmiało to jak dobra rada.

A potem zapalił papierosa, głęboko się zaciągnął i po chwili wraz z dymem wypuścił całą wściekłość.

– Okej – oświadczył, jakby nadal był w Nowym Jorku. – Pilnujcie tej świni. Sprawdzajcie wszystkie rozmowy. Jeśli jeszcze raz

poprosi o połączenie z gestapo, chcę o tym natychmiast wiedzieć. Osobiście. Niech ta z was, która będzie miała wtedy dyżur, przyjedzie tu najszybciej, jak się da, i mnie zawiadomi. Mogę na to liczyć?

Julia i Maria niemal równocześnie skinęły głowami.

Minął tydzień i ten scenariusz właśnie się zrealizował.

– Co chcesz zrobić? – spytał Anton po wyjściu Julii, która spieszyła się, aby oddać służbowy rower.

Daniel nie odpowiedział. Wydawał się całkowicie pochłonięty leżącą na stole paczką papierosów, na której zanotował adres fałszerza. Po chwili wstał, ściągnął marynarkę wiszącą na oparciu krzesła i udał się do łazienki. Sięgnął pod wannę, gdzie miał ukryty pistolet. Odwinął go z miękkiej szmaty i wsunął z tyłu za pasek spodni, po czym nałożył marynarkę. Popatrzył w lustro, przeczesał włosy, zgasił światło i wyszedł.

Anton czekał w przedpokoju. Był blady jak płótno.

– Nie martw się. – Daniel poklepał go po policzku. – Zawiadomie go tylko, że jeśli nadal będzie kapował Niemcom, nie dostanie w tym roku prezentu na Gwiazdkę.

Zdjął z wieszaka swój nowojorski kapelusz i starannie domknął drzwi wejściowe do mieszkania z widokiem na kościół Westerkerk.

5

Popołudnie przechodziło w szarość zmroku, gdy Daniel zapukał do mieszkania fałszerza, które obserwował od dobrej godziny, upewniając się, że teren jest czysty.

– Kto tam? – Usłyszał stłumiony głos dochodzący zza ciężkich dębowych drzwi.

– Od pana Rhodego. – Daniel zagrał *va banque*.

Przez kilka chwil trwała cisza, jakby człowiek po drugiej stronie rozważał wiarygodność usłyszanej przed chwilą informacji.

Wreszcie rozległ się szcęk odsuwanej zasuwki, potem zgrzyt klucza w zamku i drzwi uchyliły się na szerokość, na jaką pozwalał zamontowany od środka solidny łańcuch. W szparze pojawiła się pospolita twarz mężczyzny o mocno już przerzedzonych, siwiejących i tłustych włosach. Wyrażała zaskoczenie i nieufność.

– Pan Rhode miał być osobiście – bąknął niepewnie fałszerz.

– Tak, mówił mi – odparł Daniel tonem, jakim oznajmia się rzeczy oczywiste. – Dostał jednak pilny rozkaz wyjazdu do Hamburga. Na kilka dni. Telefonował do pana parę godzin temu, ale mamy w gestapo uszkodzoną linię, dlatego dał mi adres i kazał tu przyjść. Powiedział, że dzwonił pan do niego z czymś dość ważnym i że mam się z panem niezwłocznie skontaktować, bo może trzeba będzie coś szybko załatwić. No to jestem.

– Nie znam pana... – Fałszerz nadal nie był przekonany, choć nazwisko Rhodego i fakt, że przybysz wiedział o ich rozmowie telefonicznej, zrobiły swoje. Zwolnił łańcuch.

– Pan wejdzie – powiedział i nie czekając na gościa, ruszył długim korytarzem prowadzącym do gabinetu, który służył mu za pracownię.

Daniel prawą ręką domknął drzwi i przekreślił klucz, lewą zaś wyciągnął zza paska pistolet.

Dźwięk zamka i odgłos przeładowania broni sprawiły, że fałszerz nagle uświadomił sobie zagrożenie i gwałtownie się odwrócił.

– Co... O co chodzi? – spłoszył się, patrząc na wymierzoną

w siebie lufę browninga.

– Kogo chciałeś dziś sprzedać swoim szwabskim kumplom? – spytał zimno Daniel, ściągając z wieszaka jakiś łach i owijając nim dłoń z pistoletem.

– Nikogo! Przysięgam! – Mężczyzna z tłustymi włosami trząśł się ze strachu.

– Który to Żyd jest dla was taki cenny?

– Cenny?! – Głos fałszerza zadrżał, ale zaraz odzyskał pewność. – Ach! Cenny! Tak! To nieporozumienie! – Domyślił się, że napastnik zna treść jego rozmowy telefonicznej. Pewnie podsłuchują te dziwki z centrali, a potem donoszą gnojkom z ruchu oporu. Głupie krowy. On mówił Rhodemu o cennym kamieniu przyniesionym przez Żyda, a te idiotki zrozumiały, że chodzi o cennego Żyda.

W jednej chwili fałszerz uspokoił się, po raz kolejny dziś zaprezentował w szerokim uśmiechu zepsute zęby i lekceważąco machnął ręką.

– To nie chodziło o... – próbował wyjaśnić, ale przerwał mu stłumiony huk wystrzału. Przez moment z bezgranicznym zdumieniem wpatrywał się w dziurę w dłoni, którą gestykulował, przebitą na wylot przez kulę, która utkwiała mu w piersi. Chwilę później runął na podłogę.

Daniel, szkolony przez ludzi, którzy załatwili Dutcha Schultza, znał dwie podstawowe reguły swojej profesji. Pierwsza brzmi: nigdy nie dyskutuj z facetem, którego masz rozwalić. Druga: upewnij się, że zrobiłeś to skutecznie. Dlatego starannie wymierzył w środek czoła martwego fałszerza, a potem posłał tam kulę nazywaną w nowojorskim Bronxie ołowianą gwarancją.

Delikatnie ujął za kant prawą nogawkę swoich szerokich spodni i podciągnął ją do góry, unikając poplamienia mankietu krwią,

zrobił krok nad ciałem i powtórzył to samo z lewą nogawką. Po czym wszedł do gabinetu i nie spiesząc się, przeszukał zawartość szuflad biurka, a potem szafy bibliotecznej, gdzie za książkami odkrył sprytnie zamaskowaną skrytkę. Schował do kieszeni plik dolarów i trochę biżuterii, zabrał parę blankietów dokumentów i pieczętę ze szwabską wroną trzymającą w szponach swastykę. Kilka przedmiotów obejrzał niemal z dziecięcą ciekawością i ostrożnie odłożył na miejsce. Wydarzenia sprzed kilku minut nie zrobiły na nim najmniejszego wrażenia.

Gdy wychodził, mrok był już gęsty. Przez chwilę przecięły go reflektory czarnego opla kadetta, który właśnie podjeżdżał pod dom fałszerza. Z daleka śmierdział gestapowskim autem na cywilnych tablicach. Daniel przystanął kilkadziesiąt metrów dalej, zapalił papierosa i spokojnie obserwował, jak otworzyły się tylne drzwiczki samochodu i wysiadł z niego szczupły blondyn w dobrze skrojonym garniturze. Zatrzymał się na chwilę, rozprostował marynarkę pogniecioną podczas jazdy, a potem ruszył w kierunku drzwi prowadzących do klatki schodowej. Nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Daniel powoli odszedł w przeciwnym kierunku.

6

Oscar Rhode uważał fałszerza za jednego z najlepszych specjalistów od podrabiania reichsmarek i robił z nim interesy jeszcze w czasach, gdy był zwykłym komisarzem w hamburskiej policji kryminalnej. Długo przedtem, zanim Hitlerowi przyszło do głowy zająć Holandię.

Ale skoro przyszło, Rhode – teraz wysoki funkcjonariusz gestapo – dał solidną łapówkę komu trzeba, aby pojechać do Amsterdamu, i pojechał.

Można to porównać ze zdobyciem głównej wygranej na loterii, w której nagrodami były obrazy holenderskich mistrzów, biżuteria, precjoza, sztabki złota i rulony dolarów grube jak butelki piwa. Ale przede wszystkim brylanty. Amsterdam był ich światową stolicą.

Przechadzając się w ciepłe letnie popołudnia 1940 roku po alejkach ogrodu botanicznego w pobliżu Nieuwe Herengracht, Oscar Rhode często zadawał sobie pytanie, dlaczego właśnie Amsterdam? Dlaczego nie Paryż, gdzie damy ubóstwiały klejnoty i najchętniej chodziłyby ubrane wyłącznie w pończochy i brylantowe kolczyki? Dlaczego nie wytworny Wiedeń, w którym na balach w operze błyszczały kolie, a w nich mieniło się więcej diamentów, niż wynosił miesięczny urobek indyjskich kopalń? Dlaczego wreszcie nie Londyn, sztywny i oschły, ale przecież trzymający Indie pod kolonialnym butem? Dlaczego najdroższych kamieni świata od czterystu lat nie kojarzono z żadną europejską metropolią poza wilgotnym miastem w Holandii, gdzie zamiast ulic były kanały, a zamiast gmachów ciasne kamieniczki wyglądające jak zrobione z piernika?

Dlaczego Amsterdam?

Kiedy dwa lata temu zadał to pytanie fałszerzowi, ten wyszczerzył zepsute zęby.

– To suma naszych dwóch nieszczęść, przyjacielu – odparł z chytrym wyrazem twarzy.

– Nieszczęść? – Oscarowi Rhodemu trudno było uwierzyć w to, co usłyszał.

– No – potwierdził fałszerz. – Nieszczęść. My, Holendrzy, zawsze

uważaliśmy za dopust Boży, że nasze kolonie są tak daleko. Ile to trzeba wydać guldenów, żeby dopłynąć do Afryki Południowej. Nie taniej by wyszło, gdyby niderlandzką prowincją była, dajmy na to, taka Dania? I żeby jeszcze rosły tam palmy, można było importować drewno kolonialne, zakładać plantacje kokosów i łapać lwy do zoo. Co ja się nasłuchałem takiego biadolenia. – Falszerz zbyt długo wycierał okular lupy kawałkiem flaneli, z dezaprobatą kręcąc głową.

– A drugie nieszczęście? – spytał Rhode.

– O, to jakby wspólne. – Falszerz mrugnął porozumiewawczo do gestapowca. – Żydzi. Kiedy zjechali tu z Hiszpanii i Portugalii, w Amsterdamie uznano to za plagę. Na dodatek wszyscy zajęli się szlifowaniem diamentów. Indyjskich, ma się rozumieć, bo innych wtedy na świecie nie było. Żydzi kupowali je w portach i obrabiali na strychach swoich nędznych domostw, w prymitywnych warsztatach, w których z trudem zarabiali na życie. Aż tu nagle bum! W Afryce Południowej odkryto złoża diamentów. Żydzi sefardyjscy, teraz obywatele Holandii, szybko się połapali, co jest, a raczej co może być grane. I dodali dwa do dwóch. Znali się na żegludze i handlu jeszcze z czasów hiszpańskich, położyli łapę na interesie i raz-dwa uczynili Amsterdam diamentową potęgą. Indie poszły się bujać na swoich hamakach. Na brylantach można zbić fortunę tylko tu. – Falszerz znów się wyszczerzył, co przyprawiałoby o zgrozę każdego dentystę. – Wkrótce wspomnisz moje słowa, przyjacielu.

Oscar Rhode nie czekał zbyt długo na spełnienie tej przepowiedni. W ciągu dwóch lat okupacji stał się bogatym, ściślej – bardzo bogatym człowiekiem. Falszerz miał na to równie dyskretny, jak skuteczny wpływ. Układ był uczciwy.

Obersturmführer sprawiał, że policja przymykała oko na nielegalne interesy jego amsterdamskiego współnika, a ten w zamian przekazywał mu karteczki z adresami prywatnych sejfów i kolekcji miejscowych Goldbergów i Zilbersteinów.

Interes osiągnął apogeum przychodów, gdy Referat 1 Grupy IV B Geheime Staatspolizei, popularnie nazywanej gestapo, odpowiedzialny za kwestię żydowską, przyłączył się do tworzenia amsterdamskiego getta. Od tej chwili do obrabowania było sto tysięcy mieszkańców miasta z przyszytymi do ubrań gwiazdami Dawida i zaszytymi w ubraniach kosztownościami. Oscar Rhode pracował w pocie czoła, z niemiecką solidnością, nie nadążając kontrolować liczby zer na swoim szwajcarskim koncie. A wszystko dzięki uprzejmości dwóch niewysokich facetów o przylizanych włosach: Führera w Berlinie i fałszerza w Amsterdamie. Ten drugi nigdy się nie mylił, sugerując, czyje ubranie naprawdę warto rozpruć.

Rhode myślał o tym wszystkim, wysiadając z samochodu i wchodząc na klatkę schodową domu, w którym mieszkał jego współnik anonsujący przed południem przez telefon niezwykle cenną zdobycz. Był tak podekscytowany, że obersturmführer musiał mu obiecać, że przyjedzie jeszcze dziś, choćby późnym wieczorem. Słowa dotrzymał.

Pokonał dwa przęsła schodów i stawiając stopę w eleganckim półbucie na przedostatnim stopniu, zauważył, że drzwi do mieszkania fałszerza są niedomknięte. Tknięty złym przecuciem, sięgnął do kabury pod pachą po służbowe parabellum. Pchnął skrzydło drzwi lewą ręką, prawą mierząc w przestrzeń przedpokoju, blado oświetloną przez rachityczną żarówkę.

Falszerek leżał na podłodze na wznak, z paskudną dziurą w głowie. Drugą miał w okolicy serca, a trzecią – co zdumiało Rhodego najbardziej – w lewej dłoni. Bez wątplenia nie żył. Mimo to inspektor gestapo pochylił się i rutynowo sprawdził puls tętnicy szyjnej, ale go nie wyczuł. Wyczuł natomiast, że ciało nadal jest o wiele cieplejsze od temperatury otoczenia. To oznaczało, że zgon musiał nastąpić kilka, najdalej kilkanaście minut wcześniej.

Uświadomiwszy to sobie, Rhode podniósł się gwałtownie, uniósł pistolet i zaciskając palce na karbowanej kolbie lugera, ostrożnie sprawdził zakamarki mieszkania, w których nadal mógł kryć się morderca. Nikogo nie znalazł.

Opadł ciężko na fotel za biurkiem i przez dłuższą chwilę bawił się jubilerską lupą leżącą na marmurowym blacie. Wbił wzrok w stary marynistyczny sztych ozdabiający ścianę gabinetu, jakby to on krył odpowiedź na pytanie, co tu się mogło stać. Jednego był pewien. Jego współnika zastrzelił profesjonalista. Głowa, serce – sto procent gwarancji. Tylko po co ta lewa dłoń? Może to jakiś rytuał? Przesłanie? Podpis mordercy?

Obersturmführer przez moment rozważał tezę, czy fałszera nie zlikwidowali ludzie z konspiracji, którzy dwukrotnie ostrzegali go przed kolaboracją z gestapo, ale szybko uznał tę myśl za niedorzeczną. Nie był najlepszego zdania o holenderskim podziemiu i chętnie żartował, że ruch oporu w Amsterdamie za najwyższą formę represji wobec okupanta uznaje niemówienie Niemcom „dzień dobry”.

Skoro zatem nie podziemie, to kto? Gangsterzy? Wysoce prawdopodobne. Handel fałszywą walutą, jakaś poważna różnica zdań, wynajęty zawodowy cyngiel. Tak, to było całkiem prawdopodobne.

Rhode zerknął do szuflady biurka, a potem wstał i zajrzał do skrytki za książkami, stwierdzając, że zniknęły pieniądze i kosztowności z codziennych transakcji, które fałszerz odnosił do depozytu bankowego dopiero następnego dnia przed południem. To zdawało się potwierdzać tezę o przestępczych porachunkach. Zabójca na zlecenie poza honorarium często otrzymywał przywilej obrobienia mieszkania ofiary. Ktoś, kto kropnął fałszerza, niewątpliwie z tego przywileju skorzystał. Chociaż... nie do końca.

Inspektor podszedł do ściennego zegara wiszącego obok sztychu, delikatnie zdjął wahadło, a następnie otworzył je, jakby było damską puderniczką. Wewnątrz znajdowało się kilka sporych brylantów, w tym jeden oryginalny. Rhode odszukał na biurku pensetę o ramionach wyłożonych od wewnątrz czarnym sukniem, ujął w nią kamień, podniósł na wysokość oczu i omal go nie upuścił. Brylant przez ułamek sekundy dosłownie go oślepił. Był niesamowity. Obersturmführer owinął go w kawałek miękkiej bibuły leżącej na biurku i schował do kieszeni marynarki. W ubiegłą sobotę w Hamburgu przyszła na świat jego długo wyczekiwana pierworodna córeczka Edyta. Kiedyś po wojnie, gdy pójdzie do pierwszej komunii, dostanie od papy pierścionek z przepięknym brylantem wartym fortunę.

Ta myśl osłodziła mu gorycz po stracie fałszerza, a raczej perspektywy kontynuacji interesów. Trudno. W sumie to, co znalazł w zegarowej skrytce, sprawiło, że poczuł się usatysfakcjonowany. On tak. Teraz trzeba było jeszcze zadowolić Trzecią Rzeszę.

Rhode wiedział doskonale, że fałszerz zbijał majątek na sprzedaży podrobionych dokumentów Żydom pragnącym uniknąć getta, ale w papierach na biurku nie znalazł niczego

interesującego. Jego wzrok padł na niewielką walizkową maszynę do pisania stojącą na etażerze. Inspektor podszedł do niej uzbrojony w jubilerską lupę, przyłożył ją do oka i uważnie przyjrzał się wałkowi urządzenia. Możliwości optyczne szkieł powiększających pozwalały dokładnie odróżnić świeże odciski czcionek na gumowej okładzinie. Rhode wyjął z kieszeni marynarki notes i przepisał do niego litery: J-o-h-a-n P-i-n-t-o, a potem adres w pobliżu placu Dam.

Niewykluczone, że był na tropie mordercy.

7

Człowiek, który teraz nazywał się Johan Pinto, spał, gdy dobiegło go walenie do drzwi. Dochodziło z bardzo, bardzo daleka. Pinto dwa dni wcześniej okropnie się upił, a że pierwszej nocy śpi wódka, a dopiero drugiej pijak, był skonany i pogrążony w tak głębokim niebycie, że cudem cokolwiek usłyszał. Zwlókł się z łóżka i poszedł otworzyć.

Kilka sekund później stał odwrócony twarzą do ściany własnego przedpokoju z rękami skutymi z tyłu kajdankami. Zbyt nie przejął. Bywał już w takich sytuacjach.

Później też wszystko wyglądało tak jak wcześniej. W koszuli i spodniach, w których zasnął, zaprowadzono go do samochodu, pozwalając jedynie wsunąć buty, które uwierały go w bose stopy i wymagały ostrożności koniecznej, aby nie potknąć się o rozwiązane sznurowadła. Wepchnięto go na tylne siedzenie i samochód ruszył. Przejechał wiele ulic, zatrzymując się przed siedzibą gestapo przy Euterpestraat. Wielu ludzi w tej chwili

umarłoby ze strachu, ale na nim, po dwudziestu latach spędzonych w więzieniu Het Arresthuis, nic nie robiło już wrażenia.

Zdjęto mu kajdanki i wepchnięto go do ciasnego pomieszczenia bez okna. Doskonale zdawał sobie sprawę, że posiedzi tu z godzinę, czyli czas potrzebny do tego, aby się przerazić i skruszeć przed przesłuchaniem, ale całkowicie zlekceważył pokładane w nim nadzieje. Zamiast wpaść w panikę, spokojnie usiadł na podłodze, oparł się plecami o ścianę i skorzystał z okazji, aby dokończyć przerwany sen.

Obudził go szcęk zasuw. Strażnik ponownie założył mu kajdanki, tym razem z przodu, i ujmując go pod ramię, zaprowadził do pokoju przesłuchań.

Za prostym biurkiem siedział elegancki blondyn w dobrze skrojonym garniturze. Miał trzydzieści parę lat, był szczupły, zadbany i sprawiał wrażenie człowieka, który wie, czego chce. Rzut oka wystarczył, aby więzień w kajdankach uznał, że to ktoś, z kim trzeba się liczyć. Potrafił bezbłędnie odróżniać inteligentnych gliniarzy od tępych policyjnych kołków, nawet zanim się odezwali.

– Witamy w naszych skromnych progach – odezwał się elegancki blondyn.

Siedzący przy sąsiednim biurku chłopak w mundurze elewa SS, który miał spisywać przesłuchanie, podniósł zaskoczony wzrok znad maszyny, usiłując zapytać oczami, czy ma to protokołować, ale blondyn nie zaszczycił go spojrzeniem.

Przesłuchiwany nie zareagował na powitanie. Nie kiwnął głową, nie popatrzył wyczekująco.

– Nazwisko? – spytał funkcjonariusz gestapo i tym razem maszyna do pisania zawtórowała mu od razu.

– Pinto – odpowiedział człowiek w kajdankach.

Elegancki blondyn sięgnął do bocznej kieszeni marynarki po papierośnicę, otworzył ją i wyciągnął w stronę przesłuchiwanego. Ten odmówił przeczącym ruchem głowy, w którym było coś z podziękowania.

Niemiec powoli zapalił papierosa i powiedział niemal uprzejmie:

– Proszę o odrobinę szacunku. Obaj wiemy, że to fałszywe nazwisko. Ale wróćmy do tego. Jest pan Żydem?

– Nienawidzę Żydów – odparł przesłuchiwany.

– O, to jesteśmy jakby sojusznikami – skwitował funkcjonariusz gestapo i wskazując oczami przegub lewej dłoni więźnia, tuż nad stalową obejmą kajdanek, spytał: – Gdzie pan siedział?

– W Roermond.

– Za?

– Podwójne morderstwo.

– Kogo?

– Żydowskich jubilerów.

– Czyli rzeczywiście jesteśmy sojusznikami. – Niemiec się uśmiechnął. – Wyrok?

– Dożywocie.

– Wobec tego co pan tu robi?

– W Roermond odwiedził nas pewien miły człowiek z zachętą do wstępowania do legionu holenderskiego generała Seyffardta, werbującego ochotników do zabijania Sowietów.

– I co? Nie dojechał pan do punktu werbunkowego?

– Powiedzmy, że wysiadłem przystanek wcześniej i zgubiłem się w Amsterdamie.

– Dlatego potrzebował pan nowych dokumentów?

Człowiek w kajdankach potwierdził ruchem powiek i uśmiechnął się przepaszająco. Niemiec spojrzał na niego niemal ze

zrozumieniem i nagle zmienił front:

– A więc dwa dni temu późnym popołudniem poszedłeś do fałszerza w Jordaan, który wyrobił ci lewe papiery, a potem go zamordowałeś, żeby nikomu nie wygadał. Zgadza się?

– Częściowo. – Człowiek w kajdankach przyjrzał się funkcjonariuszowi gestapo wyraźnie zaskoczony. – Fałszywe dokumenty się zgadzają, ale popołudnie i morderstwo nie.

– Pozwól, że ci nie uwierzę. – Niemiec ponownie przyjął uprzejmy ton.

– Proszę sprawdzić – powiedział przesłuchiwany. – Od fałszerza wyszedłem po dziesiątej rano, a przed jedenastą już piłem z kolegami w knajpie przy Nieuwmarkt. Mogę podać nazwiska osób, które to potwierdzą, ale to zbyteczne. Narzuciliśmy ostre tempo, moi znajomi wdali się w jakiś spór, ktoś wyjął nóż, co zdenerwowało właściciela baru. Zadzwoił na posterunek i wszystkich nas zgarnęła holenderska policja. Od dwunastej w południe przedwczoraj do ósmej rano dzisiaj przebywałem w areszcie komisariatu na starym mieście, gdzie zapłaciłem grzywnę za pijaństwo i udział w burdzie. Powinienem mieć gdzieś kwit.

Funkcjonariusz gestapo spojrział na protokolanta, który najwyraźniej czytał w jego myślach, bo bez słowa wstał i wyszedł.

– Przeszukałeś biurko i biblioteczkę fałszerza – drażył Niemiec. – Łącznie ze skrytką za książkami – dodał i w tym momencie uzmysłowił sobie, że powiedział o jedno zdanie za dużo.

Przesłuchiwany był bystry. Domyślił się, że inspektor gestapo zna mieszkanie w Jordaan lepiej, niż mogło to wynikać z czynności operacyjnych. Pojął, że mogli się z fałszerzem bliżej znać, a nawet współpracować.

Poszukał odpowiedzi w twarzy człowieka w kajdankach, ale temu nawet nie drgnęła powieka.

– Opowiedz mi dokładnie przebieg tej wizyty. – Niemiec zastosował stary zabieg odwrócenia uwagi. – Minuta po minucie. W najdrobniejszych szczegółach.

Przesłuchiwany zrelacjonował wszystko, umiejętnie pomijając swoje prawdziwe nazwisko i transakcję z brylantem, gdy otworzyły się drzwi i stanął w nich protokolant.

– Melduję, panie obersturmführer, że wszystko się potwierdziło. Ten tu Johan Pinto siedział w areszcie policyjnym na starym mieście, tak jak zeznał. Wpisany do książki zatrzymań przedwczoraj o jedenastej czterdzieści pięć. Wypisany dziś ósma zero zero.

Inspektor gestapo zmarszczył czoło i badawczo popatrzył na człowieka w kajdankach. A więc to nie on. Skoro zgon fałszerza nastąpił późnym popołudniem, musiał go zabić ktoś inny.

– Odprowadzić więźnia – rozkazał protokolantowi, jakby w obawie, że ujrzy w oczach przesłuchiwanego błysk triumfu.

Wstał i podszedł do maszyny do pisania, z której wykręcił kartkę z protokołem.

Przez chwilę pomyślał, że wypuści tego Pinta, czy jak on się tam nazywa, ale zwyciężyła w nim niemiecka przezorność. A jeśli ten stary kryminalista będzie łaził po mieście i kłapał dziobem, że inspektor gestapo ma konszachty ze światem przestępczym? O nie. Na to Oscar Rhode nie mógł sobie pozwolić. Wyjął z marynarki wieczne pióro, odchylił nim okładkę podrobionego paszportu i z uznaniem stwierdził, że fałszerz wykonał kawał dobrej roboty. Dokument był nie do rozpoznania. W przypływie niewytłumaczalnego sentymentu Rhode postanowił zostawić go

człowiekowi, którego właśnie przesłuchał, jakby na pamiątkę fałszerza i jego kunsztu.

Zerknął raz jeszcze na jego personalia i odręcznie napisał na arkuszu protokołu: „Johan Pinto. Naruszenie norymberskiej ustawy rasowej. Osadzić w obozie przejściowym w Westerbork, a stamtąd wysłać pierwszym transportem do Konzentrationslager Auschwitz”.

Oscar Rhode zakręcił pióro, położył je na biurku i przeciągnął się, czując ulgę. Sprawa była załatwiona.

Warszawa/Ramla/Jerozolima

lipiec 2011 roku

1

Ekspedientka ze sklepu osiedlowego niedaleko placu Wilsona na warszawskim Żoliborzu zerknęła przez szybę wystawową, po czym zrobiła szybki obrót, poprawiła włosy i wróciła do poprzedniej pozycji. Za plecami było lustro regału z winami, które miało dawać efekt większej liczby butelek, a dawało okazję kontroli fryzury i makijażu damskiego personelu sklepu. Wina i tak szły jak woda.

Właśnie nadchodził jej ulubiony klient.

Ekspedientce podobało się, że zakupy robił u nich, a nie w hipermarkecie pobliskiej galerii handlowej Arkadia. Poza tym był uprzejmy i przystojny, miał twarz podobną do jednego aktora. Mąż ekspedientki, kiedy sklep przygotował zwroty czasopism z dołączonymi płytami DVD, odkupił za pół ceny parę filmów z Bondem i w jednym z nich grał facet, którego jej ulubiony klient bardzo przypominał. Nawet zapamiętała tytuł: *Diamenty są wieczne*.

Kiedyś w innej gazecie zobaczyła jego zdjęcie. Nie miała czasu dokładnie przeczytać, bo cały czas ktoś coś kupował, ale dowiedziała się, że jej ulubiony klient podobny do tamtego aktora jest sławnym detektywem, złapał jakiegoś niemieckiego mordercę

i nazywa się Jakub Kania. Od tej pory podziwiała go jeszcze bardziej.

Często myślała, że taki mężczyzna to skarb. Prawie codziennie przychodził po świeże pieczywo, mówił „dziękuję”, uśmiechał się i myślał o niej: zawsze przynosił drobne, żeby nie miała kłopotu z wydawaniem reszty. Jednym słowem stanowił całkowite przeciwieństwo jej męża, który przez ostatnie dwa lata obejrzał wszystkie mecze, jakie nadawała osiedlowa kablówka, i wypił do tego cysterne piwską. Spróbowałaby mu powiedzieć, żeby poszedł po bułki na śniadanie. To by dopiero było. Wychodził tylko przed blok na fajkę z kolegami. Ludzie czasami pytali go, dlaczego nie poszuka sobie jakiegoś zajęcia, a on zawsze odpowiadał to samo: że nie może znaleźć pracy w swoim zawodzie. Wtedy siłą rzeczy padało pytanie, jaki ma zawód, a on tylko na to czekał. „Toreador”, mówił i rechotał na widok ich min. Czy taki Jakub Kania, odpowiedzialny detektyw, robiłby z siebie takiego głupka?

Kuba też lubił ekspedientkę. Była miła i miała zabawną przypadłość, której pewnie sobie nie uświadamiała. Zawsze używała czasu przeszłego. A skoro zawsze, to i dziś.

- Co będzie? – spytała, gdy ukłonił się i podszedł do lady.
- Kostka masła i pięć kajzerek.

Kobieta zakrzętała się i po dziesięciu sekundach zamówienie stało na ladzie w plastikowej torbie.

- To będzie wszystko? – upewniła się.

Skinął głową.

- Tak, dziękuję.

– To będzie siedem pięćdziesiąt – skwitowała ekspedientka i popatrzyła na niego niemal tkliwie, gdy wydobyl z kieszeni garść

drobnych.

Tuż po śniadaniu Kuba pojechał na lotnisko.

Od paru lat był konsultantem instytutu Jad Waszem w Jerozolimie. Wystarczy nacisnąć kilka klawiszy klawiatury i wykonać parę kliknięć, aby się dowiedzieć, że Jad Waszem jest placówką muzealną. Zajmuje się ofiarami i bohaterami Holocaustu. Oficjalnie.

Kontrakt Kuby też był oficjalny, choć polski konsultant rzadko miał do czynienia ze sprawami z przeszłości, o których z dumą pisały izraelskie gazety. Częściej zajmował się tymi, które ludzie starali się przed Jad Waszem ukryć. Pracował dla pewnej dyskretnej sekcji instytutu, która oficjalnie nie istniała. A skoro nie istniała, to i nie miała nazwy. Wtajemniczeni mówili o niej: referat cieni.

Kuba przyzwyczał się do życia w cieniu. Wcześniej stracił matkę, która zmarła na raka, i w momencie kiedy najbardziej potrzebował jej kobiecej wrażliwości, wychodząc z dzieciństwa i wchodząc w dojrzałość, został sam. To znaczy ze starszym bratem, który nie zwracał na niego uwagi, z ojcem – podoficerem wywiadu Marynarki Wojennej, który przeszedł załamanie nerwowe i rzadko się odzywał, oraz z babką – posępną Kaszubką prowadzącą im dom. Dojeżdżała ze wsi pod Kartuzami i miała mniej więcej tyle czułości, co wysuszony wiatrem i stwardniały od pracy stary rzemień. To wszystko było chyba nawet gorsze, niż gdyby rzeczywiście został sam. Wiele lat później, wracając myślami do tamtych czasów, odczuwał coś w rodzaju wdzięczności dla losu, że wyszedł cało z tego dzieciństwa-niedzieciństwa i nie został na przykład zimnym,

milczącym i obojętnym na wszystko mordercą na zlecenie.

A ponieważ wszyscy w domu byli zimni, milczący i obojętni na wszystko, Kuba miał prosty wybór: dostosować się albo uciec. Wybrał to drugie. Z grupą rówieśników, powszechnie uważanych za świrów, uległ hipnozie harcerstwa i całymi dniami włóczył się po wzgórzach Redłowa, odkrywając opuszczone bunkry i stanowiska artylerii broniącej wybrzeża w kampanii wrześniowej. Tam, wśród omszałych betonowych bloków i wybuchów szalonej radości z powodu wykopanej z ziemi manierki lub zardzewiałego bagnetu, zaraził się historią.

W liceum uznano go za dziwaka. Koledzy z klasy chodzili na mecze Arki, on do czytelní. Koledzy na koncert gwiazdy rocka, on na spotkanie z kombatantem gdyńskich kosynierów. Koledzy na imprezę, on na zebranie kółka historycznego. Wystarczy choć przez chwilę mieć naście lat, aby zgadnąć, jak był postrzegany. Najpierw przez kolegów, a później przez koleżanki, które nie mogły znieść obojętności, z jaką Kuba Kania, uchodzący za jednego z najprzystojniejszych chłopaków w szkole, nie dostrzegał ich rozkwitającej urody. Takich rzeczy się nie wybacza.

Prawo na Uniwersytecie Gdańskim wybrał tylko dlatego, że na tym kierunku trzeba było nieustannie się uczyć. Kodeksy, ustawy i przepisy nie zostawiały marginesu na życie studenckie, z czym jemu akurat było po drodze. Zjawiał się na uczelni minutę przed rozpoczęciem wykładu, a pięć minut po zakończeniu zajęć stał już na peronie w Sopocie, czekając na kolejkę do Gdyni. Koleżanek z roku – oczko wyżej od licealistek w łańcuchu ewolucji emocjonalnej – nie irytowała już jego obojętność, ale kompletny brak świadomości, jak bardzo się im podobał. Jakby ten ujmujący i miły atrakcyjny brunet nigdy nie widział siebie. Ani w lustrze, ani

we wpatrzonych w niego oczach dziewczyn.

Tu znów się z niego podśmiewano, ale po cichu i na osobności. Nikt na studiach prawniczych nie byłby na tyle nierozsądny, aby ryzykować niechęć kolegi, który zawsze jest przygotowany, paragrafy ma w małym palcu i chętnie pomaga. Mimo to Kuba, który niejedną raz ratował innych z opresji, był outsiderem. Kontrastem dla złotych dzieci adwokatów i notariuszy zaludniających Wydział Prawa Uniwersytetu Gdańskiego. Nie miał markowych ciuchów, samochodu ani znajomych bramkarzy w modnych sopockich klubach. Miał stypendium socjalne i naukowe, co na uczelni uchodziło za najgorsze z możliwych połączeń. Wiadomo: ubogi kujon.

Pod koniec czwartego semestru wydarzyło się coś, co sprawiło, że Kuba przeszedł do legendy. Podczas egzaminu, który co roku dziesiątkował studentów prawa skuteczniej niż czarna ospa ludność średniowiecznej Europy, profesor nieoczekiwanie wstał zza katedry i bez słowa ruszył w stronę wyjścia. Wszyscy podnieśli wzrok znad testów i przez moment zapanowała absolutna cisza, przerwana dopiero dźwiękiem zamykanych drzwi. W tym samym ułamku sekundy setka studentów rzuciła się na swoje torby i plecaki, rozpaczliwie szukając ratunku w notatkach, ściągach i podręcznikach. Przez cudowne kilka minut poziom wiedzy drugiego roku prawa mierzonej egzaminem grozy wzrósł o kilkaset procent.

Profesor wrócił, celowo majstrując przy klamce, aby dać czas na błyskawiczne ukrycie pomocy naukowych, po czym usiadł i ze stoickim spokojem zaczekał, aż wszyscy oddadzą wypełnione testy. Pożegnał się informacją, że wyniki poda za tydzień, na ostatnich zajęciach przed wakacjami.

Wszyscy, co nie zdarzyło się nigdy wcześniej i nigdy później, otrzymali czwórki i piątki. Jediną oceną dostateczną była trójka Kuby. W sali zapanowało radosne uniesienie.

– Panie Kania – przerwał je profesor, zdejmując i starannie składając okulary. – Jak panu wiadomo, prowadzę wraz z partnerami kancelarię, która od lat zajmuje miejsce w pierwszej trójce w Polsce. Jeśli nie ma pan innych planów, to zapraszamy na praktykę. Może pan zacząć jutro.

Sala zamarła. Uśmiechy zastygły na twarzach, skrzywionych teraz emocjami wywołanymi tą jawną niesprawiedliwością. Kancelaria była obiektem marzeń każdego studenta wydziału. Marzeń, które spełniały się w jednym przypadku na tysiąc.

– Zastanawiacie się dlaczego? – Profesor wstał i rozłożył ręce w geście, który doskonale znały składy orzekające polskich sądów, gdzie powszechnie uważano, że potrafi bezbłędnie czytać w myślach. – Wszyscy uczciwie ściągaliście – wyjaśnił. – Tak, nie przesłyszeliście się. Uczciwie, bo każdy miał taką samą sprawiedliwą szansę i każdy z niej skorzystał. Tylko pan Kania uznał, że naprawdę sprawdzi swoją wiedzę. Rezultat znamy. Gratuluję ocen. – Na ustach profesora przez chwilę zagościł cyniczny grymas. – Są oficjalne i zostaną wpisane do indeksów. Ale dla mnie wasze czwórki i piątki należy podzielić na pół, a trójkę pana Kani pomnożyć. Też przez dwa.

Nikt nigdy nie poznał odpowiedzi na pytanie, czy profesor miał w sali ukrytą kamerę, ale rację, której nie ukrywał, miał na pewno.

Nazajutrz po tamtych zajęciach wystartowała kariera zawodowa Jakuba Kani, która po blisko dwudziestu latach wyglądała jak zapis EKG kolekcjonera zawałów.

Praktyka w sławnej kancelarii okazała się kompletną porażką. Student drugiego roku wiedział o kodeksach i orzecznictwie więcej niż adwokat z paroletnim stażem, ale zupełnie nie nadawał się na salę rozpraw. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak stworzony do togi z zielonym żabotem: nie za wysoki i nie za niski, lekko zaokrąglony, z urodziwą twarzą o mądrych oczach mógł robić idealne wrażenie na sędziach obu płci. Mógł, ale nie robił. Dyskwalifikował go chroniczny brak pewności siebie. Tupetu, aktorstwa, nonszalancji, cwaniactwa. Co komu po takim adwokacie? Zwłaszcza w Trójmieście, którego palestra komponowała szlagiery prawnicze słynne na całą Polskę. W końcu to tutaj wymyślono „pomroczość jasną” jako stan usprawiedliwiający przed sądem prowadzenie samochodu po pijanemu przez syna prezydenta RP.

Kuba nie miał co marzyć o zielonym żabocie. Myślał o fioletowym – sędziowskim, ale prokuratura, prowadząca dyskretną obserwację zdolnego studenta, zaproponowała mu czerwony. Łatwo skończył aplikację i został w gdańskiej rejonówce. Był niezrównany w zagmatwanych, drobiazgowych śledztwach. Jego aktów oskarżenia nie dało się podważyć i kilka razy mecenas z wziętej kancelarii, która się go pozbyła, gorzko tego pożałowali. Skupiony prokurator mówił cicho i bywał przez to upominany przez sąd, ale jego argumentacja okazywała się miażdżąca.

I wtedy po raz drugi wszystko się zawaliło. Pan prokurator Kania zakochał się i ożenił z córką gangstera ze Stogów, który od dawna nie nosił dresu i kija bejsbolowego, ale w garniturze szytym

na miarę był jeszcze bardziej niebezpieczny. Lecz Kuba, emocjonalny dzieciak o zerowym koncie doświadczeń w miłości, przez kilka miesięcy trwał w odurzeniu, przekonany, że znalazł tę jedyną.

Przebudzenie było jak upadek z pierwszego piętra w kałużę błota. Kiedy odmówił podmiiany dokumentów w aktach bandyty zaprzyjaźnionego z teściem, ukochana żona zostawiła go bez mrugnięcia okiem. Cena za zaślepienie była wysoka: śmieszność, rozwód i coś znacznie gorszego – utrata zaufania w pracy. Były teść zemścił się za odmowę przysługi, rozpuszczając w mieście informacje, że Kuba załatwił w prokuraturze sprawę gangu ze Stogów. Takie rzeczy są nie do odkręcenia. Tak jak mistrzowski PR diabła, który zdołał wmówić ludziom, że nie istnieje.

Dla prokuratora Kani nie było już miejsca w Trójmieście. Wyjechał do Warszawy i długo szukał pracy, wreszcie znalazł ją w Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Dla komisji, bardziej znanej jako Instytut Pamięci Narodowej, prawnik ze znajomością historii i doświadczeniem śledczym był spełnieniem marzeń.

EKG kariery znów się unormowało. Kuba odniósł kilka sukcesów, które pozostały w cieniu. Inne przedostały się do mediów, a te natychmiast podłączyły sprawy rozwiązane przez prokuratora IPN-u do swoich wzmacniaczy i głośników. Jakub Kania został detektywem celebrytą. „Sherlockiem Holmesem polskiej historii”. „Pogromcą bandytów przeszłości” i jak tam jeszcze nazwały go czerwono-czarne tytuły tabloidów.

Prowadził wiele spraw. Wśród nich poszukiwania Erwina Winklera, esesmana i zbrodniarza wojennego ze Strzelec Opolskich, którego aresztowanie ponad pół wieku po wojnie

przyniosło Kubie międzynarodowy rozgłos i otworzyło mu drzwi do Jad Waszem. Nigdy by ich nie przekroczył, gdyby nie sprawa *Chrztu Warneńczyka*, zagadkowego obrazu Jana Matejki, która całkowicie zmieniła jego życie^[*], choć nie uświadamiał sobie, ile razy wisiało ono wtedy na włosku.

Rezygnacja z IPN-u na rzecz Jad Waszem miała oznaczać spokój. Ulubione rozwiązywanie zagadek przeszłości, pracę w archiwach, częste przebywanie w domu i tylko od czasu do czasu wyjazdy do Izraela w sprawach wymagających rozmowy w cztery oczy, bez maila i telefonu. Sprawach takich jak ta, w której właśnie wybierał się do Jerozolimy.

Spakował się jak zwykle metodycznie. Na łóżku umieścił czarną plastikową walizkę spełniającą wymogi bagażu kabinowego, a obok podobny, choć znacznie mniejszy i płytszy laptop. Komputer służył do sprawdzenia pogody w Izraelu i śledzenia notatek zrobionych przed podróżą. Walizka do zabrania rzeczy, które miały sprostać pogodzie i notatkom.

Wyjechał tuż po dziesiątej. Nad Żoliborzem świeciło słońce, ale lekki wiatr uparł się zakryć je kurtyną chmur, które od jakiegoś czasu spędzały w stolicy lipcowy urlop, włączając się po dzielnicach miasta. Na zachodzie zaczynało już kropić. Tuż za Powązkami na szafirowym niebie pojawiła się imponująca tęcza. Kierowcy samochodów fotografujący ją telefonami komórkowymi niemal natychmiast zakorkowali rondo Radosława. Kubę też zahipnotyzowała, bo chociaż planował dotrzeć na Okęcie aleją Jana Pawła II, machinalnie wjechał w Okopową, a w konsekwencji w Towarową.

Mijając po lewej siedzibę IPN-u, mimowolnie pomyślał

o Wiesławie Paluchu, dyrektorze pionu śledczego, przez którego odszedł z instytutu. Były to myśli podobne do nadciągających z zachodu chmur, ale bez tęczy. Odpędził je, uspokajając samego siebie, że nigdy więcej nie spotka tego człowieka.

3

Boeing z Warszawy dotknął kołami betonowego pasa lotniska Ben Guriona w Tel Awiwie, co automatycznie uruchomiło u uczestników rejsu podwyższoną aktywność. Ciekawe: kontakt z ziemią sprawia, że pasażerowie samolotów na każdej szerokości geograficznej wpadają w lekką histerię. Natychmiast zaczynają się wiercić, upychać czasopisma w kieszeniach foteli, odpinać pasy, choć sygnalizacja jeszcze na to nie pozwala, wstawać z miejsc, zataczając się, wyjmować bagaże podręczne i nerwowo wbijać kody PIN aktywujące telefony komórkowe wyłączone na czas lotu. Wszystko dzieje się jak w telewizyjnym reality show, którego zwycięzcą zostaje ten, kto pierwszy zawiadomi świat o swoim lądowaniu i opuści pokład samolotu, zanim uczynią to pozostali uczestnicy rywalizacji.

Kuba, choć kończył w tym roku zaledwie czterdzieści jeden lat, przyglądał się tej gorączce z godnością starego dębu, nie ruszając się z miejsca przy oknie. Spokojnie odczekał, aż wszyscy stłamszą się w kolejce do wyjścia, wytwarzając ciśnienie jak we wstrząśniętej butelce szampana. Parę minut później, po otwarciu drzwi przez personel pokładowy, korek pasażerów wystrzelił wprost w rękaw prowadzący do hali przylotów. Dopiero wtedy Kuba wstał i sięgnął po niewielką walizkę, której nie musiał

wyszarpować spośród innych bagaży stłoczonych na półce. Swobodnie pokonał przejście między rzędami foteli i wyszedł zegnany przez stewardesę, której służbowy uśmiech wydawał się mieć odcień aprobaty dla jego zachowania.

Pomyślał o Kasi. Druga, tym razem szczęśliwa miłość jego życia też była stewardesą. Teraz, z powodu ciąży, pracowała w obsłudze naziemnej pasażerów, ale latanie było jej wielką pasją. Mieli trzyletnią córkę Marysię, która zanim nauczyła się mówić, rozkładała rączki i uśmiechała się promiennie, gdy tylko padło słowo „samolot”. Jesienią miała mieć siostrzyczkę.

Po wyjściu z terminalu Kuba przez chwilę rozkoszował się falą ciepła, w której czuć było upał Bliskiego Wschodu i oddech rozgrzanego miasta, ale jednocześnie lekki powiew śródziemnomorskiej rzeźkości. Sięgnął do tylnej kieszeni dzinsów, wyciągnął telefon komórkowy, uruchomił go i wybrał numer Kasi.

– Dobry lot? – spytała trochę z troski o niego, a trochę z zawodowej ciekawości.

– Nie – odpowiedział krótko.

– O – zmartwiła się. – Co się działo?

– Na pokładzie nie było tak pięknych stewardes jak ty.

Zamierzam złożyć reklamację i żądać zwrotu połowy ceny biletu.

– Ty bajerancie. – Kasi wyraźnie ulżyło. – Już się bałam, że cię wytrzęsło w chmurkach i potrzebna była whisky.

– Nie boję się turbulencji – oświadczył buńczucznie.

– Yhmm. Powiedz to Marysi. Właśnie przyszła do naszej sypialni sprawdzić, z kim rozmawiam. Tatuś cię całuje, krasnalu – powiedziała Kasia gdzieś w przestrzeń i Kuba wyraźnie usłyszał klaskanie dziecięcych rączek. Trzyletnia córka od jakiegoś czasu

właśnie tak zawiadamiała o swoim zadowoleniu.

– Pasażerów alfa nie było? – dopytywała Kasia.

Tak nazywali szczególnie uciążliwych podróżnych, którzy za wszelką cenę starali się zwrócić na siebie uwagę. Głośnych, podpitych, wpadających w podniebną głupawkę lub po prostu chamskich i aroganckich.

– Nie. – Kuba uśmiechnął się do słuchawki. – Kapitan J. nie byłby potrzebny.

Kapitan J., dziś emerytowany pilot, był ulubieńcem Kasi i wszystkich dziewczyn, które z nim latały. Przed każdym startem robił krótką odprawę, podczas której zawsze powtarzał to samo: „Jakby ktoś nadmiernie szumiał, to wiecie, gdzie mnie znaleźć”. Po czym puszczał oko i sadowił się za sterami.

Stewardesy nie nadużywały tego przywileju, ale bywało, że nie miały wyjścia. Kasia skorzystała z niego tylko raz, wiele lat temu.

W rejsie do Moskwy otyły gość, który grubo przesadził z ilością drinków i w którym odezwała się potrzeba bycia duszą towarzystwa, uznał, że uprzyjemni wszystkim lot i zostanie pokładowym wodzirejem. Intonował piosenki biesiadne, wstawał z miejsca, zaczepiał ludzi i generalnie zachowywał się jak zachwycony sobą pajac, którego wszyscy starają się unikać. Na weselu w remizie to wykonalne, w samolocie niespecjalnie.

Kasia dwa razy grzecznie zwróciła mu uwagę, ale kiedy za trzecim razem otyły facet próbował z nią tańczyć w przejściu między fotelami, wyślizgnęła się i zapukała do kabiny pilotów.

Kapitan J. ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Daj znać, jak gość będzie szedł do toalety – powiedział.

Drugi pilot, najwyraźniej wtajemniczony, uśmiechnął się pod wąsem.

Kwadrans później, kiedy wesoły grubas zamknął za sobą drzwi, a lampka nad nimi zawiadomiła, że pomieszczenie jest zajęte, poinformowany w porę kapitan J. wykonał delikatny ruch wolantem, wyprowadzając samolot z trybu autopilota. Nastąpiło płynne bujnięcie, którego pasażerowie nie zdążyli nawet szczególnie odnotować w świadomości. Ale oni siedzieli w fotelach. Gość, który stał nad muszlą sedesową z rozpiętym rozporkiem, mając ręce zajęte czymś innym niż utrzymywaniem równowagi, przyjął to samo bujnięcie zupełnie inaczej. Siła odśrodkowa popchnęła go do tyłu, a zanim oparł się plecami o drzwi toalety, obsikał swoje jasne spodnie od kieszeni do stóp.

Po kilku minutach, kiedy się zapiął i jako tako powycierał, dyskretnie otworzył drzwi i wystawił głowę wraz z prawą ręką wykonującą w stronę stewardesy rozpaczliwe gesty, mające na celu jej przywołanie. Kasia przez dobre dwie minuty udawała, że nie widzi, po czym spojrzała w jego stronę z pytającym uśmiechem. Rozpacz gestów przybrała na sile. Kiedy podeszła, drzwi toalety przymknęły się tak, że wystawała z nich tylko twarz grubasa. Bez cienia wcześniejszego entuzjazmu.

– Ma pani jakiś koc? – szepnęła twarz.

– Zimno panu? – zatroskała się Kasia.

– Nie. To znaczy tak. – Grubas uznał to za dobry pretekst.

– Proszę wrócić na swoje miejsce – oznajmiła Kasia słodko. – Zaraz przyniosę.

– Nie – jęknęła twarz błagalnie. – Tu. Tu bym chciał, żeby pani przyniosła.

Kasia zrobiła minę z serii: „Ależ naturalnie, nie dziwimy się żadnym prośbom naszych drogich pasażerów i odczoczo je spełniamy”.

Dalszą część lotu wodzirej przesiedział cicho i pokornie w swoim fotelu, wzbudzając wyraźną sympatię Hinduski z sąsiedniego rzędu, równie szczelnie aż po kostki owiniętej sari.

Kasia uśmiechnęła się na wspomnienie kapitana J., wracając do rozmowy z Kubą.

– Kiedy jedziesz do Jerozolimy?

– Rano. Właśnie widziałem w telewizorze na lotnisku gigantyczny korek na autostradzie numer jeden. Nie zamierzam w nim tkwić. Zaraz pożyczę samochód, podjadę do tego zajazdu koło Ramli, wiesz – opowiadałem ci, jak go lubię – położę się wcześniej spać i wyruszę zaraz po śniadaniu. Stamtąd mam już niecałe pięćdziesiąt kilometrów.

– Dobry plan – uznała Kasia. – Uważaj na siebie.

– Tak będzie – przyrzekł. – Tęsknię za tobą.

– Ja też – szepnęła. – Kuba...

– Tak?

– Ta nowa sprawa w Jad Waszem... Nie ma w niej nic niebezpiecznego, prawda? Mogę być całkowicie spokojna?

– Oczywiście – zapewnił, mając nadzieję, że jej nie okłamuje.

4

Wątpliwość wróciła nazajutrz w drodze do Jerozolimy. Wywołał ją widok zardzewiałych i wypalonych słońcem wraków samochodów porzuconych gdzieś na płowych, kamienistych polach obok autostrady. Były pamiątką jakichś groźnych zdarzeń. Kuba nie wiedział jakich, ale zerkając na nie przez szybę wypożyczonej toyoty, pomyślał, że lęk Kasi wynika z troski i nie wolno go

lekceważyć. Zwłaszcza że kiedy przez ich życie przetoczyła się sprawa *Chrzta Warneńczyka*, niejednokrotnie odczuwali dreszcz niebezpieczeństwa, a ludzie zamieszani w tajemnicę obrazu ginęli w zagadkowych okolicznościach.

W tym samym czasie kilkanaście kilometrów dalej ważny urzędnik Jad Waszem odpowiedzialny za finanse instytutu dopił codzienne latte, wytarł usta papierową serwetką i spojrzął na zegarek. Wstał, starannie zamknął swój gabinet zgodnie z procedurą bezpieczeństwa i pomaszerował parkową ścieżką do jednego z budynków, położonego na południowy zachód od Hall of Remembrance. Pokonał długi i przestronny korytarz, po którego obydwu stronach mieściły się wejścia do pokoi biurowych z tabliczkami informacyjnymi. Przystanął przed drzwiami, które tabliczki nie miały. Prowadziły do sekcji nieoficjalnie nazywanej referatem cieni.

Jej szef odpowiedział na pukanie i ucieszył się na widok głowy urzędnika, która wsunęła się przez szparę w drzwiach. Umieszczona na bardzo długiej i bardzo chudej szyi, wyglądała jak kamera endoskopu monitorująca sytuację wewnątrz organu.

– Sam jesteś? – spytała głowa i nie czekając na potwierdzenie, zaproponowała: – Przejdźmy się kawałek. Piękny dzień, a za godzinę zrobi się zbyt gorąco.

Dyrektor referatu cieni wykonał aprobujący gest prawą ręką, wstał zza biurka i wyszli, kierując się na wschód, w kierunku grobu Herzla. Wyglądali jak postacie z kreskówki. Szef referatu cieni był potężnym mężczyzną liczącym ponad dwa metry wzrostu i ważącym minimum sto trzydzieści kilogramów, urzędnik miał niewiele ponad metr sześćdziesiąt, był drobny i aby dotrzymać kroku olbrzymowi, sam robił dwa.

– Jak tam nasza sprawa w Polsce? – spytał urzędnik, ujawniając powód spaceru.

– Doskonale – odparł olbrzym, podkreślając swoje przekonanie szerokim uśmiechem.

– Zajmie się nią ten twój, no jakże mu tam...

– Jakub. Jakub Kania – przypomniał szef referatu cieni.

Urzędnik podniósł palec wskazujący i wycelował go w olbrzyma, jakby było to niezbędne do poświadczenia tożsamości polskiego konsultanta instytutu.

– To pewny człowiek, prawda? – dopytał, zerkając w górę, w kierunku twarzy swojego rozmówcy.

Olbrzym przez chwilę pożałował, że nie wykręcił się od tego spaceru. Mógł się spodziewać mnóstwa drobiazgowych pytań, z których urzędnik słynął na całe Wzgórze Herzla, Jerozolimę, Izrael, Europę i inne kontynenty, z którymi Jad Waszem miał cokolwiek wspólnego. Ale uśmiechnął się i skinął głową.

– Skąd go znasz?

– Mówiłem ci już dwa razy – przypomniał olbrzym. – Ten gość nakrył Erwina Winklera. Do nas trafił z polecenia emerytowanego pułkownika wywiadu wojskowego, przyjaciela jego ojca.

– Dobry jest?

– Najlepszy.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Inteligentny, dociekliwy, skrupulatny, jak się za coś weźmie, to nie odpuści. Ma na koncie wiele lat pracy w polskim Instytucie Pamięci Narodowej i wiele sukcesów. Co mam ci jeszcze powiedzieć?

– Typ samotnika – dopowiedział urzędnik.

– Bardzo długo tak. Od paru lat ma przyjaciółkę i trzyletnią

córeczkę. Świata poza nimi nie widzi – odparł olbrzym i zaraz tego pożałował.

– A to nie będzie miało wpływu na sprawę, którą chcemy mu powierzyć? – Urzędnik zaniepokoił się zgodnie z przewidywaniami.

– Nie – stwierdził stanowczo szef gabinetu cieni. – Jego przyjaciółka to mądra kobieta. Poznali się przy poszukiwaniach pewnego tajemniczego obrazu.

– Pracują razem? – chciał wiedzieć urzędnik.

– Nie. Po prostu jej dziadek wiele lat wcześniej też szukał tego obrazu w imieniu polskich władz i trafił na niezły pasztet.

A podczas śledztwa zginął w wypadku, nigdy niewyjaśnionym. To długa historia. Ale ich akurat połączyła.

– Ten Jakub... – urzędnik zatrzymał się na środku alejki i znów zadarł głowę, usiłując spojrzeć olbrzymowi w oczy – ...nie zawiedzie?

– Ręczę za niego – odparł poważnie szef gabinetu cieni, ukrywając informację, że Kuba będzie na Wzgórzu Herzla najdalej za godzinę.

– A czy... – Urzędnik szykował się do kolejnego pytania, ale olbrzym udaremnił ten zamiar ruchem dłoni.

– Musisz być tak upierdliwy? – zapytał z lekką irytacją.

Urzędnik popatrzył na niego z wyrzutem. Sprawa, jaką Jad Waszem zamierzał powierzyć Jakubowi Kani, mogła oznaczać sporą dotację. Jak można oburzać się na pytania, gdy chodzi o pieniądze? Gdy chodzi o pieniądze, pytań nigdy nie jest zbyt wiele.

Tymczasem Kuba zostawił po lewej stronie malownicze wzgórza Neve Ilan Forest i zatrzymał wzrok na drogowskazie prowadzącym do wioski Abu Gosz. Tym razem on przypomniał sobie *Chrzest Warneńczyka*, obraz, którego poszukiwali z Kasią, wierząc, że jest wskazówką do starej przepowiedni mówiącej o pojednaniu chrześcijaństwa z islamem. Przepowiedni, która wydawała się kosmiczną bzdurą, czymś absolutnie nierealnym. A jednak istniało miejsce na świecie, gdzie się spełniała. Tym miejscem było Abu Gosz.

Osada, w której według Starego Testamentu na początku przechowywano Arkę Przymierza, stała się nieprawdopodobną, jakby przeniesioną z innej planety enklawą innej rzeczywistości. W magię Abu Gosz do dziś nie sposób uwierzyć. Położona w samym środku odwiecznego konfliktu trzech religii wioska nigdy nie wzięła w nim udziału, a zamieszkujący ją muzułmanie, żydzi i chrześcijanie żyją w pokojowej symbiozie. Tak było wieki temu podczas wypraw krzyżowych. Tak jest w czasach współczesnych: w trakcie wojny izraelsko-arabskiej Abu Gosz była jedyną osadą zamieszkaną przez Palestyńczyków, która zachowała neutralność i nie wzięła broni do rąk. Dziś trójreligijna wspólnota przyjaciół i sąsiadów uchodzi za jeden z lepszych samorządów w państwie izraelskim.

Kuba nie był człowiekiem głębokiej wiary, a jednak od czasu sprawy *Chrztu Warneńczyka* nabrał pokory wobec zjawisk, które trudno wytłumaczyć. Mijając Abu Gosz, pomyślał, że biblijna Arka Przymierza uczyniła cud, jakby chciała dać dowód na to, że istniała naprawdę. Szkoda, że tylko tutaj. Dziesięć kilometrów dalej, w Jerozolimie, ci sami żydzi, muzułmanie i chrześcijanie szczerze się nienawidzili, żyjąc na beczce prochu.

Jakby na potwierdzenie tej refleksji droga oddalająca go od wioski, mimo komfortu autostrady, stawała się coraz bardziej stroma i aby ją pokonać, trzeba było zredukować bieg.

Szymon, sympatyczny olbrzym z czarnymi kręconymi włosami, który w Jad Waszem kierował referatem cieni, na widok gościa poderwał się z wysłużonej kanapy w małym, zawałonym papierami pokoiku na Wzgórzu Herzla i szeroko rozłożył ramiona. Przez kilka chwil trzymał w nich Kubę, w czym było tyle samo serdeczności co ryzyka uduszenia.

– Sprawdzaleś kiedyś genealogię swojej rodziny? – spytał Kuba po uwolnieniu z uścisku, odzyskując oddech. – Musisz mieć wśród przodków jakiegoś niedźwiedzia.

– Niedźwiedzia? – zdziwił się Szymon. Dobrze mówił po polsku, ale nie zawsze rozumiał grę słów.

– Misia – wyjaśnił Kuba. – Jak Yogi z kreskówki Disneya.

– Aaaa... misia, niedźwiedzia! – uradował się szef referatu cieni. – Kto wie? Jeśli na Szmulkach były niedźwiedzie, to tak.

Szymon był warszawiakiem. Jego rodzina od pokoleń mieszkała na osiedlu założonym przez Szmula Sonnenberga w dzielnicy Praga-Północ. Miał kilka lat, gdy zmuszono ich do wyjazdu do Izraela wiosną 1968 roku. W Tel Awiwie skończył szkołę średnią i studiował historię, potem na wiele lat zniknął. Pewnie był w wojsku, może w wywiadzie – Kuba nie dopytywał. Mimo że właśnie skończył pięćdziesiątkę, Szymon zachował twarz wesołego dziecka, za które śmiało mógłby uchodzić, gdyby nie jego gabaryty. Poza tym sam był ojcem sześciorga obywateli państwa Izrael, mówił sześcioma językami i słynął z szóstego zmysłu.

Przez dobry kwadrans rozmawiali o Kasi i żonie Szymona, potem

o dzieciach. Jeszcze później o ojcu Kuby, znów o żonie Szymona i znów o Kasi. W tej części świata przejście do spraw służbowych bez uprzedniego pytania o zdrowie, samopoczucie i rodzinę uchodzi za nietakt. Kuba zdążył się już tego nauczyć. Dlatego wydawał się całkowicie pochłonięty dyskusją, jakie imię nadać swojej drugiej córeczce, a równocześnie czekał, kiedy Szymon zacznie temat, z powodu którego przyjechał do Jerozolimy: dwa tygodnie temu otrzymał z Jad Waszem propozycję zbadania zagadki hitlerowskiego obozu pracy na Górze Świętej Anny. Był z nim powiązany Winkler, esesman z pobliskich Strzelec Opolskich, który za sprawą Kuby na starość trafił za kratki. Zbrodnie wojenne nie ulegają przedawnieniu.

Kończył opowieść o tym, że w polskich kościołach chrzci się coraz więcej Alanów i Oliwierów oraz dziewczynek o imieniu Jessica i Nikol, co rozbawiło Szymona do łez, gdy nagle salwa jego tubalnego śmiechu ucichła, a olbrzym, wycierając oczy chusteczką, zapytał:

– À propos imion. Co z naszą Świętą Anną? Przemyślałeś sprawę?

Kuba wysunął dolną wargę, co miało mu dodać powagi, i skinął głową.

– Tak jak powiedziałem ci przez telefon: biore to – oświadczył. – Potrzebuję tylko więcej szczegółów.

Szymon oparł dłonie na blacie stołu i splótł palce, tworząc coś, co przypominało olbrzymią szabasową chałkę.

– A zatem od początku – powiedział, nabierając powietrza, jakby chciał zrelacjonować wszystko jednym tchem. – Miesiąc temu napisała do Jad Waszem pewna prywatna organizacja żydowska

z Europy. To bardzo poważni ludzie, reprezentujący powszechnie szanowane przedsiębiorstwa. Branża jubilerska. – Szymon zniżył głos do szeptu i rozplótł dłonie, aby unieść palec wskazujący, podkreślając powagę tych słów. – Organizacja, o której mówię, zawiadomiła nas, że podczas wojny na terenie Trzeciej Rzeszy w wiosce Annaberg, obecnie Góra Świętej Anny, istniał obóz pracy, w którym więziono i zamordowano przynajmniej kilku ludzi z ich środowiska.

– Skąd to wiedzą? – spytał rzeczowo Kuba.

– Z rozmowy telefonicznej z ich prezesem dowiedziałem się, że był ktoś, kto ten obóz przeżył i po wojnie przekazał relacje. Gdzieś mam zapisane jego nazwisko.

– Są jakieś udokumentowane zeznania tego człowieka? Może wspomnienia?

Szymon przecząco pokręcił głową.

– Nie. Był stary i schorowany. Przesiedział parę lat w nazistowskich lagrach. Zmarł w latach pięćdziesiątych. Przed śmiercią zostawił jedynie ustne świadectwo tego, co się działo w Annabergu.

Kuba zapisywał coś w podniszczonym kieszonkowym notesie przepasanym szeroką gumką.

– Rozumiem – mruknął, nie odrywając oczu od notatek. – I czego oczekują ci twoi przedsiębiorcy? Jak brzmi konkretnie moje zadanie?

– No właśnie. – Szymon wypuścił powietrze. – Jeszcze nie skończyłem czytać ich pisma, a już wiedziałem, że tylko ty możesz nam pomóc. Pracowałeś długo w IPN-ie, znasz wszystkich, dogadasz się z polskimi urzędnikami i jesteś urodzony detektyw. Ci szanowni jubilerzy mają nazwiska fachowców ze swojej branży

zaginionych bez wieści podczas wojny i bardzo by chcieli się dowiedzieć, kto z nich zginął w Annabergu, kiedy i jak. Ale przede wszystkim – Szymon znów nabrał powietrza – gdzie ich pogrzebano. Nikt tego nie wie. A oni chcą położyć na tym miejscu tablicę nagrobną i oznaczyć je dla pamięci i czci tych pomordowanych. Jak mówi *Księga Izajasza* – dać im miejsce i imię.

– Tylko żeby to zrobić, trzeba najpierw odnaleźć miejsce – bardziej stwierdził, niż zapytał Kuba.

Szymon ponownie zaplótł palce dłoni i oświadczył niemal uroczyście:

– Właśnie tak, Jakubie, mój przyjacielu.

6

– Co Jad Waszem wie o tym obozie? – spytał Kuba po chwili milczenia.

Szymon sięgnął po leżący na stole laptop, otworzył go i jego twarz przybrała wyraz skupienia. Przez dłuższą chwilę klikał jakieś ikony i coś wystukiwał. Pewnie hasła. Kuba nie mógł się nadziwić, jakim cudem olbrzymie palce kolegi porozumiewają się z maleńkimi kwadratami klawiatury. Wreszcie na ekranie musiało pojawić się to, czego szukał. Zza zasłony ustawionego pionowo wieka komputera z logotypem znanej koreańskiej firmy Kuba widział jedynie oczy Szymona przebiegające linijki tekstu. Wędrowały od prawej do lewej, co oznaczało, że informacja jest napisana po hebrajsku i stanowi źródło własne instytutu.

– Niewiele – oświadczył wreszcie szef referatu cieni, podnosząc wzrok znad ekranu. – Zwangsarbeitslager Annaberg należał do tak

zwanej Organizacji Schmelta, nadzorowanej przez generała SS o tym samym nazwisku. Organizacja miała siedzibę w Sosnowcu i skupiała prawie sto obozów pracy na Śląsku. Ten w Annabergu miał za zadanie budować autostradę Berlin–Kraków. Mamy tu jego historię... – Szymon wlepił oczy w ekran – ...ale nie wnosi nic ciekawego. Poza jednym. – Olbrzym bezwiednie zmierzwił swoją kędzierzawą czuprynę w geście zakłopotania: – Obóz na Górze Świętej Anny likwidowano po cichu, w dość zagadkowy sposób. I to długo przed zakończeniem wojny. Rozumiesz coś z tego?

Kuba nie odpowiedział.

– Pewnie miało to związek z postawieniem Schmeltowi zarzutów o malwersacje w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym – oznajmił Szymon po przeczytaniu kolejnego fragmentu tekstu. – Ale to tylko przypuszczenia. O – nagle się ożywił – to jest jeszcze ciekawsze: ślady istnienia jednej części Zwangsarbeitslager Annaberg Niemcy bardzo starannie zatarli. Cholera, dlaczego? – Szymon głośno się zdziwił, ale pytanie zawisło w próżni. – Co oni chcieli ukryć? Czego mogli się obawiać? Przecież ciągle byli panami świata. Dlaczego tak im zależało na zatuszowaniu dowodów istnienia akurat tego obozu? Tu piszą – szef referatu cieni wskazał podbródkiem ekran – że nie został tam nawet kamień na kamieniu.

– Niezupełnie – odezwał się milczący dotąd Kuba.

Szymon popatrzył na niego z bezgranicznym zdumieniem, które powoli przeradzało się w promienny uśmiech.

– Ty stary draniu – zagrzemiał. – Już tam byłeś, prawda?

Kuba skromnie spuścił oczy, robiąc niewinną minę.

– Tylko przejazdem...

– Wiedziałem – grzmiał Szymon. – Wiedziałem, że nie wytrzymasz po moim pierwszym telefonie. Jak mówiłem, ty jesteś

urodzony detektyw. – Szymon podniósł się z krzesła i znów rozłożył swoje niedźwiedzie ramiona, ale Kuba powstrzymał go gestem dłoni.

– Siadaj, dobrze? Jak mnie udusisz, niczego się nie dowiesz.

Szymon grzecznie spełnił prośbę. Usiadł i ruchem głowy wraz z gestem dłoni dał do zrozumienia, że zamienia się w słuch.

– No więc – zaczął Kuba, wbrew przestrogom polonistki z liceum, która zabraniała tak zaczynać zdania – kamień na kamieniu pozostał. Przy drodze prowadzącej z Góry Świętej Anny w dół do Leśnicy, jakieś pięćdziesiąt metrów od pobocza, po lewej stronie zachowały się resztki fundamentów baraków. Wyraźne na tyle, że da się odtworzyć plan obozu. Ale to nic. Dokładnie naprzeciwko tego miejsca, po drugiej stronie szosy, znajduje się Muzeum Czynu Powstańczego...

– Tam było powstanie? – zainteresował się Szymon. – Bunt? W obozie?

– Nie. – Kuba machnął ręką. – Mowa o trzecim powstaniu śląskim w dwudziestym pierwszym roku, dwadzieścia lat wcześniej. Na Świętej Annie polscy powstańcy walczący o przyłączenie tych ziem do Rzeczypospolitej stoczyli krwawą bitwę z niemieckim Freikorpssem. Stąd to muzeum.

Szymon wydawał się lekko rozczarowany.

– I co z nim? – dopytywał. – Bo nie widzę związku.

– Zaczekaj. – Kuba najwyraźniej budował atmosferę opowieści. – Część kompleksu muzeum stanowi stary ceglany budynek, w którym mieściła się komendantura obozu. Też go zniszczono, ale po wojnie został odbudowany na podstawie starych zdjęć. Nieźle, co?

– Przychodzi ci do głowy jakiś powód, dla którego tak zacierano

ślady po obozie? – spytał Szymon.

– Jeszcze nie – rzekł zagadkowo Kuba. – Ale przyjdzie. Nie miałem okazji poszperać w aktach IPN-u, bo akurat wypożyczył je jakiś naukowiec, ale rozmawiałem z kolegami z delegatury w Opolu i powiem ci tylko tyle, że twój SS-brigadeführer z Sosnowca, Albrecht Schmelt, też zniknął przed zakończeniem wojny i nie bardzo wiadomo, co się z nim stało. Siedzisz wygodnie?

Szymon wpatrywał się w Kubę z napięciem. Milczał.

– No. To wyobraź sobie – rzekł powoli Kuba – że zachowały się trzy akty zgonu pana generała Schmelta z lat czterdzieści cztery–czterdzieści pięć. Jeden z Berlina, jeden ze Szklarskiej Poręby, jeszcze jeden z Warmbronn w Badenii-Wirtembergii. Mają różne daty, ale wszystkie są autentyczne. Rozumiesz? Facet umierał przynajmniej trzy razy.

[*] Tajemnicę *Chrztu Warneńczykai* poszukiwań obrazu przez Jakuba Kanię czytelnik znajdzie w powieści 444.

Cosel/Annaberg

lipiec 1942 roku

1

Fetor, jaki po otwarciu wagonu uderzył w nozdrza około dziesięciu mężczyzn stojących przy torze boczny kolejowej w Koźlu, był tak silny, że jeden z nich – młody chłopak w mundurze SA – instynktownie zrobił krok do tyłu i runął jak długi, tracąc równowagę na drobnych i śliskich od smaru kamieniach torowiska. Wyglądało to jak w komedii z braćmi Marx, kiedy napadają na pociąg, ale nikt się nie roześmiał.

Kilku innych takich samych młodzików w identycznych mundurach jak na komendę wbiło wzrok we wnętrze wagonu, szukając choćby jednej twarzy, która drgnie w grymasie satysfakcji, ale nic takiego nie nastąpiło. Oblicza mężczyzn, którzy jechali pociągiem śmierci z holenderskiego obozu przejściowego Westerbork do Konzentrationslager Auschwitz, pozostały nieporuszone. Podobnie jak ich oczy: puste i nieobecne z powodu skrajnego upokorzenia, rezygnacji i przerażenia zawartego w pytaniu, jak długo jeszcze będą patrzeć na świat. Ludzie ci wyglądali jak z makabrycznej fotografii. W ogóle się nie poruszali, jakby po odryglowaniu i odsunięciu drzwi wagonu wszyscy wstrzymali oddech. Komiczny upadek SA-mana nie zrobił na nich

żadnego wrażenia. Wydarzył się w innym, równoległym świecie, do którego oni już nie należeli.

Chłopcy ze Sturmabteilung pomogli wstać koledze, którego spodnie i bluza nadawały się do prania i cerowania. Młodzik miotał się wściekle i najchętniej wyładowałby złość na tych z wagonu, ale nagle wyrosła przed nim atletyczna postać podoficera w czarnym mundurze. Esesman, wyglądający na byłego zapaśnika lub boksera, wyrzucił z siebie kilka krótkich komend i cała grupa podeszła bliżej pociągu, dopiero teraz czując naprawdę, jak cuchnęli ludzie podróżujący nim od dwóch dni, stłoczeni w wagonie dla bydła i korzystający z kubła na odchody, który dawno się przepełnił.

– *Alle raus!* – wrzasnął do nich scharführer SS. – Wszyscy wychodzić.

Mężczyźni z przyszytymi do ubrań gwiazdami Dawida drgnęli, jakby byli jedną całością, a potem zaczęli powoli opuszczać ścierpnięte nogi poza krawędź wagonu, osuwając się na torowisko. Niemcy ustawiali ich w dwuszeregu, szarpiąc i popychając. Chłopak z SA, który się wywrócił, kopnął z całej siły jednego z Żydów, a gdy ten upadł na kolana, kalecząc je o ostre kamienie, uderzył go pięścią w twarz. Z ust człowieka z pociągu popłynęła strużka krwi.

Kiedy szpaler był gotowy, atletyczny esesman ruszył wzdłuż niego, taksując każdego z więźniów i wskazując kijem trzymanym w rękę najroślejszych i najsilniejszych mężczyzn. Kazano im wystąpić dwa kroki przed szereg i stanąć w postawie na baczność. Następnie scharführer wyjął z kieszeni munduru pogniecioną kartkę i głośno odczytał z niej nazwisko:

– Blom. Jakob. Jest?

Na lewym krańcu szpaleru nastąpiło jakieś poruszenie. Ktoś się przeciskał z drugiego rzędu, wreszcie na torowisko wyszedł niski starszy mężczyzna z podniesioną ręką. Jego twarz wyrażała obawę.

Esesman podszedł do niego szybkim krokiem.

– Witamy na Śląsku – powiedział niemal uprzejmie. Mało brakowało, a uścisnąłby mu dłoń.

Człowiek noszący nazwisko Blom nie odpowiedział, wpatrując się w Niemca z wyczekiwaniem.

– Tam. – Esesman wskazał kijem ciężarówkę zaparkowaną jakieś sto metrów dalej, przy ulicy dochodzącej do torów. – Do samochodu. Mamy dla pana pracę w naszym zakładzie, panie Blom. Czy jest pan przygotowany? – spytał troskliwie.

Starszy mężczyzna sięgnął do wewnętrznej kieszeni brudnej i pogniecionej marynarki, która sporo ucierpiała w podróży, i wyjął z niej aksamitny woreczek. Podał go Niemcowi.

– *Nein*. – Esesman niemal się oburzył. – To należy do pana.

Po czym przełożył kij do lewej ręki, a prawą delikatnie ujął dłoń Bloma trzymającą woreczek i potrząsnął nią, co wywołało grzechot znajdujących się wewnątrz przedmiotów. Niemiec rozpoznał ten dźwięk. Uśmiechnął się porozumiewawczo. Prawą dłoń umieścił na plecach Bloma i niemal pieszczotliwie popchnął go w kierunku ciężarówki. Gdy ten odszedł odprowadzany przez jednego z SA-manów, scharführer wrócił na środek szpaleru.

– Wskazani stać. Reszta z powrotem wagon – warknął i chłopcy w brunatnych mundurach zabrali się do pracy, zaganiając więźniów do pociągu. Gdy na torowisku została tylko grupka wyprężonych na baczność, esesman stanął w rozkroku i obrzucił ich szyderczym spojrzeniem.

– Wy, Żydzi – rozpoczął przemówienie, które bardzo lubił

wygłaszać przy takich okazjach – uważacie się za naród wybrany. Dlatego żebyście nadal mogli tak o sobie myśleć, ja was wybrałem. – Zarechotał, bo uważał to za świetny dowcip. – Nie pojedziecie do Auschwitz. Pojedziecie do mojego przyjemnego obozu niedaleko stąd. W piękne miejsce. Będziecie tam mieszkać i budować autostradę dla Trzeciej Rzeszy. Zrozumiano?

Wybrani gorliwie przytaknęli.

– No – skwitował esesman. – To od dziś jesteście *neue Schmelt Juden*, nowi Żydzi Schmelta. Ilu was tu jest? – zapytał i zaczął głośno liczyć, wskazując końcówką kija każdego z więźniów po kolei: – Jeden, dwa, trzy... Jedenastu. Plus Blom... – Odwrócił się w kierunku ciężarówki i krzyknął: – Dawać tu dwunastu *alte Schmelt Juden*!

Plandeka podniosła się i z opuszczonej burty samochodu zaczęły spełzać ludzkie cienie. Skrajnie wyczerpani ludzie z trudem wlekli się w stronę pociągu, mijając jedenastkę krzepkich mężczyzn maszerujących w przeciwną stronę. Esesman podszedł do wagonu i obserwował, jak więźniowe wciągają do środka tych z ciężarówki. Nagle jego wzrok padł na nadgarstek krępego mężczyzny, który wyciągnął rękę, chwytając dłoń jednego z wynędzniałych chudzielców.

– Ty! – Esesman wskazał go kijem. – Zostaw tego Żyda i złaź.

Krępy posłuchał rozkazu i zeskoczył z wagonu, stając z rękami niedbale opuszczonymi wzdłuż ciała. Nie był pierwszej młodości, zbliżał się do czterdziestki lub właśnie ją przekroczył. Miał śniadą cerę i było w nim coś, co mogło wywoływać respekt. Patrzył spokojnie, bez lęku.

– Dlaczego nie masz gwiazdy Dawida? – spytał esesman.

– Bo nie jestem Żydem – odparł krępy czystą niemczyzną.

– Ściągaj spodnie – zakomenderował atletyczny scharführer. – Ale już. Gacie też.

Śniady mężczyzna bez pośpiechu wykonał i ten rozkaz. Nie był obrzezany.

Bez pytania o zgodę naciągnął krótkie kalesony i spodnie, starannie zapinając pasek. Esesman przyglądał mu się w milczeniu. Najwyraźniej coś rozważał.

– Skąd to masz? – zapytał, dotykając kijem przegubu więźnia, na którym widniał tatuaż: zegarek bez wskazówek.

– Skoro pan pyta, to znaczy, że pan wie – powiedział cicho krępy.

Niemiec poczuł, że przeszedł go dreszcz. Teraz zrozumiał, co było w tym człowieku. Gdy esesman nie był jeszcze esesmanem i siedział w ciężkim więzieniu w Hamburgu, uważał się za szczęśliwca, gdy któryś z więźniów z takim tatuażem pozwolił mu się poczęstować papierosem lub przynieść sobie kawę w czasie obiadu. Przez pięć lat widział ich kilku. Skazanych na dożywocie więziennych arystokratów świata przestępczego. Takich, którzy nie mają już nic do stracenia. Nawet czasu.

– Potrzebuję strażnika do specjalnego komanda w obozie – powiedział dyskretnie esesman. – Kogoś, kto nie zna strachu ani wahania. Rozumiemy się? Kogoś niezawodnego. Zainteresowany?

Krępy opuścił powieki w geście potwierdzenia.

Niemiec wyraźnie się odprężył.

– Dawać jeszcze jednego! – wrzasnął w stronę ciężarówki i się uśmiechnął. Przez chwilę chciał się pochwalić, że też ma za sobą przeszłość kryminalną, ale w tym samym momencie spojrzał na swój mundur scharführera SS oraz brudne ciuchy więźnia i doszedł do wniosku, że sytuacja nie jest odpowiednia.

Krępy, tak jak mu polecono, podszedł do młodego SA-mana

opartego o błotnik ciężarówki i zapisującego coś w rejestrze.

– Jak się nazywasz? – spytał młodzik w brunatnej bluzie, nie podnosząc wzroku.

– Johan Pinto – odparł krępy i bez pytania wskoczył na pakę. Chwilę później silnik opla blitza zakaszłał i auto powoli ruszyło.

2

Piwo było ciepłe i pozbawione gazu, co wywołało grymas obrzydzenia u starszego mężczyzny w kolejarskim mundurze siedzącego przy stoliku ze znacznie młodszym, tak samo ubranym kolegą z pracy, o brzydkiej ospowatej twarzy.

– Co za szczyry. – Starszy kolejarz odczekał, aż właściciel spelunki obok kozielskiego portu na Odrze odwróci wzrok, i splunął na podłogę.

– Dobrze, że chociaż takie jest – westchnął ospowaty. – Zobaczy stryjek, jeszcze trochę tej przeklętej wojny i zatęsknimy nawet za szczyrymi.

Mężczyzna nazwany stryjkiem miał około sześćdziesięciu lat, siwe włosy i twarz pobrużdżoną głębokimi zmarszczkami, ale mimo wyraźnego zmęczenia była w nim jakaś energia.

– Widziałeś, co się dziś działo z transportem z Westerbork? – zapytał, zachęcony krytyką wygłoszoną przez bratanka na temat czasu, w jakim przyszło im żyć.

Młodszy kolejarz niespokojnie rozejrzał się po knajpie. Choć siedzieli w rogu obskurnej zadymionej sali i mogli rozmawiać swobodnie, położył palec na ustach.

– W to lepiej się nie wtrącać.

– Bo co? – zapytał zaczepnie starszy. Kończył drugie piwo i był już lekko podchmielony, co zawsze nastrajało go wojowniczo.

Bratanek popatrzył na niego sceptycznie. Kiedyś napyta sobie biedy, pomyślał o bracie ojca, który załatwił mu posadę pomocnika maszynisty. Zawsze skory do naprawiania świata. Tajemnicą skrzętnie ukrywaną przez rodzinę był fakt, że stryjek nabral zamięłowania do parowozów, gdy obsługiwał pociąg pancerny, walcząc ponad dwadzieścia lat temu w powstaniu śląskim. I to po niewłaściwej, polskiej stronie. Jakby się Niemcy dowiedzieli... Lepiej nawet o tym nie myśleć.

W odpowiedzi wzruszył ramionami.

– To te pierońskie ciule z Annabergu – rzucił starszy kolejarz po śląsku, ale ospowaty natychmiast go upomniał. – Zatrzymują transporty – kontynuował stryjek już po niemiecku – i zamieniają zdrowych, silnych więźniów na tych wpół umarłaków, co to ich przywożą ciężarówką. Aby liczby się zgadzały. Zobaczysz – wyciągnął oskarżycielsko wskazujący palec w kierunku bratanka – ten szwindel w końcu się wyda, a wtedy kto za to beknie? My. Kolejarze.

– Dlaczego my? – przestraszył się ospowaty.

– A widziałeś, żeby esesman oskarżył o coś innego esesmana?

Kruk krukowi oka nie wykole.

– Nikt nikogo o nic nie oskarży – pocieszył się młodszy kolejarz. – Tak czy inaczej, robią porządek z Żydami.

Stryj spojrział na niego z identycznym obrzydzeniem, z jakim wcześniej zareagował na piwo. W ułamku sekundy mignęła mu przed oczami śliczna buzia Elizy, córki sklepikarza z kozielskiego rynku, w której kochał się przez pół życia. Była Żydówką. Była...

– Lepiej się zamknij, jak masz mówić do mnie w ten sposób –

syknał do bratanka. – Nie jesteś na hitlerowskim wiecu.

– Stryju. – Ospowaty zmienił ton. – Ja tak dla stryja dobra.

Kojarzy stryj Dietera, tego ze stacji w Deschowitz?

– Wielki pyskacz – skwitował starszy kolejarz.

– Wielki aktywista – sprostował bratanek. – Członek NSDAP.

– I co z tego?

– To, że Dieter widział w Deschowitz taką samą wymianę Żydów jak ta dzisiaj u nas. Też urządzoną przez tych z Annabergu, którzy zatrzymywali na boczniczy holenderski pociąg. Dieter, którego stamtąd przegonili, a jeden SA-man chciał mu nawet dać w gębę, narobił rabanu. Że kto to widział takie rzeczy, że gdzie niemiecki porządek i takie tam. Kłapał dziobem na prawo i lewo, powołując się na swoją partyjną znajomość z samym śląskim gauleiterem Brachtem, na którego terenie jest Annaberg, ale i Auschwitz. Odgrażał się, że doniesie mu, że ci z Annabergu okradają tamten Konzentrationslager ze zdrowych Żydów, wysyłając do Auschwitz wykończonych i umierających.

– Wskórał coś? – chciał wiedzieć starszy kolejarz.

– Nie. Tydzień temu znaleziono go martwego w zagajniku. Ktoś mu strzelił w łeb. Wracał do domu z zebrania NSDAP, więc ogłoszono, że zrobili to polscy bandyci. Ale kto tu widział polskich bandytów? Chyba ostatni raz za powstania śląskiego – powiedział bratanek i zorientował się, że palnął coś, co niekoniecznie musiało się stryjowi spodobać.

Lecz starszy kolejarz nie zwrócił na to uwagi. Był głęboko pogrążony w myślach.

– Dziwny ten obóz na Annabergu – powiedział po dłuższej chwili, już znacznie mniej buńczuczny tonem. – Ludzie gadają, a i sam widziałem, jak byłem na Wielkanoc pomodlić się w sanktuarium.

Baraki stoją tuż przy drodze do Gemeinde Leschnitz, ale jak się tamtędy przechodzi albo przejeżdża wozem czy rowerem, to specjalne tablice ostrzegawcze każą odwrócić głowę w drugą stronę. Jest tam napisane, że do tych, co będą patrzeć, wachmani mają rozkaz strzelać bez ostrzeżenia. Pełno tu obozów w okolicy, ale nigdzie takich tablic nie ma. Dziwne miejsce – powtórzył. – Ale żeby aż Dietera... Myślisz...?

– Mówiłem stryjowi – przerwał mu ospowaty. – Lepiej się w to nie wtrącać.

Starszy kolejarz w milczeniu pokiwał głową. Pociągnął łyk piwa, skrzywił się jeszcze bardziej niż poprzednio i stanowczym ruchem odsunął kufel.

– Bier, synek, tasza – znów odezwał się po śląsku, wskazując ruchem głowy kolejarską torbę ospowatego. – Idymy do dum. – I nie zważając na właściciela knajpy, który patrzył w ich stronę, ostentacyjnie splunął na podłogę.

W jego głowie kłębiło się wiele pytań, które na dobre zepsuły mu humor, ale coś, co uświadomił sobie dopiero podczas rozmowy z bratankiem, było szczególnie natarczywe. Żadną miarą nie potrafił zrozumieć, dlaczego ci z Annabergu zatrzymują na bocznicach tylko pociągi jadące do Auschwitz z Holandii.

3

Johan Pinto nie przejął się tym, co zastał w Zwangsarbeitslager Annaberg. Dwadzieścia lat w ciężkim więzieniu w Roermond przekonało go, że przeżyć można wszędzie i w każdych okolicznościach, pod warunkiem przestrzegania dwóch żelaznych

reguł: trzeba myśleć tylko o sobie i nie ufać nikomu. Reszta jest kwestią przyzwyczajenia, jakie następuje szybciej, niż człowiek się spodziewa, oraz umiejętności, których Roermond uczył lepiej niż Oxford prawa.

Prosto z ciężarówki skierowano go do łaźni, a potem ogolono mu głowę i kazano zrobić to samo z owłosieniem pod pachami i w okolicach krocza. Wszystkie te miejsca posypano białym proszkiem, którego dwie łyżki stołowe wsypano do torebki skróconej z gazety w formie rożka i polecono mu zabrać ze sobą. Otrzymał też prymitywne przyrządy toaletowe i skrawek szarego mydła. Wachman, który nie odstępował go na krok, kazał poczekać, a sam poszedł po jego miskę, koc i ubranie. Przez dobre dziesięć minut Pinto stał na zewnątrz goły, jak go pan Bóg stworzył, nie zwracając uwagi na chichot kobiet, które zerkały na niego z okien baraku kuchennego, komentując coś w języku, który słyszał pierwszy raz w życiu.

Ubranie dostał to samo, w którym przyjechał, ale zdezynfekowane i pozbawione insektów. Jeszcze w Holandii, w obozie przejściowym w Westerbork, próbował z nimi walczyć, ale w transporcie musiał dać za wygraną.

Wyraźnie w niego inwestowano.

Jedenastu krzepkich Żydów od razu popędzono do baraków. Program higieniczny objął tylko jego i starszego człowieka, który nosił nazwisko Blom i w ogóle się nie odzywał. Johanowi Pinto to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie. Nigdy nie był człowiekiem otwartym, a jedną z umiejętności, jakie studiował w Roermond, była sztuka milczenia i zwalczania u siebie chęci rozmowy z innymi. Więzień, który przyzwyczai się do pogawędek, szybko wariuje w pojedynczej celi.

Po wyjściu z łaźni Blom zniknął, a Pinto poszedł za wachmanem, który wskazał mu pryczę w niewielkim pomieszczeniu oddzielonym od reszty baraku. Było tam jeszcze jedno posłanie, już przez kogoś używane, miednica, dzbanek na wodę, półka, stół i dwa taborety. Na jednym z nich mógł położyć złożony w kostkę koc, a na nim miskę odwróconą do góry dnem, na której umieścił rożek z białym proszkiem i resztę zestawu toaletowego. Komfort. Popędzany przez wachmana, zdążył zauważyć, że prycza jest w miarę czysta. Komuś tu zależało, aby Johan Pinto nie był niepokojony przez pluskwy, nie miał pcheł ani wszy, które mogły go zarazić tyfusem czy innym paskudztwem. Najwyraźniej był tu komuś potrzebny.

Kilka minut później strażnik zaprowadził go do budynku, w którym mieściła się kancelaria obozu. Za prostym biurkiem pod ścianą, na której wisiał portret Hitlera, siedział wyraźnie z siebie zadowolony atletyczny esesman, który zabrał go z transportu. Podwinięte rękawy koszuli odsłaniały jego umięśnione przedramiona pokryte tatuażami. Bez wątpienia więziennymi. Przez moment Johanowi Pinto przeszło przez myśl, że Niemiec celowo prezentuje kolekcję wytatuowanych mieczy, nagich kobiet i symboli świata przestępczego, aby dać mu do zrozumienia, że jest „z branży”. Kryminaliści wszystkich krajów łączcie się, pomyślał, parafrazując Marksa, którego dzieła czytał w Roermond, bo czytał tam wszystko, co było dostępne. Z wyjątkiem *Hrabiego Monte Christo*, książki, od której wielu osadzonych sfiksowało, rojąc sobie ucieczkę, bogactwo i zemstę. Pinto, kiedy jeszcze nazywał się zupełnie inaczej i odsiadywał dożywocie, uważał, że w więzieniu ta lektura jest wyjątkowo niebezpieczna.

Kolekcja tatuaży na przedramionach esesmana oparta była o krawędź biurka, a dłonie spoczywały na niewielkiej walizkowej

maszynie do pisania. Widocznie obóz był zbyt mały, aby mieć własnego kancelistę, i scharführer osobiście prowadził ewidencję. Niemiec odprawił wachmana, któremu kazał zamknąć za sobą drzwi, a gdy zostali sami, wymownie spojrzął na swoje przedramiona.

– Jak widzisz, jesteśmy kolegami po fachu. Pochodzę z Hamburga. Rozumiesz: port, międzynarodowe towarzystwo, dużo się działo. Byłem w pudle, ale wujek Adolf – pokazał kciukiem na ścianę za swoimi plecami – dał mi szansę. A teraz ja daję ją tobie – oświadczył, unosząc dłonie nad maszyną. – Nazwisko?

– Pinto.

Niemiec wystukał je wskazującym palcem prawej ręki. Druga dłoń zawieszona nad maszyną najwyraźniej służyła do podtrzymania stanu skupienia.

– Imię?

– Johan.

– Urodzony?

– W Amsterdamie, rok tysiąc dziewięćset drugi.

– Narodowość?

– Holender.

– Pochodzenie?

Więzień wzruszył ramionami.

– Rodzina dawno temu przyjechała z Hiszpanii, jeśli to ma jakieś znaczenie.

– Oczywiście, że ma – ucieszył się esesman. – Hiszpania to dziś faszystowski kraj.

Pinto nie zareagował. Polityka była czymś, co interesowało go najmniej.

– Za co siedziałeś?

- Morderstwo – odparł krótko.
- Kogo?
- Dwóch jubilerów w Amsterdamie.
- Żydów? – spytał Niemiec z nadzieją w głosie.

Pinto skinął głową.

Esesman o atletycznej budowie popatrzył na niego z uznaniem. Zerknął na zamknięte drzwi i wykonał zapraszający gest dłonią w stronę krzesła.

- Siadaj. Ale jakby ktoś pukał, wstań. Sam rozumiesz.

Pinto usiadł bez słowa.

– Szanuję takich jak ty – wyznał Niemiec. – Fachowców starej daty. Dlatego od razu zwróciłem na ciebie uwagę tam na stacji i rozpoznałem twój tatuaż. – Esesman skomplementował własną spostrzegawczość, puszczając oko do więźnia. – Dożywocie, co?

Pinto potwierdził ruchem powiek.

- Uciekłeś?
- Coś w tym rodzaju.
- Za to trafiłeś do Westerbork i transportu do Auschwitz?

Więzień wzruszył ramionami.

– Też – odpowiedział. – Generalnie niefortunny zbieg okoliczności.

Niemiec uśmiechnął się, jakby na wspomnienie własnych niefortunnych zbiegów okoliczności, po których zostały mu więzienne tatuaże.

– Było, minęło – skwitował, nie wiadomo czy swoje refleksje, czy najnowszy rozdział kryminalnej biografii Pinto. – Nie wnikiem.

Wstał zza biurka i przeszedł się po pokoju.

– Będziesz miał ze mną dobrze – zapewnił. – Włos ci tu z głowy nie spadnie. – W tej samej chwili spojrzął na ogoloną czaszkę

więźnia, dochodząc do wniosku, że nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. – Ujmę to tak: jestem znany z tego, że potrafię dbać o swoich ludzi. Pod warunkiem, że oni dbają o mnie. Rozumiemy się?

Pinto nie odpowiedział.

– Wszystkiego dowiesz się w swoim czasie – kontynuował esesman. – Teraz powiem ci tylko tyle, że będziesz nadzorował grupę Żydów mieszkających w twoim baraku. Na razie jest ich ośmiu, ale będzie więcej. Znacznie więcej. Ci Żydzi wykonują ściśle tajną misję. Z racji specjalnych obowiązków otrzymali pewne przywileje, ale to nie znaczy, że nie muszą przestrzegać dyscypliny. Dlatego potrzebuję wśród nich swojego człowieka, kogoś o bystrych oczach i twardej ręce. Takiego, który zauważy, że coś jest nie tak jak trzeba, i potrafi mocno zdzielić w łeb. Jasne?

Pinto nadal milczał.

– No. – Atletyczny esesman uznał to za aprobatę. – Od dziś jesteś ich kapo. Podaję zasady: nie wolno im kontaktować się z innymi więźniami, żadnych rozmów o pracy, żadnych kłótni, żadnego unikania roboty, symulowania czy rozklejania się. Jeśli któryś kłapie mordą, uciszasz go. Jeśli zaczyna czuć się zbyt ważny, sprowadzasz go do poziomu pozostałych. Jeśli udaje jakieś dolegliwości, wysyłasz go do lazaretu, ale po to, aby mu zrobili opatrunek na rozbitym łbie, wiesz, co mam na myśli. Jeśli pęka psychicznie, dajesz mi znać. Widzę, że wyglądasz na człowieka, któremu nie trzeba dwa razy powtarzać, dlatego nie pytam, czy wszystko do ciebie dotarło.

Pinto nic nie powiedział.

– Na razie, przez parę dni, miej na nich oko tylko w baraku – oświadczył esesman, wracając za biurko. – Potem, jeśli mi się

spodobasz, będziesz nadzorował ich również w pracy. Twoi Żydzi są zatrudnieni w Strefie Wydzielonej, na końcu obozu. Żeby się tam dostać, trzeba mieć przepustkę... – Niemiec zawiesił głos – ...czyli zaufanie generała SS Schmelta i moje – dokończył z dumą. Po raz czwarty chciał spytać, czy więzień wszystko zrozumiał, ale przewidział, że znów odpowie mu milczeniem. Już on znał tych asów z dożywociem. Taki nigdy nie da po sobie poznać, co myśli.

Wezwał wachmana i rozkazał odprowadzić więźnia do baraku.

Wewnątrz panował lekki półmrok i było pusto. Jedynie na pryczy pod ścianą kulił się ludzki kształt, w którym Johan Pinto rozpoznał człowieka o nazwisku Blom. Starszy Żyd leżał na boku z podkurczonymi nogami, twarzą do ściany, i z trudem tłumił szloch.

4

Przed wieczorem ośmiu mężczyzn zatrudnionych w Strefie Wydzielonej, o której mówił esesman, wróciło do baraku. Mimo że pryczy było kilkadziesiąt, Pinto zauważył, że zajmują te, które same sobie wybrali. Na dole lub na górze. Rzeczywiście mieli przywileje, nie wspominając o tym, że nie mogli narzekać na tłok panujący w lagrach. Raczej w ogóle nie mogli narzekać.

Pinto przyglądał się im przez szparę w niedomkniętych drzwiach swojego pomieszczenia, leżąc na pościeli z rękami założonymi pod głowę. Mieli porządne, chyba czyste ubrania – z tej odległości przy skąym świetle żarówki trudno było dostrzec – i byli niezłe odżywieni. W niczym nie przypominali żywych trupów przywiezionych dziś na stację obozową ciężarówką. Nosili gwiazdy

Dawida, ale po baraku krzżeli się w milczeniu i nie można było stwierdzić, skąd przyjechali ani kim są. Pinto znał się na więźniach, ale tych nie potrafił rozszyfrować. O dziwo, większość z nich stanowili mężczyźni po pięćdziesiątce i starsi. Z ich ruchów i gestów wnosił, że są indywidualistami skupionymi na sobie. Wyglądali na artystów. Może grali w obozowej orkiestrze, przemknęło mu przez myśl, ale szybko porzucił ten trop. Gdyby tak było, usłyszałby dźwięki instrumentów. Lager Annaberg nie był rozległy. Poza tym kto tworzy dla muzyków tajną Strefę Wydzieloną?

Po kilku minutach przyszedł wachman i wypędził wszystkich na wieczorny apel. W jego kierunku też energicznie machnął ręką w geście, jaki znali strażnicy we wszystkich więzieniach świata, choć nikt ich tego nie uczył. Gest znaczył: chodź tu, i to szybko.

Wyszli. Atletyczny esesman stał w rozkroku podobnie jak na stacji, a w rękę trzymał kij, który niewątpliwie przysparzał mu autorytetu i pomagał w retoryce. Niemiec odebrał meldunek od starszego Żyda z lisią twarzą, którego Pinto dotąd nie widział. A potem nabrał powietrza i pomagając sobie ruchami kija, zakomunikował, że jest zadowolony z pracy komanda Strefy Wydzielonej i w nagrodę przydziela nowego kapo, który będzie dbał o porządek i bezpieczeństwo. Kij wyciągnięty w stronę Johana Pinto znieruchomiał.

Żaden z ośmiu Żydów nie zareagował. Jedynie przez twarz Bloma, który pewnie uważał Pinta za znajomego, przeleciało coś w rodzaju zadowolenia. Natomiast ten o lisiej twarzy ukradkiem splunął na ziemię. Esesman to zauważył.

Wyszczekał rozkaz powrotu do baraku, popychając dwóch ostatnich Żydów ze specjalnego komanda, którzy wlekli się noga za

nogą. Pinto dostrzegł kątem oka wynędzniałych, zmęczonych ludzi wysypujących się z innych zatłoczonych baraków. Wychodzili na swój apel, popędzani wrzaskiem i kolbami karabinów wachmanów. Komuś bardzo zależało, aby te dwa światy: zwyczajny i wydzielony, nie miały ze sobą nic wspólnego.

Kapuśniak był cienki i może zaciągnięty łyżką żytniej mąki, a może nie – ale smaczny i dający złudzenie sytości przed snem. Niestety był kapuśniakiem, potrawą, na którą żołądek Pinta, sfatygowany więzienną kuchnią Roermond, zareagował tak, jak można się było spodziewać.

Właściciel żołądka niechętnie wstał z posłania i udał się do latryny. Wymagało to przejścia przez część baraku, w której kwaterowało komando Strefy Wydzielonej. Ośmiu Żydów, a po krótkim namyśle również Blom, podniosło się z pryczy i stanęło na baczność. Nowy kapo chciał się do nich odezwać, słysząc, że wcześniej szeptali po niderlandzku, ale porzucił ten zamiar. Przyjdzie na to czas. Im później dowiedzą się, że jest ich krajanem, tym lepiej.

Usiadł w latrynie, gdy nagle usłyszał jakieś odgłosy z zewnątrz i przez szparę w źle dopasowanych deskach dostrzegł atletycznego esesmana stojącego dwa, trzy metry dalej. Niemiec na kogoś czekał, a raczej polował, stojąc w półmroku przed ich barakiem. Po kilku chwilach zawołał szeptem zduszonym wściekłością:

– Fiszler! Do mnie!

Od strony Strefy Wydzielonej zbliżała się jakaś postać, w której Pinto rozpoznał Żyda o lisiej twarzy. Stary natychmiast przyspieszył kroku i niemal przytruchtał przed oblicze scharführera, preżąc się na baczność.

– Na rozkaz! – zameldował się usłużnie.

Pinto usłyszał głośne trzaśnięcie dłoni o policzek.

Mimo półmroku rozproszonego światłem latarni obozowych kapo dostrzegł, że uderzenie było krótkie, prawie bez zamachu, ale stary zatoczył się i omal nie upadł. Atletyczna budowa Niemca o czymś świadczyła.

– Co to było za spluwanie na apelu? – syknął esesman. – Będziesz mi tu pokazywał fochy? Źle ci u mnie? Może wolisz pojechać do sanatorium w Auschwitz?

– Przepraszam, panie scharführer. – Głos Fiszlera drżał z przerażenia. – Ale...

– Ty durniu – przerwał mu esesman nieco bardziej pojednawczym tonem. – Wiesz, jak ważną misję wykonujemy dla brigadeführera Schmelta. Musimy być jednością, Fiszler! Musimy być silni! Więc nie zachowuj się jak zazdrosna, rozkapryszona baba.

– Ale to ja jestem kapo... – upomniał się stary rozżalonym tonem.

– Jasne, że jesteś – potwierdził esesman. – I to najważniejszym. Moją prawą ręką. Ale ty jesteś od spraw fachowych, a potrzebujemy specja od porządku i bezpieczeństwa. Teraz Strefa Wydzielona to ośmiu Żydów. Dziewięciu – poprawił się – bo dziś dołączył Blom. Przyjadą inni. Będzie ich przybywało. Brigadeführer znalazł nowy kanał przerzutowy z Amsterdamu. Liczy na dwudziestu, może trzydziestu nowych do końca roku. Jak chcesz nad nimi zapanować, Fiszler? Ty masz dokładnie kontrolować ich pracę. To najważniejsze. Ale wszystko musi przebiegać spokojnie i po cichu. Znasz rozkaz generała Schmelta: to, co się dzieje w Strefie Wydzielonej, jest ściśle tajne. Nie dasz rady dopilnować, aby czterdziestu ludzi z komanda trzymało gęby zamknięte na kłódkę. Do tego jest nam potrzebny ten drugi. Już on weźmie

towarzystwo za mordę, tego jestem pewien. Widziałem takich jak on w więzieniu. Samo ich spojrzenie wprowadzało dyscyplinę. Żydzi będą chodzić jak mechanizm szwajcarskiego zegarka. Zobaczysz. A poza tym – dodał chytrze esesman – jak złamie parę nosów w tamtej części obozu – wskazał ręką za siebie – to przestaną je wtykać w sprawy Strefy Wydzielonej. Potrzebujemy go. Dociera to do ciebie, Fiszler?

– Tak jest, panie scharführer – potwierdził skwapliwie stary.

– No – skwitował esesman. – To jeszcze dobra rada: żyj z nim w zgodzie. To morderca. Zimny, bezwzględny bandzior skazany na dożywocie. Uważaj, Fiszler. Jesteś ważny dla brigadeführera i dla mnie. Nie chciałbym któregoś dnia znaleźć cię ze skreconym karkiem. Dla niego to jak splunąć, zapamiętaj.

– Zapamiętam – przyrzekł człowiek o lisiej twarzy, wyprężył się, stuknął obcasami i odszedł do baraku.

Gdy Pinto wrócił z latryny do pomieszczenia, w którym znajdowała się jego prycza, stary Żyd akurat przygotowywał do spania sąsiednie posłanie. Nowego kapo traktował jak powietrze. Jakby go w ogóle nie było.

Nie posłuchałeś dobrej rady swojego przyjaciela z SS, pomyślał Pinto. Szkoda.

5

Następnego dnia po porannym apelu Fiszler wyszedł z komandem do pracy w Strefie Wydzielonej. Pinto został sam. Zjadł dwie kromki czarnego gliniastego chleba posmarowanego marmoladą, popił zbożową lurą, a potem przysunął taboret do ściany, z boku

okna, tak aby mógł przez nie patrzeć, pozostając niewidocznym z zewnątrz. Uczył się obozu.

Nie za dużo się działo, ale nie potrzebował wielu informacji, by dowiedzieć się tego, czego chciał. Więzienie nauczyło go dostrzegać rzeczy niewidzialne dla innych.

Po apelu więźniowie z pozostałych baraków pojechali ciężarówkami do pracy. Gdzieś przy budowie. Mieli ubrania pobrudzone ziemią i poplamione cementem. Poza tym od rana byli zmęczeni, co oznaczało, że za mało jedzą i śpią, za to pracują ponad siły. A jak już się kompletnie zużyją, pomyślał Pinto, pojedą na bocznice kolejową, gdzie dojdzie do kolejnej podmiany. Na ich miejsce przywiezie się silnych i zdrowych Żydów z transportu, a ci będą sobie mogli spokojnie zdechnąć w Auschwitz. Proste.

Intrygował go barak gospodarczy. Pracujące w nim kobiety często wybuchały śmiechem i sprawiały wrażenie zadowolonych. Musiały przychodzić do pracy zza drutów. Może nawet dostawały za to wynagrodzenie. Więźniarki obozów raczej nie zachowują się w ten sposób.

Przed południem jedna z kucharek zawołała do przechodzącego wachmana w tym samym nieznanym języku, który Pinto słyszał już wcześniej. Strażnik nerwowo rozejrzał się dookoła i odpowiedział zirytowany:

– Zawrzyj gemba, Greta! – Po chwili dodał: – I godaj po niemiecku, gupio babo.

Pinto nie zrozumiał z tego ani słowa, ale doszedł do wniosku, że wachmani, a przynajmniej ten jeden, też mogą być tutejsi i posługiwać się tutejszą mową.

Kolejną cenną obserwacją były sznurki do suszenia prania rozpięte za barakiem gospodarczym. Mocne. Utrzymywały nawet

mokre kurtki mundurów. Wieczorem, gdy stary Fiszler nadal okazywał mu milczącą wrogość, Pinto wymknął się z baraku i zwinął jeden ze sznurków, przepinając inne tak, aby nikt nie zauważył braku. Miał przeczucie, że nowy nabytek może mu się przydać.

Nazajutrz, gdy wszyscy mieszkańcy baraku poszli do pracy, a Pinto leżał na swojej pryczy, doskonaląc bezcenną w więzieniu umiejętność niemyślenia o niczym, usłyszał nagle swoje nazwisko. Ktoś na zewnątrz go wołał.

Wyszedł. Przed drzwiami stało trzech młodych ludzi w mundurach SA. W sekundę zrozumiał, po co przyszli. Nie mówiąc ani słowa, najwyższy z nich, w którym Pinto rozpoznał niezdarnego chłopaka z torowiska, zrobił krok w jego stronę, co miało zwiększyć siłę ciosu. SA-mani górowali nad nowym kapo wzrostem, wagą i długością rąk, ale byli tylko wiejskimi ciołkami z Saksonii lub Bawarii. Pinto, który przez dwadzieścia lat w Roermond stoczył niezliczoną ilość bójek, z reguły na niewielkiej powierzchni pola walki, chcąc nie chcąc, stał się w tej dziedzinie ekspertem. Potrzebował kilku minut, aby wysłać wszystkich trzech osiłków do szpitala, choć znacznie bardziej praktycznie byłoby skierować ich od razu na cmentarz. Pozbawienie życia trzech hitlerowskich pacholków przyniosłoby przynajmniej jakąś korzyść dla ludzkości. Mógł to zrobić z łatwością, z jaką likwidował wszy. Mógł i nie mógł. Postanowił przyjąć inną taktykę.

Skoncentrował się i ułamek sekundy przed tym, gdy pięć SA-mana wylądowała na jego twarzy, przewrócił się na ziemię. Chłopak, przekonany, że go znokautował, ruszył dokończyć dzieła swoimi podkutymi buciorami. Dwaj koledzy skoczyli w tym samym

celu w tym samym momencie. Pinto zgrabnie przeturlał się pod barak, a napastnicy w brunatnych bluzach wpadli na siebie. Jak można było wywnioskować z incydentu na boczniczy i teraz tu – w SA nie uczono, jak utrzymywać równowagę ciała.

Pinto zamierzał wykorzystać to w dalszej części starcia, gdy nagle zza rogu szybkim krokiem wyszedł atletyczny esesman. Napastnicy wyprężyli się jak struny, ciężko dysząc.

– Co tu się dzieje? – spytał esesman. Mięśnie jego twarzy poruszały się nerwowo od zaciskania szczęk.

– Ten Żyd – zameldował SA-man, specjalista od wywracania się – nie uklonił się nam jak należy.

– To nie jest Żyd – warknął esesman. – Widzisz gdzieś gwiazdę Dawida?

Chłopak nie odpowiedział. Stał z głupią miną, obserwując z niepokojem pięści atletycznego scharführera, które ten z trudem trzymał na wodzy.

– Co tu robicie? – spytał, mrużąc oczy z wściekłości. – Dlaczego nie jesteście na autostradzie?

– Przyszliśmy do pralni po czystą bieliznę – skłamał ten najbardziej wygadany. – Strasznie się człowiek poci na tej budowie.

– Zabierajcie się stąd, ale już – warknął esesman. – Ten więzień – wskazał ruchem głowy Pinta, który na razie wolał pozostać na ziemi – jest kapo Strefy Wydzielonej. A generał SS Schmelt nie życzy sobie, aby ludzie z tego komanda...

– Ale... – przerwał mu wygadany.

– Won stąd! – wrzasnął esesman. Unikał takiego zachowania wobec Niemców w obecności więźniów, ale jego cierpliwość miała granicę, która właśnie została przekroczona.

Incydent przed barakiem nie wydałby się Johanowi Pinto niczym niezwykłym, gdyby nie drobny szczegół. SA-mani znali jego nazwisko, a to dawało niemal stuprocentową pewność, że pobicie zostało zlecone. Typował tylko jednego podejrzanego, co szybko, bo już następnego dnia, sprawdziło się co do joty. Przed wyjściem komanda do pracy zauważył starego Żyda o lisiej twarzy stojącego na bacność przed SA-manem, specjalistą od wywracania się. Chłopak w brunatnej bluzie dosłownie dyszał z furii. Wygrażał Fiszlerowi palcem, którym co chwila oskarżycielsko wskazywał ich barak. Wrzeszczał tak, że Pinto mógł usłyszeć pojedyncze słowa, choć reprimenda odbywała się w znacznej odległości.

Nowy kapo szybko skojarzył fakty. Po pierwsze, Fiszler pracował w tajemniczej Strefie Wydzielonej i SA-mani nic do niego nie mieli. Po drugie, młodzi ludzie, którzy zamierzali pobić Pinta, a może i zatłuc go na śmierć, rzadko bywali w obozie. Zajmowali się nadzorem nad więźniami pracującymi przy budowie autostrady Berlin–Kraków oraz podmianami Żydów na bocznicach kolejowych. Relacja Fiszlera z jednym z nich musiała mieć zupełnie inny charakter niż ten wynikający z zależności służbowych. Najwyraźniej zaplanowali razem coś, co się nie udało i młody hitlerowiec zwałił na Żyda winę za porażkę, która naraziła go na gniew scharführera. Pinto doskonale zdawał sobie sprawę, co to był za plan.

Tamtego wieczoru Fiszler był dziwnie niespokojny. Ciągłe ignorował nowego kapo, z którym dzielił pomieszczenie, nie odzywając się do niego ani słowem. Odwracał się plecami

i zasypiał. Dziś śniło mu się coś strasznego. Tak strasznego, że stary obudził się z krzykiem, ale głos ugrzął mu w krtani.

Na jego szyi zaciśnięta była pętla ze sznurka przerzuconego przez belkę pod dachem baraku. Jego drugi koniec trzymał w ręku Pinto, siedząc jak gdyby nigdy nic na swojej pryczy, ze stopami spuszczone na podłogę. Lekkie pociągnięcie i głowa starego nieznacznie unosiła się do góry, co pozbawiało go tchu. Mocniejsze – i Fiszler nareszcie rozumiał, dlaczego tak się nazywa, bo szamotał się niczym ryba wyciągnięta z wody. Stary szarpnął się z całej siły, aż pociemniało mu w oczach, i chciał zerwać pętlę, a wtedy naprężyła się druga część sznurka łącząca związane dłonie ze stopami. Żyd o lisiej twarzy zrozumiał, że to koniec.

Pinto przesiadł się na jego pryczę i poluzował zacisk.

– Posłuchaj mnie, gnido – powiedział bez cienia emocji. – Brakowało piętnastu sekund, a byłoby po tobie. Rano twój kumpel z SS stwierdziłby, że znudziło ci się twoje parszywe życie i postanowiłeś zadyndać. Pewnie by pomyślał, że nie mogłeś mu wybaczyć przyjęcia drugiego kapo.

Oczy Fiszlera były pełne przerażenia.

– Opuściłem ci te piętnaście sekund, to było tylko ostrzeżenie. Ale jeśli znów wpadniesz na pomysł napuszczenia na mnie kundli z SA albo na coś podobnego, to najlepiej sam się powieś, bo następnym razem przygotuję dla ciebie znacznie mniej przyjemną śmierć. Czy wyraziłem się jasno?

Stary Żyd o lisiej twarzy zaczął tak energicznie kiwać głową, że omal nie zrzucił pętli.

Tamta noc wszystko zmieniła. Fiszler najpierw okazywał paniczny strach, po dwóch dniach uniżenie, po trzech szacunek, w piątym

dniu wrócił do normalności. Wraz z ewolucją jego stosunku do Pinta zmieniał się ton, jakim stary Żyd codziennie życzył mu dobrej nocy, jakby było to zaklęcie gwarantujące, że rano się obudzi. Kapo do spraw porządku i bezpieczeństwa nie zwracał na to najmniejszej uwagi.

Nadal nic nie robił, choć o więźniach komanda Strefy Wydzielonej wiedział już wszystko, co było mu potrzebne: jakie mają osobowości, wady i zalety oraz czego można się po każdym z nich spodziewać. Nie miał jedynie pojęcia, kim są i czym się zajmują. Nie obchodziło go to. Znał doskonale więzienną regułę zależności spokoju i długości życia od umiejętności niezadawania pytań.

Po tygodniu, w niedzielę, która była wolna od pracy, na wieczornym apelu zameldował, że dyscyplina i morale więźniów komanda nie budzą żadnych zastrzeżeń. Atletyczny esesman nie odpowiedział ani słowem. Rozkazał wszystkim rozejść się, zatrzymując kijem Fiszlera.

– A ty do mnie – zakomenderował, wskazując budynek, w którym mieściła się kancelaria.

Stary wrócił po kilkunastu minutach wyraźnie zaniepokojony.

– Panie Pinto – chrząknął, jakby słowa nie chciały mu przejść przez gardło – pan scharführer kazał, żeby pan jutro rano poszedł z nami do Strefy Wydzielonej i pilnował komanda przy pracy.

Kapo nie odpowiedział. Położył się na pryczy i zasnął w tej samej sekundzie, w której zamknął oczy, co było kolejną z unikalnych umiejętności wyniesionych z Roermond.

Rano niebo było zachmurzone, wiał silny wiatr i zanosilo się na deszcz. Bukowy las na Górze Świętej Anny szumiał złowrogo jak

w baśniach braci Grimm, które matka czytała Johanowi Pinto dawno temu w innym świecie, w którym nazywał się zupełnie inaczej.

Wszedł razem z Fiszlerem i innymi po porannym apelu i śniadaniu złożonym z dwóch kromek chleba, połówki cebuli i kubka lury osłodzonej cykorią. Od baraku, w którym mieściła się Strefa Wydzielona, dzieliło ich niecałe dwieście metrów, gdy spadły pierwsze ciężkie krople letniego deszczu. Był ciepły i pachniał lasem. Orzeźwiał ich i zmywał świadomość koszmaru, w jakim się znaleźli. Wiatr nagle ustał.

Po przejściu przez furtkę wysokiego parkanu szczelnie opleczonego drutem kolczastym, którą Fiszler otworzył wielkim ciężkim kluczem, znaleźli się pod drzwiami baraku. Stary Żyd pomajstrował chwilę przy kłódce, zdjął ją i odsunął żelazną sztabę umocowaną na skoblu, którego broniła kłódka. Potem zabrał się za zamek w drzwiach. Pchnął je i sięgnął do wnętrza, przekręcając wyłącznik światła, bo wszystkie okna baraku były szczelnie zabite deskami. Kiedy zrobiło się jasno, usunął się na bok i uprzejmym gestem dłoni zaprosił nowego kapo do środka.

Johan Pinto wszedł i stanął jak wryty. Nie umiał się modlić, ale gdyby umiał, przez ostatnie dwadzieścia lat prosiłby Boga, aby nigdy więcej nie musiał znaleźć się w takim pomieszczeniu.

Jerozolima/Warszawa/Amsterdam

lipiec 2011 roku

1

Jakub Kania lubił Jerozolimę dokładnie tak samo, jak Jerozolima lubiła Jakuba Kanię. W tym szczególnym przypadku relacją człowieka i miasta rządziła trzecia zasada termodynamiki, którą w szkołach tłumaczą w ten sposób, że akcja jest równa reakcji. I to jest dobre tłumaczenie.

Były w Jerozolimie miejsca, w których Kuba czuł się jak u siebie i mógłby przebywać w nich w nieskończoność; były i takie, których nie zamierzał odwiedzać nigdy więcej. Wychodząc na spacer w zachodniej części miasta, spotykał przyjaciół: ludzie się uśmiechali, pozdrawiali go, zapraszali do swoich sklepów i restauracji, byli ciekawi, skąd przyjechał, okazywali uprzejmość i życzliwość. Wystarczyło jednak przenieść się nieco dalej na wschód, w kierunku Starego Miasta, i sytuacja się zmieniła. Wieże kościołów Chrystusa, synagog i meczetów odległe od siebie o kilkadziesiąt kroków chwytały go w pułapkę podejrzeń. Tu pytanie „Skąd przyjechałeś?” było zadawane zupełnie innym tonem. Oznaczało przesłuchanie. Kim jesteś? W co wierzysz? Jesteś z nami czy przeciwko nam? O tym, że wokół ma być miło, przypominały lufy pistoletów automatycznych, gotowych do

strzału, trzymany w rękach przez młodych, osiemnastoletnich żołnierzy izraelskich.

Jeszcze kawałek dalej, w kierunku północno-wschodnim, pytanie „Skąd przyjechałeś?” mogło decydować o zachowaniu zdrowia, kto wie – może nawet życia. Z reguły brzmiało zaczepnie, a zadający je lokatorzy dzielnicy muzułmańskiej bywali nerwowi. Niewłaściwa odpowiedź i mogło być różnie. Czy można jednoznacznie odnieść się do miasta, w którym jest się zarazem przyjacielem, intruzem i wrogiem?

Kubę fascynowała niezwykła historia Jerozolimy i jej wszystkie pocztówkowe zakątki, ale nawet one były pretekstem sporu toczzonego przez trzy największe monoteistyczne religie świata. Religie głoszące miłość i pokój, a okazujące tu, w swoim świętym miejscu, nienawiść i pogardę. Jerozolima była zjawiskowa, ale miała urodę dzikiego zwierzęcia, lwicy lub pumy, która w warunkach naturalnych jest przede wszystkim groźna, a dopiero później piękna. I biada temu, kto pomyli kolejność tych przymiotników.

Czekając na Szymona w restauracji przy ulicy Ben Sira, w której podawano wyśmienity humus i puszystą pitę, Kuba przypomniał sobie ich pierwszy spacer po Starym Mieście. Zdziwił się wtedy, że mieszkańcy domów we wschodniej Jerozolimie mają wprawdzie w oknach siatki, ale o tak dużych oczkach, że bez trudu przeleciałyby przez nie każdy komar.

– Macie tu jakieś moskity mutanty? – spytał żartobliwie. – Przecież te siatki nie chronią przed żadnymi owadami.

– To nie są moskitiery – wyjaśnił Szymon. – Tylko siatki przeciwko kamieniom. Rzucanie kamieniami to forma tutejszego

dialogu Żydów z Arabami i Arabów z Żydami. Córki mojego znajomego profesora historii, notabene Palestyńczyka, drugi rok chodzą do szkoły w kaskach rowerowych, od kiedy najmłodszej rozbito głowę. Najlepszym biznesem w tej okolicy byłby import otoczków z górskich strumieni koło Zakopanego. Wiesz, takich fajnie leżących w dłoni, którymi dobrze się rzuca. Można by je sprzedawać na sztuki albo na wagę, wszystko jedno. Interes jak złoto, bo kupowaliby jedni i drudzy. Tutaj kamienie to artykuł pierwszej potrzeby.

Szymon przyszedł jak zwykle punktualnie, co było niezwykle, zważywszy wielopokoleniowy rozwrzeszczany dom, w którym wszyscy czegoś od niego chcieli, zatłoczone ulice, brak miejsc parkingowych i posturę potrzebującą trochę czasu, aby wydostać się z auta. Jak on to wszystko wylicza, że się nigdy nie spóźnia? – zastanawiał się Kuba. Według niego też można było nastawiać zegarki, ale punktualność kosztowała Kanię dużo stresu.

Znów się uściskali, choć od spotkania na Wzgórzu Herzla minęło zaledwie parę godzin. Mieli zjeść kolację u Szymona, ale chcieli jeszcze pogadać przed jutrzejszym wylotem Kuby do Warszawy, co w domu było niewykonalne. Tam wszyscy przekrzykiwali wszystkich, śmiali się, kłócili, żartowali i produkowali więcej decybeli niż zespół hardrockowy podczas koncertu dla publiczności z wadami słuchu. Do tego wykonywali rękami tysiące ruchów, bo po hebrajsku człowiek porozumiewa się dopiero wtedy, gdy liczba gestów trzykrotnie przekracza liczbę słów. Nie bez przyczyny w autobusach miejskich w Izraelu znajdowały się kiedyś tabliczki z napisem: „Rozmowa z kierowcą zabroniona. Kierowca powinien trzymać ręce na kierownicy”.

Zamówili falafel – znakomite kotlety z ciecierzycy, które nawet ortodoksyjnie mięsożerny Kuba uznawał za smaczniejsze od najlepszych burgerów. W oczekiwaniu na kelnera, który zapomniał o ich zimnym piwie, zapytał Szymona:

– Wspomniałeś przed dwoma tygodniami przez telefon, że z obozem na Górze Świętej Anny był powiązany Winkler, mój esesman ze Strzelec Opolskich. Skąd ta informacja?

– Kiedy go przyskrzypiłeś wiele lat temu w Berlinie – Szymon wygodniej rozsiadł się na krześle – państwo Izrael było oskarżycielem posiłkowym w wytoczonym mu procesie. Dlatego dostaliśmy komplet akt z niemieckiej prokuratury i tam była wzmianka, że Winkler blisko współpracował z Organizacją Schmelta.

– Nadzorował obozy pracy na Śląsku?

Szymon zamyślił się przez moment.

– Nie nazwałbym tego w ten sposób. O ile dobrze sobie przypominam, był kimś w rodzaju oficera łącznikowego. Oficjalnie pilnował obozów Schmelta jako wysłannik SS, ale chyba również współpracował z nim prywatnie. Załatwiał jakieś sprawy w Berlinie i na terenie okupowanych krajów Europy Zachodniej.

– Prywatnie? – zdziwił się Kuba.

– No. Prywatnie. Mam pewną teorię na ten temat...

– Zadziałał szósty zmysł? – Kuba się uśmiechnął.

– Chyba tak. Dziś przed południem, kiedy pojechałeś do Mamilla Mall kupić coś dla Kasi i Marysi, poszperałem trochę w archiwum Jad Waszem. I coś znalazłem.

Kuba patrzył na niego wyczekująco.

– Przypomnij mi – rzekł Szymon – gdzie młody Winkler zaczynał karierę tuż przed wojną?

– W policji – odparł Kuba bez wahania.

– No właśnie. – Szymon umieścił w ustach gigantyczny kawałek pity obficie posmarowany humusem i unicestwił go dwoma ruchami potężnej zuchwy. – A wiesz, kim był nasz kolega Albrecht Schmelt oprócz tego, że namaszczony przez Himmlera kierował swoją organizacją i miał stopień generała SS?

– Wiem – odparł Kuba z dumą. – Prezydentem rejencji opolskiej.

– To też. – Szymon kiwnął głową. – Ale wcześniej, przed wojną, szychą we wrocławskiej policji.

– To jeszcze o niczym nie świadczy – powątpiewał Kuba.

– A co byś powiedział – Szymon wycelował w niego kawałek pity – gdybyś się dowiedział, że w SS i w gestapo istniało silne lobby byłych niemieckich gliniarzy? Coś w rodzaju dyskretnego, tajnego klubu. To byli ludzie o dużej znajomości rzeczy i sporych wpływach. Pomagali sobie w karierach, tuszowali wpadki, założę się, że prowadzili wspólne interesy. Rynek okupowanej Europy dawał do tego świetną okazję. Szósty zmysł podpowiada mi, że biznes Schmelta, za który postawiono go w czterdziestym czwartym przed sądem, opierał się na zorganizowanej grupie przestępczej, jak byśmy to dziś określili. Ale tego dowiemy się dopiero za jakiś czas, po śledztwie detektywa Jakuba – zakończył, unosząc pokal wypełniony maccabee, popularnym izraelskim lagerem.

Detektyw Jakub patrzył na niego w skupieniu, analizując to, co przed chwilą usłyszał. Wątpliwości co do teorii Szymona wyraźnie go opuściły.

– Za szósty zmysł – odpowiedział, spełniając toast.

Kasia Karewicz, podtrzymując lewą ręką brzuch, w którym przyszła stewardesa ćwiczyła, jak się pokazuje pasażerom wyjścia ewakuacyjne i zakładanie kamizelek ratunkowych, stała przy płycie kuchennej, przenosząc badawczy wzrok z Kuby na garnek z mlekiem i z powrotem. Pierwsza cięża minęła jej spokojnie, ale druga była pełna turbulencji emocjonalnych mierzonych w nieustannych zachciankach. Najpopularniejszą z nich było kakao. Najchętniej codziennie. Do śniadania, obiadu, kolacji i na podwieczorek. Kakao do bułki z baleronom. Kakao do rosołu. Kakao do sushi i do schabowego z kapustą. Oczywiście Kasia miała apetyt również na ogórki kiszane, pod warunkiem że były popijane kakao.

– To czym się będziesz właściwie zajmował? – spytała wpatrzona w ruchy tektoniczne na powierzchni mleka.

Kuba machnął ręką.

– Niczym szczególnym. – Wyprostował się na kuchennym krześle, z którego przed chwilą spływał jak zegar na obrazie Salvadora Dali. – Jad Waszem, do którego, jak wiesz, zwróciło się pewne żydowskie stowarzyszenie z Europy, chce, abym odnalazł miejsce pochówku ich rodaków, ofiar obozu pracy przymusowej na Górze Świętej Anny na Opolszczyźnie. Parę lat temu byliśmy tam na wycieczce, pamiętasz?

Kasia milczała, co nie zwiastowało niczego dobrego.

– Spacerowaliśmy po pięknym bukowym lesie, a potem robiliśmy eksperyment w tym olbrzymim amfiteatrze zbudowanym przez nazistów. Nie wierzę, że nie pamiętasz – wtrącił lekko naburmuszony. – Ty stanęłaś na scenie, o mało nie potknęłaś się na zmurszałych deskach, a ja poszedłem kilkaset metrów dalej na samą koronę widowni. Rozmawialiśmy, nie podnosząc głosu, i słyszeliśmy się tak jak teraz w naszej kuchni. Genialna

akustyka...

– Powiedziałeś, że z tej pionowej skały nad amfiteatrem Niemcy rzucali rannych powstańców śląskich.

Oho, pomyślał Kuba, trafiłem na fatalny nastrój. Trzeba będzie uważać. Chciał udać, że sobie nie przypomina, ale kłamstwo mogło ją jeszcze bardziej rozszerdzić. Wybrał inną taktykę.

– Oj, Kasieńko – powiedział z pieszczotliwą naganą w głosie. – Czy ty musisz pamiętać akurat takie rzeczy, a nie coś innego? Miłego?

– Co?

– Nie wiem. Szum drzew? Śpiew ptaków?

– Tam nie śpiewał żaden ptak, a drzewa były nieruchome.

Panowała martwa cisza. Nie spodobało mi się to miejsce.

– Jesteś dziś rozdrażniona – stwierdził najdelikatniej, jak potrafił. – Miejsce jak miejsce.

– Nieprawda. Sam mówiłeś, że w mauzoleum, na miejscu którego postawiono po wojnie pomnik Xawerego Dunikowskiego, miało spoczywać serce Hitlera. Tam jest jakaś zła energia, Kuba.

– Kasiu, moja praca to nieustanna zła energia. Mało się naoglądałem okropieństw w IPN-ie? Kłamstw, upokorzeń, zbrodni? Trudno. Ktoś to musi robić.

– Co to za ludzie? – spytała Kasia, dmuchając na kopułę mleka unoszącą się nad garnkiem i wyłączając palnik kuchenki.

– Jacy ludzie?

– No ci, co się zgłosili do Jad Waszem – wyjaśniła.

– A, oni. Jubilerzy z Holandii. Ich koledzy po fachu byli w czasie wojny więzieni w obozie na Świętej Annie i tam ich... Zmarli tam – poprawił się, ostrożniej dobierając słowa. – Ci współcześni jubilerzy chcieliby oznaczyć i upamiętnić to miejsce pochówku. Szymon

zacytował mi taki piękny fragment z *Księgi Izajasza*, który mówi o przywróceniu miejsca i imienia. Chcesz, to poszukam w internecie.

Zapanowała chwila kłopotliwej ciszy.

– I co? Będiesz szukał? – przerwała ją Kasia.

– Cytatu? – Ożywił się.

– Nie, grobu.

Kuba rozłożył ręce w geście bezradności.

– Będę. Przyjąłem to zlecenie. Jubilerzy obiecują wysoką premię, jeśli mi się powiedzie.

– Zrobią nam pozłacany wózek dla małej?

– Naprawdę jesteś rozdrażniona. – Pokiwał głową. Taktyka słodko-troskliwa poniosła porażkę. – Może wypij kakao, a o tym pogadamy, jak będziesz w lepszym nastroju?

– Nie będę – powiedziała Kasia. – Coś mi brzydko pachnie w tej sprawie.

– No tak. Już to wczoraj słyszałem od Szymona. Chcesz mi powiedzieć, że kobiety w ciąży mają szósty zmysł? – zażartował.

Ale Kasia była dziś „na nie”.

– Mają siódmy – odparła.

3

Mężczyzna, który zorganizował spotkanie, lubił załatwiać sprawy trudne i delikatne przy dobrym jedzeniu, jakby kubki smakowe były katalizatorami jego mózgu. Mózgu, który wielu ludzi w Amsterdamie uważało za genialny i pragnęło uczestniczyć w projektach, które w nim powstawały. To zawsze przynosiło zysk.

Jak wysłanie kuponu lotto po uprzednim poznaniu numerów, które zostaną wylosowane.

Właściciel mózgu dobiegał siedemdziesiątki, był szczupły, wysportowany i zadbany. Miał starannie ostrzyżone ciemne włosy, z prawie niedostrzegalnymi śladami przeszczepu cebulek, co wywoływało kosztowny, ale skuteczny efekt większej gęstości. Bez wątplenia je farbował, ale również dyskretnie, pozostawiając minimalne pasemka siwizny, bez których nienaganność jego fryzury wydawałaby się sztuczna. Raz w tygodniu grał w golfa, pływał, chodził do kosmetyczki, robił manikiur i – jak twierdzili wrogowie – kogoś oszukiwał. Codziennie pił koktajle warzywne, gimnastykował się i śledził notowania interesujących go sektorów rynku. Nosił garnitury i koszule szyte na miarę, dobre krawaty i buty, drogi zegarek oraz nazwisko znane w Amsterdamie, choć powszechnie nazywano go Krupierem. W branży, w której osiągnął sukces, z reguły to on rozdawał karty. I z reguły wygrywał.

Nie bez racji często porównywany był do króla Midasa, bo tak samo jak mityczny władca Frygii wszystko, czego dotknął, zamieniał w złoto. Pochlebiało mu to porównanie. On sam pochodził z Fryzji, więc po paru kieliszkach martini lubił żartować, że z Midasem dzieli ich tylko jedna litera: „z”. Jak złoto. Ulubiony metal jego i dwóch starszych mężczyzn, których zaprosił na dzisiejszy lunch.

Wszyscy trzej byli jubilerami cenionymi w mieście, kraju, a może i na kontynencie, wszyscy mieli głowy na karku i nie przesadzali z etyką w biznesie. Byli Żydami sefardyjskimi, których przodkowie kilka stuleci wcześniej uciekli z Półwyspu Iberyjskiego przed inkwizycją, znajdując schronienie w Holandii, gdzie miejscowe prawo w literze unii utrechckiej gwarantowało tolerancję i wolność

niespotykaną nigdzie indziej. Oczywiście, jak to zwykle bywa, prawo było prawem, a rzeczywistość rzeczywistością. Unia zapewniała przywileje obywatelskie i bezpieczeństwo, ale holenderskie cechy rzemieślnicze, od szewców i cukierników po bednarzy, krawców, rymarzy i piekarzy, stanowczo odmawiały przyjmowania Żydów w swoje szeregi.

Ta uparta niechęć przyniosła Holandii jednocześnie stratę i zysk. Po pierwsze, kraj stracił tysiące znakomitych rzemieślników, którzy musieli zająć się czymś innym. Po drugie, tym czymś innym był biznes jubilerski. Sefardyjczycy sami go wymyślili, uruchomili warsztaty, w których nigdy nie zatrudniali Holendrów, i niebawem stali się globalnymi liderami branży. To oni ufundowali Synagogę Portugalską w Amsterdamie, największą świątynię żydowską na świecie. To ich potomkowie siedzieli dziś przy stoliku wykwintnej restauracji nad kanałem Keizersgracht, układając być może największy z planów, jakie opracowali w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

Mieli swoje ulubione adresy w mieście, ale najchętniej spotykali się w restauracji wybranej na dziś i specjalizującej się w daniach kuchni francuskiej. Kelnerzy znali ich od lat i chętnie opowiadali legendy o trzech dżentelmenach z klasą, którzy na oko mieli na sobie ze sto tysięcy euro, wliczając zegarki, i zostawiali hojne napiwki. Ale nie to było najbardziej intrygujące. Jubilerzy słynęli przede wszystkim z tego, że nigdy nie korzystali z karty dań i zawsze wszyscy trzej zamawiali to samo. Z reguły odbywało się to w następujący sposób:

Ten szczupły z bujną czupryną przywoływał kelnera i pytał tonem brytyjskiego lorda:

– Co dziś polecasz, mój drogi?

Kelner wiedział doskonale, że takie pytanie padnie, gdy tylko zauważył gości przekraczających próg restauracji, dlatego niezwłocznie zabierał się do przygotowania odpowiedzi. Biegł do kuchni, przepytował szefa i wnikliwie patrzył mu w oczy, oczekując bezwzględnej szczerości. Często sam próbował polecanego dania, aby zyskać stuprocentową pewność. Nietrafiona rekomendacja mogła mieć fatalne konsekwencje: utratę napiwku albo, nie daj Boże, zaufania. W jednym i drugim przypadku dla kelnera lepiej byłoby skoczyć do kanału Keizersgracht, niż rozczarować klientów, po stracie których jego kelnerskie życie i tak nie miałyby większego sensu.

Szatyn w średnim wieku, który tego dnia obsługiwał triumwirat jubilerów, zasugerował aperitif w postaci kieliszka bardzo wytrawnego szampana złamanego likierem z czarnej porzeczki w proporcjach będących niezawodnym afrodyzjakiem apetytu.

Szczupły dzentelmen z bujną czupryną właśnie dopijał koktajl, do którego szef kuchni podesłał kilka kawałków znakomitego *foie gras* z gruszką marynowaną w koniaku. Odstawił kieliszek, dotknął ust serwetą i poszukał wzrokiem kelnera. Ten wyrósł przed nim w ułamku sekundy.

– To co dziś zjemy, kochany? – spytał jubiler.

– Krem z białych warzyw z nutą musu ze świeżych czereśni, a potem turbota w sosie z raków z gotowanymi kasztanami – wyrecytował kelner jednym tchem, niczym student, który wyrzył na blachę odpowiedź na poznane wcześniej pytanie najważniejszego z egzaminów.

– Trzy razy – zawyrokował szczupły jubiler. Nigdy nie pytał swoich współników o zdanie i nie był ciekaw, czy mają jakiegokolwiek inne upodobania kulinarne. A oni nigdy nie protestowali, choć

obyczajem lunchów była reguła, że każdy płaci jedną trzecią rachunku. Jak na Holendrów żydowskiego pochodzenia przystało.

Kelner zdążył jeszcze zaproponować butelkę łagodnie wytrawnego białego wina Crozes-Hermitage, które wydobywa z kasztanów poezję smaku, i zniknął równie bezszelestnie, jak się pojawił.

Szczupły mężczyzna nazywany Krupierem przez chwilę bawił się serwetką, a potem spojrzał pytająco na dzentelmena z wypiełgnowaną hiszpańską bródką siedzącego po jego prawej stronie.

– Wiemy już coś? – zagadnął.

Zapytany badawczo rozejrzał się po sali i potwierdził ruchem powiek.

– No to mów, na co czekasz? – zachęcił Krupier. Przesadna ostrożność współnika często go irytowała.

Człowiek z bródką chrząknął i przez chwilę wpatrywał się w lustrzaną powierzchnię pucharu na wino, podziwiając w niej opaleniznę przywiezioną przedwczoraj z Tel Awiwu.

– Jak wiecie – zaczął przyciszonym głosem – mój bratanek pracuje w izraelskich służbach, a izraelskie służby powstały po wojnie po to, aby ścigać nazistów. Dlatego do dziś mają bliskie relacje z instytutem Jad Waszem, do którego zwróciliśmy się z prośbą o dochodzenie w sprawie ofiar obozu w Annabergu. Oczywiście nie zorientowali się, że możemy mieć w tym jakiś ukryty cel. Święcie wierzą, że chodzi nam o pamięć zamordowanych tam jubilerów. – Chytrze się uśmiechnął. – I wychwalają nas pod niebiosą, jacy to jesteśmy prawi i religijni.

– No dobra, co z bratankiem? Czego się dowiedział? – ponaglił Krupier.

– Jest tak: Jad Waszem zlecił to dochodzenie swojemu konsultantowi z Polski, zatrudnionemu w sekcji...

– Polakowi? – Krupier się skrzywił.

– Poczekaj – uspokoił go dżentelmen z bródką. – To fachman. Cwany gość. Kiedyś wytropił zbrodniarza wojennego, który wymknął się nawet Mosadowi. Namierzył go, doprowadził do aresztowania i osądzenia. Dwa lata temu skurwiel wykitował w więzieniu. Możecie wierzyć lub nie, ale ja jestem przekonany, że jeśli ktoś znajdzie to, czego szukamy w Annabergu, to tym kimś będzie ten Polak. Wspomnicie moje słowa.

– Kim on jest? – spytał milcząco dotąd trzeci z uczestników lunchu, ponury brunet z okazałym brzuchem, zamaskowanym przez dobrze skrojony granatowy garnitur z kaszmirowej wełny połączonej z jedwabiem.

– Freelancerem – odparł ten z bródką. – Parę lat pracował w takim polskim Jad Waszem. Nazywa się... – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni blezera, wyjmując niewielki bloczek, jaki w hotelach zostawia się gościom na stolikach nocnych do notowania numerów telefonów. – Jakub Kania – przeczytał i starannie podarł karteczkę, układając stosik papieru na brzegu stolika. Kelner natychmiast wyrósł obok ze srebrną szczotką do obrusów i identyczną podręczną tacką na okruszki, ale człowiek z bródką odprawił go przeczącym ruchem głowy, nakrywając stosik dłonią. Zamierzał wyrzucić podarte kawałki osobiście i do kilku pojemników, gdy będzie szedł do toalety.

Krupier z dezaprobatą pokręcił głową, patrząc wymownie na dżentelmena z brzuszkiem, na co ten wzruszył ramionami.

– Nie znasz go? – zapytał. – On nawet jak się kochał z własną żoną, to zakładał cztery prezerwatywy.

- Gdyby nie moja ostrożność – odparł ten z bródką lekko urażonym tonem – to nie wiadomo, gdzie byś dzisiaj był.
 - Potem będziecie się kłócić – rozstrzygnął Krupier. – Czyli dochodzenie w sprawie Annabergu prowadzi ten Jakub, tak?
 - Tak – potwierdził wspólnik z bródką.
 - Ka...
 - Kania.
 - Dobrze. A my co? Przyglądamy się?
- Dżentelmen z bródką podniósł kieliszek i przez chwilę trzymał uniesiony jak do toastu.
- Do pewnego momentu tak – odpowiedział. – Aż nadejdzie nasz czas, aby pojawić się na scenie.

4

W tym samym czasie ładna blondynka z ciemną oprawą oczu i w zaawansowanej ciąży kończyła zmianę na stanowisku odpraw Międzynarodowego Portu Lotniczego imienia Fryderyka Chopina w Warszawie. Pospiesznie zebrała swoje drobiazgi i wskazując ruchem podbródka głośny tłum wlewający się właśnie do terminalu odlotów, rzuciła do koleżanki przejmującej jej obowiązki:

- Współczuję.
- Dam radę – odparła koleżanka. – Lepiej, żebym to ja się z nimi poużerała, niż gdybyś ty urodziła dzidziusia antysemitę. Trzymaj się, Kasia, do poniedziałku.

Za kilka sekund halę lotniska zaludniła izraelska młodzież: arogancka i agresywna, okazująca wszystkim wokół wyniosłość i pogardę. Kasia nieraz miała z nimi do czynienia w samolotach,

gdzie zachowywali się skandalicznie, a próby zwrócenia im uwagi przez współpasażerów kończyły się brutalną interwencją izraelskich ochroniarzy, którzy mieli za zadanie bronić żydowskich nastolatków przed otoczeniem, choć to otoczenie należało bronić przed nimi. W Polsce odbywali obowiązkowe szkolne pielgrzymki po miejscach martyrologii swojego narodu, ale nie miało to nic wspólnego z refleksją i zadumą. Obrażali ludzi, demolowali hotele, zostawiając w łózkach i umywalkach własne odchody, byli ordynarni i pyszałkowaci. Kasi przemknęło przez myśl, że może Jad Waszem powinien powołać sekcję, która będzie chronić pamięć Holocaustu poprzez edukację czternastolatków. Dla nich Polska była największym cmentarzem ich narodu, ale też krajem wroga. Przekonanie, że to Polacy odpowiadają za eksterminację Żydów, a Niemcy tylko podstawiali pociągi, było w izraelskich szkołach średnich powszechne. „Jeśli dobro milczy, zło podnosi głos”, przypomniała sobie sentencję przeczytaną w jakiejś książce i postanowiła, że musi porozmawiać o tym z Kubą.

Powoli przeszła na parking podziemny, odnalazła na miejscach służbowych swój samochód, pilotem uruchomiła centralny zamek i otworzyła drzwi. Pochyliła się nad siedzeniem kierowcy, zapinając pas, tak aby znalazł się za jej plecami, kiedy wsiądzie. Nie było innego wyjścia. Niezapięty pas sprawiał, że auto przypominało o tym natrętnym piskliwym sygnałem, od którego można było oszaleć. A Kasia już wystarczająco się denerwowała.

Czy Kuba musi wiecznie zajmować się takimi okropieństwami? – pomyślała, wyjeżdżając z parkingu. Parę lat temu, kiedy jeszcze pracował w IPN-ie, ktoś go namówił na rozwiązanie zagadki Tworkowa, niewielkiej wsi pod Raciborzem. W miejscowym kościele pękła podłoga, ujawniając kryptę niemieckich właścicieli wsi,

rodziny von Rechwitz. Różne rzeczy o nich mówiono. Że w swoim tworkowskim zamku odprawiali czarnoksiężskie praktyki, mieli kontakt z siłą nieczystą i nie bali się śmierci. Wieś, jak to wieś, plotkowała i żegnała się zabobonnie za plecami państwa dziedziców, ale na tym się kończyło. Ludzie gadali, a wiatr rozwiewał słowa.

Nagle Rechwitzowie zaczęli po kolei odchodzić z tego świata. Właśnie tak: odchodzić, a nie umierać, bo wiele z tych śmierci było owianych mgłą tajemnicy. Jedno z dzieci jeszcze dzień wcześniej biegało po parku, a nazajutrz odbywał się jego pogrzeb. Inne poszło nad rzekę i nikt go już nigdy nie zobaczył. W krótkim czasie odszedł ojciec, mężczyzna w sile wieku, młodsza od niego żona i dziewięcioro ich przychówku. W krypcie kościoła na wzgórzu złożono jedenaście trumien. Dziwne. Drewnianych, ale dodatkowo zamkniętych w miedzianych sarkofagach. Jeszcze dziwniejsze. Ozdobionych motywami roślin, scenami tańca, symbolami radości. Bez cienia szacunku dla śmierci. Bez lęku przed jej nieuchronnością i bezwzględnością.

Trzysta lat później, po odkryciu krypty, zeszła do niej ekipa archeologów, ale badania przerwała ich zbiorowa nagła choroba. Media zaczęły trąbić o klątwie Tworkowa. Takiej samej, jaka dotknęła odkrywców grobu Tutanchamona w Egipcie czy naukowców, którzy odważyli się otworzyć trumnę Kazimierza Jagiellończyka na Wawelu.

Kuba wybrał się do Tworkowa, gdzie miejscowy ksiądz próbował za wszelką cenę przekonać go, że w kościele nic sensacyjnego się nie wydarzyło, a archeolodzy po prostu się przeziębili. Kapłan tak żarliwie prosił, aby pan prokurator dał spokój duszom zmarłych i wracał do Warszawy, że Kuba od razu uznał to za podejrzane.

Odwiedził innych świadków, którzy albo nie chcieli rozmawiać, albo patrząc wymijająco, potwierdzali słowa księdza. Dopiero dyrektor muzeum w Raciborzu, obecny przy otwarciu trumien Reiswiczów, uznał, że nie będzie ukrywał prawdy.

– Byłem przy eksploracji wielu grobów – oświadczył. – Nawet średniowiecznych. W każdym był jakiś porządek anatomiczny. Ale nie w Tworkowie. Tam nie pochowano istot ludzkich.

– A kogo? – spytał zszokowany Kuba.

– Nie wiem, jak to określić – odpowiedział dyrektor. – Monstra. Kukły wykonane z wikliny, słomy i chrustu, zlepione jakąś substancją przypominającą gips zmieszany z żywicą. Za jej pomocą do głów tych makabrycznych manekinów przyczepiono końskie włosy. To miało wyglądać wiarygodnie. Postacie w trumnach były ubrane w kosztowne szaty, jedna z dziewczynek miała nawet bukietik zasuszonych kwiatków. Tylko że... to nie byli ludzie.

Nazajutrz po powrocie do Warszawy Kubę natychmiast wezwał Wiesław Paluch – szef jego pionu, człowiek z nadania partyjnego, usłużny i w pełni dyspozycyjny wobec mocodawców.

– Co pan robił w Tworkowie? – spytał, zanim podwładny zdążył przekroczyć próg.

– Byłem na urlopie – odparł Kuba.

– Niech pan tu ze mną nie pogrywa – warknął Paluch. – Węszy pan wokół sprawy Reiswiczów. Jakim prawem?

– Rozwiązuję zagadki historyczne. To prywatne hobby.

– Prywatne? I w prywatnej sprawie używa pan służbowej legitymacji IPN-u?

Strzał był celny. Kuba pokręcił głową.

– Donosiciele są w tym kraju szybsi od światłowodów. Rozumiem, że już zadzwonił ktoś z góry. Kościół nie życzy sobie rozgłosu wokół

tej sprawy, mylę się?

– Nie pańska rzecz – odparł Paluch. – Za nieprawne użycie legitymacji karzę pana naganą z wpisaniem do akt. I oficjalnie zabraniam panu zajmować się tą sprawą. Jak pan chce realizować swoje hobby, to proszę bardzo, gotów jestem przyjąć pańską dymisję. Nawet chętnie – dodał.

Miesiąc później w jednym z czasopism Kuba znalazł reportaż z Tworkowa. Autor musiał być o wiele lepszy od niego w dotarciu do źródeł, bo opublikował zdjęcia z krypty, z której wydobywano trumny. Jedno z nich, wykonane w dużym zbliżeniu, przedstawiało ludzką czaszkę spoczywającą na jednym z sarkofagów. Kubie wydawało się, że doskonale zachowane kości szczęk wykrzywia ironiczny uśmiech wywołany rewelacjami dyrektora z Raciborza.

Tego samego dnia wyrzucił do kosza notatki z Tworkowa. Kilka miesięcy później, podczas jakiejś konferencji prasowej w IPN-ie, podszedł do niego jeden z dziennikarzy tamtego tygodnika. Znali się od lat, Kuba wiele razy podrzucał mu ciekawe kąski. Dziś również podsunął pewien trop, o którym nie wiedzieli inni reporterzy. Dziennikarz ucieszył się, podziękował i oświadczył:

– Znowu mam u pana dług. Ale... – zawahał się przez moment – ten mogę spłacić od razu. – Pochylił się do ucha Kuby i szepnął: – Wiem, że interesował się pan Tworkowem. Powinien pan wiedzieć, że czaszka, której zdjęcie się u nas ukazało – mrugnął porozumiewawczo – była atrapą. Fotoreporter, który je robił, wygadał się przy wódce. Została przyniesiona w plastikowej torbie i położona na trumnie, rozumie pan? Ale jakby co, nie było tej rozmowy.

Samo wspomnienie tamtej historii sprawiło, że Kasię przeszedł dreszcz. Czyżby na Świętej Annie szykowało się to samo? Groby, tajemnice i ryzykowne śledztwo, które może się komuś nie spodobać? Poczwała przyspieszone bicie serca. Żeby się uspokoić, zaczęła oddychać tak, jak uczono ją podczas kursów dla stewardes. Pomogło.

Może przesadzam? – pomyślała, wjeżdżając na Żoliborz. Może to tylko ciąża i szalejące hormony? Może Kuba teraz po prostu pogrzebie w papierach, dotrze do jakichś świadectw, jak to tylko on potrafi, odnajdzie to miejsce pochówku na Górze Świętej Anny i wszystko dobrze się skończy? Tak, uznała wjeżdżając do garażu pod budynkiem, w którym mieszkali, tak właśnie będzie.

Bała się myśleć, że w wygłoszonym wczoraj stwierdzeniu o siódmym zmyśle kobiet w ciąży może być sporo prawdy.

5

Turbot był wyśmienity. Trzeba nie lada umiejętności kulinarnych, aby jego jędrne i sprężyste mięso w trakcie smażenia nie upodobniło się do gumy, a szef kuchni restauracji nad kanałem Keizersgracht bez wątpienia te umiejętności miał.

Kelner, który polecił turbota, zręcznie zebrał puste talerze i przyjął wyrazy uznania z miną światowej gwiazdy przyjmującej owację na stojąco po koncercie w Carnegie Hall. Po czym zniknął, aby za chwilę pojawić się przy stoliku jubilerów z klejnotem sztuki cukierniczej. Na trzech talerzykach w kształcie muszli perłopława spoczywały kulki bezowe w rozmiarze między piłką golfową a tenisową wypełnione nadzieniem, w którym można było odróżnić

smak pistacji i tylko tyle, bo potem dostawało się zawrotu głowy na skutek oszołomienia wywołanego genialnym smakiem deseru. Kulki pokryte były lukrem z cukru palonego tak delikatnie, że idealnie imitował złoto. Kelner uprzejmie poinformował, że to skromny upominek od szefa, specjalnie dla znakomitych gości. Przy okazji dyskretnie obrzucił wzrokiem ich miny, prognozując wysokość napiwku, który właśnie został przypięczętowany.

Gdy się oddalił, Krupier odłożył łyżeczkę do deserów, opierając ją o brzeg talerzyka-muszli, i spytał współnika z bródką:

– Jak chcesz to załatwić?

– Musimy mieć w Polsce odpowiedniego człowieka – odparł zapytany. – Kogoś, kto będzie chodził krok w krok za Kanią i znał każdy jego ruch, samemu pozostając niewidzialnym. W ten sposób będziemy wiedzieć, co Kania zamierza i co udało mu się odkryć.

A w ostatniej chwili po prostu trzeba go będzie uprzedzić.

– Nie do końca rozumiem – odezwał się współnik z brzuchem zamaskowanym przez granatowy garnitur.

– Widziałeś kiedyś filmy przygodowe o poszukiwaczach skarbów?

– zwrócił się do niego ten z bródką. – *Indiana Jones* i tak dalej?

Tam często jest taka scena, że główny bohater pokonuje mnóstwo trudności, aby odnaleźć skarb, a jak już odnajdzie, to na miejscu odkrycia nagle pojawia się inny facet, mierzy do niego z pistoletu i zabiera mu znalezisko sprzed nosa. Kapujesz?

– Ale ten z pistoletem zawsze przegrywa – skomentował jubiler z okazałym brzuchem.

– Dlatego my potrzebujemy takiego, który nie przegra.

Zapanowała dłuższa chwila ciszy.

– Chyba ktoś przychodzi mi do głowy – zaczął ostrożnie brzuchacz w granatowym garniturze. – Jak wiecie, robię interesy

z handlarzami bursztynu z okolic Kaliningradu. Zamówienia specjalne, głównie do Emiratów, Arabii Saudyjskiej i Kataru. Bursztynowe kierownice i elementy desek rozdzielczych rolls royce'ów, bursztynowe okładziny mebli. Ryzykowny biznes wymagający cięcia dużych kawałków kruchego materiału. Czegoś takiego nie ubezpieczy żadne towarzystwo asekuracyjne. Trzeba mieć zaufanego dostawcę, który bierze na siebie straty powstałe w wyniku pęknięć bursztynu podczas obróbki albo montażu w arabskiej limuzynie. Prawie nikt tego nie chce robić. Ale jest jeden człowiek. Nazywa się Oleg Woronin. Bystry, zaradny, specjalista od spraw uznawanych za niewykonalne. Kiedyś był w KGB, potem jeździł po świecie, trochę siedział w więzieniu, od paru lat zajmuje się poważnymi transakcjami, głównie w naszej branży. Mieszka w Gdańsku, w Polsce.

– Mówi po polsku? – spytał Krupier.

– Z rosyjskim akcentem.

– Nie przejdzie. – Krupier pokręcił głową. – Spali się na starcie, gdy tylko się odezwie.

– Wobec tego szukamy kogoś innego – odparł jubiler w granatowym garniturze, wyraźnie zmartwiony.

– Albo – nieoczekiwanie przyszedł mu z pomocą wspólnik z bródką – jeśli ten twój Rusek jest taki łebski i długo mieszka w Polsce, to niech sobie dobierze jakiegoś polskiego pomocnika.

Brzuchacz popatrzył na niego z wdzięcznością.

– To będzie dodatkowo kosztować – uznał Krupier. – Ale pomysł jest dobry. Jedź do Polski i pogadaj z nim. A skoro mowa o budżecie – zmienił temat – to co z twoim kuzynem z Nowego Jorku? – zapytał wspólnika w granatowym garniturze. – Jest zainteresowany wejściem do naszego projektu?

– Przyleciał wczoraj wieczorem – odpowiedział brzuchacz. –
Czeka na sygnał.

– Dlaczego go nie zabrałeś? – zdziwił się Krupier.

– Chciałem to jeszcze z wami uzgodnić – odparł jubiler
w granatowym garniturze. – Poza tym on jada tylko hamburgery,
frytki i panierowane krążki cebuli.

– Dzwon – zawyrokował Krupier, choć skrzywił się
z niesmakiem. – Niech wsiada w taksówkę i przyjeżdża.

Uwielbiał projekty, które sam wymyślał i na których zarabiał,
ale finansował je ktoś inny, biorąc na siebie ryzyko niepowodzenia.
Uważał to za biznesowy majstersztyk.

6

W pewnym momencie Kasia przypomniała sobie wczorajszą
sprzeczkę i poczuła wyrzuty sumienia. Kuba nie zasłużył na
rozdrażnienie i złośliwości, jakie mu okazała. Stara się, lata – choć
nie lubi – do pracy w Izraelu i dba o rodzinę, a ona zachowuje się
jak ostatnia żoźła. Wszystko przez te ciężowe turbulencje
hormonów.

Ugotuję mu coś fajnego na kolację, postanowiła, ale konsultacja
z zawartością lodówki nie dała rezultatów. Wsunęła klapki
i poczłapała do sklepu osiedlowego po inspirację.

– Co będzie dla pani? – zapytała sprzedawczyni, którą znała
z widzenia.

Kasia rozejrzała się po półkach. Homarów ani truflie nie było, ale
zatrzymała wzrok na świeżym szpinaku, co wystarczyło, aby
pojawił się plan. W domu ma resztę doskonałego makaronu

przywiezionego w ubiegłym roku z Mediolanu. Udusi szpinak w białym winie, na maśle z czosnkiem usmaży krewetki, których rezerwy zawsze były w zamrażarce, doda suszone pomidory i wymiesza wszystko ze wstążkami tagliatelle. Kuba będzie w siódmym niebie.

– Jestem w siódmym niebie – oświadczył trzy godziny później, wycierając talerz kawałkiem bagietki i po raz kolejny dziś robiąc zdziwioną minę, tym razem na widok deski z serami, którą Kasia postawiła na stole z pytaniem, czy ma ochotę na kieliszek wina, bo godzinę temu otworzyła dla niego butelkę shiraza. Żeby wino oddychało.

– Stało się coś? – zapytał zdezorientowany.

– Tak. Stało. Wczoraj – odparła. – Byłam niedobra. Przepraszam. Przyciągnął ją do siebie i objął, nie wstając z krzesła.

– Nawet tego nie pamiętam.

Pogładziła go po twarzy, na której już ciemniał zarost. Mimo starannego golenia co dzień rano policzki Kuby przed wieczorem robiły się granatowe.

– Kiedy zabierasz się za Świętą Annę? – spytała. – Chcę, żebyś wiedział... że przecucia przecuciami, ale... bardzo ci kibicuję.

Popatrzył na nią rozczulony.

– Dziękuję ci. Zawsze mnie wspierałaś. A jeśli chodzi o zlecenie z Jad Waszem, to cóż, na razie muszę czekać. Od kolegi z IPN-u dowiedziałem się, że są jakieś akta na temat tego obozu, skompletowane jeszcze przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Ale teraz udostępniono je profesorowi z Warszawy, który pisze pracę naukową na ten temat. Bardzo się zresztą z tego cieszę.

– Nie rozumiem – zdziwiła się Kasia. – Jak cię znam, najchętniej

wsadziłbyś nos w te akta jeszcze dziś. Sto razy słyszałam, że nie jesteś stworzony do czekania. Więc z czego się cieszysz?

– Z tego – wyjaśnił – że skoro profesor wertuje te papiery trzeci tydzień, to znaczy, że jest co wertować. Muszą tam być jakieś informacje, dokumenty, jakaś wiedza. A to już coś.

– Jak długo jeszcze akta będą w rękach tego profesora?

– Ma je oddać za tydzień, najdalej za dwa.

– I potem twoja kolej?

– Mam nadzieję – westchnął Kuba. – Nie zapominaj, że nie pracuję już w IPN-ie. Mogę najwyżej zajrzeć do teczek tu, w Warszawie, jeśli mi pozwolą, albo w delegaturze w Opolu, bo zgodnie z procedurą powinni tam odesłać dokumenty. Ale ani jedno, ani drugie nie jest proste. Muszę mieć upoważnienie. Dlatego jutro jadę do redakcji zaprzyjaźnionego czasopisma naukowego, które zwróci się do IPN-u z prośbą o udostępnienie mi akt, ponieważ przygotowuję dla nich artykuł.

– Rzeczywiście go napiszesz?

– Zobaczymy. – Kuba uśmiechnął się zagadkowo.

– Ty kłamczuchu. – Kasia pogroziła mu palcem. – Czyli teraz co? Tydzień lenistwa?

– Na to wygląda.

Zastanowiła się przez chwilę.

– A może gdzieś jeszcze są wiadomości na temat tego obozu?

– Niewiele – odrzekł Kuba. – Sprawdziłem. Jeden materiał w *Studiach nad faszyzmem*. Monografia. Żadnego punktu zaczepienia.

– Ciekawe, czy twój ojciec nie ma jakichś swoich źródeł – myślała głośno Kasia. – Pamiętasz, jakich cudów dokonywał przy sprawie obrazu Matejki?

Kuba pokiwał głową.

– Tu raczej nie pomoże. Ale... Wiesz co? Mam pomysł. Jedźmy do niego. Marysia pobiega po plaży w Redłowie, ty też trochę odpoczniesz. Dziadek będzie szczęśliwy.

– I założę się, że coś wymyśli – oświadczyła. – Mój siódmy zmysł...

Kuba położył jej palec na ustach.

7

Nowojorczyk, który podjechał taksówką do restauracji nad kanałem Keizersgracht, również był jubilerem, dobrze znanym pozostałej trójce mężczyzn zajmujących stolik przy oknie.

Przywitali się serdecznie, wskazując mu wolne krzesło.

– Jak biznes? – spytał Krupier. W tej części świata nie tracono czasu na pogawędki o zdrowiu, samopoczuciu i rodzinie.

– Różnie – odparł nowojorczyk. – Raz dobrze, a raz – zawiesił głos – bardzo dobrze. – Roześmiał się. Amerykańską zasadę demonstrowania sukcesu miał we krwi. Dwadzieścia lat działał w Stanach, choć w rodzinnym Amsterdamie nadal utrzymywał niewielką pracownię.

– Powinniście wszyscy tam pojechać – dodał. – Wielki kraj, wielkie możliwości. A jakie pola golfowe. – Poklepał Krupiera po ramieniu. – Byłbyś tam gwiazdą.

Krupier zdobył się na wymuszony uśmiech.

– Interesuje cię nasz projekt? – spytał bez owijania w bawełnę.

– Po to przyleciałem – spoważniał nowojorczyk. – Choć kuzyn – kiwnął w stronę dżentelmena w granatowym garniturze – nie

chciał zbyt wiele powiedzieć przez telefon.

– I bardzo dobrze – pochwalił znany z ostrożności współnik z bródką. – Mamy czas i teraz możemy porozmawiać swobodnie.

– Skoro tak mówisz – odrzekł nowojorczyk i skinął na kelnera, wskazując ruchem głowy szyjkę butelki wystającej z oszronionego pojemnika. – Jeszcze jedną, okej?

A potem słuchał. O obozie w Polsce, jego tajemnicy, podstępny liście do Jad Waszem i planie, jaki uknuli trzej siedzący obok starsi mężczyźni. Słuchał i źrenice coraz bardziej rozszerzały mu się ze zdumienia.

Krupier skończył mówić i przy stoliku zapanowała kompletna cisza.

Nowojorczyk przerwał ją głośnym przełknięciem śliny.

– Powinienem was przeprosić – powiedział nieswoim głosem. – Kiedy kuzyn mnie tu zaprosił, pomyślałem: stare lisy znowu szykują jakiś geszeft, warto przylecieć i przyjrzeć się temu choćby z ciekawości. Przepraszam za to myślenie – powtórzył. – Podejrzywałem was o przekręt, a nie o... zamach stanu, który może wszystko zmienić. *My God*. – Złapał się za głowę. – Jeśli to się uda...

Krupier patrzył na niego triumfalnie, nie kryjąc poczucia dumy.

– Rozumiem, że wchodzisz? Również finansowo?

– Jasne – odparł nowojorczyk z przekonaniem. – To genialny plan.

Duma Krupiera w tym samym momencie ustąpiła miejsca patosowi.

– To wielka chwila – oświadczył. – Jeśli nam się uda, jeśli dotrzemy w Annabergu do tego, czego szukamy... Amsterdam wróci do swojej dawnej świetności. I to będzie nasza zasługa. To my

czterej przywrócimy temu miastu należne mu miejsce i imię.

– Pięknie powiedziane – wzruszył się nowojorczyk, sięgając po kieliszek z winem. – Wypiję za to. Za miejsce i imię – wzniósł toast.

Pozostali powtórzyli dokładnie to samo.

Amsterdam

maj 1921–marzec 1922 roku

1

Moshe Shulman lubił pokazywać się w dzielnicy Jordaan. Czuł się tam jak sławny tenor albo rozpoznawalny przez wszystkich atleta wygrywający na arenach z największymi siłaczami świata. Dziewczęta rumieniły się na jego widok, młodzi mężczyźni patrzyli z zazdrością, a starsi z szacunkiem i podziwem. Osiągnięcie takiego efektu nie wymagało zbyt wielkich nakładów. Wystarczył pilśniowy homburg z podwijanym rondem, modna marynarka o podwyższonej talii, odpinane mankiety i kołnierzyk typu Arrow, krawat z perłową szpilką oraz szerokie oxfordzkie spodnie. W innych dzielnicach Amsterdamu nie robiło to specjalnego wrażenia, ale w tej przesiąkniętej nędzą enklawie najgorzej sytuowanych robotników szykowny strój przyciągał spojrzenia jak magnes opiłki żelaza. Dlatego Moshe chętnie odwiedzał to miejsce, sycąc się świadomością, że tu jest kimś, i odczuwając przyjemność myśli prowadzących wprost do grzechu pychy. Bywało, że po powrocie do domu robiło mu się wstyd, ale pokusa paradowania po dzielnicy Jordaan w eleganckim odświętnym stroju zawsze brała górę nad skrupułami.

Zwłaszcza że Moshe Shulman rzeczywiście był kimś. Pochodził

z ubogiej rodziny Żydów sefardyjskich, ale jak wielu współplemieńców został przyjęty do *het vak*, czyli fachu. W ten sposób od trzech stuleci nazywano w Amsterdamie zawód ludzi zajmujących się obróbką diamentów. Wszystkich innych branż holenderskie cechy strzegły przed Żydami jak bezzębny pies zakopanej kości.

Po dwóch latach terminowania Moshe był już czeladnikiem. Dobrze sobie radził. Nie minął rok i mógł usiąść do maszyny, której żeliwna tarcza pokryta diamentowym pudrem obrabiała kamienie. Został snijderem, czyli szlifierzem.

Nie zarabiał wiele. Takich jak on było w Amsterdamie kilka tysięcy. Pracowali w dużych firmach wyposażonych w szlifierki napędzane siłą parową, niewielkich warsztatach i na strychach dzielnicy żydowskiej, gdzie poza pewną ręką trzeba było mieć silne nogi, aby przez cały dzień naciskać pedały rozkręcające tarcze jak w prymitywnych manufakturach garncarskich. *Het vak* połykał Żydów sefardyjskich, trawił i wydalał, niszcząc im wzrok i kręgosłupy w zamian za życiową równowartość parokaratowego kamyka.

Ale Moshe miał prawdziwy dryg, a jego pryncypał oko do talentów. Izaak Nagler, przebiegły jak jaszczurka właściciel dużej szlifierni, w porę zadbał o to, aby chłopak nie prysnął mu do Antwerpii, gdzie płacono znacznie lepiej. Szybko mianował młodego Shulmana najpierw verstellerem, czyli ustawiaczem kamieni pod precyzyjnie dobranym kątem, a następnie zagerem – piłowaczem surowych diamentów. To już była elita. Wyżej stali tylko kloverzy, przecinacze, których jeden niewłaściwy ruch dłuta przy dużym rozmiarze kamienia mógł kosztować miliony. Dzień po awansie na zagera Moshe kupił pierwszy w życiu kapelusz i komplet

sztynnych okrągłych kołnierzyków, choć jeszcze nie miał do nich odpowiedniej koszuli.

W promieniach majowego słońca Jordaan wyglądał znacznie mniej ponuro niż przez resztę roku. Ludzie, przygnębieni ciężką zimą i kryzysem dręczącym Europę po Wielkiej Wojnie, sprawiali wrażenie bardziej wyprostowanych i weselszych, choć wokół nie widać było ku temu powodów. Liszaje odpadających tynków, okna podupadłych kamienic, gdzieniegdzie połatane deskami tańszymi od szyb, i znoszone do granic możliwości ubrania ich lokatorów nie świadczyły najlepiej o reputacji dzielnicy. Na każdym rogu coś handlowano, wymieniano pocerowane swetry na kubły ziemniaków i zwiędniętej marchwi, a sfatygowane pędzle do golenia na parę deko soli. Wszędzie kręcili się ludzie, dziesiątki osób wypędzonych na ulicę beznadzieją oczekiwania nie wiadomo na co lub ochotą popatrzenia na ubóstwo rozłożone na chodnikach, pokrytych starymi gazetami i szmatami zastępującymi sklepowe lady. Tu przynajmniej było jakieś życie. Trwały targi, spory i dyskusje, a ich emocje nie ustępowały handlowej temperaturze nowojorskiej giełdy.

Moshe mijał Lindenstraat, gdy od muru jednego z domów oderwała się zgarbiona postać starszego człowieka z drewnianą płytką skrzynką przed sobą, zawieszoną na parcianych pasach przerzuconych przez ramiona. Skrzynka była pełna papierosów, wykonanych ręcznie z marnego papieru i tytoniu z niedopałków rzuconych na trotuary w bogatszych dzielnicach, a następnie zbieranych, pozbawianych brzytwą nadpalonych części i siekanych z wysuszonymi liśćmi bakunu, najpodlejszego z gatunków roślin, które nadają się do produkcji papierosów.

– Dzień dobry szanownemu panu Shulmanowi. – Postać zgięła się do granic ryzyka wysypania zawartości skrzynki.

Moshe rozpoznał sąsiada z domu przy ulicy Rapenburg, w którym niegdyś mieszkał z rodzicami.

– Dzień dobry – odpowiedział uprzejmie. – Nie poznałem pana.

– Gdzie by taki wielki człowiek miał poznawać takiego małego człowieka – stwierdził filozoficznie staruszek. – Pan Shulman pewnie teraz pali kubańskie cygara, a nie machorkę, którą stary Garfunkel sprzedaje nędzaczom.

Moshe machnął ręką, jakby chciał odpędzić komplementy, choć mile go połaskotały.

– Pan da spokój, panie Garfunkel – odparł. – Jak pana zdrowie?

Stary wzniósł oczy do nieba, nie wiadomo czy z pretensją, czy z wdzięcznością. Nie czekając na kolejny wywód, Moshe zapytał:

– Słyszałem, że pan miał jechać do Ameryki?

– Panie Shulman. – Staruszek popatrzył na niego pytająco. – A na co ja miałbym tam jechać?

– No... – Moshe stracił koncept rozmowy. – Tam pieniądze leżą na ulicy. No i jest sporo Żydów, którzy pomagają kuzynom z Europy. Pan przecież ma tam rodzinę.

– Pieniądze to może i leżą na ulicy – odparł Garfunkel. – Tylko że nikt nie wie na której. A kuzyni? Ja panu powiem krótką historię, panie Shulman:

W zeszłym roku jeden Żyd z Amsterdamu pojechał do kuzyna w Nowym Jorku. Rodzina złożyła się dla niego na bilet trzeciej klasy na parowiec i jeszcze każdy dał mu, co miał najlepszego z garderoby, żeby nie przyniósł wstydu w Ameryce. Żyd popłynął, odszukał kuzyna, który był grubą fiszą na Wall Street, no i idą razem przez tę ulicę, na której podobnie leżą pieniądze. Wszyscy

się za nimi oglądają, no bo tak: jeden ma na sobie piękne palto z wielbłądziej wełny, garnitur – cymes, złoty zegarek i buty od najlepszego londyńskiego szewca, a drugi połatana jesionkę, wystrzępiony surdut po dziadku, co mu go pożałowano do trumny, i buty pamiętające okopy pod Verdun. No i tak idą, ale ten bogaty Żyd z Nowego Jorku coraz częściej i coraz bardziej krytycznie spogląda na tego biednego Żyda z Amsterdamu. „Jak ty się ubrałeś? – pyta wreszcie, nie przestając iść. – W podróż w takich szmatach?” „To najlepsze rzeczy, jakie zebrali dla mnie nasi bliscy w Amsterdamie” – odpowiada ten biedny. Bogaty kręci z dezaprobatą głową w wytwornym meloniku, wreszcie jego wzrok pada na prawy but biednego kuzyna, który ma oderwaną podeszwę i kłapie przy każdym kroku. Tego już było za wiele. Żyd z Nowego Jorku staje i oskarżycielsko wskazuje dłonią oderwaną podeszwę. Jego wzrok zdaje się pytać: „Co to ma być?”. Zafrasowany Żyd z Amsterdamu bezradnie chowa głowę w ramionach, rozkładając ręce. „No nie – mówi ten bogaty. – Z tym trzeba coś zrobić”. Zastanawia się przez chwilę, po czym sięga do kieszeni i wyjmuje gruby rulon dolarów spięty gumką. Oczy ubogiego kuzyna rozszerzają się z wrażenia i wdzięczności. Bogaty powoli zsuwa gumkę z rulonu i podaje ją biednemu. „Masz – mówi – obwiąż sobie tego buta”.

– Pan się nie gniewa na starego Garfunkela, szanowny panie Shulman – powiedział po chwili sprzedawca papierosów dla ubogich. – Ja jestem Żyd, pan jesteś Żyd, ale to nie znaczy, że my obaj jesteśmy Żydzi – dodał filozoficznie. – Do widzenia szanownemu panu. – Staruszek znów się uklonił i zrobił dwa kroki w tył, opierając zmęczone plecy o mur.

Moshe dotknął runda kapelusza i skręcił w stronę Noorderkerk,

kościół protestancki, do którego chodzili zwykli mieszkańcy dzielnicy, w odróżnieniu od pobliskiego Westerkerk, służącego klasom średniej i wyższej. Tuż za murem świątyni w kierunku Prinsengracht rozciągał się bazar Noordemarkt. Przypominał ludzkie mrowisko, poruszające się nerwowo i nieskładnie w jakiejś szalonej krzątaninie walki o przetrwanie.

Shulman stanął na granicy targowiska, obawiając się zanurzyć w tłumie, co dyktowała troska o stan szykownego ubrania. W tej samej chwili jego wzrok przykuł stojący obok wianuszek gapiów. Otaczali młodego, niespełna dwudziestoletniego chłopaka, który pokazywał sztuczki kuglarskie, wywołujące co chwilę głośne westchnienia podziwu. Moshe podszedł bliżej. Sztukmistrz wyciągał właśnie niebieską chustkę z własnego ucha. Za nią pojawiły się żółta, potem zielona. Tłum bił brawo, wrzucając miedziaki do wystrzępionej czapki odwróconej daszkiem do góry i spoczywającej u stóp magika – niewysokiego śniadego chłopaka o skupionej twarzy i zręcznych dłoniach.

W pewnej chwili pękate białe chmury, przypominające składowisko poduszek i pierzyn, odsłoniły niebo i plac zalało majowe słońce. Chłopak spojrzał do góry, jakby uznał to za zachętę do kontynuowania występu. Ożywił się, podskoczył do brezentowej torby z rekwizytami i wydobyl z niej gazetę, którą rozłożył i uniósł w wyprostowanych rękach nad głową, aby jak najwięcej widzów mogło ją zidentyfikować. Tłum zaczął buczeć. Niechętnie, wręcz wrogo.

– Znacie tę gazetę? – spytał kuglarz podniesionym głosem.

– Szmatławiec! Dupę sobie tym podetrzyj! – krzyczeli ludzie zgromadzeni na placu, czemu trudno się było dziwić. Dziennik, wydawany przez holenderskich nacjonalistów, ostro atakował

Żydów, obwiniając ich za całe zło: wywołanie wojny światowej, kryzys gospodarczy i roznoszenie chorób.

Chłopak opuścił ręce i podszedł do jednego z gapiów stojącego najbliżej. Był to duży mężczyzna z długą brodą wyglądający na sklepikarza.

– Może szanowny pan potrzymać? – spytał uprzejmie.

– Nie wezmę tego do ręki! – oburzył się brodaty i zrobił krok w tył.

Kilka osób nagrodziło go oklaskami.

– Daj pan mnie – zawołał chudy, najwyżej trzynastoletni wyrostek w połatanej kapocie. Sięgnął po gazetę, zabrał ją z rąk kuglarza i rozłożył w uniesionych rękach tak samo jak przed chwilą zrobił to sztukmistrz.

Ten zakreślił się na pięcie i podniósł leżącą obok brezentowej torby laseczkę, jedną z tych, jakie noszą elegancy dżentelmeni. Czarną, lakierowaną, zakończoną gałką. Była stara i odrapana, pewnie poprzedni właściciel wyrzucił ją na śmietnik, ale nie miało to teraz znaczenia.

– Oto różdżka prawdy! – krzyknął kuglarz i podniósł laskę wysoko nad głową.

Na placu zapanowała cisza, rozdarta nagle dźwiękiem werbla, za który posłużył blaszany bębenek zawieszony na szyi paroletniego dzieciaka o potarganych włosach. Sztukmistrz podszedł do wyrostka trzymającego rozpostartą gazetę, zbliżył do niej gałkę laski, przymknął oczy i zamarł na dobrych kilkanaście sekund. Ludzie obserwowali go w napięciu.

Nagle na pierwszej stronie antyżydowskiego dziennika zamajaczyła biała smużka dymu, a następnie pojawił się ogień, który błyskawicznie zaczął pochłaniać szpalty. Przestraszony

wyrostek rzucił płonąca gazetę na bruk, a tłum zawył z zachwytu. Rozległy się gromkie brawa, zagłuszające brzęk drobnych monet wrzucanych do czapki kuglarza. Pokaz dobiegł końca.

2

Gapie się rozchodzili, gdy Moshe Shulman podszedł do kuglarza klęczącego na chodniku i zbierającego swoje rekwizyty. Stanął nad nim z szelmowskim uśmiechem i flegmatycznie, jak w zwolnionym tempie, zaklaskał w dłonie. Śniady młodzieniec podniósł się i wyprostował, patrząc na niego wyczekująco.

– Niezły numer – skwitował Moshe. – Jak to zrobiłeś?

– Tajemnica zawodowa – odparł sztukmistrz.

Moshe najwyraźniej spodziewał się takiej odpowiedzi. Nieco ostentacyjnie sięgnął po portfel i wydobyl z niego banknot o nominale przekraczającym zawartość czapki. Zatrzymał go w dłoni, unosząc brwi w pytającym grymasie twarzy.

Śniady młodzieniec przez chwilę analizował sytuację, dochodząc do wniosku, że bogato ubrany goguś raczej nie zostanie jego konkurentem. Sięgnął po laseczkę i wskazał palcem jej gałkę, w której Moshe dopiero teraz dostrzegł przezroczystą bryłkę.

– Umieściłem tu spory kawałek szkła ołowiowego – wyjaśnił sztukmistrz. – Potrafi skupiać światło lepiej od soczewki. Gdy wyszło słońce, jego promień przeszedł przez szkło ołowiowe, skoncentrował się na jednym punkcie gazety i bez trudu podpalił papier. Dla pewności nasączyłem to miejsce naftą.

Moshe w milczeniu podał kuglarzowi banknot, ostrożnie ujął laskę i uważnie się jej przyglądał.

– Ta bryłka szkła... – powiedział z namysłem. – To jej naturalny kształt?

– Nie – wyjaśnił sztukmistrz. – Odpowiednio ją wyszlifowałem. Elegancki amator iluzji popatrzył na niego uważnie.

– Taki mały pieniądz za takie duże umiejętności... – Moshe po chwili milczenia trącił czubkiem drogiego buta czapkę z drobniakami, ciągle leżącą na chodniku. – Nie lepiej sprzedać je drożej?

– Jeśli pan organizuje rozrywkę na dworze królowej Wilhelminy – odparł kuglarz – to jestem wolny tylko w czwartki.

Moshe uśmiechnął się pod wąsem.

– U królowej niekoniecznie, ale może u króla diamentów? – rzucił od niechcena.

Sztukmistrz przyjrzał mu się z zaciekawieniem. Ktoś taki rzadko pokazywał się na Noordermarkt. Elegant, niewiele od niego starszy, wyciągnął rękę:

– Jestem Moshe Shulman.

– Dawid Schwartzman – przedstawił się kuglarz, wstając z kolan. Uścisk dłoni obcego wykorzystał, aby sobie to ułatwić.

– Żyd? – upewnił się Moshe.

– A czy z takim wyglądem i nazwiskiem mogę być Eskimosem? – Kuglarz się uśmiechnął.

Moshe pomyślał, że jest nie tylko zręczny, ale i bystry. Od dawna kogoś takiego szukał.

– Pracuję w szlifierni Izaaka Naglera – wyjaśnił. – Od dłuższego czasu rozglądam się za odpowiednim kandydatem na ucznia. Nie chciałbyś spróbować?

– Dlaczego ja? – zdziwił się sztukmistrz. – Skąd wiesz, że się nadam?

Moshe położył palec na swoim wydatnym nosie.

– On się nigdy nie myli. Na kilometr wyczuwa diamentową smykałkę.

Kuglarz poczuł w tym zarozumiałość, której nie znosił.

– To ty może jeszcze trochę powęsz w okolicy, bo tu pełno takich jak ja – powiedział – a potem pogadamy. – Zrobił ruch, jakby chciał odejść.

– Zaczekaj. – Moshe łatwo nie rezygnował. – Masz szybkie, zdecydowane ręce, nigdy ci nie drżą, co? Do tego jesteś inteligentny. Spróbuj. Zarobisz więcej niż na ulicy. Gdzie mieszkasz?

Śniady młodzieniec nakreślił kółko ruchem dłoni.

– Tu i tam.

– No właśnie – skwitował Moshe. – A ja mam dla ciebie niewielki pokój przy szlifierni. Sam tam kiedyś mieszkałem. – „A teraz zobacz”, miał na końcu języka przechwałkę, którą zamierzał połączyć z gestem wskazującym swoje ubranie, ale w porę się w ten język ugryzł.

Argument z kwaterą przy szlifierni najwyraźniej zadziałał. Kuglarz bił się z myślami.

– A twój szef? – zapytał.

– Dał mi wolną rękę. Mam znaleźć kogoś, kto będzie mógł mnie zastąpić.

– Chce cię wyrzucić czy awansować?

A to bezczelny gnojek, pomyślał Moshe, ale odpowiedział uprzejmie:

– Awansować. Firma potrzebuje klovera, mistrza, który przecina diamenty przed obróbką. To najwyższy szczebel na drabinie fachu. Tam dopiero jest geld. – Ponownie popatrzył na drobniaki w czapce kuglarza. – To jak? Idziesz ze mną?

Stary Izaak Nagler widział w życiu wielu utalentowanych adeptów fachu, ale kogoś takiego jak chłopak, którego przyprowadził Moshe, nie widział nigdy. Dawid Schwartzman chwycił wszystko w lot. Miał dopiero dziewiętnaście lat, ale były w nim dojrzałość i cierpliwość, które rzadko idą w parze z młodością. Od pierwszych dni w pracowni przy Waterlooplein, z której widać było Synagogę Portugalską, zafascynował się diamentami. Co ciekawe, niespieszno mu było do maszyn. Zadawał setki pytań, a książkę o geologii, w której opisywano tajemnice minerałów, przeczytał w jedną noc. Przeczytał i zapamiętał, bo odtąd posługiwał się tą wiedzą. Rozsądnie. Nie dla popisywania się, ale wtedy gdy zaistniała taka potrzeba.

Jesienią 1921 roku Moshe po raz pierwszy posadził Dawida przy tarczy szlifierskiej. Nagler stanął obok, co było dodatkowym utrudnieniem. Praca pod uważną kontrolą szefa deprymowała nawet najlepszych kandydatów na snijderów, ale młody Schwartzman nic sobie z tego nie robił. Usiadł, zaczekał, aż Moshe umocuje kamień w miedzianych uchwytach zwanych dopami, a następnie wyręczy verstellera i ustawi diament pod idealnym kątem na płycie szlifierki. Potem przyszła kolej na niego. Dawid uruchomił urządzenie, a następnie bez cienia tremy, która za pierwszym razem paraliżuje wszystkich, oszlifował jedną z płaszczyzn, wydobywając z niej brylantowy blask. Bez mrugnięcia okiem. Szybko, sprawnie, pewnie, precyzyjnie. Izaak Nagler po pięciu minutach pracy wiedział, że ma do czynienia z geniuszem.

Po tej próbie wezwał Dawida do swojego kantoru, powiadomił, że od nowego roku zostaje szlifierzem, i wręczył mu prawie nowe palto

po jednym z synów. Chłody coraz bardziej dokuczały.

Nagler miał dwóch synów, ale żaden z nich nie był zainteresowany przejęciem interesu ojca. Obydwaj wyjechali do Ameryki, gdzie doskonale sobie radzili, handlując alkoholem. Stary domyślał się, że w kraju, w którym od ponad dwóch lat trwała prohibicja, nie było to szczególnie bezpieczne zajęcie, ale wierzył, że tylko ryzyko daje szybki i łatwy zysk. Czy on sam nie ryzykował, oddając drogocenne kamienie w ręce szlifierzy, którzy mogli je zniszczyć? Czy nie kupował surowca od podejrzanych typów z południa Afryki, zdolnych skrócić mu kark za walizkę pieniędzy, jaką zawsze nosił przy sobie, zawierając takie transakcje? Wieczorami modlił się, aby dobry Bóg pozwalał jego chłopcom omijać policję i przysparzał im majątku.

Mimo wyjazdu synów za ocean sukcesja właściciela szlifierni nie była zagrożona. Gwarantowała to panna Marta Nagler, jego jedyna córka. Kobieta dwudziestoletnia, mądra i wyzwolona. Potrafiła włożyć spodnie, kaszkiet i męski sweter, a pod szyją zawiązać muchę. Miała krótkie włosy jak Pola Negri, słynna aktorka kina niemego. Słuchała gramofonu na korbkę. Jeździła na bicyklu z wolnym kołem, nazywanym rowerem. Znała się na księgach rachunkowych, wekslach, żyrowaniu, dostawach franco/loco i rewindykacji. Zapisala się na uniwersytet i chodziła na wykłady z nauk o ziemi, wypytując profesorów geologii o diamenty.

I bardzo lubiła Dawida Schwartzmana.

Podobały jej się jego myślące szare oczy, smukłe dłonie i spokój. Nie miał nic wspólnego z żydowskimi kawalerami z sąsiedztwa, którzy dodawali sobie męskości, paląc papierosy i rozprawiając o swoich fantazjach na temat dziewcząt. Nie przypominał też

pyszałków z uniwersytetu: próżnych, bogatych snobów, pozujących na intelektualistów, sportowców i donżuanów. Dawid był inny, a w jego odmienności tkwiło coś hipnotyzującego. Fascynował ją, jak zagadka liczbowa pociąga matematyka. Wszystko zaczynało się i kończyło w umyśle panny Nagler, dopóki nie uświadomiła sobie, że Dawid Schwartzman jest jej ostatnią myślą przed zaśnięciem i pierwszą po przebudzeniu.

Czasami, gdy ojciec nie widział, udawało jej się z nim porozmawiać. Choćby była to transakcja wymiany dwóch zdań, jej bilans zawsze wychodził na plus. Za każdym razem na każde swoje stwierdzenie, uwagę lub niewinną prowokację otrzymywała coś trafnego, wartościowego lub błyskotliwego, co chłopak, pochłonięty pracą, potrafił wymyślić w ułamku sekundy.

Parę tygodni później, gdy ojciec wyjechał po surowiec do Rotterdamu, Marta zapukała do drzwi pokoju Dawida. Otworzył, z trudem maskując zaskoczenie.

– Pan daruje, że zakłócam czas odpoczynku po pracy, ale czy zechciałby pan pójść ze mną na parę chwil do kantoru ojca? Potrzebny jest mi ważny dokument z szuflady biurka, a boję się, że zgubiłam klucz. Może pan zechce przynajmniej rzucić okiem – dodała na widok jego niepewności – czy to się da otworzyć?

Dawid nie protestował. Narzucił marynarkę i przeszli przez pustą, milczącą szlifiernię. Zimowy zmierzch zapadał szybko i w jego szarości kleszcze, w których mocowano diamenty do obróbki, wyglądały jak macki potwora.

Biurko Izaaka Naglera bardzo dawno temu przechodziło czasy swojej meblowej młodości, podczas której było pewnie eleganckim politurowanym cackiem. Teraz stare i wypaczone, nie opierało się,

gdy Dawid z wyczuciem odgiął krawędź blatu, blokując szczelinę gumką do wycierania ołówka, a następnie od góry nacisnął sztabkę zamka płaskim ostrzem noża i otworzył szufladę.

– Wiedziałam, że pan sobie poradzi. Dziękuję – powiedziała Marta i wskazała mu miejsce na pikowanej otomane ojca, przed którą stał zupełnie do niej niepasujący orientalny stolik, a na nim dwie puste filiżanki. – Proszę usiąść. Ziąb pod wieczór coraz większy. Nastawię czajnik i zaparzę herbaty. Pewnie jeszcze nie wygasło pod kuchnią.

O ważnym dokumencie w szufladzie biurka kompletnie zapomniała.

Dawidowi przeszło przez myśl, że cała ta sytuacja została ukartowana, ale jego rozważania przerwał szybki powrót Marty, która pojawiła się z parującym osmalonym czajnikiem w jednej i porcelanowym imbrykiem w drugiej ręce. Odebrał od niej naczynie z wrzątkiem, a kiedy włożyła do imbryka kilka pokruszonych liści herbaty, zalał je i obydwójce uśmiechnęli się w tym samym momencie, kwitując udaną kooperację.

– Rzadko mamy sposobność porozmawiać – stwierdziła Marta, siadając w fotelu spokrewnionym z otomaną podobnie jak imbryk z filiżankami.

Dawid skinął głową.

– Nikt pana nigdy nie odwiedza – zaczęła. – Nie ma pan rodziny w Amsterdamie?

– Już nie – odparł. – Obydwójce rodzice zmarli na tyfus, gdy byłem dzieckiem.

– To straszne – zmartwiła się Marta. – Bardzo mi przykro.

– Dziękuję.

Przez chwilę szukała nowego wątku, ale całkowita zmiana

tematu rozmowy wydawała jej się nietaktowna.

– Czy pański ojciec też pracował w fachu? To po nim ma pan taki talent?

– Nie, proszę pani. Ojciec był skrzypkiem.

– O... – Jej nastrój się poprawił. – U nas w domu podczas różnych uroczystości gra taki żydowski kwintet. Bardzo przyzwoici muzycy. Ubodzy, skromni i wyglądają na samouków, ale słuch mają doskonały.

– Ojciec grał w filharmonii – wyjaśnił uprzejmie Dawid. – Skończył konserwatorium.

Zaniemówiła.

– Chyba popełniłam straszną gafę – szepnęła po chwili, czerwona jak piwonia. – Najmocniej pana przepraszam, panie Schwartzman.

– Nic się nie stało. – Dawid uśmiechnął się wyrozumiale. – Nie wyglądam na spadkobiercę bogatej rodziny.

Patrzyła na niego w sposób, którego nie potrafił rozszyfrować. Postanowił wybawić ją z zakłopotania.

– Proszę się nie martwić. Takie rzeczy się zdarzają. Majątek rodziców roztrwonili krewni, którzy wzięli mnie na wychowanie, aby w ten sposób dobrać się do naszych pieniędzy. Gdy się skończyły, oddali mnie do sierocińca – wyznał, dziwiąc się własnej potrzebie zwierzeń przed tą dziewczyną. – Uciekłem, gdy miałem piętnaście lat. Trafiłem do zakładu poprawczego, stamtąd na ulicę, a z ulicy do państwa. Czyli wszystko dobrze się skończyło.

Wstała. Dawid natychmiast zrobił to samo.

– Pójdę już – bąknął, zastanawiając się, czy nie powiedział czegoś niestosownego.

Marta podeszła, podając mu obie dłonie. Drżała.

– Proszę pamiętać, że nie jest pan już sam – oświadczyła z jakimś

wzruszeniem, którego nie rozumiał. – Że ja... jestem pana przyjaciółką... Ja...

Trzymał jej dłonie w swoich, jakby były najcenniejszym z kruszców. Uścisnął je na pożegnanie i wyszedł, nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć.

Marta została sama. Opadła na otomanę, czując lekkie zawroty głowy. Serce waliło jej jak oszalałe. Zamknęła oczy. Potrzebowała kilku minut, aby dojść do siebie. Potem wstała i wyniosła do kuchni czajnik, imbryk i filiżanki.

Wychodząc, już w progu, przypomniała sobie o czymś. Wróciła do biurka, spod sterty rachunków wyjęła klucz od szuflady i wsunęła go na swoje miejsce. Ojciec nie mógł się niczego domyślić.

4

W trzeci wtorek lutego Moshe Shulman obudził się w złym nastroju. Śniła mu się mętna woda, a to nigdy nie zwiastowało niczego dobrego.

Przeświadczenie, że niechybnie nastąpi jakieś nieszczęście, przykleiło się do niego jak psia kupa, w którą wdepnął podczas ostatniej parady po ulicach Jordaan, a potem próbował usunąć ze swojego nowego trzewika, powstrzymując torsje, bo był człowiekiem wrażliwym na wszelkie obrzydliwości. To, co dręczyło go od rana, pachniało podobnie.

Umył się i ogolił w zimnej wodzie, bo nie chciało mu się rozpałać pod kuchnią, przesuwać fajerek i czekać Bóg wie ile, aż żeliwny sagan nabierze właściwej temperatury. Mimo że starannie naostrzył brzytwę, bez zmiękczenia naskórka ciepłą wodą tylko go

poszarpał i zanosił się na to, że pójdzie do szlifierni upstrzony kawałkami papieru przyklejonymi do szyi i twarzy kropelkami własnej krwi. W lustrze wyglądał jak słup ogłoszeniowy w dzielnicy Jordaan, do którego biedni ludzie przyklejali karteczki z ofertami sprzedaży resztek dobytku. Odechciało mu się nawet śniadania, które zawinał we wczorajszą gazetę, donoszącą o jakiejś morskiej konferencji w Waszyngtonie z udziałem Holandii. Miał to gdzieś.

Ulice były obludzone. Wczoraj nastąpiła spora odwilż, ale nocą ścisnął tak silny mróz, że pokonanie kilkuset metrów bruku dzielących jego mieszkanie przy Jodenbreestraat od zakładu Naglera wymagało umiejętności ekwilibrystycznych. Zwłaszcza gdy nosiło się buty na twardej skórzanej podeszwie.

Na szczęście w szlifierni wszystko wyglądało dobrze. Rozgrzany kaflowy piec i skupienie snijderów pochylonych nad tarczami sprawiły, że złe przecucie Moshego Shulmana zaczęło się powoli oddalać. To dobrze, bo miał dziś przepiłować kilka kawałków surowych diamentów przywiezionych przez szefa z Rotterdamu, a do tego potrzebował spokojnej głowy. Ale najpierw postanowił podejść do Dawida i sprawdzić, co z nim.

Od kilku dni w młodym Schwartzmanie zachodziła jakaś przemiana. Moshe miał oko do takich spraw. Albo stary Nagler obiecał mu awans, bo chłopak szlifowanie opanował już do perfekcji, albo nasz mały Dawidek poznał jakąś gąskę i odezwała się w nim Boża wola, aby ją schrupać, pomyślał, uznając, że niezwłocznie musi wziąć go na spytki.

Podszedł na palcach do stanowiska Dawida i stanął jak wryty.

– Coś ty zrobił? – spytał zduszonym głosem, wpatrując się w tarczę szlifierską i ustawiony pod nią kamień.

Dawid nie wydawał się speszony.

– Mam pewien pomysł – oświadczył z entuzjazmem. – Chciałem ci o nim opowiedzieć i nawet próbowałem narysować na kartce, żebyś lepiej zrozumiał, ale Rembrandt to ja nie jestem. Dlatego postanowiłem zademonstrować. Tylko że przyszedłeś za wcześnie. Zobacz. – Wskazał koronę kamienia. – Z tak przyciętego diamentu można wydobyć znacznie więcej blasku, jeśli zupełnie odrzuci się tradycyjny szlif tafl i faset, zastępując go czymś takim...

Nie dokończył. Moshe wpatrywał się w niego osłupiałym wzrokiem. Był blady jak ściana.

– Dawaj to – szepnął, odsuwając prowadnicę od tarczy i luzując uchwyty. – Kto ci tak ustawił kamień?

– Nikt. To znaczy versteller, ale potem ja sam to zmieniłem.

Moshe drżącymi rękami majstrował przy kleszczach dopu, wreszcie chwycił częściowo oszlifowany diament w dwa palce, bez szczypców lub rękawiczek, co nigdy wcześniej mu się nie zdarzyło.

– Zaczekaj – powiedział spokojnie Dawid. – Potem będę miał duży problem z ustawieniem go pod tym samym kątem.

Ale Moshe już go nie słyszał. Trzymając kamień w ręce uniesionej oskarżycielsko na wysokości oczu, niemal pobiegł do kantoru Naglera.

Stary przeglądał akurat jakieś kwity handlowe i już chciał zrugać Shulmana, że wchodzi do jego gabinetu jak do siebie, gdy jego wzrok przykuł kamień, który Moshe bez słowa położył przed nim na biurku.

– Co... Co to ma być? – Zdumienie Naglera niemal natychmiast

przerodziło się we wściekłość. – Który szmondak to zrobił?! Nogi mu z dupy powyrywam! Nie wypłaci się do końca swojego parszywego życia! Dawaj go tu, ale już.

Ale Moshe Shulman, poza wejściem bez pukania i przenoszeniem diamentu w palcach, dokonał trzeciej niewyobrażalnej rzeczy w ciągu minionych trzech minut: powstrzymał szefa gestem dłoni.

Naglera aż wgniotło w fotel.

– Za pozwoleniem – powiedział Moshe. – Niech szef się przyjrzy temu pomysłowi na otoczenie tafla. Jak tylko na to spojrzałem... Taki blask... Jeszcze takiego nie widziałem. To jest nadzwyczajne. To może nam...

– Dość! – Nagler uderzył pięścią w blat biurka. – Kto to zrobił?

– Dawid Schwartzman – odparł Moshe, który nagle posmutniał.

– Wyrzucić na zbity pysk. W tej chwili. Albo nie... Niech najpierw odpracuje. – Nagler sięgnął po specjalne szczypce, uniósł w nich kamień i Moshe przez chwilę miał wrażenie, że stary nagle dostrzegł genialność szlifów. Ale nawet jeśli tak się stało, myślał teraz o czymś innym. Mali, chciwi ludzie nie widzą rzeczy wielkich, choćby się o nie potknęli.

– Potrafisz to zeszlifować normalnie? Brylantowo? – spytał Shulmana.

Moshe zerknął i wzruszył ramionami.

– Na tym etapie pracy? Bez kłopotu.

– Straty będą?

– Nie sądzę. To się da wyprowadzić układem faset. Zamknę nimi koronę, wyszlifuję pawilon i będzie cymes brylant. Ale tym samym zepsuję to arcydzieło...

– Milcz! – Głos Naglera znów stwardniał. – Pracujemy szlifem brylantowym i będziemy nim pracować. Ty mnie powiedz,

Shulman, który Żyd z Amsterdamu oszlifował największy diament świata: Joseph Asscher czy Dawid Schwartzman? Mistrz znany na całym świecie czy gudłaj, co siedzi drugi miesiąc przy maszynie? Czy ty, Shulman, chcesz mnie ośmieszyć?

– Nie, szefie – zaprzeczył Moshe. – Ale myślałem, że to może dać szefowi miejsce wyższe od Asschera...

– Czy ja tobie płacę za myślenie, Shulman? Czy ty teraz jesteś wielki strateg? Jakiś diamentowy Napoleon Bonaparte?

W tym momencie Moshe pomyślał, że firma Naglera mieści się przy Waterlooplein, i nie powiedział już ani słowa.

6

Dawid Schwartzman zachował posadę w szlifierni, choć właściciel przez kilka dni się do niego nie odzywał, a nawet poważnie rozważał żądanie zwrotu palta po starszym synu. Ostatecznie stary Nagler nie zrobił tego, bo stary Nagler zawsze wiedział, co robi. Gdyby wyrzucił chłopaka lub szykanami skłonił go do odejścia, Schwartzman z miejsca poszedłby do konkurencji, a tam kto wie – może znalazłby się jakiś szaleniec zainteresowany jego piekielnym pomysłem.

Szlif doskonalszy od brylantowego, pomyślał Nagler, leżąc wieczorem w łóżku, i przeszedł go dreszcz, choć był szczelnie nakryty pierzyną z gęsiego puchu.

To niemożliwe – orzekła lewa, rozsądna półkula jego mózgu.

Jak niemożliwe, skoro widziałeś to na własne oczy? – odezwała się kreatywna prawa półkula. – Oglądałeś tysiące brylantów. Czy któryś po oszlifowaniu miał aż taki blask? Widziałeś kiedyś

w jakimkolwiek kamieniu tyle ognia? Nie widziałeś. Więc nie mów, że to niemożliwe.

Ale ten szmondak oszlifował zaledwie małą powierzchnię – broniła się lewa. – To mógł być przypadek.

Mógł, ale czy był? – spytała prawa. – A jeśli nie był? Przekonałeś się? Pozwoliłeś mu dokończyć robotę? Nie pozwoliłeś. Żał ci było kawałka diamentu. A co on był wart wobec milionów, które mogło ci przynieść opatentowanie nowego genialnego szlif?

Nie ma czegoś takiego jak nowy genialny szlif – odparła lewa półkula. – A patentowany to ty sam jesteś. Patentowany dureń. Lepiej śpij.

Prawa półkula uznała, że nie ma z kim rozmawiać, i obydwie zasnęły w jednej skołatanej głowie starego człowieka, którego oczy stchórzyły przed zbyt silnym blaskiem.

Tymczasem sprawa zrobiła się głośna. Nie wiadomo, czy dzięki długiemu językowi Moshego Shulmana, czy gadatliwości któregoś ze snijderów będących świadkami incydentu. Jakkolwiek by było, plotka rozniosła się lotem błyskawicy, jak każda z miejskich legend, i była tym, co najbardziej rozgrzewało dzielnicę żydowską w Amsterdamie zimą 1922 roku. Z właściciela szlifierni, w której miała powstać metoda nowej obróbki diamentów, śmiano się wprost lub ukradkiem, ale nie brakowało też poważnych sygnałów zainteresowania odkryciem. Na jedno i drugie stary Nagler reagował jednakowo: pukając się w czoło.

Dawid Schwartzman otrzymał trzy listy z propozycjami zatrudnienia w innych pracowniach, w tym dwóch z Antwerpii, ale spalił je w piecu, nie udzielając odpowiedzi. Za jeden z najważniejszych przymiotów mężczyzny uważał lojalność.

Któregoś wieczoru w połowie marca spotkał na ulicy Martę i znów miał wrażenie, że znalazła się tam nieprzypadkowo.

– Dawidzie – zawołała, sprawiając, że przystanął i odwrócił się w jej kierunku.

– A, to pani – ucieszył się, zdejmując czapkę.

Marta podeszła bliżej. Czuł jej orientalne, intrygujące perfumy.

– Słyszałam o pańskim odkryciu – powiedziała. Jej oczy płonęły z ciekawości. – Ale nikt nie potrafi powiedzieć nic więcej poza tym, że wymyślił pan szlif lepszy od Asschera.

– To była tylko próba – zaczął się tłumaczyć. – Kamień mnie do niej skłonił. Był tak przycięty, że... Nie chciałem nikogo ani urazić, ani narazić na nieprzyjemności. Jest mi bardzo przykro, proszę pani.

Milczała przez chwilę. Wreszcie odezwała się tonem, jakiego najczęściej używa się do manifestów, oświadczeń woli i deklaracji:

– To, że nazywam się Nagler, nie znaczy, że jestem swoim ojcem, Dawidzie. Będę wdzięczna, jeśli zechce pan to zauważyć.

Chłopak wpadł w zakłopotanie, co praktycznie nigdy mu się nie zdarzało.

– Ależ, ani mi przez myśl nie przeszło...

Podeszła jeszcze bliżej i nie zwracając uwagi, że ktoś może ich widzieć, położyła mu palec na ustach.

– Odprowadź mnie do domu – szepnęła. – I opowiedz mi wszystko ze szczegółami.

Przez najbliższe pół godziny Dawid Schwartzman mówił. Idąc obok Marty chodnikiem, potem stojąc przed bramą kamienicy Naglerów, wreszcie kryjąc się w niej z powodu śniegu z deszczem, który nie zdołał popsuć najdłuższego monologu w jego życiu. Mówił o duszy

diamentów i o mowie kamieni, którą słyszy się oczami.

– Ci, którzy się jej nauczą – mówił – zostaną dopuszczeni do najskrytszych tajemnic diamentu, staną się jego przyjaciółmi i powiernikami, którym kamień sam podpowie drogę do swojego wnętrza. To diament musi zaufać człowiekowi – mówił – a nie odwrotnie. Tylko wtedy odda mu coś, co w nim najcenniejsze: światło, które wydobywa się z kamienia i które szlifierze nazywają ogniem – wyjaśniał, a Marta widziała blask w jego oczach płonących w mroku bramy.

Słuchała jak urzeczona. Niewiele zrozumiała z żarliwej opowieści o kątach, płaszczyznach i wektorach przełamania szlifu, który wymyślił, ale porywała ją ta pasja. Gdy skończył mówić, podeszła i pocałowała go w usta, dziękując im za wszystko, co jej powierzyły.

Dozorca domu, ukryty za drzwiami swojej służbówki, zgasił lampę, żeby lepiej widzieć przez otwór wizjera dwoje ludzi, którzy weszli i zatrzymali się w bramie. Wewnątrz panował mrok, nieznacznie rozproszony poświatą latarni ulicznej, ale dozorca bez trudu rozpoznał pannę Nagler zasłuchaną w opowieść niewysokiego mężczyzny, którego już chyba kiedyś widział. Tak. To był szlifierz z warsztatu przy Waterlooplein, gdzie dozorca czasami zanosił przesyłki. Mimo zmęczenia i zimnego powietrza wpadającego przez wizjer zastygł przy drzwiach, dzięki czemu usłyszał, że rozmowa dotyczy diamentów, a potem zobaczył coś, od czego natychmiast odechciało mu się spać: panna Marta całowała się z tym szlifierzem zupełnie tak samo, jak dozorca widział na afiszu filmu z Polą Negri.

Struchlał, a potem delikatnie zasunął klapkę wizjera, nie bez przyczyny często nazywanego judaszem.

Gdynia/Sopot/Gdańsk

lipiec 2011

1

W drugim dniu pobytu w Gdyni trzyletnia Marysia Kania została zdeklarowaną patriotką lokalną, składając oświadczenie, że chce zamieszkać u dziadka i nie zamierza wracać do Warszawy. Stało się tak za sprawą placu zabaw wkomponowanego w przestrzeń między kamienicami ulic Bema i Świętojańskiej. Piaskownica, w której można było lepić babki z wilgotnego morskiego piachu, i wysłużona huśtawka bez reszty zawładnęły dziewczynką, która chciała spędzać tu całe dni, protestując nawet przeciwko przerwom obiadowym, choć dotąd udawadniała, że skłonność do jedzenia odziedziczyła po tatusiu.

Kasia po trzech dniach spędzonych przy piaskownicy zbuntowała się i Kuba postanowił ją zluzować. Przysiadł na ławce obok sztywno wyprostowanego młodego mężczyzny o geometrycznej fryzurze rekruta marines. W tej samej chwili tamten wstał, wyprostował się, po czym krótko i energicznie skinął głową, recytując:

– Dzień dobry, panie prokuratorze.

Kuba natychmiast się zorientował, że każde z tych czterech słów nosiło mundur i uczestniczyło w zajęciach z musztry.

– Dzień dobry – odpowiedział. – Czy my się znamy?

– Tak jest – zameldował mężczyzna z fryzurą rekruta. – Mieszkam pod numerem siódmym. Jak pan prokurator pracował w prokuraturze, to chodziłem do szkoły podoficerskiej i pewnie mnie pan prokurator nie pamięta.

– Rozumiem, że pozostał pan w wojsku? – spytał Kuba, bo istotnie nie pamiętał.

– Nie, panie prokuratorze. Jestem plutonowym Służby Więziennej – oznajmił z dumą.

– Gratuluję – odparł Kuba, nie protestując przeciwko tytułowaniu go panem prokuratorem. – Które z tej gromadki to pańskie? – zapytał.

– Ten człowiek w koszulce z żółwem ninja – odrzekł plutonowy, wskazując w piaskownicy swoją mniejszą kopię.

W tej samej chwili na balkon mieszkania na pierwszym piętrze kamienicy wyszła pulchna brunetka w fioletowych legginsach i różowym T-shircie z cekinami z trudem podtrzymującym jej obfitości.

– Dałeś Brajanowi pączka? – krzyknęła w stronę ławki.

Plutonowy z zakłopotaniem popatrzył na trzymaną w dłoni torebkę z nadrukiem cukierni. Bez słowa zerwał się i energicznie podszedł do piaskownicy. Chwilę negocjował z miniaturą rekruta, ale człowiek w koszulce z żółwem ninja nie był zainteresowany pączkiem.

Plutonowy odwrócił się w stronę balkonu i zameldował żonie:

– Odmawia przyjmowania pożywienia!

Kuba z niedowierzaniem pokręcił głową.

Emerytowany bosman sztabowy Marynarki Wojennej Antoni Kania, ojciec Kubby i dziadek Marysi, był unikatowym przypadkiem

samoleczenia z ciężkiej depresji.

Biegłe znając język szwedzki, pod koniec lat siedemdziesiątych zajmował się nasłuchem wywiadowczym na łodzi podwodnej patrolującej Bałtyk. Był bardzo dumny z tej misji aż do dnia, w którym szwedzki oficer odezwał się do niego przez radio po imieniu, pytając czystą polszczyzną o szczegóły z życia rodzinnego. A przecież nie miał prawa ich znać. Bosman Kania skamieniał ze słuchawkami na uszach, a następnie zerwał je gwałtownym ruchem i rzucił w kąt kabiny. Nagle uświadomił sobie, że wróg ma go na widelcu, wie o nim wszystko, zna nazwę ulicy, którą siedmioletni Kuba chodzi do szkoły, i orientuje się, kiedy żona była u fryzjera.

Nie zdawał sobie sprawy, że padł ofiarą operacji „Żonkil” wymyślonej przez CIA i obliczonej na osłabienie morale operatorów nasłuchu radiowego armii państw Układu Warszawskiego. Nie wiadomo, jaki był zasięg oraz jaki rezultat miał sprytny plan kontrwywiadu NATO, ale w przypadku Antoniego Kani dał efekt, o jakim twórcy „Żonkila” mogli marzyć. Bosman przeszedł załamanie nerwowe, wpadł w stan lękowy i był długo leczony przez terapeutów. Nigdy już nie usiadł do radiostacji na łodzi podwodnej, a słuchawek nie używał nawet w domu do słuchania muzyki.

Kiedy zdołał się jako tako pozbierać, spadł na niego kolejny cios. Żona zachorowała i po kilku miesiącach zmarła na raka, zostawiając go z dwoma synami. Wychował ich i wykształcił, ale z dnia na dzień pogrążał się w jakimś dziwnym śnie, jak lunatyk, który niby funkcjonuje normalnie, ale sobie tego nie uświadamia. Unikał ludzi, milczał, potrafił godzinami patrzeć w przestrzeń, tak jak patrzy się w bezkres morza albo w ogień. Hipnotycznie, bez jednego mrugnięcia powieki.

Obudził się nagle, przed narodzinami Marysi, jak gdyby nigdy nic. Jakby te wszystkie lata jego nieobecności w życiu w ogóle nie istniały. Znow się śmiał, żartował i realizował coraz to nowe pasje. Kuba nigdy nie wiedział, na co się natknie po kolejnym przyjeździe do Gdyni: planowaną samotną wyprawę na fiordy, naukę chińskiego czy poszukiwanie w archiwach nowych danych do stworzenia prywatnej mapy wraków leżących na dnie Zatoki Gdańskiej.

Wiedział za to, że zastanie ojca w świetnej formie. Starszy pan przez trzydzieści lat emocjonalnej hibernacji jakby się nie zużywał. Po powrocie do życia był mniej więcej w takiej samej kondycji, w jakiej wycofał się z niego w okolicach czterdziestki. Patrząc na ojca siedzącego na balkonie i obserwującego wydarzenia w piaskownicy, Kuba miał przed sobą młodego i dziarskiego siedemdziesięciodwulatka.

2

Następnego dnia rano, gdy Kasia, jak to określał plutonowy, „prowadziła nadzór rodzicielski” nad budową babek z piasku, Kuba zaparzył ojcu kawy i usiadł naprzeciwko przy kuchennym stole. Nie miał pomysłu, jak zacząć rozmowę, a raczej jak sformułować prośbę dotyczącą poszukiwań tajemnicy Góry Świętej Anny. Liczył na to, że emerytowany bosman sam zapyta, czym syn aktualnie zajmuje się w Jad Waszem, ale starszy pan milczał. Po chwili spojrzał zniecierpliwiony na zegarek.

- No mów – ponaglił syna.
- Ale co? – Kuba udał zdziwionego.

– Jak to co? Czym się teraz zajmujesz i jak ci mogę w tym pomóc.
– Skąd wiesz, że akurat o tym chcę mówić?
– Synu – rzekł z politowaniem Antoni Kania – czaisz się, od kiedy tylko przyjechaliście. Więc nie trać czasu na dalsze podchody. Słucham cię uważnie.

Kuba opowiedział. O szlachetności żydowskich jubilerów z Amsterdamu, którzy pragną uczcić pamięć swoich kolegów z branży zamordowanych podczas wojny w obozie pracy na Śląsku. O tym, że napisali list do Jad Waszem i chcą przywrócić zmarłym należne miejsce i imię. O organizacji brigadeführera Schmelta i jednym z jej obozów na Górze Świętej Anny. O tym, że holenderscy jubilerzy zginęli prawdopodobnie tam i że on będzie szukał miejsca ich pochówku. O aktach IPN-u i oczekiwaniu, aż odda je profesor wykorzystujący te materiały w pracy naukowej. Opowiedział nawet o przecuciach Kasi.

Ojciec wysłuchał wszystkiego w skupieniu, nie zadając żadnego pytania. Jego mina wyrażała głębokie zastanowienie.

– Coś ci przychodzi do głowy? – spytał Kuba.

Starszy pan spojrzał na niego, jakby wrócił myślami z dalekiej podróży.

– Wspominałeś mi już o tej sprawie przez telefon, nie pamiętasz?
– przypomniał synowi.

– Nie – zdziwił się Kuba. – Kiedy?

– Zaraz po tym, jak Szymon zwrócił się do ciebie z pytaniem, czy ją weźmiesz. Niewiele jeszcze wtedy wiedziałeś.

– Nie pamiętam – przyznał się Kuba. – Ale czy to ma jakieś znaczenie?

Starszy pan nie odpowiedział. Wyraźnie nadal się nad czymś zastanawiał.

– Miejsce i imię mówisz? Ciekawe...

– No, ciekawe – potwierdził Kuba.

– Pamiętam, że jak wtedy do mnie dzwoniłeś – zaczął powoli ojciec – to powiedziałaś, że jubilerzy, którzy napisali do Jad Waszem, byli z Antwerpii, nie z Amsterdamu.

– Naprawdę? – Kuba usiłował sobie przypomnieć. Wreszcie kawałki układanki wróciły na swoje miejsca. – Wiesz, chyba masz rację. Tak. Na pewno. Szymon po raz pierwszy na pewno powiedział, że byli z Antwerpii. Musiał coś pokręcić.

Zastanowił się, ale za moment uniósł obydwie ręce.

– O nie – zaprotestował. – Nie wchodzę w to. Szymon ma szósty zmysł, Kasię dręczy przeczucie, a teraz jeszcze ty się czegoś doszukujesz. Dajcie spokój.

– Niczego się nie doszukuję – oświadczył spokojnie ojciec. – Ale Antwerpia i Amsterdam to dwa różne „miejsca i imiona”.

Nawet bardzo różne, pomyślał. Czytał ostatnio na ten temat, ale na razie postanowił nie dzielić się z synem swoimi przypuszczeniami.

3

Kuba wstał od stołu i nalał sobie szklanekę wody.

– Tato, Kasia mi doradziła, żeby nie tracić czasu na czekanie, aż akta obozu na Świętej Annie wrócą do IPN-u, tylko zapytać, czy nie przychodzi ci do głowy jakieś inne źródło wiedzy na ten temat. Publikacje naukowe sprawdziłem. Nie ma w nich niczego, co mogłoby wskazywać na miejsce pochówku jubilerów. Masz jakiś inny pomysł? Kasia doskonale pamięta, co potrafiłeś wyczarować,

gdy zajmowałem się sprawą obrazu Matejki.

Starszy pan sięgnął po książkę leżącą na parapecie, do którego przysunięty był kuchenny stół, i wyciągnął spod niej tablet, najnowszy krzyk elektronicznej mody.

Kuba gwizdnął z podziwem.

Ojciec nie zwrócił na to uwagi. Dotknął ekranu, który w tej samej chwili ożył, wyświetlając kilkanaście kolorowych ikon. Starszy pan przesunął kilka z nich palcem, jakby uruchamiał elektryczne autka na miniaturowym placu w wesołych miasteczkach, po czym kliknął jeden z prostokątów i otworzył portal o prostym layoucie ozdobionym kolażem zgrabnie łączącym fragmenty kilku patriotycznych obrazów i portretów. Odwrócił tablet w stronę syna.

Kuba przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ekran, po czym podniósł pytający wzrok na ojca.

– Kilka tygodni temu – powiedział Antoni Kania – zostałem przyjęty do pewnej grupy miłośników historii. To nasza strona. Zakodowana i dostępna tylko dla wtajemniczonych – wyjaśnił z dumą. – Można też do nas pisać na Facebooku, ale odpowiadamy tylko wtedy, kiedy sprawa jest interesująca i nikomu nieznaną. Nie wyręczamy bibliotek naukowych i Wikipedii – zastrzegł, jakby cytował ustęp z regulaminu klubu. – Otrzymujemy po kilkanaście wiadomości dziennie. Piszą pasjonaci, pisarze sprawdzający jakieś szczegóły, a nawet zawodowi historycy. Klub ma bardzo dobrą renomę.

Kuba zrobił minę wyrażającą uznanie.

– Należy do niego zaledwie kilkanaście osób – kontynuował ojciec. – Każda ma imponującą wiedzę. Wierz mi. Żeby otrzymać członkostwo, trzeba się wykazać naprawdę poważnym odkryciem. Mnie przyjęli po dwóch latach, uznając poszukiwania ORP „Orzeł”,

które kiedyś prowadziłem. Pamiętasz?

– Oczywiście – przytaknął Kuba. – Sądzisz, że twoi znajomi mogą pomóc w zdobyciu jakichś nieznanych informacji o obozie na Górze Świętej Anny?

Starszy pan popatrzył na niego tak, jakby właśnie usłyszał pytanie o to, czy jutro wzejdzie słońce.

– Bez wątpienia. Zastanawiam się tylko, do którego z nich napisać... Wiem! Jest taki chłopak. Stąd, z Gdyni. Prawie nie schodzi z czatu, więc zaraz się z nim zgadamy, poczekaj. Mówią na niego Unra. To organizacja pomocy – wyjaśnił – stworzona w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim w Waszyngtonie, tylko pisze się przez dwa „r”. Tuż po wojnie postawiła Polskę na nogi, wysyłając nam z Ameryki żywność, ubrania, lokomotywy – co tylko się dało. Unra wybrał swój nick z dwóch powodów: po pierwsze, jest największym znanym mi ekspertem od drugiej wojny światowej, a po drugie, bardzo lubi pomagać, więc może i tobie ułatwi życie. To jak, piszemy?

Kuba skinął głową i ojciec dotknął palcem odpowiedniego okienka portalu.

4

Ekran zamienił się w białe pole z wizualizacją klawiatury w dolnej części, na której starszy pan napisał:

Cześć, Unra, jesteś?

Siema, Bosman, jak tam? – wyskoczyło na ekranie.

– Bosman? – spytał Kuba szeptem, jakby uczestnik czatu po drugiej stronie linii mógł go usłyszeć.

Ojciec skarcił go spojrzeniem.

Wszystko okej – przebiegł palcem po klawiaturze. – Sprawę mam. Ktoś szuka informacji o niemieckich obozach pracy na Śląsku.

Znasz temat?

Organizacja Schmelta? – spytał ekran po sekundzie.

Ojciec popatrzył pytająco na Kubę, a ten najpierw z podziwem pokręcił głową, a potem potwierdzająco nią pokiwał.

Tak – odpisał Bosman.

Kto tego szuka? – chciał wiedzieć Unra.

Starszy pan zawahał się przez moment.

Mój znajomy – wystukał. – *Nazywa się Kuba Kania. Jest...*

Ale czad – przerwał mu ekran. – *Ten z IPN-u?*

Ten – odpisał Bosman, zerkając z triumfem na Kubę i kraśniejąc z dumy. – *Nie wiedziałem, że go kojarzysz.*

Jasne, że tak. – Unra najwyraźniej był mile zaskoczony. – *Ten koleś uziemił Winklera. Głośna sprawa była, nie słyszałeś?*

Słyszałem – wystukał Bosman. – *Esesman ze Strzelec Opolskich aresztowany w Berlinie. Kuba jest przez parę dni w Gdyni. Może byście się spotkali i pogadali?*

Przez minutę ekran nie przyniósł odpowiedzi. Wpatrywali się w niego obaj, jakby starali się nadażyć za myślami Unry, który najwyraźniej zastanawiał się nad propozycją. Po kolejnej minucie, kiedy tracili już nadzieję, odpisał:

Dobra. Umów nas jutro. W południe na molo w Orłowie. Cześć, Bosman.

Cześć – odpowiedział Antoni Kania i wyłączył tablet.

Kuba patrzył na niego zdumiony.

– Teraz jestem twoim znajomym, tato? Wstydzisz się mnie czy co?

– Zrozum. – Starszy pan uśmiechnął się przepaszająco. – Ci chłopcy mają po osiemnaście, dwadzieścia lat. Oni nie wiedzą, że ja mam siedemdziesiąt dwa, i jak mnie nie wydasz, to się nie dowiedzą. Bo my się nigdy nie spotykamy, tylko piszemy. Boję się – wyznał – że mogliby jakoś źle zareagować. Traktują mnie jak kumpla i nie wiem, co by zrobili, gdyby się okazało, że mógłbym być ich dziadkiem. Może uznaliby, że się podszywam...

Kubie nagle zrobiło się żal ojca.

– Nie ma problemu, tato. – Położył mu dłoń na ramieniu. – Jak chcesz, to powiem, że ty jesteś moim synem – zażartował. – Nie martw się. Niczego się nie dowiedzą.

Ojciec spojrzał na niego z wdzięcznością.

– Powiedz mi – poprosił Kuba. – Wiesz coś więcej o tym Unrze? Poznam go? Rzeczywiście jest taki oblatany w historii?

– Nie wiem, jak wygląda, ale nie musisz się przejmować. On pozna ciebie. Jest piekielnie inteligentny. Co jeszcze? Zna perfektnie niemiecki i czyta ich archiwa w internecie, znajdując prawdziwe hity. Powiem ci, że kiedy jeszcze z nim nie pisałem, tylko śledziłem rzeczy, które wrzucał na stronę, w myślach nazywałem go Edwuś...

– Edwuś? – zdziwił się Kuba. – Ma na imię Edward?

– Nie – uśmiechnął się ojciec. – To taki mój skrót. Ten gość to chodząca Encyklopedia drugiej wojny światowej.

5

Lekki wiatr marszczył taflę Zatoki Gdańskiej, która w lipcowym słońcu przypominała sobie, jaki powinien być naturalny kolor Bałtyku. Nie ciemnoszary, jak przez większą część roku, ale

ciemnobłękitny. Dzieci w przedszkolu przedstawiające morze za pomocą niebieskich kredek i akwareli wiedzą, co robią.

Kuba przyszedł wcześniej. Podjechał kilka przystanków trolejbusem, wysiadł przy alei Zwycięstwa, a potem zszedł w dół, aż do mola, ulicą Orłowską. Obudził wspomnienia widokiem parku krajobrazowego, który w dzieciństwie zastępował mu góry. Do dziś pamiętał magiczne wrażenie, jakie robił na nim szum dostojnych buków porastających strome zbocza wzniesień i szmer rzeki Kaczej wpadającej do Bałtyku z temperamentem beskidzkiego strumienia. W tawernie, stojącej sto metrów dalej, zjadł swoje ulubione smażone szprotki i dopijając kieliszek całkiem znośnego białego wina, spojrzął na zegarek. Dochodziła dwunasta.

Zapłacił rachunek wraz z dziesięcioprocentową gratyfikacją dla dziewczyny, która go obsługiwała, trzykrotnie upewniając się, czy smakowało, co w języku kelnerów oznacza pytanie o napiwek. Wyszedł i wmieszał się w tłumek ludzi spacerujących po molo. Przeszedł je do końca i zawrócił, dyskretnie skanując wzrokiem otoczenie, ale żaden z mężczyzn w promieniu kilkunastu metrów nie sprawiał wrażenia, że jest z kimś umówiony. Wszyscy byli w towarzystwie, nikt się nie rozglądał. Gdy dochodził do początku mola, usłyszał pytanie:

– Kuba?

Odwrócił się w stronę głosu, ale nikogo tam nie było. Przynajmniej w pierwszej sekundzie, bo w kolejnej ujrzał drobnego, najwyżej osiemnastoletniego chłopaka z irokezem na wygolonej czaszce. Chodząca Encyklopedia drugiej wojny światowej poruszała się na wózku inwalidzkim.

– Dzień dobry – powiedział lekko zmieszany. – To z panem jestem umówiony?

– My wszyscy – odparł Unra, nie precyzując, kogo dokładnie ma na myśli – mówimy sobie na ty. Ale jeśli ci to nie pasuje, to luz. Możesz mi mówić na pan.

Kuba wyobraził sobie komizm dialogów z chłopakiem, który mógł być jego synem, i tytułowanie go „proszę pana” w sytuacji, gdy ten będzie go „tykał”.

– W porządku – zdecydował. – Idziemy...? – Zreflektował się i zmienił początek pytania: – Chcesz się czegoś napić?

Unra wskazał ogródek kawiarni przy liceum sztuk plastycznych.

– Tam są spoko lody. Chodź – zarządził i uruchomił swój pojazd, który musiał być mercedesem wśród wózków inwalidzkich, bo w tej samej chwili bezszelestnie ruszył w kierunku stolików. Przechodnie ustępowali mu z drogi.

Gdy zajęli miejsca, Unra wyciągnął paczkę papierosów grubości gwoździ i pomacał kieszonkę na piersiach w poszukiwaniu zapalniczki, po czym ją wyjął. Ściągnął zieloną lnianą koszulę, w której najwyraźniej było mu za gorąco. Pod spodem miał biały gimnastyczny trykot bez rękawów. Jego lewe ramię od barku po dłoń pokrywał kolorowy tatuaż pełen smoków, postaci z płomieniami zamiast włosów, twarzy, symboli i ornamentów, które w całości przypominały Kubie kalkomanię z dzieciństwa.

– Bosman pisał ze mną – zaczął Unra – że rozkminiasz Organizację Schmelta. A w ogóle – na chwilę zmienił temat – to szacun. Za Winklera.

Kuba podziękował.

– Interesuje mnie jeden z obozów tej organizacji na Górze Świętej Anny – wyjaśnił.

Chłopak się zastanowił.

– A co już wiesz? Sprawdziłeś w IPN-ie?

– Tak – odrzekł Kuba. – Są jakieś akta, w tej chwili u profesora historii. Za parę dni je odda.

– Luz – powiedział Unra. – Daj znać, co tam jest, a ja w tym czasie popatrzę, czy Niemcy mają u siebie coś o tej sprawie. Ale nie obiecywałbym sobie zbyt wiele. Trochę wczoraj pogrzebałem w necie. Schmelt był sądzony za przekręty i dostał wyrok. Oni za Goebbelsa raczej nie chwalili się takimi rzeczami. Może być wzmianka w kwitach administracyjnych sądów SS, ale czy coś więcej? Wątpię. Sprawdzę. Jest taki niemiecki profesor historii, który badał obozy na Śląsku, bo jego tatuś esesman w nich służył, a on teraz chce się dowiedzieć wszystkiego, żeby zrozumieć własnego ojca. Niezłe, co? Może on coś opublikował i jest do tego dostęp w sieci. Popatrzę. A co do Schmelta, to raczej będzie słabo z informacjami.

– Kolega z IPN-u mówił, że widział jego trzy autentyczne akty zgonu z różnych miejsc z różnymi datami śmierci – oświadczył Kuba, przekonany, że zrobi na chłopaku wrażenie.

Mylił się.

– Standard – powiedział kwaśno Unra. – Takie numery nazistowskich grubych ryb były pod koniec wojny na porządku dziennym. Falszowano im życiorysy, zmieniano twarze, dostawali nową tożsamość, paszporty i dolary. Był taki miły księżulo, biskup Alois Hudal – wysoki urzędnik Watykanu. To on skołował dla czołowych esesmanów pięć tysięcy wiz od Juana Peróna, prezydenta Argentyny. To on z pieniędzy zebranych na tace kupował im bilety na statki i organizował fałszywe dokumenty. Dzięki niemu do Ameryki Południowej wyjechali Mengele, Eichmann, którego później porwali i powiesili Żydzi, Stangl – komendant Sobiboru i Treblinki, Barbie. Setki, może tysiące

innych. Po wojnie dobrała mu się do dupy bawarska gazeta „Passauer Neue Presse”, ci sami goście, którzy są dziś właścicielami „Dziennika Bałtyckiego”, i ksiądz biskup musiał zrezygnować z duszpasterstwa morderców, a litościwy Kościół w ramach miłości bliźniego ukrył go gdzieś w swoim zaciszu. Przyswajasz to, Kuba? Gdyby Chrystus, ten koleś z Nazaretu, żył w czasach wojny, to kumple Hudala posłaliby go do komory gazowej, a ksiądz biskup jeszcze by im za to załatwił *all inclusive* w Buenos Aires. – W oczach chłopaka błysnął gniew. – No dobra. – Klepnął się otwartą dłonią w udo. – Będę spadał. Robimy tak: ty ogarniasz kwity IPN-u, a ja Niemców. Łapiemy się za tydzień. Kontakt przez Bosmana. Na razie, Kuba.

6

Dokładnie w tym samym czasie z terminalu przylotów Portu Lotniczego imienia Lecha Wałęsy w Gdańsku-Rębiechowie wyszedł jubiler z Amsterdamu, jeden z uczestników operacji przygotowanej przez Krupiera. Nie miał już na sobie granatowego garnituru, tylko markową koszulkę polo, która o wiele gorzej wywiązywała się z zadania maskowania jego otyłości. Brzuchacz zatrzymał się na chodniku przed wejściem, niewielką skórzaną walizkę przestawił z kółek na nóżki i sięgnął do tylnej kieszeni dzinsów po telefon komórkowy. Nie zdążył go jednak użyć, bo w tej samej chwili podpłynął do niego duży czarny mercedes z przyciemnianymi szybami, zatrzymując się tak, że przybysz nie musiał robić ani pół kroku, aby otworzyć tylne drzwi auta, umieścić walizkę na siedzeniu, zamknąć je, a następnie powtórzyć to samo z przednimi

drzwiami, z tą różnicą, że na fotelu pasażera umieścił siebie. Resory mercedesa wyraźnie to odczuły.

– Jak lot? – powitał go po angielsku, ale z silnym rosyjskim akcentem, rosły mężczyzna około sześćdziesiątki siedzący za kierownicą. Samochód odbił od krawężnika i ruszył z piskiem opon.

– Chciałbym jeszcze trochę pożyć – skomentował to Holender, puszczając mimo uszu pytanie o podróż samolotem.

To z kolei spotkało się z lekceważeniem prowadzącego mężczyzny. Człowiek ten miał proste płowe włosy o odcieniu występującym najczęściej u Słowian i charakterystyczne dla zapaśników uszy przypominające różyczki kalafiora. Ubrany był w jasne sportowe spodnie i drogą bawełnianą białą koszulę z długimi rękawami. Spod lewego mankietu wyzierała masywna bransoleta rolexa. Spod prawego wypełzał jakiś tatuaż, ciągle zasłonięty na tyle, że nie można było zidentyfikować, co przedstawia.

– Dokąd chcesz jechać? – spytał pasażera. – Do hotelu? Do restauracji? Jesteś głodny?

– Ja jestem zawsze głodny – oświadczył brzuchacz. – Możemy zjeść w Sheratonie.

Kierowca mercedesa skinął głową i zjechał na prawy pas, ułatwiający wjazd na obwodnicę Trójmiasta w stronę Sopotu.

– A jak w ogóle żyjesz, Oleg? – zainteresował się Holender. – Interesy idą dobrze?

Człowiek ze zniekształconymi uszami nacisnął pedał gazu i mercedes wyrwał do przodu jak koń spięty ostrogami, wyprzedzając kilka aut naraz.

– Nie narzekam – odpowiedział w trakcie manewru.

– Ciągle bursztyn?

– Tak. Trochę. Rynek się zmienił. Matuszka Rosja zabrania eksportu z obwodu kaliningradzkiego, za bardzo nie ma czym handlować.

– Ale tu – Holender omiół dłońią krajobraz za szybą – też nie brakuje surowca, i to o wiele lepszego. Słyszałem, że Polacy chętnie sprzedają go za granicę.

Rosjanin pokręcił głową.

– Polaczki to teraz Europejczycy – stwierdził z ironią. – Dziś już miejscowy jubiler nie kupi bursztynu wydobywanego prywatnie w okolicach Gdańska, na Stogach, w Górkach Wschodnich czy na Wyspie Sobieszewskiej, bo miejscowy jubiler musi mieć fakturę VAT. Rozumiesz? Zachciało im się Unii Europejskiej i teraz biurokracja trzyma ich krótko za pysk. Sprawdzają najmniejszą bransoletkę.

Holender uśmiechnął się kpiąco.

– Więc co?

– Więc prywatni eksporterzy sprzedają surowiec tym, którzy faktur mieć nie muszą. Przyjeżdżają z walizkami dolarów i wyjeżdżają z towarem. Czysto i gładko. Bez problemów.

– Prywatni eksporterzy, czyli kto? Gangi?

Rosjanin wydał usta.

– Oj, zaraz gangi. Przedsiębiorczy ludzie po prostu.

– A ty im pomagasz w kontaktach z tymi, co przyjeżdżają z walizkami.

Oleg uśmiechnął się pod nosem.

– Z czegoś trzeba żyć, przyjacielu.

– To komu sprzedajesz?

– Chińczykom.

– O – zdziwił się brzuchacz. – Tych wszędzie pełno. A polska

policja? Przeszkadza? Trzeba się z nimi układać?

Rosjanin znów się uśmiechnął, tym razem szeroko.

– Wyobraź sobie, że nie. To cudowny kraj. Za nielegalne wydobywanie bursztynu płaci się tu mandat. Jak za psa, który nasra na trawniku, uwierzysz? Znajomi przemielili z pół hektara na Stogach za pomocą rurociągu z węży strażackich i motopompy własnej roboty napędzanej silnikiem od volkswagena. Dostali za to po jakieś sto dolarów grzywny za niszczenie przyrody.

Roześmiali się obaj.

– Nieźle – skomentował Holender. – A co z wywozem?

– Nic. Polskie prawo nie ma przepisów, które by to regulowały, a Chińczycy na swoich lotniskach wiedzą, na której bramce stoi niewidomy celnik. – Rosjanin puścił oko do swojego otyłego towarzysza i nagle spowaźniał: – A co ty tak wypytyujesz? Też przyjechałeś po bursztyn? Jeśli tak, to trzeba będzie pogłówkować, bo do krajów Europy nie tak prosto jak do Azji...

– Nie tym razem – przerwał mu Holender.

Oleg popatrzył na niego pytająco. Właśnie wjeżdżali w uliczkę prowadzącą do hotelu.

– Wszystko ci wyjaśnię – powiedział brzuchacz. – Wysadź mnie tutaj i zaparkuj. Pójdę się zameldować i widzimy się za kwadrans na dole w restauracji. Okej?

Rosjanin w odpowiedzi pokazał mu kciuk uniesiony do góry.

– *Nu, dawaj* – odezwał się Oleg po rosyjsku, gdy tylko usiedli przy stoliku i zamówili dania z karty sezonowej.

– Sprawa jest nietypowa – zaczął Holender. – Były prokurator z polskiego Instytutu Pamięci Narodowej dostał zlecenie od takiego samego instytutu w Jerozolimie na odnalezienie miejsca pochówku holenderskich jubilerów zamordowanych podczas wojny przez nazistów w niewielkim obozie pracy na Śląsku.

Rosjanin słuchał uważnie.

– To my zleciliśmy te poszukiwania – powiedział brzuchacz. – Udaliśmy prywatne stowarzyszenie środowiska żydowskich jubilerów, którzy chcą uczcić pamięć tamtych ofiar Holocaustu, odnaleźć ich grób, położyć płytę i takie tam pierdoły. Wszystko wyglądało bardzo wiarygodnie. Nawet adwokat, który napisał list do instytutu Jad Waszem, dał się nabrać.

– Tymczasem chodzi wam o...? – Oleg zaczął pytanie.

– No właśnie o odnalezienie tego miejsca pochówku.

Rosjanin rozłożył ręce.

– Nic nie rozumiem.

– Rzecz w tym – wyjaśnił Holender – że ten były polski prokurator musi legalnie odnaleźć i wskazać grób, a my musimy się nielegalnie do niego dostać i obejrzeć te szczątki.

– Podwójnie nielegalnie – uzupełnił Woronin. – Po pierwsze, polskie prawo zabrania prywatnego wykopywania trupów, a po drugie, wasza religia mówi, że Żydom po śmierci absolutnie nie wolno zakłócać spokoju. Żadnych ekshumacji.

Brzuchacz popatrzył na niego z wyraźną kpina.

– A co ty, rabin jesteś? Co ciebie to obchodzi?

– Nic – zgodził się Oleg. – Bo ja nie mam z tym nic wspólnego i nie wiem, czy chcę mieć.

Holender westchnął ciężko.

– Musisz nam pomóc, bo tylko ciebie mamy w tym kraju. I tylko

tobie ufamy. Chcemy, abys śledził każdy krok tego Polaka, znał jego ruchy, zamiary i rozmowy telefoniczne. A kiedy odnajdzie miejsce pochówku, wyeliminował go...

Rosjanin powstrzymał go gestem.

– Nie ten adres, przyjacielu. Nie zajmuję się takimi sprawami.

– Źle mnie zrozumiałeś – rzekł Holender. – Nie chodzi o to, abys go odstrzelił, tylko wyeliminował na dzień, dwa, jak już znajdzie ten grób. Nie wiem: zamknij go w piwnicy, wsyp mu narkotyk do kawy, upij go albo rzuć w ramiona jednej ze swoich dziewczynek.

– Zaraz, zaraz – uspokoił go Oleg. – Czy ty siebie słyszysz? Chcesz, żebym śledził polskiego prokuratora na jego własnym terenie?

– Byłego prokuratora – sprostował brzuchacz.

– *Wsio rawno.* – Rosjanin machnął ręką. – Chcesz, żebym go śledził, podsłuchiwał jego rozmowy telefoniczne i tymczasowo wycofał go z życia, samemu pozostając niewidzialnym, czy tak?

– Tak.

– Co ty dziś brałeś, przyjacielu? Bo odnoszę wrażenie, że masz jakieś fantastyczne wizje. Dlaczego zwracasz się z tym do mnie? Ja handluję bursztynem.

– Właśnie dlatego – uśmiechnął się Holender. – My w Amsterdamie wysoko cenimy sprzedawców bursztynu, którzy ukończyli z wyróżnieniem leningradzką szkołę KGB imienia Kirowa. Oleg – powiedział, zmieniając ton na cieplejszy – obaj doskonale wiemy, że sobie z tym poradzisz. Masz relacje z polską policją, bez trudu załatwisz lewe zaświadczenia i ekipę ludzi, która ubrana w prawdziwe mundurki jakiej tam trzeba służby sprawnie odkopie szczątki naszych żydowskich przyjaciół, po czym rozplynie się we mgle. Grobu szukać nie musisz. Zrobi to za ciebie ten Polak.

To on odwali najgorszą robotę. Ty, jak się dobrze zakręcisz, przyjdiesz na gotowe.

Rosjanin głęboko się zamyślił.

– Co jest w tym grobie? – zapytał.

Otyły jubiler z Amsterdamu zwilżył gardło łykiem zimnego piwa i wyjawiał mu cały plan.

8

Zgrabna blondynka w skąpych szortach i obcisłej bluzce, jadąca na rolkach ścieżką rowerową za oknem restauracji sopockiego Sheratona, wydawała się być jedynym obiektem zainteresowania Olega Woronina, który wpatrywał się w nią, choć w ogóle nie rejestrował tego w świadomości. To, co przed chwilą usłyszał, zawładnęło jego percepcją bez reszty, nie zostawiając miejsca na inne refleksje.

– Kto to wszystko wymyślił? – spytał.

– Mój wspólnik – odrzekł Holender.

– To powiedz mu ode mnie, żeby zmienił nazwisko na Grimm albo Andersen, bo to, co mi opowiedziałeś, to jest bajka dla dzieci.

Jubiler z Amsterdamu uśmiechnął się zagadkowo.

– A jeśli nie?

– Skąd pewność, że to, czego szukacie, znajduje się w miejscu, które ma odnaleźć ten polski prokurator?

– Były prokurator – przypomniał Holender.

– Tak, wiem. – Rosjanin lekko się zirytował. – Skąd pewność?

– Z relacji świadka, który widział wszystko, co zaszło tamtego dnia w obozie, na własne oczy.

– A jeśli fantazjował?

– A jeśli nie? – powtórzył Holender.

Oleg spojrzał na niego uważnie.

– Mówisz, że przychodzisz z tym do mnie, bo jestem twoim jedynym zaufanym człowiekiem w tym kraju?

– Tak jest. – Brzuchacz z przekonaniem skinął głową. – Jak długo robimy interesy? Trzydzieści lat? Czy kiedykolwiek cię oszukałem?

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz. – Rosjanin zmrużył oczy jak przed intensywnym światłem. – Założmy, że pójdę z tym do waszej konkurencji...

Brzuchacz nie okazał zaniepokojenia.

– Idź. Przed chwilą uznałeś, że to bajeczka dla dzieci. Oni pomyślą dokładnie to samo.

– A jeśli nie?

Holender wzruszył ramionami.

– A jeśli nie, to i tak najpierw cię wyśmieją, a potem każą ci spadać. Oleg, przyjacielu, to hermetyczna branża. Ci, którzy ją tworzą, od stu dziewięciu lat pracują na tym samym patencie. Rozumiesz? Ich potęga polega na tym, że niczego nie zmieniają. I nie zmieniają. Pomyśl. Gdybyś ty miał kurę znoszącą złote jajka i któregoś dnia przyszedłby do ciebie obcy facet z propozycją, abyś tę kurę zarznął i ugotował na niej rosół, a od niego kupił zwykłe jajko, z którego być może wykluje się o wiele lepsza kura, to co byś zrobił? Zrzuciłbyś go ze schodów. Więc jak chcesz, to idź.

Wspomnisz moje słowa. Zobacz. – Holender sięgnął po egzemplarz „Financial Times” sprzed kilku tygodni, który przyniósł do restauracji. Otworzył go na jednej z rozkładówek i rozłożył na stole, wskazując końcówką widelca tekst na czołówce prawej kolumny. –

Piszą tu o naszym rynku – wyjaśnił. – Zysk tylko jednej z konkurencyjnych firm, wcale nie największej, wyniósł w ubiegłym roku ponad sto milionów euro. Przeczytać ci, co mówi jej szef? – spytał Holender i nie czekając na reakcję Rosjanina, odszukał wzrokiem odpowiedni akapit. – „Gwarancją naszych zysków rosnących nieprzerwanie od kilkudziesięciu lat jest poszanowanie tradycji pielęgnowanej od pokoleń”. Przeczytać ci jeszcze raz? – zapytał z udawaną troską. – Zrozum. Oni nigdy nie zdobędą się na to, aby zerwać z tradycją przynoszącą krociowe profity. I to jeszcze jakim kosztem? Nielegalnej ekshumacji szczątków ofiar Holocaustu w jakiejś Polsce? Kto na to pójdzie? No kto?

Rosjanin skrzywił się, co miało oznaczać, że pytanie nie jest ani miłe, ani łatwe.

– No widzisz – kontynuował brzuchacz, uznając to za dostateczną odpowiedź. – A my pójdziemy. Wiesz dlaczego? Bo jesteśmy przekonani, że wszystko, co ci opowiedziałem, jest prawdą, a od tej prawdy dzieli nas tylko jedna operacja. Jesteśmy też pewni, że dla ciebie to bułka z masłem. Trzeba jedynie przypilnować tego byłego prokuratora, pozwolić mu znaleźć grób i zanim się zorientuje, sprzątnąć mu wszystko sprzed nosa. Na pocieszenie zostanie mu trochę kości.

Oleg Woronin rozważał plan w myślach.

– Myślałeś o logistyce? – zapytał.

– Wystarczy parę lipnych pozwoleń, lipny urzędnik sanitarny i lipna ekipa lipnego zakładu pogrzebowego działająca według obowiązujących procedur – wyliczył brzuchacz. – Wiesz, co mam na myśli: taśma oddzielająca miejsce, ochrona, pojemniki na szczątki i tak dalej. Wszystko ma wyglądać autentycznie. Tak jak nasz list do instytutu Jad Waszem. Świadek, o którym ci wspominałem,

twierdził, że grób jest gdzieś w lesie. Nikt nawet nie zauważy, że ktoś tam coś kopie. Raz, dwa i po krzyku. A jeśli znajdziesz to, czego szukamy – zawiesił głos na kilka sekund – to zyski, jakie będziemy osiągać, wyniosą sto milionów euro miesięcznie, nie rocznie. Więc jak, przyjacielu?

Rosjanin milczał, wpatrując się w rozmówcę, jakby chciał wyczytać z jego twarzy szansę powodzenia przedsięwzięcia. Uniósł szklankę z colą i powiedział, wolno cedząc słowa:

– Wiesz co? Ty jesteś naprawdę cwany Żyd.

Holender uśmiechnął się, odczytując to jako zgodę Rosjanina na przeprowadzenie operacji, po czym sięgnął po jego uniesioną szklankę i odstawił ją na stolik.

– Takich spraw nie opija się colą. Ani piwem. – Odstawił też swoją szklankę. – To furmański napój. Nie na taką okazję. Co byś powiedział na dobrze zmrożoną wódkę? Taką, jak wtedy w Moskwie?

Olegowi rozbłyły oczy, ale zaraz posmutniał.

– Przyjechałem samochodem – oświadczył.

– Mam dla ciebie jeszcze jedną bardzo dobrą wiadomość – rzekł Holender. – W tym kraju są parkingi i taksówki.

Trójmiasto jest jednym z nielicznych miejsc w Polsce, w których można kupić prawdziwy kawior z białugi. Pod dwoma warunkami: że ma się siedemset euro na niewielki stugramowy słoiczek i że się wie, do kogo zadzwonić. To drugie jest znacznie ważniejsze, bo bez znajomości właściwego dostawcy można za niemal trzy tysiące

złoty kupić podróbkę, która ma tyle wspólnego z astrachańskim kawiozem co kilogram jabłek wrzuconych do Bałtyku z owocami morza.

Oleg Woronin wiedział, do kogo zadzwonić. Godzinę później pod obrotowe drzwi Sheratona podjechał na motocyklu mężczyzna, który nie widział potrzeby zdejmowania czarnego kasku z lustrzaną przyłbicą, i pozostając niewidzialnym, wręczył Olegowi słoiczek czarnej ikry oraz butelkę specjalnej wódki produkowanej na wodzie z jeziora Bajkał, która wyklucza kaca. Motocyklista zainkasował gotówkę, schował pieniądze do kieszeni czarnej skórzanej kurtki, pożegnał się krótkim „*Paka*” i odjechał.

Kawior powędrował na godzinę do lodówki w pokoju hotelowym jubilera, syberyjski nektar do zamrażarki, a ich przyszli konsumenci na spacer.

Sopot w lipcu trudno uznać za miejsce ustronne i wyludnione. Otoczenie Sheratona, położonego tuż przy molo, roi się od turystów opętanych żądzą sfotografowania się na tle najmodniejszego polskiego pomostu, rowerzystów przekonanych, że są tu sami, dzieci domagających się lodów i pamiątek, Skandynawów tracących sztywność dopiero po tej stronie morza oraz młodzieży zabijającej czas dzielący ją od otwarcia klubów.

Woronin z jubilerem ruszyli w stronę Parku Północnego, za którym zaczynają się nadmorskie wzgórza Orłowa. Po kilku minutach Holender zatrzymał się zafascynowany Grand Hotelem, przed którym rozpościerał się kobierzec klombów, poletek kwiatów i trawnika tak idealnego jak te angielskie, o których Brytyjczycy mawiają: Och, to nic takiego, wystarczy je regularnie strzyc przez dwieście lat.

– Piękny obiekt. – Jubiler cmoknął z uznaniem. – Żałuję, że się

pospieszyłem i nie zarezerwowałem tu pokoju.

Rosjanin rozłożył ręce.

– Masz gust, przyjacielu. Przed wojną to był Kasino Hotel, porównywany z najlepszymi w Monte Carlo. Przyjeżdżały tu gwiazdy. Josephine Baker, Marlene Dietrich. Z tamtego balkonu – Woronin dokładnie wskazał, z którego – tuż po wybuchu wojny, we wrześniu, Hitler obserwował walki o półwysep Hel. – Rosjanin odwrócił się, prowadząc dłoń wzdłuż zielonego paska lądu po przeciwnej stronie zatoki. – Ale Polaczki zacięte. Bronili się do października. Führer znudził się wystawianiem przez całe dni na balkonie i rozczarowany wrócił do Berlina. Niezłe, co?

Holender na moment zatonął w myślach.

– Popatrz, Oleg – westchnął. – Ty i ja. Ruski i Żyd.

Reprezentujemy narody, które podczas wojny wycierpiały najwięcej. Czy stalibyśmy tu sześćdziesiąt parę lat temu? Nie. Ty byś zamarzył pod Stalingradem, a ja opuściłbym ten świat przez komin krematorium. A jednak to my tu stoimy, a Hitlera szlag trafił. Również dlatego, dla podkreślenia, że jego nie ma, a my zostaliśmy, że możemy sobie w każdej chwili wynająć jego pokój przez internet i że zaraz będziemy wpięprzać kawior z białugi, podczas gdy on nie ma nawet grobu, trzeba zrobić tę sprawę w Annabergu. Rozumiesz?

Rosjan gwizdnął przeciągle.

– No, bracie – rzekł – takiego cię nie znałem. Jesteś sentymentalny jak ruski człowiek po ćwiartce wódki. A ja myślałem, że chodzi tylko o pieniądze.

– Nie tylko – odparł jubiler z powagą. – Chodzi też o przywrócenie naszemu miastu należnego miejsca i imienia, które straciło przez Hitlera i nigdy go nie odzyskało. Chcemy, aby

Amsterdam stał się światową potęgą, a nie straganem, na którym można kupić zielsko do jarania. A że przy okazji da się na tym zarobić gruby geld – jubiler zaciągnął jak aktorzy grający Żydów w filmach komediowych – to dlaczego nie?

Godzinę później w pokoju hotelowym Oleg Woronin ukroił kilka cienkich kromek białej pszennej bułki, posmarował je masłem, ułożył na talerzyku, po czym ostrożnie, jakby to była relikwia, wyjął z lodówki słoiczek z kawiozem. Delikatnie, aby nie uronić ani jednej czarnej kuleczki, odkręcił wieczko. Holender przyglądający mu się z uwagą sięgnął po łyżeczkę i podał ją Rosjaninowi, ale ten popatrzył na niego jak na kogoś, kto popełnia świętokradztwo.

Wstał i z kieszeni marynarki wiszącej w przedpokoju wyjął plastikową łyżeczkę zabraną podczas spaceru z baru przy plaży sprzedającego kawę na wynos. Starannie wytarł ją serwetką i powoli zanurzył w słoiczku.

– Metal psuje smak kawioru – wyjaśnił. – To niedopuszczalne, podobnie jak skrapianie ikry sokiem z cytryny. Restauracje, które tak serwują kawior, powinny zostać zamknięte – zawyrokował.

Nałożył warstwę czarnego specjału na kanapki, uważając, aby go nie rozsmarować, bo to też ma fatalny wpływ na smak.

Skosztowali. Nie ma słów zdolnych opisać to wrażenie. Syberyjska wódka wyjęta z zamrażarki w Sheratonie była tak zimna, że wlewana do kieliszków przypominała przezroczysty olej. Wypili za spotkanie.

– Myślałeś już, jak podejść do tematu Annabergu? – spytał Holender po trzecim kieliszku.

– Z grubsza – odparł Woronin.

– Masz tu jakichś miejscowych ludzi?

– Dokarmiam jednego psa – stwierdził Rosjanin, a widząc zdziwioną minę jubilera, wyjaśnił: – Policjanta. Kiedyś był dość wysoko postawiony, ale zbyt gorliwie służył poprzedniej ekipie rządzącej i teraz go odsunięto od żłobu. Przewidywalny, chciwy gość. Uwielbiam takich, bo zawsze wiadomo, czego się po nich spodziewać. – Uśmiechnął się szyderczo. – Do tego straszny erotoman. Od dawna ułatwiam mu relacje z młodymi obywatelkami Ukrainy i Białorusi, które przyjeżdżają robić karierę w Trójmieście. Znam ludzi z ich impresariatu. – Oleg powtórzył uśmiech. – Mój gliniarz pełni funkcję kogoś w rodzaju selektonera tych dziewczyn, więc starają się, oj, starają. Mam trochę jego ciekawych fotek, bo pan komisarz jak już idzie w tango, to się nie kontroluje. – Rosjanin przycisnął palcem wskazującym prawe skrzydełko nosa i wykonał wymowny gest wciągania, co bynajmniej nie miało sugerować kaszubskiego zwyczaju zażywania tabaki.

Holender z uznaniem pokiwał głową. Kontakt był rzeczywiście cenny, a polisa ubezpieczeniowa, o której wspomniał Oleg, gwarantowała, że polski policjant postara się nie gorzej od testowanych przez niego dziwek. O to chodziło.

10

Nazajutrz, tuż po śniadaniu złożonym z jajek na bekonie, grzanki i dużej ilości wyciskanego soku pomarańczowego, Woronin sięgnął po telefon komórkowy służący do kontaktu tylko z jednym abonentem i wysłał esemesa: „Trzeba się spotkać”. Policjant, który był adresatem wiadomości, zazwyczaj odpowiadał po jakimś czasie, bo do komunikacji z Rosjaninem również używał telefonu na kartę,

którego nigdy nie zabierał do pracy. Ale dziś chyba miał wolne, bo zareagował od razu: „Tam gdzie zawsze o 12.00?”. Woronin potwierdził lakonicznym „OK”.

„Tam gdzie zawsze” oznaczało park otaczający Pałac Opatów w Oliwie.

Oleg zaparkował na ulicy Cystersów, zamknął samochód i przeciął niewielki dziedziniec katedry, kierując się w lewo, gdzie zaczynała się spacerowa alejka prowadząca wprost do parku. Przez chwilę zastanawiał się nad włoskimi lodami w polewie z czekolady, ale zrezygnował z tego pomysłu. Minął mobilną budkę i ruszył w stronę stawu odgrodzonego wysokim, kilkumetrowym żywopłotem. Ukrył się w cieniu bindażu i usiadł na ławce. W alejce nie było żywej duszy. Południowe słońce zwabiło wszystkich turystów na plażę w Brzeźnie i Sopocie, a miejscowi spacerowali po parku najczęściej w niedzielę przy okazji wizyty na mszy.

Policjant pojawił się po pięciu minutach. Nigdy nie podawali sobie rąk. Usiadł na tej samej ławce co Rosjanin, jakby wszystkie inne były zajęte, i jak zwykle zapytał o przyczynę spotkania. Obowiązywała klauzula, że widują się osobiście tylko w wypadku spraw szczególnie ważnych. Po co kusić los.

Ta sprawa była ważna i Oleg zastrzegł to na samym początku, uprzedzając, że nie odpowie na żadne z pytań dociekających przyczyn. Jest temat, jest budżet, więc albo policjant w to wchodzi, albo nie. Zawsze rozmawiali bardzo konkretnie.

– Jest tak – powiedział Rosjanin. – Były prokurator waszego instytutu od śledztw historycznych, Ipenu czy jakoś podobnie...

– IPN-u – poprawił go policjant.

– No właśnie. No więc ten były prokurator dostał od takiej samej instytucji w Izraelu zlecenie odnalezienia miejsca pochówku grupy

holenderskich Żydów zamordowanych w obozie na Śląsku podczas ostatniej wojny. To zlecenie prywatne, ale z pewnością będzie działał oficjalnie. Czyli jak znajdzie grób, to pójdzie do władz w sprawie jego oznaczenia zgodnego z polskimi przepisami.

Policjant ściągnął wargi i poruszył głową z miną znaczącą, że nie ma w tym nic niezwykłego.

– Masz zamiary na tego gościa? – spytał.

Rosjanin sięgnął do kieszeni spodni i wyjął portfel, a z niego wizytówkę hotelu Sheraton. Na jej odwrocie zanotował wczoraj imię i nazwisko człowieka, który miał być jego przeciwnikiem w tej grze.

Policjant wziął ją bez słowa i schował bez czytania.

– Rzecz w tym – wyjaśnił Woronin – że trzeba monitorować tego człowieka. Gdzie szuka i jak szuka, z kim i o czym rozmawia, a przede wszystkim czy i co znajduje.

– Można przyczepić mu ogon – ocenił policjant – ale sama obserwacja nie wystarczy. Należałoby założyć podsłuch na jego komórce. Masz potrzebny sprzęt?

– Da się załatwić – powiedział Rosjanin.

– Tylko że ja nie mogę być do tego podpięty – uprzedził policjant.

– Ci z wewnętrznego patrzają mi na ręce. Gdyby coś takiego wypłynęło, wylatuję w sekundę, i to z zarzutami prokuratorskimi. A wtedy koniec z ochroną twoich bursztynowych interesów.

– Niedobrze – zmartwił się Woronin. – To co robimy?

Policjant bił się z myślami.

– Daj mi parę dni – zawyrokował. – Muszę ogarnąć temat.

– Nic ci nie przychodzi do głowy?

– A co ty myślisz, że ja rozwiązanie takich spraw wyciągam z rękawa? – zirytował się stróż prawa. – To delikatna kwestia.

Żaden zbój ze Stogów, który wisi mi przysługę, się do tego nie nadaje. Zbójce mogą spuścić komuś łomot. Ale tym byłym prokuratorem musi zająć się ktoś, kto się zna na robocie wywiadowczej. Muszę pomyśleć. – Popukał się palcem wskazującym w głowę. – Idź już. Odezwę się za kilka dni.

Woronin rzucił niemal takie samo „Paka” jak motocyklista pod Sheratonem i ruszył w stronę katedry. Policjant został sam.

Sięgnął po paczkę cameli, co wywołało zainteresowanie wróbli obserwujących go z gałęzi sąsiednich drzew i przekonanych, że człowiek siedzący na ławce, wzorem innych gości parku, sypnie wreszcie trochę pokruszonego chleba. Kilka odważniejszych ptaków wylądowało parę metrów od ławki, ale mężczyzna zapalający papierosa przepędził je gwałtownym gestem. Na wypadek gdyby miały zamiar wrócić, podniósł spod ławki spory kamień. Przez chwilę ważył go w lewej dłoni, jakby miało mu to pomóc w myśleniu.

Kto by się nadawał do inwigilacji tego faceta? – zastanawiał się, ale na ekranie komputera w jego policyjnej głowie nie wyświetliło się żadne właściwe nazwisko. Wyjął z kieszeni telefon komórkowy i zagryzł ustnik papierosa zębami, przeglądając spis kontaktów. Bez rezultatu. Zirytowany wypluł resztę camela i cisnął kamieniem w najbliższe drzewo, celując w tabliczkę oznajmiającą, że to pomnik przyrody chroniony prawem. Kurwa mać, pomyślał ze złością, znam samych głąbów, którzy nadawaliby się najwyżej do śledzenia tego drzewa, a nie byłego prokuratora.

Ta sama refleksja naszała go wieczorem podczas oglądania meczu. Jedenastka niemieckiego klubu piłkarskiego, któremu kibicował, tym razem słabo radziła sobie na boisku, dostając baty od

Hiszpanów. Policjant, ciągle prześladowany przez problem z parku, posłał w stronę piłkarzy parę soczystych epitetów, sięgnął po pilota i wyłączył telewizor. Wstał z kanapy i poszedł do kuchni, gdzie w lodówce czekała opróżniona do połowy półlitrowka wódki.

– Znowu? – spytała arogancko żona.

Miał ordynarną ripostę na końcu języka, ale zdołał się powstrzymać, co było największym dokonaniem dzisiejszego dnia.

W milczeniu nalał sobie do wysokiej szklanki solidną porcję wódki, uzupełnił sokiem pomarańczowym z kartonu, wrzucił dwie kostki lodu i wrócił do salonu. Przyklęknął obok półki z filmami dvd i wybrał coś, co widział wiele razy i co niezawodnie poprawiało mu samopoczucie. Stary PRL-owski serial, naiwny i wyidealizowany, ale mający w sobie coś kojącego nerwy. *Kapitan Sowa na tropie*.

– Znowu? – dobiegło go z kuchni, gdy tylko rozległa się muzyka towarzysząca czołówce filmu. Żona nie miała rozbudowanego słownika.

Policjant skupił się na planszy z napisami początkowymi i nagle olśniło go imię odtwórcy roli tytułowej.

Wiesiek, pomyślał uradowany. Wiesław Paluch. Kuzyn żony. Przecież pracował w IPN-ie. Zna robotę w dziale śledczym, bo sam nim kierował, zanim go pozamiatali. Nadaje się idealnie. Jeśli go odpowiednio podejść i powiem, że może nie tylko dobrze zarobić, ale i zagrać na nosie swojej byłej firmie, to powinien kupić temat i zająć się dyskretnie tym prokuratorem Kanią.

– Masz telefon do Wieśka? – krzyknął do żony zajętej w kuchni zmywaniem naczyń po kolacji.

– Jakiego Wieśka?

– No jakiego? Twojego kuzyna z Warszawy. Tego z IPN-u.

– Wyrzucili go. Nic ci nie załatwi.

Policjant znów przemilczał przekleństwo i przybrał najmiłszy ton, na jaki go było stać.

– No wiem. Robotę mam dla niego. Dlatego chcę zadzwonić.

Żona stanęła w drzwiach salonu, miętosząc w dłoniach ścierkę i przyglądając się mężowi ze zdumieniem. Najwyraźniej nie była przyzwyczajona do jego dobrych uczynków.

– Okej, już ci daję – oświadczyła. Wytarła dłonie i sięgnęła do torebki.

Kilka minut później policjant wystukał numer na klawiaturze nokii starego typu, uchodzącej za telefon, który o wiele trudniej podsłuchać niż współczesne cacka z wbudowanymi elektronicznymi bajerami.

– Tak, słucham – odezwał się oficjalny głos po drugiej stronie linii.

– Wiesiek? – upewnił się policjant. – Cześć, Wiesiek, to ja. Kopę lat. Co tam u ciebie?

Głos po drugiej stronie słuchawki przez dłuższą chwilę relacjonował coś, od czego mina policjanta robiła się coraz bardziej kwaśna.

– No tak – skwitował. – Nadal nie znalazłeś roboty – powtarzał, patrząc wymownie na żonę. – Sześcioro dzieci... A wiesz co, Wiesiek? Może miałbym coś dla ciebie. Co? A wiesz, paru bogatych gości z zagranicy chce szukać w Polsce grobu Żydów, którzy zginęli w obozie na Śląsku. Co? To co, że Żydów, Wiesiek? Dobrze płacą. No i chcą to zlecić prywatnie, poza IPN-em, jeśli wyrażam się jasno. Tak? No pewnie, że trzeba pogadać. Ty, Wiesiek, wsiadaj w pociąg i dawaj do nas do Gdańska. Danka się ucieszy. – Pokiwał radośnie

głową w stronę coraz bardziej zdezorientowanej żony, pomagając jej podjąć decyzję, co ma o tym wszystkim myśleć. – A my sobie pogadamy. W środę? Może być. No to na razie.

Policjant rozłączył się, po czym wystukał esemesa do Rosjanina z informacją, że temat można uznać za załatwiony. Szczegóły jutro tam gdzie zawsze o tej samej porze.

– Zgodzi się na podsłuch? – spytał następnego dnia Oleg Woronin, wysłuchawszy relacji policjanta, który podekscytowany wiercił się na parkowej ławce.

– Zostaw to mnie – oświadczył stróż prawa z pewną miną. – Wiem, jak z nim gadać.

Wstał, ale zaraz zatrzymał się, coś sobie przypominając. Wyciągnął w stronę Rosjanina prawą dłoń i potarł opuszką kciuka opuszki palców wskazującego i środkowego.

Woronin sięgnął po portfel.

Amsterdam

marzec–kwiecień 1922 roku

1

Kilka dni po pocałunku w bramie Dawidowi Schwartzmanowi ciągle kręciło się od niego w głowie. Nie znał i nie rozumiał stanu, w jakim się znalazł, zastanawiając się, czy spotkało go to, co ludzie nazywają miłością.

Pamiętał jak przez mgłę ciepło i radość, jakich doznawał od rodziców przed ich śmiercią, ale były to wspomnienia tak odległe i nierealne, że czasami dochodził do wniosku, że wszystko mu się śniło. Później, w domu ciotki, nie było już niczego dobrego. Mimo pieniędzy rodziców, które siostra ojca przejęła w spadku wraz z obowiązkiem wychowania bratanka, mały Dawid żył w otoczeniu nędzy, niechęci i pogardy. Często chodził głodny i wstydził się w szkole swoich zniszczonych ubrań, które dawno temu powinny zostać wyrzucone, choć ciotka z wujem nosili się modnie i jadali w drogich kosztownych restauracjach. Niekiedy zazdrościł ludziom żyjącym na ulicy. U ciotki, a potem w przytułku, do którego został oddany, gdy opiekunowie roztrwonili majątek jego rodziców, było dużo gorzej.

Marta pojawiła się w jego mrocznym i zimnym świecie jak słońce, o którym słyszał, choć nigdy go nie widział. Rozświetliła wszystko

niczym blask, który potrafił wydobywać z diamentów. Pragnął, aby chwila w bramie trwała wiecznie albo żeby zaraz po tym umarł, ocalając świeżość jedyne szczęśliwego doznania, jakie spotkało go w życiu.

W czwartkowe wieczory stary Nagler wysyłał Dawida do eleganckiego domu przy Rapenburg, w którym mieszkał Ruben Luria, jubiler artysta, uchodzący za niedoścignionego mistrza w opracowaniu brylantów w złoto i platynę. Dawid co tydzień zanosił mu zalakowaną kopertę, w której znajdowała się dokonana przez Naglera charakterystyka oszlifowanych kamieni. Luria, zawsze ubrany w długi wzorzysty szlafrok i noszący na głowie fez z filcu w kolorze bordo, brał do rąk kopertę, siadał w fotelu, łamał czerwoną plamę zastygłego laku, wydobywał kartkę z opisem brylantów i czytał je natchnionym szeptem: „Róża trójścienna – 0,9 karata, rozeta amsterdamska – 1,1 karata, bagieta ze szlifem trapowym – 0,8 karata”. A potem zamyślał się głęboko jak generał, który otrzymał właśnie ważny szpiegowski szyfr i na jego podstawie planuje atak na pozycje wroga.

To była ich tajemnica. Naglera i Lurii. Podczas gdy inni szlifierze przynosili do słynnego jubilera gotowe brylanty, bezskutecznie próbując namówić go na wykonanie oprawy, Nagler swoimi opisami przemawiał do jego fantazji, intrygował i animował polot mistrza.

– Widzisz, chłopcze – Luria zwierzył się kiedyś Dawidowi – każdy dureń o sprawnych rękach potrafi oprawić kamień w złoto. Robiłem to setki razy, produkując banalną, nijaką biżuterię. Ale jeśli chcesz być wielki, musisz zabić w sobie rzemieślnika i wskrzesić artystę. Coś ci wyznam: ja nie umiem już wymyślić niczego oryginalnego, patrząc na brylant. Potrafię wznieść się na

wyżyny tylko wtedy, gdy go nie widzę, a jedynie sobie wyobrażam. Tylko tam, w wyobraźni, umiem zaprojektować oprawę, która może być dziełem sztuki – mówił, po czym chwycił brulion leżący na stoliku pod lampą i pospiesznie, niemal chciwie szkicował pomysły, jakby obawiał się, że za chwilę mu umkną i już nigdy do niego nie powrócą.

Po tygodniu, w następny czwartek, oddawał gotowe projekty pierścionków, naszyjników i wisiorów, które Dawid zabierał w zalakowanej poczcie zwrotnej.

Młody Schwartzman lubił Lurię. Może dlatego, że też był Żydem sefardyjskim, którego rodzina przybyła wieki temu z Hiszpanii. A może z szacunku do jego wizji zamienianych w powszechnie podziwianą sztukę. To był wielki człowiek. Dawid wybaczał mu nawet obleśne spojrzenia, jakimi mistrz obrzucał go przy okazji każdej z czwartkowych wizyt. O homoseksualnych skłonnościach Rubena Lurii wiedział cały Amsterdam, choć on sam robił wszystko, aby temu zaprzeczyć.

Tamtego czwartku, kiedy wracał od jubilera z Rapenburg, niedaleko kamienicy Naglerów zamajaczyła mu sylwetka Marty przyklejona do witryny sklepu kolonialnego. Dziewczyna przyglądała się zgromadzonym tam bajecznie kolorowym puszkom z herbatą, jutowym woreczkom z kawą, suszonym figom i daktyłom ułożonym w małych drewnianych skrzynkach, laskom wanilii i szklanym naczyniom z przyprawami. Oglądała to wszystko w świetle ulicznej latarni, ale co chwilę odrywała wzrok, zerkając w stronę skrzyżowania. Tym razem przypuszczenie, że to na niego może czekać, graniczyło z pewnością. Od chwili gdy wyszedł zza węgła, przestała interesować się wystawą.

– Dawidzie – szepnęła, gdy znalazł się dwa metry od niej.

Cofnął się o pół kroku, co sprawiło, że posmutniała.

– Nie powinni nas widzieć – wytłumaczył się.

– Masz rację – przytaknęła. – Ale muszę z tobą porozmawiać. –

W jej głosie była jakaś determinacja. – Nie daje mi spokoju to, co zrobiłeś.

Pierwszą myślą, jaka przyszła mu do głowy, był pocałunek w bramie, ale niemal natychmiast przywołał się do porządku. Przecież to ona pocałowała go pierwsza. Nie mogła go winić. Na wszelki wypadek przezornie postanowił milczeć.

– Dawidzie – oświadczyła z tą samą determinacją co przed chwilą. – Twoja opowieść o diamentach i ich duszach, do których potrafisz dotrzeć, sprawiła, że tamtej nocy nie zmrużyłam oka.

Słuchał, przyglądając się jej ustom, zgrabnej linii nosa i ciemnym błyszczącym oczom. Nigdy nie widział tak długich rzęs i brwi o idealnym rysunku. Miały tę samą kruczą barwę co włosy Marty, których niesforny kosmyk uparcie opadał jej na twarz.

– Następnego dnia – kontynuowała – poprosiłam o szczerą rozmowę Moshego Shulmana. Powiedział mi w zaufaniu, że szlif, który wymyśliłeś, to coś absolutnie genialnego. Dzieło sztuki, a zarazem przełom w tworzeniu brylantów. To jego słowa. On wie, co mówi, Dawidzie – podkreśliła, widząc, że młody Schwartzman próbuje protestować. – Ja od początku wiedziałam, że jesteś nadzwyczajnym człowiekiem. Gdy tylko na ciebie spojrzałam... Ja...

– Dobrze już – powiedział cicho, chcąc wybawić ją z zakłopotania.

– Proszę nie mówić nic, czego może panienka potem żałować.

– Nie będę żałować! – podniosła głos. – Chcę tylko...

Znów nie dokończyła, sięgając do kieszeni palta. Choć w powietrzu pachniało już wiosną, wieczory w Amsterdamie nadal

były zimne.

Na dłoni, którą wyciągnęła w jego stronę, leżał diament.

– Chcę, abys go wziął – szepnęła – i oszlifował według swojego pomysłu.

– Ale jak to...? Skąd...? – zaniepokoił się.

– Nie ma powodu do obaw – wyjaśniła. – Kamień należy do mnie.

Od kiedy skończyłam piętnaście lat, ojciec dwa razy w roku, w dzień moich urodzin i w święto Purim, podarowuje mi surowy diament jako symbol decydowania o własnym życiu. Mogę z nimi zrobić, co zechcę. Zostawić sobie w posagu, dać do oszlifowania, sprzedać albo wyrzucić do kanału Keizersgracht. To jeden z tych kamieni. Najładniejszy. Od tej chwili jest twój, Dawidzie.

– Nie mogę go przyjąć. – Stanowczo pokręcił głową.

– Nie możesz mi odmówić – odparła. – Nigdy nikogo nie kochałam – Marta nagle zdobyła się na odwagę – a ciebie kocham od pierwszego spojrzenia. Nie rozumiesz tego? Nie widzisz?

Dawid Schwartzman stał jak słup soli.

Podeszła i wcisnęła mu kamień w dłoń.

– Oszlifuj go. Najpiękniej jak potrafisz. Dla siebie... Dla nas. Jak skończysz, pokażę twój brylant ojcu i... Pamiętasz, co mówiłeś? Jego niewiarygodny blask sprawi, że on uwierzy w twój nadzwyczajny dar. A wtedy...

Chciała mu opowiedzieć o swojej wizji domowego salonu z ogniem wesoło strzelającym w kominku, ojcem cieszącym się szczęśliwą starością w wygodnym fotelu i z nimi, razem prowadzącymi słynną na cały świat firmę Nagler & Schwartzman i otoczonymi gromadką wesołych dzieci. Ale uznała, że na tę opowieść przyjdzie czas, że dziś może wszystko zapeszyć.

– Do zobaczenia, Dawidzie – powiedziała i odeszła w stronę

kamienicy Naglerów.

2

Sto guldenów było ceną, za jaką dozorca kamienicy Naglerów przy Waterlooplein w Amsterdamie mógł kupić spokój. Ale dozorca nie miał takiej sumy i nic nie wskazywało na to, aby mógł ją mieć.

Tymczasem wizyty typów, którym był winien pieniądze, stawały się coraz częstsze i coraz bardziej nieprzyjemne. Ludzie ci, którym porządni Żydzi z sąsiedztwa ustępowali drogi, przechodząc na drugą stronę ulicy, zabrali dozorca już wszystko, co zdołał uciąć ze swojej lichej pensyjki oraz napiwków, jakie czasami zostawiała mu panienska Marta wracająca do domu po zamknięciu bramy. To jednak nie wystarczało.

Zabierając się do zamykania podwórka w paskudny ni to zimowy, ni wiosenny poniedziałek, dozorca po raz setny przeklął dzień, kiedy wybrał się z kuzynem do szynku przy Prinsengracht, wypił na pusty żołądek kilka kieliszków mocnego sznapsa i dał się namówić na grę w kości. Rozochocony alkoholem i rosnącym przed nim stosem monet stracił kontrolę i rzucił się w wir gry. W efekcie wygrane monety rychło zmieniły właściciela, a próba ich odzyskania skończyła się tragicznie. Za wszelką cenę chcąc się odegrać, dozorca pożyczył pieniądze od ludzi, którzy usłudnie zaoferowali mu swą pomoc. Skąd miał wiedzieć, że od nich nie należy pożyczać nigdy i pod żadnym pozorem. Nawet guldena.

Oczywiście przegrał. Parę dni później dowiedział się, że szynk słynie z wabienia naiwnych, którym najpierw daje się wygrać parę pul, a potem puszcza ich z torbami. Służą do tego specjalni

naganiacze oraz sfalszowane kości, dzięki którym sprawna ręka zawsze wyrzuci taki układ, jaki zechce. Dozorca chciał iść na policję, ale stanowczo mu to odradzono.

W poczuciu bezradności splunął pod nogi, natychmiast zamiatając grudkę śliny miotłą wykonaną z gałązek brzozy, i pomyślał, że wobec ciągle rosnącego długu i coraz wyraźniejszych gróźb powinien po prostu się powiesić, co będzie o wiele miłsze niż to, czego może się spodziewać po swoich wierzycielach. I właśnie w momencie tej refleksji ujrzał wchodzącego do bramy Izaaka Naglera.

– Moje uszanowanie dla pana dyrektora. – Zdjął czapkę i pochylił się w ukłonie nieco niżej, niż miał to w zwyczaju.

– A... – Nagler ledwo go zauważył. – To ty. Co słychać? Żona wydobrzała z bronchitu?

– Tak, chwalić Boga – odpowiedział z wdzięcznością dozorca, wpatrując się we właściciela kamienicy oczami, w których toczyła się jakaś walka lub dojrzewała ważna decyzja.

– No, co tam jeszcze? – Nagler ułatwił mu zadanie.

– A, bo proszę szanownego pana dyrektora, prośbę mam. Chciałbym pokornie zapytać po tylu latach służby, czy pan dyrektor nie dałby mi jakich pieniędzy tytułem akonta. Ja solidnie wszystko odpracuję. Z nawiązką. Pan dyrektor zna mnie przecież.

Nagler się skrzywił.

– Skoro pracujesz dla mnie tyle lat, to powinieneś wiedzieć, że Izaak Nagler nie daje zaliczek nigdy i nikomu. Nawet największym dostawcom diamentów. Zajmuj się swoją robotą uczciwie – właściciel kamienicy usunął niewidzialny śmieć czubkiem eleganckiego trzewika – a nadal będziesz otrzymywał swoje wynagrodzenie i jeśli nauczysz się nim właściwie gospodarować,

stać cię będzie na godziwe życie. Ja – Nagler wyraźnie zaakcentował zaimek – się tego nauczyłem, a nigdy od nikogo nie brałem pieniędzy akonto.

Dozorca skurczył się i szarżał, a jego dłoń zaciśnięta na miotle zaczęła lekko drgać.

– To już wszystko? – zapytał chłodno Nagler.

– Tak – szepnął machinalnie dozorca, ale nagle zmienił zdanie. – Nie – oświadczył, niemal podnosząc głos. – To jeśli tak... Jeśli pan dyrektor nie daje zaliczek, to może pan dyrektor zapłaci za bardzo ważną dla siebie nowinę... – Rozgoryczenie dozorca ustąpiło miejsca odwadze, która jego samego zaskoczyła.

– A jaką ty możesz mieć dla mnie nowinę? – Nagler popatrzył na niego z politowaniem zmieszonym z irytacją.

Dozorca zastygł w bezruchu. Raptem uświadomił sobie, że przedmiotem jego handlu jest panienka Marta. Dobra, poczciwa dziewczyna. Zawsze mająca dla niego uśmiech i parę groszy. A tymczasem on, jak najpodlejszy...

– O paniencie Marcie – wypalił w ostatniej chwili, bo sekundę później mogłoby go zakneblować sumienie.

Nagler spojrział z zaciekawieniem.

– Mów – rzucił krótko.

– Ale... – Dozorcę znów zalała fala wątpliwości.

– Dostaniesz pieniądze – skwitował właściciel kamienicy.

– No to... Ja chciałem pana dyrektora przestrzec, że panienka prowadzi się z tym całym Schwartzmanem ze szlifierni, proszę pana dyrektora.

Nagler chwycił go za klapy nędznego połatanego kubraka.

– Jak to: prowadzi? – syknął. – Co to znaczy: prowadzi?

– Zwyczajnie. – Dozorca struchlał z przerażenia, przekonany, że

rozpoczął coś, co doprowadzi do jakiegoś olbrzymiego zła. – Chodzą po ulicy, rozmawiają. Pan dyrektor mi daruje, ale na moje oko mają się ku sobie.

Właściciel kamienicy z całej siły wymierzył mu policzek.

– Jak śmiesz, ty... Ty... – W oburzeniu nie potrafił znaleźć słowa o dostatecznej dosadności. – Moja córka ma się ku jakiemuś gudłajowi? Moja córka?! Co ci strzeliło do tego baraniego łba? Jeszcze dziś pakuj manatki i won! Nie chcę cię tu więcej widzieć.

– Jak tak – dozorca niemal zaszlochał – to dobrze. Ja pójdę. Pójdę. Niech zdechnę na ulicy. Ale zanim zdechnę, niech pan dyrektor wie, że wszystkim powiem, co widziałem, że cała dzielnica się o tym dowie. Pana hańba za moją krzywdę. – Głos mu nagle stwardniał. Nacisnął czapkę na uszy i bez pożegnania zrobił krok w stronę drzwi, które jeszcze przed chwilą były wejściem do jego służbówki.

– Zaczekaj. – Nagler złapał go za ramię. Nadal trząsał się z gniewu, ale myślał już znacznie przytomniej. – Co widziałeś?

– Nie mam czasu mówić. – Dozorca wyraźnie zhardział. – Muszę pakować manatki.

– Zaczekaj – powtórzył Nagler i sięgnął po portfel. Wyjął z niego banknot, a potem upchnął go w kieszeni kubraka dozorca, który nawet nie wyciągnął ręki po pieniądze.

– To za to, że mnie poniosło. – Właściciel kamienicy przyjął pojednawczy ton. – Odszkodowanie. Mów, co widziałeś, a zapłacę drugie tyle.

Dozorca chrząknął niepewnie.

– Oni całowali się w bramie.

Nagler spurpurowiał.

– Widziałeś na własne oczy?

– Tak jak pana dyrektora teraz widzę.

Właściciel kamienicy jakby postarzał się o kilka lat. Zgarbił się, stracił całą złość i zamilkł. Po chwili, która musiała dla niego trwać wieczność, ponownie sięgnął po portfel.

Dozorca tym razem wyciągnął dłoń po podany mu banknot. Nagler nie patrzył mu w oczy.

– To za milczenie – powiedział ochrypłym głosem i powlókł się w kierunku schodów do swojego mieszkania. Niósł ciężar tak duży, że dozorca zrobiło się go żal. Ale tylko przez chwilę.

3

Dawid Schwartzman nie zwracał uwagi na urodę miasta, w którym się urodził i przeżył dwadzieścia lat, aż do chwili poznania Marty, kiedy to nieoczekiwanie zaczął dostrzegać piękno otoczenia. Naraz spodobały mu się domy i ich odbicia w lustrach kanałów, ogrody i niebo prześwitujące przez gałęzie starych drzew, pomniki i dorożki, sklepy i latarnie, pompy i kościoły. Nawet szara dzielnica żydowska widoczna w jej lśniących oczach wyglądała bardziej kolorowo niż najweselsze lunaparki.

Córka Naglera powiedziała kiedyś w szlifierni, że każdy mieszkaniec Amsterdamu powinien odszukać w tym mieście swoje miejsce. Pudełko przestrzeni, w którym będzie się mógł ukryć przed codziennością, troskami i ludźmi. W pamięć Dawida zapadło to na tyle mocno, że następnego dnia po południu przeszedł kilka ulic w kierunku zachodzącego słońca i w pewnej chwili stanął jak urzeczony. Całkiem blisko od szlifierni Naglera kanał Zwanenburgwal łączył się z rzeką Amstel, co zrobiło na chłopaku

niebываłe wrażenie. Rzeka była szeroka i dumna, kanał wąski i skromny, a jednak idealnie bratały się w tym mezaliansie i parę metrów dalej zlewały się i były już nie do rozróżnienia. Teraz nikt nie umiał powiedzieć, która woda jest czyja, która ładniejsza i ważniejsza. Od tej chwili to było miejsce Dawida Schwartzmana.

Potem dowiedział się, że nie tylko jego. Rembrandt, duma Amsterdamu, przychodził tu, szukając niezwykłego światła, którego u zbiegu kanału i rzeki było pod dostatkiem niemal o każdej porze dnia.

Dawid też po nie przyszedł. Usiadł na ławce przy niedługiej spacerowej alejce, nacieszył oczy widokiem, który zawsze dobrze go nastrajał, a potem wyjął z kieszeni sukiennej kurtki czarną aksamitną szmatkę i delikatnie ją rozwinął. Wewnątrz znajdował się diament podarowany mu przez Martę. Młody Schwartzman widział go już parokrotnie, ale nigdy w słońcu, nigdy w świetle, w którym mógł po swojemu porozmawiać z kamieniem.

Przez moment zastanawiał się, czy to stary Nagler wybrał dla jedynej córki akurat tę bryłkę minerału, czy też Marta wskazała ją sama, ale nie miało to wielkiego znaczenia. Kamień był fantastyczny. Dawid delikatnie ujął go w dwa palce i uniósł do oczu, dzięki czemu uzyskał efekt jak w fotoplastykonie – złudzenie trójwymiarowości. Niewielu ludzi na świecie potrafi to ujrzeć w surowym diamencie, ale Dawid Schwartzman akurat się do nich zaliczał. Widział doskonale, gdzie i pod jakim kątem powinien przyłożyć dłuto, aby odłupać niepotrzebne części. Albo jak je spiłować – nad tym się jeszcze zastanowi. Jedno jest pewne: musi pracować sam. W absolutnej tajemnicy.

Nie mogę mieć ani przecinacza, ani piłowacza, ani ustawiacza, pomyślał i przez chwilę przeszedł go strach, który zaraz przegnał.

To co, że zajmuje się fachem dopiero od paru miesięcy?
Niejednokrotnie widział robotę wykonywaną przez ludzi, którzy
cięli i piłowali surowe diamenty. Stanowili zawodową elitę
i wszyscy odnosili się do nich wręcz uniżenie, ale czy rzeczywiście
byli to jacyś cudotwórcy? Dobrzy rzemieślnicy, nic więcej. Wspinali
się przez lata na swoje szczeble w drabinie fachu, a potem bronili
ich, tworząc wokół siebie mit Bóg wie jakiej precyzji i zręczności.
Czy rzeczywiście było w tym coś nadludzkiego? Bez przesady.
Gdyby hierarchia w szlifierni na to pozwalała, Dawid gotów był
wziąć się za robotę klovera czy zagera choćby dziś, stawiając
czapkę śliwek przeciwko stu guldenom, że nie popełni błędu,
uderzając młotkiem w dłuto albo podkładając diament pod piłę.
Wystarczy zrozumieć kamień, a resztę on sam podpowie. Tak to
przedstawił Marcie, bo święcie w to wierzył.

A więc przecinacza i piłowacza wyręczy sam. Zostaje ustawiacz.
Najmniejszy problem. Już raz samodzielnie umieścił diament
w kleszczach dopu, chociaż skończyło się to awanturą. Przecież nikt
inny nie może ustawić mi kamienia pod mój własny szlif –
uśmiechnął się do swoich myśli.

Własny szlif. Szlif Schwartzmana... Czarny szlif... Różnie mówiło
się o tym w branży, rozbudowując legendę do Bóg wie jakich
rozmiarów, ale czy jego unikalna metoda naprawdę istniała?
Dawida ogarnęły wątpliwości. Jedna trzecia amsterdamskich
Żydów zajmowała się szlifowaniem diamentów i dla połowy z nich
Schwartzman był geniuszem, a dla pozostałych szarlatanem. Ani
jedni, ani drudzy nigdy nie widzieli brylantu oszlifowanego metodą
mitycznego czarnego szlifu. Ba! On sam nigdy go nie widział. Miał
tylko pomysł, projekcję wyobraźni. Raz spróbował ją urzeczywistnić
w warsztacie Naglera, ale nie dane mu było dokończyć dzieła.

A co będzie, jeśli finalnie jego brylant się nie uda? Zmarnuje diament подарowany mu przez Martę i wkrótce stanie się pośmiewiskiem fachu. Wszyscy czekają na dowód istnienia jego szlif. Dziś jeszcze się tym emocjonują, plotkują, dyskutują, składają mu propozycje pracy. Ale jeśli nie pokaże gotowego brylantu obrobionego według swojego pomysłu, za chwilę zostanie szmondakiem, któremu wydawało się, że przeprowadzi rewolucję w branży. Co wtedy powie Marta? Może jeszcze jest czas, żeby się wycofać i ogłosić, że żaden czarny szlif nie istnieje?

Nie. Nie ma mowy. Był pewien swojego pomysłu, choć nie potrafił pojąć, dlaczego nikt nie odważył się sięgnąć po coś, co jemu wydawało się tak oczywiste. Czyżby powodem był konserwatyzm środowiska? Szlif brylantowy, a zwłaszcza jego najwyższa odmiana, czyli patent Josepha Asschera z Amsterdamu oficjalnie zarejestrowany dwadzieścia lat temu, w branży był świętością. Prawdą objawioną. Zjawiskiem niepodważalnym jak wschód słońca albo śmierć. Asscher był Bogiem. To on przeciął i oszlifował Cullinana – największy i najczystszy diament świata, z którego zrobiono dziewięć dużych brylantów znajdujących się w skarbcu wieży Tower w Londynie. Wszyscy szlifierze chylili czoło przed Asscherem i pragnęli go naśladować. Nikomu nawet przez myśl nie przeszło, żeby spróbować czegoś innego. Tylko on, Dawid Schwartzman, postanowił się wyłamać. Popełniał grzech pychy?

Nie. Po pierwsze, był pewien swojego pomysłu. Po drugie, urodził się tego samego dnia 1902 roku, w którym Joseph Asscher opatentował swój wielki szlif. To nie mógł być przypadek. Dlatego oszlifuje diament, który dostał od Marty. Po swoim. Dla niej i dla wszystkich, którzy wierzą w legendę jego metody. Dla siebie.

Więc jeszcze raz: zadania klovera, zagera i verstellera

ustawiającego kamień wykona sam. Pozostaje jeszcze jeden spec. Fachowiec odpowiedzialny za jakość tarczy szlifierskiej. Na tym się nie zna. Musi znaleźć kogoś zaufanego i kupić parę rzeczy – szybko przeliczył stan oszczędności: żeliwne kółka, oliwa. No i puder diamentowy. Tylko diament może zmusić diament do uległości. W przyrodzie nie ma twardszego materiału.

Ale i z tym sobie poradzi. Pozostaje największa z przeszkód: dyskrecja. Nikt nie może nawet snuć przypuszczeń, że Schwartzman coś kombinuje. Może pracować, zostając po godzinach w szlifierni pod pretekstem czyszczenia i konserwacji urządzeń. To pozwoli znaleźć czas na wykonanie kilku faset. Najważniejsze rzeczy robi, gdy wszyscy będą w synagodze. Akurat zbliża się przełom marca i kwietnia. Święto Paschy. Okazji zakradnięcia się do pustej pracowni będzie wiele.

Jest jeszcze coś. Moshe Shulman, jego bystrość i oczy z tyłu głowy. Musi bardzo uważać, bo jeśli ktoś może przejrzeć jego plan, to tylko ten cwaniak. Może warto pomyśleć o czymś, co odwróci jego uwagę? A może go wtajemniczyć? W końcu tamtą próbę uznał za genialną. To dzięki niemu legenda czarnego szlifu, którą Moshe nazwał tak od nazwiska Schwartzmana, zaczęła żyć własnym życiem. Może po prostu mu powiedzieć?

Energicznie wstał z ławki, z postanowieniem, że zaczyna od jutra.

Niecałe dwa tygodnie później Dawid wrócił po pracy do swojej izby w budynku szlifierni i usiadł na sienniku odrapanego metalowego łóżka, wieki temu kupionego przez Naglera za parę centów na wyprzedaży w jakimś szpitalu, który nie potrzebował już łóżek dla rannych, bo wojna światowa właśnie się skończyła. Znów wyjął

z kieszeni ten sam kawałek tkaniny, który miał nad rzeką Amstel, rozłożył go na stojącym obok taborecie, po czym uważnie przyjrzał się swojemu dziełu, które właśnie uznał za skończone. Na czarnym tle aksamitu świecił brylant, wypełniając pokój blaskiem tak silnym, że Dawid osłonił go dłonią z obawy, że lśnienie może zainteresować przechodniów na ulicy zagląających w okna czynszówek. Efekt przeszedł jego najśmielsze oczekiwania. Musi jak najszybciej pokazać go Marcie.

Tymczasem owinął brylant w aksamitną szmatkę i rozejrzał się, szukając dla niego odpowiedniej kryjówki. Parę dni temu od belki stropowej odpadła spora drzazga i Dawid uznał to za dobrą podpowiedź. Przysunął taboret, stanął na nim i rozkładanym nożem wydłubał spory otwór w belce, w którym umieścił swój skarb. Następnie dopasował drzazgę i umocnił ją kilkoma niewidocznymi, ale mocnymi klinami drewna. Trzymała się solidnie i bez pomocy noża była niemożliwa do odłupania.

Otarł pot z czoła i ponownie usiadł na łóżku, pogrążony w myślach. Słowo stało się ciałem – raptem przypomniał sobie sentencję usłyszaną w kościele, do którego zabierali go rodzice, Żydzi safardyjscy wieki temu przechrzczeni na katolicyzm.

– Słowo stało się ciałem – szepnął do siebie.

Legendarny szlif Schwartzmana był faktem.

Bracia Joel i Natan Siegel zabłądzili do Amsterdamu z Berlina jesienią 1918 roku i zapomnieli drogi powrotnej. Byli niemieckimi Żydami. Przed wybuchem Wielkiej Wojny imali się różnych zajęć,

rzadko legalnych, ale w pełni ukształtował ich dopiero dziesięciomiesięczny pobyt w okopach pod Verdun, gdzie zdobyli trzy cenne umiejętności: przetrwania za wszelką cenę, nieliczenia się z niczym i zabijania ludzi łatwego jak rozplaszczanie much gumową packą w parne letnie popołudnia. W Amsterdamie trudno było o morderstwa na zlecenie, nad czym bracia szczerze ubolewali, wynajmując się do mniej satysfakcjonujących i gorzej płatnych prac. Kręcili się w pobliżu branży jubilerskiej, skutecznie odzyskując długie i udzielając bolesnych przestróg w imieniu swoich mocodawców, ale najczęściej zajmowali się ochroną transakcji zakupu złota i surowych diamentów, co było zajęciem nudnym, bo bezkrwawym. Generalnie gardzili współplemieńcami z Amsterdamu robiącymi biznes na świecidełkach, ale jednego z nich traktowali z niemal nabożnym szacunkiem.

Tym jednym był Izaak Nagler. Sekret tej estymy tkwił w fakcie, że synowie starego jubilera kręcili duży biznes alkoholowy w Ameryce, a tam trup ścielił się gęsto i częściej słychać było strzały z browninga niż brzęk butelek z podrabianym burbonem. Bracia Siegel mieli wspólne marzenie: popłynąć parowcem do Nowego Jorku i pracować dla młodych Naglerów.

Dlatego otrzymawszy wiadomość od ich ojca, stawili się natychmiast, przekonani, że znów chodzi o eskortę jubilera i jego walizki z pieniędzmi do portu w Rotterdamie, dokąd przyływały diamenty z południa Afryki. Ale tym razem byli w błędzie.

Stary Nagler przyjął ich w swoim biurze w szlifierni. Przed wieczorem, gdy wszyscy pracownicy wyszli już do domów i można było porozmawiać bez świadków. Bracia Siegel zachęceni gestem dłoni, usiedli na otomanie i bez pytania zapalili papierosy.

– Posłuchajcie mnie uważnie, chłopcy. – Stary zawsze zwracał się

do nich kordialnie, przy każdej okazji podkreślając, że przypominają mu synów. – Długo czekaliście na tę chwilę, aż wreszcie nadeszła – oświadczył.

Joel i Natan drgnęli, niemal jednocześnie zatrzymując papierosy w połowie drogi do ust.

– Wykonacie dla mnie niewielką robótkę – kontynuował Nagler. – A po jej zakończeniu kupię wam bilety pierwszej klasy na najbliższy statek do Ameryki i dam list polecający do moich synów, którzy was zatrudnią.

Bracia wpatrywali się w niego w skupieniu z trudem maskującym zachwyty. Nigdy nie nadużywali narządów mowy i w Amsterdamie mieli przydomek „duetu niemowłów”, choć nikt nie odważył się powiedzieć im tego prosto w twarz. Najchętniej komunikowali się gestami głowy: skiniecie – tak, kręcenie – nie.

– Zrobicie tak – odpowiedział Nagler na ich pytające spojrzenia. – W najbliższą sobotę Ruben Luria, ten bogaty jubiler z Rapenburg, wyjeżdża na parę tygodni do Włoch. Nie chwali się tym na prawo i lewo, ale jego najbliżsi współpracownicy o tym wiedzą. Pewnie stary pederasta zdybał nowego chłopczyka i funduje mu romantyczny wyjazd na Capri. Wyspę kochanków – dodał zmienionym głosem i w jego oczach błysnęło coś złego. – W każdym razie – mówił dalej – od niedzieli jego mieszkanie będzie puste. Luria ma w nim sporo cennych rzeczy, więc drzwi są solidne, a zamki to najnowszy krzyk techniki. Potraficie się włamać do takiej twierdzy?

Joel Siegel, „rozmowniejszy” z braci, skinął głową.

– To dobrze – uznał Nagler. – W każdy czwartek mój pracownik Dawid Schwartzman znosi do Rubena Lurii służbową korespondencję. Zna dobrze rozkład mieszkania i jest

zorientowany, gdzie znajduje się szafa ogniotrwała, w której Luria trzyma moje brylanty czekające na oprawę. Możecie rozpruć tę szafę?

Joel pokręcił przecząco głową.

– Otworzymy ją dzięki słuchawkom lekarskim, przez które słychać kliknięcia zapadki – odezwał się po raz pierwszy dzisiejszego wieczoru.

– No właśnie... – Nagler uniósł ręce – ...nie możecie tak zrobić. To musi wyglądać na robotę amatora. Szafa ma być rozpruta.

Starszy z braci skinął głową bez cienia protestu.

– Zabierzcie te brylanty – Nagler podsunął im rysunki Lurii – oprawione lub nie. Inne rzeczy, które znajdziecie w sejfie, należą do was. To premia.

Tym razem bracia obaj pokiwali głowami. Pomysł im się spodobał.

– Ale moje brylanty – podkreślił Nagler – muszą do mnie wrócić. Podrzucicie je do pokoju obok szlifierni, który zajmuje Dawid Schwartzman. Będziecie go śledzić i zaczekacie, aż gdzieś wyjdzie, a potem włamiecie się bez śladów i ukryjecie kamienie u niego, ale niezbyt sprytnie. Tak, żeby odnaleźli je ci z policji. Macie jakieś pytania?

Bracia pokręcili głowami.

5

Stary rudy kot zwinięty w kłębek na schodach domu przy Rapenburg nie był zachwycony stukotem dwóch par butów, które przerwały mu sen we wczesny niedzielny poranek. Odkleił jedno

oko i spojrzawszy na ludzi, którzy szli wprost na niego, uznał, że jeśli chce uniknąć kopniaka, powinien się wynosić. Sekundę później już go nie było.

Jeden z mężczyzn, trzymający w ręku sporą walizkę, zatrzymał się przy schodach i obserwował ulicę. Drugi podszedł do drzwi i odchylił lewą połę płaszcza, pod którą znajdował się zestaw specjalistycznych narzędzi umieszczonych w osobnych szlufkach, oddalonych od siebie na tyle, aby metalowe przedmioty nie dotykały się i nie wydawały niepotrzebnych dźwięków. Spojrzał pytająco na swojego towarzysza stojącego na ulicy, a gdy tamten skinął głową, wyciągnął z zestawu dwa płaskie i cienkie pręty, które ułożone razem przypominały literę F. Pochylił się i sprawnym ruchem umieścił narzędzia w otworze zamka. Chwilę manipulował nimi z wyczuciem, po czym wysunął pręty i z powrotem umieścił je na swoich miejscach w zakamarkach płaszcza. Pewnym ruchem przekręcił gałkę i drzwi otworzyły się bezszelestnie. Mężczyzna kiwnął ręką na kompana i weszli do środka.

Znaleźli się w eleganckim holu, z kosztowną posadzką i kolekcją dziwacznych rzeźb, na których można było usiąść lub powiesić okrycie. Uchylone drzwi po prawej stronie odsłaniały oszklone biblioteczki pełne książek, czyli pomieszczenie, w którym według zapewnień starego Naglera znajdowała się kasa ogniotrwała.

Tak rzeczywiście było. Niższy z mężczyzn położył na biurku walizkę, otworzył ją i sięgnął po swoje narzędzia. Znacznie większego kalibru niż te z zestawu noszonego pod płaszczem przez współnika. Spojrzał z żalem na przyrząd stanowiący połączenie wielu kół zębatach, wyposażony w korbkę i twarde, ostry świder, którym udałooby się rozwiercić zamek kasy w kilka minut. Niestety. To musiało wyglądać na robotę amatora. Mężczyzna niechętnie

wydobył metalowe kliny i łom, którego wąską końcówką podważył drzwi szafy ogniotrwałej i mocno naparł na drugi koniec narzędzia. Metal jęknął.

Odpowiedział mu jakiś stłumiony dźwięk na piętrze domu.

Mężczyźni usiłujący rozpruć kasę w gabinecie na parterze spojrzeli na siebie z identycznie zdziwionymi minami. Wczoraj celowo obserwowali dom przy Rapenburg, widząc na własne oczy, jak tuż po szesnastej wywieziono walizki właściciela, a parę minut później wyjechał w ślad za nimi sam Ruben Luria ubrany w strój podróżny. W takiej sytuacji służba miała wolne i opuszczała Amsterdam. Ekscentryczny właściciel domu nie tolerował, gdy ktoś kręcił się po pokojach podczas jego nieobecności.

Mężczyźni usiłujący rozpruć kasę i rozwiązać zagadkę odgłosów na piętrze nie mogli wiedzieć, że wczoraj, mniej więcej godzinę po wyjeździe jubilera z Rapenburg, w kawiarni niedaleko dworca doszło do melodramatycznej sceny zazdrości, podczas której nowy kochanek Rubena Lurii chlusnął kieliszkiem szampana w twarz dawnego kochanka, spotkanego tam całkowicie przypadkowo. Rozpętała się malownicza awantura z piskami i tłuczeniem kawiarnianej zastawy, w efekcie czego Ruben Luria dostał spazmów i utracił zdolność podróżowania koleją, a tym bardziej do Włoch. Ośmieszony publicznie przez młodego przyjaciela, wrócił do domu w towarzystwie swojego eks, czyli Ariela Mallacha – również jubilera.

Zaalarmowany hałasem na parterze Luria owinął się wzorzystym szlafrokiem, wsunął pantofle z pomponami, wstąpił na moment do garderoby i zabrał stamtąd szpicrutę leżącą na półce z toczkami oraz rękawiczkami do jazdy konnej. Zamierzał obić nią niesfornych

służących, którzy mimo kategorycznego zakazu najwyraźniej plądrowali dom. Zszedł po schodach, pchnął czubkiem szpicruty uchylone drzwi gabinetu, pokonał próg i runął w czarną czeluść. Nie zdążył nawet poczuć uderzenia w tył głowy odlanym z brązu posążkiem chłopca ubranego jedynie w wieniec laurowy. Mężczyzna, który ukrył się za drzwiami, aby zadać cios pierwszym lepszym tępym narzędziem, jakie mu wpadnie w rękę, nie przejmował się ani siłą uderzenia, ani faktem, że z czaszki jubilera zaczęła płynąć krew wsiąkająca w drogi perski dywan.

Jego kompan też nie zwrócił na to uwagi. Jak gdyby nigdy nic zabrał się za mocowanie w drzwiach kasy kolejnych klinów, od naporu których musiał wreszcie puścić zamek lub któryś z zawiasów. Zamiast tego obaj usłyszeli wołanie z góry.

– Ruben! Co się tam dzieje? Wracaj do łóżka! Jest dopiero po szóstej! Zwariowałeś?

Głos nie należał do kobiety.

Napastnicy porozumieli się oczami, niższy zabrał łom i po cichu ruszyli na górę po schodach. W sypialni po prawej stronie, położonej tuż nad gabinetem i urządzonej w stylu mauretańskim, na ogromnym łożu z dziesiątkami misternie haftowanych poduszek leżał nagi Ariel Mallach. Przez chwilę przyglądał się osłupiałym wzrokiem dwóm ludziom, którzy stanęli w drzwiach, a następnie nakrył się arabską kapą i wpadł w gniew.

– Siegel? Natan Siegel?! Co tu robisz, łajdaku?! Wynoś się stąd, ale już! Bo zawołam policję.

Natan w odpowiedzi rzucił się na łóżko z furią dzikiego zwierzęcia, przyciskając rękami ramiona, a kolanami uda Mallacha. Joel Siegel tylko na to czekał. Jednym skokiem znalazł się przy twarzy wrzeszczącego jubilera i nakrył ją poduszką na tak

długo, aż unieruchomione przez brata kończyny ofiary zaczęły drgać w konwulsjach, a następnie zastygły. Po zabraniu poduszki oczy Ariela Mallacha martwo patrzyły w sufit.

Bracia wyprostowali na sobie ubrania pogniecione podczas ataku, Natan dla pewności sprawdził puls na tętnicy szyjnej uduszonego, po czym spokojnie zeszli na dół kontynuować zadanie powierzone im przez Izaaka Naglera.

6

Trzy brylanty znalezione w rozprutej kasie Rubena Lurii idealnie odpowiadały rysunkowi, który pokazał im Nagler. Joel Siegel owinał je w bibułki znalezione na biurku Lurii i schował do kieszeni kamizelki. Pozostałe kosztowności z sejfu, zgodnie z umową, należały do nich. Natan włożył je do płóciennego woreczka, który zawiązał i umieścił w przegródce walizki, gdzie zwykle przewozi się przybory toaletowe. Potem spojrzał na brata, wykonując pytający gest podbródkiem, którym wskazał leżącego na podłodze Rubena Lurię. Joel trącił martwego jubilera czubkiem buta, wydymając wargi i wzruszając ramionami, co miało zastąpić stwierdzenie: mało mnie to obchodzi. Miało go nie być w domu. Sam jest sobie winien.

Kwadrans później bracia z apetytem jedli śniadanie w restauracji jednego z renomowanych hoteli w centrum. Do wykonania została im ostatnia, najłatwiejsza, część zadania.

Kiedy następnego dnia rano Dawid Schwartzman zamknął swoją izbę na kłódkę, wychodząc do pracy w szlifierni, Joel Siegel, który

udawał interesanta czekającego na starego Naglera, wyszedł na chwilę na ulicę, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Zdjął kaszkiet i poprawił włosy, co było sygnałem dla Natana, że teren jest czysty. Joel wrócił do szlifierni, aby ewentualnie zatrzymać Schwartzmana, gdyby mu się nagle zachciało wrócić po coś do swojej kwatery. W tym czasie Natan bez trudu pokonał kłódkę i znalazł się w środku nędznego pokoiku Dawida.

Gdzie byś schował skradzione brylanty? – zapytał sam siebie i bacznie się rozejrzał. W tym samym momencie uprzytomnił sobie, że kryjówka nie ma być zagadką dla Sherlocka Holmesa z opowieści, które czytał w wydaniu zeszytowym, gdy parę lat temu siedział w więzieniu, ale dla przypadkowego detektywa z amsterdamskiego biura kryminalnego. Podrapał się w głowę, a potem jego wzrok padł na łóżko. Policja podczas rewizji zawsze pruje sienniki – uśmiechnął się do swoich myśli, po czym odpiął guziki grubej poszwy i głęboko w sianie zakopał czarny woreczek z brylantami. Siano było w miarę świeże, nikt nie będzie go wymieniał przez najbliższe tygodnie. A nawet gdyby policja nie znalazła kamieni, to łatwo je będzie wyciągnąć i jeszcze raz podrzucić Schwartzmanowi.

Otrzepał ręce z kurzu ususzonej trawy, obciągnął wykrochmalone mankiety dopinane do koszuli i wyszedł z izby, z powrotem zamykając kłódkę.

Tego samego wieczoru bracia Siegel stawili się w kantorku Naglera. Na pytanie, czy wszystko się udało, Natan skinął głową. Na dalsze pytania wyszczerzył zęby w paskudnym uśmiechu.

– Mała wiedza to krótsze przesłuchanie – wyjaśnił, zawiadamiając starego jedynie o tym, gdzie zostały ukryte jego

brylanty.

O zamordowaniu Lurii i Mallacha bracia nie wspomnieli ani słowem. Po co? Jeszcze mu się to nie spodoba. A przecież skoro chciał zakapować Schwartzmana i wysłać go na parę lat do pudła, to czy nie lepiej i skuteczniej od razu na szubienicę? Z więzienia ludzie wychodzą i najczęściej biorą się za zemstę planowaną przez lata w celi. Z szafotu wyjść się nie da. Z czasem stary zrozumie, że wyrządzili mu niezgorszą przysługę. A o morderstwie i tak dowie się za parę dni z gazet.

Zgodnie z umową odebrali bilety na najbliższy parowiec do Nowego Jorku oraz list polecający do synów Naglera wraz z życzeniami powodzenia. Skinęli staremu głowami i wyszli.

Wiadomość o brutalnym mordzie dokonany na dwóch jubilerach w domu przy Rapenburg obiegła miasto lotem błyskawicy i wydawała coraz głośniejsze pomruki nadchodzącej burzy. Ruben Luria był powszechnie szanowanym obywatelem i wybitnym artystą złotnikiem. Przyjaźnił się z ludźmi z amsterdamskich wyższych sfer, w tym z wpływowymi osobami z dworu królowej Wilhelminy. Wiadomość, że znaleziono go w szlafroku z rozbitą głową w tym samym domu, w którym znajdowało się martwe i nagie ciało Ariela Mallacha, naprawdę nikomu nie przynosiła korzyści.

Pewnie dlatego oddelegowano do jej prowadzenia młodego, ale obiecującego porucznika korpusu Królewskiej Policji Wojskowej, który słynął z dyskrecji i drobiazgowości w kierowaniu śledztwami. Nazywał się Lucas van Dijk i przystąpił do pracy minutę po otrzymaniu tej sprawy.

Po pierwsze, zabronił udzielać komukolwiek jakichkolwiek

informacji. Po drugie, odesłał ciała do kostnicy z zaleceniem, aby starannie zbadali je najlepsi medycy sądowi. Po trzecie, narzucił ostre tempo śledztwa. Od chwili, gdy posłaniec dyrekcji dworca Amsterdam Centraal wysłany na Rapenburg z pytaniem, co zrobić z walizkami Rubena Lurii, znalazł ciała, minęły trzy dni. Długo. Zbyt długo, bo porucznik wierzył w to, że świeże ślady są najbardziej przydatne. Po czwarte wreszcie, zaczął typować sprawcę. A raczej sprawców, bo jego żandarmski nos podpowiadał mu, że morderca nie był sam.

Metoda van Dijka była prosta. Na tablicy w swoim biurze rysował kredą małe kółka symbolizujące środowiska, w których obracały się ofiary. Kółka miały w środku napisy: rodzina, branża, towarzystwo, a od nich odchodziły zakrzywione linie, wzdłuż których porucznik wpisywał nazwiska osób znanych zamordowanym. Z daleka jego rysunki przypominały wielkie tarantule. Kółka środowisk były odwłokami, linie odnóżami, a litery na nich wyglądały jak włochate pokrycia macek pajaków. Obrzydzenie brało na sam widok, ale jedno było pewne: wśród tych bazgrołów znajdował się ślad sprawcy.

Wywiadowcy sprawdzali ludzi z tablicy, a van Dijk osobiście przesłuchiwał tych, którzy mogli coś wiedzieć. Po kilku dniach trafił do Izaaka Naglera.

Van Dijk nie przepadał za Żydami. Uważał ich za ludzi chciwych, niegodziwych i podstępnych. Za chorą tkankę w organizmie społeczeństwa. Na świecie było ich pełno. W Niemczech, we Francji, w Ameryce. Wszędzie się panoszyli i zawłaszczali jakieś poletka gospodarki, jak chociażby szlifowanie diamentów w Amsterdamie. Nabijali sobie kabzy, obrastali w tłuszcz i dorabiali się niebotycznych majątków, pasożytując na krajach,

które bezmyślnie udzieliły gościny ich przodkom. Byli jak rak. Lucas van Dijk święcie wierzył, że kiedyś pojawi się w Europie przywódca, który zrobi z tym porządek. Marzył, aby wódz krucjaty antyżydowskiej pochodził z Najjaśniejszego Królestwa Niderlandów i by wypenił stąd ludzi takich jak Luria: Żydów, pederastów i artystów siejących zgorszenie. W głębi duszy bynajmniej nie martwił się faktem, że ktoś rozwalił jubilerowi łeb.

Tymczasem maskując swoje poglądy i tłumiąc odrazę, uścisnął dłoń starego Naglera, przyjmując nawet filiżankę herbaty i kawałek biszkoptu.

– Był pan największym kontrahentem Rubena Lurii – raczej stwierdził, niż zapytał porucznik, siadając na otomanie w biurze właściciela szlifierni i wydając z kieszeni munduru niewielki notes i kopiowy ołówek. – Gdzie pan był, jeśli łaska, od sobotniego wieczoru po niedzielne przedpołudnie? – Van Dijk znał już przypuszczalną datę zgonu ofiar.

– W domu pod pierzyną – uśmiechnął się Nagler.

– Kto to może potwierdzić?

– Pod pierzyną zazwyczaj przebywam z żoną.

– Sprawdzimy – oświadczył zimno porucznik. – Często się pan widywał z denatami?

– Mallacha znałem tylko z widzenia, choć odpowiadałem na jego ukłony – wyjaśnił Nagler. – A z Rubenem... Raz, czasami dwa razy w miesiącu.

– Dziwne. – Van Dijk przeciągnął to słowo. – Przecież co czwartek wymieniali panowie przesyłki. Projekty, dokumenty handlowe, brylanty...

– Ale to nie ja tam chodziłem. – Nagler uniósł do góry obydwie dłonie odwrócone w stronę porucznika, jakby chciał

zademonstrować ich czystość.

– A kto?

– Brylanty do oprawienia, a potem gotową biżuterię dostarcza poczta kurierska. Niezawodni ludzie. Byli policjanci i wojskowi – podkreślił, wpatrując się w śledczego. – A dokumenty i projekty co czwartek nosił mój posłaniec. Ruben Luria bardzo go lubił – dodał, zmieniając ton na bardziej sugestywny. – Jeśli pan porucznik rozumie, co mam na myśli...

– Coś ich łączyło?

– Kto to może wiedzieć? – Nagler powtórzył gest z dłońmi. – Przyznam, że jak już tam poszedł, to niespieszno mu było z powrotem. Kiedyś w szlifierni wygadał się, że Luria mu się zwierza.

– Jak się nazywa ten posłaniec?

– Dawid Schwartzman – bez wahania odpowiedział stary i dodał usłużnie: – Na moje oko warto mu się dobrze przyjrzeć, panie poruczniku.

7

Wezwany do biura śledczego Dawid Schwartzman poczuł niepokój. Zdawał sobie sprawę, że chodzi o jego znajomość z Rubenem Lurią, ale nigdy nie miał bezpośrednio do czynienia z policją. Z czasów mieszkania na ulicy czuł organiczny wstręt do aroganckich i brutalnych stróżów prawa, a poza tym nie chciał odpowiadać na pytania o skłonności erotyczne jubilera.

– Denerwujesz się? – zapytał go na dzień dobry mężczyzna w mundurze porucznika Królewskiej Policji Wojskowej, nawet nie

zadając sobie trudu wskazania mu krzesła dla przesłuchiwanym.

– Nie – skłamał Dawid, co tamten bez trudu wychwytał.

– Opowiedz mi, żydowski chłopczyku, o swoich przygodach z miłym panem Rubenem. – Oficer wyraźnie zmierzał w określonym kierunku.

– Nie miałem żadnych przygód z panem Lurią – odparł Dawid, czując suchość w gardle.

– Jesteś pewien? Słyszałem, że uwielbiałeś te wasze czwartkowe tête-à-tête.

– Dostarczałem tylko przesyłki pana Naglera.

– Tylko przesyłki... – Porucznik udał zatroskanego. – I nigdy nie rozmawialiście?

– Czasami. Ale tylko w sprawach, z którymi posyłał mnie pan Nagler.

Śledczy raptem zmienił ton:

– Czy Luria był bogaty?

– Nie mnie to oceniać, proszę pana – odpowiedział Dawid.

– Jak to? – zdziwił się porucznik. – Wy, Żydzi, macie kalkulację w oczach.

– Nie wiem, proszę pana.

– Nie wiesz. Nie widziałeś drogich mebli, gobelinów, obrazów. Byłeś od nich o parę centymetrów, ale nie widziałeś. – Van Dijk zrobił bezradną minę. – A może chociaż widziałeś biżuterię, którą robił Luria?

– Widziałem.

– No – ucieszył się porucznik. – Jak chcesz, to od razu inaczej mówisz.

– Ale to nie znaczy, że... – zaczął Dawid.

– Że co?! – zapytał śledczy, mrużąc oczy. – Że nie zabiłeś Lurii

i jego kochasia? A wiesz, Dawidku, pozwól, że się z tobą nie zgodzę. Bo ja uważam, że zabiłeś. Zastanawiam się tylko, który motyw wziął górę: to, że byłeś zły, bo Luria opływał w dostatki, a ty żyjesz jak rynsztokowy szczur? Czy to, że Ariel Mallach zajął w łóżku Rubena miejsce, które należało się tobie?

Dawid milczał. Bezwiednie otarł drżącą dłonią mokre czoło.

– Pocisz się? – spytał troskliwie van Dijk. – Przecież tu jest chłodno. Dlaczego się pocisz, chłopczyku?

Dawid otwierał usta, ale porucznik powstrzymał go gestem dłoni.

– Pogadamy sobie jeszcze. Później. Teraz zapraszam cię do pewnego przytulnego pokoiku. Posiedysz sobie tam, pomyślisz, zastanowisz się, co chcesz mi powiedzieć. Dobrze? Mógłbyś sobie popatrzeć w niebo, bo widzę, że masz romantyczną naturę, Dawidku, ale, cholera, ktoś zapomniał zrobić tam okno. Fatalne przeoczenie, nie sądzisz?

Gdy posterunkowy wyprowadził Schwartzmana do policyjnej izolatki, van Dijk wraz z dwoma wywiadowcami udał się do szlifierni Naglera, aby przeszukać kwaterę Dawida. Był zadowolony. Czuł, że jest bliski ogłoszenia światu, kto zabił jubilerów – to raz. Dwa: dobrze, że to zrobił Żyd. Trzy: za rozwiązanie sprawy przed upływem tygodnia czekała van Dijka dodatkowa gratyfikacja. Początkowe przecucie, że sprawca mordu nie mógł działać sam, łatwo odsunął w niepamięć.

Kwietniowe słońce było coraz odważniejsze. Jechali przez ulice Amsterdamu nowym fiatem 501, pierwszym modelem tej marki produkowanym po wojnie. Przechodnie się za nimi oglądali. Lucas van Dijk, rozparty na tylnym siedzeniu wozu, czuł się jak namiestnik albo minister podążający z misją ratowania czystości

moralnej i rasowej Królestwa Niderlandów.

Tak jak się spodziewał, izba Schwartzmana była norą.

Wywiadowcy w kilka minut przewrócili i obejrzelili zdezelowane meble, opukali ściany i podłogę. Starannie zbadali kuferek, z którego wyrzucili nędzną odzież Dawida, rozpruwając kieszenie, zaszewki, kołnierze i mankiety. Gdy niczego nie znaleźli, porucznik bez słowa wskazał palcem siennik. Policjant, który zrzucił z niego pościel, wyjął z kieszeni składany nóż i rozciął płótno na całej długości. Następnie zanurzył dłonie w sianie i wyprostował się, triumfalnie trzymając w palcach czarny woreczek.

Był wysokim mężczyzną i boleśnie grzmotnął się przy tym w głowę, zawadzając o belkę stropu. Obrzucił ją wściekłym spojrzeniem i przez sekundę wydawało mu się, że widzi nienaturalną szczelinę, ale to nie miało już dla niego znaczenia. Miał w ręku trzy poszukiwane brylanty Naglera – niezbity dowód zbrodni Dawida Schwartzmana.

Gdańsk/Warszawa

sierpień 2011 roku

1

Pracownik ochrony sieciowego sklepu kosmetycznego w gdańskim centrum handlowym spojrział z niesmakiem na mężczyznę, który właśnie wszedł do drogerii. Gość był po pięćdziesiątce. Nosił turkusowe bermudy, klapki i koszulkę z logotypem zespołu rockowego. Bez rękawów, co umożliwiała lepszą ekspozycję obwisłych archetypów mięśni jego ramion. Farbowane włosy, usztywnione jakąś substancją, sterczały mu na kształt potarganej fryzury niesforne nastolatka, którą podtrzymywały okulary przeciwsłoneczne. Całość dawała idealny efekt dziadka przebranego za wnuczka, choć psuły go detale: skarpety noszone do kłapek, na szyi solidny łańcuch w kolorze złotym, sygnet na palcu lewej dłoni oraz saszetka w kształcie orzecha nerkowca umieszczona na szerokim pasie, w tym indywidualnym wypadku – pod brzuchem. Stylizacji szkodził również fakt, że mężczyzna w turkusowych bermudach nierówno wysmarował się samoopalaczem i przypominał niestarannie oskrobaną marchewkę.

Saszetka na jego podbrzuszu zaczęła właśnie donośnie grać *La Cucarachę*, co spowodowało, że właściciel bermudów odsunął szybko zamek błyskawiczny, chwilę pogmerał w środku i wydobył

telefon komórkowy melodyjnie sygnalizujący połączenie przychodzące.

– No i gdzie ty jesteś? – zapytał z irytacją szefa, którego podwładny każe na siebie czekać. Przez chwilę słuchał odpowiedzi, po czym oświadczył głośno: – A co mnie obchodzi, że musiałeś ustawić antyterrorkę? Wrzucaj koguta na dach i dawaj tu na sygnale.

Rozłączył się i powiódł badawczym wzrokiem po młodych kobietach kręcących się wśród półek z kosmetykami, ale żadna nie zareagowała. Urażony, podszedł do regału z męskimi wodami toaletowymi i obficie popsikał testerem okolice złotego łańcucha. Obserwujący go ochroniarz z niedowierzaniem pokręcił głową.

Policjant, który nakłonił Wiesława Palucha, byłego dyrektora pionu śledczego IPN-u, do wizyty w Trójmieście, zastał go przy stoliku kawiarni w tej samej galerii handlowej. Przywitali się z udawanym uściskiem i poklepywaniem, jak to zwykli czynić włoscy gangsterzy w amerykańskich filmach, po czym usiedli w płytkich fotelach, tak zaprojektowanych, żeby się w nich nie rozsiadać na zbyt długo.

– Niezła stylówka. – Policjant obrzucił wzrokiem turkusowe bermudy i resztę. – Odmładzasz się?

– Nie muszę – prychnął Paluch. – Nachodziłem się w garniturze – wyjaśnił zaniepokojony, że mąż kuzynki może mieć rację. Mimo wnikliwych studiów nad najnowszymi trendami męskiego wizażu były dyrektor IPN-u ciągle miał wrażenie, że bardziej je naśladowe, niż rozumie.

– Posłuchaj, Wiesiek. – Policjant przeszedł do rzeczy. – Ten temat, co ci mówiłem przez telefon, to coś w sam raz dla ciebie. Możesz trafić dziesięć koła eurasów. – Spojrzał na niego badawczo,

chcąc sprawdzić, jakie wrażenie wywrze ta kwota. Oleg Woronin wprowadził zabudżetował na honorarium byłego dyrektora IPN-u sumę dwa razy większą, ale policjant uznał, że musi coś mieć za pośrednictwo.

Wiesław Paluch nie okazał żadnych emocji, poza lekkim skrzywieniem:

– Nie jestem pewien, czy chcę pracować dla tych pejsatych.

Czyjego grobu oni szukają?

– Swoich ziomków zamordowanych podczas wojny w obozie na Śląsku.

– Po co?

– Ty się pytasz? Dyrektor z IPN-u? To proste. Chcą znaleźć ich szczątki, postawić pomnik i tak dalej.

– Dlaczego nie zwrócą się z tym do instytutu?

– No właśnie. – Policjant podrapał się w głowę. – Jest taka sprawa, że oni chcą szukać tego miejsca pochówku po legalu, bo to przecież teren obcego państwa i w ogóle, ale jak już się dowiedzą, gdzie jest grób, to muszą do niego zajrzeć. Inaczej być nie może.

– To jakiś rytuał? – spytał Paluch.

– Raczej czegoś tam szukają i nie chcą, aby ich ktoś ubiegł. – Policjant rutynowo ściszył głos.

– Czego?

– Nie mam pojęcia.

– I co? – prychnął były dyrektor IPN-u. – Ja mam to dla nich znaleźć?

– Nie żartuj, Wiesiek – zdetonował go policjant. – Ty masz namierzyć grób, a resztę zostaw mnie.

– A ty co zrobisz?

– Normalną ekshumację. A raczej jej podróbkę. – Zaśmiał się

cynicznie. – Dziś wszystko się podrabia. Będzie taśma policyjna, ekipa, papiery. Nikt się nie kapnie. Parę godzin i po temacie.

Proste? Proste.

– Ty będziesz tym kierował? – upewniał się Paluch.

– Nie. Znajomy. Nazywa się Oleg Woronin.

– O nie – jęknął były dyrektor IPN-u. – Nie dość, że Żydki, to jeszcze Ruski.

– Wiesiek. – Policjant się zirytował. – A niech to, kurwa, będą i Aborygeni. Płacą? Płacą.

Paluch bił się z myślami.

– Ale jak ja mam szukać tego grobu? Przecież nie pracuję już w IPN-ie – powiedział bardziej do swoich myśli niż do rozmówcy.

– To najmniejszy problem – oświadczył policjant. – Grobu szuka jakiś koleżka z twojej dawnej firmy. Były prokurator. Chodzi o to, żeby go przypilnować, wiesz: zbieranie informacji w środowisku, obserwacja, może jakiś podsłuch. Musisz wiedzieć, na jakim jest etapie, ale powinieneś mu pozwolić znaleźć ten grób, a jak już znajdzie, to go uprzedzimy i zrobimy ekshumację.

– I sądzisz, że on na to pójdzie?

– Wiadomo, że nie pójdzie – stwierdził policjant. – Ale nikt go nie będzie pytał o zdanie. Najwyżej trzeba będzie gościa wyłączyć z kontaktu.

Paluch zbladł.

– Spoko. – Policjant uniósł otwartą dłoń, jakby zatrzymywał kierowcę, który przekroczył prędkość. – Trzeba tylko kolesiomu zrobić małą przerwę. Jakaś tabletką do kawy, żeby się zdrzemnął na parę godzin dłużej i nam nie przeszkadzał.

Ale przestrach byłego dyrektora IPN-u nie ustępował.

– Śmierdzi mi to wszystko – wyznał. – Podsłuch, nielegalna

ekshumacja, usypianie ludzi. Nie – stwierdził stanowczo. – To nie dla mnie. Dzięki za propozycję, ale nie wchodzę w to.

Policjant z trudem powstrzymał falę gniewu.

– Nie bądź głupi, Wiesiek – powiedział najbardziej sugestywnie, jak potrafił. – Temat jest prosty i z twojego podwórka. Niczego nie ryzykujesz. A dziesięć tysięcy euro piechotą nie chodzi. I to za co? Za przypilnowanie kolegi po fachu?

Paluch dopiero teraz zorientował się, że pominął ten wątek.

– Powiedziałeś, że grobu szuka były prokurator IPN-u. Znasz jego nazwisko?

Policjant sięgnął do okładki legitymacji służbowej, wyjmując stamtąd przekazaną przez Olega Woronina wizytówkę hotelu Sheraton z dopiskiem na odwrocie. Bez słowa podał ją kuzynowi żony.

– Jakub Kania – przeczytał Paluch dziwnym tonem. Twarz mu się zmieniła. – Biorę tę sprawę – oświadczył nieoczekiwanie. – Ale połowa pieniędzy z góry.

Mina policjanta z zaskoczonej zmieniła się w zadowoloną.

2

Na początku sierpnia ulica Długa jest jeszcze bardziej zatłoczona, kolorowa i wielojęzyczna niż zwykle. Kuba nie był zachwycony propozycją Unry, aby spotkać się właśnie dziś właśnie tu, ale skoro chłopakowi na wózku tak było wygodniej, nie śmiał oponować.

Zachwycona była za to Marysia. Na Długiej co parę metrów znajdowała się lodziarnia, nie licząc pozostałych atrakcji sezonu – ulicznych mimów, grajków i zonglerów, olbrzymich

nadmuchiwanym słoń i hipopotamów z plastiku oraz setek czarodziejskich przedmiotów: motyli krążących nad głowami dzieci, futrzanych stworków fikających koziołki i figurek, które same tańczyły i mówiły ludzkim głosem. Trzyletnia Maria Kania w zaistniałej sytuacji nie robiła najmniejszych trudności, aby tato oddalił się na pół godziny, i została z mamą, która miała sporo kłopotu z poskromieniem jej entuzjazmu oglądania, a sekundę później posiadania wszystkich osobliwości, których nie oferowały sieciowe sklepy z zabawkami. Ciągnięta za rękę przez córkę, Kasia zdążyła zartobliwie pogrozić Kubie pięścią, a zaraz potem wykonać z kciuka i małego palca symbol słuchawki telefonicznej, który przyłożyła do ucha, co miało znaczyć, żeby zadzwonił, kiedy będzie już wolny. Wysłał jej całusa zdmuchniętego z dłoni i zniknął w tłumie.

Unra czekał w zaułku obok Zielonej Bramy.

– Co tam? – odezwał się, wyciągając pięść, co było powitaniem, na które należało odpowiedzieć w ten sam sposób i stuknąć się kłykciami, zastępując uścisk dłoni. Kuba widział to w jakimś hip-hopowym teledysku, zatem zachował się zgodnie z etykietą.

– Niewiele – odpowiedział. – Ciągle czekam na te akta z IPN-u.

– Trochę to trwa, no nie? – skomentował Unra. – A kto w ogóle je ma, bo ostatnio nie powiedziałeś.

Kuba wymienił nazwisko profesora.

– A, ten orzełek. – Unra pokiwał głową, a irokez na jej czubku wyszczotkował powietrze. – Ciekawe, czego on szuka w temacie obozów Schmelta. Przecież to koleżka od bolszewików. Tropi ich dzień w dzień od świtu do nocy, a potem pewnie jeszcze mu się śnią, jak najeżdżają taczankami naszą umęczoną ojczyznę. Nie znasz go?

– Znam – niechętnie przyznał Kuba. – Kiedy pracowałem w IPN-ie, mój były dyrektor parę razy próbował wcisnąć mi go jako konsultanta naukowego, ale zawsze udało mi się wywinąć.

– Rozumiem – Unra oglądał swoje paznokcie – że według ciebie wiedza pana profesora kasku nie zrywa...

– Coś w tym rodzaju. Historia skażona polityką przestaje być historią i z reguły prowadzi na manowce. Jak byłem w twoim wieku, w Polsce zaczęła się masowa zmiana nazw ulic. To znaczy wszystkie Armii Ludowej na Armii Krajowej, Dzierżyńskiego na Piłsudskiego i tak dalej. Jeden polityczny zestaw na drugi. Pan profesor miał wtedy używanie, oj miał. Pamiętam z gazet, że w jednym z miasteczek w centralnej Polsce zrobił aferę i uparł się, żeby koniecznie przechrzcić ulicę o nazwie Zamkowa. Prowadziła do ruin zamku i wszystko było w porządku, ale on znalazł w archiwach jakiegoś lejtnanta Armii Czerwonej, który nazywał się Zamkow i brał udział w walkach o tę miejscinę. Więc oskarżył radnych, którzy bronili starej nazwy ulicy, o kryptopropagandę sowiecką. Uwierzysz?

– Znam temat zmian nazw ulic – ożywił się Unra – choć tej *story* nie słyszałem. Niezłe. Mogę to wrzucić na forum?

– Jasne – odrzekł Kuba. – Mam tego więcej.

– Dawaj. – Unra aż uniósł się na poręczach wózka. – Może zrobimy specjalną zakładkę na stronie? Co myślisz?

– No to jeszcze jeden kwiatek – odpowiedział wyraźnie zadowolony Kuba. – Jak może wiesz, na osiedlach domków jednorodzinnych za czasów PRL-u nadawano ulicom nazwy z klucza. To znaczy, jak jedna była Bzów, to sąsiednie nazywały się Chabrów, Sasanek, Tulipanów i Róż. Kojarzysz?

– No pewnie. – Chłopak był wyraźnie zaintrygowany.

– Albo – kontynuował Kuba – obok ulicy Wróbli musiała być Bocianów, Szpaków, Sikorek i tak dalej. Taki sam szablon obowiązywał w doborze nazw historycznych. No i jak na początku lat dziewięćdziesiątych zmieniano tabliczki, to się okazało, że na jednym osiedlu na Podlasiu sąsiadowały ze sobą ulice: Obrońców Westerplatte, Obrońców Stalingradu i Obrońców Monte Cassino.

Unra najpierw zrobił komiczną minę, a potem popłakał się ze śmiechu.

– To byli żołnierze dziesiątej armii Wehrmachtu broniącej klasztoru, musieli mieć niezły ubaw. Ale obciach. – Pokręcił głową i dodał: – Jesteś w porządku, Kuba. Fajnie by było, jak byś dołączył do naszego klubu. Wjazd już masz, za Winklera.

– Dzięki. To dla mnie zaszczyt. Serio. Ale obiecałem sobie, że najpierw rozwiążemy temat Góry Świętej Anny.

– Jasne – odparł Unra. – Sprawdzam niemieckie archiwa, na razie bez rezultatu, ale wreszcie gdzieś coś się znajdzie. Nie ma innej opcji. Potrzeba tylko czasu i cierpliwości. Dużo łatwiej będzie, jak już dostaniesz kwity z IPN-u. To nam zawęzi pole poszukiwań.

– Jeszcze parę dni – powiedział Kuba i tym razem on zainicjował pożegnalnego „zółwika”, obiecując sobie, że musi pokazać ten gest Marysi, która z pewnością będzie oczarowana.

Do Gdyni wracali SKM-ką. Kasia z wyraźną ulgą zajęła miejsce na ławce w wagonie kolejki i przymknęła oczy, odpoczywając po spacerze. Marysia siedząca obok przyłożyła głowę do jej boku i natychmiast zasnęła, obejmując nową przytulankę – pluszowego królika, który przyjechał z Chin w kontenerze z dziesięcioma tysiącami swoich klonów, choć na jarmarku uchodził za produkt rodzimego rękodziela artystycznego.

Kuba usiadł naprzeciwko i zupełnie jak w dzieciństwie przykleił nos do szyby, obserwując zmiany, jakie zaszły w Trójmieście od czasu, gdy wyprowadził się do Warszawy. Na peronie dworca we Wrzeszczu mignęła mu sylwetka mężczyzny, którego wyróżniały z tłumu turkusowe bermudy. Przez chwilę Kuba miał wrażenie, że ta postać wygląda znajomo, ale kolejka nabrała rozpędu, nie dając mu szansy na weryfikację przypuszczeń.

3

Następnego dnia po powrocie do Warszawy Wiesław Paluch wykonał kilka telefonów, po których jego wiedza na temat obozu na Górze Świętej Anny znacznie się zwiększyła. Dobrą wiadomością było, że śledztwo w tej sprawie prowadziła w latach siedemdziesiątych Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Jeszcze lepszą, że aktami dysponował IPN. Najlepszą, że obecnie korzystał z nich, w celach naukowych, profesor historii z Warszawy, którego Paluch dobrze znał i darzył wielkim uznaniem. Razem zasiadali w radzie pewnej fundacji zajmującej się przywracaniem Polsce świetności narodowej.

Profesor odebrał po szóstym dzwonku, kiedy zrezygnowany Paluch zamierzał już odłożyć słuchawkę. Wymienili powitania, po czym historyk zapytał z troską kapelana odwiedzającego skazańca w celi śmierci:

- U pana bez zmian, panie Wiesławie? Nadal pan bez zajęcia?
- Co zrobić – westchnął Paluch. – Wysyłam cv, ale...
- Represje – profesor wszedł mu w słowo. – Represje wobec naszych ludzi. Trzymać się trzeba. Nie jest pan sam. Trzymać się.

Niezłomnie.

– Ja wiem, panie profesorze, ale nie o tym chciałem. Czy mógłby pan profesor spotkać się ze mną jutro lub pojutrze? Mam pewną kwestię...

– Spotkać się, mówi pan? No, nie wiem. Nawał zajęć, panie Wiesławie.

Paluchowi przemknęło przez myśl, że kiedy był dyrektorem w IPN-ie rozdającym zlecenia i honoraria za konsultacje, profesor zawsze miał czas na spotkanie. Nie mówiąc o tym, że odbierał telefon od niego po pierwszym dzwonku. Przełknął jednak gorzcy tej refleksji i sięgnął po inny, niezawodny sposób.

– Chętnie bym panu profesorowi nakreślił temat teraz, ale to nie przez telefon...

– Aaaa, rozumiem. – Na historyka wyznającego spiskową teorię dziejów takie sformułowanie zawsze działało jak zaklęcie. – Wobec tego jutro w redakcji naszego czasopisma. O dziewiętnastej mamy posiedzenie kolegium naukowego, może o dwudziestej trzydzieści, jeśli nie za późno dla pana?

– Idealnie – potwierdził Paluch i się pożegnał.

Usiedli na plastikowych krzesłach trochę kontrastujących z olbrzymim oleodrukiem *Cudu nad Wisłą*, który profesor wskazał ruchem podbródka.

– Niedługo dziewięćdziesiąta pierwsza rocznica. Pamięta pan? – upewnił się.

Paluch zrobił minę „jak pan profesor może przypuszczać, że zapomniałem”, po czym chcąc uniknąć obligatoryjnego wykładu o bolszewickim robactwie toczącym kraj aż do dziś, zgrabnie przeszedł do rzeczy.

– Nasi ludzie w IPN-ie, wie pan profesor, ci zakonspirowani w strukturach instytutu, dali mi znać, że udostępnił panu akta obozu pracy na Górze Świętej Anny. Nie przypuszczałem, że interesują pana Żydzi...

Profesor skrzywił się z niesmakiem.

– Żydzi? Uchowaj Boże. Tam jest ciekawszy wątek.

Paluch poruszył się na krześle wyraźnie zaintrygowany.

– Ciekawszy?

– O tak – potwierdził historyk. – Dowiedziałem się od jednego z kolegów, że w zbrodniczych obozach Organizacji Schmelta, a zwłaszcza w Zwangsarbeitslager Annaberg – podkreślił, unosząc palec wskazujący – strażnikami byli żołnierze Wehrmachtu pochodzący z pobliskich miejscowości. Leśnica, Strzelce Opolskie, Krapkowice, Gogolin – wyliczał, patrząc wyczekująco na byłego dyrektora IPN-u. – Mówią coś panu te nazwy?

Paluch zrobił niepewną minę.

– Oczywiście, słyszałem je.

– Przecież to mateczniki mniejszości niemieckiej – profesor podniósł głos. – Większość ich posłów i senatorów do polskiego parlamentu – ostatnie słowa podkreślił z oburzeniem – pochodziła właśnie stamtąd. Rozumie pan, panie Wiesławie? To współczesna piąta kolumna. To trzeba ujawnić. Uzmysłować Polakom genezę, jaką mają działacze mniejszości niemieckiej, którym brukselska tolerancja pozwala na teutońskie knowania, znane od czasów krzyżackich. Trzeba to obnażyć. Powiedzieć światu, kim byli ojcowie dzisiejszych działaczy mniejszości. Strażnikami w obozie zagłady mieszczącym się tuż za płotem ich domostw, proszę pana! – Profesor rozkręcał się coraz bardziej, jak zawsze gdy wpadał na trop kolejnego spisku. – Mało tego – podkreślił, sięgając po

podniszczoną teczkę akt IPN-u. Szybko przerzucił kilka kartek spiętych metalową klamerką. – O, proszę. – Podsunął odnalezioną stronę Paluchowi, wskazując końcówką zausznika okularów jedno z nazwisk. – Ten łajdak był hitlerowskim feldfeblem, a po wojnie przefarbował się na Polaka i został członkiem partii komunistycznej. Zrobił karierę w PZPR-ze. Jestem przekonany, że procesowi śląskich wachmanów z obozu na Górze Świętej Anny oskarżonych o ludobójstwo w latach siedemdziesiątych ukręcono łeb właśnie z jego powodu. I co pan powie, panie Wiesławie? Potomstwo żarliwego wyznawcy Hitlera i Stalina działa dziś w mniejszości niemieckiej na Opolszczyźnie. – Profesor wygłosił tę kwestię, jakby odczytywał nagłówek w tabloidzie.

Paluchowi nagle zaświtała pewna myśl.

– Czy pan profesor to wszystko opisze?

– Powinienem, panie Wiesławie. Powinienem. Ale tyle pilnych spraw: Polska w niebezpieczeństwie...

– To może ja? – nieśmiało zaproponował były dyrektor IPN-u.

Historyk popatrzył na niego jak na frontowego ochotnika, który z zapalem wyciąga zawleczkę granatu, aby w pojedynkę zniszczyć bunkier wroga.

– Brawo, panie Wiesławie – oświadczył z uznaniem. – Podejmie się pan?

– Oczywiście – skłamał Paluch z entuzjazmem. Tak naprawdę ani w głowie mu było za sto pięćdziesiąt złotych wierszówki narażać się na śmieszność odkrycia, że Ślązacy podczas wojny służyli w Wehrmachcie, a nie w Armii Zbawienia, ale jego plan zmierzał do czegoś zupełnie innego. – Z radością napiszę taki artykuł. – Potwierdził, uznając, że potem jakoś się z tego wykręci. – Ale... będę potrzebował tych akt IPN-u. Muszę dobrze

udokumentować czyny polskich Niemców z obozu na Górze Świętej Anny.

Profesor wyraźnie się strapił.

– O tym nie pomyślałem. – Potarł podbródek. – Wie pan lepiej ode mnie, że instytut nie pozwala wynosić akt. Dla mnie zrobiono wyjątek z racji moich zasług i misji. Pan rozumie, starzy przyjaciele to umożliwili... Ale stanowczo nie mogę udostępnić ich dalej. Nie powinny opuszczać redakcji.

– Wobec tego skorzystam z nich tu – zdecydował Paluch.

– Tu? – Historyk przez chwilę się zastanawiał, ale nie dostrzegł w tym pomysle niczego złego. – W sumie czemu nie? Ja się przeniosę na dzień czy dwa do gabinetu przewodniczącego, a pan będzie mógł tu pracować nie niepokojony przez nikogo.

Paluch pokiwał głową z powagą, starannie tłumiąc radość. Właśnie o to mu chodziło.

4

Wieczór był parny. Rozgrzane sierpniowym słońcem mury i ulice Warszawy oddawały ciepło jak olbrzymie piece akumulacyjne, dzięki czemu większość pasażerów tramwaju sunącego mostem Poniatowskiego wachlowała się bezpłatnymi gazetami pozostawionymi na siedzeniach lub wycierała chusteczkami pot z mokrych twarzy. Wtajemniczeni siedzieli przy oknach wagonu, obserwując z zapartym tchem początek fioletowo-różowo-żółtej zorzy, która miała dziś dać niepowtarzalny spektakl na niebie Europy Środkowej. Jutro media wyjaśnią, że to był efekt potężnego wybuchu plamy słonecznej nr 1261, tak silnego, że wywołał wiatr,

który dotarł aż do ziemskiej jonosfery, barwiąc ją na wiele kolorów w odległości zaledwie stu kilometrów od ludzkich oczu.

Niewtajemniczeni dyskutowali o samobójstwie lidera Samoobrony, o którym mówiła cała Polska. I tylko jeden pasażer tramwaju wydawał się kompletnie obojętny wobec obydwu niezwykłości.

Był nim Wiesław Paluch wracający ze spotkania na Saskiej Kępie, podczas którego dobrał się do IPN-owskich akt obozu na Świętej Annie. I poszło mu to łatwiej, niż mógł marzyć. Nie wiedział jeszcze, co dokładnie w nich jest, ale cokolwiek by było, przyrzekł sobie, że wykorzysta to przeciwko Jakubowi Kani i nie cofnie się przed niczym, aby pokrzyżować mu plany. Przysięgę złożoną w tramwaju chciał zakończyć tradycyjnym „tak mi dopomóż Bóg”, ale w porę przypomniał sobie brzmienie pierwszego przykazania Dekalogu.

Paluch nie znosił Kani. Przez ładnych parę lat, kiedy był szefem Kuby w IPN-ie, starał się uprzykrzać mu życie, a jednak ten mydłek, ten zawsze nienagannie ubrany przystojniaczek, ten wymuskany bubek mający na wszystko gotową odpowiedź za każdym razem potrafił wyślizgnąć się z tych potyczek i to tak, że Paluch wychodził z nich przegrany. Na dodatek Kania brylował w mediach, uchodząc za celebrytę, podczas gdy jemu, dyrektorowi pionu śledczego IPN-u, nikt nie podstawił mikrofonu i nie zaprosił go przed kamerę nawet przez pomyłkę.

Ale przede wszystkim Wiesław Paluch nie mógł wybaczyć Kubie, że sam zwolnił się z instytutu, podczas gdy to on, jego dyrektor, powinien go wyrzucić. Na dodatek przysłał wypowiedzenie pocztą, co było dla Palucha obelgą, i zaczął pracować dla Żydów z Jad Waszem – a to już zakrawało na zdradę.

Dlatego teraz Kania za wszystko zapłaci, i to wysoką cenę. Zostanie skompromitowany i ośmieszony w tych samych mediach, które tak go uwielbiają. Już on się o to postara. Już on doprowadzi do tego, że niezawodny Kubuś tym razem poniesie spektakularną porażkę. Niech sobie szuka miejsca pochówku ofiar obozu na Świętej Annie, ale nigdy go nie znajdzie. On, Wiesław Paluch, do tego nie dopuści. Nie będzie słuchał żadnych Żydów ani Rosjan, którzy każą mu śledzić Kanię, a potem przejąć wszystko, co tamten odkryje. Nie będzie żadnego odkrycia Kani. Będzie odkrycie Wiesława Palucha. To on zlokalizuje ten grób i pokaże, kto tu jest lepszym detektywem. Musi tylko wykorzystać swoją przewagę wynikającą z faktu, że jako pierwszy będzie miał w ręku akta IPN-u.

Trzeba jakoś skierować Kanię na fałszywy trop, pomyślał i między rondem de Gaulle'a a placem Starynkiewicza ułożył misterny plan.

Następnego dnia, uzbrojony w kubek kawy i otoczony nimbem „pana dyrektora wykonującego bardzo ważną misję dla Polski”, Wiesław Paluch usiadł za biurkiem w redakcji czasopisma historycznego i zagłębił się w aktach Zwangsarbeitslager Annaberg.

Przeczytał dokumenty poświęcone Organizacji Schmelta i zapewnieniu przez nią siły roboczej do budowy autostrady Berlin–Kraków poprzez zatrudnienie ludności żydowskiej z Zagłębia. Pomiął nazwiska ofiar obozu, nie zwracając specjalnej uwagi na to, że część z nich należała do mieszkańców Amsterdamu, który nie leży przecież w sąsiedztwie Sosnowca, Dąbrowy Górniczej i Czeladzi. Zaintrygowały go dopiero dokumenty śledztwa.

Po raz pierwszy zarzuty działalności przestępczej wobec więźniów obozu na Górze Świętej Anny postawiono w drugiej połowie lat czterdziestych właśnie strażnikowi pochodzącemu z Leśnicy, o którym wspominał profesor. Człowiek ten po wojnie stał się „zwolennikiem polskość”, jak zapisano w jego zeznaniu, oraz członkiem partii. Sprawa ucichła. Wróciła kilkanaście lat później, ale tym razem zestaw podejrzanych o przestępstwa wojenne dokonane na terenie obozu powiększył się o kilka innych nazwisk. Nazwisk brzmiących polsko i należących do obywateli PRL-u. Ale to dochodzenie również utknęło w martwym punkcie.

Paluch uważnie przyjrzał się uzasadnieniu o umorzeniu śledztwa z 1977 roku, znajdując na końcu absolutnie kuriozalną informację, która poruszyła go do tego stopnia, że nagle wstał i zaczął się nerwowo przechadzać po pokoju. O czymś takim jeszcze nie słyszał.

Nagle przyszła mu do głowy myśl, którą w pierwszej chwili uznał za szaloną, ale w drugiej – za genialną. Czym prędzej zamknął teczkę z aktami i odniósł ją profesorowi.

– Rozboliła mnie głowa – skłamał. – Będę kontynuował od jutra rana. Dziś niczego już nie zrobię.

Historyk ofiarował się z tabletką paracetamolu, ale Paluch odmówił, wykręcając się wrzodami żołądka. Pożegnał się i dosłownie wybiegł na ulicę, gdzie czekała taksówka, którą dziesięć minut wcześniej zamówił telefonicznie.

Podał kierowcy adres i przez całą drogę zastanawiał się, czy na dnie starej szafy w jego pokoju zachowało się coś, o czym nie przestawał myśleć.

Wbiegł po schodach na drugie piętro, nie czekając na windę, otworzył drzwi mieszkania i nie zważając na dzieci, które chciały się z nim przywitać, zamknął się u siebie. Potem oparł się plecami

o ścianę, wziął głęboki oddech i otworzył szafę. Nerwowo przerzucił niewielką stertę dokumentów, wśród których po kilku minutach znalazł to, czego szukał.

Miał ochotę krzyknąć z radości.

5

Kuba nieczęsto nabierał ochoty na aktywność fizyczną, ale dziś rano sytuacja osiągnęła punkt krytyczny. Tuż po prysznicu odważył się wejść na wagę, co było decyzją ryzykowną i grożącą zdewastowaniem dobrego samopoczucia na dalszą część dnia.

Przez chwilę w łazience panowała grobowa cisza. Przerwała ją Kasia, która mimo zamkniętych drzwi usłyszała dźwięk gumowych stopek wagi przesuwanych po płytkach ceramicznych i wydających charakterystyczny pisk i zawołała z kuchni:

– I co tam się wyświetla na ekraniku naszej kochanej wagi?

– Żeby wchodzić pojedynczo – odpowiedział głośno Kuba, choć wcale nie było mu do śmiechu.

Tył nawet od myślenia o jedzeniu. Przetestował na własnej tkance tłuszczowej wszystkie naukowe i szamańskie metody, diety i specyfiki, które wymyślono na południe od bieguna północnego, dzięki czemu osiągał obrót kilkudziesięciu kilogramów rocznie. Tracił trzy, zyskiwał pięć. Zrzucał pięć, łapał sześć. Schudł sześć, przytył osiem. I tak w kółko, zawsze z dodatnim, czyli niekorzystnym bilansem wagi.

Ogolił się, ubrał i ustawił drabinkę, która miała mu ułatwić poszukiwanie sportowych butów na pawlaczu w przedpokoju. Wszedł właśnie na trzeci stopień, gdy dobiegł go dźwięk telefonu.

Kasia litościwie podała mu komórkę. Na ekranie wyświetlił się komunikat: „Nieznany”. Jeszcze tego brakowało, pomyślał Kuba, przekonany, że za moment usłyszy wizję krociowych zysków w funduszu inwestycyjnym, propozycję kupna polisy na życie albo garnków, w których gotuje się bez wody, tłuszczu i temperatury. Mimo to odebrał. Zawsze brakowało mu asertywności.

– Słucham – powiedział na tyle zniechęcająco, na ile potrafił się zdobyć, stojąc na drabince i trzymając się wolną ręką jej uchwyty.

– Pan Jakub Kania? – upewnił się głos kobiety po drugiej stronie słuchawki.

– Niewykluczone. Z kim mam przyjemność?

– Nazywam się Teresa Barska – powiedziała kobieta. – Pański telefon otrzymałam od wspólnego znajomego, pana Szymona z Jad Waszem. Wiem, że interesuje się pan tematem obozu na Górze Świętej Anny i być może mogłabym okazać się pomocna. Znajdzie pan czas na spotkanie i rozmowę?

– Szymon nigdy mi o pani nie wspominał. – Kuba nabrał podejrzeń. – Rozmawialiśmy dwa dni temu. Jestem zdziwiony, bo odniosłem wrażenie, że zależy mu na dyskrecji w tej sprawie, tymczasem widzę, że nie jestem jego jedynym powiernikiem.

– Oczywiście, że zależy mu na dyskrecji – odpowiedziała kobieta. – Właśnie dlatego się ze mną skonsultował. Znamy się od lat i darzymy zaufaniem. A tak się składa, że dyskrecja to moja specjalność. Jestem oficerem Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Teresa Barska założyła nogę na nogę i zapaliła papierosa. Użyła w tym celu zapalek wyjętych z torebki, co Kubie wydało się czynnością tak archaiczną jak prasowanie koszuli żelazkiem z duszą. Kto dziś jeszcze nosi zapalaki? – pomyślał i do głowy przyszły mu tylko babcie na cmentarzach. One na pewno. Ale żeby elegancka pani, do której pasowałby jakiś złoty ronson albo stylowe zippo... Niecodzienne zjawisko, uznał, zwracając uwagę na coś jeszcze: sposób, w jaki kobieta siedząca naprzeciwko niego w ogródku kawiarni korzystała z zapalek. Kuba przeczytał kiedyś w popularnym czasopiśmie psychologicznym, że ludzie, którzy zapalają zapalaki ostrożnym ruchem do siebie, są zamknięci i niepewni, natomiast zdecydowane potarcie draski od siebie znamionuje siłę charakteru. To samo z gaszeniem. Słabi dmuchają na płomyk, silni gaszą go energicznym potrząśnięciem dłoni. Kapitan Teresa Barska albo czytała tamten artykuł, albo była kobietą stanowczą i twardą.

Miała około czterdziestu lat, bardzo krótko ostrzyżone ciemne włosy, skupioną twarz i szczupłą wysportowaną sylwetkę, co przy wzroście nieprzekraczającym stu sześćdziesięciu centymetrów w butach na obcasie pozwalało uznać ją za niepozorną. Kuba pewnie by ją tak zakwalifikował, gdyby nie pewien epizod z wakacji na Korsyce. Widział tam kiedyś oddział specjalny Legii Cudzoziemskiej maszerujący na ćwiczenia. Żaden z kilkadziesiątu żylastych mężczyzn nie mierzył nawet metra siedemdziesięciu i żadnego z nich nie chciałby spotkać w ciemnej uliczce. Jego rozmówczyni z pewnością nie była korsykańską zabijaką, ale wrażenie jej niepozorności wyglądało na równie mylące.

Była ubrana w białą bluzkę bez rękawów, ujawniającą częste wizyty w klubie fitnessu, oraz proste bawełniane spodnie w kolorze

khaki. Bez biżuterii, bez makijażu. Wyglądała schludnie i profesjonalnie, czego dziś nie dało się powiedzieć o Kubie, który na spotkanie w nadwiślańskiej knajpce przyjechał rowerem, w szortach i luźnym T-shircie maskującym dążenia jego brzucha do przyjęcia formy kulistej. Pani oficer ABW obrzuciła go lustrującym spojrzeniem.

– Przepraszam za strój, ale miałem już zaplanowany trening. – Kuba zawstydził się pod wpływem tego spojrzenia. – Odchudzam się – wyjaśnił na swoje usprawiedliwienie. – Próbowałem już diet Montignaca, Dukana i Kwaśniewskiego, akupunktury hamującej głód, nawet hipnozy. Bezskutecznie.

Teresa Barska popatrzyła na niego, nie kryjąc zdziwienia.

– Najlepszym sposobem na to, żeby schudnąć, jest schudnąć – oświadczyła, marszcząc brwi. – Mniej jeść, więcej się ruszać. To wszystko.

Kuba zbył to jakąś dykteryjką, że jedyną znaną mu metodą na to, aby stracić na wadze, jest kupić wagę w sklepie AGD za pięćdziesiąt złotych i sprzedać za czterdzieści, ale Barska nie wybuchła perlistym śmiechem.

– Wiem od naszego przyjaciela z Jad Waszem, że planuje pan poszukiwania grobu Holendrów więzionych w obozie na Górze Świętej Anny – zmieniła temat.

– Interesuje to panią służbowo? – spytał Kuba.

Barska skinęła głową.

– Można wiedzieć z jakich względów?

Funkcjonariuszka ABW spojrzała na niego uważnie, jakby zastanawiała się, czy facet w luźnej koszulce zasługuje na zaufanie.

– Tematem obozu interesują się nie tylko pańscy zleceniodawcy, ale również pewna niemiecka organizacja zarejestrowana

w Republice Federalnej jako Stille Hilfe, czyli Cicha Pomoc. Słyszał pan o niej?

– Co nieco – przypomniał sobie Kuba. – Chodzi o zbieranie funduszy na wsparcie byłych żołnierzy z okresu drugiej wojny i ich rodzin, jeśli się nie mylę.

– Oficjalnie tak – potwierdziła Barska. – Jest jednak pewien niuans. Wśród tych żołnierzy, jak pan to ładnie ujął, nie ma prostych szeregowców, którym radziecki szrapnel urwał nogi pod Stalingradem. Jest za to elita urzędników Trzeciej Rzeszy odpowiedzialnych za ludobójstwo oraz najwyższych funkcjonariuszy SS, którzy to ludobójstwo realizowali, a po wojnie rozplynęli się we mgle. Natomiast ich rodziny, o których był pan łaskaw wspomnieć, to ludzie do dziś pielęgnujący idee faszyzmu i gromadzący fundusze na jego wskrzeszenie. Wielu z nich wierzy, że Adolf Hitler nie popełnił samobójstwa w maju czterdziestego piątego w Berlinie, lecz przedostał się do Ameryki Południowej, a jego potomstwo powróci, aby reaktywować wielką Rzeszę.

– A co polska ABW ma z tym wspólnego? – zapytał Kuba.

Barska zaciągnęła się dymem.

– Stille Hilfe ma kogoś w rodzaju guru, czy raczej prezesa do spraw ideologicznych. Nasi koledzy z niemieckich służb specjalnych monitorują tę osobę, która jest ciągle mocno aktywna, choć właśnie skończyła osiemdziesiąt dwa lata. Moi koledzy z BfV, czyli Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji, podejrzewają, że ze swojego wygodnego pokoju w domu starców niedaleko Monachium nadal kieruje różnymi inicjatywami neonazistowskimi.

– O kim pani mówi?

– O Gudrun Burwitz, jedynej córce Heinricha Himmlera.

Kuba zrobił minę, która na egzaminie do szkoły teatralnej

otrzymałaby najwyższą notę za wykonanie zadania „proszę okazać zdziwienie”.

– Niemieckie służby obserwują poczynania tej pani – kontynuowała kapitan Barska – bo od lat inwestuje w młodzież. Jej organizacja Wiking-Jugend została wprowadzie nie tak dawno zdelegalizowana przez sąd federalny, ale starsza pani nadal sponsoruje podobne koncepcje.

– Nadal nie widzę związku z Polską i Górą Świętej Anny – powiedział Kuba.

– No właśnie. Koledzy z BfV przyglądają się wnikliwie każdemu młodemu, łysemu i umięśnionemu facetowi, który kontaktuje się z babcią Burwitz, a najlepiej, żeby miał jeszcze swastykę wytatuowaną na środku czoła. Natomiast nie przyjrzeni się pewnej starszej pani, która odwiedziła dom starców pod Monachium i spotkała się ze swoją idolką. Nagrali tylko ich rozmowę. Wynika z niej, że córka Himmlera wie o czymś, co nazywa „skarbem brigadeführera Schmelta” i co jej zdaniem zostało ukryte w okolicach obozu pracy dla Żydów w miejscowości Annaberg na Śląsku.

Kuba patrzył na nią uważnie.

– Kiedy to było? – spytał.

– Dwa tygodnie temu.

– Nie wiemy, kim jest osoba, która złożyła wizytę córce Himmlera?

– Nie.

– Nie wpisała się do księgi gości?

– Brawo – odparła kapitan Barska z uśmiechem. – Wiele słyszałam o pańskiej przenikliwości i dokładności. Gdyby pan szukał pracy, zapraszamy do ABW. Rzeczywiście wpisała się,

używając jakiegoś hiszpańskiego nazwiska. Okazało się fałszywe.

– Hiszpańskie, czyli może pochodzić z Ameryki Południowej.

– Znowu brawo.

– Jak pani myśli – zastanowił się Kuba – co to może być „skarb Schmelta”? Czy frau Burwitz to sprecyzowała?

– Nie do końca. Powiedziała jedynie, że to coś ukrytego, co ma według niej bardzo dużą wartość. Tak znaczną, że wystarczyłoby na wsparcie idei powstania Czwartej Rzeszy. Zaraz, zaraz, jak to ona się wyraziła... – Teresa Barska przeszukiwała myśli. – A, już sobie przypomniałam – dodała po chwili namysłu. – Powiedziała dokładnie tak: „Gdyby spieniężyć skarb Schmelta, wystarczyłoby, aby przywrócić pamięci naszych ojców właściwe miejsce i imię”.

Kuba drgnął. Już gdzieś to słyszał. Od Szymona? Tak. Szef referatu cieni Jad Waszem użył tego samego określenia, mówiąc o intencjach ludzi z Amsterdamu poszukujących grobu jubilerów więzionych na Górze Świętej Anny.

– Czy pani zdaniem ten skarb jest realny?

– Dlaczego nie? – odpowiedziała pytaniem na pytanie kapitan Barska. – Albrecht Schmelt został oskarżony przez Himmlera o malwersacje finansowe i przywłaszczenie majątku należącego do skarbu państwa. Chodzi rzecz jasna o majątek odebrany Żydom: złoto, dolary, biżuterię. Być może tuż przed aresztowaniem brigadeführer pośpiesznie ukrył swoje zasoby. Nie można tego wykluczyć, tak jak nie można wykluczyć, że znajdują się one na Górze Świętej Anny, gdzie mieścił się jeden z obozów nadzorowanych przez Schmelta. Był pan tam kiedyś? Wymarzone miejsce na kryjówkę: bukowy las, opuszczony kamieniołom, gigantyczny amfiteatr, stary klasztor i tunele pod mauzoleum, w którym miało spocząć serce Hitlera.

– Jak pani widzi naszą współpracę? – spytał Kuba.

– Uczciwy barter – powiedziała krótko Barska. – Pan mnie informuje, gdyby podczas poszukiwań grobu natrafił pan na przyjaciół Gudrun Burwitz, a ja informuję pana, gdyby podczas moich działań operacyjnych wyszło coś, co pomoże panu znaleźć miejsce pochówku ofiar obozu.

Kuba pokiwał głową i przez chwilę zapatrzył się na Wisłę.

– Zastanawiam się, czy mogę zadać pani prywatne pytanie. – Przeniósł wzrok na Teresę Barską.

– Najlepszym sposobem, aby to sprawdzić, jest to sprawdzić – odparła, marszcząc brwi tak jak poprzednio.

– Ma pani proste, ale skuteczne rady – uznał. – Czy podejrzewa pani, że ja pod pretekstem tej całej sprawy z grobem ofiar też szukam skarbu Schmelta?

– Nie wykluczam... – kapitan Barska na sekundę zawiesiła głos – ...że właśnie tak jest, tyle że pan nie zdaje sobie z tego sprawy.

Amsterdam/Roermond

czerwiec 1922–lipiec 1942 roku

1

Zanim Nicolaas van Kampen nauczył się pisać, potrafił się popisywać podczas uroczystości rodzinnych rozmaitymi sformułowaniami z kodeksu karnego, co wywoływało entuzjazm u cioć i wujków. Zwłaszcza u wujków. Van Kampenowie od dziesięcioleci stanowili elitę amsterdamskich adwokatów, więc opcja, że mały Nicolaas zostanie fryzjerem albo śpiewakiem operowym, raczej nie była brana pod uwagę.

W zaistniałej sytuacji dziedzic prawniczej renomy i fortuny van Kampenów nie miał innego wyjścia niż odebranie starannego wykształcenia w szkołach powszechnych, a potem podjęcie odpowiednich studiów na uniwersytecie, w konsekwencji czego dołączył do rodzinnej kancelarii. Rychło stał się obrońcą znanym w mieście przynajmniej z dwóch powodów: niebotycznych wynagrodzeń oraz zerowej liczby przegranych spraw. W ciągu siedmiu lat praktyki mecenas Nicolaas van Kampen nigdy nie wyszedł z sali sądowej pokonany. Teraz miał nastąpić ten pierwszy raz.

Doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Obrona Dawida Schwartzmana była gwarantowaną, stuprocentową porażką.

Zdaniem rodziny nie powinien się jej podejmować, narażając na szwank dobre imię van Kampenów, którzy nigdy nie byli prawnikami żydowskich rzeźmieszków, ale wysokość honorarium zaproponowana przez niejaką Martę Nagler rozwiązała jego wątpliwości. Córka bogatego przedsiębiorcy z branży diamentowej gotowa była zapłacić majątek za to, aby Schwartzman uniknął stryczka, a kiedy ktoś był gotów zapłacić za coś majątek, mecenas van Kampen nigdy nie dociekał przyczyn tego zjawiska. Dlatego przyjął sprawę, udając, że nie robią na nim wrażenia ani diamenty ułożone przez pannę Nagler na jego biurku, ani pochlebstwa, że w Amsterdamie tylko on może uratować życie niewinnego człowieka.

Bo Schwartzman uparcie twierdził, że jest niewinny.

W feralną noc z soboty na niedzielę miał spać w swojej kwaterze na terenie szlifierni Naglera, gdzie – jak utrzymywał – spędził też niedzielne przedpołudnie. Zaklinał się, że to prawda, ale van Kampen był zbyt doświadczonym prawnikiem, aby nie wiedzieć, że prawda w sądzie nie ma większego znaczenia. Liczyła się głównie skuteczna linia obrony.

– Kto to może potwierdzić? – spytał rzeczowo mecenas, rozglądając się po obskurnej rozmównicy policyjnego aresztu, jakby żywił obawę, że odrapane ściany, zniszczony stół i brudne krzesła stworzą zagrożenie dla jego nieskazitelnego garnituru, eleganckiej teczki, bloku do notowania oprawionego w świńską skórę i drogiego pióra ze złotą stalówką.

Dawid rozłożył ręce w geście szczerzej bezradności.

– Nikt. W sobotę i niedzielę w szlifierni nie ma żywej duszy.

Van Kampen obrzucił go spojrzeniem, w którym niechęć mieszała się z politowaniem. Ale za moment jego oczy przyjęły zupełnie inny,

chytry wyraz.

– Pan zdaje sobie sprawę, kto mnie wynajął do pana obrony?

Schwartzman pokręcił głową. Nie miał bladego pojęcia, jak przebiega proces przed trybunałem. O oskarżycielach i obrońcach czytał jedynie w gazetach, nigdy nie zastanawiając się nad tym, skąd się biorą na sali sądowej.

– Marta Nagler – oświadczył mecenas.

Dawid drgnął.

– Czy... Czy to kosztowało?

Nicolaas van Kampen tym razem popatrzył na niego jak na przybysza z innej planety.

– Owszem, mój panie – odparł cynicznie.

– Ile? Ja to wszystko zwrócę – zaniepokoił się Schwartzman, w którego myślach błysnął brylant ukryty w belce pod sufitem.

– Obawiam się, że pana na to nie stać. – Cynizm w tonie głosu mecenas ustąpił miejsca szyderstwu. – Wracajmy lepiej do alibi. Mam pewien pomysł. Skoro pannie Nagler tak bardzo zależy na ratowaniu pańskiej skóry, to może nakłonię ją do zeznania pod przysięgą, że spędziła z panem tamtą noc? To by wiele ułatwiło.

Dawid podskoczył na krześle jak rażony prądem.

– Nie! – krzyknął. – Tu chodzi o jej honor! Nigdy się na to nie zgodzę! Są przecież jakieś sposoby, aby udowodnić prawdę?

A kogo to obchodzi, jak rzeczywiście było, pomyślał van Kampen i zbywając Schwartzmana frazesem, że się zastanowi, kiwnął na strażnika kontrolującego wydarzenia w rozmównicy przez okienko sąsiedniego pomieszczenia. Skoro ten dureń woli ryzykować życie, to niech ryzykuje. Mecenas nie lubił ludzi i uważał, że skoro sami tego chcą, to nie wolno pozbawiać ich szans potknięcia się o własne nogi.

Sztywno skinął głową swojemu klientowi i wyszedł bez słowa, szczerze się martwiąc, czy wełna jego garnituru nie przesiąkła stęchlizną aresztu.

2

Marta Nagler, podobnie jak tłum gapiów i reporterów amsterdamskich brukowców, została wyproszona z budynku sądu.

Mimo głośnych protestów amatorów sensacji przewodniczący składu orzekającego podjął decyzję, że proces Dawida Schwartzmana, oskarżonego o podwójne morderstwo na tle rabunkowym, odbędzie się przy drzwiach zamkniętych. W krótkim komentarzu dla prasy sędzia wyjaśnił, że chce w ten sposób stłumić niezdrowe emocje, jakie wywołuje w mieście sprawa sławnego jubilera Rubena Lurii, jego koneksji, majątku, upodobań seksualnych i okoliczności śmierci. Nikt nigdy się nie dowiedział, że rozprawa została utajniona, aby ułatwić poufną ugodę, jaką mecenas Nicolaas van Kampen zawarł z prokuratorem przy milczącej aprobacie przewodniczącego składu.

Gapie ponarzekali i poszli, reporterzy sfotografowali woźnych sądowych broniących dostępu do sali rozpraw, po czym ruszyli na ulicę zbierać opinie przypadkowych przechodniów na temat zbrodni i kary, jaka ich zdaniem powinna spotkać sprawcę.

Przed gmachem została tylko Marta. Tkwiała nieruchomo jak kamienny posąg Temidy oddalony od niej o kilka metrów, z przepaską na oczach niosącą ostrzeżenie, że sprawiedliwość potrafi być ślepa. Dziewczyna zupełnie nie radziła sobie z nerwami. Wszystko się w niej gotowało. Nie zdążyła zobaczyć się z Dawidem

przed aresztowaniem, ale była głęboko przekonana o jego niewinności. W takich momentach zalewała ją fala nieuzasadnionej otuchy, że prawda wyjdzie na jaw, a człowiek, którego pokochała, zostanie oczyszczony z zarzutów i uniewinniony. Otucha w ułamku sekundy przeradzała się w paniczny lęk przed kimś, kto wobec tego podrzucił Dawidowi kradzione brylanty i krył się teraz w mroku zdrady i nienawiści, które niewinnego Schwartzmana mogły zaprowadzić na szubienicę. Lęk natychmiast zastępowała beznadzieja, a wtedy Marta szlochała, wycierając oczy chusteczką, aż znów pojawiała się nadzieja, i tak w kółko. Do chwili, gdy masywne drzwi gmachu uchyliły się i wyszedł z nich Nicolaas van Kampen.

Marta podbiegła do niego w tej samej sekundzie, dopytując o wyrok sądu, ale mecenas syknął zirytowany:

– Nie teraz. Za godzinę w mojej kancelarii. – I oddalił się szybkim krokiem.

To była najdłuższa godzina w jej życiu.

Kiedy weszła do gabinetu, blada jak kreda, van Kampen wskazał jej miejsce w skórzanym fotelu stojącym na tle rzeźbionej szafy bibliotecznej, sprowadzonej specjalnie z Gdańska i wypełnionej pięknie oprawionymi księgami prawniczymi.

Nie potrafiła wydobyć z siebie słowa.

– Obietnicy dotrzymałem – wyręczył ją mecenas. – Pani przyjaciel zachowa życie.

Marta poczuła olbrzymią ulgę, a jednak w głosie prawnika brzmiało coś złowrogiego, co nie pozwoliło jej pozbyć się lęku.

– Tak jak się umawialiśmy – kontynuował van Kampen – Dawid Schwartzman nie zostanie stracony, ale szczerze pani radzę uznać go za straconego.

– Nie rozumiem – szepnęła Marta drżącym głosem, który z trudem przedostał się przez jej zbielałe, zaciśnięte usta.

– Dostał dożywocie.

Dziewczyna poczuła, jak podłoga usuwa się jej spod nóg.

– Ale przecież zapłaciłam panu... olbrzymią sumę...

– A co sobie panienka wyobrażała? – uniósł się van Kampen. – Że ja jestem ten, co chodził po wodzie i zamieniał wodę w wino?

Wszystkie dowody przemawiały przeciwko Schwartzmanowi.

Zażyłość z Lurią, brak alibi, brylanty pani ojca zabrane z kasy ogniotrwałej jubilera i znalezione przez policję w jego sienniku –

wszystko, łaskawa pani. Takie sprawy zawsze kończą się

stryczkiem. Tylko dzięki moim umiejętnościom i przemyślnej

strategii człowiek ten pozostanie przy życiu. Sąd kupił moją ckliwą

opowieść, że mamy do czynienia z sierotą z dołów społecznych,

który wszedł na złą drogę, chciał jedynie ukraść kamienie, a zabił

z przestachu, bo nie spodziewał się Lurii w domu. To ocaliło pani

przyjaciela. A pozwolę sobie przypomnieć – van Kampen chrząknął

z oburzeniem – że nasza umowa na to właśnie opiewała. Ocalenie

życia. Wobec czego oddałam pani pretensje jako nieuzasadnione.

Ostatnich zdań Marta już nie słyszała.

– Czy będę mogła się z nim zobaczyć? – wykrztusiła nieswoim głosem.

– Obawiam się, że to niemożliwe – oświadczył oschle van Kampen. – Jutro rano zostanie przewieziony do więzienia Het Arresthuis w Roermond. To dość rygorystyczne miejsce. Nie słyszałem, aby urządzano tam widzenia dla skazanych na dożywocie. Może za cztery, pięć lat, jeśli Schwartzman będzie się dobrze sprawował... Tymczasem nie dostanie nawet zgody na korespondencję.

Marta nerwowo poruszyła się w fotelu, jakby chciała się z niego poderwać, ale nagle poczuła silny zawrót głowy i osunęła się na dywan ozdabiający gabinet sławnego mecenasa.

Van Kampen spojrzał na nią z niesmakiem, strzepnął niewidoczny pyłek z mankietu koszuli i sięgnął po stojący na biurku mosiężny dzwonek przeznaczony do wzywania służby.

3

W więzieniu Dawid Schwartzman poczuł wdzięczność dla losu za to, że jego dotychczasowe życie było pełne krzywd i ludzkiej podłości.

Zdążył się do nich przyzwyczaić na tyle, że swoje obecne położenie uznał za stan, który da się znieść. Dzięki silnej odporności na niedolę niczego nie oczekiwał, koncentrując się na trzeźwej ocenie codzienności. Nie wypadła źle. Prycza w Roermond była o wiele wygodniejsza niż tamta w przytułku. Jedzenie korzystnie różniło się od resztek, którymi karmiła go ciotka, a łaźnia i rury z ciepłą wodą ogrzewające celę dawały komfort, jakiego nigdy nie zaznał, śpiąc w bramach i mieszkając na ulicy. Do tego dostawał co jakiś czas czystą bieliznę i mógł pracować w szwalni.

Dzięki tej samej odporności nie potrzebował zbyt wiele czasu, aby uporać się z faktem podrzucenia brylantów oraz wrobienia go w morderstwo Rubena Lurii i jego kochanka. Dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu ludzi na tysiąc rozpamiętywałoby to do granic obłędu. Dziewięciuset planowałoby zemstę. Dziewięćdziesięciu skończyłoby w szpitalu psychiatrycznym, a co

najmniej dziewięciu powiesiłoby się w celi na sznurze misternie splecionym z ubrań podartych w pasy. Ale Dawid Schwartzman był tym tysięcznym.

Darzył absolutną obojętnością rzeczy i zjawiska, na które nie miał wpływu. Oczywiście zastanawiał się, kto, jak i dlaczego zadał sobie trud, aby go pogrążyć, co wobec perspektywy dożywania nie miało najmniejszego znaczenia i wkrótce przestało go zajmować.

W pierwszych tygodniach dużo myślał o Marcie i to były myśli najbardziej niebezpieczne. Zdolne wywołać żal i poczucie niesprawiedliwości, czyli trucizny, które potrafiły zabić najtwardszych ludzi mających spędzić życie za kratami. Dawid nie potrafił wymazać z pamięci najpiękniejszych chwil, jakie przytrafiły mu się w życiu, ale z czasem nauczył się traktować je jak sen. Coś, co odbyło się z jego udziałem, ale poza rzeczywistością. Coś bajkowego i ulotnego jak pocałunek w bramie albo czarny szlif Schwartzmana, który umarł wraz z jego aresztowaniem i został pochowany w drewnianej trumnie belki pod sufitem kwatery, w której mieszkał u Naglera.

Nigdy nie rozważał, co się stanie z jego brylantem, bo nigdy nie planował przyszłości. Głównie dlatego, że miało jej nie być. Miał spędzić resztę życia w pomieszczeniu z niewielkim oknem, do którego nigdy nie dostawiał taboretu i nie wyglądał, żeby nie wypatrywać jakiegokolwiek nadziei, jaką ludziom daje widok nieba. Miał spędzić czas, jaki mu pozostał, w spokoju. Potrzebował do tego o wiele mniej niż święty Franciszek, o którym opowiadał tłusty i niezbyt rozgarnięty ksiądz odprawiający msze w więzieniu Het Arresthuis.

Dawid czasem w nich uczestniczył, choć nigdy nie zadawał sobie pytania, czy wierzy w Boga. Był ochrzczony w obrzędzie katolickim,

bo tego pragnęła matka, nosząca hiszpańskie nazwisko i pochodząca z rodu Żydów sefardyjskich od wieków wyznających chrześcijaństwo. Ojciec, Żyd amsterdamski, nie zaprzętał sobie głowy kwestiami wiary. Jego religią była muzyka, a świątynią sala koncertowa, w której grał partie pierwszych skrzypiec. Bóg pogodził ich poglądy, pozwalając obydwójgu umrzeć na tyfus w odstępie trzech dni.

Wyjścia do kaplicy dawały Dawidowi sposobność określenia relacji z więźniami Roermond, co stanowiło osobny rozdział jego najnowszej biografii. Zawsze stawał z boku, do nikogo się nie odzywał, nie odpowiadał na zaczepki, a nawet nie nawiązywał kontaktu wzrokowego. To nie mogło pozostać niezauważone.

Pierwszy raz pobito go, gdy odmówił udziału w buncie, który wybuchł z powodu zbyt małych racji marmolady albo czegoś innego, co w świecie za murem jest błahostką, ale w więzieniu urasta do rangi zarzewia rewolucji. Potem pobicia powtarzały się regularnie. Na spacerze, w łaźni, w stołówce. Ich sprawcami byli najczęściej młodzi bandyci, którzy na kilometr wyczuwali kogoś, kto pachniał inaczej niż środowisko przestępcze, i za wszelką cenę starali się to skorygować.

To były marne walki. Schwartzman w ogóle się nie bronił, ograniczając się do osłaniania rękami głowy, i nie zadawał ciosów, co zniechęcało napastników i nudziło gapiów. Wydawał się uczestniczyć w tych epizodach jak początkujący łyżwiarz, który setny raz przewraca się i nabija sobie sińca, z przekonaniem, że każdy upadek mimo wszystko przybliży go do doskonałości.

W jego przypadku tak właśnie było.

Mniej więcej po upływie roku, gdy jego twarz przypominała już oblicze zawodowego boksera z połamanym nosem i bliznami

powstałymi na skutek pęknięć łuków brwiowych, Dawid Schwartzman nagle się obudził i wziął czynny udział w bójce. Po prostu uznał, że nadszedł czas. Był gotów zamienić doświadczenie ciosów otrzymanych w praktykę tych, które powinien zadać.

Uderzył trzy razy. A że z reguły wyżywała się na nim spora grupa napastników, trzech z nich, którzy mieli pecha doczekać tego momentu, w ciągu kilku sekund straciło przytomność. Jeden ledwo przeżył z uszkodzoną krtanią, drugi długo leczył zebro pęknięte w okolicach splotu słonecznego, trzeci, trafiony półotwartą dłonią w ucho, odtąd czuł się pewniej, chodząc w pobliżu ścian. Żaden z nich nigdy więcej nie zaatakował Dawida. Za to ich kumple zaprzysięgli zemstę, rozgłaszając to w całym Roermond.

Schwartzman nie wydawał się zaniepokojony. Wiele tygodni wcześniej znalazł niewielki kamień i wyszlifował na nim rączkę więziennej łyżki do ostrości brzytwy. Zamaskował to przed strażnikami specjalną nakładką, ale gdy opuszczał celę, broń miał zawsze przy sobie.

Napadnięty parę dni później na spacerunku przez kilku młodych bandytów, zionących żądzą odwetu za kolegów, zgrabnie uchylił się przed atakiem ich herszta – wielkiego piegowatego osiłka, a następnie chwycił go za kołnierz więziennej kurtki i krótkim szarpnięciem w dół unieruchomił mu rękę. Pozostali osłupieli. A kiedy po sekundzie przyszli do siebie, Dawid przyłożył piegowatemu rękojeść łyżki do szyi, nie mówiąc ani słowa. To było przyłożenie, nie cięcie, ale ostrość narzędzia sprawiła, że krew buchnęła jak podczas świniobicia. Bandzior stał z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała i drżał jak osika, wiedząc, że jego najmniejszy ruch może być ostatnim, jaki wykona w życiu. Jego koledzy też to wiedzieli.

W stronę walczących ruszył strażnik, zdejmując z ramienia karabin, ale uprzejmym ruchem dłoni zatrzymał go jeden ze starych recydywistów, uznawany w Roermond za kogoś w rodzaju męża zaufania. Człowiek ten kazał się nazywać Augustem, swoją więzienną organizację budował na wzór legionu rzymskiego i chyba uważał się za cesarza, co mogło uchodzić za żart, gdyby nie wygląd jego kilku pretorianów wywodzących się z zakątków Amsterdamu, nad którymi wiszą najciemniejsze gwiazdy.

August podszedł do Dawida rozkołysanym krokiem i łagodnym ruchem ojca upominającego zbyt krewkiego syna ujął jego dłoń trzymającą łyżkę, odsuwając ją od szyi piegowatego. Był to gest tak spokojny i flegmatyczny, że Schwartzman nie protestował. Na spacerunku zapanowała cisza, w której słychać było odgłosy z odległej pralni.

Cesarz Roermond rozstrzygnął spór z imperatorską wielkodusznością. Piegowaty dowiedział się, że jest durniem, skoro podnosi rękę na więźnia skazanego na dożywocie, który może go zabić równie łatwo jak splunąć, gdyż nic mu za to nie grozi. Bo niby jak? Ktoś da mu drugie życie, aby wlepić mu drugi wyrok?

Dawid natomiast został przyjaźnie poklepany po ramieniu, co wszyscy w Het Arresthuis zrozumieli bez potrzeby wyjaśnień. Dwa dni później jeden z przybocznych ludzi Augusta wykonał na nadgarstku Schwartzmana tatuaż przedstawiający zegarek pozbawiony wskazówek. Tylko on, cesarz i jeszcze jeden starszy człowiek, który nie opuszczał już celi, nosili w Roermond oznaki tak wysokiej godności.

Trzy miesiące później cesarz podszedł do niego na spacerunku, rozcierając dłonie zdrętwiałe od jesiennego chłodu.

– Masz spokój z gówniarzerią? – spytał, wkładając do ust papierosa, po uprzednim poczęstowaniu Dawida. Jeden z pretorian, z gładko wygoloną czaszką i kieliszkiem wytatuowanym na podbródku, w tej samej chwili podszedł i podał mu ogień. August chciwie wciągnął dym i zaniósł się świszczącym kaszlem. Miał zaawansowaną gruźlicę i świadomość, że jego dożywocie będzie o wiele mniej kosztowne dla Królestwa Holandii niż wyrok Dawida, dwudziestolatka w pełni sił.

Schwartzman w odpowiedzi skinął głową.

– Tak ma być – skwitował August. – Niech się uczą szacunku dla ludzi z wysokimi wyrokami. Zwłaszcza dla tych, którzy siedzą tu za niewinność. – Stary gangster zaśmiał się chrapliwie, co wywołało kolejny atak kaszlu.

– Wszyscy tu siedzą za niewinność – odpowiedział Dawid.

– No jasne – zgodził się August – ale ty naprawdę.

Schwartzman znieruchomiał i popatrzył na niego pytająco.

– Jestem tu drugi rok. Za krótko, żeby stracić władzę w mieście – powiedział powoli stary. – Wiesz, co to znaczy? Że większość ferajny za murem pracuje dla mnie. Rozumiesz? To ja wydaję zgodę na poważniejsze roboty, dobieram ludzi do skoków i decyduję o podziale łupów. Wydaję też wyroki. Jakiś czas temu dwóch braci, takich żydowskich twardzieli, poprosiło mnie o pozwolenie na robotę u jubilera nazwiskiem Luria. Miało być zwykłe włamanie, ale coś tam się wymknęło spod kontroli i Żydki zareagowali nerwowo... – August zawiesił głos, sprawdzając reakcję Schwartzmana.

Dawid nie okazywał żadnych emocji, ale wyraźnie pobladł.

– Po co mi to mówisz? – spytał.

– Żebyś się lepiej poczuł. – Stary poklepał go po policzku. – Niczego już nie odkręcisz, ale może zainteresuje cię wiadomość, że braciszkanie, którzy złożyli wizytę Lurii, pracowali dla pewnego typu z dzielnicy żydowskiej. Ja dostałem tylko skromny udział z tego, co zniknęło z sejfu jubilera. Zastanawiasz się, skąd to wiem? Bo dwa czy trzy dni później braciszkanie wyjechali do Ameryki, gdzie z otwartymi ramionami przyjął ich gang prowadzony przez synków zleceniodawcy. Już wiesz, o kogo chodzi? Mówi ci coś nazwisko Nagler? No. To możesz uznać temat za zamknięty. Obu braci parę tygodni temu nowojorscy gliniarze podziurawili jak sita podczas szmuglu alkoholu jakąś tamtejszą rzeką. Nawet nie wyłowiono ciała. Amsterdamska śmierć. – Stary zakaszłał. – Na dnie, z pożytkiem dla ryb.

Można górnolotnie powiedzieć, że przez wiele lat zemsta dobijała się do drzwi Dawida Schwartzmana z różnym natężeniem, ale nigdy jej nie wpuścił. Wiedział już, komu zawdzięcza dożywocie w Roermond, i domyślił się, że poszło o Martę, a jednak zrezygnował z odwetu. Wystarczyło jedno słowo, a ludzie Augusta działający na wolności ukręciliby staremu Naglerowi jego podstępłą głowę, tylko że wtedy miałyby u nich dług. I co by to dało? Satysfakcję? Dawid Schwartzman nie uważał jej za walutę wymienną.

Noc po rozmowie ze starym gangsterem była jedyną, jakiej nie przespał w więzieniu. Może dlatego rano poczuł ciężar świadomości, że mury Het Arresthuis opuści wyłącznie w trumnie z prostych desek, która zostanie zakopana w rogu cmentarza miejskiego bez tabliczki z nazwiskiem.

Prawie dwadzieścia lat później, w ciepłe czerwcowe przedpołudnie, przed bramą więzienia w Roermond zatrzymał się czarny citroën traction avant. Wsiadł z niego wysoki, chudy i prosty jak tyczka oficer w mundurze Waffen-SS zdobnym w patki z tak zwanym „wilczym hakiem” oraz opaskę nad lewym mankietem informującą o przynależności do Ochotniczego Legionu Holenderskiego. Mundur miał dokładnie ten sam kolor co karoseria samochodu, dlatego naczelnik więzienia czekający przed bramą odniósł ulotne wrażenie, że esesman zlewający się z czernią auta składa się jedynie z pociągłej końskiej twarzy, jasnych włosów przykrytych furazerką i dłoni o nienaturalnie długich palcach, przypominających macki jakiegoś stwora.

Przybysz zasalutował, uścisnął dłoń naczelnika i pozwolił się poprowadzić do jego gabinetu, gdzie mieli do omówienia pewną ważną i niecierpiącą zwłoki kwestię.

– Jak już wspominałem przez telefon – esesman umościł się w fotelu, oblepiając swoimi palcami legwana kieliszek z prawdziwym francuskim koniakiem – chciałbym poradzić się pana w delikatnej sprawie. Rozmowa powinna pozostać między nami.

– Proszę mną dysponować – oznajmił naczelnik usłużnie, przyjmując postawę człowieka gotowego na rozkazy.

– Będę z panem szczery. – Esesman przeszył go zimnym, bezbarwnym spojrzeniem. – Chodzi o legion generała Seyffardta. Naczelnik ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Jak pan wie – kontynuował tyczkowaty gość – wielu naszych rodaków i prawdziwych patriotów wstąpiło do Ochotniczego

Legionu Holenderskiego, aby walczyć z bolszewickim zagrożeniem u boku przyjaciół z Wehrmachtu.

– Byłem na defiladzie legionistów w Hadze w lipcu ubiegłego roku – zameldował naczelnik. – Chłopcy wyglądali imponująco.

– Taaak... – westchnął esesman. – Tak było. Ale wojny wygrywa się na frontach, nie na defiladach. Pół roku później naszych zuchów wysłano do Rosji, w rejon Leningradu. Walczyli jak lwy...

– Widziałem w kinie – dopowiedział naczelnik. – Nie mogłem opanować wzruszenia...

– Nowa Europa, czysta rasowo i moralnie, pozbawiona Żydów i komunistów, wymaga ofiar – wyjaśnił esesman. – Powiem to tylko panu, pod rygorem tajemnicy państwowej: ze stanu osobowego legionu zostało dwadzieścia procent.

Twarz naczelnika przybrała wyraz zbolełego współczucia, ale mózg, idealnie wyćwiczony w przeczuwaniu nastrojów więźniów, odnotował pierwszy sygnał ostrzegawczy. Może czas pomyśleć o lekkiej korekcie kursu i nieokazywaniu aż tak ostentacyjnej sympatii Hitlerowi i jego holenderskim klakierom? – pomyślał szef Het Arresthuis, ale ukrył tę wątpliwość. Popatrzył na swojego gościa z wyczekującym oddaniem.

– Krótko mówiąc – odpowiedział na to spojrzenie tyczkowaty esesman – legion potrzebuje uzupełnień. A u pana siedzi banda darmozjadów, którzy mogliby wymazać winy i przydać się ojczyźnie.

Naczelnik się strapił.

– To wyjątkowo trudny materiał ludzki – bąknął.

– Dlatego rozmawiam z panem.

Szef Het Arresthuis potarł podbródek.

– Możemy zrobić pogawędkę – zaczął i natychmiast przerwał,

napotykać wzrok esesmana, w którym narastało coś złowróżbnego. – Albo nie. Najlepiej byłoby pozyskać dla naszej idei – naczelnik wyraźnie podkreślił pierwszą osobę liczby mnogiej – kogoś, kto liczy się w więziennej hierarchii. Jakiegoś starego recydywistę szanowanego przez osadzonych. Za takim by poszli...

– Ma pan kogoś konkretnego na myśli? – ożywił się esesman.

Naczelnik zastanowił się przez chwilę.

– Jest taki jeden. Siedzi w Roermond od dwudziestu lat. Nazywa się Schwartzman.

– Żyd?

– Nie. Za to morderca Żydów.

– Świetnie – uradował się esesman. – Niech go pan wezwie.

– Szkoda czasu – powiedział smutno naczelnik. – Wspomniałem o Schwartzmanie, bo gdyby on zaciągnął się do legionu w zamian za darowanie reszty kary, to ustawiłaby się za nim kolejka. Ale on się nie zaciągnie.

– Ile ma jeszcze odsiadki? – Esesman najwyraźniej układał plan, całkowicie lekceważąc ostatnie stwierdzenie.

– Dostał dożywocie.

– Świetnie – powtórzył wysłannik legionu. – Damy mu szansę rehabilitacji na froncie. Jeśli będzie walczył bohatersko, zadbamy o darowanie kary. A przynajmniej mu to obiecamy. – Esesman skrzywił swoją końską twarz w obłudnym uśmiechu. – Niech go pan wezwie.

– Jak pan sobie życzy – odparł bez przekonania naczelnik. – Ale uprzedzam: to człowiek bez uczuć. Nie uśmiecha się, nie podnosi głosu, nie wpada w gniew, nie cieszy się i nie wzrusza. Skała. Po śmierci starego Augusta, przestępczej legendy Amsterdamu, więźniowie wiele razy proponowali Schwartzmanowi objęcie

nieformalnego przywództwa w Het Arresthuis, ale zawsze odmawiał. On myśli tylko o sobie i własnej wygodzie. Nie skusi go pan perspektywą śmierci od sowieckiej kuli w okopach pod Leningradem.

– Niech go pan wezwie – po raz trzeci powtórzył esesman.

Naczelnik nie odrzekł ani słowa, podniósł słuchawkę telefonu i wydał krótkie polecenie dyżurnemu.

Na widok niewysokiego, śniadego mężczyzny z wydatnym, choć wielokrotnie złamanym nosem esesman drgnął i niespokojnie spojrzął na naczelnika. Nie czekając na jego wyjaśnienia, zwrócił się bezpośrednio do więźnia:

– Jesteście Żydem?

– Nie – skłamał Dawid Schwartzman.

– A wyglądacie.

Więzień wzruszył ramionami.

– Matka była Hiszpanką.

– A ojciec?

– Holendrem.

– Ale nazwisko macie nieholenderskie. – Esesman był dociekliwy.

– To prawda.

– Więc jakie?

– Nie wiem.

– Może niemieckie? – zaświtało esesmanowi.

– Może – zgodził się więzień ciągle stojący obok framugi drzwi gabinetu z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała.

– Niech pan siada, panie Schwartzman. – Wysłannik legionu raptem zmienił ton i przejął inicjatywę, wskazując mu krzesło

w gabinecie naczelnika, który wymuszonym uśmiechem zamaskował wściekłość z powodu panoszenia się w jego królestwie tego tyczkowatego bufona.

Więzień usiadł.

– Mam dla pana pewną propozycję – zaczął esesman i rozpoczął dziesięciominutową przemowę na temat patriotyzmu, obowiązku obywatelskiego, słynnego od wieków heroizmu Holendrów oraz odpowiedzialności za czystość Europy i konieczności walki z czerwoną zarazą, która zaleje kontynent, jeśli mężni ludzie tacy jak Schwartzman nie zastąpią jej drogi i nie podniosą przeciw niej swoich żelaznych pięści czy jakoś tak... Naczelnik przysłuchujący się tyradzie nie zapamiętał dokładnie.

Na koniec esesman sformułował warunki wstąpienia do Ochotniczego Legionu Holenderskiego oraz mglistą obietnicę darowania win, które najlepiej zmywa się krwią przelaną za ojczyznę – oświadczył, co według naczelnika zabrzmiało jak porada o wywabianiu plam z rubryki dla gospodyń domowych w lokalnej gazecie.

Więzień wysłuchał wszystkiego z kamienną twarzą, bez jednego mrugnięcia powiek. W gabinecie zapanowała kłopotliwa cisza.

– Jaka jest pańska odpowiedź? – zapytał rzeczowo esesman. – Wstąpi pan do legionu?

Naczelnik z trudem hamował radość z tego, co za chwilę nastąpi. Teraz dostaniesz nauczkę za swoje przekonanie, że zjadłeś wszystkie rozumy, tyczkowaty pyszałku. No dalej, Schwartzman, dopingował w myślach więźnia, powiedz mu tak, żeby mu w pięty poszło.

– Oczywiście, że wstąpię, proszę pana – odrzekł uprzejmie Dawid i przez jego twarz po raz pierwszy od blisko dwudziestu lat

przemknęło coś, co przy dużej dozie wyobraźni można było uznać za uśmiech.

6

Dalsze wydarzenia potoczyły się lotem błyskawicy.

Kiedy *citroën traction avant* zniknął za rogiem, miękko wchodząc w zakręt, a naczelnik Het Arresthuis przypomniał sobie opinię swoich podopiecznych, że ten model nosi przydomek *Gangstalimuzine*, bo z racji przedniego napędu jest ceniony przez przestępców jako samochód najszybszy w mieście, w życiu Dawida Schwartzmana wszystko się zmieniło.

Tego samego wieczoru dostał kolację z kantyny dla strażników, co powtarzało się przez najbliższe kilka dni do momentu, gdy ponownie wezwano go do gabinetu naczelnika. Zastał tam tyczkowego esesmana, który przywiózł odpowiednie dokumenty. Na ich mocy skazanemu Schwartzmanowi zawieszono wykonanie kary wobec jego ochotniczej decyzji o przyłączeniu się do Legionu Holenderskiego i walce w szeregach patriotów. Papiery opatrzone były okrągłymi pieczęciami ze swastyką i pozwoliły Dawidowi przypuszczać, że Niemcy mogą teraz robić w Królestwie Niderlandów, co tylko zechcą.

Roermond w 1942 roku było niewielkim, sennym miastem, szarym ze zmęczenia wojną i okupacją, ale Dawidowi Schwartzmanowi, jadącemu na tylnym siedzeniu *citroëna traction avant*, wydawało się metropolią. Trudno się dziwić. Po dwudziestu latach w zamkniętym pomieszczeniu wąski bulwar nad Mozą oświetlony

paroma bladymi latarniami może wyglądać jak Broadway w noc sylwestrową, a kilkoro staruszków przed kamienną katedrą jak tłum pielgrzymów do sanktuarium w Fatimie. Wychodzenie po długim czasie z pomieszczeń zamkniętych zawsze zmienia perspektywę.

Dawid ukradkiem spoglądał na swoje nowe ubranie: szerokie brązowe spodnie z wysokim stanem, mocno ściągnięte paskiem, niebieska koszula w ledwo widoczne białe prążki i wzorzysty sweter bez rękawów, cienki, ale i tak zbyt ciepły na czerwiec. Nigdy nie miał tak pięknego stroju.

Gdy tylko polecono mu się przebrać, po uprzedniej kąpieli i wizycie u fryzjera, tyczkowaty esesman gestem zaprosił Dawida przed bramę Het Arresthuis, gdzie czekał reporter z aparatem fotograficznym uzbrojonym w lampę błyskową wielkości więziennej miski. Potem nastąpiło kilka eksplozji, bo Schwartzman nie potrafił zapanować nad mrużeniem oczu i trzeba było zmarnować na niego pięć albo sześć żarówek z drutem aluminiowym, który spalał się w momencie wykonywania fotografii. Nieważne. Ważne, że efekt okazał się taki, jakiego oczekiwano. Na zdjęciu, na tle murów i krat, widniał stary kryminalista demonstrujący nadgarstek z tatuażem, jakim wyróżniano skazańców z wyrokami dożywocia. Patrzył śmiało w obiektyw i zdawał się mówić: „Błądziłem, ale teraz odnalazłem właściwą drogę. Darowano mi resztę kary, bo wstąpiłem do Ochotniczego Legionu Holenderskiego walczącego z komunizmem. Dołącz do nas i ty”.

Zdjęcie miało zostać wydrukowane na ulotce dla więźniów, którą osobiście wymyślił tyczkowaty oficer Waffen-SS. Na jednej stronie miał się znaleźć Schwartzman wychodzący z więzienia, a na drugiej Schwartzman w mundurze NSB, czyli holenderskiego ruchu

narodowosocjalistycznego, ruszający na front z hełmem, plecakiem i karabinem. Drugie ujęcie miało zostać wykonane następnego dnia rano w koszarach legionu w Amsterdamie, ale do tego nie doszło.

Poprzedniego wieczoru, tuż po przyjeździe z Roermond, Dawid Schwartzman poprosił o zgodę na wyjście do latryny, skąd już nigdy nie wrócił. Kilkunastu żołnierzy legionu przeszukało koszary, zaglądnąc pod każdą pryczę, ale poza wartownikiem ogłuszonym uderzeniem kantem dłoni w tętnicę szyjną i odciągniętym od bramy w pobliżkie krzaki nie odnaleźli nikogo.

7

Tyczkowaty oficer wpadł w szal.

W pierwszej chwili chciał zawiadomić holenderską policję i wszystkie służby niemieckie, rozsyłając za Dawidem Schwartzmanem list gończy, ale zaraz się opamiętał. Ujawnienie ucieczki człowieka, który miał być symbolem i wzorem dla tysięcy innych, nie tylko przekreślało plan werbowania więźniów w szeregi legionu, ale i ośmieszało jego samego. Postanowił rozegrać to inaczej. Nakazał absolutne milczenie zaufanej grupie współpracowników, która znała prawdę, natomiast w Het Arresthuis rozgłosił po kilku dniach, że Dawid Schwartzman walczy już na froncie wschodnim w szeregach ochotniczego pułku grenadierów pancernych SS i osobiście zabił tuzin Rosjan. Znaleźli się tacy, którzy to kupili.

Tymczasem Dawid rozplynał się we mgle nad rzeką Amstel. Zamelinował się w dzielnicy Zuid, u dawnego kolegi z Roermond będącego chwilowo na wolności, postanawiając przyciąć się na

parę dni. W tym czasie amsterdamski półświatek, w którym kolega miał rozległe stosunki, sprawdził, czy Schwartzmana szuka policja. Nie szukała.

Dmuchając na zimne, Dawid z żalem zamienił porządne ubranie na podniszczone pumpy, połataną marynarkę i kaszkiet, który przesunął na czoło, kryjąc twarz, po czym wybrał się na ulicę Waterlooplein. Bez celu. Może po jedno wspomnienie z bramy.

Kamienica Naglerów nie miała już dozorczy. Drzwi do służbówki były zabite deskami, podwórze pełne śmieci, a okna zakurzone i poklejone paskami papieru, które miały chronić szyby przed pęknięciami na wypadek nalotu bombowego. Mimo to dom żył. Uchylone lufciki zapraszały do mieszkań powiew czerwcowego wieczoru, który marszczył firanki i niepokoił liście roślin doniczkowych stojących na parapetach.

Dawid zatrzymał zgarbionego starca wychodzącego z bramy sąsiedniego domu i w zamian za parę guldenów dowiedział się wszystkiego, co chciał. Jubiler Nagler umarł wiele lat temu. Mówiło się, że ze zgrzyoty. Córka się go wyrzekła, choć nie odmówiła mu opieki, gdy dostał udaru mózgu i spędzał całe dni w fotelu, śliniąc się i nie rozpoznając ludzi. Skończył tak, jak żył przez ostatnie lata. W milczeniu i na siedząco.

Szlifiernię przejęła pani Marta, czyniąc współnikiem Moshego Shulmana. Razem dorobili się dobrych pieniędzy, ale pan Shulman spieniężył swoje udziały i udał się do Ameryki, będzie z dziesięć lat temu, słusznie przewidując, że Hitler w Europie narobi Żydom kłopotu. Pani Marta została. Wiele lat wcześniej wyszła za mąż za porządnego człowieka, z którym ma troje dzieci. Prowadzą szlifiernię i nie mogli sobie ot tak wyjechać, jak pan Moshe, który szast-prast spakował walizkę, pożegnał się, wsiadł do taksówki,

potem na statek i tyle go widzieli.

Pani Marcie i jej mężowi wiedzie się dobrze. Tak zwani „diamentowi Żydzi” cieszą się przywilejami ze strony Niemców. Branżę kontroluje sam Reichskommissariat, który czerpie z niej olbrzymie zyski, dlatego pani Marta nie może narzekać. Mieszka z rodziną o tam, gdzie zawsze mieszkali Naglerowie. Tu stary wskazał okna na pierwszym piętrze.

Przybysz, który chciał to wszystko wiedzieć, nie podążył wzrokiem za ruchem jego dłoni. Odwrócił się bez słowa i odszedł, wywołując u starego najpierw zdziwienie, a w konsekwencji wzruszenie ramion.

Dawid Schwartzman odczekał, aż mrok nieco zgęstnieje, i przeszedł się wolnym krokiem w stronę szlifierni Naglerów. Postarzała się. Budynek jakby się pochylił i straszył liszajami tynku, który nie utrzymał się na ścianach, ale izba na górze nadal tam była. Brudne okienko informowało, że dawno temu zamieniono ją na jakiś składzik lub pozostawiono samej sobie. Pewnie nawet najubożsi z czeladników nie chcieli w niej zamieszkać.

Szlifierni nikt nie pilnował. Dawid bez trudu sforsował za pomocą wytrycha zamek drzwi wejściowych, tak jak nauczył się w Roermond, i wszedł do środka. Odczekał, aż oczy przyzwyczajają się do półmroku, i powoli poszedł schodami na górę. Pchnął drzwi swojej dawnej kwatery. Była pusta. Światło przedzierające się przez zakurzoną szybę niewielkiego okna załamywało się na gęstych sieciach pajęczyn. Schwartzman odgarnął je kilkoma ruchami ręki i podszedł do belki stropowej, wydając z kieszeni sprężynowy nóż. Wspiął się na palce i kilka razy ukłuł drewno w miejscu, w którym dwadzieścia lat temu urządził skrytkę. Za czwartym razem ostrze trafiło na drzazgę umocowaną

drewnianymi klinami, które nadal solidnie trzymały. Dawid lekko szarpnął i drzazga ustąpiła, a tuż za nią upadło na podłogę niewielkie zawiniątko.

Podniósł je i rozwinął. Trzymał w ręku swój brylant, który w odróżnieniu od niego, kamienicy Naglerów, szlifierni, Amsterdamu i całego świata nie postarzał się ani o sekundę.

8

Plan Marty, że diament oszlifowany metodą Schwartzmana zmieni jego życie, miał się urzeczywistnić po dwudziestu latach.

Następnego dnia Dawid spotkał się z kolejnym starym znajomym z Het Arresthuis. Podczas odsiadki wiele lat temu człowiek ten był pospolitym bandytą, dziś należał do grubych ryb amsterdamskiego świata przestępczego. Uściskali się serdecznie.

– Wiedziałem, że kto jak kto, ale ty nie zdechniesz w Roermond.
– Gangster był szczerze uradowany, że jego przypuszczenia się sprawdziły. – Jak ci się udało wyskoczyć?

– Zostałem faszystowskim patriotą – oświadczył Dawid i krótko opowiedział historię o tyczkowanym esesmanie, werbunku do legionu, swetrze bez rękawów, fotografii propagandowej, przejażdżce citröenem i koszarach, z których dałby nogę nawet inwalida bez nogi.

Gangster śmiał się do łez, każąc Dawidowi parokrotnie parodiować głupią minę, jaką zrobił naczelnik, gdy Schwartzman ochoczo zgodził się zaciągnąć do holenderskiego SS.

– Czego ci potrzeba? – spytał, ciągle trąc oczy.
– Dobrych dokumentów – odparł Dawid.

– Da się zrobić. – Kumpel z Roermond skinął głową. – Jest taki gość. Najlepszy w mieście. Ale uważaj: robi lewe interesy ze Szwabami, podrabiając dla nich reichsmarki.

– Fałszują własną walutę?

– A jak myślałeś? Że to grzeczni chłopcy w krótkich spodenkach na szelkach, wiernie wpatrzeni w wujka Adolfa? Większość z nich służy tej ich Trzeciej Rzeszy, żeby kraść i rabować na potęgę. Dla siebie, rzecz jasna. Fałszerz należy do ich biznesu w Amsterdamie. Właśnie dostarczył niemieckim koleżkom dużą partię lewej waluty, wiem, bo papier i farby kupuje na czarnym rynku, a czarnym rynkiem rządzą ja – podkreślił z dumą. – Od czasu do czasu sprzedaje też ludzi. Głównie Żydów. Rozumiesz, przyjaciele z gestapo muszą mieć wyniki, żeby była przykrywka dla tego, co ich naprawdę interesuje.

– Gdzie go znajdę?

Gangster podał mu adres i wytłumaczył, jak dojść.

– Masz czym zapłacić? – dopytał.

Dawid skinął głową.

– Mam też coś do sprzedania. Brylant. Znasz kogoś zainteresowanego?

– Pogadaj z fałszerzem. On skupuje takie świecidełka.

– Jak płaci?

– Marnie, jak każdy paser. Przyciśnij go, że wiesz o lewych markach i jego konszachtach ze Szwabami, to zmięknie i da więcej.

– Chodzi mi o to, czym płaci – sprecyzował Dawid.

– Za ostatnią dostawę wziął walizkę guldenów, które wymienił u nas na złote dolary i franki szwajcarskie. Nie bierz holenderskich pieniędzy, robią się gównem warte. Zwłaszcza że jak się domyślam – gangster spojrzał na Dawida badawczo – nie zamierzasz spędzać

reszty życia w naszym pięknym kraju, codziennie oglądając się za siebie. Jakby co, daj znać, to znajdę ci człowieka, który za skromną opłatą zaokrętuje cię na statku handlowym płynącym w jakiś przyjemny zakątek świata.

W odpowiedzi Schwartzman wstał i uściśnął mu rękę, co wyraziło podziękowanie i pożegnanie. Gangster uśmiechnął się do siebie. Ten mały śniady twardziel zawsze był oszczędny w okazywaniu czegokolwiek.

Ludzie chętnie wierzą w to, czego nigdy nie widzieli. Katolicy uznają to za błogosławieństwo, ale natura człowieka po prostu taka jest. Wiara w coś pozbawionego materialnych dowodów istnienia daje fantastyczne możliwości tworzenia mitów, ubarwiania i zmyślenia, ile dusza zapragnie. Czarny szlif był tego najlepszym dowodem.

Kilka słów Moshego Shulmana o tym, jak to skromny snijder Dawid Schwartzman wymyślił rewolucyjną metodę obróbki diamentów, rzucone gdzieś mimochodem dwadzieścia lat temu, rozpałiło emocje do czerwoności. To, że nikt nigdy nie widział brylantu Schwartzmana, nie miało żadnego znaczenia. Wręcz odwrotnie. Najciekawsze są tajemnice, których nie zdołano poznać.

Morderstwo Rubena Lurii i jego kochanka tylko podsyciło emocje.

W Amsterdamie byli ludzie, którzy dawali głowę, że Schwartzman zabił sławnego jubilera, bo Luria wraz ze współnikami chcieli mu wykraść sekret genialnego szlifu. Inni zaklinali się, że Dawid został w to morderstwo wrobiony przez syndykat szlifierzy, którzy przestraszyli się zagrożenia dla patentu Josepha Asschera i zadbali o to, aby ewentualny konkurent zgnił

w Het Arresthuis. Jeszcze inni mieli niezbite dowody na to, że wszystko było zaaranżowanym spektaklem, zwłoki przy Rapenburg należały do bezdomnych i zostały podrzucone z kostnicy, a Luria, Mallach i Schwartzman wyjechali do Ameryki, gdzie wkrótce rozpoczną produkcję brylantów obrabianych czarnym szlifem i zetrą diamentowy Amsterdam nie tylko z rynku, ale i z powierzchni ziemi. Nikt nigdy nie zastanawiał się nad logiką kolejnych wersji legendy, ale najciekawsze było to, że czas wcale jej nie osłabił. Tuż przed wydostaniem się z Roermond do Dawida podszedł na spacerunku jeden z nowo przybyłych więźniów.

– Ty jesteś krewnym tego Schwartzmana? – spytał.

– Którego?

– No, tego od czarnego szlifu.

– Nie – odparł Dawid, co zresztą było zgodne z prawdą.

– Tak myślałem – odrzekł tamten. – W ogóle nie jesteś podobny. Schwartzman aż przystanął.

– Znasz go?

– Pewnie – pochwalił się więzień. – To mój kumpel.

– A co się z nim dzieje?

– Przeczytał się. – Więzień rozejrzał się i ściszył głos. – Ma wille na przedmieściu Amsterdamu, a w piwnicy pracownię. Zaufani ludzie skupują dla niego diamenty, a on sam je szlifuje i w pewnym momencie, gdy przyjdzie czas, zasypie rynek nowymi brylantami. Zobacysz. Cena obecnych spadnie o połowę.

– I nikt o nim nie wie?

– Tylko najbliżsi kumple, tacy jak ja. Nie muszę ci chyba tłumaczyć, że zmienił nazwisko.

Wracając od fałszerza, Dawid przypomniał sobie tamtą rozmowę

i szczerze go rozbawiło jej prorocstwo. Rynku wprawdzie nie zasypał, ale brylant wykonany czarnym szlifem i zamieniony na przyzwoitą ilość twardej gotówki, nazwisko Johana Pinto i perfekcyjnie podrobione dokumenty odegrały rolę podobną do tej, jaką stworzyła fantazja więźnia z Roermond. Mógł zacząć nowy rozdział w życiu.

Godzinę później spotkał się w umówionym miejscu z ludźmi, którzy mogli załatwić zaokrętowanie na statek handlowy płynący do Szwecji lub Hiszpanii. Mieli prawdziwie portowe obyczaje. Narzucili ostre tempo picia, a potem zaczęli szarpać się i wrzeszczeć, aż właściciel knajpy wezwał gliny i skończyło się nocką w izbie wytrzeźwień na komisariacie. Dawid się tym nie przejął. Miał dobre dokumenty i prawdziwy adres w świeżo wynajętym mieszkaniu, a policja była zbyt leniwa, aby sprawdzać każdego pijaczka. Zwłaszcza że nadal nikt nie szukał zbiega z Roermond.

Bardziej się zmartwił, gdy następnego dnia aresztowało go gestapo. Był przekonany, że chodzi o ucieczkę z koszar Legionu Holenderskiego, ale nie chodziło. Ktoś zabił fałszerza. Elegancki oficer, który go przesłuchiwał, usilnie pragnął przypisać jemu to morderstwo, ale Dawid miał alibi. Nic nie mogli mu zrobić.

A jednak zrobili.

Mimo że przesłuchujący nie poznał ani jego prawdziwego nazwiska, ani tożsamości, tego samego dnia odwieziono Dawida do obozu przejściowego dla Żydów w Westerbork, a stamtąd wysłano pociągiem do Auschwitz. Przepadły pieniądze za brylant, plany wyjazdu do neutralnego państwa i coś jeszcze: obietnica dana samemu sobie, że nigdy nie wróci do własnej przeszłości.

A jednak wrócił.

Jakiś czas potem – po zabraniu go z transportu, przewiezieniu do obozu Annaberg i mianowaniu kapo specjalnego komanda – zaprowadzono go do Strefy Wydzielonej, gdzie miał pilnować więźniów przy pracy. Stary Żyd pełniący funkcję przewodnika otworzył drzwi specjalnego baraku i Dawid Schwartzman ujrzał przed sobą całkiem przyzwoicie urządzoną szlifiernię diamentów.

Warszawa/Gdynia/okolice Słupska

sierpień 2011 roku

1

Upłynęło pięć dni od obiecanego terminu otrzymania akt z IPN-u.

Kuba właśnie zameczał Kasię, narzekając po raz setny, że z instytutu nie dzwonią, gdy jego komórka zadrżała i odezwała się ochrypłym głosem przedwojennego telefonu. Kuba zerknął na ekran, mruknął, że to ktoś z miasta, bo numer warszawski, po czym odebrał i już po chwili się rozpromienił.

– Z IPN-u – szepnął do Kasi, zakrywając dłonią mikrofon.

– Bóg istnieje – odpowiedziała półgłosem, z wyraźną ulgą, że uda się uniknąć sto pierwszych narzekań.

Rozmowa nie była długa. Przez parę minut Kuba kiwał głową z miną królika pytanego, czy zechce złożyć wizytę na polu kapusty, potem żarliwie komuś podziękował, pożegnał się i rozłączył.

– Nareszcie. – Westchnął, odkładając telefon na stolik przed kanapą. – Mogę jutro zapoznać się z aktami. Pozwolą mi poczytać je tu, w Warszawie, na Towarowej. Powiedzieli, że w uznaniu zasług. Inaczej musiałbym jechać do oddziału we Wrocławiu albo do delegatury w Opolu. Super, nie?

– Super – zgodziła się Kasia. – O której się wybierasz?

– Mam czas od dziesiątej do końca dnia, bo pojutrze akta idą do

skanowania dla potrzeb archiwum elektronicznego i odsyłają je na Śląsk. No to nie wiem. Chyba od razu pojedę, na dziesiątą – uznał.

Wyglądał na zadowolonego.

Ale nazajutrz rano wydawał się tracić pewność siebie.

– Stresujesz się? – spytała Kasia, przygotowując śniadanie.

– No wiesz – obruszył się Kuba. – Niby czym? – Posłał jej nienaturalny uśmiech i ukrył się za półotwartymi drzwiami łazienki. Odkręcił kran, co natychmiast zaalarmowało Marysię, która zsunęła się ze swojego krzesła w kuchni i pobiegła za tatą. Od dwóch miesięcy mieli swój poranny rytuał.

Mniej więcej wtedy Kuba postanowił, że nie będzie dłużej używał piany w aerozolu i po żmudnych poszukiwaniach w drogeriach zdobył mydło do golenia oraz pędzel z syntetycznego miękkiego włosia. Marysi też się ten pomysł spodobał, bo odtąd przed każdym goleniem, kiedy jeszcze pędzel był suchy, Kuba musiał połaskotać nim córkę po nosie, co wywoływało eksplozję jej radości. Dziś również wbiegła do łazienki, ale było już za późno. Pędzel został zmoczony, a w takim stanie się nie liczył. Kuba przeproszał dziewczynkę, przytulał i całował, ale i tak wróciła do kuchni z buzią wykrzywioną w podkówkę.

– A jednak się stresujesz – stwierdziła Kasia, gdy pojawił się kilkanaście minut później, pachnący balsamem po goleniu.

– Skąd ten wniosek? – Kuba konsekwentnie próbował obalić jej teorię.

Kasia odliczała na palcach:

– Zapomniałeś o mizianiu noska, to raz. Uśmiechasz się dokładnie tak samo jak Marysia, gdy chowa za plecami palec umazany w nutelli, to dwa. No i to. – Wskazała ruchem głowy łóżko

w sypialni, na którym leżała rozprostowana koszula, a obok niej spodnie bez choćby jednej fałdki. – Zawsze tak układasz rzeczy, w które masz się ubrać na ważne spotkanie. Nie muszę być mentalistką, aby cię przejrzeć, kochanie.

– No dobrze. – Kuba dał za wygraną. – Może trochę czuję się nieswojo.

– Bo...

– Bo wypowiedzenie umowy o pracę wysłałem pocztą i nigdy więcej nie pojawiłem się w instytucie, w którym spędziłem tyle lat. Poprosiłem o odesłanie rzeczy kurierem i nawet się nie pożegnałem. Głupio mi. Nie wiem, jak mnie przyjmą.

– Nie przejmuj się. – Kasia przez moment zastanawiała się nad argumentami dodającymi otuchy. – Wszyscy wiedzieli, co przeszedłeś z Paluchem, i pewnie doskonale cię zrozumieli.

– Tak myślisz? – Spojrzał na nią z wdzięcznością.

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się. – A jeśli chcesz wcześniej trochę poćwiczyć asertywność, to... poczekaj chwilę... – Zniknęła w sypialni i utonęła w swojej szafie z ubraniami, w której panował porządek przypominający układ rzeczy w bębnie pralki. Po chwili wróciła z żółto-zieloną bluzką.

– A to co? – zdziwił się Kuba. – Wybieramy się do Brazylii? Czy zasugerowałaś się połączeniem cytryn i awokado w warzywniaku?

– No wiem... – Kasia zrobiła minę niewiniątka. – Coś mnie zaćmiło. Zobaczyłam ją w tym sklepie na Żelaznej, wiesz w którym. Byłeś tam raz ze mną. Wydawało mi się, że będzie pasować do zielonych rybaczek, ale nie. Porażka. Oddasz, Kuba? *Please*. Pamiętaj – dodała na wszelki wypadek. – Jeśli odmówisz proście ciężarnej, to myszy coś ci zjedzą, zobaczysz.

Nie zamierzał odmawiać. Nie znosił oddawania rzeczy

w sklepach, ale był jej wdzięczny za pocieszenie z IPN-em. Sięgnął po bluzkę i paragon z rycerską miną, postanawiając, że załatwi to od razu, przed wizytą w instytucie, a z Żelaznej przejdzie na Towarową spacerem.

2

Właścicielka butiku nie była zachwycona. Najpierw zgasł jej uśmiech na widok interesującego bruneta wchodzącego do sklepu, który wszystko zepsuł, sięgając do reklamówki po żółto-zielony przedmiot zwrotu. Potem rozpoczęła oględziny każdego centymetra kwadratowego bluzki z przenikliwością filatelisty poszukującego mikroskaz na unikalnym egzemplarzu znaczka. Kuba czekał cierpliwie, mimowolnie obserwując przez szybę wystawową PRL-owskie wieżowce przy Żelaznej. Doskonale pamiętały czasy, gdy w handlu panowało całkowite zdziwienie, a próby zwrotu jakichkolwiek towarów – o ile ktoś w ogóle się na to poważył – likwidowała zasada „widziały gały, co kupowały”, stanowiąca jedyne ówczesne prawo konsumenckie.

Właścicielka sklepu, która bez wątpienia była już wtedy aktywna zawodowo, dokonała wreszcie ekspertyzy, wypełniła jakiś formularz, po czym ostentacyjnie przez kilka minut zmagala się z terminalem płatniczym, dokonując przelewu należności za bluzkę na kartę kredytową Kasi. Na koniec bez słowa przesunęła potwierdzenie w stronę klienta, który w pierwszej chwili wydawał się taki miły.

Kuba uprzejmie podziękował i wyszedł.

Nawet w blokowym wąwozie ulicy Żelaznej dawało się dostrzec

urodę sierpniowego przedpołudnia. Powietrze może trudno byłoby uznać za śródziemnomorskie, ale było ciepło, bezchmurnie i optymistycznie. Płotek pobliskiej restauracji, stylizowanej na czasy PRL-u, obsiadły wróble, które głośnym ćwierkaniem dawały do zrozumienia, że mają dziś bardzo korzystne biorytmy. Kuba wyrzucił do kosza zmiętą reklamówkę po bluzce, przeszedł kilkaset metrów i skręcił w ulicę Grzybowską, a potem we Wronią, skąd do siedziby IPN-u miał parę minut spacerem. Nagle na chodniku dostrzegł Wiesława Palucha. Jego były dyrektor i zatwardziały wróg stał odwrócony tyłem dokładnie naprzeciwko Hiltona i rozmawiał z kimś przez telefon.

Kuba wykorzystał to, że nie został zauważony. Szybko przeszedł na drugą stronę ulicy, pokonał kilka schodków i znalazł się w przestronnym hotelowym lobby. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Jacyś mocno zmęczeni, ale uporczywie hałaśliwi Anglicy zmierzali na spóźnione śniadanie, dziarska animatorka usiłowała wyłapać i zagonić do sali konferencyjnej obwieszonych identyfikatorami uczestników jakiegoś szkolenia, a do stanowisk recepcyjnych ustawiały się parosobowe ogonki chętnych do wymeldowania. Idealne warunki kamuflażu. Kuba przystanął obok sklepika z gazetami i pamiątkami, tuż przy olbrzymiej tafli szyby, zza której miał doskonały widok na Palucha i całą ulicę.

Chwilę później jego były szef schował telefon do tylnej kieszeni spodni, rozejrzał się i przeszedł na drugą stronę Wroniej, kierując się do Hiltona. Kuba zaczął nerwowo rozglądać się za kryjówką, ale Paluch zatrzymał się trzy metry od niego, stając na hotelowym podejździe. Dzielila ich szyba. Przyciemniona od zewnętrznej strony tak, żeby przypadkowi przechodnie nie mogli zaglądać do wnętrza eleganckiego hotelu i gapić się na gości. Dzięki temu Kuba

widział Palucha jak na dłoni. Dyskretnie odsunął się w stronę ściany i patrzył z zaciekawionym, nie zastanawiając się, dlaczego to robi. Z jakich przyczyn śledzi byłego dyrektora, zamiast odwrócić się na pięcie i pójść w swoją stronę?

A jednak była w tym intuicja. Nie minęły dwie minuty, a pod drzwiami hotelu podjechał od strony ulicy Łuckiej czarny mercedes z tablicami rejestracyjnymi z Kaliningradu. Kierowca wysiadł, nie gasząc silnika, obszedł wóz i zbliżył się do Wiesława Palucha. W tym samym momencie Kuba przypomniał sobie wszystkie obejrzone w życiu filmy szpiegowskie, błyskawicznym ruchem wydobyl z kieszeni komórkę, odnalazł funkcję aparatu fotograficznego i pstryknął kilka zdjęć. Dwie minuty później auto odjechało z obydwoma mężczyznami, a na karcie pamięci telefonu Kuby pozostały ujęcia Rosjanina ściskającego dłoń Wiesława Palucha – jego byłego szefa, który wsiadał do czarnego mercedesa, oraz tablic rejestracyjnych pojazdu.

3

Kuba nie spodziewał się aż tak ciepłego przyjęcia w IPN-ie. Sporo osób przyszło się przywitać, pytając o Kasię i Marysię, Jad Waszem oraz sprawę, nad którą teraz pracuje. Ktoś wyraził żal, że nie ma go już w instytucie, ktoś inny przyniósł kawę, pamiętając, że pije czarną z jedną łyżeczką cukru. To wzruszyło go najbardziej. Raptem uświadomił sobie, że tęskni za IPN-em, a siadając do stołu w dziale dokumentacji, pomyślał irracjonalnie, że nawet ten mebel jest jego przyjacielem. Ile godzin przy nim spędził? A raczej ile dni czy tygodni, bo gdyby zsumować czas, jaki przez ostatnie lata

poświęcił na czytanie akt przy stole w archiwum, potrzebowałyby jednostek pomiarowych znacznie dłuższych niż godzina. Ile krzywd zamkniętych w tekturowych teczkach leżało na tym blacie? Ile podłości, fałszu, tajemnic? Ile dowodów na to, że coś, co wydawało się białe, w istocie było czarne? Ile zdziwień i zaskoczeń? Z reguły akta były przygnębiające i ponure, ale zdarzały się sprawy, które los zaaranżował chyba tylko po to, aby również prokuratorzy IPN-u mieli coś z życia.

Kuba nieoczekiwanie przypomniał sobie jedną z nich. W małym zapyziałym miasteczku gdzieś w Bieszczadach pod koniec lat pięćdziesiątych miejscowy komitet partii otrzymał pulę portretów przywódców, które należało umieścić na widocznych miejscach w urzędach i instytucjach państwowych. Przyszło trzydzieści starannie opracowanych fotografii Gomułki – ówczesnego pierwszego sekretarza Komitetu Centralnego PZPR, tyle samo portretów Lenina oraz po dziesięć wizerunków mniej znanych towarzyszy, też w ramkach i za szkłem.

Gomułka z Leninem ozdobili ściany najważniejsze: komitet, miejską radę narodową, komendę milicji, ośrodek zdrowia, szkołę, dom kultury i tak dalej – aż doszło do sklepu wielobranżowego. Tu pula się wyczerpała. Uradzono zatem mniej istotnym placówkom rozdać pozostałe portrety i w ten oto sposób miejscowy zakład fryzjerski otrzymał wizerunki Marksa i Cyrankiewicza. Fryzjer był wniebowzięty. Bez chwili wahania umieścił obydwaj portrety na wystawie zakładu, opatrując je własnoręcznie wykonanymi napisami: „Przed goleniem” i „Po goleniu”.

Miasteczko było zachwycone dosłownością reklamy, ale towarzysze partyjni dopatrzyli się w tym prowokacji i skandalu politycznego. Fryzjera aresztowano. Przed pokazowym procesem,

który niechybnie skończyłby się wieloletnim więzieniem, uratował go kompletny brak świadomości klasowej. Poczciwy mistrz grzebienia, jak wykazało śledztwo, nie miał bladego pojęcia, kim są wybitne postacie z portretów, i zasugerował się jedynie ich wyglądem. W ten sposób protokoły jego przesłuchań, zakończone wnioskami o skrajnym ograniczeniu umysłowym, trafiły do archiwum, a w witrynie zakładu fryzjerskiego pozostał wizerunek mężczyzny o ulizanych włosach, przebywający tam od czasów sanacji.

Lektura akt obozu na Górze Świętej Anny zajęła Kubie resztę dnia. Pracownica archiwum, która kilkakrotnie przeszła obok jego stołu, zauważyła, że był bardzo skupiony i często wracał do dokumentów już przeczytanych, kartkując zawartość teczki wstecz. Od czasu do czasu coś notował, ale były to głównie nazwiska i adresy. Zapisywał je dużymi literami, otaczając obwódkami, które wyglądały jak ogrodzenia. Przy dwóch czy trzech nazwiskach postawił wykrzykniki, ale na kartce najwięcej było znaków zapytania. Dzięki nim notes wyglądał jak otwarta księga wątpliwości.

Najwięcej czasu były prokurator IPN-u spędził nad ostatnim dokumentem w teczce. Bezwiednie gryzł końcówkę długopisu, wpatrując się w arkusz pożółkłego papieru. Pracownica archiwum pomyślała, że koniecznie musi sprawdzić, co na nim jest, więc kiedy Kuba oddał wreszcie akta, odczekała, aż wyjdzie, i natychmiast do nich zajrzała.

Ostatnim dokumentem w teczce była decyzja Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce z 1977 roku o umorzeniu dochodzenia przeciwko obozowym strażnikom ze Świętej Anny. Archiwistka wzruszyła ramionami, zawiązała teczkę tasiemką

i odłożyła na półkę.

4

Wieczorem Kuba zadzwonił do Jerozolimy.

– No, nareszcie – przywitał go Szymon. – Już myślałem, że cię zamknęli w piwnicy IPN-u za współpracę z Żydami.

– Nie te czasy i nie ta instytucja – odparł Kuba. – Żyjesz przeszłością.

– Taki zawód – stwierdził filozoficznie szef referatu cieni Jad Waszem. – Mów lepiej, czy udało ci się coś znaleźć w aktach Annabergu.

– Szału nie ma – powiedział Kuba. – Jest trochę informacji o Organizacji, ale nic, czego byśmy nie wiedzieli. No i są dokumenty śledztwa, jakie trzydzieści cztery lata temu toczyło się przeciwko kilku Ślązakom z Opolszczyzny oskarżonym o przestępstwa dokonane na więźniach obozu. Ludzie ci byli żołnierzami Wehrmachtu zatrudnionymi w lagrze jako wachmani.

W słuchawce zapadła cisza.

– Rozumiem – przerwał ją Szymon. – Jakież wzmianki o tym, gdzie może być miejsce pochówku ofiar?

Kubę nagle zirytowała ta bezwzględna konkretność.

– A tak, zapomniałem – zakpił. – Jest dokładna mapka z miejscem zaznaczonym krzyżykiem.

Cisza w słuchawce powróciła.

– Może zadzwonię innym razem – zaproponował Szymon. – Jak przestaniesz być złośliwy.

– Bo rozliczasz mnie jak ucznia z pracy domowej.

– Nieprawda. Tylko zapytałem. Ciebie nie ciekawiło, gdy przeglądałeś akta, czy znajdziesz coś na ten temat? Wy, Polacy, jesteście bardzo przewrażliwieni.

– Przypomnieć ci, gdzie się urodziłeś? – Kuba rzucił ciętą ripostę.

– Będziemy się teraz kłócić? – spytał Szymon.

– Dobra, wystarczy – uznał Kuba. – Przepraszam, niepotrzebnie się uniosłem.

– To ja przepraszam.

– Znalazłem dwie wzmianki – powiedział Kuba, jakby nie było poprzedniej wymiany zdań. – Jedna to fragment zeznania robotnika przymusowego z Polski, który pracował na pobliskim polu, jak to obiegowo mówiono „u bauera”, i zaobserwował, że zmarłych więźniów obozu wywożono w prostej trumnie wielokrotnego użytku na prowizoryczny cmentarz, gdzie ciała po prostu wrzucano do dołów i zakopywano. To miejsce musiało się znajdować w lesie, pomiędzy obozem a polami uprawnymi leżącymi na południe od budynku komendantury, a to już coś. Konkretny trop.

– Świetnie, Kuba, dobra robota. – Szymon na wszelki wypadek go pochwalił. – A druga wzmianka?

– Ta niestety niewiele wnosi. Znalazłem informację, że Niemcy likwidując obóz, jak wiesz w dość dziwnych okolicznościach, starannie zatarli też ślady po cmentarzu. Jeden ze świadków widział, że wywozili stare tabliczki nagrobne z czterdziestego i czterdziestego pierwszego roku, kiedy je jeszcze umieszczali na mogiłach więźniów.

– I nikt z miejscowych nie poszedł tam zobaczyć? Nawet z ciekawości?

– Szymon – powiedział spokojnie Kuba. – Miejscowi ludzie byli

sparaliżowani strachem. Za spojrzenie w stronę obozu można było zarobić kulkę. Wachmani strzelali bez ostrzeżenia do wszystkich, którzy przejeżdżali drogą do Leśnicy. Wystarczyło odwrócić głowę w stronę drutów. Jeszcze bardziej bano się klasztoru, w którym kwaterowali żołnierze z Bukowiny – takiej krainy geograficznej na pograniczu Ukrainy i Rumunii, którą Hitler uznał za starogermańską. To były prawdziwe bestie. Sami Niemcy się ich bali. I co myślisz? Że ktoś z mieszkańców Annabergu miał ochotę zapuszczać się do lasu, aby sprawdzać, gdzie grzebano więźniów?

– Masz rację – uznał Szymon. – Tego nie wziąłem pod uwagę. Zatem jaki jest plan?

– Są dwie opcje – powiedział Kuba po chwili namysłu. – Możemy za pomocą specjalnych urządzeń przeszukać pola na południe od Muzeum Czynu Powstańczego, czyli dawnej komendantury, posuwając się w stronę Leśnicy.

– Georadar? – upewnił się Szymon.

– Mnie też przyszedł do głowy – zgodził się Kuba. – Ale obawiam się, że odpada. Pamiętasz naszą rozmowę w Jerozolimie? Zaskoczyło cię, że ja już byłem na Górze Świętej Anny. Bo rzeczywiście byłem, zaraz po twoim pierwszym telefonie w tej sprawie. Znalazłem resztki fundamentów baraków i dość dobrze obejrzałem teren. Szymon, to olbrzymi obszar. Na dodatek częściowo porośnięty lasem. A georadar dokonujący lokalizacji obiektów pod ziemią za pomocą fal elektromagnetycznych najlepiej lubi miejsca niezbyt duże, starannie wytypowane do poszukiwań.

– Czyli, jak ty to mówisz, kicha?

– Kicha – potwierdził Kuba. – Niby jest jeszcze jeden przyrząd – dodał niepewnie. – Wynaleziony w zeszłym roku przez Amerykanów. Sprawdziłem pół godziny temu – wyjaśnił. – To

sonda do poszukiwania zwłok pod ziemią, wykorzystująca niezwykle czuły wskaźnik chemiczny, ninhydrynę. Słyszałeś o niej?

– O amerykańskiej sondzie nie, o ninhydrynie tak – odparł Szymon. – Używa się jej do wykrywania śladów linii papilarnych na papierze, z którego teoretycznie nie można zdjąć odcisków palców.

– Brawo – rzekł Kuba ze szczerym uznaniem. – Zaimponowałeś mi, bo ja o niej nie słyszałem. Do dziś. Więc jak wiesz, ninhydryna jest niezwykle czuła na związki azotu, stanowiącego około trzech procent naszego ciała. Czyli obecnego w zwłokach. Praktycznie się nie myli co do ich lokalizacji.

– Czy ta sonda jest bardzo... inwazyjna? Wiesz, nasza religia zabrania zakłócać spokój zmarłych.

– Ma grubość ludzkiego włosa.

– Skoro tak – zastanowił się Szymon – to niczemu nie uchybiamy. Sprowadźmy to urządzenie.

– Obawiam się, że to niemożliwe.

– Dlaczego? Holenderscy jubilerzy poszukujący miejsca pochówku swoich kolegów mają duży budżet. Chętnie to sfinansują.

– Nie chodzi o pieniądze – rzekł Kuba. – Znalazłem w internecie opinie naukowców, którzy twierdzą, że związki azotu uwalniają się podczas rozkładu zwłok przez jakieś pięć miesięcy. Tymczasem szczątki ofiar obozu na Świętej Annie leżą w ziemi od blisko siedemdziesięciu lat.

Szymon milczał.

– Wobec tego przechodzę do opcji drugiej – kontynuował Kuba. – Skoro przeszukanie terenu za pomocą georadaru mogłoby nam zająć wiele miesięcy, to proponuję przeszukać ludzką pamięć. Będzie szybciej, a szanse na uzyskanie odpowiedzi są takie same.

– Nie rozumiem – wyznał Szymon, najwyraźniej przygnębiony poprzednimi informacjami.

– Zamierzam dotrzeć do osób pamiętających obóz.

– Oni mają po dziewięćdziesiąt lat. O ile jeszcze żyją – ostudził jego zapał Szymon.

– Oni tak – potwierdził Kuba. – Ale ich dzieci są o pokolenie młodsze. Ktoś komuś musiał coś przekazać. Chcę zacząć od synów i córek wachmanów. Namierzę ich i przepytam wszystkich po kolei.

– Myślisz, że zechcą rozmawiać? – Pytanie Szymona było pełne dystansu.

– Wiesz, ile razy słyszałem to podczas dochodzeń, jakie prowadziłem w IPN-ie? – Kuba odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Masz rację – stwierdził z zawstydzeniem Szymon. – Chyba to nie najlepszy mój dzień. Trzymam kciuki, żeby nie wyszła z tego kicha – skwitował i się pożegnał.

Kuba miał wrażenie, że ze słuchawki telefonu, jak na horrorze, wypłynął jednak obłoczek sceptycyzmu, który zaczął otaczać jego głowę, ale odpędził go machnięciem ręki.

5

Znalezienie miejsca parkingowego w okolicach Studia Buffo, tuż przed wejściem do parku Marszałka Rydza-Śmigłego, nie należy do osiągnięć łatwych, jednak Oleg Woronin dokonał tego bez trudu, umieszczając mercedesa w wolnej przestrzeni między dwoma innymi samochodami.

– Przejdziemy się? – zapytał Wiesława Palucha siedzącego na fotelu pasażera.

Były dyrektor pionu śledczego IPN-u potwierdził skinieniem głowy.

Przeszli przez plac z prawej strony Muzeum Ziemi, stając nad brzegiem rozciągającego się u ich stóp morza zieleni, przeciętego ulicą Rozbrat, a potem Czerniakowską, aż po Wisłę. Imponującą perspektywę zamykał w oddali pomnik sapera podminowany wspomnieniami braterstwa broni i przyjaźni polsko-radzieckiej.

– Cieszę się, że będziemy razem pracować, Wiesławie Piotrowiczu – powiedział Woronin.

Paluch skrzywił się, jakby nagle rozboleł go ząb.

– Wolałbym bez tych sowieckich grzeczności – syknął.

Ty durniu, pomyślał Rosjanin, gdybyś był choć trochę inteligentny, zrozumiałbyś, że to nie grzeczność, ale wiadomość: skoro znam imię twojego ojca, to znaczy, że cię sprawdziłem.

Mimo to uśmiechnął się przepraszająco.

– Jak pan sobie życzy.

Paluch uznał, że odniósł pierwsze zwycięstwo w tej rozmowie. Postanowił przejąć inicjatywę.

– Kuzyn z Trójmiasta zaznajomił mnie ze zleceniem, jakie chce mi pan powierzyć. No cóż, powiem wprost: nie mógł pan lepiej trafić. Kania był moim podwładnym. Znam go na wylot. Wszystkie jego słabe i mocne strony, zwłaszcza że mocne, jak by to ująć, nie istnieją. To wyjątkowo kiepski zawodnik. Trzymałem go u siebie z litości.

– Teraz pracuje dla Izraelczyków, prawda? – wtrącił Woronin, dotąd przysłuchujący się opiniom Palucha w milczeniu.

Były dyrektor IPN-u lekceważąco machnął ręką.

– Panu to imponuje? Ten cały Jad Waszem to przytułek dla dziadków ciągle rozpaczających z powodu Holocaustu. Daleko im

do IPN-u z moich czasów. Zresztą zobaczy pan profesjonalizm, jak zaczniemy pracować nad tematem Góry Świętej Anny. No właśnie – zatrzymał się i rozejrzał dyskretnie – słyszałem od kuzyna, że chcecie zakładać Kani podsłuch na komórkę.

Rosjanin potwierdził.

– Załatwimy to. Musimy znać każdy jego ruch z wyprzedzeniem. Nie musi mnie pan uczyć pracy operacyjnej. – Paluch konsekwentnie strugał twarziela, który jadł chleb z niejednego pieca. – Ale mam zasadę: do podsłuchu używam wyłącznie swoich sprawdzonych ludzi. Jasne?

Oleg Woronin popatrzył na niego zaskoczony.

A jakich ty możesz mieć ludzi? – pomyślał z politowaniem, ale zrobił minę oznaczającą zgodę.

– To będzie kosztować dodatkowe trzy tysiące euro – wypalił Paluch. – I nic was więcej nie obchodzi. Będę zawsze o krok przed Kanią.

Rosjanin pokiwał głową, zastanawiając się, czy gość idący obok niego wie, co mówi, a raczej co ryzykuje.

– Dobrze. Zapłacę przy następnym spotkaniu.

Paluch wykonał lekceważący gest, jakby trzy tysiące euro wydawał codziennie na lunch.

– Nie ma sprawy. Kuzyn ręczy za pańską uczciwość – powiedział i pomyślał pod adresem Rosjanina: Ty durniu, nie masz pojęcia, że żadnego podsłuchu nie będzie. Załatwię Kanię po swoim, a ty się nawet nie zorientujesz. A swój żydowski grób dostaniesz, żebyś potem za mną nie łąził. Tyle że to ja go odkryję.

Znów się zatrzymał i poklepał Woronina protekcyjnie po ramieniu.

– No to może pan uznać, że temat jest załatwiony. Możemy

wracać – oświadczył i triumfalnie spojrzał na park Rydza-Śmigłego, wodza, który podczas wojny polsko-bolszewickiej zdobył Kijów, spuszczając łomot Armii Czerwonej.

6

– Szybko pan zadzwonił – stwierdziła dwa dni później Teresa Barska, siadając naprzeciwko Kuby przy stoliku jednej z sieciowych kawiarni w Galerii Mokotów.

– Potrzebna mi pani pomoc. – Kuba zagrał w otwarte karty. – Zaproponowała pani współpracę, więc pomyślałem, że zechce w nią pani trochę zainwestować.

– Proszę jaśniej.

Kuba upił łyk kawy.

– Byłem w IPN-ie. Przeczytałem akta sprawy obozu na Świętej Annie i trafiłem na niewyraźny, ale jedyny jak dotąd trop, który może prowadzić do miejsca pochówku więźniów z Holandii. Kto wie, może znajduje się tam nie tylko grób, ale też coś, co ma związek z tym, co określiła pani mianem skarbu Schmelta.

– Jaki to trop? – spytała Barska.

– Po wojnie dwukrotnie próbowano dobrać się do skóry kilku mieszkańcom okolic Góry Świętej Anny, byłym żołnierzom Wehrmachtu, którzy stanowili personel obozu i ciążyły na nich podejrzania o przestępstwa wojenne. Krótko mówiąc, zbrodnie dokonane na Żydach. Upokorzenia, nieludzkie traktowanie, pobicia, zabójstwa. Najpoważniejsze śledztwo prowadzono w latach siedemdziesiątych. Wszystko jest w aktach IPN-u. Na podstawie wiedzy jednego ze świadków, którzy wtedy zeznawali, można

określić obszar, gdzie wywożono i grzebano zwłoki ofiar. Niestety, zbyt duży, aby go przekopać czy zbadać za pomocą detektorów.

Ponownie sięgnął po filiżankę.

– Uważam, że można zawęzić pole poszukiwań – wyjaśnił. – Ktoś musi coś pamiętać. Jakiś szczegół, wydarzenie, incydent, cokolwiek. Kiedy pracowałem w IPN-ie, to się często sprawdzało. Muszę dotrzeć do ludzi, którzy mają coś wspólnego z obozem.

– Kogo ma pan na myśli? – próbowała uściślić funkcjonariuszka ABW. – Tamtych wachmanów? Skazano ich w ogóle?

– Nie. Nawet nie usłyszeli zarzutów. Sprawę umorzono. Jeśli chce pani znać moje zdanie, ktoś ukręcił temu łeb. Ale to nie ma teraz znaczenia. Oni raczej już nie żyją. Natomiast jestem przekonany, że żyją ich dzieci, bliscy, krewni, sąsiedzi. Głowę dam, że ktoś z nich coś wie. Nie mam tylko pojęcia, jak do nich dotrzeć.

Barska zmarszczyła brwi.

– Najlepszym sposobem na to, aby kogoś odnaleźć, jest go odnaleźć – orzekła.

– Już myślałem – odparł Kuba z prawie niewyczuwalną irytacją w głosie – że nie wygłosi pani dziś żadnej ze swoich oczywistych prawd. Ale chyba mnie pani nie zrozumiała. Wiem, jak się szuka ludzi. W IPN-ie robiłem to dziesiątki razy. Mogę poszukać i teraz, ale boję się myśleć, ile to potrwa. Dlatego przyszło mi do głowy, że z pani legitymacją ABW i możliwościami, nazwijmy je operacyjnymi, możemy namierzyć tych ludzi od razu. To chyba nie jest żadne nadużycie? – Popatrzył na nią badawczo. – W końcu pani też ma swoją sprawę na Świętej Annie, tak czy nie?

Teresa Barska namyślała się przez chwilę.

– Czy tu są nazwiska wachmanów? – spytała, wskazując kartkę złożoną na cztery i leżącą od początku rozmowy na brzegu stolika.

Kuba uśmiechnął się, składając ukłon będący jednocześnie potwierdzeniem.

Pani kapitan ABW zsunęła kartkę do otwartej torebki.

– Za tydzień tutaj o tej samej porze?

Były prokurator IPN-u powtórzył ukłon sprzed chwili.

– A co tam u internetowych tropicieli zagadek wojennych?

Czegoś się dogrzebali? – spytała Barska, podnosząc się z krzesła i kładąc na blacie odliczoną należność za swoją kawę.

– Skąd pani o nich wie? – Kuba nagle nabrał podejrzeń.

– Sam mi pan powiedział w tej knajpce nad Wisłą.

– A, rzeczywiście – przypomniał sobie. – Jestem jakiś rozkojarzony.

– Najlepszym sposobem na to, żeby nie być rozkojarzonym, jest nie być rozkojarzonym – oświadczyła kapitan ABW i podała mu rękę na pożegnanie.

Siedem dni później kartka Kuby wylądowała na stoliku tej samej kawiarni uzupełniona o odręczne dopiski Teresy Barskiej.

– Gdzie pani to zdobyła? – spytał Kuba z nieukrywanym podziwem.

Kapitan ABW zawahała się, ale uznała, że tym razem może zagrać w otwarte karty.

– Główna Komisja prowadząca tamto dochodzenie zwróciła się o pomoc do prokuratury – wyjaśniła. – Nie ma tego w aktach IPN-u?

– Nie – odparł Kuba z przekonaniem. – Wielokrotnie przeglądałem te dokumenty i znam je prawie na pamięć. Nie ma tam żadnego pisma do prokuratury z prośbą o pomoc w śledztwie.

– Dziwne. Może ktoś je przeoczył, a może komuś zależało, aby

zatrzeć ten trop – zastanowiła się Barska. – Nieważne. Ważne, że prokuratura prowadziła swoje notatki operacyjne, które zachowały się w archiwum. To była nitka, po której nasi funkcjonariusze z Opola dotarli do kłębka, sprawdzając ewidencje ludności, dokumentację urzędów stanu cywilnego i księgi parafialne. Oto rezultat poszukiwań. – Barska wyjęła z torebki elegancki automatyczny ołówek i wskazała nim swoje dopiski. – Dzieci dwóch pierwszych wachmanów obozowych z pana listy, wobec których toczyło się śledztwo w siedemdziesiątym siódmym, przez wiele lat mieszkały na Opolszczyźnie w pobliżu Góry Świętej Anny, ale wyjechały na stałe do Niemiec. Adresów nie znamy. I nic nam po nich, bo głowę dam, że nawet gdybyśmy do nich dotarli, to zasłonią się niepamięcią. „Ja nic nie wiem” to ulubiony zwrot śląskich emigrantów w RFN-ie – stwierdziła kapitan ABW i przekreśliła ołówkiem dwa pierwsze nazwiska.

Przy trzecim zatrzymała się na dłużej.

– Breguła. To strażnik, na którym ciążyły najpoważniejsze zarzuty, prawda? – upewniła się, a Kuba potwierdził:

– Jego nazwisko powtarza się przy okazji dochodzenia najczęściej. Był feldfeblem, podoficerem Wehrmachtu, a więc dowódcą pozostałych, bo reszta to szeregowcy.

– No właśnie. – Barska zrobiła skupioną minę. – Zaraz po wojnie wstąpił do partii komunistycznej i daleko zaszedł.

– Czytałem w aktach IPN-u – dodał Kuba. – Był szychą w Komitecie powiatowym w Leśnicy. Niezła przykrywka.

– W Leśnicy – kapitan ABW popatrzyła na niego uważnie – to mógł być najwyżej szyszka. Szychą został znacznie później, przeprowadzając się do Katowic i robiąc karierę w PZPR-ze. Tam zbliżył się do Edwarda Gierka i był jego zaufanym człowiekiem.

Pochodzili z tego samego regionu i z tego samego pokolenia. Przed wojną byli to prości robotnicy szukający chleba we francuskich i belgijskich kopalniach, więc szybko znaleźli wspólny język. Kiedy towarzysz Edward został pierwszym sekretarzem KC i faktycznym przywódcą Polski, zabrał naszego wachmana do Warszawy.

W siedemdziesiątym siódmym, kiedy toczyło się śledztwo w sprawie obozu na Górze Świętej Anny, Gierek był u szczytu władzy. Wystarczył jeden telefon, aby zamknąć sprawę kolegi. Zwłaszcza że towarzysz sekretarz często współczuł Ślązakom przymusowo wcielonym do Wehrmachtu.

– Czyli moja teoria o ukręceniu łba tamtemu śledztwu ma sens – bardziej stwierdził, niż spytał Kuba.

– To wielce prawdopodobne.

– Czy ten zaufany Gierka pozostawił rodzinę? Miał dzieci?

– Syna. Mieszka w Katowicach. Ale mam dla pana lepszy trop. – Teresa Barska wskazała ołówkiem nazwisko ostatniego wachmana na liście, które otoczyła obwódką. – Sądzę, że powinien pan zacząć od tego człowieka. On też miał syna, który dziś mieszka na Pomorzu. Urodził się rok po wybuchu wojny, ma sześćdziesiąt pięć lat, ale z pewnością doskonale pamięta swojego ojca i może coś o nim powiedzieć. Jeśli ktokolwiek będzie chciał z panem rozmawiać o tatusiach nazistach oskarżanych o zbrodnie wojenne, to tylko on.

– Dlaczego pani tak sądzi?

– Bo to ksiądz. Mieszka w parafii niedaleko Słupska, w której przez wiele lat był proboszczem. Odszedł w tym roku z powodu złego stanu zdrowia. Czeka na miejsce w diecezjalnym domu księży emerytów. Dowiedziałam się, że to dobry i uczciwy człowiek, proszę spróbować.

Kuba wyraźnie się ucieszył.

7

– Jadę do Gdyni – oświadczył Kasi, zanim zdążył zamknąć drzwi mieszkania. – Barska namierzyła mi proboszcza z Pomorza, który może coś wiedzieć o obozie. Jest synem byłego strażnika. A że ksiądz – Kuba zagwizdał frazę jakiejś kościelnej pieśni – to mówi prawdę. Jak na spowiedzi, pani Kasiu. – Najwyraźniej był w świetnym nastroju.

– A o tajemnicy spowiedzi słyszałeś?

Kuba udał naburmuszenie.

– Już rzucasz mi kłody pod nogi. To tak się wspiera swojego mężczyznę? Miłość swojego życia?

– Jedź, jedź – odparła Kasia. – Zawieziesz dziadkowi maliny, które mu zrobiłam na przeziębienia, i nareszcie odpocznimy sobie trochę od ciebie i twoich grobów, prawda, Marysiu? – zawołała do pokoju obok, gdzie w najwyższym stanie koncentracji trwało ubieranie lalki.

W odpowiedzi rozległo się stamtąd głośnie klaskanie.

– Słyszysz? – spytała Kasia. – Twoja córka w pełni mnie popiera.

– To jest manipulacja i socjotechnika z wykorzystaniem dziecka – stwierdził oskarżycielsko Kuba i zamknął się w łazience.

Wyszedł po kilku minutach.

– Kasiu, a teraz serio. Mam taki pomysł i chciałem cię zapytać o zdanie. Pomyślałem, że jak już będę w Gdyni, to zabiorę ze sobą do tej parafii pod Słupskiem Unrę, wiesz, tego chłopaka na wózku, który mi pomaga. Mam wrażenie, że mnie lubi. Pogadamy po

drodze, staniemy gdzieś na rybkę, jak zechce, może być przy rozmowie z księdzem. Zrobię mu wycieczkę. Niech się trochę rozerwie. Pewnie nieczęsto ma okazję przejechać się samochodem. Ciągłe tylko ten wózek i wózek. Co myślisz?

– Dobry pomysł – uznała Kasia. – Dzwon do niego.

– Do niego się nie dzwoni – wyjaśnił Kuba.

– To jak się kontaktujecie?

– Na czacie.

– Piszecie do siebie listy?

– To nie są listy.

– A co?

– No... nie wiem. Teksty takie.

– Jakie?

– Oj, nieważne – zniecierpliwił się Kuba. – Nie czaisz bazy, kobieto – stwierdził i rozłożył się na kanapie, co oznaczało, że przechodzi w stan hibernacji.

– Świat się kończy – szepnęła Kasia, zabierając się do naklejania na słoiki z przetworami dla dziadka własnoręcznie wykonanych etykiet, stanowiących połączenie jej napisów z bohomazami Marysi.

– Przekłęte miasto! – Oleg Woronin uniósł ręce w geście skrajnego rozdrażnienia i uderzył nimi w kierownicę mercedesa. Od dwudziestu minut tkwił w korku, sunąc w tempie zmęczonego żółwia Alejami Jerozolimskimi w kierunku Żyrardowa. Obydwa pasy jezdni były zapchane samochodami. Być może zator rozładowałyby się znacznie szybciej, ale warszawiacy, najbardziej niecierpliwi kierowcy świata, co chwila przeciskali się z lewego pasa na prawy i z powrotem, licząc, że to w czymkolwiek pomoże i pozwoli im dojechać do mety korka szybciej od innych, co w stolicy

Polski uznawane jest za święty obowiązek.

Oleg parokrotnie rzucił bezsilne spojrzenie w stronę schowka na rękawiczki, gdzie zdarzało mu się wozic pistolet ukryty w specjalnej skrytce, ale zaraz studził się myślą, że dobrze zrobił, nie zabierając go w podróż do Warszawy, bo pewnie zaczęłby strzelać w opony cwaniaków wpychających się przed niego, aby za chwilę powrócić na poprzedni pas lub spróbować szczęścia, wyprzedzając poboczem. Na dodatek korek co rusz rozpychany był przez karetki pogotowia i wozy straży pożarnej, uporczywie przeciskające się na południowy zachód z przeraźliwym wyciem syren. Nikt z kierowców zmuszanych do ustąpienia drogi i rzucających nienawistne spojrzenia w kierunku pojazdów uprzywilejowanych nie miał najmniejszych wątpliwości, że w pobliżu nie wydarzyło się żadne apokaliptyczne nieszczęście wymagające interwencji służb ratowniczych. Po prostu kto przy zdrowych zmysłach, mając koguta na dachu, stałby w korku?

Kwadrans później Woronin ujrzał punkt nawigacyjny, na który miał się kierować. Był to olbrzymi komin pomalowany w biało-czerwone pasy i górujący nad okolicą jak wieża strażnicza. Należał do byłej elektrociepłowni Pruszków II, co podwójnie ułatwiało trafienie na miejsce. Po pierwsze, komin widać było z wielu kilometrów, po drugie, nazwę Pruszków znał każdy rosyjski przestępca na gościnnych występach w Polsce.

Zjeżdżając z głównej drogi, Oleg upewnił się, że zmierza tam, gdzie mu polecono, kierując się kominem jak latarnią morską, a następnie wjechał do Brwinowa, zredukował bieg i skręcił w stronę kilkunastu posesji rozsypanych po okolicy, która sprawiała wrażenie opustoszałej. Zatrzymał się przed jednym z domów i sięgnął po telefon komórkowy, aby zaanonsować swoje

przybycie, ale w tym samym momencie ciężka brama ogrodzenia drgnęła i zaczęła się powoli przesuwać, umożliwiając mu wjazd na wybetonowany placyk.

Zgasił silnik, wysiadł i kiwnął dłonią w kierunku żylastego mężczyzny, który wyszedł przed dom, aby go przywitać. Miał około pięćdziesięciu lat i bogate doświadczenie życiowe zaprotokołowane paroma bliznami na gładko ogolonej czaszce oraz symbolicznymi tatuażami na przedramionach, jakich w imperium Władimira Putina nie wolno nosić osobom do tego nieupoważnionym, bo można je stracić wraz z rękami, które ozdabiają.

Wytatuowany mężczyzna mieszkał pod Warszawą od wielu lat, zarządzając czymś w rodzaju przedsiębiorstwa wielobranżowego. Pod przykrywką handlu meblami, w którym Polska jest międzynarodową potęgą, zajmował się eksportem do Rosji luksusowych samochodów – niekoniecznie z papierami – oraz importem dziewcząt ze Wschodu do warszawskich domowych agencji towarzyskich. Prowadził też biuro karier dla młodych i obiecujących przestępców znad Wołgi, których kilku zawsze się przy nim kręciło. Używał imienia Siergiej i nie miał pseudonimu, co było wyrazem rozsądku. Wytatuowani Rosjanie z pseudonimami wywołują o wiele większe zainteresowanie polskiej policji niż wytatuowani Rosjanie bez pseudonimów. Z Olegiem Woroninem parokrotnie współpracował przy transakcjach bursztynowych. W różnej roli. Od współnika po ochroniarza.

– *Priwiet.* – Siergiej przywitał go uściskiem dłoni charakterystycznym dla mężczyzn siłujących się na ręce. – Co tak późno? – spytał po rosyjsku.

Oleg machnął ręką. Nie miał ochoty wracać do korka w alejach nawet w postaci relacji.

Wytatuowany mężczyzna nie nalegał na odpowiedź. Wskazał drzwi wejściowe, zapraszając zamaszystym gestem do środka.

Woronin był tu już wcześniej, dwa czy trzy razy. Dom wynajmowany przez Siergieja od jakiegoś Polaka, który wyjechał za granicę albo poszedł siedzieć, powinien koniecznie znaleźć się w albumie aranżacji wnętrz nowobogackich, jeśli ktoś taki album wyda. Podłoga w salonie wyłożona była mozaiką parkietową o tylu wzorach i kolorach drewna, że patrzenie na nią przez kilka sekund mogło wywołać zaburzenia błędnika. Na ścianach wisiały obrazy ze skóry, przetykane jarmarcznymi pejzażami w złożonych ramach i dyplomami za osiągnięcia myśliwskie, z którymi korespondował łeb wypchanego dzika, kilka poroży i kolekcja pucharów w oszklonej witrynie wykonanej przez lokalnego stolarza specjalizującego się w meblach barokowych. Kanapa i fotele stanowiły odważne połączenie drewnianych ornamentów z kwiecistym aksamitem, a całości entourage'u dopełniały gipsowe stiuki pod sufitem oraz kominek. Wykonany z kilku odcieni czarnego i szarego marmuru stanowił unikalną syntezę stylu rokokowego z osiągnięciami dizajnerów projektujących krematoria.

Najemca najwyraźniej czuł się tu świetnie.

– Co cię sprowadza do Siergieja, bracie? – spytał Woronina, gdy usiedli. Uwielbiał mówić o sobie w trzeciej osobie liczby pojedynczej i zawsze się do tego stosował, przekonany, że taka forma nobilituje i podkreśla jego rangę w świecie przestępczym.

Oleg położył na ławie z kafelkowym blatem hotelową wizytówkę z zapisanymi na odwrocie personaliami Jakuba Kani.

– Interesuje mnie ten Polak. Były prokurator. Mieszka w Warszawie na Żoliborzu. – Woronin wymienił nazwę ulicy otrzymaną dwie godziny wcześniej od Palucha.

– I co chcesz, żeby Siergiej zrobił w tej sprawie?

– Na razie chcę wiedzieć, jak on wygląda, co robi całymi dniami, gdzie bywa, czy ma jakieś słabości. Trzeba za nim trochę połązić, ale tak, żeby się nie zorientował. Jego były szef i największy wróg twierdzi, że to jełop, a to oznacza, że ten Kania musi być bystry.

Warto uważać.

– A co potem? – Siergiej obserwował swoje paznokcie.

– Potem zobaczymy. Na razie obserwacja. Zapłacę za tydzień pracy twoich dwóch ludzi. Aha – przypomniał sobie – zdjęć nie wysyłaj mailem ani ememesem, niech któryś wydrukuje mi odbitki i nada na poczcie zwykłym listem.

Siergiej kiwnął głową. Odwrócił się w stronę przedpokoju i zawołał:

– Pietia! Chodź tutaj.

Kilka sekund później drewniane schody ograniczone rzeźbioną balustradą zatrzeszczały pod ciężarem zwalistego dwudziestoparolatka, który prawie zbiegł po nich na dół i stanął obok fotela szefa.

– Trzeba namierzyć jednego Polaczka. – Siergiej podał mu nazwisko i adres. – Ale po cichu, *panimajesz?* Weź kogoś. Pokręćcie się trochę koło jego domu, pojeźdźcie za nim. Potrzebuję informacji i zdjęć. Aparat masz?

Pietia potwierdził.

– Profesjonalny?

– Robimy nim fotki dziwkom do internetu.

– No, to wszystko wiesz.

Zwalisty chłopak oddalił się, schody znów zatrzeszczały. Gościa siedzącego w fotelu naprzeciwko szefa potraktował jak powietrze. Jakby Woronina w ogóle tam nie było. Żadnych przywitań,

kłaniania się, przedstawiania czy podawania ręki. Nic. Nawet przelotnego spojrzenia. Oleg spotkał już u Siergieja paru takich jak on. Wszyscy mieli puste twarze, będące spełnieniem marzeń organizatorów castingów do filmów gangsterskich. Nosili imiona Pietia albo Wołodia i znali zasady. Pierwsza z nich mówiła, że w branży, w której zaczynali karierę, trzeba umieć doskonale nie widzieć, nie słyszeć i nie pytać.

8

Unra czekał w Orłowie przed Domkiem Żeromskiego, sto metrów od miejsca, w którym podczas pierwszego spotkania jedli lody. Mimo że chętnie przystał na propozycję wyjazdu w okolice Słupska, w ogóle nie przygotował się do parogodzinnej podróży. Był w spranym, rozciągniętym T-shircie i postrzępionych džinsach. Żadnego plecaka, nawet butelki wody. Nic.

– Gotowy? – spytał Kuba, przyglądając mu się sceptycznie.

– Spoko, a ty?

– Ja też. To jak robimy? Może ty tu zaczekaj, a ja skoczę na Orłowską po samochód, co? Tam zaparkowałem, bo tu tylko koperty. Podjadę po ciebie za parę minut, okej?

Unra patrzył na niego dziwnie.

– Chcesz jechać tym małym peugeotem?

– No tak – potwierdził Kuba. – Nie martw się. Jest dwudrzwiowy, ale damy radę. Wózek nie wejdzie do bagażnika, ale zamontowałem drugi, dachowy. Tak że...

– Kuba – przerwał mu Unra. – Jesteś fajny gość, ale... nie obraż się, lepiej pojedziemy moim.

– Jak to: twoim? – Kuba wydawał się nie rozumieć.

– Normalnie – odparł Unra. Uniósł w dłoni niewielki czarny prostokąt i otworzył nim centralny zamek stojącego na pobliskim miejscu dla inwalidów pięknego granatowego volvo V70 cross country, dostosowanego do obsługi przez niepełnosprawnego kierowcę. Podjechał do lewych przednich drzwi, otworzył je, zgrabnie przesiadł się na fotel, po czym złożył wózek kilkoma ruchami. Spytał Kubę, czy może mu pomóc w spakowaniu go do tyłu, i zdalnie uruchomił otwieranie tylnej klapy kombi.

– Widzę, że jesteś w lekkim szoku. – Uśmiechnął się, gdy Kuba zajął miejsce w fotelu pasażera i zapiął pas, nie mogąc oderwać wzroku od eleganckiego wnętrza, wyposażonego w najnowsze cuda techniki motoryzacyjnej.

– Nie spo... Nie wiedziałem – poprawił się Kuba – że masz taki wspaniały samochód.

– Fura jak fura – rzucił lekceważąco Unra. – Ale Szwedzi najlepiej ogarniają temat. – Wskazał urządzenia do dodawania gazu oraz hamowania umieszczone w pobliżu kierownicy. – No i lubię ich komfort. Megasprzęt grający, kamera cofania, czujniki deszczu, podgrzewane fotele z masażem kręgosłupa. Wypas.

– Musiało kosztować majątek.

– Na firmę. – Machnął dłonią Unra, zdejmując ją z przekładni automatycznej skrzyni biegów. – Idzie w koszty.

– No właśnie – podchwycił Kuba. – Nigdy mi nie opowiadałeś, czym się właściwie zajmuje twoja firma.

– Amplyfing, WoMM, social media – zaczął wyliczać chłopak, ale widząc minę Kubę, wyjaśnił: – Prowadzimy profile i moderujemy fora internetowe, generując wpisy, które rozładowują hejt, nadążasz?

Kuba przecząco pokręcił głową.

– Jak ktoś w ciebie napieprza w sieci, pisząc negatywne rzeczy, to my to prostujemy i wdajemy się w dyskusję, zamieszczając kontent, który detonuje bomby. Mam speców od takich klimatów. Wierz mi, zagadliby cię w pięć minut. Poza tym robimy w necie WoMM, czyli marketing szeptany. To z kolei polega na tworzeniu i umiejętnej dystrybucji pozytywnych opinii. Czyli generalnie czynimy dobro. – Roześmiał się.

– Są chętni na takie usługi?

– Bracie. – Unra popatrzył na niego ze szczerym zdumieniem. – Poza Trójmiastem mam oddziały w Warszawie i na Śląsku, a zdarza mi się odmawiać zleceń, bo się nie wyrabiamy. W zeszłym tygodniu byłem w Berlinie po nowe komputery – oświadczył, ruszając z parkingu pod tawerną i kierując się w stronę miasta obok opuszczonego budynku dawnego Maxima. Najbardziej ekskluzywny nocny klub PRL-u, w którym znani z piosenki Lady Pank mahoniowi goście sypali zielonymi, od paru lat wyglądał jak rudera nadająca się tylko do rozbiórki.

Kuba popatrzył na deskę rozdzielczą volvo, pokrytą eleganckim drewnem kontrastującym z jasną skórą w kolorze siedzeń, zerknął na ekran przestrzennej nawigacji i przypomniał sobie, jak jeszcze wczoraj chciał zabrać Unrę na wycieczkę wysłużonym peugeotem w okolice Słupska, żeby się chłopak przejechał samochodem.

Unra wybrał mniej uczęszczaną drogę do Słupska przez Kaszuby, wychodząc z założenia, że Rumia, Reda i Wejherowo mogą być zakorkowane przez tiry, codzienny ruch do Szczecina oraz miłośników wypoczynku na Helu, których można rozpoznać po warszawskich blachach, deskach surfingowych i samobójczych

manewrach opartych na przekonaniu, że dwupasmowa droga na półwysep ma tajny trzeci pas widoczny tylko dla nich.

Trasa Unry była węższa, ale mniej uczęszczana i wolna od wariatów. Jedynie za Kartuzami z rykiem podrasowanych tłumików wyprzedził ich emerytowany golf z rurami wydechowymi wielkości dyszy silników rakietowych z przyłądka Canaveral.

– GKS – Kuba przeczytał głośno jego tablice. – Co to za rejestracja?

– Kostaryka – odparł Unra. – Chłopaki lubią dać czadu na prostej.

Przez resztę drogi rozmawiali o Świętej Annie.

– Fajnie, że masz nazwiska wachmanów – stwierdził chłopak. – To jest nasz punkt zaczepienia. Zaraz po powrocie wrzucę je ekipie, niech szukają. Powiem ci, normalnie mam przeczucie, że coś wyjdzie. A ono mnie nigdy nie zawodzi. Zobaczysz.

Kuba milczał, zastanawiając się, czy on sam nie obiecuje sobie zbyt wiele po wizycie u emerytowanego proboszcza. Postanowił nie uprzedzać go o celu odwiedzin. Przez telefon najłatwiej odmówić. Czy technika działania z zaskoczenia przyniesie oczekiwany rezultat? Czy duchowny w ogóle zechce rozmawiać?

Ostatnie pytanie zadał sobie już na placu przed skromnym kościołem z pruskiego muru, przed którym stała starsza kobieta w chuście zarzuconej na ramiona, mimo sierpniowego upału.

Przyłożyła dłoń do oczu, osłaniając je od słońca, i gdy tylko Kuba wysiadł, zapytała:

– Do księdza?

– Tak – odparł Kuba. – Dzień dobry.

– A do młodego czy starego? – uściśliła, nie odpowiadając na powitanie.

– Do starszego – wybrał Kuba.

– Wtedy tędy – odparła staruszka, udowadniając swoją przynależność do regionu, w którym wszyscy używają określenia „wtedy” jako zamiennika sformułowań „wobec tego” i „w takiej sytuacji”.

Kuba przeprosił ją na chwilę i podszedł do Unry siedzącego ciągle za kierownicą samochodu.

– Otwórz bagażnik – powiedział. – Wyjmę wózek.

– Nie trzeba – odpowiedział chłopak. – Zostanę tu.

– Dlaczego?

– Idź sam – uznał Unra. – W cztery oczy łatwiej się gada o trudnych sprawach. Poza tym nie chcę, aby ten koleś w sutannie uznał, że przywiozłeś cudaka z irokezem na łbie, poruszającego się na wózku, żeby wzbudzić litość i żeby się łatwiej rozpruł o swoim starym.

Kuba w duchu pochwalił jego roztropność, zapewniając, że niedługo wróci.

Staruszka z daszkiem z dłoni przyłożonym do brwi stała nieruchomo przed bocznymi drzwiami prowadzącymi do budynku plebanii.

Starszy ksiądz był skromny i poczciwy. Miał szczerą kwadratową twarz, ciepłe oczy, zmarszczki wokół nich świadczące o nadużywaniu uśmiechu i jakąś wewnętrzną serdeczność. Zaprosił Kubę do stołu, jakby na niego czekał, i ze zrozumieniem pokiwał głową, gdy były prokurator IPN-u wyjawiał cel swojej niezapowiedzianej wizyty. Może tylko trochę zmarkotniał.

– Wiedziałem, że to jeszcze do mnie wróci – powiedział półgłosem, odczekawszy, aż wścibska staruszka starannie domknie za sobą drzwi. – Nie ma pan pojęcia, co przeżyłem z powodu ojca.

Chodziłem do szkoły tam, gdzie się urodziłem, w Leśnicy, a w małych miasteczkach ludzie wszystko o wszystkim wiedzą i potrafią być okrutni. Zwłaszcza dzieci. Koledzy w szkole pokazywali mnie palcami. „Jego ojciec zginął w obozie”, wołali. „Spadł z wieżyczki”. Matka codziennie czyściła mi satynowy mundurek z plwocin. – Posmutniał na tamto wspomnienie. – Po maturze wybrałem seminarium – wyznał. – Nie mogłem się pogodzić z tym, co robił ojciec, nie wiedząc, czy mam wierzyć, czy nie w rzeczy, o które go oskarżano. W obozie był zwykłym wachmanem w stopniu szeregowca. Myślałem, że odkupię jego winy, poświęcając się Bogu. Bo ojciec dawno się zatracił. W bezbożności, w wódce...

– Czy ojciec księdza mówił kiedykolwiek o obozie na Górze Świętej Anny? – ostrożnie zapytał Kuba.

– Nigdy.

– Nawet pod wpływem alkoholu?

– Nawet wtedy. A co chciałby pan wiedzieć?

– Szukam grobu ofiar. Żydów z Amsterdamu, którzy tam zginęli.

W księdzu zaszła nagle jakaś przemiana. Zakrył twarz dłońmi, a kiedy je opuścił, jego przyjazne oczy były już tylko zmęczone i bliskie łez. Najwyraźniej cierpiał z powodu przeszłości, która napisała scenariusz jego życia.

– Nie pomogę panu – oświadczył. – Nic nie wiem. Nie wiem nawet, co o tym wszystkim myśleć. Czcij ojca swego, mówi Dekalog. Ale jak ja mam go czcić? Pan wie?

Kuba milczał.

– Może właśnie tak, żeby prawda ujrzała światło dzienne – powiedział po chwili.

– Jaka prawda? Jaką prawdę jest pan zdolny odkryć po tylu

latach? – spytał starszy proboszcz z nutą rozpaczony w głosie. – To już tylko Bóg rozsądzi. My, ludzie, powinniśmy zamknąć tę księgę zła – oświadczył, ponownie zakrywając twarz dłońmi.

Kuba odczekał dłuższą chwilę, wreszcie podniósł się z krzesła.

– Chciałbym umieć powiedzieć to samo rodzinom tamtych ludzi, którzy nawet nie mają swoich mogił – stwierdził chłodno i dodał: – Do widzenia księdzu. Szczęść Boże.

Wyszedł bez słowa pożegnania ze strony gospodarza, który pozostał przy stole ukryty za parawanem własnych dłoni.

Gdy zbliżał się do samochodu, Unra, słuchający ostrego rapu z łokciem wyłożonym przez opuszczoną szybę, raptem przestał podrygiwać, dając mu znaki oczami. Kuba się odwrócił. W jego stronę szedł emerytowany proboszcz.

– Proszę wybaczyć staremu człowiekowi – powiedział. – Dotknął pan czulej struny.

Kubie zrobiło się nieswojo.

– Przepraszam, jeśli zachowałem się zbyt szorstko. Jestem wdzięczny, że zechciał ksiądz mnie przyjąć.

Unra przyciszył muzykę i przysłuchiwał się rozmowie.

– Gość w dom, Bóg w dom – Proboszcz, który znów wyglądał jak postać z telewizyjnego programu edukacyjnego skłaniającego dzieci do nauki religii, się uśmiechnął. W pewnej chwili przygryzł dolną wargę. – Nie wiem, czy to coś panu pomoże – powiedział – ale proszę sprawdzić pewnego człowieka... Niestety nie pamiętam nazwiska. On też pochodził z naszych stron, z Opolszczyzny, i służył z moim ojcem w obozie. A potem... bardzo złe rzeczy mówił w zeznaniach. A jednak tylko on, a nie inni strażnicy, wobec których toczyło się śledztwo, poszedł do więzienia. Zapamiętałem

to, bo przez wiele lat pocieszałem się myślą, że skoro skazano tamtego, a nie mojego ojca, to znaczy, że tato był niewinny...

Kuba sięgnął do kieszeni marynarki, wydając listę wachmanów.

– Który to z nich? – spytał, podając kartkę księdzu.

Emerytowany proboszcz uważnie przeczytał nazwiska, łącznie z własnym, ale sprawiał wrażenie zdezorientowanego. Przez dłuższą chwilę, wpatrzony w listę, przeszukiwał pamięć.

– Nie kojarzę – powiedział. – Dziwne. Mam wrażenie, że nazwiska tamtego człowieka tu nie ma.

– Niemożliwe – stwierdził Kuba. – Wypisałem wszystkich wachmanów, przeciwko którym toczyło się śledztwo. Pomogę księdzu. Ostatnie nazwisko należy oczywiście do księdza ojca. Poprzednie to feldfelbel, który prawdopodobnie był dowódcą strażników. Czyli zostają dwa pierwsze. Człowiek, o którym ksiądz mówi, to jeden z nich.

Były proboszcz patrzył na niego oczami dziecka, któremu ktoś powierzył niemożliwe do wykonania zadanie.

– Raczej nie – odparł. – Według mnie żadne z tych dwóch nazwisk nie należy do strażnika, który został skazany.

– A... – zawahał się Kuba – może nie było takiego wyroku? Może księdzu się coś... Czasami – wyjaśnił – pamięć płata nam figle i nakłada na siebie informacje z dwóch różnych spraw. Czas to potem zaciera, sprawiając, że jesteśmy o czymś przekonani, choć było zupełnie inaczej.

– Z pewnością był taki wyrok w sprawie Annabergu – orzekł emerytowany proboszcz. – Niczego nie pokręciłem. Pamiętam dokładnie. To było tuż po moich trzydziestych siódmych urodzinach, w dniu, w którym otrzymałem tutejsze probostwo.

– I tamten strażnik poszedł do więzienia? – odezwał się nagle

Unra, wystawiając głowę przez otwarte okno samochodu. Ksiądz popatrzył na niego zaskoczony, ale twierdząco pokiwał głową.

– Tak. Pisali o tym w gazetach. To był wrzesień siedemdziesiątego siódmego roku. Pamiętam, że ojciec bardzo przeklinał, bo tamten powiedział dziennikarzom, że w celi spisie i ogłosi całą prawdę.

– Zaje... – ucieszył się Unra, ale szybko się zreflektował, stosując bardziej oględny zamiennik: – Super. Jeśli był w więzieniu, to go namierzemy. Bez trudu. – Zwrócił się do księdza: – Bardzo nam pan pomógł. Bóg zapłać – dodał ze sztucznością, z jaką wymawia się zwrot w obcym języku.

Kuba, pogrążony w myślach, uklonił się duchownemu i wsiadł do samochodu.

Ruszyli. Ksiądz, widoczny w lusterku wstecznym, patrzył za nimi, dopóki volvo nie zniknęło za rogiem wiejskiej ulicy.

– Nad czym tak dumasz? – spytał Unra. – Luz, znajdziemy tego kolesia.

– Nie wątpię – powiedział ciągle zamyślony Kuba. – Zastanawiam się tylko, jakim cudem go skazano, skoro śledztwo w sprawie wachmanów z obozu na Górze Świętej Anny zostało oficjalnie umorzone i nie było rozprawy sądowej.

Amsterdam/Annaberg

czerwiec–wrzesień 1942 roku

1

Dziewczyna siedząca za biurkiem w sekretariacie Oscara Rhodego mogłaby uchodzić za atrakcyjną, gdyby podkreśliła brwi, pomalowała usta i użyła różu do policzków. Koniecznie powinna też zrezygnować z przylizanej fryzury zakończonej ciasnym kokiem, który wyglądał jak narośl na tylnej części głowy, myślał młody człowiek w mundurze SS, od kwadransa nudzący się w poczekalni. Chętnie zdjąłby z dziewczyny sztywny szary kostium, wykrochmaloną bluzkę zapiętą pod szyję, ciężkie pantofle i grube pończochy. Młode kobiety w służbie Trzeciej Rzeszy nie są w ogóle ponętne, uznał z rozczarowaniem i wtedy właśnie do sekretariatu wszedł obersturmführer Rhode.

Młody oficer wystrzelił z krzesła, jakby siedział na sprężynie, wyprężył się na baczność i znów wystrzelił, tym razem prawe ramię w faszystowskim pozdrowieniu.

– *Heil* Hitler!

Rhode niechętnie uniósł rękę. Nie przepadał za ceremoniałami. Ale skoro już podniósł dłoń, wykorzystał ten gest do wskazania gościowi drzwi do swojego gabinetu.

Gdy weszli, domknął je starannie i dopiero wtedy się

rozpromienił.

– Erwin! Kopę lat. Zmężniałeś. W niczym nie przypominasz wymoczka, który przed wojną przyszedł na staż do hamburskiej policji. Kawał chłopą się z siebie zrobił. Dobrą miałeś podróż?

– Witaj, Oscarze. – Młody człowiek też był poruszony spotkaniem po latach. – Tak, dobrą. Dziękuję.

– Siadaj. – Obersturmführer wskazał mu fotel pod okazałą palmą. – Kieliszek koniaku?

– Nie odmówię – uśmiechnął się Erwin Winkler. – Na Śląsku jest tylko bimber, i to zalatujący karbidem. To nie Amsterdam.

Rhode podszedł do solidnej dębowej szafy, napełnił kryształowe kieliszki dwunastoletnim martelem i po sekundzie namysłu sięgnął po dwa kubańskie cygara. Usiadł, fachowo obciął ich końcówki za pomocą podręcznej gilotyny i podał Winklerowi ogień. W promieniu słońca błysnęło złoto zapalniczki.

– Co cię do mnie sprowadza, Erwinie? – spytał. – Przez telefon byłeś dość tajemniczy.

– Nie lubię telefonów – oświadczył Winkler. – Byle panienka z centrali może podsłuchać rozmowę.

– A ja lubię twoją ostrożność – odparł Rhode. – Jak tam na służbie u starego poczciwego Albrechta?

– Nie narzekam. – Młody esesman ukłonił się, dziękując w ten sposób za zainteresowanie. – Praca ciekawa i blisko domu.

– No właśnie – przypomniał sobie obersturmführer. – Przecież ty stamtąd. Jak się to twoje śląskie miasto nazywa?

– Gross Strehlitz.

Rhode szeroko się uśmiechnął.

– Pamiętasz, jak w Hamburgu robiliśmy zawody, kto wymówi jego polską nazwę? Byłeś głównym jurorem. Proszę cię, Erwinie,

powtórz mi to jeszcze raz.

– Strzelce Opolskie – rzekł swobodnie Winkler.

– Sze... cze... – Obersturmführer łamał sobie język, ale dał za wygraną. – Nigdy tego nie wypowiem.

– To poćwicz na paru innych polskich miejscowościach z Opolszczyzny – zaproponował Winkler i zaczął wymieniać bez cienia niemieckiego akcentu: Chrząstowice, Chrząszczyce, Szczedrzyk.

– Błagam cię – jęknął Oscar Rhode i wybuchli śmiechem.

– Przyjeżdżam w imieniu brigadeführera Schmelta. – Młody oficer SS spoważniał i umoczył ustnik cygara w koniaku. – Stary chciałby ci coś zaproponować. Coś – spojrzał badawczo – co wymaga znajomości terenu i całkowitej dyskrecji.

Rhode zrobił minę „nie mogłeś lepiej trafić”.

– Słucham. Co ten cwany lis znowu wymyślił? Na czym teraz zbija majątek?

– Potrzebujemy szlifierzy diamentów.

Obersturmführer przestał się uśmiechać.

– Gdyby na tym miejscu siedział ktoś inny, a nie ty, człowiek, którego znam od lat i któremu ufam – głos Oscara Rhodego wyraźnie stwardniał – kazałbym go natychmiast aresztować. Wiesz, jak cenni są tak zwani diamentowi Żydzi? Szlifują kamienie pod czujnym okiem Komisariatu Rzeszy. Sam Himmler się tym interesuje. To poważne źródło zysków naszego państwa. Miliony dolarów. Niezbędnych do prowadzenia wojny. Gdyby ktoś chciał ugrać na tym coś dla siebie – Rhode przyłożył dwa wyprostowane palce do skroni, naśladując odgłos wystrzału – czekałaby go czapa. Zaraz, zaraz – zreflektował się. – Nie chcesz chyba powiedzieć, że Schmelt...

– Potrzebujemy szlifierzy diamentów – powtórzył Winkler, jakby był nakręcaną zabawką.

2

Oscar Rhode wbił w niego wzrok.

– Gdzie?

– W obozie pracy na Śląsku. Strefa Wydzielona, specjalny barak, zaufany komendant – wyjaśnił Winkler.

– To by się dało zrobić – uznał Rhode. – Można by podrzucać tych ludzi w normalnych transportach jadących tamtędy z Holandii do Auschwitz. Właśnie ruszyliśmy z wywózką Żydów na dużą skalę. Musimy tylko opracować system zawiadamiania was, w jakim transporcie i w którym wagonie jedzie szlifierz. No i jak się nazywa. Czym się zajmuje ten obóz pracy?

– Budową autostrady.

– Świetnie – rzekł Rhode. – Niech sobie Schmelt przy okazji podmienia paru swoich wykończonych Żydów na naszych: świeżych, silnych i zdrowych. Dla niepoznaki.

– Zawsze był pan genialnym taktykiem, panie komisarzu. – Winkler nagroził Rhodego przedwojennym tytułem, podkreślając jego wyższość. – Właśnie tak zrobimy. Pomówmy teraz o twoim udziale, Oscarze – zaproponował.

– Ile proponuje Schmelt?

– Dziesięć procent.

– Za dziesięć to ja mu mogę dać stado Żydków, którzy znają fach. Mamy takich w Amsterdamie pod dostatkiem. Ale nic wam z nich nie przyjdzie.

Erwin Winkler wpatrywał się w niego z uwagą.

– Skąd bierzecie surowiec? – spytał Rhode, wypuszczając dym cygara.

– Rekwirujemy Żydom – odparł Winkler.

– I ile tego macie?

– No... niewiele.

– No właśnie. – Obersturmführer wyprostował się w fotelu. – Jest wojna, drogi chłopcze. Informuję, na wypadek gdybyście nie zauważyli. Zmieniła świat na tyle, że mamy tylko trzy źródła surowca. Pierwsze to kopalnie w Afryce. Niestety – Rhode bezradnie rozłożył ręce – niedostępne. Na drodze stoją Anglicy, którzy już spuścili łomot makaroniarzom Mussoliniego, a obawiam się, że nasz słynny Rommel też połamie tam zęby. Drugie to Syberia. W łapach towarzysza Stalina, który też niezbyt chętnie ulega potędze Wehrmachtu. Trzecie to woreczki amsterdamskich Żydów.

Winklerowi rozbłyły oczy.

– Reichskommissariat jeszcze wszystkich nie oskubał?

– Jeszcze nie.

– I ty pewnie doskonale wiesz, kto ma surowe diamenty?

– Wiem – skłamał Rhode i nagle ogarnęła go fala bezsilnej wściekłości na kogoś, kto zamordował fałszerza. Był bezcennym przewodnikiem po tym świecie.

– Ile Schmelt musi za to dać?

– Trzydzieści procent.

– Nie przejdzie, Oskarze.

– Beze mnie nie będzie diamentów.

Będą, będą, pomyślał Winkler. Na tobie Amsterdam się nie kończy. I odparł:

– Bez nas nie będzie brylantów.

– Będą, będą – odrzekł Rhode. Wstał i podszedł do szuflady biurka, z której wyjął czarny aksamitny woreczek, odsznurował go i delikatnie potrząsnął tuż nad blatem stolika. Erwin Winkler ujrzał brylant, jakiego jeszcze nie widział. Miał ponad dwa karaty. Na oko, ale ono nie było najlepszym instrumentem pomiarowym, bo kamień wręcz oślepiał nieprawdopodobnym, niesamowitym blaskiem.

– Co to za szlif? – spytał młody esesman, ale Rhode nie był zainteresowany dyskusją o technologii obróbki. Dłonią zsunął kamień z blatu stolika z powrotem do woreczka.

– Jak widzisz, też sobie radzę – oświadczył. – Dlatego... dwadzieścia procent.

Erwin Winkler, oślepiony tym, co ujrzał, nie miał już ochoty na negocjacje. I tak Schmelt pozwolił mu dojść do dwudziestu pięciu.

3

– To jest właśnie Strefa Wydzielona. – Fiszler wskazał dłonią szlifiernię. – Pan pozwoli, panie kapo. Oprowadzę pana.

Johan Pinto zawahał się przez chwilę, ale przekroczył próg i wszedł do wnętrza baraku. Od czasu, gdy ponad dwadzieścia lat temu policja zabrała go z pracowni Naglera, w fachu niewiele się zmieniło, może poza tym, że teraz tarcze były obracane siłą elektryczności, a nie ludzkich nóg mozolnie naciskających pedały. Poza tym wszystko pozostało takie samo: koła szlifierskie, kleszcze trzymające kamienie podczas obróbki, ludzie pochyleni nad tarczami w napięciu zachowania precyzji każdego ruchu. Dźwięki,

zapachy. No i technika obróbki. Nawet tu, w warsztacie wyjętym z rzeczywistości i sztucznie przeniesionym w środek piekła obozu zagłady, używano wyłącznie klasycznego szlifu brylantowego.

Stary Fiszler coś do niego mówił, ale Pinto myślami był zupełnie gdzie indziej.

Dawno temu w Roermond spotkał więźnia, który wierzył w demony. Nieustannie o nich opowiadał, ale robił to na tyle ciekawie, że dobrze się go słuchało. Zresztą dla człowieka w odosobnieniu z perspektywą dożywania atrakcyjna jest każda opowieść, która ma jakiś początek i koniec.

Tamten więzień zapewniał, że demony mogą przybrać dowolną postać. Jaką zechcą. Nie tylko ludzką. Mogą wcielać się w zwierzęta, ptaki, drzewa, a nawet przedmioty. Znajomy z Roermond utrzymywał, że zabił człowieka, bo jego ręką pokierował demon ukryty w nożu.

Jeśli była w tym choćby częśćka prawdy, to demony Johana Pinto mieszkały w diamentach.

Diamenty dały mu i odebrały Martę, jedyną osobę, która cokolwiek znaczyła w jego dorosłym życiu. Diamenty uwiodły go, pozwoliły się zrozumieć i odkryć czarny szlif, który okazał się przekleństwem. Diamenty sprawiły, że został skazany za zbrodnię, której nie popełnił. A teraz wtrąciły go tu, do obozu. To był przypadek? Nie. Gestapo aresztowało go w związku z zabójstwem fałszerza, któremu sprzedał brylant. Był o włos od wyjazdu do Hiszpanii, gdzie zamierzał kupić niewielką winnicę, albo do Szwecji, w której mógł mieć kuter i łowić śledzie. A jednak, mimo udowodnienia niewinności, znalazł się gdzie? W szlifierni diamentów nadzorowanej przez SS. Przez chwilę miał wrażenie, że pisk kamienia piłowanego przez żeliwną tarczę jest chichotem jego

demona. Zaczynam tracić rozum czy co, do cholery, pomyślał i strząsnął z siebie to wrażenie.

– To mówisz, że co tu robicie? – spytał Fiszlera.

Od chwili, gdy przekroczył próg warsztatu, postanowił konsekwentnie grać rolę, jaką mu wyznaczono. Tępego, surowego kryminalisty.

Fiszler ukradkiem wznosił oczy do nieba.

– Kamienie szlachetne – odparł.

– Szafiry? Szmaragdy? Rubiny? – upewniał się Pinto.

– Brylanty, panie kapo – wyjaśnił stary, znów przewracając oczami nad tak rażącą niewiedzą.

Pinto popatrzył na niego z ukosa.

– Czemu ty stroisz miny, Fiszler? Chcesz dostać po mordzie?

Stary się przestraszył.

– Nie, panie kapo. Przepraszam, panie kapo. Taki mam odruch nerwowy.

– Pilnuj się – warknął Pinto. – Bo ja mam taki odruch, po którym będziesz zbierał z podłogi własne zęby. Możesz je sobie wtedy wyszlifować – dodał, a wszyscy więźniowie zatrudnieni w warsztacie zaczęli się krztusić ze śmiechu. Fiszler najwyraźniej nie był ich idolem.

4

Po tygodniu Pinto miał szlifiernię w małym palcu.

Aktualnie, poza Fiszlerem, pracowało w niej dziewięciu ludzi, ale tylko dwóch dobrze znało się na fachu. To oni cięli surowe diamenty i ustawiali je w uchwytach. Dla siebie i innych. Ci dwaj

mieli pewne ręce i potrafili bez nadmiernego trudu wykonać koronę i pawilon brylantu z minimalną liczbą pięćdziesięciu siedmiu faset. Pozostała siódemka próbowała to robić, ale bezskutecznie. Należeli do niej ludzie tacy jak Blom, snijderzy starej daty, którzy radzili sobie z prostym szlifem rozetowym, ale brylantowy wymagał kunsztu przekraczającego ich umiejętności. Oszlifowanie kamienia, na co potrzebne były trzy, cztery godziny, czasami zajmowało im tydzień.

Kiedy tylko Fiszler wychodził za potrzebą albo biegał do budynku komendantury do swojego protektora z SS, w szlifierni rozpoczynała się akcja ratunkowa. Doświadczeni snijderzy, w przekonaniu, że nowy kapo niczego nie rozumie, natychmiast siadali na taboretach niedoświadczonych i poprawiali ich pracę. Kiedyś u Naglera w Amsterdamie za źle oszlifowany kamień wylatywało się z roboty. Tu za to samo groziła kulka w tył głowy. Annaberg znał już takie przypadki.

Pinto udawał, że nie widzi. W ogóle udawał. Wielokrotnie miał ochotę podejść do warsztatu, pokazać komuś prostsze i lepsze rozwiązanie, coś poprawić albo doradzić, ale zawsze zdołał się powstrzymać. Bo co by to dało? Fiszler, który histerycznie zareagował na samą jego obecność w komandzie Strefy Wydzielonej, dopiero teraz nabrałby podejrzeń. Stary przez całe swoje przedwojenne życie pracował w dzielnicy żydowskiej niedaleko rzeki Amstel. Znał w branży wszystkich. Zacząłby wypytywać, dociekać, szcuć na niego swojego esesmana: skoro znasz fach, to gdzie pracowałeś? U kogo? Kiedy? Stary bez trudu mógł zweryfikować każdą informację. Szybko by się wydało, że mimo nieobrzezania Pinto też jest Żydem. W amsterdamskich szlifierniach nie pracował ani jeden goj.

A wtedy koniec z komfortem funkcji kapo. W najlepszym wypadku wylądowałyby przy tarczy szlifierskiej, nad którą ślęczałby całymi dniami. W najgorszym przy budowie autostrady, gdzie za dwa miesiące stałby się ludzkim wrakiem wyniszczonym jak tamci – ciągnący ciężkie nogi na wieczorny apel i umierający jak muchy. *Schmelt Juden*. Człowiek, który teraz nosił nazwisko Johan Pinto, zbyt długi czas spędził w więzieniu, aby nie nauczyć się reguł przetrwania.

Dlatego dobrze grał swoją rolę. Nie zwracał najmniejszej uwagi na rezultaty pracy szlifierzy. Za to urządzał im codzienną musztrę. Stali na baczność, robili przysiady, głośno meldowali gotowość do pracy, maszerowali i dostawali po pysku, jeśli kapo nie spodobała się mina któregoś z nich. Wiedzieli doskonale, że takie incydenty mają miejsce tylko wtedy, gdy ich komando obserwuje na placu apelowym atletyczny esesman stojący w oknie swojego biura. W baraku Pinto nigdy nikogo nie uderzył. Jeśli podczas pracy zagonił kogoś do robienia przysiadów, to tylko dla jego dobra. Praca siedząca nie najlepiej wpływa bowiem na krążenie.

Funkcja kapo nie była taka zła.

Poza przywilejem noszenia odwzzonego ubrania i pryczy w wydzielonej kanciapie baraku Pinto otrzymywał nieco lepsze racje żywnościowe i mógł swobodnie poruszać się po terenie obozu. Często zaglądał do baraku gospodarczego, gdzie w zamian za pomoc w przenoszeniu kotłów z wodą albo worków kartofli kucharki dawały jabłko lub cebulę. Intrygowała go jedna z nich. Greta. Dorodna dziewczyna z pobliskiej wsi, o wyzywającym spojrzeniu, fatalnej reputacji, jasnych włosach i dużych pełnych piersiach. Któregoś dnia zaczepiła go w spiżarni.

– No – powiedziała z uśmiechem – w ubraniu to nawet wyglądasz jak chłop. Bo jakżeś stał na golasa przed naszym barakiem, to nie szło powstrzymać śmiechu – oświadczyła swoją folklorystyczną niemczyzną.

Pinto też nie mógł powstrzymać. Spojrzenia, wlepionego w rowek widoczny nad odpiętym guzikiem jej fartucha.

Uśmiech Greta w sekundę z kpiącego zmienił się w lubieżny. Patrząc wprost w oczy wygłodniałego mężczyzny, powoli, z pełną premedytacją, odpięła jeszcze jeden guzik. Piersi zaczęły przepychać się do wyjścia.

Pinto przełknął ślinę i zrobił krok do przodu. Bez wahania położył dłoń na lewej piersi, sięgając głęboko pod fartuch, aż poczuł sutek, który natychmiast stwardniał pod wpływem jego dotyku. Greta jęknęła i odwdzięczyła się o wiele śmielszym dotknięciem. Pinto ze zdumieniem pomieszanim z zachwytem spojrział na dłoń dziewczyny miętoszącą jego spodnie pełne gwałtownej, niecierplivej twardości i eksplodował. Dwadzieścia lat postu w Roermond i magia pierwszego erotycznego kontaktu z kobietą zrobiły swoje.

Greta popatrzyła z satysfakcją na własne dzieło i już chciała zażartować, ale nagle zrozumiała, że to, co właśnie zaszło, bynajmniej nie kończy sprawy. Pinto odwrócił ją gwałtownie, oparł o ścianę spiżarni, dwoma szarpnięciami pozbawił przeszkód do tego, co chciał osiągnąć i osiągnął. Reputacja Greta była w pełni zasłużona, ale nigdy wcześniej z żadnym chłopakiem nie przeżyła czegoś takiego. Odwróciła się zdyszana, z oczami zamglonymi rozkoszą.

– Przychodź do mnie – szepnęła lekko ochryłym głosem – kiedy tylko chcesz... Przyjdziesz?

Johan Pinto podciągnął spodnie, odwrócił się i wyszedł bez słowa. Instynkt prowadził go bezbłędnie, ale tylko do końcowego momentu. Nie miał zielonego pojęcia, co robi się potem.

5

Od śmierci fałszerza Oscar Rhode był zdany na siebie. Ale nie po to od ponad roku prowadził interesy w Amsterdamie, aby teraz wywiesić białą flagę i poinformować Schmelta, że nie potrafi zorganizować tego, czego się podjął.

Znalezienie szlifierzy nie stanowiło problemu. W mieście ciągle było ich pod dostatkiem. O wiele gorzej przedstawiała się sytuacja z surowcem. Jeśli przed zachłannością Komisariatu Rzeszy ocalały jakieś zasoby diamentów, to były bardzo dobrze ukryte. Żeby się do nich dostać, Rhode potrzebował tego, czego nie miał: bezpośredniego dostępu do branży. Miał za to szczęście i umiejętność wykorzystywania okoliczności.

Parę tygodni wcześniej rozpoczęła się wywózka Żydów do obozu przejściowego w Westerbork, niedaleko granicy niemieckiej, skąd niedługo miał wyjechać pierwszy transport do Auschwitz. Informacja była ściśle tajna, ale obersturmführer zadbał o to, aby rozniosła się po ulicach getta.

Efekt przekroczył jego najśmielsze oczekiwania. Na amsterdamskich szlifierzy padł blady strach. Dotychczas cieszyli się swobodami, oddając Niemcom swoje umiejętności i surowiec w zamian za obietnice bezpieczeństwa, które w ciągu godziny pękały jak bańka mydlana. Wszyscy w getcie lękliwym szeptem wymawiali nazwę Auschwitz i chociaż nikt nie wiedział, co ona

dokładnie znaczy, to bano się jej jak piekła.

To była szansa Oscara Rhodego.

Przez zaufanych ludzi, którzy handlowali z Żydami, rozpuścił wieści, że istnieje możliwość wyjazdu do pracy w prywatnej szlifierni na Wschodzie, gdzie spokojnie można będzie przeżyć wojnę. Warunek: mogą tam jechać tylko ci, którzy znają fach i mają surowiec. Dużo surowca. Próg wejścia był wysoki jak w pokerze, w którego mogli zagrać tylko najsprytniejsi i najbogatsi. Rhode był przekonany, że w dzielnicy między kanałami Zwanenburgwal i Nieuwe Herengracht nadal kryje się sporo rozsądnych Żydów, którzy nie zaufali Niemcom tak jak ich rodacy i nie zanieśli im w zębach woreczków ze wszystkimi swoimi surowymi diamentami. Nie mylił się.

Sporo ryzykował. Wiadomość o jego akcji mogła dotrzeć tam, gdzie nie powinna, ale nie przejmował się tym. Po pierwsze, jego zaufani ludzie rozmawiali tylko ze swoimi zaufanymi ludźmi w getcie. Po drugie, zaufani ludzie w getcie nie strzępili języków byle gdzie, bo mieli w genach zwyczaj zatrzymywania korzystnych informacji tylko dla siebie i swoich zaufanych. Po trzecie, nawet gdyby coś się wydało, to sprawa trafiłaby do gestapo, a tu Rhode był u siebie. Gdyby więc rozpoczęto jakieś śledztwo, to i tak nikt nie dojdzie prawdy w bałaganie, jaki panował w związku z likwidacją getta i ewakuowaniem amsterdamskich Żydów do Westerbork.

W ciągu dwóch dni obersturmführer miał gotowy plan.

Podczas kolejnej wizyty Erwina Winklera, który przyjeżdżał do Holandii w sprawach Organizacji Schmelta, niby w poszukiwaniu siły roboczej do obozów obsługujących budowę autostrady, wybrali się na spacer. Lipcowy dzień był wprost zachwycający. Słońce

odbijało się w szybach domów, powodując, że było go dwa razy więcej, a lekki wiatr kołysał firankami i gałązkami pelargonii. Na żadnej z ulic prowadzących od siedziby gestapo nad Noorder Amstelkanaal nie było ani śladu wojny. W ogrodach bawiły się dzieci, a ich opiekunki zerkały w stronę dwóch przystojnych mężczyzn ubranych w dobrze skrojone garnitury.

– Zgłosił się pierwszy chętny – oświadczył Oscar Rhode, zapalając papierosa. – Nazywa się Blom. Żaden z niego orzeł, ale ma sporo kamyków do obrobienia i chce za nie kupić polisę na spokojną przyszłość.

– Fantastycznie – ucieszył się Winkler. – Masz już pomysł, jak go przerzucić do Annabergu?

– Plan jest taki – powiedział Rhode, zatrzymując się i schylając po patyk, którym naszkicował na parkowej ścieżce kilka kółek połączonych strzałkami. – Tu, w Amsterdamie, działają naganiacze. – Wskazał pierwsze kółko. – Oni znajdują w getcie ochotnika i dobijają z nim targu. Potem – patyk zatrzymał się na drugim kółku – ochotnik zostaje wywieziony do Westerbork, gdzie mam swojego człowieka, który dostaje w tej sprawie telefon. Przejmuje ochotnika i zatrzymuje go na parę dni w obozie, aż trafi się transport do Auschwitz, prowadzony przez zaufanego kierownika pociągu. Mój człowiek robi interesy z kolejarzami, razem organizują przemyt i dobrze się znają – wyjaśnił, przenosząc patyk na trzecie kółko. – Kierownik transportu zawiadamia stację w Oppeln albo Cosel, twierdząc, że taki jest rozkaz, a oni dzwonią do was, że idzie wasz transport. Reszta – pokazał czwarte z kółek – należy do was. Jedziecie na dworzec, kierownik na parę minut zatrzymuje pociąg, daje wam kartkę z numerem wagonu i nazwiskiem ochotnika, po czym odwraca głowę. A wy w tym

czasie zamieniacie ochotnika na jakiegoś waszego Żyda z obozu. Byle liczba się zgadzała. Proste?

Winkler patrzył na niego z uznaniem.

– Moi ludzie mówią na to „akcja przesadzania tulipanów”, ale im zabroniłem używać tej nazwy – dodał Oscar Rhode.

– Dlaczego? – zdziwił się Winkler. – Jest bardzo trafna.

– Zgadzam się, ale spójrz na to inaczej. Każda akcja, która ma swój kryptonim, musi być wymyślona, zaplanowana i dopiero potem nazwana. Czyli kojarzy się z organizacją. A organizacje natychmiast budzą podejrzenia. Natomiast akcja bez nazwy zawsze może wyglądać na czyjś prywatny, indywidualny pomysł.

– Oskarże, robisz się zbyt przebiegły. – Winkler pogroził mu palcem. – Czy ty aby nie nabrałeś w tym Amsterdamie zbyt wielu żydowskich cech? – spytał i obydwaj się roześmiali.

6

Greta nie musiała szczególnie nakłaniać Johana Pinto do składania wizyt towarzyskich w spiżarni. Gdy tylko była sama w baraku gospodarczym, a on miał okazję wyrwania się ze Strefy Wydzielonej, korzystali z tych sposobności do utraty tchu. Dziewczyna nie posiadała się z zachwytem. Kapo, uchodzący w obozie za Hiszpana, kojarzył się jej z nieustraszonym toreadorem, którego widziała kiedyś w kinie. Z urody ładną przypominał Rudolfa Valentino, w którym kochały się kiedyś wszystkie koleżanki ze szkoły w Leśnicy, tymczasem ona miała go naprawdę. Może nie był romantyczny ani czuły, ale za to pożądał jej z dzikością i brawurą, które sprawiały, że nigdy nie kończyło się

na jednym zbliżeniu, a Greta gryzła własną pięść, aby nie krzyczeć z rozkoszy na cały obóz.

Mimo to ich schadzki wkrótce stały się tajemnicą publiczną. Atletyczny esesman z komendantury kiedy tylko mógł, dawał Pintowi kuksańca w bok, puszczając oko i imitując kulistymi ruchami dłoni rozmiar piersi Grety. Fiszler udawał, że o niczym nie wie, a szlifierze z komanda Strefy Wydzielonej chichotali bezgłośnie i wymieniali porozumiewawcze spojrzenia, gdy kapo znów ogłaszał, że niedługo wróci, a oni mają trzymać mordy na kłódkę.

Tylko dwóch ludzi nie mogło mu Grety wybaczyć.

Pierwszym był młodzik z SA, który wywrócił się na torowisku. Od początku nienawidził Pinta, ale teraz, gdy dowiedział się o jego wizytach u kucharki, ta nienawiść sięgnęła zenitu. SA-man wielokrotnie starał się o względy Grety, ale ta, choć zasłużenie cieszyła się opinią łatwej, nie chciała nawet na niego spojrzeć. Chłopak wpadł w szał. Mimo przestrogi udzielonej przez esesmana z komendantury szukał pretekstu, aby rozprawić się z Pintem raz na zawsze. Kiedy pomyślał, że to on dotyka piersi Grety, gotów był wyjąć pistolet i strzelić mu w łeb na środku obozu. A potem niech się dzieje co chce.

Atletyczny scharführer z komendantury bacznie śledził tę sytuację. Nie dawała mu spokoju. Wiedział, że durny bawarski parobek w brunatnej bluzie wreszcie nie wytrzyma i zrobi coś głupiego. Na dodatek buntował kumpli z SA. Esesman postanowił, że przy najbliższej okazji poprosi brigadeführera o przeniesienie młodzika do innego obozu. Tymczasem wpadł na szybszy i prostszy pomysł.

Objechał pobliskie obozy Schmelta z propozycją urządzenia

w Annabergu, w przedostatnią niedzielę sierpnia, turnieju pięściarskiego. Miał być ring zbity z desek przez więźniów, prawdziwe rękawice przywiezione z Opola, nagrody dla zwycięzców, śląskie krupnioki i piwo. Lagerführerzy przystali na pomysł z radością.

Po kilku burzliwych sporach sformowano trzy drużyny. W różnych kategoriach wagowych mieli startować wachmani z Wehrmachtu, chłopaki z SA oraz esesmani, wśród których znalazł się pomysłodawca i organizator zawodów.

Czekano na tę niedzielę od miesiąca. Trenując, przyjmując zakłady i rozpalając emocje. Turniej zgromadził kilkudziesięciu widzów, oczywiście poza Żydami, którym przykazano siedzieć w barakach z zamkniętymi okiennicami. Nie mogli przecież patrzeć, jak przedstawiciele narodu panów dostają po pyskach i są liczeni przy nokautach.

Atletyczny esesman bardzo chciał zapisać do turnieju Pinta, tłumacząc, że to Hiszpan i zmierzenie się z nim nie będzie uchybieniem rasowym, ale komisja się nie zgodziła. Jak Niemcy, to Niemcy. Szlus. Kapo wrzucił ramionami i nie przeżywał odmowy jakoś szczególnie, choć z największą przyjemnością rozkwasiłby parę szwabskich mord, i to całkiem legalnie.

Po godzinie walk, gdy ożywieni piwem widzowie wrzeszczeli na całe gardło, dopingując faworytów, atletyczny esesman niespodziewanie przegrał pojedynek o wejście do finału z wachmanem z Otmętu. Na placu apelowym zamienionym w arenę zmagania rozległ się jęk zawodu.

Scharführer z komendantury Annabergu rozłożył ręce w geście przeprosin dla swoich kibiców, po czym zerknął na młodego SA-mana, z którym miał skrzyżować rękawice w walce o trzecie

miejsce. Właśnie tego chciał, celowo przegrywając z o wiele słabszym od siebie przeciwnikiem. W nagrodę za to, że się podłożył, czekały na niego trzy rundy z chłopakiem z torowiska. Gromadka kamratów SA-mana zbiła się w ciasną grupę, z napięciem czekając na pojedynek.

Chłopak był cięższy i młodszy. Miał nieprawdopodobną odporność na ciosy i potężny prawy sierp. To wszystko. Poza tym poruszał się jak wóz z gnojem i markował uderzenia, jakby przymierzał się do młócenia cepem snopków żyta rozłożonych na podłodze stodoły. Nawet ślepy by dostrzegł, jak zamierza uderzyć.

Esesman był zbudowany jak gimnastyk i tak też się poruszał. Zwinnie, szybko, z taneczną pracą nóg, która w boksie jest umiejętnością równie cenną jak podstawa wszelkiego powodzenia: lewy prosty.

Człowiek jest tak skonstruowany, że wszelkich aktywności manualnych spodziewa się po prawej ręce. Większość ludzi pisze, żegna się, je i uderza prawą. Na dodatek uderza z zamachem, czym zawiadamia, że cios nastąpi, i daje sekundę czasu na jego uniknięcie. A w boksie sekunda to bardzo długo.

Lewy prosty jest zupełnie inny. Wystrzeliwuje z gardy pneumatycznie, bez zamachu. Jeśli doda się do tego fakt, że dla ludzkiej psychiki jest to cios niespodziewany, można nim wiele zdziałać.

Pierwszy lewy prosty trafił SA-mana tuż po tym, jak chłopak runął do przodu, a dwa jego sierpy wręcz zawarczały w powietrzu. Runął, czyli zwiłokrotnił siłę ciosu esesmana. Teraz złożyły się na nią dwa wektory: uderzenie plus wyjście mu naprzeciw. Tak jakby samochód, któremu grozi zderzenie czołowe z samochodem jadącym z naprzeciwka, jeszcze dodał gazu.

Lewy prosty z reguły nie nokautuje, ale potrafi uczynić sporo szkód. Tym razem łuk brwiowy SA-mana rozleciał się jak śliwka potraktowana młotkiem. Sekundant chłopaka musiał go opatrzyć, tamując krwawienie kawałkiem gazy i przykładając liść babki. Chciał przerwać walkę, ale bawarski byczek był na to zbyt rozjuszony.

Zaatakował esesmana z furją, którą uspokoił drugi lewy prosty. Drugi łuk. Na szczęście lżej. Trzeci – prawe oko. Czwarty – lewe. Piąty – nasada nosa. Scharführer krążył wokół niego jak osa, co chwilę wypuszczając żądło. W połowie drugiej rundy SA-man wyglądał jak spulchniona rabatka z fiołkami. Prawie nie widział. Mimo to machał rękami z zapamiętałą wściekłością. Esesman z komendantury zatańczył przed nim zgrabną przeplatankę nóg, po czym prawym hakiem posłał go na deski, pozbawiając przytomności. To już nie był sport. To była wiadomość.

W ogłuszającym ryku swoich kibiców scharführer odwrócił się w stronę skamieniałej, milczącej grupki SA-manów, pytając ich wzrokiem, czy został właściwie zrozumiany.

7

Drugim wrogiem, którego Pinto sobie zafundował, chodząc do Grety, był Manfred Krawietz. Najłagodniejszy z wachmanów. Uosobienie spokoju. Ale przechodząc koło kapo, rzucał mu złe spojrzenia i chociaż ci z Wehrmachtu nie lubili tych z SA, istniało prawdopodobieństwo, że Krawietz gotów się sprzymierzyć z chłopakami w brunatnych bluzach, aby go dopaść. Na szczęście dla Pinto wydarzyło się coś, co rozstrzygnęło tę kwestię na jego

korzyść.

Nowinę przyniósł Fiszler, który wszedł do baraku, uciszył dłonią szlifierzy i zwrócił się do Pinta swoim słodko-oślizłym tonem:

– Panie kapo, trzeba będzie jechać po Żyda z Amsterdamu na stację do Cosel. Pan scharführer kazał.

– Przecież zawsze jeździecie obaj – stwierdził Pinto.

– Tak, panie kapo, ale dziś musimy załatwić coś innego. Pan scharführer zamówił u mechanika narzędziowego w Schaffgotsch Benzin Werke w Deschowitz nowe tarcze szlifierskie pokryte pudrem diamentowym. Ja wytłumaczyłem, jak je wykonać – wyjaśnił z dumą – i ja muszę jechać z panem scharführerem, żeby je obejrzyć i odebrać. I to zaraz. Bo sprawa, jak pan kapo wie, jest poufna, a ten mechanik kończy zmianę i nie chce trzymać tarcz w fabryce, żeby nikt go nie nakrył. A tu dzwonią ze stacji, że będzie nasz transport z Holandii. Więc pan scharführer mówi: niech jedzie Pinto. Poradzi sobie.

– Kiedy? – spytał kapo.

– Teraz. Samochód czeka. Ja już muszę bieć. I niech pan pamięta, mówił pan scharführer, żeby nie puścić farby przed SA-manami czy wachmanem, co z panem pojedzie. A gdyby który pytał o Strefę Wydzieloną albo o tego Żyda, po którego jedziecie, to trzeba zaraz dać znać panu scharführerowi – uzupełnił Fiszler i zniknął w drzwiach warsztatu.

Pinto nakazał przerwać pracę, wyłączyć urządzenia, a potem zarządził wymarsz komanda do baraku mieszkalnego. Plus tradycyjne trzymanie mord na kłódkę.

Otrzeptał się z pyłu i nie niepokojony przez strażnika przy bramie poszedł pod budynek komendantury, gdzie czekała odkryta półciężarówka. Dwaj SA-mani z eskorty siedzieli w szoferce, jeden

wachman na pace. Był to Manfred Krawietz. Pinto bez słowa wskoczył na wóz i zajął miejsce na sąsiedniej ławce, obok więźnia, który miał zostać wymieniony za szlifierza i pojechać do obozu koncentracyjnego w Auschwitz. Człowiek ten siedział przykuty kajdankami do metalowego przegubu półciężarówki, jednego z tych, na których w razie potrzeby rozpinano się plandekę. Nie wiedział, co go czeka, ale wydawał się całkowicie obojętny na swój los. Przez całą drogę nie zamienili ani słowa.

Na bocznicy w Koźlu pojawili się za wcześnie. Transport do Auschwitz miał opóźnienie. Może godzinę, może więcej. W każdym razie nie było sensu wracać do obozu. Więzień pozostał na swoim miejscu, SA-mani rozłożyli się na trawie, Krawietz przysiadł na kamiennym murku w pobliżu Pinta, który oparł się plecami o budkę dróżnika i przymknął oczy. Wcześniej zdarzało mu się rozmawiać z wachmanem, którego uważał za porządnego człowieka, ale od czasu Grety zapanował między nimi lodowaty chłód.

Pinto uchylił powieki, dostrzegając, że Krawietz wstał i trzymając się za brzuch, zaczął się niespokojnie rozglądać wokół. Wreszcie dojrzał kępę krzaków i pobiegł tam z wyraźną ulgą.

W odległości dwóch metrów od Pinta zostawił swój karabin.

W pobliżu nie było żywej duszy, a hałas przetaczanych pociągów, gwizdy lokomotyw i huk maszyn w parowozowni stwarzały idealne warunki. Kapo mógł bez trudu sięgnąć po broń, odstrzelić łby obydwu SA-manom, zaczekać, aż wróci Krawietz, kazać mu zdjąć mundur, posłać kulkę w serce, przebrać się i zniknąć.

Jeden z brunatnych chłopaków chyba czytał w jego myślach, bo podniósł się z trawy i ruszył w stronę budki dróżnika. Pinto leniwym ruchem zdjął kurtkę i od niechcienia rzucił ją na ziemię

tak, aby przykryła karabin. SA-man podszedł, zapytał, gdzie jest Krawietz, na co kapo odpowiedział, wskazując go dłonią wychodzącego z krzaków. Chłopak pokiwał głową i się oddalił.

Krawietz minął się z nim po drodze, wrócił na swoje miejsce, spojrzał na kurtkę Pinta i nagle wszystko do niego dotarło. Podniósł drelich, otrzepał go i podał właścicielowi.

– Dziękuję – powiedział. – Dobry z ciebie człowiek. Gdyby ten sukinsyn zauważył, że zapomniałem karabinu, doniósłby o tym i jutro jechałbym na front wschodni. Nie zapomnę ci tego.

– Myślałem, że jest pan na mnie zły – powiedział Pinto.

– Byłem – przyznał Krawietz. – O Grete.

– Ma się pan ku niej? – spytał kapo.

Wachman popatrzył na niego ze zdumieniem.

– To moja siostra – wyjaśnił i spojrzał w stronę torów, po których w oddali, wyłaniając się z obłoków pary, nadjeżdżał transport z Holandii.

Warszawa/Santa Fe

wrzesień 2011 roku

1

Teresa Barska pochyliła się, podniosła z ziemi płaski kamyk, zważyła go w dłoni, po czym posłała zgrabnym ruchem po powierzchni stawu w parku Morskie Oko na warszawskim Mokotowie. Kamyk z gracją tancerki baletowej podskoczył kilkakrotnie na wodzie, zostawiając po sobie ślady w postaci charakterystycznych kółek, wreszcie wytracił impet i zatonął.

Kuba cmoknął z zazdrości.

– Zawsze chciałem się nauczyć puszczania kaczek – wyznał. – Podziwiałem rówieśników, którzy to potrafili i nawet urządzali zawody, ale jakoś nigdy mi się to nie udało.

– Najskuteczniejszym sposobem na to, żeby się tego nauczyć, jest się tego nauczyć – oświadczyła Barska, marszcząc brwi. – Podpatrzeć, jak to się robi, i trenować.

– Cóż za logiczna i mądra myśl – odparł Kuba, ale pani kapitan ABW puściła jego złośliwość mimo uszu.

– Jak poszło z księdzem? – spytała krótko, co zabrzmiało, jakby były prokurator IPN-u przez całą noc torturował duchownego, wydobywając z niego zeznania.

– No właśnie. – Kuba podchwycił wątek. – Poprosiłem o to

spotkanie, żeby pani podziękować. To był celny strzał. Proboszcz spod Słupska przypomniał sobie ciekawą rzecz: jeden ze strażników obozowych, kolega jego ojca, również pochodzący z okolic Góry Świętej Anny, został w siedemdziesiątym siódmym skazany za przestępstwa wojenne i osadzony w więzieniu.

– Co w tym ciekawego? – zdziwiła się Barska.

– To, że jak już pani ostatnio wspomniałem, sprawę przerwano i wyciszono. Tam nie zapadł żaden wyrok.

Kapitan ABW popatrzyła na niego uważnie.

– Może w teczce IPN-u nie ma kwitów na ten temat?

– Jest komplet. Ostatni dokument to oficjalna decyzja Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce kończąca sprawę. Ma tę samą datę co aresztowanie tamtego strażnika: jesień siedemdziesiątego siódmego. To niemożliwe, żeby coś takiego przeoczono czy zatuszowano. Informacja o tym wyroku musiałaby się znaleźć w aktach. Nie ma innej opcji.

– Zawsze są inne opcje – stwierdziła Barska po dłuższej chwili milczenia. – Mam pewien pomysł. – Podniosła dłoń, hamując ciekawość Kuby. – Ale najpierw coś zrobię, a potem panu powiem.

– Nie ufa mi pani?

– Przeciwnie. Gdy przyjdzie czas, pierwszy się pan o wszystkim dowie. Ale teraz proszę uszanować moją zasadę: nigdy nikogo nie informuję o swoich zamiarach.

– Bo najlepszym sposobem na to, aby nikogo nie informować o swoich planach, jest nikogo nie informować. – Kuba rozłożył ręce z rozbijającym uśmiechem.

O dziwo, Teresa Barska go odwzajemniła.

Kiedy następnego dnia na ekranie telefonu Kuby pojawiło się

niezidentyfikowane połączenie, był pewien, że to ona.

– Sługa i podnózek, pani kapitan... – zaczął, ale po drugiej stronie linii odezwał się Unra:

– Pogięło cię? Co to za tekst?

– Nie wiedziałem, że masz telefon. – Kuba był wyraźnie zmieszany. – Myślałem, że to ta babka z ABW, wiesz.

– Pewnie, że mam, a że nie lubię tych drętwych nawijek przez komórkę... Dzwonię tylko wtedy, gdy muszę.

– Rozumiem, że to właśnie taki moment.

– Dziwnie dzisiaj gadasz – uznał Unra. – Ale dobra. Posłuchaj, namierzyłem tego gościa zapuszkowanego za Górę Świętej Anny. Jak ci powiem, to nie uwierzysz. Może lepiej usiądź. Wiesz, kto to?

Kuba chciał rzucić jakąś uszczypliwość na temat jasnowidzenia, ale wobec wcześniejszych komentarzy Unry zrezygnował.

– Nie wiem – stwierdził.

– Manfred Krawietz – obwieścił chłopak, jakby chodziło o jakiegoś celebrytę.

– Pierwsze słyszę – powiedział Kuba.

– Nie żartuj. – Unra wydawał się oburzony. – Prokurator IPN-u nie wie, kto to był Manfred Krawietz?

– Jak byłeś łaskaw zauważyć, pracowałem w IPN-ie, nie w Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Inne czasy.

Unra przyjął argument, zamieniając zdziwienie w wyjaśnienia.

– Manfred Krawietz to tak zwany skruszony esesman, modna postać w epoce późnego Gierka. Jedyne nazista, który dobrowolnie wyznał winy polskiemu wymiarowi sprawiedliwości, uznając, że powinien je odpokutować, i prosząc o surowy wymiar kary.

Ogarniasz? Sąd docenił jego prośbę i wlepił mu piętnaście lat. Gość

zmarł w więzieniu na raka pod koniec lat osiemdziesiątych. Ale że o nim nie słyszałeś...

– A ty słyszałeś? – odgryzł się Kuba.

– Ja tak – odpowiedział Unra z ledwo wyczuwalną niepewnością.

– Ale kompletnie nie skumałem, że on był w obozie na Górze Świętej Anny. Zanim się z tobą spotkałem, niewiele wiedziałem o tym lagrze. Poza tym, że istniał. Wiesz, jak jest.

– Wiem – powiedział pojednawczo Kuba. – Mam kilka pytań, mogę?

– Dawaj – odrzekł Unra. – Powiem ci o wszystkim, czego udało mi się dowiedzieć.

– Coś mi tu nie gra. W aktach IPN-u nie ma wzmianki, że wśród strażników byli esesmani. Oni raczej nie pilnowali więźniów w tak małych obozach, zostawiając to plebsowi z Wehrmachtu. Jak wiesz, SS to była elita. Więc jakim cudem Krawietz...

– Krawietz był esesmanem – przerwał mu Unra. – Na sto procent.

– Skąd wiesz? Widziałeś tatuaż pod jego pachą?

– Kuba – w głosie chłopaka zabrzmiało politowanie – naoglądałeś się filmów z czterema pancernymi i Hansem Klossem. Nie było takich dziar. Tatuowano jedynie Waffen-SS. Żołnierze tych doborowych jednostek mieli grupę krwi na lewym ramieniu, od środka, piętnaście centymetrów nad łokciem. Około centymetra długości. Informacja przydatna na froncie, w szpitalu polowym, gdy trafiali tam ranni i nieprzytomni. Mity o esesmańskich tatuażach podkreślających tożsamość i wewnętrzną więź gwardzistów Hitlera to ściema.

– Poddaję się – stwierdził Kuba. – Chciałem się po prostu upewnić, skąd wiedza o tym, że Krawietz był w SS.

– Figuruje w archiwach – odparł Unra. – Niemcy to porządny naród, skrupulatnie prowadzący swoje papiery. Jest tam też wzmianka, że Krawietz był sądzony za przestępstwo przeciwko ustawie rasowej, za co został zdegradowany i zesłany do Wehrmachtu.

– Przestępstwo przeciwko ustawie rasowej?

– Bzykał się z Polką. Za to wyrzucali z SS. I tak miał farta, że trafił do Annabergu, a nie pod Stalingrad.

Kuba analizował rewelacje Unry. Chłopak zasługiwał na reputację chodzącej encyklopedii drugiej wojny.

– Powiedziałeś, że on sam się przyznał do winy, dobrze usłyszałem?

– Właśnie tak.

– Ksiądz twierdził, że ten skazany wachman chciał spisać i ujawnić prawdę o obozie – głośno myślał Kuba.

– Może spisał.

– Jak to sprawdzić? W którym więzieniu siedział?

– W Rawiczu – odparł Unra. – Na mailu masz namiary na trzech ludzi, którzy mogą coś wiedzieć na ten temat: zastępca naczelnika, jeden wychowawca z bloku, na którym siedział Krawietz, i jeden klawisz. Wszyscy na emeryturze, ale są na miejscu. Znalazłem ci ich adresy i telefony. Twój ruch, Kuba.

2

Zapach porannej kawy z własnej plantacji, palonej, mielonej i zaparzonej przez zaufaną służącą Cruzitę, sprawiał, że Edyta Rhode nabierała apetytu na życie. Od jakiegoś czasu czuła starość

skradającą się za jej plecami, ale kiedy się odwracała, aby ją zdemaskować w lustrze, nie widziała pomarszczonej twarzy tej zmęczonej kobiety, jaką się czasami sobie wydawała.

Mimo że dobiegała siedemdziesiątki, wciąż była szczupła i energiczna. Dużo jeździła konno, nie gardziła pracą fizyczną na farmie, gimnastykowała się każdego ranka, a potem myła w zimnej wodzie. Zdrowy tryb życia i dobrą kondycję uważała za jeden z podstawowych obowiązków niemieckiej kobiety, jakie zdefiniował człowiek, którego uważała za największego wizjonera ludzkości: Adolf Hitler.

W takich chwilach z rozrzewnieniem, na które pozwalała sobie tylko w samotności, patrzyła na uśmiechniętą twarz ojca na fotografii stojącej na kominku i coś ścisnęło ją za gardło. Był taki przystojny w mundurze obersturmführera SS. Taki władczy i pewny siebie z tym śmiałym spojrzeniem, które od zawsze dodawało Edycie otuchy. Ojciec był jej idolem. Zygfydem z sagi o Nibelungach, starogermańskim bohaterem, silniejszym od herosów z *Iliady* i *Odysei*, bo mającym – jak mówił nauczyciel Edyty – duszę czystą rasowo. Przez dziesięciolecia Edyta Rhode robiła wszystko, aby jej dusza też była taka czysta.

Święcie wierzyła, że tylko tacy ludzie jak Hitler czy jej ojciec mieli dość odwagi, aby przeciwstawić się żydostwu – największej zarazie niszczącej współczesny im świat. Często wspominała zasługi, jakie położył na tym polu Adolf Eichmann, którego doskonale zapamiętała z czasów, gdy była nastolatką, a legendarny obersturmbannführer przyjeżdżał dwa czy trzy razy z Buenos Aires odwiedzić jej ojca na plantacji w sercu pampy. Siadali wtedy obydwaj na ganku hacjendy i wspominali stare czasy. W czerwcu 1960 roku wujek Eichmann miał uświetnić osiemnaste urodziny

Edyty, ale się nie pojawił. Jakiś czas później dowiedzieli się, że został uprowadzony przez żydowskich oprawców do Izraela, gdzie go bestialsko zamordowano i spalono, rozsypując prochy nad morzem.

To był przełomowy moment w ich życiu. Odnalezienie na drugim końcu świata jednego z największych wodzów Trzeciej Rzeszy okazało się ciosem dla środowiska emigrantów niemieckich. Wielu z nich przestało odbierać telefony, część wyjechała do Urugwaju, inni zapadli się pod ziemię. Ojciec też bardzo to przeżył. Rzucił się w wir pracy, dokupywał coraz to nowe obszary ziemi, rozwijał uprawy pszenicy i kukurydzy. Inwestował w nieznane odmiany kawy, hodował owce i bydło. Stworzył świetnie prosperujące przedsiębiorstwo. Zawsze miał talent do robienia majątku.

Dzięki dużym pieniądзом, jakie zgromadził podczas wojny, udało mu się zdobyć nowe dokumenty dla żony i trzyletniej Edyty. Wydawała je Pontifica Commissione di Assistenza, powołana w tym celu przez Watykan. Z jej usług zmiany tożsamości skorzystały tysiące prawdziwych Niemców, skazanych na zagładę przez światowe żydostwo, które ich ojczyznę wdeptało w ziemię butami sowieckich i amerykańskich żołdaków, gąsienicami czołgów i bombami zrzuconymi na miasta. Jak można bezlitośnie niszczyć czyjś kraj? Jak można wydawać wyrok śmierci na cały naród? – myślała zrozpaczona Edyta wiele lat później, już w Argentynie, zalewając łzami poduszkę z żalu za utraconym Vaterlandem. Tym większą wdzięczność czuła wtedy do ojca, którego rycerskość sprawiła, że w czerwcu 1945 roku wraz z mamą ukryły się w klasztorze w Tyrolu, skąd przewieziono je do Genui, a potem statkiem do portu Bahía Blanca.

Praca ponad siły nie wyszła ojcu na dobre. Pokąsany na polu

przez komary, zachorował na dencę. Zlekceważył gorączkę i wysypkę, których nie należało lekceważyć. Wdało się wirusowe zapalenie mózgu, potem doszło do poważnego uszkodzenia wątroby. Oscar Rhode zmarł w szpitalu w Santa Fe, będąc w sile wieku. Gdyby ktoś wtedy powiedział jego córce, że komary zostały nasłane przez niemieckich wrogów, uwierzyłaby bez zastrzeżeń.

Pozostała po nim fotografia na kominku i coś jeszcze: przywieziony z Amsterdamu niezwykle pierścionek, który podarował Edycie w 1951 roku w dniu jej pierwszej komunii świętej w białym kościele San José. Często patrzyła na niego, mając wrażenie, że oświetla jej życie, jakby wewnątrz kamienia była zaklęta mikroskopijna czarodziejska latarnia. Nigdy nie widziała tak jasno rozżarzonego brylantu.

Po pogrzebie była bliska załamania, ale nie tego oczekiwaliby od niej zyciowi przewodnicy: ojciec, Hitler i Eichmann. A przewodnik to po niemiecku *Führer*. Słowo, które zobowiązuje.

Z pewnymi trudnościami, ale skutecznie, nawiązała kontakt z ludźmi ze środowiska Odessy, organizacji byłych żołnierzy i oficerów SS. Na spotkanie w Kordobie pojechała z radością w sercu. Nie spodziewała się ciosu, który omal ją nie zabił.

Dwaj zasuszeni starsi mężczyźni przypominający szkielety, z którymi umówiła się w kawiarni nad rzeką Primero, chcieli tylko jednego – pieniędzy. Kiedy oświadczyła, że najpierw chciałyby poznać program i zamiary Ruchu Wskrzeszenia Niemiec, który starcy mieli reprezentować, tamci nagle zmienili ton. Usłyszała, że jej ojciec nosił stopień SS, ale był tylko gestapowcem, gliniarzem niegodnym oficera doborowych jednostek Hitlera. Mało tego. Zwykłym złodziejem, z gatunku tych, którzy wrywali Żydom złote

zęby. Kiedy próbowała protestować, z trudem panując nad szalonym kołataniem serca, mówiąc, że przecież szanował go sam Eichmann, który ich odwiedzał, jeden ze starców rozciągnął sine wąskie wargi w czymś w rodzaju uśmiechu i oświadczył:

– Pani ojciec dobrze płacił za to, abyśmy go akceptowali.

Eichmann chętnie korzystał z jego zrabowanych dóbr, udając, że nie wie, skąd pochodzą, ale w głębi duszy nim gardził. Tak jak ja – dodał z wyższością, opierając o stół ręce, które dotychczas pozostawały ukryte pod blatem. Jedna z nich była zakończona żółtą jak stary воск protezą dłoni. – Pamiątka z frontu – wyjaśnił. – A pani ojciec odniósł jakieś rany? Może skaleczył się podczas otwierania żydowskich sejfów w Amsterdamie?

Edyta wstała czerwona jak piwonia.

– Milcz, ty stary gadzie – syknęła z pogardą.

Esesman popatrzył na nią zimno. Była w tym spojrzeniu bezlitosna tęsknota za czasami, w których wiedziałby, co zrobić z taką suką.

– Proszę się nie unosić – odezwał się jego towarzysz. – Podczas wojny byłem wysokim oficerem SS w Berlinie – oświadczył. – Tam po raz pierwszy usłyszałem o pani ojcu przy okazji procesu Albrechta Schmelta. Zna pani to nazwisko? Nie? To niech pani sobie gdzieś poczyta, jakich papa miał przyjaciół, a potem formułuje wnioski. Żegnam panią.

Roztrzęsiona, z trudem dotarła na plantację.

Teraz ona poświęciła się pracy, uprzednio szczepiąc się przeciwko dendze. Po kilku latach podwoiła majątek ojca, stając się jedną z czołowych producentek soi i sorga, roślin z przyszłością. W latach siedemdziesiątych usłyszała o Stille Hilfe i Gudrun Burwitz.

Wahała się, ale zaryzykowała i odwiedziła ją podczas urlopu w Europie. Córka Himmlera okazała się zupełnie innym człowiekiem niż zgorzkniali starcy w Kordobie, którzy uschli w Argentynie z niemocy i najwyraźniej zazdrościli ojcu Edyty sukcesu. Przyjęła ją z otwartymi ramionami.

Od tamtej pory spotkały się trzy razy, ostatnio w domu starców pod Monachium. Frau Rhode nie przyznała się wtedy, że słyszała już wcześniej nazwisko Schmelta, ale dzięki temu uznała opowieść Gudrun Burwitz o Górze Świętej Anny za wiarygodną. Jeśli brigadeführer rzeczywiście był sądzony za malwersacje podczas wojny, to hipoteza, że zgromadził i pośpiesznie ukrył jakieś wartościowe przedmioty, była bardzo prawdopodobna.

Edyta Rhode dopiła kawę i uśmiechnęła się do Cruzity stojącej z jej torebką w rękę obok wiklinowego stolika na tarasie. Nieco dalej w słońcu poranka lśniła karoseria samochodu, którym szofer Augusto, pamiętający jeszcze rodziców Edyty, miał ją odwieźć na lotnisko Sauce Viejo. Za dwie godziny odlatywała do Buenos Aires, a stamtąd do Frankfurtu, gdzie czekał ją dzień odpoczynku przed wyjazdem do Polski.

3

Wysoki urzędnik IPN-u zbyt wiele wiedział o służbach specjalnych z teczek zgromadzonych w swojej instytucji, aby ucieszyć się z telefonu kapitan Teresy Barskiej, która pragnęła go odwiedzić. Zwłaszcza że, jak się domyślił, miała to być wizyta nieoficjalna. Gdyby było inaczej, zostałby po prostu wezwany na Rakowiecką do siedziby ABW.

Odkładając słuchawkę, pomyślał gorzko, że zmieniają się czasy i władze, ale obyczaje służb pozostają takie same.

Kobieta, która następnego dnia usiadła naprzeciwko jego biurka, sprawiała wrażenie zasadniczej. Na pewno odmówi kawy, bo mimo wszystko nie przyszła tu na plotki, pomyślał dyrektor, który wierzył, że ma umiejętności mentalisty, i testował je przy każdej okazji.

– Napije się pani kawy? – zapytał uprzejmie, ale z zaciekawieniem, które zwróciło uwagę Teresy Barskiej.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała, co wywołało u dyrektora ulgę, jakby filiżanka kawy kosztowała tyle, ile butelka szampana w Paryżu lub wody mineralnej w Oslo.

– W czym mogę pani pomóc? – spytał wyraźnie odprężony.

– Gościnnie przebywają u państwa pewne akta – zaczęła, ale dyrektor niezwłocznie zainterweniował:

– Jeśli to dotyczy polityki, to...

– Niech pan się nie martwi – odwdzięczyła się Barska, przerywając jemu. – Jeśli już, to polityki nazistów wobec narodów okupowanych. To stara sprawa. Z czasów Głównej Komisji.

Dyrektor odetchnął. Nie miał najmniejszego zamiaru być zamieszany w rozgrywki służb z politykami.

– Co to za sprawa? – zapytał.

– Śledztwa przeciwko strażnikom z obozu pracy przymusowej na Górze Świętej Anny.

– Sprawdzę – rzekł wymijająco. – A co panią w tej sprawie interesuje, jeśli wolno wiedzieć?

– Nie musi pan sprawdzać – odparła wolno Teresa Barska – bo to pan wydał decyzję, aby te akta wypożyczyć profesorowi historii, panu...

Dyrektor zrobił się czerwony jak dolna część polskiej flagi, której miniatura stała na jego biurku.

– Czy to... jakieś wykroczenie? Czy mogę mieć przez to kłopoty? – zaczął się niepokoić.

– Bo ja wiem? – zastanowiła się Barska. – Na siłę dałoby się to podciągnąć pod ujawnienie tajemnicy służbowej, ale w mojej ocenie wykroczenie jest na tyle niegroźne, że śmiało może je pan popełnić ponownie.

– Nie rozumiem. – Dyrektor patrzył na nią oczami rozszerzonymi ze zdumienia.

– Tym razem pożyczając te akta mnie.

4

Dokładnie w tym samym czasie, w którym Teresa Barska opuszczała biurowiec przy ulicy Towarowej z aktami Annabergu ukrytymi w czarnej plastikowej teczce, do lobby pobliskiego hotelu Hilton wszedł profesor, o którym rozmawiała przed kilkoma minutami w IPN-ie. Miał na sobie nieco staromodny garnitur ze zdecydowanie zbyt szerokimi klapami marynarki i nogawkami spodni, koszulę, która nie przyjaźniła się z żelazkiem, oraz fatalnie dobrany krawat. Patrząc na niego, można było zaryzykować stwierdzenie, że o historię dba znacznie staranniej niż o garderobę, bo tę pierwszą nieustannie prał, cerował, odplamiał i prasował, aby podobała się komu trzeba.

Rozejrzał się i po chwili dostrzegł elegancką kobietę siedzącą samotnie przy jednym ze stolików, których wianuszek otaczał hotelowy bar. Patrzyła na niego identycznie pytającym wzrokiem,

zatem podszedł i szurnął obcasami.

– Czy ja jestem z panią umówiony? – zapytał dobrą angielszczyzną.

Lokatorzy sąsiedniego stolika przerwali rozmowę, biorąc ich pewnie za spóźnioną parę z międzynarodowego portalu randkowego, co wydawało się potwierdzać zachowanie kobiety. Uśmiechnęła się skromnie i wskazała mu krzesło obok siebie.

– Profesor Álvarez – mężczyzna w niemodnym garniturze wymienił nazwisko znanego hiszpańskiego antysemitę – dzwonił do mnie, uprzedzając, że pani się ze mną skontaktuje. Zatem... witam w Warszawie i jestem ciekaw, co panią do mnie sprowadza.

– Dziękuję – odpowiedziała Edyta Rhode w tym samym języku. – Rekomendacja profesora Álvareza nie jest przypadkowa. Reprezentuję pewną prywatną fundację finansującą badania naukowe nad tak zwanym *Holocaust Denial*, mające określić, jak w istocie wyglądała prawda o zagładzie Żydów podczas ostatniej wojny.

Frau Rhode doskonale wiedziała, który guzik nacisnąć. Kiedy kilkanaście dni wcześniej rzeczywiście zadzwoniła do profesora Álvareza, wyznawcy ruchu *Stille Hilfe*, z prośbą o pomoc w znalezieniu konsultanta w Polsce w sprawie Annabergu, ten polecił jej swojego warszawskiego kolegę, przy okazji sporo o nim opowiadając.

– Bądź ostrożna, moja droga – ostrzegł ją w trakcie rozmowy. – Mój polski profesor nie znosi Żydów, ale nie przepada też za nazistami. Najlepiej ukryj swoją tożsamość i graj wyłącznie na antysemickich strunach. Tym go kupisz.

– *Holocaust Denial* – powtórzył jak echo historyk. – U nas to się nazywa kłamstwo oświęcimskie i jest ograniczone prawnie.

Edyta Rhode smutno pokiwała głową, przyjmując minę mówiącą: „i jak w takich warunkach świat może poznać prawdę?”.

– Co nie znaczy – pocieszył ją profesor – że nie działamy w tym kierunku. Jakiś czas temu znakomity historyk z Opola, doktor Dariusz Ratajczak, wydał książkę, w której omówił poglądy naukowców kwestionujących Holocaust w takiej postaci, w jakiej się go współcześnie przedstawia. Został za to wydalony z tamtejszego uniwersytetu i pozbawiony prawa wykonywania zawodu przez trzy lata. Pracował jako nocny stróż, wyobraża pani sobie? W ubiegłym roku znaleziono go martwego w samochodzie zaparkowanym przed centrum handlowym. Bardzo zagadkowa śmierć...

Profesor nabierał powietrza, aby kontynuować wywód, ale się zreflektował, że być może mówi za dużo.

– Przepraszam – popatrzył podejrzliwie na Edytę Rhode – ale nie dosłyszałem, skąd pani przyjechała.

– Z Argentyny.

– Z Argentyny – powtórzył. – Proszę wybaczyć tę niegrzeczną uwagę, ale nie wygląda pani na mieszkankę Ameryki Południowej, pani...

– Nazywam się Cruzita Mercado. – Edyta Rhode pożyczyła personalia od służącej. – Przedstawiałam się przez telefon. Poza tym – uśmiechnęła się – nie wszyscy rdzenni obywatele mojej ojczyzny mają indiańskich przodków, ciemną karnację, czarne oczy i wystające kości policzkowe.

– Tak, naturalnie – potwierdził profesor. – Pani jednak wygląda bardziej na Europejkę, jakby się uprzeć, to Skandynawkę, a może Niemkę... – stwierdził podchwytliwie, bacznie przyglądając się swojej rozmówczyni.

– Potraktuję to jako komplement – odparła Edyta Rhode – chociaż moja rodzina nie ma nic wspólnego z Niemcami.

– Proszę darować. – Historyk zrzucił zbroję nieufności. – Przez chwilę pomyślałem... W Argentynie swego czasu zamieszkało wielu Niemców.

– Słyszałam o tym – westchnęła Edyta Rhode. – Ale nie miałam okazji poznać. Szkoda – postanowiła niebezpiecznie zbliżyć się do granicy wiarygodności – bo pewnie ci ludzie podzielali nasze poglądy w kwestii żydowskiej.

To zupełnie uspokoiło polskiego profesora.

– A zatem czym mogę pani służyć, seniora Mercado?

– Szukam konsultanta – oświadczyła Edyta Rhode. – Kogoś, kto pomoże mi zebrać materiały o tak zwanych Żydach sefardyjskich z Amsterdamu i ich wojennych losach.

– Czuję wpływ profesora Álvareza. – Historyk żartobliwie pokiwał jej palcem. – Pamiętam jego prace o tym, ile Hiszpania zyskała, pozbywając się przed wiekami Żydów, którzy opuścili Półwysep Iberyjski i znaleźli schronienie w tej rozmemłanej Holandii, zawsze chorej na tolerancję...

– Ma pan absolutną rację – żarliwie potwierdziła jego rozmówczyni. – Jak pan wie, profesorze, Żydom z Amsterdamu w czasie tak zwanej okupacji doskonale się wiodło. Pracowali w branży diamentowej dla potrzeb niemieckiej gospodarki, ale również dla własnych korzyści. Przez lata nikt ich nie niepokoił, a z tego, co wiem, mieli nawet własne ugrupowania polityczne. Nie wierzymy w tezę lansowaną przez propagandę, że ich wszystkich zgładzono w Polsce. Nasza fundacja szuka kogoś, kto to zbada. Przede wszystkim w Auschwitz, ale też w filiach tego obozu pracy. Obiło mi się o uszy pewne miejsce... – Edyta Rhode udawała, że

szuka nazwy w pamięci – Annaberg. Gdzieś przeczytałam, że w tamtejszym ośrodku dla Żydów rzekomo ich mordowano, choć nikt nigdy nie znalazł na to dowodów.

– Ciekawe. – Profesor głośno wciągnął powietrze. – Modny ten Annaberg. Sam się nim ostatnio interesowałem, ale... Doskonale się składa. – Klasnął w dłonie. – Mam dla pani kogoś wręcz wymarzonego. Mojego bliskiego kolegę. Z pewnością pani pomoże. Zadeklarował napisanie artykułu o Annabergu do naszego czasopisma historycznego. Proszę mi wierzyć, to prawdziwy ekspert od badania prawd przeszłości, no i – historyk mrugnął porozumiewawczo – też ma alergię na tych z pejsami.

– Zechce mnie pan polecić? – spytała Edyta Rhode, której udzielił się radosny nastrój profesora.

– W tej chwili – orzekł profesor, sięgając po telefon, ale zatrzymał rękę w pół drogi do wewnętrznej kieszeni niemodnej marynarki. – Mój kolega – dodał – był dyrektorem polskiego instytutu śledztw historycznych, ale jakiś czas temu stracił pracę. Rozumie pani, represje polityczne...

– Fundacja chętnie zapłaci mu godziwe honorarium. – Frau Rhode w mig pojęła aluzję.

Profesor rozpromienił się, wyjął z kieszeni marynarki przestarzałą nokię z epoki jego garnituru i wybrał numer Wiesława Palucha.

Mężczyzna w białym fartuchu laboranta wyprostował się, przenosząc wzrok z okularu mikroskopu na stojącą obok kapitan

Barską.

– Ciekawy pasztet przyniosłaś, Tereska – oświadczył z uśmiechem, podając jej pożółkły dokument z akt IPN-u. – Ktoś się tu nieźle zabawił.

Barska popatrzyła na niego wyczekująco.

– Papier jest autentyczny, z lat siedemdziesiątych albo lekko starszy.

– Jesteś pewien?

– Nauka jest pewna. Dziewczyno, dziś korzystamy nie tylko z najnowocześniejszych urządzeń, ale i wiedzy. Wiesz, że w Krakowie na UJ-ocie jest Pracownia Badań nad Trwałością i Degradacją Papieru? Nie ma wątpliwości: podłoże tego dokumentu jest zgodne z jego datą, tak samo czcionka maszyny do pisania.

– A reszta?

Laborant wyraźnie czekał na to pytanie.

– A reszta to lipa. Pieczętka Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce niby wygląda przekonująco, ale dziś możesz taką zamówić za dwadzieścia złotych w każdym centrum handlowym. Nikt cię nie wylegitymuje i nie spyta, w jakim celu to robisz. Nas interesuje odcisk. A ten – wskazał dłonią dokument – jest świeżutki jak mleko z porannego udoju. Aż dziw, że nie plami palców. Ktoś go musiał potraktować suszarką do włosów.

– Serio?

– Możemy zrobić spektroskopię, czyli zbadać widmo świecenia substancji wchodzących w skład tuszu pieczętki, ale to zupełnie zbędne. Mam stuprocentową pewność, że użyto jej niedawno. Zwłaszcza że jest coś jeszcze...

– Lubisz budować napięcie, co? – zniecierpliwiła się Barska.

– Zbadałem też pastę długopisową. Zawiera pewien trudno lotny rozpuszczalnik, dwufenoksyetanol. Jest taka metoda Agińskiego...

– Proszę cię – westchnęła Barska. – Nie znęcaj się i powiedz, co to dało.

– Tusz długopisu też jest świeży.

– Czyli?

– Czyli ktoś znalazł stary papier i starą maszynę do pisania, wystukał na niej treść dokumentu, jaka mu pasowała, i uwiarygodnił ją podrobioną pieczętką oraz sfalszowanym podpisem prokuratora Głównej Komisji, który wydał decyzję o umorzeniu tamtego śledztwa. Sprytne. Wiadomo, że wszyscy, którzy kiedykolwiek zajrzą do tych akt, zwrócą uwagę tylko na pożółkły papier i maszynową czcionkę.

– Kiedy to się mogło stać? – spytała Barska.

Laborant wzruszył ramionami.

– Według mnie kilka dni temu.

Profesor wmaszerował do redakcji czasopisma historycznego w doskonałym nastroju. Już na schodach słyhać było, jak gwizdże *Pierwszą brygadę*, a potem dziarsko otworzył drzwi i uśmiechnął się szeroko jak Marszałek po pogromie bolszewików.

– Czołem – powitał sekretarkę, ale ta zamiast odwdzięczyć się jakimś żołnierskim pozdrowieniem, zrobiła zbolalą minę.

– Jakaś pani dzwoniła. Chciała się spotkać. Pytała, czy pan dziś będzie.

– I co powiedziałaś?

– Że tak. Jak zwykle od dziesiątej.

Twarz profesora straciła zawiadycki wyraz.

– Niedobrze – fuknął. – Mam mnóstwo pracy. Przedstawiła się

choć?

– Nie. Powiedziała tylko, że pan się na pewno ucieszy.

– A czego chciała konkretnie?

– No, spotkać się.

Profesor spiorunował ją wzrokiem, ale resztki dobrego humoru złagodziły sytuację.

– Posłuchaj. Jak ona jeszcze raz zadzwoni, to ją spławisz.

Rozumiesz? Powiesz, że...

Nie dokończył, bo w tym samym momencie rozległ się dzwonek domofonu. Sekretarka machinalnie nacisnęła guzik zwalniający blokadę zamka, drzwi się otworzyły i stanęła w nich Teresa Barska.

– Ja do pana – oświadczyła bez powitań i wyjaśnień.

– Łaskawa pani – profesor uderzył w mentorski ton – mamy tu pewne obyczaje. Pominę, że mówimy „dzień dobry”. Ale przedstawiamy się, jak każe kindersztuba, i umawiamy na spotkania. Przez sekretarkę. – Wskazał kobietę siedzącą za biurkiem z jeszcze bardziej zbolałą miną niż poprzednio. – Czy któraś z tych form relacji międzyludzkich jest pani obca?

– Prywatnie nie. Ale nie jestem tu prywatnie. – Kapitan Barska wyjęła legitymację Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i podsunęła ją pod nos profesora, który wyraźnie się strapił i lekko pobladł. Nie mówiąc ani słowa, wskazał jej drzwi gabinetu przewodniczącego, w którym przyjmował gości.

Barska usiadła w podniszczonym skórzanym fotelu, ale zanim to się stało, podała mu złożoną na czworo kartkę papieru, którą wyjęła z torebki.

Profesor sięgnął po okulary, nałożył je i przeczytał dokument. W miarę lektury robił się coraz bledszy.

– Co to jest? – zapytał przez ściśnięte gardło.

– Tam jest napisane – wyjaśniła Barska. – W nagłówku.

Ekspertyza badania dokumentu z akt IPN-u, sygnatura, wczorajsza data i tak dalej. A niżej orzeczenie laboratorium kryminalistycznego, z którego niezbitcie wynika, że w czasie nie dłuższym niż dziesięć dni dokument ten został sfalszowany. W tym okresie akta IPN-u, nie całkiem legalnie, znajdowały się w pańskich rękach. Teraz rozumiem, dlaczego upierał się pan, żeby je wypożyczyć, a nie przeglądać w archiwum instytutu.

Historyk był już blady jak kreda. Na czoło wystąpiły mu krople potu.

– Co ma mi pan do powiedzenia w tej sprawie? – zapytała kapitan Barska.

– To nie ja – stęknął profesor.

– A kto?

Nie odpowiedział.

– Jeśli udostępnił pan komuś te akta i teraz pan tego kogoś kryje – powiedziała złowróźnie – to jestem pod wrażeniem pańskiej lojalności, ale i braku rozsądku. Nie oszukujmy się. Usłyszy pan zarzuty i będzie potrzebował dobrego adwokata. Skończy się na wyroku w zawieszeniu. I na dożywociu – dodała dobitnie – jeśli chodzi o utratę reputacji. Wyobraża pan sobie ton relacji medialnych z procesu eksperta znanego z prostowania narodowej historii, a skazanego za preparowanie dokumentów IPN-u?

– To nie ja – powtórzył profesor, bliski załamania.

– Jak pan sobie życzy – odparła Barska i oparła dłonie na poręczach fotela, zamierzając wstać.

– Proszę chwilę poczekać... – jęknął historyk.

Pani kapitan pochyliła się do przodu w zawieszeniu pomiędzy

decyzją: wstać i wyjść czy zaczekać. Jej dylemat był niewinną igraszką wobec walki wewnętrznej, jaką toczył profesor.

– Mam duży problem – usłyszała ściszony głos swojego rozmówcy. – Bo... Chodzi o osobę godną zaufania, nie wiem, jak to pani powiedzieć...

– Najlepszym sposobem na to, aby powiedzieć prawdę, jest powiedzieć prawdę – oświadczyła Barska.

– No tak – zgodził się historyk, zdejmując okulary zaparowane od emocji. – Pożyczyłem akta z wygodnictwa, przyznaję... Ale nikomu ich nie dawałem... One nie opuściły tego biura. Tylko że... Tu na miejscu korzystał z nich przez dwa dni mój kolega, były dyrektor IPN-u. Podjął się napisania artykułu o obozie na Górze Świętej Anny do naszego czasopisma. – Ostatnie zdanie profesor wypowiedział tonem skargi. – Przypuszcza pani, że on...

– Jeśli pan tego nie zrobił, to nie pozostaje nikt inny. Chyba że ta pani z sekretariatu...

– Gienia? – oburzył się profesor. – Ależ skąd? To wyjątkowo religijna osoba. Mój kolega zresztą też. – Zreflektował się w tej samej chwili i posmutniał jeszcze bardziej. – A ja mu zufałem... I jeszcze pomogłem, bo jest bez pracy – oświadczył z goryczą.

– Pomógł pan? Jak? – chciała wiedzieć Barska.

– Wczoraj przyjechała do Warszawy pewna zacna dama z Argentyny... – historyk zerknął na notatki leżące na biurku – ...pani Cruzita Mercado. Polecił ją znajomy profesor z Hiszpanii, szukając dla niej polskiego konsultanta. Seniora Mercado reprezentuje fundację wspierającą badania historyczne. Była żywo zainteresowana obozami działającymi w Polsce podczas wojny. Jest bardzo kompetentna – podkreślił. – Wymieniła nawet Annaberg. A że ten mój znajomy dokładnie zapoznał się z aktami tego obozu,

no i kiedyś pracował w IPN-ie, więc pomyślałem, że go zarekomenduję tej damie, i tak uczyniłem. Boże drogi, czy on jej też nie oszuka?

– Czy ta pani jest jeszcze w Warszawie?

– Do jutra, o ile sobie przypominam. Zatrzymała się w hotelu Hilton przy Grzybowskiej. Tam ich zresztą umówiłem.

– Kiedy?

– Uważa pani, że trzeba ją ostrzec? – zaniepokoił się profesor.

– Proszę to zostawić mnie – postanowiła Barska. – Pan już dostatecznie dużo namieszał. Kiedy się spotkali z tym pana znajomym?

– Dopiero się spotkają. – Historyk spojrział na zegarek. – Dziś o osiemnastej.

– Jak on się nazywa? – zapytała kapitan Barska.

6

– Wiesław Paluch? – zdziwił się Kuba godzinę później w tej samej sieciowej kawiarni, ale tym razem w galerii Arkadia, do której miał znacznie bliżej. – Oczywiście, że kojarzę. To mój były szef w IPN-ie. Przez niego odszedłem z instytutu, więc jak się pani domyśla, nie jestem jego fanem. Facet specjalizował się w drobnych świństwach i psuciu krwi współpracownikom, ale fałszowanie dokumentów? Trudno w to uwierzyć. Nie wiem, co miałby przez to zyskać.

– Rozumiem, że on też za panem nie przepada? – Barska szukała czegoś w torebce.

– O, z całą pewnością – potwierdził Kuba.

– Dlaczego?

– Dobrze pytanie. W sumie nigdy się nad tym nie zastanawiałem. To była taka organiczna niechęć. Sama z siebie.

– Każda niechęć ma jakieś podłoże. W pracy to najczęściej zazdrość. Pan był w centrum zainteresowania mediów. Detektyw celebryta, pupil czytelników, słuchaczy i telewidzów. Może to irytowało dyrektora Palucha, który stał wyżej w hierarchii instytutu, a o wywiad nie poprosiło go nawet czasopismo dla pszczelarzy? Może chciał po prostu panu zaszkodzić? Przecież ciągle ma kontakty w IPN-ie. O tym, że zajmuje się pan Górą Świętej Anny, dowiedział się bez trudu. Wiedział również, że jego znajomy profesor jest w posiadaniu akt tej sprawy, i szybko dodał dwa do dwóch.

– Nie uwierzę, że można sfalszować dokument z tak błahego powodu.

– Niech pan nie będzie naiwny. Jeden z bardzo wysoko postawionych dyrektorów CIA przeszedł na stronę Rosjan i został ich superszpiegiem, sprzedając najważniejsze tajemnice swojego państwa, bo chciał sobie kupić jaguara. Motywy popychające ludzi do zła są czasami bardziej banalne, niż możemy przypuszczać.

Kuba nadal przecząco kręcił głową.

– No dobrze – zgodziła się Barska. – To może inaczej. Zostawmy pana w spokoju i przejdźmy na moje podwórko. Może ktoś wynajął Palucha, żeby sfalszował dokument tak, aby zatrzeć trop prowadzący do skarbu Schmelta, w który wierzą neonaziści ze Stille Hilfe?

– Wynajął? – pomyślał głośno Kuba. – A wie pani, że... – sięgnął po telefon komórkowy, odszukując na ekranie okienko albumu zdjęć – ...spotkałem Palucha... parę dni temu. Zupełnym... przypadkiem. Paręset metrów... od IPN-u. – Kuba rwał zdania,

intensywnie szukając czegoś w telefonie. – O, proszę spojrzeć – skierował ekran w stronę Barskiej i przesuwając zdjęcia, dodał: – Mój ulubiony szef spotkał się z tym typem przed hotelem Hilton. Sfotografowałem ich z ukrycia – wyjaśnił. – Paluch wsiadł do jego samochodu i odjechali. Może to ktoś z pani nazistów? Rejestracja z Królewca, a to przez wieki było niemieckie miasto.

Kapitan Teresa Barska była zmuszona włożyć sporo wysiłku, aby nie dać po sobie poznać wrażenia, jakie wywołał u niej widok Rosjanina. Znała go doskonale i bardzo chciała spotkać. Znów uciekła wzrokiem do wnętrza torebki.

– Może mi pan to przesłać? – spytała najbardziej obojętnie, jak potrafiła.

– Jasne – potwierdził Kuba. – Ale ciągle nie chwytam, co by miało dać to sfałszowanie dokumentu.

Barska usiadła wygodniej.

– Proszę zwrócić uwagę – powiedziała – że według biegłych Paluch napisał decyzję o umorzeniu śledztwa sprzed trzydziestu czterech lat od nowa, choć na maszynie i na starym papierze. Niszcząc poprzedni dokument, zastąpił go swoim, w którym mógł umieścić, co chciał.

Kuba patrzył na nią oszołomiony myślą, która właśnie dobrała się do jego świadomości.

– To ma sens – powiedział powoli. – To ma cholernie wielki sens.

Teresa Barska zrobiła minę zachęcającą go do kontynuacji.

– Napisał nowe umorzenie śledztwa, żeby zastąpić nim stare... – zastanawiał się głośno i nagle doznał olśnienia: – Nie, proszę pani. – Kuba poczuł znajomy dreszczyk emocji, który pojawiał się, gdy wpadał na właściwy trop. – On nie napisał niczego nowego.

– Jak to? – spytała Barska.

- On przepisał stary dokument, ale bez jednego zdania na dole.
- Jakiego zdania? – zaintrygowała się Barska.
- Takiego, które może być tropem do mojej zagadki miejsca pochówku ofiar i pani tajemnicy skarbu Schmelta.
- Nic nie rozumiem – wyznała. – Co to za zdanie?
- Krótki dopisek, że jeden ze strażników obozowych, wobec których toczyło się postępowanie, przyznał się do winy i został aresztowany. Teraz pani rozumie? Wobec pozostałych śledztwo umorzono. Wobec niego nie było żadnego śledztwa, bo on dobrowolnie oddał się w ręce wymiaru sprawiedliwości.
- Manfred Krawietz – przypomniała sobie kapitan Barska.
- Właśnie tak. To on jest kluczem do tej sprawy.

7

Punktualnie o 17.30 Teresa Barska dyskretnie przesunęła swoją legitymację po marmurowej ladzie hotelu Hilton w stronę młodego concierge'a. Mężczyzna, ubrany w długi elegancki surdut ze złotymi emblematami skrzyżowanych kluczy na klapach, zerknął i uśmiechnął się zachęcająco.

- W czym mogę pani pomóc?
- Pani Cruzita Mercado. Zatrzymała się u państwa na kilka dni. Byłabym wdzięczna za informację, do kiedy planuje pobyt.

Concierge oddalił się w kierunku komputera, wklepując personalia w klawiaturę i sprawdzając listę gości na monitorze, po czym zerknął na panią oficer ABW z miną wyrażającą wątpliwość.

- Nikt taki u nas nie mieszka – oświadczył, wracając na swoje poprzednie miejsce.

– To świetnie – ucieszyła się Teresa Barska, dziękując hotelowemu ekspertowi od spraw różnych, który mimo wysokiego poziomu profesjonalizmu patrzył na nią szczerze zdumiony.

Pierwszy przyszedł Wiesław Paluch. Rozglądał się niepewnie, wreszcie usiadł na olbrzymiej głębokiej kanapie, z której trzeba umieć się podnieść. On nie umiał, dlatego stracił równowagę, podając rękę starszej damie, która kilka minut później pojawiła się w lobby, podeszła do niego i wyciągnęła dłoń na powitanie. Paluch szarmancko zerwał się z kanapy, ale zdążył chwycić podaną rękę zaledwie końcami palców, które natychmiast się wyslizgnęły, a on sam komicznie klapnął z powrotem. Edyta Rhode na wszelki wypadek przycupnęła na brzegu przeciwległej kanapy.

– Profesor... – wymieniła nazwisko z dziwnym, szorstkim akcentem, choć posługiwała się językiem angielskim – uznał, że jest pan człowiekiem, jakiego szukam.

– A szuka pani...? – Paluch postanowił być szarmancki, ale twardy. Do tej pory był dumny z tego, jak doskonale poradził sobie z Rosjaninem, gładko zarabiając za nic parę tysięcy euro.

– Kogoś, kto pomoże w poszukiwaniach pewnych rzeczy, prawdopodobnie ukrytych podczas wojny przez generała SS Albrechta Schmelta w okolicach obozu dla Żydów w miejscowości Annaberg na Śląsku. Obecnie terytorium Polski.

Co jest? – pomyślał Paluch. Co się wydarzyło na tej Świętej Annie? Kania szuka grobu jakichś specjalnych Żydów, bo grobów zwykłych Żydów mamy przecież pod dostatkiem i nikt nie wynajmuje z tego powodu detektywów. Jacyś dziwni ludzie chcą mu sprzątnąć to odkrycie sprzed nosa, nie wiadomo z jakich powodów. A podejrzany Rosjanin gotów jest płacić za to grubą kasę.

Kuzyn żony ryzykuje karierę w policji i chce urządzać nielegalną ekshumację. I teraz jeszcze ta – popatrzył uważnie na siedzącą przed nim starszą panią. Co tam jest, do cholery? Bursztynowa Komnata?

– Czy ja wyglądam na Indianę Jonesa z *Poszukiwaczy zaginionej Arki*? – Były dyrektor IPN-u postanowił zmartwić swoją rozmówczynię po to, aby ją zaraz pocieszyć. Wtedy odczuje radość z tego pocieszenia i będzie łatwiejsza do manipulowania, uznał. Od jakiegoś czasu uważał się za doskonałego negocjatora.

Edyta Rhode popatrzyła na niego z zainteresowaniem. Profesor nie wspomniał, że człowiek, którego jej poleca, jest niespełna rozumu.

– No właśnie. – Paluch zupełnie inaczej odczytał jej spojrzenie. – Nie wyglądam. Ale tylko ja mogę pani pomóc.

– Tylko pan? – zdziwiła się.

– Tak, szanowna pani. Przepraszam, nie dosłyszałem nazwiska...

– Mercado. Cruzita Mercado.

– A więc prawda jest taka, pani Mercado – oświadczył Paluch z wyższością, nie uznając za stosowne zrewanżować się swoim nazwiskiem – że wiem wszystko o Annabergu i jego wojennych tajemnicach. Wszystko – podkreślił – czyli coś, czego nie wie nikt inny. A zainteresowanie tematem jest ostatnio bardzo duże. Holendrzy, Żydzi, Rosjanie – wyliczał. – Ale tylko ja trafiłem na klucz do zagadki i zatarłem za sobą wszystkie ślady, tak że nikt inny tego nie odkryje.

– Czy mówiąc o zagadce, ma pan na myśli tak zwany skarb Schmelta?

– Oczywiście – skłamał Paluch bez mrugnięcia okiem.

– Domyśla się pan, co to może być?

– Droga pani, ma pani do czynienia z profesjonalistą. Nie istnieje inwentaryzacja skarbu Schmelta. Na razie istnieje tylko miejsce jego ukrycia. I wiem, jak do niego trafić. – Raptem zamilkł, spoglądając podejrzliwie na młodego mężczyznę ubranego w fantazyjną koszulę, spodnie do kolan i tenisówki, który usiadł niedaleko starszej pani na tej samej sofie, a jego towarzysz, wyposażony w drogi profesjonalny aparat fotograficzny, pstryknął mu kilka zdjęć. Pewnie geje, pomyślał Paluch. Chcą mieć pamiątkę z romantycznego wypadu do Warszawy. I odprowadził niechętnym wzrokiem chłopaka w tenisówkach.

Edyta Rhode nie zwróciła uwagi na ten epizod. Rozważała coś w myślach.

– Jest pan bardzo pewny siebie – oświadczyła po chwili. – Lubię to. Ale moi mocodawcy będą chcieli konkretów. Co może im pan dać?

– Proszę posłuchać – powiedział Paluch. – Obozu w Annabergu pilnowali żołnierze Wehrmachtu. Ślązacy. Ich rodziny mieszkały w okolicy. Ci strażnicy wiedzieli wszystko. Byli przy tym, jak Schmeltowi zaczął się palić grunt pod nogami i został aresztowany z rozkazu Himmlera za malwersacje. Widzieli, jak jego zaufani ludzie pospiesznie likwidowali obóz i niszczyli ślady tych malwersacji. A co to mogło być? Tylko majątek zabrany Żydom. Trzeba go było gdzieś szybko ukryć. Góra Świętej Anny doskonale się do tego nadaje. Strażnicy znali tu każdy kamień. Po wojnie – kontynuował, z satysfakcją przyjmując wzrok starszej pani, która wpatrywała się w niego z rosnącym zainteresowaniem – oskarżono ich za przestępstwa, jakich rzekomo dopuścili się na więźniach. Ale nikogo nie skazano. Pewnie dlatego, że jeden z byłych wachmanów wstąpił do partii komunistycznej i został jej aktywnym działaczem.

Sprawę zatuszowano i pewnie by taką pozostała, gdyby nie nagłe wyrzuty sumienia strażnika nazwiskiem Manfred Krawietz, który nieoczekiwanie przyznał się do winy. Był sądzony, został skazany i zmarł w więzieniu. Nikt poza mną o nim nie wie.

Edyta Rhode poczuła przyspieszone bicie serca.

– Krawietz w celi opisał wspomnienia z obozu – dodał Paluch. – Wiem, bo mam przyjaciela w Centralnym Zarządzie Zakładów Karnych, który ułatwił mi kontakt z byłym naczelnikiem więzienia, gdzie Krawietz odbywał karę. Naczelnik czytał te pamiętniki, bo miał taki obowiązek. Stwierdził, że było tam dużo o zamordowaniu Żydów i... Proszę się domyślić. Krawietz opisał to, jakby przygotowywał materiał dowodowy, z najdrobniejszymi detalami. Do końca życia wierzył, że jego obozowi koledzy z Wehrmachtu wreszcie staną przed sądem.

– Kto ma te pamiętniki?

– Jego syn. Mieszka w Niemczech. Po śmierci tatusia zakład karny odesłał mu zeszyty. To własność prywatna.

– Skąd pewność, że nadal istnieją?

– Dzwoniłem do niego. – Paluch uśmiechnął się chytrze. – Nosi nazwisko ojca, ale w innym brzmieniu. Tam, gdzie mieszka, brzmi ono Schneider – wyjaśnił, nie mając pojęcia, że ma przed sobą rodowitą Niemkę. – Mam do niego jechać za kilka dni, ale mogę pani odstąpić tę przyjemność.

– Dobrze. Czyli co pan proponuje?

– Przyjmuję pani zlecenie – oświadczył Paluch. – Dziś poproszę o honorarium za pracę, którą już wykonałem, oraz za... wyłączność, bo poza panią nikt się o tym nie dowie. A tylko patrzeć, jak zgłoszą się do mnie pozostali poszukiwacze. Razem – udał, że się zastanawia – symboliczne pięć tysięcy euro. Kolejne trzy tysiące

euro za adres Schneidera, który ma pamiętniki swojego ojca, wskazujące poszukiwane przez panią miejsce.

– Zgoda. – Edyta Rhode nie zastanawiała się zbyt długo. – Mam jeszcze pytanie.

– Słucham – rzekł rzeczowo Paluch, z trudem panując nad zalewającą go falą radości. Kolejne pięć, a potem jeszcze trzy tysiące euro, myślał gorączkowo. Miejsce jej wskażę, a jakże. Niech się tam nawet pozabijają z Żydami, Ruskimi i tym durniem Kanią. Najwyżej znajdzie tam parę szkieletów, a nie hitlerowskie skrzynie ze złotem, ale to już nie mój problem.

– Czy w wypadku powodzenia i odkrycia tego miejsca jest pan w stanie zorganizować ludzi, którzy... – Edyta Rhode przez sekundę zastanawiała się nad sformułowaniem – ...dyskretnie wbijają w nie łopate?

– Naturalnie. – Paluch lekceważąco machnął dłonią. – Mam kuzyna w polskiej policji. Nie raz urządzaliśmy takie rzeczy.

Teresa Barska sączyła colę w hotelowym barze i z zaciekawieniem czytała artykuł w popularnym tygodniku, zerkając od czasu do czasu w stronę kanap. Gdy starsza pani pożegnała się z Wiesławem Paluchem i oddaliła w stronę wind, a były dyrektor IPN-u opuścił lobby, złożyła czasopismo, zostawiła na blacie należność za colę, odczekała chwilę, wstała i również udała się do wyjścia.

Przechodząc obok młodego mężczyzny, który fotografował swojego towarzysza w fantazyjnej koszuli, krótkich spodniach i tenisówkach, rzuciła przelotnie:

– Masz ją?

Chłopak opuścił powieki, tak jak robią to ludzie, którzy chcą coś dyskretnie potwierdzić bez słów i kiwania głową.

Cosel/Annaberg

wrzesień 1942–kwiecień 1943 roku

1

Parowóz parsknął, na chwilę zniknął w białym obłoku i zatrzymał się, wywołując metaliczny protest szyn. Johan Pinto odczekał, aż para całkiem opadnie, po czym obrzucił czujnym spojrzeniem wagony towarowe, w których dało się słyszeć kaszel i jęki przewożonych w nich ludzi. Tylko jedna część składu, tuż za lokomotywą, pochodziła z pociągu osobowego i właśnie tam, z opuszczonego do połowy okna wyjrzał człowiek w czapce i mundurze, który również się rozglądał. Pinto podszedł do niego, z trudem pokonując kamienie torowiska.

Mężczyzna był Holendrem. Oficerem ubranym w dobrze Pintowi znany czarny uniform z opaską „Frw. Legion Niederlande” i wyraźnie zdziwionym pozdrowieniem w swoim ojczystym języku. Pewnie dlatego odpowiedział na nie uprzejmie, wychylając się i podając człowiekowi na torowisku kartkę z nazwiskiem.

– Drugi wagon – poinformował. – Zaraz każę odryglować.

Pinto kiwnął ręką na wachmana, który został przy półciężarówce, nie chcąc się wtrącać w sprawy Strefy Wydzielonej, esesmana z komendantury, a tym bardziej Schmelta. W odpowiedzi na gest Pinta otworzył kajdanki więźnia siedzącego na pace, kazał

mu zeskoczyć na ziemię, przyprowadził go do kapo i natychmiast odszedł.

W tym czasie kolejarz z obsługi transportu otworzył wagon, a oficer wytłumaczył sytuację żołnierzom z eskorty, którzy wyglądali z okien salonki, zaniepokojeni tym, co się dzieje. Uspokoili ich dopiero słowa dowódcy oraz widok szeregowca Wehrmachtu, który przyprowadził jakiegoś wynędzniałego Żyda z gwiazdą Dawida przyszytą do ubrania. Wszystko jasne. Pasażer na gapę w drodze do komory gazowej.

Pinto spojrział na szare twarze ludzi stojących w wagonie i próbujących złapać jak najwięcej świeżego powietrza. Doskonale pamiętał, że nie tak dawno był jednym z nich, ale pobyt w Roermond oduczył go sentymentów. Odwinął kartkę i przeczytał głośno:

– Izrael Ousers.

Mężczyzna stojący w pierwszym szeregu więźniów, tuż przy krawędzi wagonu, podniósł rękę i spodziewając się tego, co zaraz nastąpi, w milczeniu zaczął się żegnać ze stojącymi najbliżej. Ścisnął ich dłonie, które odwzajemniały pożegnanie, a jednocześnie podtrzymywały go, pomagając mu wstać.

Stojący obok więzień z Annabergu dopiero teraz zrozumiał, w jakim położeniu się znalazł. Zrobił gwałtowny ruch do tyłu, ale Pinto chwycił go za kołnierz i podciągnął do wagonu. Jak na człowieka kompletnie wycieńczonego był nadzwyczaj silny i rozpaczliwie zapierał się nogami w kamieniach torowiska.

– Pomóż mi – krzyknął Pinto do Ousersa, który usłużnie chwycił nieszczęśnika za ubranie i razem, mocnym szarpnięciem, oderwali go od podłoża. Reszty dokonali ci z wagonu, wciągając więźnia do środka. Kolejarz zasunął drzwi, zaryglował je i bez słowa odszedł

w stronę parowozu. Jakby sytuacja sprzed paru chwil w ogóle nie miała miejsca. Towarzyszył mu dźwięk okien domykanych w salonce oraz gwizdek sygnalizujący odjazd składu.

Pinto i Osers zostali sami.

– Idziemy do samochodu – zakomenderował kapo, ale przybysz z Westerbork powstrzymał go ruchem dłoni. Pinto zastanawiał się, czy od razu użyć pięści, aby do tego idioty dotarło, że w ten sposób nie traktuje się zwierzchnika w obozie pracy, ale pomyślał, że wytłumaczy mu to na miejscu. Nie chciał, aby Manfred uznał go za tępego sadystę takiego jak ci z SA. W końcu był bratem Grety.

– Czy pan jest tu szefem? – spytał Osers po niderlandzku.

– Szefem jest lagerführer – warknął. – Ja jestem kapo.

– A kto to jest kapo? – chciał wiedzieć Osers.

– W Westerbork ich nie zauważyłeś? – zdziwił się Pinto.

– Byłem tam tylko jeden dzień. – Przybysz uśmiechnął się przepraszająco.

– Kapo utrzymuje dyscyplinę i odpowiada za komando, w którym będziesz pracował.

– Czyli pan jest szefem – ucieszył się Osers. – Dobrze trafiłem. – Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej okazały woreczek. – Miałem to oddać. – Przekazał go Pintowi.

Kapo przejął przesyłkę, a wtedy Osers uśmiechnął się przymilnie i dyskretnie wsunął mu w dłoń sporą diamentową bryłkę.

– A to dla pana, panie szefie. Prywatnie. Na dobrą współpracę.

Pinto machinalnie wziął kamień i przez chwilę nie wiedział, co z nim zrobić. Rozejrzał się wokół, zauważając jedynie w oddali niecierpliwe gesty SA-manów. Jeden z nich przyłożył obydwie dłonie do ust i krzyknął w jego stronę:

– Pinto, dawaj tu tego Mośka! Co tam się dzieje? Wyznajecie

sobie miłość?

Kapo lekko pchnął Izraela Osersa w stronę półciężarówki i chowając się za jego plecami, spojrział na diament. Nawet bez lupy widział, że kamień nie ma inkluzji i skaz, a jego sieć krystaliczna aż się prosi o czarny szlif. Był wręcz do niego stworzony.

2

Nadeszła jesień, a wraz z nią przekonanie Johana Pinto, że obóz nie jest najgorszą rzeczą, jaka mogła go spotkać w życiu. Był więźniem, a jednak jadł i spał lepiej niż w Roermond. Miał zajęcie będące czymś w rodzaju polisy ubezpieczeniowej i miał Gretę, której nieustanna, entuzjastyczna przychylność wniosła w jego życie sporo odprężenia. Jej brat Manfred, po incydencie na boczniczy w Cosel, przestał się boczyć i traktował Pinta na tyle przyjaźnie, na ile pozwalały na to obozowe reguły gry. Wokół aż się roiło od czujnych oczu, nadstawionych uszu i zawsze skłonnych do donosów ust.

Manfred Krawietz był porządnym człowiekiem. Przed wojną chodził do szkółki szybowcowej niedaleko Annabergu i marzył o zostaniu pilotem. W 1940 roku dostał powołanie do Luftwaffe, ale badania medyczne przekreśliły plany, jakie miał wobec niego marszałek Hermann Göring. Płuca Manfreda były zdrowe i sprawne pod warunkiem, że ich właściciel nie wznosił się zbyt wysoko w powietrze. Uziemiony uległ namowom instruktorów ze szkoły Luftwaffe i wstąpił do SS.

Po zakończeniu kursu kadetów otrzymał pierwszy stopień w Mannschaften – korpusie szeregowych – i tygodniowy urlop.

Ojciec, fanatyczny zwolennik Hitlera pracujący jako brygadzysta w pobliskich wapiennikach, nie mógł się napatrzeć na syna. Nawet po wodę do studni Manfred musiał wychodzić w kurtce od munduru. Żeby sąsiedzi widzieli.

Sąsiedzi mieli bystre oczy, kawał pola i troje przydziałowych robotników rolnych z Generalnej Guberni, w tym dziewiętnastoletnią Polkę, która również nie mogła się napatrzeć na Manfreda, choć z zupełnie innych powodów. Parę dni później gospodarze nakryli ją w stodole, zakopaną w sianie z początkującym esesmanem, który na tę okoliczność przezornie zdjął mundur i powiesił go na kołku przy wejściu. Sąsiedzi, których syn wyleciał z pracy w kopalni wapienia, szczerze nienawidzili Krawtów i złożyli donos.

Gdyby Manfred był zwykłym żołnierzem, byłoby pół biedy. Ale SS należała do elity rasy. Sprawa zrobiła się poważna.

Tylko dzięki koneksjom ojca w NSDAP chłopak został wcielony do Wehrmachtu, zadekowany we Francji, a potem umieszczony w obozie w Annabergu. Jego szef, Albrecht Schmelt, wprawdzie sam nosił stopień brigadeführera, ale w głębi duszy pozostał policjantem. Miał gdzieś honor SS i podciąganie obmacywania młodych Polek pod paragraf przestępstw rasowych. W swoich obozach chciał mieć swoich ludzi, najchętniej z okolicy, a ojca Manfreda znał z zebrań partii nazistowskiej w Opolu i nie widział powodu, aby odmówić jego prośbie.

Młody Krawietz został wachmanem.

Innym niż pozostali. Jako jedyny okazywał współczucie więźniom, co pewnie szybko zostałoby wykorzystane przeciwko niemu, gdyby nie fakt, że za plecami Manfreda stał Schmelt, a Schmelt budził powszechną grozę.

Krótko przed Bożym Narodzeniem nadarzyła się kolejna sposobność odwiedzenia Greta, z którą Pinto nie spotykał się od prawie trzech tygodni. Kilka pustych worków rozłożonych wcześniej na podłodze spiżarni idealnie spełniło swoje zadanie.

Dziewczyna była w doskonałym nastroju. Trajkotała jak najęta, zaśmiewając się do łez ze swojej krewnej z Opoła, która uciekła do Krawtów na wieś, bo mąż służący w Wehrmachcie przysłał jej z frontu list z zapowiedzią, że jak przyjedzie do domu na urlop, to ją natychmiast ukatrupi.

– Rzeczywiście zabawne – skwitował Pinto, który zdążył się ubrać i wyciągnąć na wznak, zakładając ręce pod głowę. Greta usiadła obok po turecku.

– Bo ty nie wiesz, Johan, jak to było – powiedziała. – Ta moja kuzynka wzięła ślub ze swoim chłopakiem we wrześniu i jego od razu zabrali do wojska. Nawet sobie dobrze nie... no wiesz. No i mija miesiąc, a tu przychodzi pismo urzędowe, adresowane do niej osobiście, że ojczyzna jej potrzebuje. Chodzi o to, stoi w piśmie, że dzielni żołnierze na froncie oddają życie za Führera i trzeba im to życie uprzyjemnić, rozumiesz? Więc wzywa się młode niemieckie kobiety, żeby zgłaszały się na ochotnika do puffów, czyli takich wojskowych burdeli, gdzie żołnierze będą mogli sobie pociupciać przed wyjazdem na front. Jeszcze było napisane, że urząd w Opolu wydaje przydziały do jednostek oraz przepustki do koszar wtedy i wtedy, o tej i o tej godzinie. No i ta głupia poszła – zarechotała Greta.

Pinto wpatrywał się w jej biust kołyszący się w rytm opowieści.

– Takich jak ona było z pięćdziesiąt – kontynuowała. – Polazły do siedziby rejencji, a tam nikt o niczym nie wie. Pokazują pisma, okazuje się, że urząd ich nie wystawiał. No to co robić? Nic. Wracać

do domu. Kawał i tyle. Okazało się, że nie do końca. Parę tygodni później wydało się, że to była akcja jakichś polskich chacharów. Wykradli z urzędu stanu cywilnego adresy młodych żon żołnierzy i wysłali do nich te niby urzędowe pisma w sprawie zgłaszania się do puffów. Potem tym, co się zgłosiły do rejencji, zrobili z ukrycia fotografie i wraz z odbitkami pism wysłali je pocztą polową do mężów na froncie. – Greta otarła łzy, które pociekły jej ze śmiechu. – No i te wszystkie chłopcy się wściekły. Że oni tu walczą za Reich, a tam Reich robi kurwy z ich żon. Ten mąż mojej kuzynki tak samo. Manfred mówił, że to miało osłabić moralność żołnierzy.

– Morale – sprostował Pinto.

– Nie wiem, co to morale. – Greta wzruszyła ramionami. – Co to moralność, też nie wiem – rzekła z podstępłą miną i chwyciła Pinta tam, gdzie lubiła najbardziej. Ale zaraz cofnęła dłoń. – Nie wolno – upomniała samą siebie. – Zaraz tu przyjdzie mój brat.

– Twój brat? – zdziwił się kapo. – A on tu po co?

– Zobaczysz – oświadczyła Greta z tajemniczą miną.

Niemal w tym samym momencie rozległo się stukanie do drzwi spiżarni i stanął w nich Manfred Krawietz. Otrzepał buty ze śniegu, odstawił karabin, opierając go o ścianę baraku, i sięgnął pod płaszcz. Wyjął spore zawiniątko.

– Chciałem ci to dać – powiedział do Pinta podnoszącego się z worków. – Kawałek kiełbasy, słonina i trochę brunszwickiego salcesonu. Zabiliśmy świnie – wyjaśnił.

Pinto był zdezorientowany. Wziął pakunek owinięty w gazetę, wpatrując się w nią, jakby była tam napisana instrukcja, jak zachować się w tej sytuacji. Coś takiego nie spotkało go nigdy w życiu.

– Dziękuję, Manfred – wydusił wreszcie.

Przez moment zastanawiał się, czy powinien zwracać się do wachmana po imieniu, ale Niemiec był z tego wyraźnie zadowolony.

– Niech ci idzie na zdrowie, Johan – powiedział. – Dobrych świąt.

3

Ale święta nie były dobre.

Pierwszy zachorował Blom. Od jakiegoś czasu skarżył się na ból głowy, miał zaczerwienioną i spuchniętą twarz oraz przyspieszony oddech. Dwa dni spędził w baraku mieszkalnym z gorączką, ale dopiero w Wigilię jego brzuch, boki i zgięcia łokci pokryły czerwone plamy i krwawe wybroczyny. Przez całą noc majaczył.

– Tyfus – stwierdził rano Fiszler, polecając dwóm innym szlifierzom odprowadzić go do lazaretu. Przez najbliższe dni w ślad za Blomem poszło jeszcze sześciu ludzi z komanda Strefy Wydzielonej. Żaden nie wrócił.

Po Nowym Roku fabryka brylantów w Annabergu pracowała siłami trzech snijderów. Żydzi przysłani w ostatnich tygodniach z Holandii przywieźli dużo surowca, ale nie umieli go szlifować, a tym bardziej przecinać, co wymagało o wiele większych umiejętności. Pinto poradziłby sobie z tym bez trudu, ale to oznaczałoby ujawnienie się. W imię czego? Interesu Schmelta? A pies go trącał, pomyślał i nadal grał swoją rolę.

W pierwszych dniach stycznia szlifiernię zwizytował Winkler, przystojny oficer SS, który przyjeżdżał do Annabergu po gotowe brylanty. Nie miał wesołej miny. Przenosił pytający wzrok z Żydów

wyprężonych na baczność na atletycznego esesmana, który był jego przewodnikiem.

– Ilu ludzi w tej chwili szlifuje? – spytał scharführera, ale ten wskazał ruchem podbródka starego Fiszlera.

– Mów – rozkazał mu Winkler.

– Melduję, że trzech, panie oficerze.

– Kto piłuje i ustawia?

– Ja, panie oficerze. – W głosie Fiszlera zabrzmiała duma. –

Oszers – wskazał Żyda stojącego z lewej – też potrafi osadzić kamień w uchwycie.

– Kto zajmuje się tarczami? – Winkler był dobrze zorientowany.

– Też ja – zameldował Fiszler. – Robimy je w zakładach w Deschowitz u znajomego mechanika narzędziowego. Pan scharführer załatwił.

– A ten to kto? – Winkler wskazał Pinta.

– Kapo – wyjaśnił atletyczny esesman. – Od dyscypliny.

Winkler nie zareagował.

– Chodź – nakazał scharführerowi.

Inspekcja była skończona.

W komendanturze Winkler zdjął płaszcz i zbliżył dłonie do żeliwnego piecyka.

– Ile brylantów jesteś w stanie wypuścić tygodniowo?

– Cztery, może sześć – oświadczył esesman.

– Jesienią potrafiliście robić tyle dziennie.

– Co na to poradzę? – Scharführer usadowił się za swoim biurkiem. – Tyfus zabrał mi siedmiu ludzi.

– Nie mogłeś ich leczyć? – spytał Winkler z pretensją. – Trzeba było do mnie zadzwonić. Przysłałbym lekarza i medykamenty.

Mogliśmy ich nawet przewieźć do szpitala w mieście.

– Pech. – Atletyczny esesman bezradnie rozłożył ręce. – Zachorowali akurat w Boże Narodzenie, jak byłem na urlopie. Po powrocie czterech leżało już w piachu, a trzech dogorywało. Erwin – klasnął otwartą dłońią o blat biurka – czasu nie cofniemy. Potrzebujemy nowych ludzi z Amsterdamu. Inaczej Schmelt powiesi nas za jaja.

– Tyle to wiem i bez ciebie. – Oficerowi nie spodobała się ta perspektywa. – Robię, co mogę. Ale transporty zdarzają się rzadko. Holendrzy to oszczędny naród. Nie chcą wozić przez pół Europy Żydów, którym trzeba ogrzewać wagony, bo inaczej do Auschwitz dojadą tylko ich zamrożone zwłoki. No i parowozy palą teraz więcej węgla. Nie mamy wyboru – oświadczył. – Musimy czekać.

– Powiesz to Schmeltowi? – spytał atletyczny esesman, nie podnosząc wzroku.

– Wiesz co? – Winkler obrzucił go niechętnym spojrzeniem. – Pocałuj mnie w dupę.

Sięgnął po płaszcz i wyszedł bez słowa.

4

Dni były krótkie, Greta przeziębiona, a jedyną popołudniową rozrywką Pinta stało się słuchanie opowieści Fiszlera. Przez kilka miesięcy nadzorca Strefy Wydzielonej przestał obawiać się zagrożenia ze strony nowego kapo, choć nadal odnosił się do niego z rezerwą, a belka nad ich pryzami przypominała staremu, że o mały włos stała się jego szubienicą.

– Jak do tego doszło – spytał któregoś wieczoru Pinto, dokładając

drewna do piecyka ogrzewającego ich kanciapę w baraku – że trafiłeś do Annabergu długo przed tym, zanim ruszyły transporty Żydów z Holandii?

– Przekleństwo, panie kapo – odparł Fiszler z pełną powagą. – Moja żona miała rodzinę w Polsce, niedaleko stąd, w mieście, które przed wojną nazywało się Będzin. To byli bogaci Żydzi, a bogaci Żydzi zawsze chcą być jeszcze bogatsi. Żona miesiącami suszyła mi głowę. Samuel, ty im pomóż otworzyć w Polsce biznes diamentowy. Oni mają zbyt na Czechosłowację, Węgry, Rumunię, nawet Arabię. Oni ci dadzą dobry procent. I tak się zaczęło, panie kapo.

Przyjechałem raz, przyjechałem drugi. W skrzyniach z Holandii wysłałem wszystkie urządzenia, sprowadziłem ludzi do ich montażu, potem przez parę tygodni uczyłem fachu dwóch kuzynów żony. Trochę w Będzinie, trochę w Amsterdamie. Starszy z nich, który miał przejąć interes zaraz po ślubie, zaprosił nas na swoje huczne wesele. Nawet nam zapłacił podróż pierwszą klasą, pan wie? – ożywił się Fiszler i zaraz posmutniał. – Bilety powrotne kupił nam z Katowic do Breslau, a stamtąd do Amsterdamu przez Berlin, na trzeciego września trzydziestego dziewiątego roku, parę dni po tym weselu.

– Rzeczywiście przekleństwo – potwierdził Pinto, prostując się na pryczy.

– Święte słowa, panie kapo. Utknęliśmy w Będzinie. Parę dni później Niemcy spalili tamtejszą synagogę razem z modlącymi się w niej Żydami. Była tam moja żona. Nie przeżyła. Całymi dniami pukałem do drzwi różnych władz wojskowych, pokazując swój paszport i bilet powrotny, ale dla nowych panów miasta byłem najpierw Żydem, a dopiero później Holendrem. Nie doczekałem się tego „później”. Razem z rodziną żony zamknęli mnie w getcie

w dzielnicy Warpie. Było tam ze trzydzieści tysięcy ludzi. Niemcy zastanawiali się, gdzie nas wszystkich wykorzystać do pracy, i jak to Niemcy, zrobili precyzyjny plan. Część do fabryk, część do rzemiosła. Ja z kuzynami żony trafiłem do obozu budowy autostrady w Annaberg. Po jednym dniu wiedziałem, że nie wytrzymam.

Myślę sobie: znam perfekkt niemiecki, zaczepię scharführera z komendantury. Powiem mu, że mamy z kuzynami sporo surowych diamentów i moglibyśmy je dla niego oszlifować, bo to umiemy. Rybka połknęła haczyk – uśmiechnął się. – Nie bez powodu jestem Fiszler.

Kupiliśmy sobie życie. Kuzyni żony znali Żydów z Krakowa, którzy też robili w fachu. Pojechaliśmy tam z scharführerem i... – Stary pozostawił ten wątek bez dokończenia. – To, co pan widzi w Strefie Wydzielonej, panie kapo, to sprzęt z tych krakowskich szlifierni. Zabraliśmy też stamtąd jednego Żyda, dobrego piłowacza. Ale już nie żyje. No i tak się zaczęło. Potem pojawiła się okazja sprowadzania szlifierzy z Amsterdamu. Resztę pan zna.

– Co się stało z twoimi kuzynami? – zainteresował się Pinto.

– Jednego pan scharführer sprzął po pysku i odesłał na budowę autostrady, bo uszkodził diament. Drugi zmarł na zapalenie płuc. Została mi po nich polska pisownia nazwiska, bo jak nas przywieźli do Annabergu, to tutejszy kancelista zapisał mnie Fiszler, nie Fischler, jak było w Amsterdamie. Tam – stary się zamyślił – byłem tylko zwykłym snijderem. Tu przecinam i ustawiam diamenty, nadzoruję warsztat, nawet mówię, jak zrobić tarcze do piłowania i szlifowania – oświadczył z dumą, jakby zapominał, w jakich okolicznościach pełni wszystkie swoje funkcje.

– Wychodzi na to, że ten interes trzyma się na tobie – westchnął

Pinto.

Stary pokraśniał tak, że widać to było nawet w półmroku. Poczł nagły przyplłw wdzięczności do współlokatora, którego jeszcze niedawno gotów był utopić w łyżce wody.

– To jest bardzo dobry fach, panie kapo. Jak pan chce, to ja pana go nauczę.

– Zastanowię się – odparł Pinto i odwrócił się twarzą do ściany. Z Roermond wyniósł umiejętność zasypiania w ciągu sekundy.

5

Kolejni ludzie z Amsterdamu dotarli dopiero pod koniec lutego, ale mieli mgliste pojęcie o obróbce diamentów. W marcu też przyjechali amatorzy. Wylądowali na budowie autostrady.

Co się dzieje w tej Holandii? – zastanawiał się Pinto. – Dlaczego nie przysyłają zawodowych szlifierzy? Ktoś tam albo nie myśli, albo ma kiepski plan, który po prostu nie działa.

Jakby na potwierdzenie jego słów w następnym miesiącu, gdy transporty do Auschwitz ruszyły pełną parą, znów pojawiło się dwóch partaczy, którzy mieli woreczki z surowcem, ale umiejętności za grosz. Podzielili los poprzedników.

Chłopak, który dotarł pod koniec kwietnia, miał być następny.

Pinto obserwował go pierwszego dnia w pracy. Akurat został z komandem sam. Fiszler z esesmanem pojechali po coś do Opolą.

Młokos mógł mieć siedemnaście, najwyżej osiemnaście lat. Był szczupły, miał czarne włosy i myślące oczy. Osers, który ustawił kamienie dla siebie i pozostałych ludzi pracujących w szlifierni,

wyznaczył mu miejsce na końcu baraku, przy samotnym stanowisku, na którym sprawdzano umiejętności nowo przybyłych. Zanim chłopak je zajął, miał przez kilka godzin obserwować pracę innych i pytać, gdyby czegoś nie rozumiał. Ale przez cały dzień się nie odezwał.

Na koniec, gdy snijderzy oddawali już swoje kamienie, szykując się do wyjścia, Osers dał mu do wykonania prostą taflę korony. Nie znał możliwości nowego, nie chciał podejmować zbyt dużego ryzyka. Dlatego wybrał łatwy test.

Przybysz z Amsterdamu usiadł na taborecie, przyłożył lupkę do oka i ocenił kamień w kleszczach, przysuwając dop drżącymi dłońmi. Osers popatrzył porozumiewawczo na Pinta. Kolejny amator.

Kapo chciał od razu chwycić chłopaka za szmaty i odprowadzić do baraków Żydów pracujących na budowie autostrady, ale uznał, że nadarza się okazja, aby wreszcie się dowiedzieć, co się dzieje w Amsterdamie, że przysyłają do szlifierni w Annabergu samych dyletantów. Ciekawość wzięła górę.

– Zabierz ludzi – powiedział do Osersa – i idźcie do baraku. Ja tu jeszcze pogadam z tym gówniarzem.

– Rozkaz, panie kapo – zameldował Osers i minutę później Pinto został z chłopakiem sam.

– Po co tu przyjechałeś, idioto? – spytał spokojnie. – Nie powiedzieli ci, że trzeba umieć szlifować diamenty?

– Powiedzieli – przyznał młodzik. – Ale powiedzieli też, że najważniejsze jest, żeby mieć surowiec. A ja miałem. Inni też tak robią – wyjaśnił. – Jak mają trochę nieobrobionych diamentów, to się zgłaszają.

– Do kogo?

- Do odpowiednich ludzi w Amsterdamie.
 - A dlaczego nie zgłaszają się dobrzy snijderzy?
 - Bo oni surowca nie mają – wyjaśnił logicznie chłopak. – Mają tylko umiejętności, a to za mało, żeby się tu dostać.
 - To ci odpowiedni ludzie w Amsterdamie nie mogą po prostu zabierać Żydom surowca i dawać im kopa w dupę zamiast miejsca w transporcie do Annabergu? A tu przysyłać fachowców?
 - Nie mogą – odrzekł rezolutnie młody człowiek. – Żydzi zgłaszają się sami. Na ochotnika. Jeśli w Amsterdamie by się wydało, że to oszustwo, nikt więcej się nie pojawi. A wtedy koniec z surowcem.
- Pinto w duchu przyznał mu rację.
- A ty skąd masz diamenty?
 - Rodzice prowadzili dużą szlifiernię odziedziczoną po dziadku, który był znany w branży. Jak się zgłosiłem, to podałem jego nazwisko, żeby mi łatwiej było się tu dostać.
 - Jak dziadek się nazywał?
 - Nagler – odparł chłopak. – Izaak Nagler z Waterlooplein.

6

Po powrocie z Opola Fiszler zastał Pinta leżącego na pryczy w ich części baraku.

- Jest pan chory, panie kapo? – Stary zaniepokoił się jego wyglądem.
- Nie – odparł cicho Pinto. – Siadaj, musimy pogadać.
- Coś się stało? – Fiszler przestraszył się na dobre.
- Jeszcze nic, ale może się stać. I tylko od ciebie zależy, czy się

stanie. – Kapo wbił w niego wzrok.

Stary pobladł. Przysiadł na swoim posłaniu.

– Posłuchaj mnie uważnie – rzekł Pinto. – Ten chłopak, który wczoraj przyjechał w transporcie...

– Umie coś? – przerwał mu Fiszler.

– Niewiele – odparł Pinto. – Ale on musi przeżyć. Rozumiesz? To syn kogoś bardzo dla mnie ważnego. Ja i jego matka... Wywieźli ją jesienią do Sobiboru. Z pewnością już nie żyje. Dlatego on musi... Nie może iść na budowę autostrady.

– Ale jak, skoro niewiele umie? – Przestraszył starego zamieniał się w panikę. – To się nie uda.

– Uda się, jeśli mnie nie wydasz. Zrobimy tak: na razie chłopak będzie szlifował tafle, a po pracy ja zrobię za niego fasety i pawilon.

– Panie kapo. – Stary aż podniósł się z pryczy. – Jak to: pan?

– Potrafię to robić lepiej niż ktokolwiek z was.

– Pan? Jakim cudem? – Fiszler nie potrafił poukładać w głowie fragmentów informacji, które dopiero teraz powoli zaczęły tworzyć logiczną całość. – Pan mnie okłamał... Pan jest szlifierzem... – Twarz starego z bladej przeistoczyła się w czerwoną.

– Nie okłamałem cię, Fiszler. Po prostu nie powiedziałem ci wszystkiego, żebyś się nie przeląkł, że zrobię ci tu konkurencję. Byłem szlifierzem. Dawno temu. Rzuciłem to i nigdy więcej nie zamierzam do tego wracać. Kiedyś ci powiem dlaczego. Ale teraz muszę wrócić. Na krótko. Tylko po to, aby uratować chłopaka. Wystarczy, że udasz, że nie widzisz. Na razie będziesz dostawał ode mnie diamenty, które niby on zrobił, a potem jego własne. Dwa tygodnie i zrobię z niego przyzwoitego snijdera.

– A reszta? – spytał stary. – Co z resztą? Osers i inni. Domyślą się...

– Osers jest lojalny jak pies. A inni boją się do tego stopnia, że nawet jak któryś coś zauważy, to nie puści pary z gęby. Zresztą będę uczył chłopaka po pracy. Więc wszystko zależy od ciebie.

Fiszler chwycił dłońmi krawędź pryczy, jakby to miało mu pomóc w myśleniu, i dokonał szybkiej kalkulacji. Jeśli doniesie na Pinta, scharführer może wpaść we wściekłość i wysłać go na budowę autostrady albo i zastrzelić, żeby kapo nie rozgadał, co się dzieje w Strefie Wydzielonej. Ale – dotarło do niego w tej samej chwili – esesman zawsze lubił Pinta. Więc równie dobrze może go zostawić, bo szkoda mu będzie zmarnować dobrego szlifierza. Może uznać, że kapo nie zrobił nic złego poza tym, że się nie przyznał, że kiedyś pracował w fachu. A wtedy... Stary mimowolnie popatrzył na belkę pod sufitem.

– Dobrze – powiedział. – Niech tak będzie, jak pan powiedział, panie kapo.

Tej nocy Fiszler długo nie mógł zasnąć. Dręczyły go domysły i przeczucie, że to wszystko źle się skończy. Potem zapadł w płytki sen i śniło mu się, że Pinto zacisnął sznur na jego szyi, przyciągając jego głowę do tarczy szlifierskiej. Obudził się zlany potem.

Następnego dnia chłopak godzinami śleczał nad tarczą, robiąc prostą powierzchnię korony marnego kamienia, który wybrał dla niego Fiszler, osadzając przecięty przez siebie diament w dopie. Gdy przyszło zdawać prace, Pinto go ubiegł, zabrał kamień młodego i popatrzył na Fiszlera znacząco. Po czym komando wyszło z baraku Strefy Wydzielonej, a on został. Dwie godziny później w baraku wręczył staremu brylant. Był perfekcyjnie oszlifowany. Fiszler nigdy nie widział, aby ktoś miał taki talent w rękach. Bez przyrządu do mierzenia kątów Pinto idealnie ustawił fasety,

sprawiając, że doskonale odbijały światło, dając klejnotowi ogień, jakiego nie osiągnąłby ani Osers, ani którykolwiek ze szlifierzy komanda, ani nawet on – Samuel Fiszler, niegdyś znany amsterdamski snijder.

Pinto mówił prawdę. Żaden z nich nie mógł się z nim równać.

Od tej chwili wszystko szło gładko. Chłopak coś tam szlifował przy swoim stanowisku, z dala od innych, Pinto zostawał po pracy, oddawał piękne brylanty, a wieczorami wychodził z chłopakiem do warsztatu i wszyscy byli zadowoleni. Wśród pracowników komanda pojawiły się nawet plotki, że kapo jest biseksualny i wprowadził sobie jakąś odmianę po wiecznie napalonej Grecie.

Na początku maja, po kolejnej lekcji w warsztacie, Johan Pinto odprowadził syna Marty do baraku mieszkalnego. Zatrzymali się przed wejściem.

– Według mnie jesteś gotowy – oświadczył. – Możesz szlifować fasety. Poradzisz sobie bez problemu.

– Dziękuję. – Chłopak był wzruszony. – Gdyby nie pan... Może nadarzy się okazja, żebym mógł się panu odwdzięczyć... Będę się o to modlił.

Kapo machnął ręką.

– Idź, ja jeszcze zostanę.

Gdy za młodym człowiekiem zamknęły się drzwi, włożył ręce do kieszeni i głęboko nabrał powietrza. Las wokół obozu niósł intensywną, aromatyczną woń wiosny. Pinto nigdy nie ulegał sentymentom, ale teraz dotarło do niego coś, co być może ludzie uważają za szczęście. Albo chociaż kumulację pozytywnych zdarzeń. Udało mu się ocalić chłopaka, w którym było tyle Marty, wokół pachniał las, a jutro miał schadzkę z Gretą.

W tej samej chwili wymacał dłonią w kieszeni kamień podarowany przez Osersa i pod wpływem nagłego impulsu wrócił do Strefy Wydzielonej. Otworzył kłódkę i sztabę warsztatu, który dopiero co zamykał, zapalił światło i uruchomił urządzenia. Obejrzał diament pod lupą z dziesięciokrotnym powiększeniem i przytrzymując ją powieką, sprawnie odciął zbędne części surowego minerału, zostawiając to, co mogło dać brylant. Około dwóch karatów. Podgrzał klej, posmarował nim dop, umieścił w nim kamień i rozpędził najlepszą z tarcz. Skupiony, z lupą przy oku, rozpoczął pracę.

7

Fiszler zdziwił się, że chłopak wrócił sam. Odczekał kilkanaście minut, a potem podkraść się do niego, gdy ten leżał już na pryczy. Położył mu dłoń na ramieniu, a kiedy więzień zgodnie z regulaminem chciał się zerwać i zameldować, spytał:

– Gdzie jest kapo?

– Został na dworze – powiedział chłopak z lekkim przestraczem.

– Skończyliście? – chciał wiedzieć Fiszler.

– Tak jest – potwierdził więzień komanda. – Pan kapo powiedział, że od jutra mogę szlifować sam – dodał szeptem.

– To dobrze, chłopcze – pochwalił go stary. – Odpoczywaj.

Wyjrzał przez drzwi baraku, ale Pinta nigdzie nie było. Stary poczłapał z powrotem do swojej pryczy, wysunął spod niej buty, które dziś szczególnie mu przeszkadzały z powodu opuchlizny stóp, i wyszedł na zewnątrz.

Wokół nie było żywej duszy.

Fiszler podszedł do furtki Strefy Wydzielonej i chcąc sprawdzić, czy jest prawidłowo zamknięta, nacisnął klamkę. Furtka ustąpiła. Zdziwiony poszedł w stronę baraku, mając wrażenie, które po kilku krokach przerodziło się w pewność, że słyszy dźwięk szlifierki. Wszedł do warsztatu.

Pinto siedział tyłem do niego i pracował z wyraźnym oddaniem. Jego pozycja, skupienie i pisk tarczy sprawiły, że zauważył Fiszlera w ostatniej chwili, gdy ten znalazł się tuż obok.

Przerwał pracę, zdjął z oka lupę i spokojnie odwrócił głowę w jego kierunku.

Stary patrzył jak urzeczony. Bez pytania sięgnął po lupę odstawioną przez Pinto na blat warsztatu i za jej pomocą przyjrzał się brylantowi tkwiącemu w kleszczach.

– Cudo... – szepnął. – Skąd ten blask? Co to jest? Metoda Tolkowskiego? – Fiszler nie mógł dojrzeć całości klejnotu, otoczonego uchwytem, i gorączkowo szukał rozwiązania zagadki. Brylant oczarował go do tego stopnia, że w ogóle nie zwracał uwagi na kapo i nie szukał u niego pomocy. – Boże jedyny – wykrztusił wreszcie. – To jest czarny szlif... Prawda?

Johan Pinto skinął głową.

Stary nagle chwycił go za bluzę.

– Skąd go znasz? – Zacisnął na drelichu palce przypominające szpony drapieżnego ptaka, jakby się bał, że Pinto mu się wyślizgnie, a wraz z nim szansa na poznanie tajemnicy.

– Jestem Dawid Schwartzman – powiedział spokojnie kapo.

Amsterdam/Warszawa/Gdańsk

wrzesień 2011 roku

1

Piłka golfowa mierzona w najwyższym skupieniu przez dobrą minutę, a potem zagarnięta idealnym wahadłowym ruchem drivera, kija do dalekich uderzeń, poszybowała w powietrzu, ginąc na chwilę z pola widzenia, a potem wylądowała na wąskim pasie fairwayu między bunkrem a greenem, odbiła się i zatrzymała kilka metrów od dołka.

Krupier aż przysiadł z zachwytu. Znał ten dołek jak własną kieszeń. Był szalenie zdradliwy. Tuż przed greenem, czyli obszarem króciutko przystrzyżonej trawy otaczającym chorągiewkę z miejscem, w którym finalnie powinna znaleźć się piłka, umieszczono głęboką piaskownicę, nazywaną fachowo bunkrem, w której lądowała większość uderzeń śmiazków próbujących przestrzelić przeszkodę. Krupier grał na tym polu od trzydziestu lat, ale nigdy tego nie próbował. Uderzał ostrożniej, aby piłka zatrzymała się przed bunkrem, a dopiero potem zmieniał kij na krótszy i posyłał ją w pobliże dołka. W ten sposób tracił punkt za dodatkowe uderzenie, ale miał większe gwarancje powodzenia.

Rosjanin, którego zaprosił dziś na golfa, powążył się na coś, co wydawało się niemożliwe. Był albo szaleńcem nieznanym

wartości ryzyka, albo mistrzem.

– Gratuluję, przyjacielu. – Krupier odzyskał mowę. – Gram tu od wieków, ale takiego strzału jeszcze nie widziałem.

– Dziękuję ci – odpowiedział uprzejmie Oleg Woronin, przykładając dwa palce do daszka czapeczki z emblematem znanego turnieju. Znali się z Krupierem zaledwie od dzisiejszego ranka, ale zgodnie z obyczajem golfa oraz nadziejami na biznes mówili sobie po imieniu.

Woronin jeszcze w Sopocie dowiedział się od współnika Krupiera, że ten przynajmniej dwa razy w tygodniu bywa na polu w przepięknym kompleksie Spaarnwaude, na północny zachód od Amsterdamu, i postanowił to wykorzystać. Udając, że będzie w Holandii w interesach, poprosił brzuchatego jubilera o zaaranżowanie spotkania z Krupierem. Dograli szczegóły, po czym Woronin nadał na bagaż w Rębiechowie torbę ze swoimi wysłużonymi kijami, które nauczyły pokory niejednego mistrza, wsiadł do samolotu i odebrał ją z taśmy w hali przylotów lotniska Schiphol.

Wiedział, co robi. Wspólne przejście dziewięciu dołków dawało idealną okazję do rozmowy takiej, jaką chciał odbyć: parogodzinnej, bez pośpiechu i w cztery oczy.

Przy powitaniu ustalili, że będą się posługiwać angielskim.

– Jak idą nasze sprawy w Polsce? – Krupier zadał pytanie, które musiało paść. – A w ogóle to dziękuję, że zechciałeś się podjąć tej misji w Annabergu. To delikatny i trudny temat. Dla fachowca. Ale jeśli radzisz sobie z takimi sprawami w połowie tak dobrze jak z golfem, to moje uszanowanie. – Krupier połączył opuszki kciuka i palca wskazującego, po czym ucałował je w geście wyrażającym najwyższe uznanie.

– Radzę sobie lepiej niż z golfem – odparł krótko Oleg Woronin. Stwierdzenie było tak kategoryczne i poważne, że stary jubiler zatrzymał wózek z kijami i spojrzał na Rosjanina badawczo. – Przyjechałem tu – oświadczył Woronin niezmiennym tonem – żeby złożyć ci ofertę.

– Zamieniam się w słuch.

– Chcę zostać twoim wspólnikiem w tym przyszłym interesie.

– Niestety – uśmiechnął się stary – lista jest krótka i zamknięta.

– Wysłuchaj mnie do końca. Proponuję następujący układ: ja zorganizuję wszystko w Polsce tak jak trzeba i przyniosę ci brylant Schwartzmana na tacy, a ty weźmiesz mnie na dziesięć procent udziałów.

– O ile dobrze sobie przypominam – w tonie żydowskiego jubilera zabrzmiała nuta oburzenia – zorganizowanie wszystkiego jak trzeba i przyniesienie brylantu Schwartzmana na tacy jest dokładnie tym, na co opiewa twoje zlecenie. Za które płacimy wysokie, co ja mówię: bardzo wysokie honorarium. Przyjacielu, jak byś zareagował, gdybyś poszedł do drogiego dentysty z bolącym zębem, a on by ci powiedział: „Panie Woronin, ja panu ten ząb wyleczę, ale pan mnie weźmiesz na dziesięć procent w swoim bursztynowym biznesie”? Ja potrzebuję dobrego specja od wykonania usługi, nie wspólnika.

– Szkoda.

– Chyba nie chcesz się wycofać? – zaniepokoił się Krupier.

– Chyba nie – powiedział zagadkowo Rosjanin. – Zwłaszcza teraz, gdy znam już miejsce pochówku Schwartzmana.

– Znasz?! – Stary jubiler chwycił go za rękaw golfowego swetra.

– Mój człowiek ma na podsłuchu telefon polskiego prokuratora, który jest o włos od wskazania grobu szlifierzy. Lada dzień będę

znał dokładne współrzędne. Wystarczy zafundować panu prokuratorowi krótką przerwę w życiorysie i sprzątnąć mu brylant Schwartzmana sprzed nosa. On nawet o nim nie wie. Zadowolony się kośćmi. Dlatego łamiesz mi serce, odrzucając propozycję...

Krupier oparł się o wózek, myśląc intensywnie.

– Będziesz próbował mnie szantażować? – spytał zimno.

– Ani mi to w głowie. – Woronin uśmiechnął się rozbrajająco. – Przyjacielu, rozejrzyj się dookoła. Gramy w golfa. Cudowne pole. Piękna pogoda. Po co takie słowa? Ja ci po prostu proponuję współpracę. Jeśli chcesz, mogę to wszystko w Polsce przeprowadzić na swój koszt. Jako wyraz dobrej woli. Co? Mam pieniądze, które mogę zainwestować w rozwój twojego przedsięwzięcia, ale mam też bardzo przydatne umiejętności. Zdajesz sobie chyba sprawę, że jak zaczniesz wypuszczać na rynek brylanty wykonane szlifem Schwartzmana, to konkurencja się zdenerwuje. Kto wie, może nawet bardzo się zdenerwuje. Kogo chcesz mieć wtedy za plecami? Naszego poczciwego kolegę z brzuchem jak piłka plażowa czy mnie?

Twarz Krupiera przypominała minę ucznia piszącego ważny egzamin z rachunków.

– Lata miną, zanim nauczysz się branży – oświadczył.

– A może już ją znam? – Rosjanin miał dziś wyraźną skłonność do zagadek. – Mówi ci coś nazwisko Kolcew?

– Jasne. Dostawca krwawych diamentów. Robiłem z nim interesy dwa czy trzy razy, ale po pakcie z Kimberly, gdy zaczęto ścigać takich jak on, rozpląnął się we mgle. Międzynarodowy list gończy za nim, o ile wiem, jest ciągle ważny. Ale gracz był duży. Twój rodak, jak przypuszczam?

– Mój brat.

Krupiera zamurowało.

– Przecież nazywasz się...

– A ty chcesz się od jutra nazywać Vincent van Gogh? Żaden problem.

– Robiłeś w tym biznesie – powiedział cicho stary jubiler. – Gdzie?

– Tu i tam – odparł wymijająco Woronin.

– Byłeś z bratem w Afryce?

W odpowiedzi Rosjanin uśmiechnął się tajemniczo, unosząc ramiona.

– Pracowałeś dla Holendrów? – dopytywał Krupier.

Woronin skinął głową.

– Dla kogo?

Oleg wymienił dwa nazwiska.

– O – zdziwił się stary Żyd kolejny raz tego dziwnego dnia. – Najwyższa półka – skomentował. I dodał: – Sprawdzę.

– Liczę na to – odparł Rosjanin. – Wtedy pozbędziesz się wątpliwości i nareszcie dowiesz się, z kim masz do czynienia.

– Pięć procent – zaproponował Krupier.

– Dziesięć.

– Siedem i pół.

– Masz to w genach, co? – spytał Rosjanin. – Niech będzie osiem.

Zanim ruszyli w stronę kolejnego dołka, ceremonialnie podali sobie prawe dłonie, na których na polu golfowym nie nosi się rękawiczek.

niewielkiej sali konferencyjnej w siedzibie ABW przy ulicy Rakowieckiej pojawił się slajd ze zdjęciem Wiesława Palucha witającego się z Olegiem Woroninem przed warszawskim hotelem Hilton.

Szef departamentu, któremu właśnie składała raport, z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Powiem szczerze: ani przez chwilę nie wierzyłem w tę sprawę. Ukryte skarby jakiegoś esesmana i babcie próbujące wskrzesić Hitlera to dobre dla autorów powieści sensacyjnych, nie dla poważnej agencji bezpieczeństwa państwa. Zgodziłem się, żeby Teresa to wzięła, tylko z powodu presji szefa na to, abyśmy byli europejscy. Bruksela dostaje wysypki na samą myśl o neonazistach – przypomniał. – Byłem pewien, że skończy się na niczym, tymczasem proszę – machnął dłonią w kierunku ekranu – temat się robi rozwojowy, a sprawa Góry Świętej Anny przyciąga łobuzów jak magnes. Nawet towarzysz Kolcew nas zaszczycił. Brawo. To jaki masz plan, Tereska?

– Chciałabym przycisnąć Palucha, panie pułkowniku – oznajmiła kapitan Barska.

– Czyli?

– Postraszyć go, postawić pod ścianą i zaproponować mu układ.

– Ja bym go od razu aresztował – odezwał się jeden z trzech oficerów ABW biorących udział w odprawie. Był tuż po trzydziestce, chudy, z głębokimi śladami po trądziku na twarzy.

– I co chciałbyś przez to osiągnąć? – spytał pułkownik z nieukrywanym sceptycyzmem.

– No... – zawiesił się zapytany. – Moglibyśmy zrobić kontrolowany przeciek do mediów, że dyrektor IPN-u fałszował akta. Oni tacy niepokalani rycerze. – Nagle się ucieszył, jakby

dopiero teraz to do niego dotarło: – Ale byłby dym, szefie.

– Może ja cię, Zbysiu, do PR-u przesunę, co? – Pułkownik ciężko westchnął. – Przyskrzynisz jednego robaczka, a reszta natychmiast ucieknie pod kamienie, spod których wypełzła. Tymczasem Paluch pozwoli nam dorwać Kolcewa, a może i jego diamentowego braciszka, którego szuka cała policja świata. No i tę babkę ze Stille Hilfe, jakże ona się nazywa?

– W Hiltonie zameldowała się jako Edyta Rhode – uzupełniła Barska.

– No właśnie. Wyobrażasz sobie, Zbysiu, jak się Bruksela ucieszy?

Oficer z potądżikową cerą nie odpowiedział. Siedział pochylony jeszcze mocniej niż przedtem, co w wypadku bardzo szczupłych ludzi wygląda na najwyższy stopień zagrożenia ortopedycznego.

– Palucha zawsze możemy przymknąć – pocieszył go pułkownik. – Mamy na niego tyle, że daj Boże. Właśnie – przypomniał sobie, zwracając się do Teresy Barskiej. – Jest oficjalne zeznanie tego profesora?

Pani kapitan w odpowiedzi znacząco postukała palcem w teczkę leżącą na stole konferencyjnym.

– Dobra. – Pułkownik zbliżał się do podsumowania. – Gramy w twoją grę, Tereska. Daj poprzedni slajd.

Barska znów kliknęła klawisz laptopa, wyświetlając planszę ze zdjęciami postaci związanych ze sprawą Świętej Anny. Pułkownik pochylił się w jej stronę, sięgnął po długopis ze wskaźnikiem laserowym, nacisnął przycisk i na ekranie zatańczyła czerwona kropka światła, która zatrzymała się na trzech twarzach.

– Tu, tu i tu – zdecydował pułkownik – podsłuch. – Tu – wskazał Kolcewa, przebywającego w Polsce pod nazwiskiem Woronin –

obserwacja. A ty, Tereska, bierz się za Palucha. Są pytania? – zakończył, wstając i podchodząc do drzwi wejściowych. Nigdy nie czekał na odpowiedź.

3

Filet z suma na sosie z białej cebuli i zielonego pieprzu z blanszowanym szpinakiem i czarną soczewicą smakował tak wybornie, że Wiesławem Paluchem zawładnęło nagle dzikie pragnienie wylizania talerza. Tutaj, na oczach tych wszystkich snobów okupujących stoliki w eleganckiej restauracji na tyłach ulicy Puławskiej, bezgłośnie posługujących się sztucami i rozmawiających dyskretnym szeptem. Paluch był tu tylko raz, na służbowej kolacji z poprzednim ministrem kultury, i wtedy właśnie ktoś z kolegium IPN-u polecił mu czarno-biało-zielonego suma. Dyrektor pionu śledczego zjadł i oniemiał.

Od tamtego wieczoru smak potrawy prześladował go i nawiedzał po nocach. Aż do dziś, kiedy po raz kolejny złożył sobie szczerze gratulacje z okazji wyprowadzenia w pole rosyjskiego cwaniaka oraz argentyńskiej rewizjonistki, i to za ich własne pieniądze. Może niezbyt wygórowane, ale Wiesław Paluch przez całe życie był zwolennikiem jedzenia małą łyżką. Z wyjątkiem suma, rzecz jasna.

Dlatego zaprosił się dzisiaj na wystawny lunch z pełnym przekonaniem. Zasłużył na niego. Rozegrał mistrzowską partię, a zwycięzcy nie jadają knedli ze śliwkami przygotowanych przez żonę. Zbył ją jakimś kłamstwem i kończąc ucztę, pomyślał z ulgą o dwóch godzinach spokoju czekających go w pustym mieszkaniu. Dziś wtorek. Żona zaraz zabiera dzieci na basen.

Paluch zamówił na to konto porcję czekoladowej bezy z malinami na wynos, odnotowując w myślach uwagę, żeby przed powrotem rodziny wynieść do śmietnika pudełko z logotypem restauracji, aby zatrzeć ślady. Do domu wrócił taksówką zamówioną przez szefa sali w ciemnoniebieskim garniturze i kraciastej muszce. Przed blokiem musiał się skulić na tylnym siedzeniu, aby żona, wychodząca akurat z klatki w otoczeniu rozwrzeszczanej czeredy, nie zauważyła jego fanaberii.

Odczekał, zapłacił za kurs i wysiadł, rozglądając się uważnie, ale rodzina zniknęła właśnie w brzuchu sfatygowanego vana, który ruszył z osiedlowego parkingu, ciągnąc za sobą chmurę czarnego dymu. Przed wejściem do budynku nie było nikogo, poza jakąś szczupłą i krótko ostrzyżoną kobietą, która nieoczekiwanie odwróciła się w jego stronę, w chwili gdy ją mijał.

– Pan Wiesław Paluch? – spytała.

– Tak – odparł zdziwiony. – O co chodzi?

Kobieta podsunęła mu pod nos legitymację służbową.

– Kapitan Teresa Barska. Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Paluch się zaniepokoił.

– Ale o co chodzi?

– Mam to panu wyjaśnić tutaj? – Barska obrzuciła wzrokiem chodnik i rachityczne klomby, które miały być elementem architektury krajobrazu, a zostały psią toaletą.

– A gdzie? – spytał z głupia frant.

– Może przejedziemy się do nas, na Rakowiecką?

Paluch zaniepokoił się jeszcze bardziej.

– Wobec tego zapraszam. – Wskazał jej drzwi klatki schodowej i wstukując kod do domofonu, dodał z sarkazmem: – Żona się

ucieszy. Nasze sześcioro dzieci też.

– Wie pan równie dobrze jak ja, że przed chwilą odjechali – stwierdziła obojętnie Barska.

Paluch zaniepokoił się na dobre.

Śledzą mnie, pomyślał. Boże drogi, o co może chodzić? Drzwi do mieszkania otworzył, powstrzymując drżenie rąk.

Po wejściu do środka wskazał funkcjonariuszce ABW swój pokój i zaprosił ją, aby usiadła obok niewielkiego biurka. Sam zajął miejsce na plastikowym obrotowym krześle na kółkach, które zyskiwało stabilność dopiero wówczas, gdy siedzący obydwie stopy silnie opierał na podłodze.

– Teraz dowiem się, o co chodzi? – spytał sztywno.

Kapitan Barska sięgnęła do torebki.

Wyjęła z niej arkusz pożółkłego papieru w sztywnej przezroczystej koszulce i położyła go na biurku tak, aby Paluch mógł rozpoznać spreparowany przez siebie dokument. A kiedy dostrzegła kątem oka jego przestrich, wolnym i trochę ostentacyjnym ruchem położyła na biurku kajdanki. Były dyrektor spociał się jak mysz.

– Co to jest? – spytał nieswoim głosem, wskazując dokument.

– To pan mi powie, co to jest – oświadczyła Barska. – Oczekuję też odpowiedzi na pytanie, z jakiego powodu sfałszował pan decyzję o umorzeniu śledztwa Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, czyli – dodała – dowód prawdy historycznej, na straży której stoi IPN.

– Ja ją tylko zamieniłem... – Paluch był bliski załamania. – Z głupoty. Nie miałem złych zamiarów wobec prawdy historycznej – jęknął. – Chciałem tylko pokrzyżować plany byłego prokuratora IPN-u nazwiskiem Kania, który zajmuje się tą sprawą z jakichś

prywatnych i podejrzanych powodów. Dlatego podmieniłem – powtórzył i raptem poderwał się z obrotowego krzesła, omal nie tracąc równowagi, jednym susem znalazł się przy szafie, otworzył ją i wydobył oryginał decyzji, którą zabrał z akt IPN-u. – Proszę – oznajmił triumfująco. – Nigdy bym się nie ośmielił tego zniszczyć. Chodziło tylko o Kanię – tłumaczył z nadzieją w głosie, wymachując dokumentem przed Teresą Barską.

Wreszcie usiadł.

– Rozumiem, że to polepsza moją sytuację? – spytał.

– Wręcz odwrotnie – odparła kapitan ABW.

– Dlaczego? – zawył Paluch.

– Do tej chwili mieliśmy przypuszczenie, że to pan sfałszował tę decyzję. Teraz mamy niezbity dowód. Byłoby lepiej dla pana, gdyby pan tego nie pokazywał. – Barska doskonale wiedziała, jak grać.

– To ja to zabieram! – Paluch uniósł się z krzesła, które odjechało pod kaloryfer, i sięgnął po dokument, ale Barska szybkim ruchem złapała go za rękę. Miała niespodziewanie silny uchwyt. Były dyrektor IPN-u jęknął z bólu.

– Co pan wyprawia? – kapitan ABW podniosła głos. – Co się panu wydaje, panie Paluch? Że rozmawia pan z nauczycielką z podstawówki, która przyłapała pana na wymazaniu uwagi z dzienniczka? Jestem oficerem agencji strzegącej bezpieczeństwa państwa. Państwa, na którego dobro dokonał pan zamachu.

Paluch odszukał stopą krzesło, sprowadził je z powrotem i ciężko na nie opadł. Ze skargą w oczach rozcierał obolały nadgarstek.

Zapadła ciężka, gęsta cisza. Teresa Barska odczekała dwie minuty.

– Proszę pana – odezwała się wreszcie, uznając, że Paluch zdążył się przygnębić i nadszedł właściwy moment. – Zadam panu teraz

kilka pytań. Jeśli usłyszę odpowiedzi szczere i zgodne z prawdą, jestem gotowa zaliczyć je na pana korzyść.

– Oczywiście. – Paluch ujrzał światełko w tunelu. – Proszę pytać.

– W jaki sposób pan to podrobił? – Wskazała dłonią dokument w koszulce.

Były dyrektor IPN-u uśmiechnął się blado.

– Pomysł podsunęła mi data tej decyzji o umorzeniu – wyznał. – Byłem wtedy w liceum i napisałem list do lokalnej gazety o pewnej ciekawostce historycznej z naszego miasteczka. Redakcja odpowiedziała, że chętnie zamówi u mnie krótki artykuł na ten temat, ale pod warunkiem, że przyślę go w postaci maszynopisu. Sprawy się skomplikowały. Tato chciał przepisać mój rękopis u siebie w biurze, ale akurat wyprzedawali tam stare maszyny i zrobił mi prezent. – Paluch pokazał wzrokiem wiekowego rheinmetalla stojącego na szafie. – Ciągle działa – dodał z sentymentem. – Tato przyniósł też z biura ryzę papieru. Chyba z połowę zmarnowałem na naukę i przepisywanie, ale reszta została na dnie szafy. Traktowałem ten papier jak relikwię, nie wyrzucając go przez lata, no i... się przydał. Przepisałem decyzję raz jeszcze, usuwając informację o przyznaniu się do winy przez wachmana nazwiskiem Krawietz. Nie chciałem, aby Kania poszedł tym tropem. Potem wyrobiłem pieczętkę Głównej Komisji w punkcie ksero...

Kapitan ABW pokiwała głową.

– To teraz po kolei. Kto pana wynajął, aby zainteresował się pan tematem Świętej Anny? Z kim pan się w tej sprawie spotykał? Jakie są zamiary ludzi, którzy pana zaangażowali? Czego tam szukają i jaki mają plan? Proszę opowiedzieć wszystko ze szczegółami, jak w konfesjonale, a... – popatrzyła na kajdanki

i lekko przysunęła je dłonią w swoją stronę – ...zobaczę, co da się zrobić. Ale ostrzegam. Bardzo dużo wiem – zablefowała – i jeśli przyłapię pana na mataczeniu, to... – kajdanki znów brzęknęły, przesunięte w stronę Palucha.

Były dyrektor głośno przełknął ślinę. A potem zaczął mówić.

4

Teresa Barska słuchała w skupieniu, robiąc notatki i od czasu do czasu wypytyując o szczegóły planu Olega Woronina oraz nielegalnej ekshumacji, której podjął się kuzyn żony Palucha z gdańskiej policji.

– Wróćmy do tego wachmana – powiedziała, dochodząc do wniosku, że poprzedni temat został wyczerpany. – Na jakiej podstawie uznał pan, że to właściwy trop, który należy ukryć przed Kanią?

– Przyszło mi do głowy – powiedział były dyrektor pionu śledczego IPN-u – że skoro Manfred Krawietz przyznał się do winy, to jako jedyny z podejrzanych złożył jakieś zeznania. Pomyślałem, że muszą gdzieś być. Najpewniej w sądzie, który go skazał, bo kompetencje Głównej Komisji w tym momencie się skończyły. Główna Komisja mogła już tylko odnotować, że Krawietz się przyznał, i tyle. Od tej chwili podpadał wyłącznie pod wymiar sprawiedliwości.

Paluch podrapał się w głowę.

– Postanowiłem, że ukryję ten wątek przed Kanią, sam dotrę do akt sądowych i z pewnością znajdę tam wskazówki, gdzie zakopano Żydów zamordowanych w obozie.

– I dotarł pan?

– Nie było takiej potrzeby. Wcześniej zadzwoniłem do znajomego z więziennictwa, który dał mi kontakt do swojego bliskiego kolegi, naczelnika więzienia w Rawiczu, w czasach gdy siedział tam Krawietz. Od tego człowieka dowiedziałem się, że skruszony esesman spisał wspomnienia. Bardzo dokładne wspomnienia. Z wszystkimi szczegółami, które miały pomóc w oskarżeniu jego byłych kumpli z obozu. Ale nikt ich nigdy nie pociągnął do odpowiedzialności. Jeden z tamtych wachmanów był po wojnie znanym działaczem komunistycznym. Zasłużony towarzysz. Nietykalny, sama pani rozumie. Tak oto Krawietz zmarł, a zeszyty z jego zapiskami władze penitencjarne przekazały najbliższej rodzinie – synowi, który wyjechał na stałe do Bawarii. Autochtoniczni mieszkańcy Opolszczyzny uznawani są tam za Niemców.

– Ma pan jego adres?

Paluch sięgnął do notatnika, przepisał dane, wyrwał kartkę i podał ją Teresie Barskiej.

– Proszę bardzo. Nazywa się Andreas Schneider, dawniej Krawietz. Mieszka w Schwabmünchen, niewielkim miasteczku w Bawarii.

– Kto jeszcze o nim wie?

– Tylko ja i pani.

– I ta starsza dama, z którą spotkał się pan w Hiltonie. Zgadłam?

– Tak. – Paluch spłonił się, ponownie wpadając w lęk wywołany świadomością, że był śledzony. – Całkiem zapomniałem z tych nerwów. Ale ona to zupełnie inny temat. Ona szuka jakiegoś wyimaginowanego skarbu generała SS Albrechta Schmelta. Po prostu postanowiłem, że zarobię przy okazji parę groszy, dając jej

namiar na Schneidera.

Teresa Barska zamyśliła się i znów zapanowało kłopotliwe milczenie.

– Zrobimy tak – powiedziała po namyśle. – Ja pana dziś nie zatrzymam do dyspozycji prokuratora, a przełożonym wyjaśnię, że poszedł pan na współpracę. Czy ten scenariusz panu odpowiada?

– Ależ naturalnie! – wykrzyknął Paluch. – Co mam robić?

– No właśnie. Nic. Ma pan nic nie robić. Wszystko ma zostać tak, jak było zaplanowane. Co jakiś czas będę do pana dzwonić i przekazywać informacje, które pan z kolei powtórzy swoim współpracownikom w ściśle określonym czasie. Czy wyrażam się jasno?

Paluch skinął głową.

– Świetnie. Zaczniemy od tego, że dobrze byłoby, aby pan pod koniec tygodnia zniknął na dwa dni.

– Jak to: zniknął?

– Nie wiem. Proszę wyjechać do spa na Mazurach albo do ciotki na wsi, odwiedzić kolegę z wojska, wszystko jedno. Jeśli nie ma pan pomysłu – zażartowała, ale nie dała tego po sobie poznać – to może przymknę pana na czterdzieści osiem godzin? – Wymownie spojrzała na kajdanki.

– Do kolegi! – Paluch zareagował błyskawicznie. – Mam kolegę w Augustowie. Tyle razy mnie zapraszał. Ucieszy się. Ale dlaczego mam zniknąć? – zapytał.

– Będzie pan udawał, że był pan u Schneidera w Bawarii i że poznał pan dokładne miejsce pochówku ofiar obozu na Górze Świętej Anny. Ale przekaże pan to zleceniodawcom dopiero wtedy, kiedy dam panu sygnał.

Paluch wyglądał na niezdecydowanego.

– Czy mogę coś powiedzieć? – zapytał.

- Jasne. Słucham.
- Bo... Pani kapitan, jeśli z tego powodu, to ja wcale bym nie musiał zniknąć.
- Jak to?
- No, bo oni... Ci moi wspólnicy – ostatnie słowo z trudem przeszło mu przez gardło – są przekonani, że zorganizowałem nielegalny podsłuch telefonu Jakuba Kani i znam każde jego posunięcie. To może niechby nadal tak myśleli, co?
- Nie nadażam – przyznała Barska.
- Niechby myśleli, że informację, w którym miejscu jest grób, uzyskałem z podsłuchiwania Kani. Po co mieszać w to tamtego wachmana i jego syna w Niemczech?
- Kapitan ABW popatrzyła na niego z uznaniem.
- Dobra myśl. Widzę, że pan się stara.
- Chcę wymazać swoją winę – potwierdził żarliwie Paluch. – Nie wiem jeszcze, jak to zrobię, ale...
- Najlepszym sposobem na to, aby wymazać winę, jest wymazać winę – przerwała mu Barska, sięgnęła po kajdanki i ukryła je w torebce.

5

Molo w Brzeźnie, jedno z trzech trójmiejskich, nie jest tak fotogeniczne jak te w Sopocie i Orłowie, ale ma swój urok. Pod koniec września, gdy na Zatoce Gdańskiej rozpoczynają się poranne regaty mgieł, przypomina scenerię starego dreszczowca. Podczas gdy na sąsiedniej ścieżce rowerowej panuje idealna widoczność, molo spowija biały całun tajemniczości i ciszy. Cechy, które Oleg

Woronin lubił najbardziej.

Być może dlatego, że był synem narodu, który wymyślił przysłowie *Tisze jedziesz, dalsze budiesz*, będące kwintesencją dyskrecji, a być może z powodów osobistych. Wiele lat temu, kiedy Woronin nazywał się jeszcze Oleg Kolcew i prowadził dużo bardziej ryzykowne życie, cisza i tajemniczość ogromnie mu się przydawały.

Od kiedy wynajął mieszkanie w Trójmieście, starał się zaliczać przed śniadaniem trasę rowerową od gdańskiego Nowego Portu do sopockiego Parku Północnego. Najchętniej we wrześniu, bo gdy sezon miał się ku końcowi, na ścieżce było coraz mniej ludzi, a molo w Brzeźnie zachęcało, aby zanurzyć się we mgle, odpocząć i pomyśleć. Dziś było dokładnie tak, jak lubił. Mógł oprzeć rower o drewnianą balustradę, położyć na niej dłonie i poczekać, aż wiatr podniesie białą kurtynę, odsłaniając widok na Port Północny i Westerplatte. Tymczasem o tym, że jest nad morzem, informował go wyłącznie krzyk mew.

Woronin myślał o przyszłości. Na pierwszy rzut oka wyglądała równie niewyraźnie jak otoczenie pomostu spacerowego w Brzeźnie, ale Oleg był pewien, że się rozjaśni. Zwłaszcza kiedy odnajdzie najlepsze z możliwych światel przeciwmgielnych, czyli brylant Dawida Schwartzmana. Przecież to bułka z masłem. Radził sobie w znacznie gorszych sytuacjach.

Był młodym i obiecującym oficerem KGB, gdy starszy brat Borys namówił go na porzucenie służby i przyłączenie się do jego prywatnego przedsiębiorstwa. Firma miała siedzibę w Moskwie, międzynarodową nazwę Business Protection Group i zajmowała się ochroną interesów poważnych korporacji prowadzących działalność na całym świecie. Oleg był przekonany, że są goryłami ważnych prezesów albo konwojentami ich majątku, ale grubo się mylił.

Borys Kolcew, były żołnierz specnazu, pod snobistycznym szyldem oferował usługi starannie wyselekcjonowanego oddziału dawnych towarzyszy broni z Afganistanu, którzy potrafili zabić człowieka zaostrzoną krawędzią saperki i nie cofali się przed niczym. Oleg miał wnieść do tego towarzystwa nieco cywilizacji, nauczyć ich ogłady, chodzenia w garniturach i podstaw języka angielskiego, który znał z lektoratu w leningradzkiej szkole KGB imienia Kirowa.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych brat przyjął zlecenie w Afryce, w której ostatnio spędzał sporo czasu. Tym razem chodziło o ewakuowanie z Sierra Leone trzech holenderskich geologów, którzy utknęli w środku tamtejszej wojny domowej. Znaleźli się na ziemi niczyjej, na którą zapuszczały się na przemian oddziały rebeliantów i wojska rządowe, siejąc śmierć i okrucieństwo nie do opisanego. Holendrzy na szczęście mieli telefon satelitarny, co pozwalało namierzyć ich w tym piekle.

Borys był przeciwny pomysłowi, aby młodszy Kolcew leciał z nimi do Freetown, ale Oleg się uparł. Wcześniej brał udział w kilku akcjach KGB i wahał proch. To przeważało szalę wątpliwości.

Wylądowali w środku nocy na lotnisku w Lungi. Nosiło dumną nazwę International Airport, ale było zaledwie kawałkiem sawanny, na którym stał zdewastowany pawilon pełniący funkcję terminalu. „Międzynarodową” rangę nadawał lotnisku jedyny w Sierra Leone betonowy pas startowy, wybudowany niegdyś przez Anglików na potrzeby RAF-u. Stąd niewielki samolot transportowy zabrał ich na południowy wschód, w kierunku Liberii, i wysadził na lokalnym lotnisku, czyli po prostu pasie ubitej ziemi wypalanej słońcem jak ceramiczna płytką łazienkowa w specjalnym piecu. Potem jechali dżipami, dokąd się dało, a dalej szli pieszo. Mieli

dokumenty i przepustki wystawione przez władze Zachodnioafrykańskiej Unii Ekonomicznej, dlatego żołnierze oficjalnej armii przepuszczali ich bez problemu, czasami nawet salutując. Co natychmiast się wydało i przysporzyło im nieprzyjaciół w oddziałach Zjednoczonego Frontu Rewolucyjnego, RUF. W Afryce wiadomości rozprzestrzeniają się równie szybko jak zarazki, jakby przenosiły je te same muchy.

Trzeciego dnia marszu w drodze do Liberii, już z odnalezionymi holenderskimi poszukiwaczami złóż diamentów, natknęli się na zwiad rebeliantów, ubranych trochę jak komandosi, a trochę jak gwiazdy muzyki hip-hop. Tamtych było prawie dwudziestu, ich siedmiu, plus Oleg – oficer wywiadu, przeszkolony, ale niezbyt doświadczony w walce, i trzech holenderskich cywilów.

Starcie trwało kilka minut. Ani Borys, ani żaden z jego Afgańców nie został nawet draśnięty. Tamci zginęli wszyscy.

Tego dnia brat uratował Olegowi życie.

Zawsze miał przy sobie trzy opływowe, doskonale wyważone noże do rzucania i posługiwał się nimi z cyrkową zręcznością. W pewnej chwili podczas walki Borysowi skończyły się naboje w magazynku pistoletu, akurat w momencie gdy z krzewów wyłonił się czarny olbrzym w okularach przeciwsłonecznych i kolorowej chustce na głowie. Stanął w rozkroku kilka metrów od braci Kolcewów i szeroko się uśmiechnął. Szybkimi ruchami przestawił przełącznik AK-47 na ogień ciągły, zarepetował i właśnie unosił broń, gdy nóż rzucony przez Borysa utkwiał w jego krtani. Partyzant chwycił się za gardło, z którego nie mógł wydać nawet krzyku, po czym runął na twarz, upuszczając kałasznikowa i wznecając obłok czerwonego kurzu.

Gdy odskoczyli na bezpieczną odległość i założyli prowizoryczny

obóz, Oleg odnotował w świadomości dwie istotne zmiany, które zaszły dziś w jego życiu. Po pierwsze, osiwiiał i odtąd musiał farbować włosy. Po drugie, dowiedział się o swoim bracie rzeczy, o jakich nie miał pojęcia. Borys przez cały wieczór żałował, że zabrakło czasu na odwrócenie zwłok rebelianta ze Zjednoczonego Frontu Rewolucyjnego i wydobyć z nich noża. Kawalek metalu produkcji firmy Smith & Wesson miał dla niego o wiele większe znaczenie niż życie człowieka.

Do Sierra Leone wracali jeszcze kilkakrotnie, przewożąc stamtąd do Amsterdamu towar w niewielkich metalowych kuferkach, podobnych do tych, jakich używają wizazystki do przechowywania pędzelków, tuszów do rzęs, podkładów i czego tam jeszcze. Oleg nie dociekał, co w nich jest, bo brat nie lubił pytań, ale się domyślał. Kontrakt zakończyła w 2000 roku operacja brytyjskich sił morskich i powietrznych pod kryptonimem „Palliser”, która ostatecznie zlikwidowała Zjednoczony Front i zakończyła wojnę domową. Wojnę toczoną o wydobyć niewielkich mineralnych bryłek, które po oszlifowaniu umieszczano na całym świecie w pierścionkach zaręczynowych, zwiastujących ludziom szczęście, kosztem tragedii setek tysięcy mieszkańców Sierra Leone – zamordowanych, okaleczonych i wygnanych ze spalonych domów.

A potem był Proces Kimberley, rezolucja ONZ i certyfikacja kamieni wydobywanych w Afryce, która zakończyła erę tak zwanych krwawych diamentów. Kilka tygodni później Borys Kolcew, za którym wydano międzynarodowy list gończy, rozplynał się we mgle identycznej jak ta na molo w Brzeźnie. Od tamtej chwili minęło dziewięć lat.

Oleg wraz z dwoma byłymi żołnierzami brata zaczepił się

w Kaliningradzie i zajął przemytem ludzi. Nie na długo. Trafił do więzienia, gdzie poznał gangsterów z branży bursztynowej. Tu miał więcej szczęścia. Po odbyciu kary zmienił nazwisko na Woronin, żeby nie ściągać na siebie uwagi policji, i przeprowadził się do odległego o sto siedemdziesiąt kilometrów Gdańska, z wizą pobytową i opinią szanowanego handlowca legalnie sprowadzającego z obwodu kaliningradzkiego cenny bałtycki kruszec. To była doskonała przykrywka.

Przez te dziewięć lat nie miał do czynienia z diamentami. Aż do teraz. Do spotkania z holenderskim jubilerem w sopockim Sheratonie, a potem z jego współnikiem na polu golfowym w Amsterdamie. Rosjanin często wracał myślami do tamtej rozmowy.

Jeden kamień mógł zmienić jego życie, a Krupier nie miał cienia wątpliwości, gdzie się ten kamień znajduje. Wystarczyło tylko namierzyć miejsce i go odnaleźć. Oczywiście istniało ryzyko nielegalnego odkopania grobu ofiar obozu w Annabergu, ale czymże ono było wobec sytuacji, jakie Oleg przeżywał wtedy w Afryce? Niczym. Błahostką. Bajeczką dla grzecznych dzieci, którym nikt nie odcina rąk maczetą, aby nigdy więcej nie mogły wydobywać diamentów.

Woronin wzdrygnął się na tę myśl. Sięgnął po rower, przełożył nogę nad ramą, stanął na pedałach i ruszył w kierunku ścieżki rowerowej, zostawiając za sobą nieśmiałe resztki mgły nad molo.

Barska przygotowywała przyjęcie na cześć Jakuba Kania.

Krzątała się od kwadransa. Co chwilę zatrzymywała się jak na stop-klatce, aby pomyśleć, i natychmiast po tym wydobywała z szafki kolejny apetyczny kąsek, który trafiał na stół. Wszystko to rzeczywiście mogło wyglądać jak urządzenie poczęstunku, z tą różnicą, że przyjęcie nie miało się odbyć w domu ani w restauracji, ale w służbowym gabinecie kapitan ABW przy ulicy Rakowieckiej, a nakrycie stołu nie składało się z talerzy z przekąskami, tylko ze zdjęć i dokumentów, z którymi komponowały się dowody rzeczowe zamknięte w plastikowych torebkach. Gdy ułożyła na blacie ostatni z nich, ogarnęła całość spojrzeniem wyrażającym zadowolenie i obróciła się na pięcie, aby odebrać telefon dzwoniący na biurku. W biurze przepustek czekał Jakub Kania.

– Muszę przyznać – podał jej rękę na powitanie, gdy zeszła po niego – że w tak uroczych okolicznościach jeszcze się nie spotykaliśmy. – Kuba omiółł gestem dłoni pomieszczenie z siedziskami przymocowanymi do ścian oraz okienkiem, z którego lustrowała go wzrokiem funkcjonariuszka najwyraźniej przejęta rolą.

– To konieczne – wyjaśniła Teresa Barska. – Mam panu kilka rzeczy do pokazania. Zapraszam.

W gabinecie odwróciła krzesło przeznaczone dla niego tak, aby na razie nie patrzył na stół.

– Panie prokuratorze – zaczęła oficjalnie. – Powinnam pana uprzedzić, że pod pretekstem poszukiwań miejsca pochówku ofiar obozu na Górze Świętej Anny kryje się coś zupełnie innego.

- Skarb Schmelta – przypomniał Kuba. – Już pani to mówiła.
- Niezupełnie. – Pokręciła głową.
- Nie bardzo rozumiem.

– Chodzi o brylant. Bezcenny brylant, o którym Schmelt pewnie nawet nie miał pojęcia. Wykonany techniką tak zwanego czarnego szlif, wymyślonego przez Dawida Schwartzmana, człowieka, którego przez dziesięciolecia uważano za ducha, legendę, nie wiem – kogoś w rodzaju bohatera komiksu, czyniącego rzeczy niemożliwe.

– To jakiś żart? – spytał Kuba.

– Bynajmniej. Jubilerzy z Amsterdamu, którzy zgłosili się do Jad Waszem, to duzi gracze w branży diamentowej. Jeden z nich, używający pseudonimu Krupier, pozyskał wiarygodną informację, że Schwartzman istniał naprawdę i był więźniem obozu na Świętej Annie. Mało tego! Że wykonał tam brylant, który w chwili śmierci miał przy sobie i... ma go nadal, jeśli mogę się tak wyrazić. Dlatego za wszelką cenę chcą się dostać do tego grobu.

– Zaraz, zaraz. – Kuba podniósł otwartą dłoń. – Jak to „wykonał” brylant? W obozie pracy? Jak? Czym? Pilnikiem do paznokci?

– Brawo – pochwaliła go Barska. – Widzę, że się pan orientuje. Brylant można wyszlifować tylko na specjalnej żeliwnej lub miedzianej tarczy pokrytej mieszanką oleju i pudru diamentowego, a do tego trzeba mieć profesjonalny uchwyt i parę innych drobiazgów, które raczej nie stanowiły standardowego wyposażenia baraków w hitlerowskich obozach śmierci. Tylko że na Świętej Annie istniała i funkcjonowała, siedzi pan wygodnie?, prywatna, tajna szlifiernia brigadeführera Schmelta. Nieźle wyposażona i nieźle prosperująca.

Kuba, choć siedział wygodnie, z wrażenia wstał z krzesła.

– Teraz rozumiem... – powiedział tonem lunatyka patrzącego rankiem na gzyms na szóstym piętrze, po którym spacerował w nocy.

– Co konkretnie pan rozumie? – chciała sprecyzować Barska.

– Wiele rzeczy. Chociażby to, jakim cudem trafili tam Żydzi z Amsterdamu. W aktach IPN-u jest wzmianka, że ludzie Schmelta podmieniali chorych i wycieńczonych więźniów Annabergu, pracujących przy budowie autostrady, na silnych i zdrowych Żydów jadących transportami kolejowymi z Holandii do Oświęcimia przez Opole i Koźle. Ale na tych dworcach musiało dziać się coś jeszcze...

– Co pan ma na myśli?

– Jestem pewien, że wysłannicy Schmelta nie zatrzymywali przypadkowych transportów.

– Tylko jakie?

– Takie, w których jechali zamówieni przez nich specjaliści. Szlifierze diamentów. Po prostu ktoś w Holandii ich wyszukiwał i podsyłał Schmeltowi, który odbierał ich z pociągów jak przesyłkę konduktorską.

– Na jakiej podstawie pan tak sądzi? – zaciekała się kapitan ABW.

– Ma pani ksero akt IPN-u, które dla pani zrobiłem?

– Jasne. – Barska wstała i podeszła do stołu. – Proszę – podała mu plastikową teczkę z wpiętymi kopiami dokumentów.

Kuba zaczął ją kartkować. Po chwili znalazł to, czego szukał.

– Proszę spojrzeć. – Pokazał palcem fragment tekstu. – Mamy tu nazwiska Żydów z Amsterdamu. Pewien dociekliwy historyk z opolskiej delegatury IPN-u znalazł je w Urzędzie Stanu Cywilnego w Leśnicy, w którego archiwum zachowała się lista zgonów na Górze Świętej Anny z czasów, gdy istniał tam obóz. O, na przykład ten człowiek: Izaak Schijvenschuurder.

– Dziwne nazwisko – stwierdziła Teresa Barska.

– Bo to niezupełnie nazwisko – rzekł Kuba.

– A co? – zaciekała się.

– Zawód. Bardzo wyjątkowy zawód. Oznacza specjalistę od przygotowania tarcz szlifierskich do obróbki diamentów. – Były prokurator IPN-u usiadł. – Niektórych z tych ludzi zapisano w księdze zgonów za pomocą specjalności, nie nazwisk. Rozumie pani? Gdyby nas tam zapisano, to nie byłoby Teresa Barska, tylko Teresa Śledcza, i nie Jakub Kania, ale Jakub Prokurator. Że też od razu na to nie wpadłem – dodał z wyrzutem pod własnym adresem – widząc „nazwiska” Piłowacz, Ustawiacz, Tarczarz. Byłem przekonany, że to jakiś dziwny przypadek, w życiu bym nie pomyślał, że w obozie mógł działać warsztat szlifierski...

– ...a w nim Dawid Schwartzman, twórca legendarnego szlifu – uzupełniła Barska. – Geniusz, który wykonał tą techniką jeden brylant – dodała – i jak już wspomniałam, miał go przy sobie w chwili śmierci.

– Skąd to wiemy?

– Na ten moment mogę panu powiedzieć tylko tyle, że to wiedza operacyjna. W swoim czasie wszystko wyjaśnię.

– Na czym polega wyjątkowość tej metody, którą nazwała pani czarnym szlifem, od nazwiska Schwartzmana, jak się domyślam?

– Tak, od jego nazwiska. Ale na czym polega czarny szlif, nikt nie wie. Gdyby faceci z Amsterdamu, którzy zgłosili się do Jad Waszem, to wiedzieli, nie mieliby tak silnego parcia na poszukiwanie i rozkopywanie żydowskiego grobu w dalekiej Polsce. Ale oni nie wiedzą. A koniecznie chcą wiedzieć.

– Po co? – spytał Kuba.

Barska wzruszyła ramionami.

– Po co? – powtórzyła. – Żeby panować nad światem.

Diamentowym światem – wyjaśniła. – Nowatorski czarny szlif

może podbić rynek i wyprzeć z niego patent Asschera, nie mówiąc o zwykłym szlifie brylantowym, według którego wszyscy grzecznie obrabiają kamienie od siedemnastego wieku i nikomu nie przyjdzie do głowy, aby to zmieniać. Szlif Schwartzmana może stać się rewolucją, a jak pan wie z historii, na rewolucjach z reguły zyskują ci, którzy je wywołują.

– Jest pani dobrze zorientowana. – Kuba spojrzał na nią podejrzliwie. – Jeśli spytam o przyczyny, znów zasłoni się pani wiedzą operacyjną?

– Postaram się nie zasłaniać – obiecała Barska. – A teraz zapraszam pana do stołu.

7

Mężczyzna był nagi. Sfotografowano go w pozycji stojącej, tyłem i przodem. Na tym drugim zdjęciu miał wyprostowane ręce skrzyżowane tam, gdzie krzyżują się naturalnie, chroniąc u nagich ludzi miejsca najbardziej intymne. Mimo to Kuba poczuł się skrepowany. Przeniósł wzrok na twarz mężczyzny i w tej samej chwili go olśniło.

– To ten Rosjanin, który podjechał pod hotel Hilton i spotkał się z Paluchem – powiedział. – Ten sam. Tylko młodszy i kompletnie siwy. Dziwne. Kto to jest?

– Oleg Kolcew, obecnie Woronin – wyjaśniła kapitan Barska.

– Dlaczego jest goły?

– To zdjęcie z więzienia. Otrzymaliśmy je od kolegów z Moskwy w ramach przyjaźni i dobrej współpracy – uśmiechnęła się. – Jak pan widzi, facet kazał sobie zrobić trochę tatuaży. Rosjanie

fotografują takich typów, żeby mieć orientację, z kim mają do czynienia. W tamtejszym świecie przestępczym obrazki i symbole wydziergane na ciele to identyfikator, rodzaj dowodu osobistego. Gdyby pan Kolcew należał na przykład do Braci Słońcewskiej, uważanej za najgroźniejszą mafię w Eurazji, miałby bardzo charakterystyczne tatuaże. Co z kolei decydowałoby o tym, w którym zakładzie karnym go umieścić, od kogo izolować i tak dalej. Ale – machnęła dłonią – to, co tu widzimy, to tylko radosna twórczość. Amatorka. Rosjanie, podobnie jak Japończycy z jakuzy, uwielbiają się ozdabiać. Pamięta pan „Malowanego”? Tego moskiewskiego bossa zastrzelonego w Poznaniu? Miał taką ksywę, bo na jego ciele trudno było o centymetr kwadratowy wolny od tatuaży.

– Kim jest ten Kolcew? – spytał Kuba.

– Naszą jedyną szansą na odnalezienie jego starszego brata poszukiwanego od dziewięciu lat międzynarodowym listem gończym.

– I przez dziewięć lat nie potrafiliście namierzyć młodszego braciszka, który, jak widać, odwiedza Polskę mercedesem na kaliningradzkiej rejestracji i wcale się z tym nie kryje?

– Zmienił nazwisko – przypomniała Barska. – To raz. Nie ma wobec niego żadnych zarzutów, to dwa. A po trzecie, gdybyśmy chcieli inwigilować każdego Rosjanina z obwodu kaliningradzkiego, który przyjeżdża na zakupy do Ikei w Gdańsku, musielibyśmy mieć więcej funkcjonariuszy niż Polski Związek Wędkarski członków.

– Dlaczego starszy Kolcew jest ulubieńcem policji na świecie?

– Był jednym z najbardziej aktywnych handlarzy krwawych diamentów.

– Diamentów – powtórzył Kuba i znów spojrzał na nią

podejrzliwie. – Sporo pani wie o diamentach, pani kapitan.

Barska nabrała powietrza.

– No właśnie. Dlatego pana zaprosiłam. Wcześniej czy później wyszłoby to na jaw, a nie chcę, aby uważał pan, że nie jestem z panem szczerą. Dlatego powinien pan wiedzieć, że zanim zaczęłam pracę w ABW, byłam funkcjonariuszką Centralnego Biura Śledczego i zajmowałam się między innymi diamentami. Na tym stole ma pan obraz kilku spraw, które wyjaśniają... jak by to powiedzieć... mój profil zawodowy.

Kuba zmarszczył czoło. Nie spodobało mu się to, co usłyszał.

– Czyli wiedziała pani od początku, co się święci na Górze Świętej Anny, a mnie nabrała na bajeczkę o skarbie Schmelta.

Barska posmutniała.

– Wiedziałam, że tak pan to odbierze. Ale ręczę słowem honoru oficera: nie miałam o tym pojęcia i ani przez chwilę pana nie oszukiwałam. Tam rzeczywiście pojawił się wątek roszczeń neonazistów wierzących w skarb Schmelta, ale wrócimy do niego. Natomiast jeśli chodzi o diamenty, szlifiernię i brylant Schwartzmana, to temat pojawił się znacznie później. Praktycznie dzięki panu.

– Mnie?

– Tak, panu. Pan mi pokazał zdjęcie Rosjanina w swoim telefonie. Pan sprawił, że facet został objęty działaniami operacyjnymi, z których dowiedzieliśmy się o diamentach w obozie na Górze Świętej Anny.

– Nie nadążam – powiedział Kuba, wyraźnie udobruchany.

– Już wyjaśniam – odparła Barska. – Oto nasza historia: panowie z Amsterdamu zastanawiają się, kto w Polsce może im pomóc znaleźć grób na Annabergu, a w nim brylant Schwartzmana.

Przypominają sobie o młodszym Kolcewie, obecnie Woroninie, bo pewnie kiedyś robili biznes z jego bratem, kupując diamenty z Sierra Leone. Kolcew–Woronin przyjmuje zlecenie, ale przecież sam nie zorganizuje akcji w Polsce, w której każdy rozpozna go po akcencie. Więc wynajmuje podwykonawcę – skorumpowanego policjanta z Gdańska, który od lat mu pomaga i może urządzić ekshumację tak, aby wyglądała na legalną. Wystarczy tylko wskazać mu, gdzie dokładnie ma kopać...

– I to miała być moja rola?

– Dokładnie tak. Pan miał odnaleźć grób, a kolejny wynajęty człowiek, dzięki podsłuchowi pańskiego telefonu, miał tę informację wykraść, przekazać tamtym i pana ubiec. Ale ten kolejny człowiek uległ swojej chorej ambicji i postanowił samemu odnaleźć miejsce pochówku ofiar, piekąc dwie pieczenie na jednym ogniu: wskazując lokalizację grobu Rosjaninowi i ucierając panu nosa.

– Paluch – skwitował Kuba, wymownie kiwając głową.

– Tak jest – potwierdziła kapitan Barska.

– Dlatego sfalszował dokument z akt IPN-u. Chciał zatrzeć ślady prowadzące do skruszonego wachmana, który z pewnością zeznał lub opisał, gdzie są pochowane ofiary obozu. To łajdak – Kuba nie wytrzymał. – Skąd on się w ogóle wziął w tej sprawie?

– Żona tego skorumpowanego policjanta z Gdańska to siostra cioteczna Palucha.

– Wiedza operacyjna? – upewnił się Kuba.

– Wiedza operacyjna – przytaknęła kapitan ABW.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Wybrałam się do Palucha trzy dni temu – oświadczyła Teresa Barska, uznając, że Kuba dopasował już w myślach wszystkie kawałki układanki.

– I co?

– Cóż za miły i obdarzony zdrowym rozsądkiem człowiek – stwierdziła z kpiącym uśmiechem. – Od razu zgodził się przejść na naszą stronę i zostać kretem w obozie nieprzyjaciela.

– To do niego podobne – uznał Kuba. – Czy Paluch zrobił jakiś użytek z fałszerstwa dokumentu? Sprzedał tamtym trop wachmana?

– Nie zdążył – powiedziała Barska. – Ale dowiedział się znacznie więcej. Że Krawietz siedział w Rawiczu, że zostawił pamiętniki i że po jego śmierci zakład karny odesłał je najbliższej rodzinie, czyli synowi mieszkającemu w Niemczech. Niestety Paluch sprzedał jego adres pani Edycie Rhode, neonazistce wierzącej w skarb Schmelta zakopany na Górze Świętej Anny.

– Wobec tego muszę jak najszybciej jechać do Rawicza. – Kuba wstał z krzesła, jakby zamierzał to zrobić od razu. – Unra, ten mój wspólnik z Gdyni, dowiedział się, że Krawietz był swego czasu dość popularny w mediach, które nazywały go „skruszonym esesmanem”. Odszukał mi też namiary na emerytowanych pracowników więzienia, którzy mogą pomóc w ustaleniu adresu, na jaki zostały wysłane pamiętniki.

– To zbędne – oświadczyła Barska, również wstając. – Nie docenia pan naszego tajnego agenta Palucha – upomniała go i sięgnęła po leżącą na stole kartkę z odręczną notatką, w której Kuba rozpoznał charakter pisma swojego byłego dyrektora. – On już to ustalił. To jest adres Andreasa Schneidera, syna osadzonego, który nazywał się Manfred Krawietz i odbywał karę pozbawienia wolności w zakładzie karnym w Rawiczu.

– Dziękuję – powiedział Kuba, chowając kartkę do portfela. – Za pomoc i w ogóle. O diamentach – spojrzał na stół – kiedyś chętnie

posłucham. – Zatrzymał się na moment. – To było dobre spotkanie.
Chociaż...

Teresa Barska spojrzała na niego pytająco.

– Zastanawia mnie, dlaczego nie wygłosiła pani dzisiaj żadnej ze swoich prawd oczywistych.

– Najlepszym sposobem na to, żeby nie wygłaszać prawd oczywistych, jest... – Nie dokończyła, bo obydwójce się roześmiali.

Annaberg/Davos

maj 1943–maj 1953 roku

1

– Fiszler! – ryknął zza ogrodzenia SA-man pełniący dziś służbę dyżurnego w komendanturze.

Stary pospiesznie otworzył drzwi baraku Strefy Wydzielonej i wybiegł na zewnątrz. Opieszałość mogła kosztować kopniaka albo uderzenie gumową pałką przy najbliższej okazji. Zwłaszcza że ryk należał do chłopaka, który przed rokiem wywrócił się na stacji kolejowej i od tamtej pory był jeszcze bardziej wściekły na więźniów.

– Na rozkaz! – zameldował się przy ogrodzeniu, oddalony ścianą drutu kolczastego.

– Do scharführera! Natychmiast!

– Ale, panie oficerze – stary zawsze zwracał się w ten sposób do SA-manów, mimo że byli zaledwie szeregowcami – nie ma drugiego kapo. Poszedł po coś do kuchni. Mnie nie wolno zostawiać więźniów samych przy pracy. To jest kategorycznie zabronione.

– Czy możesz otworzyć furtkę? – spytał przymilnie SA-man.

– Nie mogę, panie oficerze. Pan wie, że ja nie mogę.

– Szkoda – zmartwił się chłopak w brunatnej bluzie. –

Wszedłbym tam i tak bym cię zamalował w pysk, że od razu byś

sobie przypomniał, jak trzeba słuchać rozkazów, żydowska gnido. Jak pan scharführer każe, żebyś się natychmiast u niego zameldował, to masz się natychmiast zameldować! – wrzasnął.

Fiszler struchlał, otworzył furtkę i pokuśtykał do budynku komendantury popędzony solidnym kopniakiem.

– Melduję się. – Trzasnął obcasami w biurze scharführera, przyjmując postawę zasadniczą i trzymając czapkę zgodnie z regulaminem pod prawą pachą. Ale esesman o posturze atlety, z reguły uczulony na punkcie musztry, tym razem nie zwrócił na niego uwagi. Chodził po pokoju szybkim i nieco chaotycznym krokiem człowieka silnie zdenerwowanego. Był blady i sprawiał wrażenie, jakby się czegoś bał.

– To koniec, Fiszler – rzucił w twarz więźnia z odległości tak bliskiej, że ten poczuł jego oddech mocno zalatujący wódką. – Koniec! Rozumiesz?

– Nie rozumiem, panie scharführer – wyznał szczerze.

– Był telefon z Sosnowca. Schmelt aresztowany.

Stary poczuł, że podłoga ucieka mu spod nóg. Oparł się o poręcz krzesła. Czapka wysunęła mu się spod ramienia, ale w ostatniej chwili zdołał ją złapać.

– Boże jedyny. Co teraz, panie scharführer?

Atletyczny esesman popatrzył na niego nieprzytomnym wzrokiem i raptem odzyskał spokój, jakby powrócił ze stanu zamroczenia.

– Trzeba działać – oświadczył. – Natychmiast. Inaczej zginiemy.

– Potarł twarz dłońmi, jakby mył ją w niewidzialnej wodzie. –

Posłuchaj uważnie, Fiszler.

– Na rozkaz. – Stary znów się wyprężył.

– Po Schmelta przyjechali z Katowic – głośno myślał esesman. – Pewnie nie chcieli, aby aresztowało go gestapo z Opoła, bo przecież brigadeführer jest też prezydentem tamtejszej rejencji i ma ogromne wpływy. Ciekawe, kto przyjedzie po nas. Jeśli policja albo żandarmeria z Opoła, to niedługo tu będą. A wtedy już nie żyjemy. Jeśli jadą ci z Katowic, to mają kawałek dalej. Tak czy inaczej, Fiszler, nie ma ani chwili do stracenia.

– Tak jest, panie scharführer!

– Posłuchaj mnie. – Esesman usiadł ciężko na krześle, wyjął chustkę i wytarł nią pot z czoła. – Wrócisz zaraz do Strefy Wydzielonej, przerwiesz pracę i każesz Żydom rozmontować szlifiernię. Ale zrób to sprytnie, słyszysz? Żeby nie wpadli w panikę. Powiedz, że jedzie do nas jakaś kontrola i musimy na jakiś czas zwinąć interes.

– Co mam zrobić z urządzeniami?

– Tarcze i uchwyty rozkręcić, naoliwić, zawinąć w szmaty i zakopać. Miejsce oznaczyć. Resztę rozebrać, pochować, ukryć, poprzemnieść do innych baraków. Warsztat zostawić, ale postawić w nim jakieś inne rzeczy. Nie wiem... Kopyta do naprawy butów? Rzucić tam parę zniszczonych par, poukładać młotki. Zatrzeć ślady szlifierni. Jeśli ci, którzy przyjadą, zorientują się, co było robione w Strefie Wydzielonej, Schmelt zadynda na stryczku. Ile masz gotowych brylantów?

– Czternaście – zameldował Fiszler.

– A surowych diamentów?

– Takich, co dadzą dobry uzysk, będzie z trzydzieści karatów.

– Na początek wystarczy – skwitował półgłosem esesman, a przenosząc wzrok na starego, rzucił: – Ruszaj, Fiszler. Obyś zdążył przed gestapo. Jak skończycie, odeślij całe komando do

baraku mieszkalnego i wracaj tu. Najdalej za godzinę czekam na meldunek, że zrobiliście wszystko tak jak trzeba. I lepiej, żebym nie wpadł w gniew.

Stary, nie tracąc czasu na ceremonie ulubione przez scharführera, ale w innych okolicznościach, czym prędzej wybiegł z budynku.

Atletyczny esesman wyjrzał przez okno. Odczekał, aż Fiszler zniknie z pola widzenia, po czym wezwał SA-mana pełniącego dyżur w kancelarii.

Chłopak zameldował się regulaminowo.

– Ilu was z SA jest teraz na terenie obozu? – spytał scharführer.

– Tylko ja. Reszta poszła pilnować więźniów na budowie autostrady.

Esesman podrapał się w głowę. Nie był zachwycony tą wiadomością.

– Dobra – odrzekł po chwili. – A ilu jest wachmanów?

– Sześciu, panie scharführer – zameldował chłopak.

– Co teraz robią?

– A co mają robić, panie scharführer? Jak zwykle siedzą w swojej kanciapie, grają w karty i pierdzą w stołki. Jak Żydzi wychodzą do roboty, jedni na budowę, a drudzy do Strefy Wydzielonej, wachmani nie mają zbyt dużo zajęcia – stwierdził z zazdrością i przyganą.

– Dawaj tu któregoś.

SA-man zerknął przez okno.

– Krawietz pali papierosa przed barakiem. Zawołać go?

– Nie – zabronił esesman. – To mięczak. Idź tam i przyprowadź feldfebla. Tego o kwadratowej mordzie. Wiesz, którego?

– Tak jest – potwierdził chłopak i wybiegł z budynku.

Po paru minutach pojawił się w towarzystwie rosnącego podoficera Wehrmachtu.

Esesman przerwał mu próbę zameldowania się, po czym odprawił SA-mana i kazał zamknąć drzwi.

– Jest tak – rzekł do feldfebla. – Za pół godziny, może trochę dłużej, Żydzi z komanda Strefy Wydzielonej przerwą pracę i wrócą do swojego baraku mieszkalnego. Weźmiesz wszystkich wachmanów, z wyjątkiem tego przy bramie, i będziesz na nich czekał. Jasne?

Feldfebel zameldował, że tak.

– A teraz posłuchaj uważnie – powiedział scharführer i wyjął mu swój plan.

2

Niecałą godzinę później Fiszler wpadł do budynku komendantury zziębnięty i szczęśliwy.

– Udało się, panie scharführer – zameldował z radością. – Gestapo może sobie przyjeżdżać. Niczego nie poznają. Barak wygląda jak warsztat do naprawy butów. Tak jak pan chciał.

W odpowiedzi atletyczny esesman wskazał mu krzesło i nastawił gramofon. W niczym nie przypominał siebie sprzed godziny. Był całkowicie spokojny i opanowany.

– Siadaj, Fiszler – zaproponował. – Pogadamy.

Stary nie potrafił ukryć zdumienia, ale wiedział doskonale, że scharführerowi się nie odmawia. Nawet uprzejmości.

Przycupnął na brzegu krzesła, otrzepując wcześniej spodnie.

– Fiszler... – zaczął refleksyjnie esesman. – Jak długo się znamy?

– Ponad dwa lata, panie scharführer – stwierdził stary, gorączkowo zastanawiając się, do czego zmierza ta rozmowa.

– Dwa lata... Chyba wystarczy.

Fiszler w ułamku sekundy oblał się potem.

– Nie, nie to mam na myśli. – Esesman dopiero teraz zorientował się, jak więzień mógł zrozumieć to stwierdzenie. – Wystarczy, abym ci okazał moje zaufanie i... wdzięczność za wszystko, co zrobiłeś dla mnie i dla Schmelta.

– Myśli pan, że pan brigadeführer będzie miał kłopoty?

– Może tak, może nie. Szlifiernię zlikwidowaliśmy, więc nie ma dowodów, że po cichu produkował brylanty i okradał Trzecią Rzeszę. Tyle mogliśmy dla niego zrobić i jeśli się wywinie, to nie powinien mieć do nas pretensji – oświadczył atletyczny esesman i podniósł z biurka leżący tam formularz z pieczęciami. – Wiesz, co to jest? – zapytał.

– Rozkaz wyjazdu – odparł Fiszler.

– Dokładnie tak. Rozkaz transportu więźnia Zwangsarbeitslager Annaberg nazwiskiem Fiszler do obozu koncentracyjnego w Dachau.

Stary Żyd ponownie znalazł się na krawędzi panicznego lęku.

– Ale z ciebie tchórz. – Esesman pokręcił głową. – Wiesz, co tu jest napisane na dole? – Wskazał palcem formularz. – Że więźnia nazwiskiem Fiszler eskortuje do Dachau scharführer SS Rudolf Vogel, czyli ja. – Uśmiechnął się szeroko i spojrzał na starego, który nadal siedział skamieniały ze strachu. – A to oznacza – dodał esesman – że obaj panowie: Fiszler i Vogel ulotnią się podczas tej podróży jak kamfora w świeżym powietrzu. Rozumiesz?

Fiszler nie rozumiał.

– Dachau – wyjaśnił atletyczny esesman – leży niedaleko

Szwajcarii. A właśnie tam się wybieramy, mój drogi Fiszlerze. Za jeden z naszych kamyczków odpowiedni ludzie przeniosą nas przez granicę w lektyce – uśmiechnął się. – Dla ciebie i dla mnie wojna się kończy. Rozpoczynamy nowy etap życia. Na start mamy twoje kontakty wśród szlifierzy, moje kontakty wśród przemytników, czternaście brylantów i trzydzieści karatów surowych diamentów. Piękny początek, nie sądzisz? Zbieraj się, samochód czeka. Jedziemy do Opolą. Zostawimy wóz przed dworcem. Minie parę dni, zanim gestapo dojdzie, o co chodzi. Nie będą nawet wiedzieć, do jakiego pociągu wsiedliśmy. No już, współniku, ruszaj dupę z krzesła i idź po swoje rzeczy.

3

Kwadrans wcześniej feldfebel zrobił apel dla więźniów zatrudnionych w Strefie Wydzielonej. Towarzyszył mu wachman Manfred Krawietz, nerwowo gryzący zapałkę i lustrujący wzrokiem Żydów, jakby chciał wyczytać z poszczególnych twarzy, czego może się po nich spodziewać.

– Zaraz tu będzie kontrola – oznajmił feldfebel. – Mam rozkaz zaprowadzić was do lasu i ukryć, aż tamci wszystko sprawdzą i odjadą. Jasne?

Żydzi zgodnie pokiwali głowami. Wiadomość zgadzała się z tym, co jakiś czas temu powiedział im Fiszler przed zdemontowaniem szlifierni.

– Wychodzimy z obozu i idziemy tam. – Feldfebel wskazał dłonią w kierunku Leśnicy.

Nikt nie oponował. Przechodząc przez bramę, więźniowie

ponaglali się nawzajem.

Po kilku minutach szybkiego marszu przez las dowódca konwoju zwolnił i przywołał do siebie wachmana, który towarzyszył mu w eskorcie Żydów.

– Krawietz – spytał półgłosem – gdzie jest Pinto?

Wachman wzruszył ramionami.

– Wszyscy stać! – rozkazał feldfebel. Dyszał ciężko. – Gdzie jest Pinto? – powtórzył pytanie, tym razem skierowane do więźniów.

Żydzi popatrzyli po sobie. Na twarzy najmłodszego pojawił się uśmieszek.

– Pewnie u Greta – odpowiedział. – Pan kapo ujeżdża ją przy każdej okazji.

Feldfebel rzucił mu wściekłe spojrzenie, ale natychmiast się opanował.

– Manfred – zwrócił się do wachmana. – Biegiem do lagru i sprowadź tu tego zboczeńca. Raz-dwa.

Krawietz ruszył ścieżką z powrotem. Feldfebel popatrzył za nim i poprowadził komando Strefy Wydzielonej w stronę kaplicy na końcu lasu zwanej Domkiem Maryi. Byli od niej dosłownie o kilka kroków, gdy zza rogu budynku wyszło jeszcze trzech wachmanów.

4

Krawietz wpadł do spiżarni w baraku kuchennym akurat w momencie, gdy Greta wydała głęboki jęk rozkoszy. Wachman nie mógł go usłyszeć, bo zawadził lufą karabinu o metalowe garnki wiszące pod sufitem, które spadły na kamienną podłogę z takim rumorem, jakby obóz zaatakowały angielskie samoloty

bombardujące pobliskie fabryki w Zdieszowicach i Kędzierzynie.

Pinto wyszedł zza worków, za którymi połyskiwały gołe łydki Grety, podciągając spodnie. Popatrzył na wachmana pytająco.

– Chodź szybko – powiedział Krawietz. – Ewakuujemy was do lasu.

– Jakich „was”? – spytał Pinto.

– Komando Strefy Wydzielonej. Jedzie tu jakaś kontrola. Scharführer kazał ukryć swoich Żydów.

Pinto pomyślał przez chwilę.

– A co z barakiem, w którym pracowało komando?

– Nie moja sprawa – rzekł Krawietz. – Ale coś tam rozmontowywali prawie przez godzinę. Nie pomagałeś im?

– Byłem tu. – Pinto wskazał ruchem głowy worki, zza których wychodziła właśnie Greta, zapinając bluzkę. Uśmiechała się bezwstydnie. – A jak jestem tu – wyjaśnił Pinto – to nikt mi nie przeszkadza.

Krawietz puścił tę uwagę mimo uszu.

– Dobra – powiedział. – Idziemy. Trzeba się spieszyć.

– Mosh szczyńście, Manfred, żeś przyszoł po wszystkim, bo bych ci tego nie darowała – rzekła Greta w swoim dziwnym języku, ale wachman nie zareagował, pociągając Pinta za rękaw.

Po przejściu przez bramę, pilnowaną przez strażnika, który przepuścił ich bez słowa, weszli w las, za którym rozciągały się pola Leśnicy. Bukowe liście zaczęły już żółknąć i opadać na wypłowiałą trawę, tworząc wraz z nią obraz przypominający cętkowaną skórę dzikiego zwierzęcia. Milczeli. Teren był tylko lekko pofałdowany, mimo to marsz wymagał oszczędzania oddechu, a nie trwonienia go na gadanie. Minęli kaplice: Pałac Kajfasza i Wieczernik. Drzewa były coraz rzadsze.

Nagle Pinto, idący przodem paręnaście kroków przed wachmanem, stanął jak wryty.

W odległości około stu metrów wznosił się Domek Maryi, widoczny z daleka, ale dopiero teraz można było dostrzec leżących na trawie Żydów ze Strefy Wydzielonej. Nawet stąd było widać, że nie żyją. Sprawiali wrażenie, jakby wypadli z pędzącego pociągu. Ich ciała leżały rozrzucone na powierzchni kilku metrów, w nienaturalnych pozach, skulone lub rozciągnięte, z rozkrzyżowanymi ramionami. Wachmani kopali dla nich dół. Pinto odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę strażnika, który go zabrał z baraku kuchennego.

– To po to mnie prowadzisz? – krzyknął. – Ty szwabska świnió!

Krawietz osłupiał, ale instynkt kazał mu skierować w stronę napastnika trzymanego w ręku karabin, tak jak średniowieczni piechurzy kierowali włócznie w stronę atakującej konnicy. Pochylając broń pod kątem, zdenerwowany, machinalnie nacisnął spust.

Pinto zarył stopami w leśnym poszyciu, chwytając się za szyję, z której trysnęła fontanna krwi. Stał tak przez kilka sekund, wpatrując się w wachmana, potem upadł na wznak. Krawietz rzucił karabin na ziemię i podbiegł do niego.

– Ja nie chciałem, Johan – wykrztusił, trzęsąc się jak w ataku febry. – Rzuciłeś się na mnie... – Głos mu się załamał.

Pinto popatrzył na niego tak, jakby rozumiał i wybaczał.

– Man...fred... – szepnął. – Weź...

Z trudem uniósł mocno zaciśniętą pięść, ale w tym samym momencie dobiegł do nich feldfelbel z pistoletem w dłoni i strzelił leżącemu w środek czoła. Oczy Johana Pinto zaszły mgłą, a potem odpłynęły w niebyt.

– *Gute Arbeit*, Krawietz – pochwalił podoficer, spluwając na martwego więźnia, który znieruchomiał z zaciśniętą na piersi pięścią, na której zatrzymywała się płynąca krew, omijając ją jak rzeka omija wyspę na środku nurtu.

Krawietz odwrócił się w stronę feldfebla. Miał dziki, niebezpieczny wzrok.

– Ty skurwysynu – syknął po polsku i ruszył w przeciwną stronę, po paru krokach schylając się po karabin.

Feldfebel dopadł go w chwili, gdy Krawietz podnosił broń, i powalił uderzeniem kolby parabellum w tył głowy. Wachman osunął się na kolana. Dyszał ciężko. Po twarzy ciekły mu łzy.

Rosły podoficer chwycił go za kark.

– Opanuj się, Krawietz! Słyszysz?

Nie zwalniając uchwytu, odciągnął go pod pień starego dębu i oparł o niego plecami, przykładając pistolet do głowy.

– Zapamiętaj – powiedział do wachmana z determinacją – to wszystko tu nigdy się nie wydarzyło.

5

Idąc z budynku komendantury, aby przygotować się do podróży, Fiszler znalazł się obok baraku kuchennego akurat w chwili, gdy rozległ się tam jakiś ogłuszający hałas, ale mimo to odniósł wrażenie, że w oddali, w lesie słyszy odgłosy wystrzałów. Przez chwilę zawiądnęła nim straszna myśl, ale odpędził ją. Nie miał teraz czasu na domysły. Zniknął w baraku, gdzie nie zastał nikogo z komanda Strefy Wydzielonej. Lęk ponownie chwycił go za gardło, ale uznał, że to rezultat nerwów, jakie przeżywał od prawie dwóch

godzin. Niech to się wreszcie skończy.

Pospiesznie umył się w miednicy stojącej na taborecie, a wycierając twarz, spojrzał na pustą pryczę drugiego kapo. Ma zdrowie, pomyślał, skoro obraca tę Gretę od ponad godziny. Pewnie śpią na workach wykończeni – uznał i nagle coś dotarło do jego świadomości: Pinto musi jechać z nimi! Trzeba dopisać go do rozkazu wyjazdu. W trójkę, z tym jego genialnym szlifem, podbiją diamentowy świat.

Fiszler czym prędzej spakował kilka drobiazgów do parcianego worka i kuśtykając, wrócił do komendantury. Atletyczny esesman właśnie z niej wychodził. W płaszczu i w czarnych skórzanych rękawiczkach, z walizką w dłoni.

– Panie scharführer – powiedział pośpiesznie stary. – Musimy zabrać jeszcze kogoś!

Esesman popatrzył na niego jak na przybysza z innej planety.

– Straciłeś rozum, Fiszler?

– Wręcz odwrotnie – powiedział Fiszler z niespotykanym wcześniej tupetem. – Odzyskałem rozum. Pan wie, kto tu jest?

– Tu, czyli gdzie? – spytał niecierpliwie esesman, patrząc na zegarek.

– Tu, w obozie.

– Nie wiem i mam to w dupie.

– Dawid Schwartzman.

– Tu nie ma nikogo takiego, Fiszler. Odbiło ci.

– On jest pod zmienionym nazwiskiem: Johan Pinto.

Scharführer spojrzał na niego badawczo.

– A kto to jest ten Schwartzman?

– Człowiek, który wymyślił czarny szlif. Genialny nieznanany patent obróbki diamentów. Dzięki niemu możemy osiągnąć

wszystko w naszym przyszłym interesie, panie scharführer!
Musimy go zabrać do Szwajcarii. Ten człowiek to żyła złota.

– Nie ma na to czasu – stwierdził ostro esesman. – Przestań
pieprzyć i wsiadaj do auta.

Stary się zapał.

– Musimy... – dyszał. – To czarny szlif... Legenda, która okazała
się prawdą...

W tym momencie dotarł do nich stłumiony huk pojedynczego
strzału z karabinu, dochodzący gdzieś daleko zza budynku
komendantury, od strony pól.

– Co to było? – przestraszył się Fiszler.

– Nic, wsiadaj – rzucił esesman, chwycił go za drelich na
piersiach i szarpnął w stronę samochodu. – Zaraz pojawi się tu
gestapo i będzie po nas.

Stary się wyrwał.

– Pan nie rozumie – upierał się. – Ten człowiek może dokonać
rewolucji w branży. To geniusz...

Echo przyniosło odgłos kolejnego wystrzału, tym razem
brzmiącego jak klaśnięcie, po którym poderwały się spłoszone
ptaki.

– Już po twoim geniuszu – warknął esesman.

– Jak to?! – Fiszler zachwiał się i cofnął o krok.

– Rozkaz Schmelta. Żadnych świadków. Nie dociera to do ciebie?
Ty zlikwidowałeś szlifiernię, ja zlikwidowałem komando, które
w niej pracowało. Koniec.

– Ale przecież uciekamy do Szwajcarii. Co nas to... – jęknął stary.

Twarz esesmana wykrzywiła się w grymasie.

– Schmelt ma potężnych przyjaciół i długie ręce. Jeśli mu się
upieczce, jeśli go wypuszczą i jeśli zechce, znajdzie nas na końcu

świata. Szwajcaria nas przed nim nie uchroni. Dlatego doceni, że zatarliśmy wszystkie ślady, i nie będzie nas szukał. A o tych paru brylantach, które zabieramy, nawet nie wie.

– Brylant! – krzyknął nagle stary. – Pinto ma przy sobie brylant, który własnoręcznie oszlifował. Minimum dwa karaty. To arcydzieło zrobione czarnym szlifem. Widziałem na własne oczy...

Fiszler drgnął, jakby chciał pobiec w stronę lasu.

Esesman odpiął kaburę, wyszarpnął z niej parabellum, odbezpieczył i wymierzył w jego głowę.

– Wsiadasz czy chcesz dołączyć do pozostałych?

– Niech pan mnie nie straszy. – Na starym nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Powoli obszedł auto i zajął fotel pasażera.

– Ma pan dla mnie rozkaz wyjazdu – bąknął pod nosem. – Sam pan daleko nie zajedzie.

6

Dokładnie dziesięć lat później w ciepły majowy wieczór limuzyna mercedes-benz 300, uważana za najbardziej dostojny samochód świata, zatrzymała się przed prywatnym sanatorium w Davos.

Hamulce jeszcze nie zdążyły dokończyć dzieła, do którego zostały powołane, gdy z budynku lecznicy wysypało się stadko portierów, pielęgniarzy i bagażowych, kiwających się w ukłonach niczym figurki w katarynce. W mgnieniu oka porwali walizki z bagażnika, otwierając tylne drzwi pasażerom: otyłemu mężczyźnie przed czterdziestką i mizernemu chłopcu o pergaminowej cerze. Goście zostali odprowadzeni do pokoju, gdzie czekały na nich szwajcarskie czekoladki i odręczny list dyrektora lecznicy z zaproszeniem na

dzisiejszą kolację. Odświeżyli się, przebrali w stroje wieczorowe i zeszli do jadalni.

Stolik, przy którym czekał już szef kliniki, stał przy oknie, za którym w ciągu dnia roztaczał się olśniewający widok na Alpy. Dyrektor wstał, uklonił się i uściskał dłonie najpierw korpulentnemu rumianemu mężczyźnie, a potem szczupłemu blademu chłopcu.

– Dobrą panowie mieli podróż? – spytał troskliwie.

– Nie najgorszą – ocenił rumiany mężczyzna, potwierdzając skinieniem głowy pytanie zawarte w spojrzeniu dyrektora, który uniósł nad jego kryształowym kieliszkiem dzbanek z wodą mineralną. – Do Zurychu przylecieliśmy rejsowym samolotem z Amsterdamu, a na lotnisko przysłał po nas samochód mój szwajcarski kontrahent. Piękna droga tu do pana prowadzi, prawda, Adamie?

Chłopiec gotów był potwierdzić, ale dyrektor sanatorium go ubiegł.

– Davos to najwyżej położone miasto w Europie. I w mojej opinii jedno z najpiękniejszych. Nie mówiąc już o walorach zdrowotnych. Panowie do nas na długo?

– Syn – otyły mężczyzna spojrział z troską na chłopca – ma dopiero jedenaście lat, a już cierpi na płuca. Oboje z żoną bardzo się o niego martwimy. Najlepsi specjaliści zalecili pobyt w Davos, więc pomyśleliśmy, że przy okazji ja również skorzystam z odpoczynku. Zakładamy, że zostaniemy na miesiąc.

– Doskonała decyzja – pochwalił szef lecznicy. – Zajmiemy się synem jak potrafimy najlepiej. Jutro osobiście zbadam chłopca i przy obiedzie przedstawię szanownemu panu plan terapii. Postaramy się, aby był jak najprzyjemniejszy. – Uśmiechnął się do

Adama. – O pana również zadbamy. Spacer, lektura, trochę zabiegów. Czy pan pali?

– Tylko cygara.

– Zastanowimy się, czy się ich nie pozbyć. Ręczę, że nie będzie pan się u nas nudził. Ale, ale... – Dyrektor raptem sobie coś przypomniał i obniżył głos niemal do szeptu: – Pan się zajmuje jubilerstwem, panie Goldstein, nieprawdaż?

Rumiany mężczyzna przytaknął.

– To się dobrze składa – ucieszył się dyrektor. – Od dwóch tygodni przebywa u nas prezes dużej firmy z branży diamentowej. – Wymienił nazwę, a Goldstein uniósł powieki w geście niedowierzania. – Ma siedemdziesiąt lat i jest bardzo chory. – Szef lecznicy szczerze się zmartwił. – Obawiam się, że nie jesteśmy mu już w stanie pomóc... Niemniej starszy pan pozostaje niezwykle energiczny i uwielbia rozmawiać. Raczy nas wszystkich opowieściami o swoim życiu i kamieniach szlachetnych. Może zechciałby pan z nim pogawędzić od czasu do czasu? To byłby ze wszech miar dobry uczynek.

– Z największą radością – odparł Goldstein.

– Doskonale – uradował się szef kliniki. – Jutro panów poznam. Należałoby to uczcić kieliszkiem szampana, ale sam pan rozumie, drogi panie Goldstein. Sanatorium.

Prezes firmy, która budziła w branży powszechne podziw, uznanie i zazdrość, choć może niekoniecznie w tej kolejności, był zasuszonego starcem, który wyglądał na znacznie więcej lat, niż to

wynikało z jego aktu urodzenia. Przed wojną nikt o nim nie słyszał, za to po wojnie wraz ze współnikiem zbudowali w Szwajcarii diamentową potęgę, która miała swoje przedstawicielstwa w Afryce i Indiach, wydobywając, szlifując i sprzedając diamenty. Był bajecznie bogaty. W sanatorium w Davos zajmował wygodny apartament na ostatnim piętrze, z olbrzymim tarasem, urządzone specjalnie dla niego. Starzec miał świadomość, że spędzi tu resztę życia, które dopalało się jak końcówka świecy.

Wiadomość, że pensjonariuszem kliniki został właściciel szlifierni diamentów z Amsterdamu, niezwykle go ucieszyła. Jeszcze tego samego dnia polecił prywatnemu kamerdynerowi zasięgnąć języka, co jada pan Goldstein, po czym zamówić wszystko w kuchni i zorganizować powitalny lunch na tarasie. Dla gościa i jego syna. Dokładnie tak jak przewidział dyrektor sanatorium, starszemu panu od razu ubyło lat.

Obiad był udany. Goldstein zachwycał się ulubioną gęsiną w sosie śliwkowym, a gospodarz przez całe popołudnie wypytywał o Amsterdam i chwalił wychowanie małego Adama, który nie odzywał się niepytany, a pytany odpowiadał z niezwykłą dla jego wieku rezolucją. Oczywiście przez rozmowę przesypano się sporo diamentów.

Dwa dni później, gdy Goldstein junior korzystał z dobrodziejstw inhalacji, jego ojciec zabrał starszego pana na spacer, zapewniając kamerdynera, że sam poradzi sobie z pchaniem wózka inwalidzkiego. Rozmawiali o zmianach, jakie zaszły w Europie po wojnie, obiecując sobie, że jeszcze wrócą do tego tematu.

W niedzielę do Davos przyjechał współnik starszego pana, który przejął zarządzanie przedsiębiorstwem. Był to solidnie zbudowany czerstwy Niemiec. Goldstein miał wrażenie, że nie jest zbyt

inteligentny i wykształcony, za to nie brakuje mu stanowczości, a może nawet brutalności. Cokolwiek by mówić – przydatnej w biznesie, jaki prowadzili. Ujęła go troska, z jaką wspólnik odnosił się do starszego pana.

– Ciekawe – powiedział Goldstein, trzymając w dłoniach uchwyty wózka, gdy po obiedzie odprowadzili gościa na podjazd. – Jeszcze dziesięć lat temu trudno byłoby sobie wyobrazić spółkę kogoś naszej narodowości z Niemcem, nie sądzi pan?

Starzec uśmiechnął się zagadkowo, ale zamiast komentarza z ust wyrwało mu się głośne ziewnięcie.

– Powinienem odpocząć – uznał. – Zechce mnie pan odwiedzić do pokoju?

– Ależ naturalnie – ożywił się Goldstein. – Zobaczymy się jutro.

– Mam lepszy pomysł – stwierdził starszy pan, gdy wjeżdżali do windy. – Wspólnik przemycił małą buteleczkę koniaku. – Mrugnął porozumiewawczo. – Proszę wpaść koło dziewiętnastej. Wypijemy po kieliszeczku za przyjaźń.

– Ale czy panu wolno? – zaniepokoił się Goldstein.

– Mnie niczego nie wolno. – Starzec się uśmiechnął. – Wszyscy wokół się troszczą o to, żebym umarł zdrowszy. Ani myślę. A, jeszcze coś. – Odwrócił się przed drzwiami swojego apartamentu. – Proszę przyprowadzić Adama. Mam też trochę słodyczy.

Koniak pamiętał czasy przedwojenne. Przechował słońce departamentu Charente we Francji oraz aromat dębu, z którego zrobiono beczkę, w której leżakował. Starzec uniósł do góry kryształowy kieliszek z prywatnej zastawy, oglądając go pod światło.

– Ładna robota – pochwalił Goldstein. – Wyszlifowany jak brylant.

– To prawda – ucieszył się stary. – Nigdy tak nie myślałem o szkle – przyznał. – Ale coś w tym jest. A pańska pracownia, panie Goldstein – spytał pod wpływem tego impulsu – jaki stosuje szlif?

– Święty. – Jubiler uniósł dłonie, jakby zwracał się w synagodze do istoty wyższej. – Brylantowy. – Była w tym jakaś odrobina kpiny i stary natychmiast ją wyłowił.

– Mówi pan to tak, jakby nie był nim zachwycony.

– Bo nie jestem. – Koniak dodał Goldsteinowi animuszu. – Ale co zrobić? On nadaje diamentom brylancję, blask, którego chce klient. Poza tym cała cholerna Antwerpia stosuje szlif brylantowy, a oni dyktują warunki na rynku. Są potęgą. Taką, jaką kiedyś był nasz Amsterdam i jaką byłby do dziś, gdyby nie wojna i ci przekłeci Niemcy. O, najmocniej pana przepraszam – zreflektował się. – Nie miałem na myśli pańskiego wspólnika.

Starzec nie zwrócił na to uwagi.

– I nigdy nie próbujecie czegoś lepszego? Szlifu Asschera? Albo tych powojennych odkryć? Kinga? Magna? Czy tego sprzed dwóch lat, jak on się nazywa...

– Parkera – dopowiedział Goldstein. – Nie, nie próbujemy. One wszystkie bazują na szlifie brylantowym, a że wyglądają nieco inaczej, mogą się nie spodobać. Czyli nie sprzedać. Nie stać nas na produkcję dla koneserów. Za duże ryzyko. Ale Asschera od czasu do czasu robimy. Głównie większe diamenty. Pod zamówienie.

– A gdyby istniał genialny szlif, zdolny odesłać dotychczasowe metody do lamusa?

Goldstein żartobliwie pogroził staremu palcem.

– Ma pan dziś dobry humor – uśmiechnął się. – Oczywiście. Słyszałem tę legendę. O czarnym szlifie, tak? – upewnił się. – Znamy ją w Amsterdamie. Ci z Antwerpii twierdzą, że sami ją

wymyśliliśmy z tęsknoty za złotymi, pardon: diamentowymi czasami, które już nie wrócą.

– To nie jest legenda – powiedział cicho starzec.

– Pan żartuje, prawda?

– Nie, panie Goldstein. Przez rok w hitlerowskim obozie pracy mieszkałem w jednym baraku z twórcą czarnego szlifów Dawidem Schwartzmanem.

8

Chłopiec, który posłusznie siedział na swoim miejscu przy stole, zastanawiając się, czy starszy pan zje swój deser, drgnął i popatrzył na mężczyznę, którzy toczyli rozmowę. Najwyraźniej słowo „legenda” uruchomiło instynkt dziecięcej ciekawości, bo od tej chwili przysłuchiwał się każdemu słowu.

Starzec opowiadał.

O obozie Annaberg, o tajnej szlifierni diamentów generała, który nazywał się Schmelt, i o wielkim człowieku z Amsterdamu, który tam zginął, a wcześniej wyszlifował niezwykły brylant. Wszystko to zawładnęło wyobraźnią jedenastoletniego Adama Goldsteina bardziej niż baśnie Andersena.

– Pan widział ten brylant? – upewnił się jego ojciec, gdy starszy pan skończył opowieść.

– Tak jak ten kryształowy kieliszek. A może nawet lepiej, bo miałem wtedy znacznie lepszy wzrok.

Goldstein senior sprawiał wrażenie człowieka, któremu wszystko, co usłyszał, po prostu nie mieści się w głowie.

– I Schwartzman miał brylant przy sobie w chwili śmierci?

– Z całą pewnością. Nosił go w kieszeni.

– Co się stało z tym kamieniem? – spytał Goldstein.

Starzec wzruszył ramionami.

– Pewnie nadal jest ze Schwartzmanem. W dole, w którym go zakopano.

– Nie próbował pan go szukać?

– Jak? Kiedy? W dniu aresztowania Schmelta Rudi, mój wspólnik, którego pan poznał w niedzielę, uratował mi życie. Musieliśmy natychmiast uciekać. Cudem udało nam się przedostać do Szwajcarii. A po wojnie? Cóż, próbowaliśmy rozeznaczyć się w sytuacji. Jest beznadziejna. Teren obozu leży teraz na terytorium Polski. Komunistycznej Polski. Każdego obcokrajowca traktują tam jak szpiega.

– A co się stało ze Schmeltem? – Goldstein próbował wiązać nitki opowieści.

– Był sądzony przez Niemców, ale nic nie wiadomo o jego dalszym losie. Wersja oficjalna jest taka, że przebywał w areszcie domowym w swoim majątku pod Opolem, gdzie popełnił samobójstwo. Ale ponoć widziano go znacznie później w innych miejscach: na Dolnym Śląsku i w Niemczech. Nie zdziwiłbym się, gdyby nadal żył i miał się dobrze.

– Brylant Schwartzmana... – zamyślił się Goldstein. – Jak on właściwie wyglądał?

– Nie potrafię tego opisać – odrzekł starzec. – Ale nigdy go nie zapomnę.

Po miesiącu w Davos mały Adam Goldstein poczuł się o wiele lepiej i wyraźnie wracał do zdrowia. Jego ojciec był uszczęśliwiony. W dniu wyjazdu serdecznie pożegnali się ze starszym panem, którego chłopiec traktował niemal jak własnego dziadka. Obiecali mu niezwłocznie po przyjeździe do domu wysłać album ze zdjęciami Amsterdamu. Nie wiedzieli, że przesyłka wróci z listem od dyrektora sanatorium, który z żalem zawiadomi, że pan prezes Samuel Fiszler zmarł kilka dni po ich wyjeździe.

W drodze na lotnisko w Zurychu, tą samą limuzyną co poprzednio, ojciec obserwował syna kątem oka, marząc, że ten kiedyś przejmie diamentowy interes i rozsławi ich nazwisko.

Marzenie się spełniło, choć nie do końca. Adam Goldstein pomnożył rodzinny majątek, ale mało kto wiedział, jak się naprawdę nazywa. W Amsterdamie znany był jako Krupier.

Warszawa/Schwabmünchen

wrzesień–październik 2011 roku

1

Sygnal nieodebranego połączenia gdzieś w Schwabmünchen, ponad tysiąc kilometrów od Warszawy, odzywał się na tyle długo i monotonnie, że Kuba postanowił spróbować później. W tym samym ułamku sekundy, w którym podjął tę decyzję, usłyszał w słuchawce męski głos należący do kogoś starszego i zmęczonego.

– Schneider – przedstawił się głos.

– Dzień dobry – powiedział Kuba. – Dzwonię z Warszawy w imieniu polskiego instytutu historycznego. Pan mnie rozumie?

– Kto pan jest? – zaniepokoił się Schneider, ale pytanie zadał po polsku.

– Nazywam się Jakub Kania.

– Po co pan dzwoni?

– Chodzi o pamiątki pańskiego ojca. Są ważnym dowodem...

– Pan już do mnie dzwonił w tamtym tygodniu, tak? – przerwał mu Schneider.

– To nie ja. To mój znajomy. Wiesław Paluch. – Kuba postanowił wykorzystać okazję.

– Kto wy jesteście? – Rozmówca dotychczas tylko niechętny, raptem się zdenerwował. – Była tu u mnie wczoraj jedna Niemka

od was. Chciała kupić pamiątki ojca. Powiedziałem, że to sprawa rodzinna, nie na sprzedaż. Zrobiła się chamska. Zaczęła mnie straszyć, że jak nie będę współpracował, to przyjadą do mnie te łysole z Nationalsozialistischer Untergrund, a wtedy inaczej zaśpiewam. To są terroryści! Oni zabijają emigrantów. Pan jest od nich? Ja dzwonię na policję!

– Proszę posłuchać – rzekł Kuba najłagodniej jak potrafił. – Ja nie mam nic wspólnego z tą kobietą ani jej terrorystami. Ja...

– Jak to nie? – uniósł się Schneider. – Pan przed chwilą powiedział, że Paluch to pana znajomy. A tę kobietę nasłał na mnie Paluch! Czego wy chcecie od mojego ojca? Coście sobie o nim przypomnieli po sześćdziesięciu latach?

– Reprezentuję polski instytut historyczny – powiedział Kuba tonem policyjnego negocjatora próbującego rozmawiać z przerażonym facetem obłożonym kostkami trotylu i trzymającym w drżącej dłoni detonator. – Chętnie do pana przyjadę i wszystko wyjaśnię. Jeśli pan sobie życzy, przywiozę zaświadczenie od polskich władz, a nawet list od konsula Niemiec...

– Nie chcę żadnych przyjazdów do mnie – stanowczo oświadczył Schneider. – Dajcie mi spokój.

– Ale to bardzo ważne... – zaczął perswadować Kuba, ale jego ostatnie słowa spotkały się z sygnałem przerwanej połączenia.

Przez moment ogarnęła go bezsilna wściekłość, która niemal natychmiast ustąpiła miejsca nagłocemu poszukiwaniu wyjścia z sytuacji. Musiał z kimś porozmawiać. Ale z kim? Z Kasią? Jeszcze jej tego potrzeba w ósmym miesiącu ciąży. Z ojcem? Nie powinien go martwić świadomością, że coś się nie udaje. Z Szymonem? Bez sensu. Może z Barską? Najlepiej niech załatwi z niemieckimi

służbami, żeby wpadli do Schneidera jutro o świcie w kominiarkach, przewrócili go na glebę i zarekwirowali pamiętniki ojca. W końcu jesteśmy w jednej Europie.

Mam fantazję, pomyślał gorzko Kuba i zadzwonił do Unry.

– Siema – ucieszył się chłopak. – Byłeś w Rawiczu?

– Nie musiałem – stwierdził i opowiedział mu wszystko ze szczegółami. Łącznie z nieudanym telefonem do Schwabmünchen sprzed paru minut.

Unra szczerze się zmartwił.

– Musisz coś wykombinować – stwierdził, co trudno było uznać za odkrycie Ameryki.

Tyle to ja sam wiem, pomyślał Kuba gorzko i odłożył słuchawkę, wracając do punktu wyjścia. Przez resztę dnia był rozkojarzony i milczący, zastanawiając się, jak dotrzeć do Schneidera, ale nic nie przyszło mu do głowy.

Wieczorem bezmyślnie gapił się na telewizyjną retransmisję meczu siatkówki rozgrywanego w katowickim Spodku i nagle przypomniał sobie o mieszkającym na Śląsku synu feldfebla z obozu na Górze Świętej Anny. Skoro bawarski trop zawiódł, to może nie warto zaprzętać sobie nim głowy i pójść tamtym, katowickim? To była jakaś myśl.

Usprawiedliwił się przed Kasią, że po ciężkim dniu potrzebuje przewietrzyć głowę i wybiera się na krótki spacer. Uznała to za dobry pomysł.

Było jeszcze widno, a już spokojnie. Ulicą okalającą plac Wilsona przejeżdżało o wiele mniej samochodów niż w godzinach szczytu, a wrześnieowy wieczór zapowiadał się rześko i pogodnie. Kuba pokonał przejście dla pieszych przecinające Krasińskiego i zanurzył

się w parku Stefana Żeromskiego. Tu zawsze dobrze mu się myślało, jakby okolice żoliborskiej Prochowni i Fortu Sokolnickiego były wyposażone w energetyczne czakramy wspomagające pracę mózgu.

Kogo ja znam w Katowicach? – spytał Kuba parku i park po chwili podsunął mu nazwisko kolegi ze studiów pracującego w tamtejszej prokuraturze apelacyjnej. Dzwonili do siebie raz w roku, z reguły przy okazji Bożego Narodzenia, niezmiennie wygłaszając formułkę „musimy się wreszcie spotkać”, która miała tyle wartości co banknot stużłotowy sprzed dwóch denominacji.

Kuba spojrział na zegarek, chwilę zmagął się z myślami, wreszcie sięgnął po komórkę. Kolega odebrał po trzecim dzwonku.

– Możesz rozmawiać? – spytał Kuba, jakby fakt przyjęcia połączenia świadczył o czymś innym.

– Jasne – odparł kolega. – Skoro dziś nie jest Wigilia, to znaczy, że masz ważną sprawę – zażartował.

– Wziąłem sobie do serca, że musimy się wreszcie spotkać. – Chyba uśmiechnął się do słuchawki. – Jesteś jutro w pracy?

– Jestem.

– Trzynasta?

– Świetnie. Ulica Wita Stwosza trzydzieści jeden, niedaleko katedry i Muzeum Archidiecezjalnego. Parę minut spacerem z dworca. Trafisz?

– Powinienem – zapewnił Kuba. – Do jutra.

wierzyło, że Kuba lubi Katowice. Jedni uważali, że chce uchodzić za oryginała, okazując sympatię przeciętemu na pół przez tory kolejowe miastu, które było osobliwą mieszanką stylów architektonicznych, a zamiast rynku miało zajezdnię tramwajową obudowaną niegdyś największymi w Polsce domami towarowymi. Inni po prostu pukali się w czoło, pytając Kubę, czy jeździ do Katowic w masce gazowej ze względu na tamtejsze stężenie tlenu węgla.

Niewiele sobie z tego robił. Pracując w IPN-ie i prowadząc na Śląsku kilka śledztw, bardzo lubił popołudniami włóczyć się po ulicach górnej części miasta, „za torami”, podziwiając fantastyczne kamienice z kryształowymi kandelabrami i mosiężnymi poręczami marmurowych schodów, które przetrwały chyba tylko tu i w bogatych dzielnicach Paryża. Lubiał patrzeć na drapacz chmur przy ulicy Żwirki i Wigury, będący jednym z pierwszych polskich wieżowców, i na dawną siedzibę Banku Śląskiego, do której się zakradał, aby nacieszyć oczy czystym art déco. Lubiał Nikiszowiec – unikalną na skalę kontynentu dzielnicę familoków, będącą gotowym planem filmowym.

Pociąg niezwykle szybko pokonał trasę Warszawa–Katowice dzięki solidnym torom magistrali węglowej. Z dworca Kuba przeszedł tunelem na ulicę Andrzeja, a stamtąd na Powstańców Śląskich. Po siedmiu minutach był pod katedrą zwieńczoną olbrzymią kopułą, przypominającą statek kosmiczny. Po dziewięciu – na Wita Stwosza.

Kolega z apelacyjnej przyjął go znakomitą kawą, a kiedy już poplotkowali o ludziach z roku, zaproponował spacer. Kuba przystał z ochotą. Poszli w kierunku imponującego gmachu dawnego Sejmu Śląskiego, zatrzymując się przed pomnikiem

Piłsudskiego. Marszałek tkwił na sześciometrowym cokole, siedząc w siodle na grzbiecie gigantycznego rumaka.

– Zobacz, jakimi tolerancyjnymi ludźmi jesteśmy. – Kolega wskazał pomnik. – Przygarnęliśmy Piłsudskiego, bo nie miał się biedak gdzie podziać.

– Jak to? – zdziwił się Kuba.

– Normalnie. Pomnik wykonał w latach dziewięćdziesiątych chorwacki rzeźbiarz na zlecenie miasta Częstochowa. Postać Piłsudskiego wraz z koniem została odlana z brązu, a wtedy spostrzegawczy rajcy świętego miasta zauważyli, że ulubiona Kasztanka Marszałka nie jest klaczą, tylko ogierem, i to hojnie obdarzonym przez naturę, pardon: przez rzeźbiarza. Zrobiła się afera. Padła propozycja dokonania kastracji palnikiem acetylenowo-tlenowym, co z kolei uczyniłoby z ogiera wałacha. Koniec końców Częstochowa nie przyjęła dzieła. Ale Katowice zwietrzyły okazję i proszę, mamy Marszałka na Kasztanku.

– Chcesz powiedzieć, że miasto zrobiło to dla kawału? – Kuba nabrał podejrzeń.

Kolega zrobił minę niewiniątka.

– No wiesz, Piłsudski nigdy nie darzył Śląska sympatią. Dlatego nie ma w Katowicach ulicy. A że można się trochę pośmiać z pomnika? To grzech? Dobry humor jeszcze nikomu nie zaszkodził. Przeprowadź się tu, to zrozumiesz.

– Pomyślę – obiecał Kuba i przez kilkadziesiąt metrów szli w milczeniu w kierunku imponującej bryły Biblioteki Śląskiej.

– Co cię tu sprowadza, Kuba? W czym mogę pomóc? – odezwał się wreszcie kolega.

– Mówi ci coś nazwisko Breguła?

– Ten Breguła od Gierka?

– Ten sam.

– W Katowicach to wiele mówi wielu osobom. Facet był typową ilustracją hasła „Nie matura, lecz chęć szczerą...”. Prostack, który nigdy nie skończył podstawówki, został partyjnym dygnitarzem i miał ogromną władzę. A co? Masz coś na niego? – zainteresował się kolega z apelacyjnej.

– Wiesz, że w czasie wojny był podoficerem Wehrmachtu i strażnikiem w obozie pracy na Górze Świętej Anny, oskarżonym o zbrodnie wojenne?

– Co ty mówisz... – Kolega aż przystanął z wrażenia. – Ale numer. Kiedy to wypłynęło?

– Dawno temu, ale śledztwo oczywiście umorzono.

– Oczywiście. – Pracownik katowickiej prokuratury apelacyjnej nie okazał najmniejszego zdziwienia.

– On miał syna, prawda? – upewnił się Kuba.

– Miał – potwierdził kolega. – Ale nie wiem, co się z nim stało.

– A kto może wiedzieć?

– Nie mam pojęcia. Ale popytam. Do kiedy zostajesz?

– Dzień, góra dwa. Dasz radę?

– Postaram się.

Zadzwoił następnego dnia po południu, gdy Kuba wracał tramwajem z parku rozrywki w Chorzowie.

– Jest taki emerytowany dziennikarz „Trybuny Śląskiej”... – Kolega z prokuratury apelacyjnej wymienił nazwisko. – Starszy gość, ale jeszcze bardzo sprawny. Żywa legenda i żywa kronika Katowic. On wie wszystko. Ma bezcenne archiwum zdjęć i informacji. Niezbyt chętnie rozmawia z obcymi, ale znam kogoś, kto może cię zapowiedzieć. To raz. A dwa: jego cała rodzina była po

wojnie represjonowana przez UB. Jak mu powiesz, że zajmowałeś się tymi sprawami w IPN-ie, to facet jest twój. Zapisz sobie numer.

3

Redaktor Władysław Wieczorek przyjął Kubę w kuchni swojego mieszkania przy ulicy Jordana. Kuchnia była jedynym pomieszczeniem wolnym od stert starych gazet, czasopism, skryptów, pożółkłych notesów i książek, których potrzebne stronicie zaznaczono starannie wyciętymi paskami papieru z adnotacjami, co się na nich znajduje. Bill Gates pewnie by się wzruszył, widząc ten pierwowzór twardego dysku, ale Kuba starał się stosować do zaleceń wychowawczych swojej kaszubskiej babki, która uczyła go, aby w domach obcych ludzi nie przepatrywać kąków, bo to niegrzeczne.

Wieczorek miał przenikliwe oczy, zaniedbaną siwą brodę, krzaczaste brwi i zmierzwiłone włosy, które co chwila targał, jakby złożył ślubowanie, że zawsze pozostaną w nieładzie. Był skromnego wzrostu, dzięki czemu wielofunkcyjna kamizelka, jaką noszą wędkarze lub fotoreporterzy starej daty, trochę na nim wisiała. Podobnie niebieska flanelowa koszula w kratę i dzinsy.

– Interesuje pana Breguła – przywitał Kubę w progu, najwyraźniej uprzedzony o celu wizyty.

– Owszem – potwierdził były prokurator IPN-u.

Redaktor zakręcił się po kuchni, a jego uniesione dłonie przeczeswały przestrzeń szafek jak anteny detektorów. Wreszcie namierzyły to, czego szukały. Stary wyciągnął z peerelowskiego kredensu butelkę z etykietą własnej roboty i nie pytając gościa

o zdanie, napełnił jej zawartością dwa spore kieliszki oczekujące na stole.

– Nie ufam ludziom – wyjaśnił – ale z facetem z IPN-u się napiję – postanowił, podając Kubie kieliszek. – Dereniówka – wyjaśnił. – Swojska. Trochę kopie.

Kuba nie oponował. Przełknęli nalewkę, której autor istotnie nie żałował spirytusu.

– Władek. – Stary wyciągnął rękę.

– Kuba.

– No dobra, Kuba, to idziemy.

– Dokąd?

– Odwiedzić Bregułę – wyjaśnił Wieczorek.

Zamknął drzwi mieszkania na wielki staromodny klucz, który pasowałby do skarbcza w krzyżackim zamku, umieścił go w torbie zawieszanej na ramieniu i wyszli na ulicę. Emerytowany redaktor wskazał dłonią kierunek marszu. Gdy przechodzili obok katedry, nagle przystanął.

– Muszę ci coś pokazać – uznał. – Ujął swojego gościa za rękaw kurtki i pociągnął w stronę wejścia do świątyni. Niestety było zamknięte. Wieczorek mruknął coś z niezadowoleniem i obeszli budynek, próbując dostać się do którejkolwiek z bocznych naw, ale żadne drzwi nie ustąpiły.

– Co jest, do cholery? – zezłościł się redaktor, którego plan właśnie brał w łeb. – Nigdy nie są zamknięte o tej porze. – Zaczął mierzwić włosy. – Mówiłeś, że jak masz na imię? – spytał.

– Kuba.

– Jesteś religijny?

– Niespecjalnie.

– A, to wszystko wyjaśnia – ucieszył się stary. – Jak Kuba Bogu,

tak Bóg Kubie. Zamknięte. Chciałem ci pokazać coś, co młody Breguła ufundował dla kościoła, ale ci nie pokażę. Idziemy do jego ojca.

Kawałek dalej Kuba dostrzegł bramę cmentarza.

Wieczorek wszedł pierwszy i nagle znów się zatrzymał, jak android napędzany i hamowany refleksjami.

– Wiesz, że ja pierwszy leżałem w grobie Zbyszka Cybulskiego? – spytał.

Kuba zrobił zdumioną minę.

– Jak to?

– A tak to. Byłem młodym reporterem, redakcja wysłała mnie, żeby zrobić zdjęcia na pogrzebie aktora i idola całej Polski, który wpadł pod pociąg. Grobowiec był rozebrany na elementy – Wieczorek wskazał kwaterę rodzinną Cybulskich – a w ziemi wykopano prostokątny dół na trumnę. Stałem na jego brzegu, ale kiedy podjechał karawan, ogromna ludzka cizba obecna na pogrzebie ruszyła i wepchnęła mnie do grobu. Tak że leżałem w nim jako pierwszy – oświadczył z pełną powagą.

Kuba nie miał pojęcia, jak na to zareagować, na szczęście stanęli przy czarnej płycie bez krzyża, skrótu „świętej pamięci” i próśb o *Zdrowaś Mario*.

– No to masz go – skwitował Wieczorek. – Tu leży stary Breguła – wyjaśnił, jakby jego gość nie umiał odczytać złożonych liter na nagrobku.

Kuba znów nie potrafił zripostować sytuacji. Na wszelki wypadek pokiwał głową z wdzięcznością i nieśmiało zapytał:

– Wspomniał pan... wspomniałeś o jego synu. Tam, przed katedrą. On żyje?

– Młody? – zastanowił się redaktor. – Jasne, że żyje. Będzie po

sześćdziesiątce.

– Jak mogę go znaleźć?

– Lepiej nie szukaj. – Zniszczona twarz starego reportera nagle stężała, a dłonie znów zaplątały się we włosy. – To niebezpieczny człowiek. Słyszałeś o dawnych służbach specjalnych? O mafii węglowej?

– Co nieco – odparł niepewnie Kuba.

– Co nieco w sam raz wystarczy, aby dać sobie z nim spokój.

Rozumiesz mnie?

– Rozumiem. Ale chciałem z nim porozmawiać w zupełnie innej sprawie. Wiesz może, gdzie mieszka?

Stary popatrzył na Kubę z namysłem.

– Po drugiej stronie parku Kościuszki. Niedaleko „Zielonego Oczka”, gdzie zastrzelono „Sajmona”, jednego z domniemanych bossów śląskiego świata przestępczego i bliskiego znajomego młodszego Breguły, jest tak zwane Osiedle Ptasie. Poznasz po nazwach ulic: Szczygłów, Dzieciołów, Szpaków i tak dalej. Na jednej z nich – Wieczorek podał nazwę bardzo sympatycznego ptaszka – bez trudu znajdziesz wysoki mur najeżony na górze kawałkami potłuczonego szkła. Otacza willę Bregułów. Zresztą tam jest sporo takich twierdz. Za komuny na Ptasim mieszkali bonzowie partyjni, a po kryzysie kubańskim ludzie nazywali to miejsce Zatoką Czerwonych Świń. Chcesz, to spróbuj – orzekł stary reporter – ale żeby nie było, że cię nie ostrzegałem.

Mur rzeczywiście był nie do pokonania. Poza tłuczonym szkłem dodatkowo opleciono jego zwieńczenie drutem kolczastym, co powodowało wrażenie, że znajduje się tu zakład karny o zaostrzonym rygorze, a nie prywatna posiadłość. Kuba przeszedł

się wzdłuż ogrodzenia, a następnie stanął przed bramą wykonaną z metalowych paneli, w których nie było ani jednej szparki umożliwiającej zerknięcie do środka. Nacisnął dzwonek domofonu i w tym samym momencie skierowała się na niego kamera umieszczona na murze.

Nikt nie odpowiedział. Kuba nacisnął przycisk ponownie, z takim samym skutkiem. Stał jeszcze przez pół minuty i ponownie przeszedł się wzdłuż muru. Następnie wrócił pod bramę.

Tym razem kamera nie drgnęła, ale na ulicy parę metrów dalej zatrzymał się samochód prywatnej agencji ochrony, z którego wysiadło dwóch rosyjskich mężczyzn o twarzach socjopatów.

– Pan niepokoi mieszkańców tej posesji – stwierdził wyższy.

– Chciałem tylko porozmawiać z panem Bregułą – wyjaśnił Kuba.

– Ale pan Breguła nie chce rozmawiać z panem – rzekł niższy. – Czy to jasne?

– A skąd pan to wie? – spytał go Kuba i niższy facet wyglądający na socjopata na chwilę zapomniał języka w gębie.

– Zaraz się pan dowie – obiecał wyższy i obaj stanęli tak, aby zablokować Kubie drogę odwrotu.

– Na coś czekamy? – zapytał.

– Zaraz się pan przekona. – Wyższy najwyraźniej był od obietnic.

W tej samej chwili odezwała się komórka Kubie. Sięgnął po nią i spojrzał na ekran. Kasia.

– Nie mogę teraz... – chciał wyjaśnić, ale Kasia mu przerwała. Była zdenerwowana i roztrzęsiona.

– Jesteś w Katowicach na ulicy... – bezbłędnie wymieniła nazwę. – Prawda?

– Tak – odparł kompletnie zaskoczony. – Skąd wiesz?

– Ktoś do mnie dzwonił przed chwilą z sugestią, abym się z tobą natychmiast skontaktowała i powiedziała ci, żebyś się stamtąd zabierał. Bo inaczej wszyscy możemy mieć nieprzyjemności. Wszyscy, rozumiesz? Ty, ja i Marysia. W co ty się wpakowałeś, Kuba?! Błagam cię, skończ z tym. Ja się boję. Rozumiesz? Czy to w ogóle się dla ciebie liczy? – Kasia niemal krzyknęła i się rozłączyła.

Wyższy z ochroniarzy spojrzał na niego z lodowatym uśmiechem.

– Podwieźć pana do hotelu? – spytał z udaną uprzejmością.

4

Następnego przedpołudnia, ciągle przeżykając gorycz porażki i podejrzewając Wieczorka, że na niego doniósł, Kuba wyszedł z hotelu i udał się w kierunku dworca PKP, mijając po drodze przystanki autobusów dalekobieżnych przy ulicy Piotra Skargi. W pewnej chwili jego uwagę zwróciło kilka autokarów popularnego na Śląsku prywatnego biura podróży. W ich przednich szybach na specjalnych tablicach elektronicznych przesuwwały się nazwy niemieckich miast, przez które wiodła trasa przejazdu.

Kuba poznał kiedyś właściciela biura, obserwatora UEFA i sędziego piłkarskiego, znanego między innymi z Mundialu we Francji. Niewiele myśląc, podszedł do kierowcy autokaru, starszego pana z wąsami, w ciemnej marynarce, białej koszuli i krawacie. Mężczyzna stojący na chodniku i palący papierosa zachowywał się tak jak wyglądał: schludnie i elegancko.

– Pan Ryszard nadal prowadzi firmę? – spytał Kuba, eksponując

swoją zażyłość z szefem.

Starszy pan potwierdził z uśmiechem.

– To proszę go przy okazji pozdrowić – Kuba wręczył mu wizytówkę. – Z pewnością się ucieszy.

Elegancki kierowca grzecznie podziękował.

Kuba obrzucił autokar spojrzeniem pełnym podziwu i spytał:

– A do Schwabmünchen w Bawarii panowie jeździecie?

– Naturalnie, proszę pana – potwierdził kierowca.

– Pan też?

– Ja sporadycznie, czasami w zastępstwie.

– Pan Ryszard opowiadał mi kiedyś – zagrał Kuba – że z niektórymi pasażerami doskonale się znacie...

– To prawda. Z tymi, co często jeżdżą, jesteśmy jak rodzina – potwierdził kierowca.

– Wie pan... – zaczął Kuba niepewnie – poszukuję w Schwabmünchen kogoś z tamtejszej Polonii. Kogoś z autorytetem, kto ma wpływy w środowisku emigrantów ze Śląska i cieszy się szacunkiem. Jak pan sądzi, czy któryś z waszych kierowców mógłby mi kogoś takiego podpowiedzieć?

Mężczyzna z wąsami spojrzał na niego z dobrze maskowaną podejrzliwością, ale uznał, że znajomemu właściciela biura warto pomóc.

– Mogę zadzwonić do kolegi, który obsługuje tamtą trasę od wielu lat. Chce pan?

Kuba rozpromienił się z wdzięczności.

Kierowca wybrał numer, powiedział kilka kurtuazyjnych zdań, a potem wyjaśnił koledze, że bliski znajomy właściciela biura szuka kontaktu z kimś, kto zna ludzi, którzy wyjechali ze Śląska i mieszkają w Schwabmünchen. Chwilę posłuchał odpowiedzi,

wreszcie spojrział pytająco na Kubę.

– To ja może przekażę słuchawkę.

Kuba skinął głową i przejął telefon.

– Dzień dobry – przywitał się z nieznajomym. – Nazywam się Jakub Kania i...

– Tak, kolega mówił – przerwał mu głos w słuchawce. – Kogo pan konkretnie szuka?

– Kogoś, kto dobrze zna środowisko polskich emigrantów w Schwabmünchen. Pan Ryszard wspominał mi kiedyś, że panowie doskonale znacie stałych pasażerów, i przyszło mi do głowy...

– Jasne. – Człowiek po drugiej stronie linii najwyraźniej nie lubił zbyt długich wyjaśnień. Milczał przez chwilę, zastanawiając się nad odpowiedzią, wreszcie rzekł: – Ze mną najczęściej jeździ córka jednego pana spod Opola, który ma w Schwabmünchen firmę i robi kominki. Ponoć jest znany na całe Niemcy. Poza tym hoduje gołębie pocztowe i ma liczne kontakty, bo to taki śląski sport narodowy. Nazwiska nie znam, ale mogę zapytać, jak córka będzie jechała następnym razem. Najlepiej – kierowca zachowywał ostrożność – jakby pan z naszym szefem pogadał. Wie pan, nie bardzo mogę ujawniać prywatne sprawy klientów.

– Oczywiście. Na pewno do niego zadzwonię – zgodził się Kuba.

– Kto tam jeszcze mieszka? – głośno myślał kierowca. – Jest fryzjer z Polski, też może dużo ludzi znać. Jest lekarz z Opola. Ordynator chirurgii. Ja go nie wiozłem, ale pasażerowie często o nim mówią, bo pracuje w tamtejszym szpitalu z dwadzieścia albo i trzydzieści lat. Jest też jeden piłkarz, ale chyba za młody. No nie wiem, tyle teraz mi przychodzi do głowy.

– Dziękuję bardzo – powiedział Kuba. – To bardzo pomocne informacje.

Oddał telefon eleganckiemu panu z wąsami i pożegnał go uśmiechem i uściskiem dłoni, bo kierowca chciał zamienić jeszcze z kolegą kilka słów. Kuba cofnął się do ulicy Stawowej i poszedł w kierunku dworca PKP.

W pociągu wynotował osoby wymienione przez kierowcę, zastanawiając się, która z nich może znać Andreasa Schneidera. Zagadka nie była zbyt trudna do rozwiązania: lekarz. Przede wszystkim lekarz.

Schwabmünchen ma zaledwie trzynaście tysięcy ludzi, myślał Kuba. Skoro doktor pracuje w tamtejszym szpitalu, to albo on, albo któryś z jego kolegów musieli mieć do czynienia ze Schneiderem. Syn wachmana ma już swoje lata. Z pewnością się na coś leczył. A lekarzom się ufa. Gdyby taki doktor powiedział o Kubie dobre słowo, to Schneider mógłby się zgodzić porozmawiać o ojcu. Musi tylko otrzymać zachętę od kogoś, komu nie odmówi. Tak, to było to. Strzał w dziesiątkę.

Sięgnął po komórkę i zadzwonił do Unry.

– Potrzebuję twojego komputera i twojego niemieckiego – wyjaśnił. – Możesz wejść na stronę szpitala w Schwabmünchen i znaleźć namiar na ordynatora chirurgii? Prawdopodobnie to lekarz z Opola, który tam wyemigrował.

– Spoko – odrzekł Unra. – Odezwę się.

Kwadrans później Kuba znał już nazwisko doktora i jego biografię, łącznie z sukcesami sportowymi, bo chirurg był niegdyś wybitnym polskim łyżwiarzem figurowym. Wpatrywał się w numer jego telefonu wysłany przez Unrę esemesem, zastanawiając się, czy dzwonić od razu, ale w pociągu często zanikał sygnał. Oparł głowę o zagłówek, zamknął oczy i zasnął.

Kasia przyjęła go chłodno. Myślami błądziła gdzieś daleko, nie chciała wracać do wczorajszego incydentu, ale kiedy próbował go zbagatelizować, wpadła w gniew.

– Mam tego dość, rozumiesz, Kuba? Jestem w końcówce ciąży, coraz trudniej mi się funkcjonuje, a ty znalazłeś sobie kolejną tajemnicę, która przysłania ci cały świat. Tak, wiem. – Powstrzymała go gestem dłoni, gdy otwierał usta, aby odpowiedzieć. – Oczywiście wiem – powtórzyła cynicznie. – Robisz to dla nas, żebyśmy mieli na życie, żeby mnie, Marysi i naszej drugiej córeczce niczego nie brakowało. Ale nam brakuje ciebie. Rozumiesz to, Kuba? Na dodatek się narażasz, a ja otrzymuję telefony od jakichś dziwnych ludzi z dziwnymi sugestiami. Czy ty sobie nie zdajesz sprawy, w jakim jestem teraz stanie?

– Zdaję – powiedział cicho.

– Pozwól, że ci nie uwierzę. – Kasia sprawiała wrażenie zdeterminowanej. Nigdy wcześniej jej takiej nie widział. Nigdy nie mieli podobnej rozmowy.

Przestraszył się.

– Posłuchaj...

– To ty posłuchaj, Kuba. Chcę, abyś zostawił tę sprawę. Nie żartuję. Po wczorajszym telefonie już nie żartuję. Ci ludzie, którym wszedłeś w drogę, wszystko o nas wiedzą. Znają nasz numer domowy, wiedzieli, że właśnie wtedy byłeś na tej cholernej ulicy w Katowicach. Co to w ogóle za jedni?

– Nikt ważny, przysięgam. – Kuba położył dłoń na sercu. – Zrobiłem błąd, kontaktując się z nimi, choć mnie ostrzegano. Nigdy już nie zlekceważę ostrzeżenia, przyrzekam. Po prostu chcieli nas zastraszyć, żebym się wycofał z nagabywania ich, i to się udało. Wycofałem się. To był incydent, uwierz mi.

– Nie wierzę. – Kasia twardo spojrzała mu w oczy. – Nie wierzę – powtórzyła z naciskiem. – Ta sprawa na Górze Świętej Anny miała być zwykłym poszukiwaniem grobu ofiar obozu zagłady, a czym się stała? No czym? Nie wiesz? – Patrzyła ze złością, jak Kuba spuszcza wzrok. – To ja ci powiem. Obiektem zainteresowania jakichś gangsterów, a może służb. Co tam robi ta cała Barska? Od kiedy to ABW interesuje się grobami z czasów drugiej wojny? Chcę, abyś to zostawił, słyszysz, Kuba? Damy sobie radę bez pieniędzy z Jad Waszem. Bez płacenia za ryzyko, że zostanę wdową z dwójką dzieci.

– Przesadzasz. To był tylko incydent...

– Tak?! – Kasia wściekła się na dobre. – To wyobraź sobie, że latem parokrotnie widziałam na naszym osiedlu czarne bmw z rosyjską rejestracją. Kiedyś wyjrzałam przez okno i jestem prawie pewna, że jeden z ludzi z tego auta opuścił szybę i robił ci zdjęcia, jak wychodziłeś z domu. To też był incydent?!

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Bo mnie przekabaciłeś swoimi tekstami o zarabianiu na mnie i na dzieci! Bo mnie uspokajałeś! I oszukiwałeś, że sprawa poszukiwania grobu jest bezpieczna. Ale dość tego.

Nagle się uspokoiła.

– Obawiam się, Kuba – powiedziała i głos jej zadrżał – że będziesz musiał wybierać. Albo ja i dzieci, albo niebezpieczeństwa. Zastanów się nad tym dobrze – rzuciła i zniknęła w sypialni. Zza zamkniętych drzwi Kuba usłyszał jej płacz. Zerwał się z kanapy, ale w ostatniej sekundzie powstrzymał się przed naciśnięciem klamki.

Uznał, że będzie lepiej, jeśli tę noc prześpi w salonie na sofie.

Już podczas rozmowy telefonicznej opolski chirurg mieszkający w Schwabmünchen okazał się niezwykle życzliwym człowiekiem. Czy mówi mu coś nazwisko Andreas Schneider? Oczywiście, że mówi. Dwa lata temu operował mu biodro i nadal odbiera podziękowania z tego tytułu, gdy tylko spotkają się na ulicy. Czy pomoże? Oczywiście, że pomoże.

Dwa dni później Kuba poleciał do Monachium. Na lotnisku wynajął samochód w sieciowej wypożyczalni i ruszył na zachód, wybierając najkrótszą z dróg: autostradę A96 przez Gilching, aż do rzeki Lech, którą przekraczał w Landsbergu, skręcając na północ. Nawigacja w wynajętym opłu informowała, że ma przed sobą 86 kilometrów.

Bawaria za szybą samochodu wyglądała jak wielka bombonierka pełna kunsztownych, słodkich i misternie opakowanych czekoladek, które je się oczami. Każda stodoła stojąca samotnie w polu, idealnie zadbana, sprawiała wrażenie, jakby właśnie wyszykowano ją na międzynarodowy konkurs piękności stodoł. Osady widoczne z drogi przypominały schludne i kolorowe domki dla lalek, a strzeliste wieże kościołów zbudowanych wieki temu wydawały się być po renowacji dokonanej najdalej w ubiegłym tygodniu. Równie sterylne wyglądało Schwabmünchen. Kuba, pozdrawiany przez wszystkich tutejszym *Grüß Gott*, zjadł obiad w miejscowej gospodzie, czekając, aż polski lekarz skończy pracę i do niego dojedzie. Do Andreeasa Schneidera wybierali się razem.

Tak zdecydował chirurg, który, jak się okazało, brał już udział w podobnych misjach. Kilkanaście lat temu namówił przyjaciela, dziennikarza z Opola, na reportaż o swojej pacjentce, znanej

autorce bawarskich piosenek country. Starsza pani, zachęcona polskim nazwiskiem doktora, zwierzyła się, że podczas ucieczki ze Wschodu w 1945 roku, kiedy była nastolatką, trzech Polacy uratowali ją przed gwałtem, a może i śmiercią z rąk pijanych żołnierzy Armii Czerwonej. Reportaż miał pomóc w odnalezieniu tych ludzi.

– Tak że wiem, jak sobie radzić w takich sprawach – podsumował chirurg ich wcześniejszą rozmowę telefoniczną, podczas której opowiedział tę historię.

Parę godzin później potwierdził swoje umiejętności radzenia sobie z ludźmi, dzwoniąc z informacją, że pan Schneider zaprasza.

Lekarz spóźnił się trzy minuty, co pewnie w uporządkowanej bawarskiej rzeczywistości było sporym wykroczeniem, bo przeproszał i tłumaczył się korkiem z powodu rozkopania drogi, która jeszcze rano rozkopana nie była. Potem zaprosił Kubę do swojego samochodu i rozmawiając o rzeczach nieważnych, podjechali pod ładny dom w okolicach Marktkaufu przy Falkensteinstrasse.

Otworzył im siwy starszy pan, ubrany we flanelową koszulę w kolorze khaki i brązową wełnianą kamizelkę, choć ostatni tydzień września był ciepły i wcale nie chciał rozstawać się z latem. Na nogach miał solidne buty, na których opierały się nogawki rozciągniętych ciemnozielonych sztruksów. Wyglądał, jakby właśnie wrócił z polowania, ale w tych stronach wszyscy mężczyźni w jego wieku sprawiali takie wrażenie.

Był poruszony i zawstydzony. Chyba przeproszał Kubę, że zachował się nieuprzejmie, co wynikało z jego tonu, bo dopiero po chwili doktor poprosił, aby przeszli na język polski.

– To ta baba, co tu była, tak mnie wpędziła w nerwy – wyjaśniał ciągle zakłopotany Schneider. – Straszyla, że zna chadeckich polityków, którzy zaszkodzą biznesowi moich dzieci, prowadzących po mnie firmę budowlaną – oburzał się. – Myślicie, panowie, że mówiła serio? Mamy dużo zleceń z ratusza...

– Niech pan się nie martwi – uspokoił go Kuba. – Ta kobieta przyjechała z Argentyny i nikogo tu nie zna. Ani polityków, ani terrorystów.

– Z Argentyny? – zdziwił się Schneider.

Kuba już otwierał usta, aby wytłumaczyć, że to córka hitlerowskiego zbrodniarza wojennego, który po wojnie ukrył się w Ameryce Południowej, ale w tej samej chwili uświadomił sobie, do kogo przyjechał. Bąknął coś na potwierdzenie.

Chirurg wyręczył go pytaniem o pamiątniki ojca.

– Oczywiście, panie doktorze – potwierdził Schneider, jakby zdawał raport z tego, czy prawidłowo zażywał leki i stosował się do zaleceń.

Wstał od stołu, przy którym siedzieli, i sięgnął po trzy zeszyty leżące na etażerze w towarzystwie kilku książek religijnych, paru tanich kryminałów kupowanych na wakacje i poradników kulinarnych. Przyniósł je i położył na stole. Były, jak to się często określa w powieściach, nadgryzione zębem czasu, ale z pewnością dobrze przechowywane. Z dala od ciekawskich oczu i wilgoci.

– Mogę? – spytał ostrożnie Kuba, a zyskawszy potwierdzenie Andreasa Schneidera, otworzył zeszyt leżący na samej górze. „Prawda o tym, co było w Zwangsarbeitslager Annaberg. Manfred Krawietz. Rawicz 1978 rok” – odczytał z zaskoczeniem. Pamiątniki skruszonego wachmana zostały napisane po polsku. Przerzucił kilka kartek. Tak. Po polsku. Fatalnym językiem, z wszystkimi

możliwymi błędami ortograficznymi, ale po polsku. Pewnie Krawietz chciał ułatwić zadanie władzom PRL-u, przygotowując im materiał dowodowy bez konieczności tłumaczenia z niemieckiego, pomyślał Kuba i zrobiło mu się nieswojo. Język zeszytów wachmana nagle wydał mu się świadectwem złożonych dziejów Opolszczyzny i dylematów jej mieszkańców, wrzuconych wbrew własnej woli do wirówki historii. Krawietz używał mowy, którą posługiwał się w domu rodzinnym, ale nie znał jej formy pisanej, bo w szkole uczył się tylko niemieckiego.

Popatrzył zamyślony na jego syna.

– To może zrobimy tak – zaproponował chirurg zgodnie z planem, który sam wymyślił. – Niech pan Kania poogląda sobie te zeszyty, a my przejdźmy do sypialni. Skoro już tu jestem, to obejrzę pańskie biodro. Zgoda?

Andreas Schneider był zachwycony. Kilka sekund później wyszli z pokoju.

Kuba nie tracił czasu. Szybko zorientował się, że pamiętniki napisane są chronologicznie. Z żalem odłożył na bok dwa pierwsze zeszyty i sięgnął po trzeci. W niespełną minutę odnalazł to, czego szukał.

6

Teresa Barska zaparzyła w dzbanku starannie odmierzoną ilość liściastej herbaty dobrego gatunku, odczekała pięć minut wyliczone przez klepsydrę z piaskiem, po czym wlała część naparu do dużej porcelanowej filiżanki, uzupełniła wrzątkiem, rozpuściła w nim łyżeczkę miodu i uzupełniła całość ciepłym mlekiem. Tak

przyrządzona herbata, często nazywana bawarką, miała tyle wspólnego z Bawarią co fasolka po bretońsku z Bretanią albo ryba po grecku z Kretą, ale smakowała wyśmienicie. Była ulubionym napojem pani kapitan ABW, która ceniła nie tylko jej smak, ale również rytuał przygotowania.

Dziś zafundowała sobie tę przyjemność, poświęcając czas na lekturę maila, którego po południu otrzymała od Jakuba Kani, i nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie przeczyta go w spokoju. Notabene maila z Bawarii – uśmiechnęła się do filiżanki, obok której postawiła talerzyk z dwoma biszkoptami, i otworzyła swój przenośny komputer.

Uruchomienie ekranu laptopa nie wydawało żadnego dźwięku, mimo to jedyny współlokator Teresy Barskiej – kot, który nazywał się Kot, bo żadne imię do niego nie pasowało – w tej samej chwili zeskoczył z łóżka w sypialni, wkroczył do kuchni i zaczął się ocierać o jej nogi, domagając się pieszczot. Kot był bezproblemowym, wyrozumiałym zwierzęciem, zazdrosnym tylko o laptopa.

Zadośćuczyniła jego potrzebie bycia najważniejszym, głaszcząc przez chwilę czarne lśniące futro, po czym otworzyła pocztę od Kani i przeciągnęła na pulpit jej sześć załączników. Wszystkie były zdjęciami wykonanymi telefonem w domu Andreeasa Schneidera i przedstawiały kartki pamiętnika jego ojca. Kartki, na których byłemu prokuratorowi IPN-u i Teresie Barskiej zależało najbardziej.

Kapitan ABW przeczytała relację wachmana z wydarzeń w dniu, w którym aresztowano Schmelta. Manfred Krawietz opisał silne zdenerwowanie scharführera SS dowodzącego Strefą Wydzieloną oraz jego rozkaz natychmiastowego wyprowadzenia Żydów poza teren obozu w stronę Leśnicy. Uzupełnił, że w nerwach zapomnieli

o kapo nazwiskiem Johan Pinto. *Musioł żech iść po niego nazad – wyznał Krawietz swoją prymitywną polszczyzną. Opisał, jak zabrał Pintę z baraku, w którym znajdowała się kuchnia ze spiżarnią, i zaprowadził go do lasu koło Domku Maryi, gdzie zobaczyli Żydów zastrzelonych przez wachmanów. Nic my nie słyszeli – napisał Krawietz – bo jak jo żech sie wrucił do speisekammery, to żech zaczepił giwerom o gorczki, kere spadły na kamienną podłoga, robiąc straszne larmo.*

Dalej relacja wachmana przybierała dramatyczny ton. Litery były krzywe i rozchwiane, jakby wspomnienia piszącego nie pozwoliły im utrzymać dyscypliny kształtu. *Pinto mioł w ryncach swojo bluza – relacjonował Krawietz – ale jak wejrzał się na tych zabitych żydów to ciepnoł ta bluza na ziemia i skoczył na mnie. Jo żech sie go przeląkł i nastawił żech giwera co by go zatrzymać ale z tego wszystkiego żech nacisł cyngiel i kula trafiła go prosto w samo szyja. Pinto upad i leżoł na ziemia. Jeszcze żył gdy podlecioł do nas tyn pieroński feldfebel – Teresa Barska rozpoznała nazwisko gierkowskiego dygnitarza z Katowic – wyciągł pistolet i palnął mu prosto w gowa. Nie mógl żech na to patrzeć. Pinto był dobry człowiek. Lubilimy sie. Klne sie na Boga że żech nie wiedzioł że prowadza go na śmierć i że to jo go tyż zabija. Nigdy se tego nie wybacza. Powinien żech zgnić za to we więzieniu. Może potym jak przyjdzie czas Bóg mnie za to lżej osądzi.*

Pamientom jak Johan Pinto na mie patzoł – pisał dalej Krawietz. – Moment przed tym jak feldfebel szczelił mu w gowa on jakby chciol mi coś dać. Nie wia co bo my sie tam pobili z feldfeblem kery prasnoł mie w gowa pistoletem az mie blank zamroczyło.

Teresa Barska, która od kilku dni słuchała nagrań rozmów Woronina z Krupierem, w jednej chwili domyśliła się, kim był

Johan Pinto i co próbował przekazać w chwili śmierci wachmanowi, którego lubił.

Zamyśliła się, prostując się na krześle i splatając dłonie na karku. Kot tylko na to czekał – natychmiast wskoczył jej na kolana.

Diamenty są symbolem szczęścia i luksusu, choć powinny kojarzyć się z cierpieniem i śmiercią, przeszło jej przez myśl. Zabiły więcej ludzi niż niejedna epidemia. Zawsze stały za nimi chciwość i bezwzględność. Napatrzyła się na to, zajmując się tym tematem w Centralnym Biurze Śledczym, do którego trafiały portrety i profile diamentowych przestępców, mogących przebywać w naszym kraju.

Na szczęście Polska w ogóle nie liczyła się w branży i była kojarzona z biznesem diamentowym mniej więcej tak jak Czechy z gospodarką morską. Tutejszy rynek obracał się wokół osi zaręczyny–ślub i zasypany był drobinkami nie większymi niż pół karata. Szlifiernie praktycznie nie istniały, poza kilkoma garażowymi warsztatami prowadzonymi przez hobbystów oraz krakowską pracownią Lesława i Wacława Janickich, sympatycznych starszych panów, braci bliźniaków, którzy znali się na fachu szlifierskim i nadal go uprawiali, choć zasłynęli jako aktorzy. Cała Polska pamiętała ich z ról młodych Kiemliczów w *Potopie*, gdzie zagrali synów Franciszka Pieczki, ze słynnym sloganem „ocięć prac”.

Przez jakiś czas sił w przemyśle diamentowym próbował biznesmen z Trójmiasta, który był nawet współwłaścicielem kopalni w Sierra Leone, ale zrezygnował i zajął się czymś innym. Dużo o Polsce mówiło się w branży tylko raz. Niezbyt pochlebnie.

W marcowy czwartek 2007 roku około ósmej rano do depozytu Międzynarodowych Targów Gdańskich wszedł mężczyzna, który

otworzył drzwi chipową kartą elektroniczną, a poza tym okazał strażnikowi dokumenty, z których wynikało, że jest pracownikiem firmy Benelux Diamonds z Antwerpii. Wszystko się zgadzało. Firma ta wystawiała kamienie na targach Amberif. Belgowie zostawili je w depozycie poprzedniego wieczoru, a dziś rano zamierzali odebrać, aby umieścić brylanty na ekspozycji swojego stoiska. Obsługa depozytu wydała woreczek z cenną zawartością, po czym obie strony wymieniły się uśmiechami, życząc sobie miłego dnia. Po angielsku, bo mężczyzna był cudzoziemcem.

Życzenie spełniło się tylko dla jednej ze stron. Trzy godziny później po kamienie zgłosili się pracownicy Benelux Diamonds, tym razem ci prawdziwi.

Teresa Barska, która interesowała się tą sprawą z poziomu CBS, od początku przewidywała, że z odzyskaniem łupu gdańskiej kradzieży stulecia – jak okrzyknęły ją media – będą trudności. Policja biegła po Pomorzu, sprawdzając fałszywe tropy, a nagroda w wysokości dwudziestu tysięcy złotych wyznaczona przez zarząd targów jakoś nikogo nie skusiła. Diamenty warte półtora miliona dolarów zniknęły. Od tego czasu właśnie minęło cztery i pół roku.

Starając się nie budzić kota, delikatnie przysunęła do siebie laptop i zaczęła czytać dwa ostatnie pliki zawierające zdjęcia stron pamiętnika wachmana. W ich końcowej części Manfred Krawietz przekonywał, że pozostali strażnicy również powinni stanąć przed sądem za ludobójstwo.

Mom dowody na ich zbrodnia – pisał Krawietz. – Wiem kaj wykopali dół i wciepli do niego zabitych żydów. Wiem tyż kaj jest zakopany Pinto – twierdził, wskazując bardzo dokładnie kierunek i odległość zbiorowej mogiły od Domku Maryi oraz miejsce grobu

Johana Pinto, który został pochowany nieco bliżej, cztery kroki na północ od pnia rosnącego tam największego i najstarszego dębu.

Kapitan ABW głośno wciągnęła powietrze. Opinie, jakie słyszała o byłym prokuratorze IPN-u, sprawdziły się w stu procentach. Jakub Kania znalazł to, czego szukał. Postanowiła niezwłocznie zadzwonić do niego z gratulacjami, ale kiedy sięgnęła po komórkę, ekran telefonu ożył i wyświetlił informację, że jest prawie druga w nocy.

Kot, który obudził się w tym samym momencie, spojrzał na nią z wyrzutem.

7

Następnego dnia był wtorek. Barska spała do dziewiątej, a ponieważ okazało się, że w lodówce ma tylko światło, na śniadanie wybrała knajpkę na rogu placu Trzech Krzyży. Podawali tam znośną kawę i kilka zestawów śniadaniowych bazujących na międzynarodowych stereotypach. Śniadanie angielskie – jajka sadzone i bekon. Niemieckie – frankfurterki. Hiszpańskie – dojrzewająca szynka. Norweskie – wędzony łosoś. Polskie – jajecznica ze szczypiorkiem. Zjadła patriotycznie, wsiadła do samochodu i uruchamiając zestaw głośnomówiący, zadzwoniła do Wiesława Palucha. Odebrał po pierwszym sygnale.

Kapitan ABW przedstawiła mu, jak to określał szef jej departamentu, „instrukcję działań na osi czasu”. Czyli powiedziała, co Paluch ma zrobić, jak i kiedy. Były dyrektor pionu śledczego IPN-u skrupulatnie wszystko zanotował.

Dwa razy sięgał po komórkę, aby połączyć się z Olegiem

Woroninem i dwa razy w ostatniej chwili wpadał w panikę, że Rosjanin przejrzał jego podwójną grę. Wreszcie otworzył barek, chuchnął w pokryty kurzem kieliszek do wódki, wytarł go rąbkiem podkoszulka, napełnił whisky i wypił jednym haustem. Wybierając numer, czuł, jak słodowa szkocka, otrzymana od kogoś w prezencie za dobrych czasów, piecze go w przełyku.

– Słucham, panie Paluch. – W głosie Woronina dało się słyszeć lekkie napięcie. Wyraźnie czekał na ten telefon.

– Mam dla pana tę informację – oświadczył Paluch.

– Doskonale. Jest pewna?

– Jak to, w którym miejscu na placu Czerwonym stoi mauzoleum Lenina.

Oleg Woronin przełknął złośliwość, obiecując sobie w duchu, że po wszystkim strzeli tego bezczelnego Polaczka w pysk.

– Czy informacja pochodzi od naszego przyjaciela Jakuba? – upewnił się.

– Tak – potwierdził krótko Paluch. – Dziś ją pozyskałem.

– Mogę zapisać – zadeklarował Rosjanin.

– Proszę bardzo. Na naszej ulubionej górze jest tak zwana Kalwaria, czyli zestaw ponad dwudziestu kaplic. Jedna z nich nazywa się Domkiem Maryi. Ma napis nad wejściem. Miejsce, które pana interesuje, znajduje się... – Paluch podał parametry otrzymane od Barskiej. – Z dokładnością do jednego metra.

– Świetna robota – pochwalił go Rosjanin. – Czy pan też przyjedzie?

– Wykluczone – oświadczył Wiesław Paluch. – Moja rola jest skończona. Miałem dać wam namiar miejsca i dałem. *Da swidania.*

– Pozostaje jeszcze jedna delikatna kwestia... – rzekł ostrożnie Rosjanin.

– Pieniądze proszę przekazać mojemu kuzynowi z gdańskiej policji – ubiegł go Paluch.

– To oczywiste – potwierdził Oleg Woronin. – Ale nie o tym mówię.

– A o czym? – zaniepokoił się były dyrektor IPN-u, wiedząc doskonale, że rozmowa jest nagrywana przez ABW.

– O naszym przyjacielu Jakubie. Trzeba mu będzie zafundować ze dwa dni urlopu, zapomniał pan? Mam odpowiednich ludzi. Pojedziemy na Górę Świętej Anny i wszystkim się zajmujemy. Pan musi tylko podać termin, kiedy ma to nastąpić.

Wiesław Paluch odetchnął z ulgą.

– Wysyłanie Kani na przymusowy urlop jest całkowicie zbyteczne – oświadczył z wyższością charakterystyczną dla ludzi, którzy wiedzą lepiej. – Nasz przyjaciel Jakub to formalista. Zawsze pracuje legalnie. A to oznacza, że na swoje działania będzie potrzebował zezwolenia Powiatowego Inspektora Sanitarnego w Strzelcach Opolskich. Być może właśnie w tej chwili o nie zabiega, ale niczego nie wskóra. Polskie prawo mówi wyraźnie: ekshumację przeprowadza się wyłącznie między szesnastym października a piętnastym kwietnia. Przepisy epidemiologiczne. Nikt ich nie naruszy. Dziś mamy czwarty październik, więc zostało panom minimum jedenaście dni na załatwienie sprawy. Jedenaście dni, podczas których nikt nie będzie wam przeszkadzał, bo nie sądzę, aby nasz przyjaciel Jakub siedział tam od jutra i pilnował tego miejsca. Przymusowy urlop nie będzie mu więc potrzebny – powtórzył z lekką kpina. – Za dużo się pan naoglądał filmów sensacyjnych, panie Woronin – dodał i się rozłączył.

Od kilku dni Kasia nie mogła dojść ze sobą do ładu, a jej emocje szarpały się nawzajem jak politycy w debacie telewizyjnej. Budziła się z przekonaniem, że słusznie postawiła Kubie ultimatum, bo dobro rodziny w pełni to uzasadniało. Ale już przy śniadaniu dochodziła do wniosku, że grubo przesadziła. Może powinna raz jeszcze na spokojnie z nim porozmawiać?

Może i powinna, ale Kuba zniknął.

To znaczy był w domu, jadł przy ich stole, spał w ich łóżku, bawił się z ich córką i śmiał się, oglądając ich ulubiony serial. Wynosił ich śmieci i robił dla nich zakupy, ale coś się w nim zablokowało. Kasia bardziej czuła, niż widziała szklaną taflę, za którą wszystko wyglądało tak jak dotychczas, ale już takie nie było. Co gorsza, to nie był foch. Raczej żal. I to z tych najgorszych: im głębiej ukrywany, tym bardziej dotkliwy.

Wczoraj poleciał do Niemiec przesłuchać świadka. Pożegnał się jak zwykle serdecznie, ale ani pożegnanie, ani serdeczność nie były tymi, które znała i do których zdążyła przywyknąć. Przestraszyła się, że tamte już nie wrócą.

Dzień bez Kuby, za to z rozterkami, był nie do zniesienia. Kasia sięgnęła po komórkę i wybrała numer Dagmary, swojej najbliższej przyjaciółki jeszcze z piaskownicy.

– Muszę z tobą pogadać – oświadczyła zamiast powitania.

Dagmara nie zadawała pytań. Znały się zbyt długo i zbyt dobrze, aby uważała napięcie w głosie Kasi za efekt złamanego paznokcia albo odkrycia pierwszego siwego włosa. Poza tym była cenionym psychologiem i potrafiła odróżniać prawdziwe problemy od wydumanych.

– Dziś akurat mam gabinet, mogę dopiero po dziewiętnastej. – Zerknęła na swój elektroniczny terminarz. – Może skoczmy coś zjeść? Podjadę po ciebie.

– Nie mam z kim zostawić małej – zmartwiła się Kasia. – Ale jest lepszy pomysł. Wpadnij do nas. Zrobię ci kolację, jakiej nie dostaniesz w żadnej knajpie. Z moją szarlotką z szarych renet...

– Ty podstępna kusicielko – rozmarzyła się Dagmara. – Wiesz o moich pragnieniach więcej niż ja sama. Będę o dziewiętnastej trzydzieści.

O 19.29 Kasia spojrzała na zegar piekarnika i na wszelki wypadek skonfrontowała jego zapis ze swatchem na przegubie lewej ręki, który doskonale pasował do niebieskiej bawełnianej bluzy z kapturem – idealnego stroju pani domu na wieczór w środku tygodnia.

Najdalej za trzydzieści sekund usłyszę domofon, pomyślała. Nie wiadomo, jak Dagmara to robiła, ale jej punktualność mogła być konkurencją dla Laboratorium Czasu i Częstotliwości Głównego Urzędu Miar. Nie myliła się. Domofon zaanonsował przyjaciółkę niemal w tej samej chwili.

Pół godziny później pani psycholog otarła usta z niewidocznych okruszków szarlotki.

– No dobra. Poplotkowałyśmy. Teraz mów, co się dzieje.

Kasia ściszyła głos, aby nie usłyszała jej Marysia zajęta ubieraniem lalki w swoim pokoju.

– Kryzys z Kubą.

Dagmara nie zareagowała. Słyszała identyczne stwierdzenia po kilka razy dziennie.

– Na czym ten kryzys polega? – spytała rzeczowo.

– Nie wiem, Daga. – Kasia spojrzała na nią wzrokiem, w którym prośba o pomoc walczyła z obawą o właściwą diagnozę sytuacji. – Im dłużej z nim jestem, tym częściej dochodzę do wniosku, że wcale go nie znam. Zawsze był skryty. Nawet mi się to podobało. Nie lubię facetów, którzy paplają wszystko wszystkim dookoła. Ale teraz widzę, że pod tą jego skorupą kryją się jakieś mroczne rzeczy.

– Jakie na przykład?

– Na przykład skłonność do niebezpieczeństw. Latem Kuba wziął zlecenie od izraelskiego instytutu Jad Waszem. Miał znaleźć dla nich grób ofiar Holocaustu ukryty gdzieś na Górze Świętej Anny. Niby nic takiego. Ale okazało się, że wokół tej pozornie zwykłej sprawy kręcą się dziwni ludzie, Daga. Jacyś Rosjanie w czarnym bwm robią mu zdjęcia z ukrycia, jacyś ponurzy faceci dzwonią do mnie na domowy numer z ostrzeżeniami. Boję się.

– Rozmawialiście o tym?

– Tak. Przyznał się, że go ostrzegano przed tymi ludźmi, a mimo to nie posłuchał. Rozumiesz? Albo on nie umie właściwie ocenić sytuacji, albo jest nieodpowiedzialny, albo ma skłonność do niebezpieczeństw... sama nie wiem.

Dagmara nie odpowiedziała.

– I na czym stanęło? – Upiła łyk zielonej herbaty.

– Poryczałam się i powiedziałam mu, że albo zrezygnuje z tej sprawy na Świętej Annie, albo z nas. Jak myślisz? – Spojrzała z przestrawieniem na przyjaciółkę. – Przegięłam?

– A gdzie teraz jest Kuba? – Dagmara odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Poleciał do Niemiec przesłuchać świadka.

– W sprawie, o której mówisz?

– Tak.

– Czyli dokonał wyboru?

Kasia przeraziła się na dobre.

– Boże drogi – jęknęła. – Nie pomyślałam o tym w ten sposób.
Boże – powtórzyła – sądzisz, że... – głos jej zadrżał – że on nas zostawi?

Przyjaciółka położyła jej dłoń na ramieniu.

– Nic takiego się nie stanie. Chciałam ci tylko uświadomić, jak umowne jest stawianie takich warunków.

– Przegięłam... – Kasia spuściła głowę.

– Wcale nie. Miałaś pełne prawo się przestraszyć i jestem przekonana, że Kuba to rozumie. Nie jest głupim facetem. On cię naprawdę kocha, ale też doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że jesteś w ostatnim miesiącu ciąży. Drażni cię wielki brzuch, przez który nie możesz zawiązać butów, dręczą obawy o poród i wiele innych dokuczliwych niedogodności. To wszystko generuje napięcie i Kuba o tym wie. Dlatego, jak go znam, wcale nie wziął tego ultimatum na serio. Nie masz się o co martwić.

– No nie wiem. Zmienił się. Niby wszystko wygląda dobrze, ale jest jakiś obcy.

– Kaśka – przyjaciółka zrobiła karcącą minę – przecież wiesz, jaki jest. On nie umie się otworzyć ani zwierzyć. Kto go miał tego nauczyć? Sama mi opowiadałaś: mama zmarła, jak był mały, ojciec miał depresję, a jego wychowywała babka, twarda Kaszubka z gatunku tych, co to rodzą w kartoflisku podczas kopania ziemniaków, owijają dziecko chustą i zostawiają je na miedzy, a same z powrotem biorą się za motykę. Ona raczej nie nauczyła go wrażliwości.

Kasia milczała, próbując dopasować te argumenty do swoich przemyśleń.

– Posłuchaj. – Dagmara głęboko spojrzała przyjaciółce w oczy, jakby zaczynała seans hipnozy. – Nie martw się tymi niebezpieczeństwami. Myślę, że Kuba wie, co robi. Ale taką ma pracę. Nie chcę ci tu wciskać kitu o strażakach i saperach, ale przecież pracując w IPN-ie, Kuba nieraz narażał się i Rosjanom, i ciągle niebezpiecznym ludziom ze służb PRL-u, a jednak nie wywoływało to twojej hysterii. Mylę się?

– Nie, nie mylisz się.

– No widzisz. Żyjesz teraz w napięciu i łatwo zwracasz uwagę na takie rzeczy. Nie martw się. Nic złego się nie stanie. Wierzę w jego rozsądek.

– To co mi radzisz?

– Daj mu dokończyć tę sprawę. Dla waszego dobra. On tego nie robi dla sportu ani dla sukcesu. Po prostu taki ma charakter i musi doprowadzić rzecz do końca. Jeśli mu zabronisz, posłucha cię, ale będzie mu z tym źle. Daj mu to zamknąć.

– Ale ja za miesiąc rodzę... – jęknęła Kasia.

– Kuba przez cały czas wyjeżdża?

– No nie, czasami na dzień lub dwa, ale rozwiązanie może nastąpić właśnie w tym czasie i co wtedy?

– Musisz mieć poczucie bezpieczeństwa – zawyrokowała Daga. – Kto tu może z tobą zamieszkać na ten krótki czas?

– Zadzwońię do mojego taty. Może przyjedzie z Nowej Zelandii.

– Przestań. Mam lepszy pomysł. Na czas wyjazdów Kuby ja się do ciebie wprowadzę.

– Ale, Daga... Przecież masz swoje sprawy, nie możesz się dla nas poświęcać...

Dagmara popatrzyła na nią zdumiona.

– A kto mówi o poświęcaniu? Codziennie ma być szarlotka.

W środę przed śniadaniem, jadąc ścieżką rowerową do Sopotu, Oleg Woronin nucił najnowszy przebój grupy Zakopower *Boso*, który miał w sobie moc odpowiadającą jego dzisiejszemu nastrojowi. Wszystko szło jak po maśle. Na przeprowadzenie akcji zostało sporo czasu, a na dodatek zniknął problem wyeliminowania na dwa, trzy dni byłego prokuratora IPN-u, co było dobrą wiadomością dla budżetu operacji. Ludzie Siergieja, którzy mieli się tym zająć, za parę fotek Jakuba Kani i jego tygodniową obserwację zainkasowali półtora tysiąca euro.

Nawet Paluch, którego poznał w Warszawie i uznał za skończonego frajera, okazał się naprawdę dobrym zawodnikiem. Jak on ma na imię? Olega na chwilę zaćmiło. Władysław? Czesław? Wiesław!, przypomniał sobie. Boże drogi, jęknął w duchu. Kto dziś nosi imię Wiesław? A jednak ten niewydarzony gość, ubrany jak akwizytor środków ochrony roślin, dał sobie radę. Naprawdę mu zaimponował, podając miejsce pochówku z dokładnością do jednego metra.

– Niezły jest ten twój dyrektor. – Oleg nie krył podniecenia podczas wczorajszej popołudniowej rozmowy z policjantem, na tej samej co zawsze parkowej ławce w Oliwie.

– Mówiłem ci – odparł komisarz z wyraźną nutą zarozumiałości.
– Dla mnie tylko tacy pracują.

– Super – ucieszył się Woronin. – Czyli co? Zaczynamy?

Policjant potwierdził. Miał już ekipę – trzech zaufanych ludzi ze Stogów, którzy byli mu winni przysługę, sprzęt do kopania i trochę akcesoriów archeologicznych do bardziej wnikliwych poszukiwań. Poza tym taśmę do ogrodzenia terenu i coś ekstra: lewe kwity

z pieczętkami Komendy Wojewódzkiej w Gdańsku i rozkazem wyjazdu na Górę Świętej Anny w celu przeprowadzenia postępowania i tak dalej. Wyglądały naprawdę wiarygodnie.

– Jak na to spojrzysz jakiś miejscowy urzędnik albo gorliwy obywatel, to uwierzy – stwierdził Woronin z uznaniem w głosie, oddając przeczytany dokument. – Ale co będzie, jak jakiś jeszcze gorliwszy zawiadomi tamtejszą policję, że ktoś coś kopie, i miejscowi gliniarze przyjadą sprawdzić, co jest grane?

– Ja też mam blachę i też jestem gliniarzem. – Policjant wrzucił ramionami. – Ale przewidziałem taką ewentualność. Jakby co, sprzedam im taki kit. Sprawa jest poufna, powiem, a nadzoruje ją nadinspektor Pocheć z Komendy Głównej. Dzwońcie do niego do Warszawy, będę nalegał. Nie zadzwonią, ręczę za to. Pocheć to wyjątkowy choleryk. Wszyscy o tym wiedzą i unikają go jak ognia. Ale gdyby nawet znalazł się śmiałek i wykonał taki telefon, to... – policjant teatralnie zawiesił głos – ...nadinspektor Pocheć jest w tym czasie na urlopie w Chorwacji. Sprawdziłem. Dlatego wybrałem go jako przykrywkę, rozumiesz? Zanim sprawa by się wyjaśniła, moglibyśmy przekopać całą Górę Świętej Anny łyżeczkami do kawy.

– Jestem pod wrażeniem – przyznał Woronin. – Zawsze uważałem cię za sprytnego gościa.

– Dzięki. No. To jakby co, plan jest. Na zasadzie „ostrożności nigdy za wiele, jak powiedział jeden góral, zamykając na kłódkę trumnę z teściową”. Ale spoko, ten scenariusz jest na wyrost. Tam nikt się nie pojawi. Teren jest w lesie, ukryty i nieuczęszczany. Wytypuję najlepszy termin od siódmego do piętnastego października i porę dnia, w której nie ma żadnych uroczystości w sanktuarium, a całe to zadupie po prostu śpi. Zobaczysz,

uwiniemy się w try miga i będzie po wszystkim. Znajdujemy, co mamy znaleźć, to już twoja rola, a potem zakopujemy z powrotem, żeby się nie narobiło afery na całą Polskę, że ktoś odkrył szczątki ludzkie, i znikamy.

Maładiec, pomyślał Woronin, przyciskając pedały na prostym odcinku ścieżki ciągnącej się wzdłuż parku Reagana, i nagle zalała go fala przekonania, że wszystko się uda. Znajdzie brylant Schwartzmana, dostanie swoje osiem procent w biznesie Krupiera, który podbije diamentowy świat, zostawi numer konta i wyleci pierwszym samolotem z Gdańska tam, gdzie mu się spodoba. Pokręci się trochę po świecie, żeby zmylić ewentualne tropy, a potem spotka się z bratem. Nie widział go od dziewięciu lat, otrzymując sporadyczne informacje od zaufanych ludzi. Zawsze na ucho, nigdy przez telefon czy mail.

Oleg zasunął suwak sportowej bluzy. Było coraz chłodniej. Ale to nic. Wkrótce czekają go o wiele cieplejsze plaże na dawnych Antylach Holenderskich. Spojrzał na zegarek. Trzeba jeszcze załatwić parę spraw konsularnych. Antyle Antylami, ale tymczasem jest Rosjaninem w Polsce. Aby wyjechać na Śląsk Opolski, musi mieć wizę na cały kraj, nie tylko tranzytówkę na Trójmiasto.

Ku bezgranicznemu zdumieniu kapitan ABW Kuba nauczył się puszczać kaczki. Popisywał się nimi nad tym samym stawem w parku Morskie Oko na Mokotowie, nad którym rozmawiali

ostatnio. Miejsca ich spotkań zawsze były powtarzalne.

– Jak pan to zrobił? – spytała Teresa Barska.

– Najlepszym sposobem, żeby się nauczyć... – zaczął Kuba i nie dokończył, posyłając w ruch kolejny kamyk, który podskoczył na powierzchni wody pięć albo sześć razy.

– Dobrze się pan spisał – powiedziała Barska.

– Mogę jeszcze więcej – zapalił się Kuba i pochylił w poszukiwaniu odpowiedniego kamienia, ale zaraz się wyprostował, widząc jej przeczący ruch głową.

– Mam na myśli akcję u Andreasa Schneidera.

– A... to – zreflektował się. – Dostanę dyplom z ABW?

– Pogadam z Paluchem, żeby panu jakiś sfałszował, chce pan?

Były prokurator IPN-u uznał się za pokonanego.

– Jak się mają sprawy? – zapytał.

– Nieźle – uznała Barska. – Ptaszki zlatują się w umówione miejsce o umówionej porze. O właśnie – przypomniała sobie. – Byłabym zapomniała. – Odszukała w niewielkim podręcznym plecaku telefon i wybrała numer. – Mam dla pana kolejne zadanie – powiedziała do słuchawki.

– Paluch? – spytał szeptem Kuba.

Kapitan ABW kiwnęła potakująco.

– Zadzwoń pan dziś do Edyty Rhode i zapytaj, czy nadal jest zainteresowana poszukiwaniami na Annabergu. Proszę pamiętać, że poniosła porażkę u Schneidera. Może być zniechęcona i zrezygnowana. Ale gdyby miała pretensje, to niech pan jej powie, że to nie pana wina. Pan tylko sprzedał adres, pod którym znajdują się pamiętniki wachmana. To ona spieprzyła sprawę, źle prowadząc rozmowę. Ale teraz pojawiła się druga szansa. Poznał pan miejsce pochówku z innego źródła. Niech jej pan powie to, co

pozostałym: że zna pan wszystkie posunięcia polskiego prokuratora prowadzącego śledztwo i może pan go ubiec. Zostało jedenaście dni. Ma pan odpowiednich ludzi i w tym czasie możecie odsłonić miejsce, w którym w dniu aresztowania Schmelta zastrzelono i pochowano Żydów z obozu, ale może nie tylko ich? Niech jej pan narobi apetytu. Niech myśli, że w grobie jest również skarb brigadeführera. Nadaża pan? To świetnie. Znamy już datę akcji Woronina i policjanta z Gdańska. Poniedziałek, dziesiąty października, godzina siódma rano. Tuż po wschodzie słońca.

Teresa Barska przez chwilę słuchała Palucha, który pewnie miał jakieś pytania.

– O ile nam wiadomo, frau Rhode jest w Amsterdamie – wyjaśniła. – Pojechała tam z Niemiec po nieudanej misji u Schneidera i teraz urządza sobie podróż sentymentalną śladami tatusia. Niech ją pan zaprosi na Górę Świętej Anny. Proszę powiedzieć, że wszystko pan zorganizował i jeśli pojawi się dziesiątego rano z pieniędzmi, to pana ekipa zabiera się do kopania. A jeśli nie, to nie. Niech jej pan da do zrozumienia, że wtedy poszukacie skarbu Schmelta na własną rękę, bo wiadomość jest pewna. Trzymam kciuki i czekam na informacje od pana. Do widzenia.

– Domyślam się, że organizuje pani niezły show – orzekł Kuba.

– I to z dobrą widownią. Jedną lożę honorową już mamy zarezerwowaną. Wczoraj Oleg Woronin zaprosił na spektakl Krupiera – tego diamentowego rekina z Amsterdamu, który nagrał całą sprawę w Jad Waszem. Początkowo się wahał, ale najwyraźniej nie potrafił odmówić sobie przyjemności osobistego odkrycia brylantu Schwartzmana, o który toczy się cała gra. Ten człowiek jest w stu procentach przekonany, że twórca legendarnego

czarnego szlifu w chwili śmierci miał kamień przy sobie. Chętnie oboiście go zapytam, skąd to wie.

– Myśli pani, że przyjedzie?

– Już zarezerwował hotel w Opolu.

– Wiedza operacyjna? – upewnił się Kuba.

– Niech pan nie będzie dzieckiem, panie prokuratorze – uśmiechnęła się Barska. – Doskonale zdaje pan sobie sprawę, że podsłuchujemy ich telefony od chwili, gdy dzięki panu wypłynął Woronin. Tak że może dostanie pan ten swój dyplom.

– Druga loża dla pani Rhode?

– Byłoby miło. Jeśli Paluch sprzeda jej wszystko, tak jak sugerowałam, powinna połknąć przynętę. Samo poszukiwanie skarbu Schmelta, bez względu na to, czy go znajdzie czy nie, to dla niej szansa na wysoką pozycję w organizacji Stille Hilfe.

– Jeszcze jacyś goście specjalni? – spytał Kuba.

Teresa Barska spojrzała na zegarek.

– Tak. Jeden. Ale tylko na próbę generalną. Musimy zaraz jechać po niego na lotnisko.

– Kto to jest? – zdumiał się Kuba.

– Zobaczy pan.

Szymon wychodzący z bramki w hali przylotów Międzynarodowego Portu Lotniczego imienia Fryderyka Chopina został całkowicie zablokowany w przejściu przez rozwrzeszczany tłum izraelskich nastolatków, którzy przyjechali odwiedzić w Polsce miejsca pamięci przodków. Zauważył Teresę Barską i Jakuba Kanię stojących obok

kiosku z prasą i pomachał im dłonią, ale był najwyraźniej zirytowany zachowaniem młodych współplemieńców, którzy pewnie uprzyjemniali mu cały lot do Warszawy. Otoczony nimi, rozłożył bezradnie ręce, nie mogąc przejść, i próbował coś perswadować – bez najmniejszego skutku. Raptem coś w nim pękło i po prostu ruszył do przodu z całą siłą swoich stu trzydziestu kilogramów. Przypominało to scenę z *Podróży Guliwera*, w której tytułowy bohater roztrąca tłum złośliwych Liliputów. Kilku młodych Izraelczyków zatoczyło się, jakby z dużą szybkością odbili się od muru, ktoś nawet się przewrócił, ale Szymon nie zwracał na to uwagi. Zanim ochroniarze młodzieży zdążyli się zorientować, co się dzieje, olbrzym był już na wolnej przestrzeni hali przylotów.

Ucałował Teresę Barską w obydwie policzki, co świadczyło o jakiejś zażyłości, choć nie byli po imieniu i zwracali się do siebie oficjalnie. Kuba nie wnikał, skąd się znają, choć od zawsze miał niejasne przecucie, że Szymon miał coś wspólnego ze służbami. A może nadal ma.

Uściskali się z kontrolowaną niedźwiedzią serdecznością.

Szymon zarezerwował pokój w Novotelu, gdzie wieczorem umówił się z Kubą, aby powłóczyć się po Warszawie i odwiedzić Szmulki, tymczasem zaprosił ich obydwójce na obiad do restauracji przy Nowym Świecie, gdzie podawano przysmak, o którym marzył od dawna: wołowy ozór w sosie chrzanowym. Chwilę po tym, jak kelner oddalił się z zamówieniami, szef referatu cieni Jad Waszem oświadczył:

– Obiad jest na cześć Jakuba. Z komplementami za odnalezienie grobu ofiar obozu na Górze Świętej Anny. Mam tu – Szymon sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, która Kubie śmiało mogłaby zastąpić płaszcz – list pochwalny z instytutu. Będzie też

premia. – Uśmiechnął się szeroko. – Więc kolację dziś ty stawiasz.
– Klepnął Kubę delikatnie w plecy, co były prokurator IPN-u odczuł, jakby uderzyła w niego lokomotywa.

– Niech pan nie wydaje za dużo – uprzedziła go Teresa Barska. – Nie mam stuprocentowej pewności, że zleceniodawcy z Amsterdamu rozliczą się ze zobowiązań wobec Jad Waszem.

Szymon, który znał już historię z brylantem Schwartzmana, nie przejął się tą uwagą.

– Rozliczą się, rozliczą. Będą chcieli zatuszować swój podstęp, a pieniądze są bardzo dobre do tuszowania.

Barska skinęła głową. Nie zamierzała wprowadzać Szymona w pozostałe szczegóły sprawy. Dla niego i instytutu, który reprezentował, najważniejsze było miejsce pochówku Żydów.

– Co zamierzacie zrobić po odnalezieniu grobu? – spytała.

– Tego jeszcze nie wiem.

– Będziecie się starać o ekshumację?

– Nie sędzę – odparł Szymon. – W naszej religii naruszanie spokoju zmarłych i integralności ich szczątków jest surowo zabronione. Chyba że w grę wchodzi przeniesienie zwłok do Izraela, pochowanie ich w grobie rodzinnym albo w innym miejscu wskazanym przez zmarłego przed śmiercią. Oczywiście to prawo stosowane na cmentarzach, a tu nie mamy do czynienia z cmentarzem, tylko miejscem kaźni, co zmienia postać rzeczy. Mimo to raczej wykluczam ekshumację.

– Postawicie kamień nagrobny? – spytał Kuba.

– Między innymi po to przyjechałem. Taki obowiązek wynika z interpretacji Tory, choć dla Żydów ważne jest to, co w ziemi, a nie nad ziemią. Ale kamień powinien być. Jako świadectwo dobroci i prawdy. W *Księdze Rodzaju* twój imiennik Jakub mówi do

swojego syna Józefa, aby po śmierci nie pozostawiał jego zwłok w Egipcie, tylko „postąpił zgodnie z dobrocią i prawdą”. Judaizm uznaje troskę o zmarłych za najwyższą formę dobroci, bo oni się za nią na pewno nie zrewanżują. Jest to zatem dobroć całkowicie bezinteresowna.

Kelner przyniósł dania. Szymon wepchnął za koszulę jedną trzecią wykrochmalonej serwetki, chroniąc garderobę przed skutkami swojego entuzjazmu wywołanego ozorem. Pochłaniał danie, przewracając oczami z rozkoszy. Kuba skupił się na pierogach, Teresa Barska dłubała w sałatce z kaczka. Coś jeszcze chodziło jej po głowie, ale zapytała dopiero przy serniku.

– A jak się ma Tora do grobu Dawida Schwartzmana, który przebywał w obozie pod nazwiskiem Johana Pinto? – zaciekawiała się. – Prowadzimy w tej sprawie czynności i chcemy go ekshumować.

Szymon nie wydawał się zaskoczony.

– W mojej ocenie nie ma przeszkód – powiedział. – Choć oczywiście nie jestem rabinem. Ale, jak już wspomniałem, to nie jest grób na kirkucie. Poza tym czytałem pamiętnik wachmana na fotokopiach zrobionych przez Kubę i tam jest wyraźne świadectwo, że pan Schwartzman był katolikiem. Ochrzczonym w kościele. Mówiąc brutalnie: judaizm nic do niego nie ma.

Wytań usta, zrobił rozanieloną minę i wzrokiem przywołał kelnera.

Wyszli na ulicę. Nowy Świat niechętnie żegnał się z latem. Przeciwno obowiązującej od parunastu dni jesieni protestowały przede wszystkim ubrania studentów pobliskiego uniwersytetu, grożące rozpoczęciem nowego roku akademickiego od przeziębienia.

– Chcę kupić trochę drobiazgów dla dzieci – oświadczył Szymon,

żegnając się z Teresą Barską. – Widziałem tu sklep Wedla. A z tobą, Kuba, widzimy się o dziewiętnastej w lobby Novotelu. – Raz jeszcze im pomachał i odpłynął w fali przechodniów, górując nad nimi przynajmniej o dwie głowy.

– Myślę o tej ekshumacji – powiedział Kuba, gdy ruszyli chodnikiem w przeciwną stronę.

– O której? – chciała wiedzieć Barska.

– Jak to: o której? – zdziwił się Kuba.

– Ma pan na myśli grób Schwartzmana czy zbiorową mogiłę tamtych szlifierzy?

– Jak to? – powtórzył Kuba. – Przecież w zbiorowej mogile nie będzie ekshumacji.

– Trochę będzie – powiedziała Barska.

– Jak to: trochę? – Kuba uzupełnił zestaw tak samo zaczynających się pytań.

– Panie prokuratorze – westchnęła. – Nie mamy wyboru. Ekipa z Gdańska w asyście Woronina, Krupiera i pani Rhode musi wbić tam przynajmniej jedną łopatę. Rozumie mnie pan?

– Nie rozumiem – wyznał Kuba. – Nie można im wskazać przez Palucha jakiegokolwiek innego miejsca?

– Nie – wyjaśniła Barska. – Bo wtedy sprytni adwokaci łatwo poradzą sobie z obroną, podnosząc krzyk, że ich klienci padli ofiarami prowokacji polskich służb. W rezultacie cudzoziemcy zapłacą najwyżej mandat za niszczenie na Górze Świętej Anny terenów zielonych. Oni muszą fizycznie dobrać się do prawdziwego grobu. Wystarczy naruszyć na nim parę centymetrów ziemi. Wtedy mamy paragraf i się nie wywiną. A dodatkowo doklepiemy im zbezczeszczenie reguł judaizmu, o których pan Krupier, jakkolwiek by było, Żyd, musiał wiedzieć.

Teresa Barska przystanąła i wyciągnęła dłoń na pożegnanie.
– Najlepszym sposobem, aby kogoś przyskrzynić, jest go przyskrzynić – wyjaśniła.

12

Antoni Kania szykował się do misji o wiele trudniejszej niż wszystkie operacje wywiadowcze, jakie wykonywał na pokładzie łodzi podwodnej Polskiej Marynarki Wojennej w latach siedemdziesiątych.

Wtedy podpływał do granicy wód terytorialnych i prowadził nasłuch szwedzkich jednostek bojowych, dziś jechał do sanatorium w Ciechocinku, gdzie miał leczyć zwyrodnienie stawów. Taplać się w błocie borowinowym, brać kąpiele solankowe, uczestniczyć w zajęciach rehabilitacyjnych i dzielić pokój z dwoma innymi, pewnie nieustannie narzekającymi dziadkami. Misję, na którą bezwzględnie wysłał go lekarz, emerytowany bosman traktował niemal jako samobójczą.

Od kilku godzin zastanawiał się, co jeszcze zabrać do uzdrowiska, w którym za chwilę zacznie się złota polska jesień, czyli deszcze, wichury i temperatura w okolicach pięciu stopni Celsjusza.

Kuba, który obiecał go odwiedzić, przyglądał się przygotowaniom z rosnącym sceptycyzmem.

– Tato, jedziesz na trzy tygodnie, nie musisz zabierać całego dobytku. Peugeot nie udźwignie tego wszystkiego. – Przechylił głowę w stronę przedpokoju, w którym stały już trzy spakowane torby i dwa kartony.

– Kto z sobą nosi, nikogo nie prosi – odparł emerytowany bosman. – Nigdy nie wiadomo, co się przyda.

– No dobra. – Kuba dał za wygraną i spojrzał na zegarek. – Spotykam się z Unrą tu niedaleko, w kawiarni. Chcę mu podziękować za wszystko. Zaraz wracam. Tato – ożywił się nagle – a może pójdziesz ze mną? Czas skończyć tę maskaradę. Unra to równy gość. Głowę daję, że nie będzie miał najmniejszego problemu z twoim Pesel-em i nie wyrzuci cię z klubu odkrywców tajemnic drugiej wojny. Jak długo zamierzasz udawać w internecie dwudziestolatka? Chodź, będzie fajnie. Załatwię to za ciebie, chcesz? Powiem, że jesteś Bosmanem, którego znają z czatów, a przy okazji moim ojcem.

Antoni Kania przez moment wydawał się przekonany, ale zaraz odpędził tę myśl zniecierpliwionym gestem dłoni.

– Muszę się pakować. Następnym razem.

Kuba nie nalegał. Umówił się z ojcem, że wyruszają za godzinę, i wyszedł z domu. Za rogiem ulicy Bema skręcił w lewo, potem pokonał przejście dla pieszych na Świętojańskiej i znalazł się w drzwiach wejściowych popularnej cukierni. Unra już tam czekał. Ubrany był odświętnie, w biały T-shirt bez żadnych prowokacyjnych haseł. Na ramiona zarzucił granatowy sweter. Przywitali się tradycyjnym stuknięciem pięści.

– Chciałem się spotkać, żeby ci podziękować – zaczął Kuba – za wszystko, co zrobiłeś przy sprawie Świętej Anny.

– Eeee – Unra udał rozczarowanie. – Myślałem, że z tej okazji pójdziemy na jakiś melanz do któregoś klubu w Sopocie, a tu tylko szarlotka, wuzetka, karpatka. Słabo, ziomek.

Kuba był zakłopotany.

– Szampana otworzymy po ekshumacji Schwartzmana, dobra?

Następnym razem.

– Spoko – roześmiał się Unra. – Wkręcą cię. Miło, że doceniasz moją pomoc. Serio. Zarąbiście miło. Tylko nie zapomnij podrzucić mi filmiku z ekshumacji. Kurczę, chciałbym tam być, ale akurat mam tomograf. Nie dam rady.

– Nie martw się – pocieszył go Kuba. – Na ekranie obejrzysz sobie wszystko dokładniej niż na miejscu. Najlepsi operatorzy z ABW będą to dla ciebie kręcić. Słowo.

– Spodziewacie się kompletu gości?

– Barska prowadzi listę, ale jak dotąd wszystkie VIP-y potwierdziły obecność. Woronin, Krupier, pani Rhode – wyliczał.

– O właśnie – ożywił się Unra. – Zapomniałem ci powiedzieć. Namierzyliśmy jej ojca, Oscara Rhodego. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent był jednym z hitlerowców, którzy przedostali się do Ameryki Południowej na pokładzie łodzi podwodnej Kriegsmarine U-977 lub U-530, które wypłynęły z fiordów Norwegii.

– I przepłynęły ocean?!

– Tak. To były u-booty nowej generacji. Typ XXI. Mogły dopłynąć do wybrzeży Argentyny bez uzupełniania paliwa. I dopłynęły. Te dwa na pewno. A skoro na pokładzie któregoś z nich znalazł się pan Rhode, to znaczy, że był albo bardzo wpływowy, albo bardzo bogaty.

Kuba pożałował, że ojciec stchórzył przed spotkaniem z Unrą. Łodzie podwodne były jego pasją.

– Wy naprawdę jesteście encyklopedią drugiej wojny – powiedział z uznaniem. – Mam prośbę: czy możesz tę informację wrzucić na czacie Bosmanowi? Ucieszy się.

– To on ją znalazł – odparł Unra.

No tak, pomyślał Kuba. Dlaczego na to nie wpadłem?

Uśmiechnął się, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

Chłopak wybawił go z zakłopotania.

– Spadasz do Warszawy, tak? Pewnie się spieszysz. Pomożesz mi się ewakuować? Zalatuje tu PRL-em.

Kuba zapłacił za dwa soki i przytrzymał nogą drzwi, aby podnieść przód, a potem tył wózka, ułatwiając mu przekroczenie progu. Zatrzymali się na chodniku.

– No to strzała, ziomek – Unra podał mu wyprostowaną dłoń. Widać sytuacja była zbyt poważna i savoir-vivre zabraniał stosowania w niej „żółwika”.

Kuba uściskał jego dłoń, czując, że chłopak lekko drży. On też poczuł się wzruszony.

– Niedługo przyjadę... – próbował jakoś rozbroić to pożegnanie. – Oczywiście wstępuję do waszego klubu i w ciemno biorę cię do wszystkich kolejnych spraw.

Unra uśmiechnął się blado.

– Trzymaj się – powiedział. – Będziemy w kontakcie.

Nacisnął guzik na panelu sterowania i wózek obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, a potem ruszył w stronę parkingu przy Władysława IV.

Góra Świętej Anny

październik 2011 roku

1

Nad niewielką doliną u stóp Góry Świętej Anny, w której zbudowano przyjemny zajazd, wznosi się masyw parku geologicznego, otaczającego krater nieczynnego wulkanu. Zbocze jest łagodne i gościom zajazdu nie grozi ani niebezpieczeństwo lawin, ani niepokój wywołany przez wulkan, który ma znacznie mniejszy temperament niż jego krewniacy na Filipinach i od dwudziestu siedmiu milionów lat zachowuje się powściągliwie.

Teresa Barska odłożyła łyżkę i zwróciła się do Kuby siedzącego naprzeciwko niej w restauracji zajazdu.

– Nabrałam ochoty na piwo. Napije się pan również?

– Czemu nie? – Kuba wrócił z dalekiej podróży odbywanej w myślach. – Chmiel uspokaja i ułatwia zasypianie, a my musimy wstać jutro o...

Przerwał mu trzask niewielkiego radiotelefonu leżącego na stole przed Teresą Barską.

– Pielgrzym Jeden do Pielgrzyma Cztery, Pielgrzym Jeden do Pielgrzyma Cztery, jak mnie słyszysz? Odbiór – odezwała się krótkofalówka niskim męskim głosem.

Kapitan ABW rozejrzała się po sali restauracji, a ponieważ byli

jej jedynymi gośćmi, podniosła urządzenie i przytrzymała podłużny czarny klawisz na boku jego obudowy.

– Słyszę cię, Pielgrzym Jeden – odpowiedziała.

– Zwijamy się – zakomunikował głos w radiotelefonie. – Teren sprawdzony, wszystko zabezpieczone i przygotowane. Pielgrzym Cztery, potwierdź parametry akcji kryptonim „Miejsce i imię”. Jutro godzina piąta trzydzieści parking przed Muzeum Czynu Powstańczego.

– Potwierdzam – powiedziała Teresa Barska do mikrofonu krótkofalówki. – Bez odbioru.

– Miejsce i imię? – zdziwił się Kuba.

– Pańskie słowa. Pamięta pan? O to toczy się cała gra, która jutro zostanie rozstrzygnięta. Instytut Jad Waszem, co po hebrajsku znaczy „miejsce i imię”, pragnie przywrócić obydwie te wartości Żydom zamordowanym w obozie i pochowanym bez nazwisk i grobu. Bez właściwie oznaczonego miejsca i bez imienia. Holenderscy jubilerzy chcą znaleźć brylant Schwartzmana, aby zapewnić sobie miejsce i imię, czyli sławę i pozycję w rankingu najbogatszych ludzi w branży. Ale za ich chciwym egoizmem kryje się coś szlachetnego: pragnienie przywrócenia godnego miejsca i imienia stolicy diamentowego świata Amsterdamowi, który przez wojnę stracił prymat na rzecz Antwerpii i nigdy go już nie odzyskał. Wreszcie Edyta Rhode toczy swoją grę o mityczny skarb Schmelta, wierząc, że dzięki niemu uda się przywrócić na świecie miejsce i imię faszyzmu.

– A my? – spytał Kuba. – Co my robimy na planszy tej gry?

– A my, panie prokuratorze – Teresa Barska spojrzała na niego z pełną powagą – my robimy swoje.

Krótkofalówka odezwała się ponownie przy śniadaniu, które podano im punktualnie o piątej. Personel kuchni nie zgodził się wstawać w środku nocy, ale ponieważ byli jedynymi gośćmi zajazdu, pani z recepcji zgodziła się usmażyć im jajecznicę, pokroić chleb i zaparzyć kawę.

– Pielgrzym Jeden do Pielgrzyma Cztery. Odbiór. –

W radiotelefonie zabrzmiał znajomy niski głos.

– Słyszę cię, Pielgrzym Jeden.

– Jesteśmy na pozycjach. Bez odbioru.

– Przyjęłam – potwierdziła Barska. – Meldujcie się, Pielgrzymi.

– Pielgrzym Dwa do Pielgrzyma Jeden. Czekamy w rynku, przed restauracją Pod Jeleniem. Bez odbioru.

Pielgrzym Trzy się nie zgłosił.

Świtało, gdy na parking przed Muzeum Czynu Powstańczego podjechał bus z gdańską rejestracją. Kierowca zgasił silnik i wysiadł. Jego trzech pasażerowie zrobili dokładnie to samo. Podeszli do repliki samochodu pancernego „Korfanty”, który walczył w III powstaniu śląskim. Komentowali jego toporność, śmiejąc się i paląc papierosy. Kierowca busa, który został przed starym budynkiem muzeum, odtworzonym po wojnie dokładnie tak, jak wyglądała mieszcząca się tu komendantura obozu pracy, patrzył na zegarek i zerkał na pustą szosę. Pięć minut później od strony Góry Świętej Anny pojawiły się na niej światła czarnego mercedesa z Kaliningradu. Samochód skręcił w prawo na parking dla zwiedzających.

Oleg Woronin przywitał się ze swoim współnikiem z gdańskiej

policii i przedstawił mu eleganckiego starszego pana w krótkiej kurtce i czapce z daszkiem, jakie noszą golfiści. Komisarz zrozumiał, że człowiek ten mieszka w Amsterdamie, i domyślił się, że jest zleceniodawcą akcji. Obaj z Woroninem przyjechali z Opola, gdzie korzystali z wygód tamtejszej bazy hotelowej. Policjant przyjął tę informację z uprzejmym uśmiechem, choć ciągle czuł ból pleców, będący pamiątką niewygodnego łóżka w marnym motelu, w którym zatrzymali się na noc z ludźmi ze Stogów. Oni nie odczuli niedogodności. Byli przyzwyczajeni do twardych prycz.

Zaprosił gości do busa. Wymienili milczące skinienia głowy z kolegami policjanta, którzy zabrali ze sobą do samochodu zapach papierosów, i ruszyli, skręcając w podrzędną drogę prowadzącą wzdłuż pól obok kaplicy figurującej w przewodnikach jako Domek Najświętszej Marii Panny, zbudowany na symbolicznym planie róży.

Komisarz wysiadł pierwszy. Przeszedł się w stronę budynku, fachowo obserwując teren. Nacisnął klamkę drzwi kaplicy. Były zamknięte na klucz. Chwilę postął, nasłuchując, wreszcie zgasił papierosa i wrócił do busa. Spojrzał na Woronina porozumiewawczo, kiwając głową na znak, że teren jest czysty.

– No, *rebiata* – uśmiechnął się Rosjanin. – Zaczynamy.

Ekipa z Gdańska zabrała się do swoich zadań. Wyjmowali sprzęt i układali go na trawie, w czasie gdy Woronin z komisarzem, trzymającym w ręku kartkę z namiarami, starali się jak najdokładniej wyznaczyć miejsce. Po kilku minutach wbili w nie zaostrzony palik. Ludzie komisarza ogrodzili teren taśmą policyjną rozpiętą między najbliższymi drzewami, podnieśli łopaty i zaczęli kopać. Zrobiło się prawie całkiem widno. Słońce oświetlało rzadki las, coraz wyraźniej oddający zieleń żółci i pełen jesiennych nitek

babiego lata.

W pewnej chwili komisarz przystanął, dostrzegając szczupłą, krótko ostrzyżoną kobietę, która wyszła zza grubego pnia drzewa, trzymając przy prawym oku niewielką kamerę, jakiej używają turyści.

– Stać. Policja – zawołał i podbiegł w jej stronę, choć kobieta wcale nie zamierzała uciekać.

Pozostali przerwali pracę, obserwując zajście. Starszy człowiek z Amsterdamu zerkał na Woronina z wyraźnym niepokojem.

– To jest akcja policyjna. – Komisarz wyciągnął odznakę. – Co pani tu robi?

– Też taką mam – oświadczyła Teresa Barska, sięgając do kieszeni.

W tym samym momencie drzwi kaplicy odskoczyły i wypadła z nich grupa mężczyzn w czarnych kombinezonach i kominiarkach, z pistoletami maszynowymi gotowymi do strzału.

– Gleba! Gleba! – krzyczeli na przemian.

Mężczyźni z łopatami natychmiast odrzucili narzędzia i posłusznie ułożyli się na brzuchu, zakładając ręce za głowę, choć nikt ich o to nie prosił. Najwyraźniej byli już uczestnikami podobnych sytuacji i wiedzieli doskonale, że z „kominiarzami” z oddziałów antyterrorystycznych lepiej nie polemizować.

– Gleba – powtórzyła grzecznie Teresa Barska komisarzowi, który stał przed nią osłupiały, jakby nie mógł pojąć, co się dzieje. Mimo to posłuchał i poszedł w ślady swoich kolegów. W dłoniach ułożonych na karku nadal trzymał policyjną odznakę.

Woroninowi trzeba było pomóc w zajęciu swojego miejsca na ziemi. Starszy pan stał sztywno z jakąś urażoną godnością. Funkcjonariusz w kominiarce chciał podciąć mu nogi kopniakiem

w zgięciu kolan, ale wcześniej spojrzął na kapitan Barską, która przecząco pokręciła głową. Ograniczył się do wykręcenia cudzoziemcowi rąk do tyłu i założenia kajdanków.

Po chwili mieli je na przegubach również wszyscy czterej ludzie z Gdańska i Rosjanin.

– Skąd pani wiedziała? – zapytał stojącą obok Teresę Barską i raptem go olśniło. – No tak, podsłuch. Znała pani nasze rozmowy, prawda?

Kapitan ABW popatrzyła na niego, udając zdziwienie.

– O czym pan mówi? Za dużo filmów sensacyjnych, panie Kolcew.

3

Kuba, który również wyszedł z kaplicy w trakcie działań oddziału AT, stał obok Teresy Barskiej, przyglądając się dalszym wydarzeniom. Gdańszczanie zostali zapakowani do własnego busa.

– Nie wolno im rozmawiać – uprzedziła Teresa Barska dowódcę ich eskorty. – A w Strzelcach do osobnych klatek, żeby nie mataczyli.

Olbrzym w kominiarce bez słowa skinął głową, wykonał jakiś fachowy gest, kręcąc w powietrzu palcem wskazującym, i wraz z dwoma swoimi ludźmi wsiadł do busa. Prowadził funkcjonariusz ABW z grupy Pielgrzym Dwa, która pojawiła się na miejscu kilka minut temu w służbowej siedmioosobowej terenówce. Dowodził nią młody człowiek, który jakiś czas temu w warszawskim hotelu Hilton robił pamiątkowe zdjęcia swojemu partnerowi.

– Odstaw ich na razie do kaplicy. – Teresa Barska wskazała ruchem głowy Holendra i Rosjanina. – I wołaj techników. Powinni

już tu być.

Młody oficer sięgnął po krótkofalówkę.

– Pielgrzym Dwa do Pielgrzyma Trzy – wywołał. – Gdzie jesteś?

– Jadę do ciebie, Pielgrzym Dwa – odpowiedziała krótkofalówka, co potwierdził obłok kurzu na polnej drodze, unoszący się nad kolejnymi dwoma samochodami.

Szef techników wydał polecenie zabezpieczenia materiału dowodowego. Jego ludzie sfotografowali i opisali rozkopaną ziemię, łopaty i inne detale oznaczone wcześniej numerowanymi tabliczkami. Po czym wszystko starannie sprzątnęli, zanosząc do bagażnika swojego samochodu, z którego wyjęli... niemal identyczne łopaty i walizki z bardziej specjalistycznym sprzętem.

– Taśma zostaje – rozkazał szef i uśmiechnął się do Teresy Barskiej.

Kuba popatrzył na nią pytająco.

– Taki mały performance – wyjaśniła. – Zaraz pan zobaczy.

Spojrzała na młodego oficera z Hiltona, pokazując mu zegarek na przegubie swojej lewej dłoni.

– Jedź – powiedziała krótko.

Budzik w telefonie Edyty Rhode odezwał się o szóstej. Jak zwykle wstała bez sekundy wahania, otworzyła okno i w piżamie wykonała zestaw ćwiczeń gimnastycznych, od których zaczynała dzień. Potem wzięła gorący prysznic, odpowiedni na zimną Europę, odczekała, aż lustro w łazience przestanie być zaparowane, wyszczotkowała włosy i zrobiła dyskretny makijaż. Ubierając się, myślała, jak ważne będzie wszystko, co ją dziś czeka, i postanowiła wesprzeć się jedynym amuletem, w jaki naprawdę wierzyła: pierścieniem

otrzymanym od ojca w dniu pierwszej komunii. Nosiła go bardzo rzadko, wmawiając sobie, że nadużywanie siły talizmanu może sprawić jej szybsze wyczerpanie. Jakby pierścionek przynoszący przychylność losu był amuletem na baterię, której nie można doładować.

Sięgnęła do torebki po pudełeczko pokryte spłowiełym aksamitem. Widniały na nim resztki złożonych liter adresu jakiegoś amsterdamskiego jubilera, który opracował kamień. Otworzyła wieczko i z nabożnością, z jaką traktuje się relikwie, wsunęła pierścionek na serdeczny palec lewej ręki. Wyprostowała dłoń i obróciła nią ostrożnie, czekając na moment, który lubiła najbardziej. Była to magiczna chwila spotkania klejnotu ze światłem słońca, w której brylant niemalże oślepił. Był wyjątkowy tak jak jej ojciec i właśnie tej wyjątkowości dziś potrzebowała.

Zjechała windą na parter niewielkiego, ale schludnego hotelu w mieście, które nazywało się Kędzierzyn-Koźle, czego nie podejmowała się wymówić, ale z warunków i obsługi była zadowolona. Dziewczyna w recepcji mówiła i wyglądała po niemiecku, co Edycie Rhode wydało się dobrą nowiną. Mimo przejścia tych ziem na skutek intryg światowego żydostwa nasze geny tu nie wyginęły, pomyślała, przypominając sobie dane z jakiejś broszury, z której wynikało, że co czwarty mieszkaniec Opolszczyzny uważa się za Niemca.

Zjadła śniadanie i z szerokim uśmiechem poprosiła recepcjonistkę o dwie przysługi, za które zostawiła jej pięć euro napiwku: wydrukowanie mapki dojazdu do Muzeum Czynu Powstańczego w Leśnicy oraz wezwanie taksówki. Kiedy czekały na jej przyjazd, dziewczyna wyjaśniała z troską, że do otwarcia muzeum zostały jeszcze ponad dwie godziny. Edyta Rhode

uspokoiła ją, że przed zwiedzaniem chce odbyć poranny spacer po lesie.

Kierowca, niestety wyglądający na Słowianina, spojrzął na podany mu wydruk, sięgnął do schowka na rękawiczki po długopis, napisał na kartce „15 km” i cenę przejazdu w złotówkach, na co pasażerka skinęła głową.

Na miejsce dotarli kilka minut przed ósmą. Edyta Rhode uregulowała rachunek i rozejrzała się po parkingu. Był pusty, nie licząc czarnego mercedesa z rosyjskimi tablicami rejestracyjnymi.

Punktualnie o ósmej przed budynkiem muzeum zatrzymał się terenowy samochód, z którego wysiadł młody człowiek kierujący się w jej stronę. Gdyby frau Rhode była bardziej spostrzegawcza, rozpoznałaby w nim turystę z hotelu Hilton w bermudach i wzorzystej koszuli. Ale nie była.

– Pani na ekshumację? – zapytał chłopak płynną angielszczyzną, jakby był animatorem czasu wolnego dla klientów biura podróży w jakimś egzotycznym kraju.

– Od pana Palucha? – upewniła się Edyta Rhode.

Chłopak skinął głową.

– Zatem tak – powiedziała starsza pani. – Na ekshumację – potwierdziła, co młodego człowieka wyraźnie ucieszyło.

– Wobec tego zapraszam. – Wskazał dłonią samochód, do którego szarmancko pomógł jej wsiąść. Ruszyli asfaltową szosą, którą opuścili po kilkuset metrach, skręcając w prawo w drogę wiodącą wzdłuż pól i granicy rzadkiego lasu. Na jego krańcu Edyta Rhode zauważyła kilku mężczyzn zdejmujących łopatami górną warstwę ziemi z miejsca ogrodzonego taśmą policyjną. Nie zmartwiła się tym. Paluch uprzedzał, że odkopaniem grobu Żydów, w którym może być „coś jeszcze”, zajmą się zaufani stróże prawa, pracujący

dla niego prywatnie.

Młody człowiek tym razem pomógł jej wsiąść, a kiedy podeszła bliżej, rozglądając się za Paluchem, usłyszała swoje nazwisko wypowiedziane pytająco przez kogoś stojącego z tyłu.

– Tak, to ja – potwierdziła po angielsku, przyglądając się szczupłej kobiecie z krótkimi, po męsku ostrzyżonymi włosami.

– Czy pani się domyśla, czego tu szukamy? – spytała tamta w tym samym języku.

– Oczywiście – potwierdziła Edyta Rhode.

– I wie pani, że to grób więźniów obozu?

Niemka wzruszyła ramionami. Niewiele ją to obchodziło.

– Mamy kopać dalej? – upewniła się kobieta z krótką fryzurą.

– Ależ naturalnie.

– To mi wystarczy – stwierdziła Teresa Barska. – Jestem oficerem polskiej Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. A pani jest zatrzymana pod zarzutem nakłaniania i współudziału w nielegalnej ekshumacji szczątków ludzkich na terenie Rzeczypospolitej Polskiej, czyli przestępstwa z artykułu... – wymieniła.

Niemka spochmurniała, ale nie dała poznać po sobie najmniejszych emocji.

– Chcę się widzieć z urzędnikiem konsularnym mojego kraju – oświadczyła sztywno.

– Przyjdzie na to czas – obiecała Barska, zakładając jej kajdanki, co skrętnie fotografował młody człowiek, który przywiózł panią Rhode spod budynku muzeum.

W tej samej chwili otwarły się drzwi kaplicy, z której dwaj uzbrojeni mężczyźni w kominiarkach wyprowadzili Krupiera i Olega Woronina. Stanęli obok Edyty Rhode, przyglądając się jej

z niemałym zdziwieniem, choć starsza Niemka traktowała ich jak powietrze.

– No – ucieszyła się Teresa Barska – to mamy *whole in one*. – Mrugnęła okiem do aresztowanych, cytując określenie golfistów oznaczające wymarzony strzał, po którym piłka uderzona na polu startowym wpada wprost do dołka. – Zapraszamy państwa do samochodów. – Ukłoniła się, wskazując terenówkę i wysłużonego sedana. W pierwszym aucie ulokowano Rosjanina i Holendra w towarzystwie dwóch funkcjonariuszy AT. Do eskortowania Edyty Rhode, umieszczonej w służbowej skodzie, wystarczył kierowca i jeden z oficerów ABW.

Krupierowi obecność starszej pani nie dawała spokoju. Kim ona jest i co tu robi? Ta powtarzająca się myśl była na tyle natrętna, że nie pozwoliła mu spuścić wzroku z Edyty Rhode. Przez szybę terenówki widział, jak oficer polskich służb kładzie dłoń na głowie starszej pani, aby uchronić ją podczas wsiadania do samochodu przed uderzeniem o obramowanie tylnych drzwi. Aresztowana, starając się utrzymać równowagę, uniosła w tym momencie ręce skute z przodu kajdankami i Krupier ujrzał na jej palcu klejnot, który w ułamku sekundy błysnął tak, że starego jubilera przeszedł dreszcz. To musiał być brylant. Ale taki, jakiego Krupier nigdy dotąd nie widział. Brylant o niebywałym ogniu, o nieprawdopodobnym szlifie. Jak...

Jubiler z Amsterdamu przestraszył się swojego własnego przypuszczenia i uznał, że ze zdenerwowania uległ halucynacji.

Teresa Barska podeszła do Kuby stojącego w pobliżu Domku Maryi. Technicy wyrównywali teren miejsca pochówku ofiar obozu, zasypując je z powrotem gałązkami i liśćmi.

– Mam nadzieję, że nie zakłóciliśmy im spokoju – powiedziała kapitan ABW. – A jeśli nawet, to nam wybaczą, nie sądzi pan? Choćby za to, że unieszkodliwiliśmy ludzi, którzy chcieli zyskać na ich śmierci.

Westchnęła głęboko.

– Czas na ich kolegę, Dawida Schwartzmana. – Wskazała patykiem miejsce w sąsiedztwie starego dębu.

– Kiedy ekshumacja? – zapytał.

– Zaraz – odparła Barska. – Skoro już mamy ekipę techników i sprzęt...

– Ale... – zaczął Kuba tonem protestu.

– Proszę się nie martwić – uspokoiła go Teresa Barska. – Sanepid był tak wyrozumiały, że przymknął oko na wydobycie szczątków pięć dni przed ustawowym terminem. Czego się nie robi dla ABW – uśmiechnęła się. – Zaraz tu będzie ktoś z inspektoratu w Strzelcach.

Antena ekranowana o częstotliwości 800 MHz z wyzwalaczem odległościowym dobrze poradziła sobie ze swoim zadaniem i na monitorze rejestratora pokazał się odczyt, który nie pozostawiał wątpliwości.

Piegowaty chłopak obsługujący urządzenie GPR stosowane do poszukiwania szczątków ludzkich metodą georadarową wskazał palcem ziemię u swoich stóp.

– Mam – powiedział. – Jakiś metr dwadzieścia w głąb.

Spojrzał pytająco na kapitan Barską, a ta przekazała wzrokiem

to samo pytanie do stojącej parę metrów dalej urzędniczki sanepidu. Kobieta skinęła głową.

Czterech funkcjonariuszy z ekipy noszącej kryptonim „Pielgrzym Trzy” zaczęło kopać, zmieniając się parami co dziesięć minut.

– Schwartzman też jest objęty pani śledztwem? – spytał Kuba.

– Tak i nie – powiedziała Barska. – Szukamy jedynie materiału dowodowego do sprawy tamtego międzynarodowego towarzystwa. – Wskazała dłonią drogę, którą odjechały samochody z zatrzymanymi. – Nasze „miejsce i imię” to Woronin, Rhode, jubiler z Amsterdamu i ci z Gdańska.

– A co z nim? – Kuba zerknął na pogłębiający się wykop.

– W tej glebie szkielet powinien być częściowo zachowany, mimo że leżał bez trumny od czasów wojny. Najtwardsze kości są na pewno, jak twierdzi georadar. Wydobędziemy je, oczyścimy z ziemi i opiszemy, określając prawdopodobną przyczynę zgonu, o ile da się ją określić. Zrobimy dokumentację fotograficzną i prześlemy wszystko do IPN-u. Być może oni będą prowadzić własne dochodzenie w tej sprawie. Gdy skończymy pracę, przyjedzie tu dwóch ludzi z zakładu pogrzebowego ze specjalną skrzynką przygotowaną zgodnie z przepisami sanepidu i zabiorą Dawida Schwartzmana na cmentarz w Leśnicy. Gmina... jak by to powiedzieć... go zaprosiła. Będzie miał grób i tablicę. Kto wie, może nawet miejscowa gazeta napisze, że spoczął u nich legendarny szlifierz diamentów. Jeśli oczywiście uznają to za temat, który może kogokolwiek zainteresować.

Kuba chciał wyrazić swój sceptycyzm wobec mediów, ale piegowaty technik wyprostował się w wykopie i poinformował:

– Mamy metr dziesięć.

– Dobrze. – Teresa Barska podeszła bliżej. – Teraz ostrożnie. Jak

tylko odkryjecie zwłoki, sprawdzacie przy nich każdy centymetr ziemi.

Jakby na potwierdzenie jej słów jeden z techników zawołał, że coś ma, i zaczął wybierać dłońmi w gumowych rękawicach ziemię wokół ludzkiej czaszki. Oczyszczył ją miotełką i delikatnie odwrócił. Wszyscy ujrzeli otwór po kuli niemal na środku kości czołowej.

– O Boże. – Głos Kuby stojącego tuż za Teresą Barską był tak przejęty, że kapitan ABW odwróciła się z lekkim uśmieszkiem.

– Prokurator IPN-u jeszcze nie przywykł do takich widoków? – spytała, ale Kuba w ogóle nie zwracał uwagi na grób. Odwrócił w jej stronę telefon komórkowy, w który wpatrywał się jak urzeczony. Na ekranie widniało zdjęcie noworodka.

– Mam córkę – oświadczył kompletnie zdezorientowany. – Urodziła się godzinę temu. Tydzień przed terminem...

Barska spojrzała i oświadczyła niemal tonem polecenia:

– Niech pan wraca do Warszawy. Pańska misja jest zakończona. Reszty dopilnujemy i przekazemy panu materiały. I... gratuluje.

Kuba nie zastanawiał się, czy misji, czy córki, bo myślami był zupełnie gdzie indziej.

– Mam samochód pod zajazdem. – Zaczął się nerwowo rozglądać, jakby rozważał, czy biec tam przez pole.

Teresa Barska skinęła na młodego człowieka, który przywiózł Edytę Rhode.

– Podrzuc pana prokuratora pod zajazd.

Chłopak bez słowa ruszył w stronę terenówki techników, zachęcając Kubę gestem.

– Do widzenia – powiedział były prokurator IPN-u. – Do zobaczenia.

Barska pokiwała mu dłonią.

Pięć minut później piegowaty technik odsłonił miotełką kość ramienia, która spoczywała zgięta pod kątem czterdziestu pięciu stopni, jakby Dawid Schwartzman w chwili śmierci składał jakąś przysięgę, kładąc rękę na sercu.

– Coś tu jest – powiedział technik i podniósł bryłkę ziemi, wyglądającą tak, jakby przez wąską szczelinę wydobywało się z niej światło.

Barska niemal skoczyła w stronę wykopu.

– Pokaż!

Piegowaty, z wyraźnym zaskoczeniem wywołanym reakcją pani kapitan, wyciągnął rękę i podał jej bryłkę. Teresa Barska, która zdążyła przykucnąć nad wykopem, ujęła ją w dwa palce i zaczęła delikatnie usuwać ziemię, spod której wyłonił się silnie błyszczący kamień. Musiała być przejęta, bo w tej samej chwili upuściła go i przez kilka sekund gorączkowo szukała pod stopami. Wreszcie znalazła, chwyciła kciukiem i palcem wskazującym, po czym podniosła do góry, demonstrując znalezisko technikom, którzy stanęli jak wryci.

– Co to może być? – spytał piegowaty.

– Brylant – odpowiedziała Teresa Barska już bez cienia emocji.

– Brylant?! Ile może być wart?

– Ma ponad dwa karaty – oszacowała, unosząc kamień jeszcze wyżej i przyglądając mu się pod światło. – Jeśli jest czysty, to cena rynkowa nie będzie wyższa niż pięćdziesiąt tysięcy euro. Ale znam ludzi, którzy chętnie daliby za niego dziesięć razy tyle.

– Pół miliona euro?!

– Może więcej – odrzekła spokojnie Barska.

– Pani żartuje? – upewnił się piegowaty technik.

– Ani mi to w głowie.

– To co robimy? – Chłopak wydawał się kompletnie oszołomiony informacjami, które przed chwilą usłyszał.

– A co proponujesz? – spytała Barska. – Sprzedasz go i podzielimy się kasą?

– No nie... – odparł technik. – Trzeba uczciwie...

– Najlepszym sposobem na to, aby być uczciwym, jest być uczciwym. – Uśmiechnęła się i podała mu kamień. – Opisać, sfotografować, zabezpieczyć i przekazać do magazynu dowodów rzeczowych.

Ekipa Pielgrzyma Trzy powróciła do pracy.

Trzy godziny później szczątki twórcy czarnego szlifu jechały na cmentarz w Leśnicy, a technicy i reszta uczestników akcji do Opolą, żeby dopełnić reszty formalności.

Teresa Barska została sama.

Popatrzyła na rzadki las w pobliżu Domku Maryi, trawę pocętkowaną żółtymi liśćmi i plamę brunatnej ziemi, która po prawie siedemdziesięciu latach oddała swoją tajemnicę. Nagle, jak w błysku flesza, przypomniała sobie kilka sekund, podczas których stała nad brzegiem anonimowego grobu Dawida Schwartzmana wpatrzona w zdjęcie córki Kuby, obecnej na świecie od godziny. Na granicy między narodzinami a śmiercią.

Robię się sentymentalna, pomyślała. Wsiadła do samochodu i nie patrząc w lusterko wsteczne, ruszyła w drogę do domu.

EPILOG

Warszawa

maj 2012 roku

Okazywanie emocji było w wydaniu Teresy Barskiej zjawiskiem tak niecodziennym, że na widok jej uniesionych brwi szef wydziału przerwał odprawę i w sali zapadła chwilowa cisza. Pani kapitan ABW wydawała się nie zwracać na to uwagi, wpatrując się w ekran telefonu komórkowego, który choć wyciszony, pulsował, sygnalizując połączenie przychodzące.

– Coś ważnego, Tereska? – spytał pułkownik ABW.

Barska ocknęła się ze zdumienia.

– Dzwoni prokurator Kania – wyjaśniła.

– A minę masz, jakby to był prezydent Obama – skwitował szef.

– Od niego bym odebrała. – Barska obróciła wszystko w żart.

Wybrała funkcję automatycznie wysyłającą wiadomość „Nie mogę teraz rozmawiać” i wróciła do uczestnictwa w naradzie. Pułkownik, być może na skutek zawodowej podejrzliwości, odnotował, że Teresa Barska lekko pobladła i do końca spotkania była rozkojarzona, choć starała się to maskować.

Do Kuby oddzwoniła godzinę później, wychodząc na dziedziniec gmachu przy Rakowieckiej.

– Kopę lat – powiedziała do słuchawki. – Przepraszam, nie

mogłam odebrać. Co u pana?

– Dwa miesiące temu wróciłem do IPN-u – poinformował Kuba. – Dostałem dobrą propozycję i szczerze mówiąc, nie zastanawiałem się zbyt długo. Po instytucie nie krąży już widmo dyrektora Palucha, a na Towarową mam z Żoliborza bliżej niż na Wzgórze Herzla w Jerozolimie. Co dla ojca dwóch wymagających córek nie jest bez znaczenia.

– I dzwoni pan po siedmiu miesiącach, aby mi opowiedzieć o tym powrocie?

– Poniekąd tak – stwierdził. – Chciałbym się z panią spotkać.

– Dobrze – odparła Teresa Barska, udając, że to „poniekąd” nie zrobiło na niej najmniejszego wrażenia. – Może jutro o osiemnastej w tej knajpce nad Wisłą, w której widzieliśmy się po raz pierwszy?

– Doskonale – uznał Kuba. Pożegnał się i rozłączył.

Kapitan Teresa Barska po raz drugi w ciągu godziny uniosła brwi, wyczerpując swój roczny limit tej miny.

Przyszli prawie równocześnie.

Kuba nie zdążył usiąść przy barze, gdy kapitan ABW weszła do restauracji i zbliżyła się do niego z wyciągniętą ręką. Miała stanowczy, męski uścisk. Pod uprzejmym uśmiechem kryła przemyślenia, czy właściwie odgadła powód spotkania. Jeśli wybierze stolik w środku sali, przyszło jej do głowy, to znaczy, że chce pogadać o czymś, co nie ma związku. Ale jeśli poszuka miejsca gdzieś z dala od innych gości, to być może coś wie, uznała i w tym samym momencie dostrzegła wzrok Kuby błędzący po dyskretnych zakątkach sali.

– Może siądziemy tam na końcu – zaproponował. – Będziemy mogli swobodnie porozmawiać.

Teresa Barska skinęła głową.

– Proszę opowiadać, jak się udał *comeback* ipeenowskiego detektywa celebryty – zażartowała, gdy usiedli, ale Kuba nie zareagował. Był skupiony i poważny.

– No właśnie. – Nabrał powietrza. – Prowadzę śledztwo w sprawie prześladowań, jakie tuż po wojnie spotkały mieszkańców niewielkiego miasteczka w powiecie bielskim. Bardzo interesującego miasteczka. Nazywa się Wilamowice.

Teresa Barska drgnęła.

– Spotkała się pani kiedyś z tą nazwą?

– Dlaczego chce pan to wiedzieć? – usztywniła się.

– Dlatego – powiedział Kuba, kładąc na stoliku poźółkłe czarnobiałe zdjęcie szczupłej kobiety. Fotografia, jak utrzymywał widniejący na niej stempel, wykonana w 1947 roku, przedstawiała... Teresę Barską. Te same oczy, usta, nos, kości policzkowe i podbródek. Inna, niemal antyczna fryzura i cienkie namalowane henną brwi. Poza tym wszystko identyczne.

– Skąd pan ma to zdjęcie? – spytała kapitan ABW, której udało się opanować drżenie głosu, ale rumieniec emocji wyrwał się jej spod kontroli.

– Z akt IPN-u – stwierdził Kuba, patrząc na nią badawczo.

– Proszę pytać.

– Czy zawsze nosiła pani nazwisko Barska?

– Nie. Dopiero po ślubie. Byłam mężatką przez pół roku. Mój mąż był oficerem policji. Zginął na służbie.

– Przykro mi – powiedział Kuba. – Nie wiedziałem.

– Dziękuję. To było dawno temu.

– Czy wobec tego mogę poznać pani nazwisko rodowe?

Kapitan Barska spojrzała mu w oczy.

– Nagler. Do dwudziestego piątego roku życia nazywałam się Teresa Nagler. Urodzona w Wilamowicach.

Kuba pokiwał głową, jakby kwitował potwierdzenie jakichś własnych sekretnych przypuszczeń. Dotknął czubkiem serwetki poślódkę fotografii.

– Rozumiem, że to pani babka.

– Tak.

– Nagler – powtórzył. – Dotarłem do informacji, że w obozie na Górze Świętej Anny przebywał więzień o tym nazwisku. Pochodził z Amsterdamu. Nikt nie wie, co się z nim stało. Wersja oficjalna jest taka, że został zastrzelony razem z innymi żydowskimi szlifierzami diamentów i że to między innymi jego szczątki spoczywają w zbiorowym grobie koło Domku Maryi.

Teresa Barska przecząco pokręciła głową.

– Tak nie było. Ten człowiek trafił do obozu pod nazwiskiem swojej matki, bo to nazwisko w diamentowym świecie Amsterdamu otwierało każde drzwi. Miało mu ułatwić przeżycie. I ułatwiło. On nie zginął z tamtymi. Zdołał się ukryć i uciec z obozu.

– Jest pani tego absolutnie pewna?

– Panie prokuratorze – powiedziała dobitnie Barska – to był mój dziadek, syn Marty Nagler. Jestem prawnuczką jedynej miłości Dawida Schwartzmana.

Kuba sięgnął po szklanekę z wodą.

Barska spojrzała na niego uważnie.

– Znów pan sądzi, że przez cały czas pana okłamywałam? – spytała. – Nie mylę się, prawda?

– Przeszło mi to przez myśl – przyznał.

– A ja znów zaprzeczam. Nigdy nie powiedziałam panu

nieprawdy. Po prostu pewne sprawy rodzinne zachowałam dla siebie. To wszystko. Zresztą dla pańskiej misji poszukiwania miejsca pochówku holenderskich szlifierzy nie miało to żadnego znaczenia. Dziadek nie wiedział, gdzie dokładnie ich zabrano i zamordowano. Słyszał tylko strzały. Znam dokładnie jego relację.

– Więc jak to było naprawdę?

Teresa Barska oparła przedramiona na stole, obejmując dłońmi filiżankę z herbatą.

– Chodźmy stąd – zaproponowała. – Przejdźmy się po skwerze. Ta opowieść potrzebuje świeżego powietrza. Co pan na to?

Kuba skinął głową i przywołał wzrokiem kelnerkę.

Popołudnie było ciepłe i bezwietrzne. Skwerem kapitana „Cubryny” na Powiślu całkowicie zawładnęła majowa zieleń: żywiolowa, bujna i kwitnąca. Wszystko wokół pachniało wiosną, choć alejki znajdowały się w sąsiedztwie jednej z najruchliwszych tras tranzytowych Warszawy.

Kilkadziesiąt metrów przeszli w milczeniu. Kuba cierpliwie pozwolił jej zebrać myśli. Lata pracy w IPN-ie nauczyły go, że trudnych historii z przeszłości nie wolno popędzać. One muszą zacząć się we właściwym momencie, kiedy ci, którzy chcą je ujawnić, są do tego przekonani i gotowi.

– Nazwisko rzeczywiście uratowało mojego dziadka – zaczęła chwilę później Teresa Barska bez zbędnych wstępów. – Dawid Schwartzman, będący nadzorcą komanda Strefy Wydzielonej, czyli obozowej szlifierni diamentów, dowiedział się, że młody Nagler jest synem Marty, i ocalił mu życie. Przez jakiś czas potajemnie szlifował za niego kamienie, równocześnie uczył go podstaw obróbki diamentów, aby dziadek mógł uchodzić za snijdera. A to dawało

gwarancję przeżycia, bo szlifierze pracujący dla Schmelta byli na Annabergu pod ochroną.

Z opowieści dziadka wynika, że w obozie trzymali się w trójkę: on, Schwartzman i jeszcze jeden szlifierz z Amsterdamu, który pochodził z Flamandii i często opowiadał o dziwnym miasteczku na południu Śląska, które parokrotnie odwiedzał przed wojną, bo miał tam przyjaciół czy krewnych, nie pamiętam dokładnie. Miasteczko nazywało się Wilamowice i rzeczywiście było osobliwe. Od sześciuset lat mieszkała w nim mniejszość flamandzka, której przodkowie musieli opuścić rodzinne strony, bo w trzynastym wieku morze wdarło się na depresję i zalało ich domy. W kilkaset osób ruszyli szukać nowych siedlisk. Mogli się rozdzielić i rozproszyć gdzieś na terenach dzisiejszej Holandii, Belgii czy Niemiec, ale oni chcieli być razem. Szukali miejsca, gdzie wszyscy mogliby się osiedlić, ale żadna europejska gromada nie chciała przyjąć kilkuset obcych. Tak dotarli na Śląsk.

Teresa Barska przystanęła na moment i zapaliła papierosa.

– U stóp gór w okolicach Bielska było pięknie, a wokół znajdowały się tak zwane pustki potatarskie, czyli wsie zniszczone podczas najazdów mongolskich. Mieszkańców wymordowano lub pojmano w niewolę. Flamandowie zajęli jedną z takich wsi, nazywając ją od imienia swojego przywódcy Wilhelma, czyli Wilama. Tak się zaczęła historia miejsca, które do dziś jest najdziwniejszym miastem w Polsce. Praktycznie zamieszkuje je inny naród, z odrębną kulturą i własną mową, wpisaną na listę UNESCO, choć u nas nikt formalnie nie uznaje języka wilamowskiego.

Flamandczyk nie bez przyczyny opowiadał o tym wszystkim w obozie mojemu dziadkowi i Dawidowi Schwartzmanowi.

Wilamowice dzieliła od Annabergu odległość zaledwie stu kilometrów, licząc w linii prostej. To był ich cel, panie prokuratorze.

W trójkę planowali ucieczkę z obozu. Mieli cywilne ubrania i zgromadzili sporo prowiantu, bo diamentowi Żydzi Schmelta byli stosunkowo dobrze ubrani i karmieni. Mieli nawet mapę. Czekali na odpowiedni moment, aż esesman nadzorujący Strefę Wydzieloną wyjedzie wraz ze swoim żydowskim pomocnikiem do Opola po nowych szlifierzy. Wtedy mieli uciec, zyskując wiele godzin przewagi nad pościgiem, zaszyć się w lasach położonych na południe od Kędzierzyna i pójść nimi dalej na Rybnik i Pszczynę. Aż do Wilamowic, gdzie ludzie znali język niderlandzki, a znajomi Flamandczyka mogli ich ukryć. Ale nie zdążyli. Wszystko przerwało nagle aresztowanie Schmelta.

Tego dnia obóz ogarnęła panika. Szlifierzom rozkazano natychmiast rozmontować tajny warsztat w Strefie Wydzielonej i zatrzeć po nim wszelkie ślady. Powiedziano im, że sami też muszą ukryć się poza obozem, bo na Annaberg jedzie kontrola z gestapo. Wszyscy w to uwierzyli, ale mojego dziadka coś tknęło. W zamieszaniu schował się pod podłogą baraku. Schwartzman przez kilka miesięcy budował tę skrytkę dla siebie. Na wszelki wypadek. Mój dziadek był jedynym, któremu o niej powiedział, kolejny raz ratując mu życie.

Wachmani, którzy wyprowadzali jego kolegów na plac apelowy, mieli zakaz wtrącania się w sprawy Strefy Wydzielonej. Mogli nie wiedzieć, ilu szlifierzy pracowało w niej tego dnia. I rzeczywiście nie wiedzieli.

Przez szparę między deskami dziadek widział, jak ich zabierają poza teren obozu, a potem słyszał strzały. Widział, jak jeden

z wachmanów wrócił po Schwartzmana, który zawieruszył się w baraku kuchennym, i jego też poprowadził na śmierć. A potem wydarzyło się coś jeszcze: esesman dowodzący Strefą Wydzieloną i jego żydowski pomagier Fiszler, obaj mocno zdenerwowani, spakowali się i pospiesznie wyjechali samochodem. Zapadła cisza. Żydzi pracujący przy budowie autostrady pod eskortą SA-manów mieli wrócić dopiero za kilka godzin. W obozie zostały trzy osoby: mój dziadek, kucharka i strażnik przy bramie. Nie było na co dłużej czekać.

Dziadek zabrał prowiant, cęgi do cięcia drutu i bez trudu przedostał się przez ogrodzenie do lasu, postępując dokładnie według planu ucieczki, który dziesiątki razy omawiali z Flamandczykiem i Schwartzmanem.

Do Wilamowic dotarł po kilku dniach, idąc tylko nocami. Miejscowi ukryli go w podziemnych bunkrach pod lasem, zbudowanych dla chłopaków, których siłą wcielano do Wehrmachtu i którzy masowo dezercerowali z armii niemieckiej. Tak doczekał końca wojny.

Wkrótce potem zakochał się w mojej babce, rodowitej Wilamowiance. Proboszcz wyrobił mu metrykę, zostawiając nazwisko Nagler, które tu mogło uchodzić za miejscowe. Wzięli ślub. Mam do dziś ich zdjęcia. On w czarnym surducie, pewnie od kogoś pożyczonym, ona w tradycyjnym stroju: chuście tkanej w dziwne symbole, z dużym metalowym krzyżem na piersiach i sznurami korolbenzu – wilamowskim naszyjnikiem. Na odwrocie fotografii babcia wykaligrafowała swoim starannym pismem: *Wjyr zajn Wymyslöejer*, czyli „Jesteśmy Wilamowianami”.

A potem przyszła komunistyczna Polska, ale to już pan zna ze swojego śledztwa. Moich dziadków, podobnie jak wielu

mieszkańców Wilamowic, masowo wpisanych na volkslistę, uznano za Niemców. Dziadek znów trafił do obozu, tym razem w Jaworznie. Mówił, że było tam o wiele gorzej niż na Annabergu. Po zwolnieniu przymusowo pracował w kopalni. Dochował się dzieci i wnuków, w tym mnie. Zmarł dziesięć lat przed wejściem Polski do Unii, ale w latach osiemdziesiątych często wyjeżdżał do Amsterdamu. Do nas też przyjeżdżali Holendrzy, co było przedmiotem zawiści sąsiadów z okolicznych miejscowości, którzy zawsze szczerze nienawidzili Wilamowian za ich konsekwentną odrębność. Jeśli nas nie prześladowali i nie denuncjowali, to przynajmniej wyśmiewali. O Wilamowicach jest więcej kawałów niż o Wąchocku.

Kuba słuchał w skupieniu. Przystanęli przy ławce z widokiem na pobliskie Centrum Nauki Kopernik i w tej samej chwili, bez porozumienia, postanowili na niej usiąść.

– Czyli przed akcją na Górze Świętej Anny wszystko pani wiedziała. O brylancie Schwartzmana i tak dalej – stwierdził tonem zarzutu.

– Pan też to wszystko wiedział – odparła. – Pan miał swój cel, czyli odnalezienie grobu, ja swój, czyli zdemaskowanie Edyty Rhode. Obojgu nam się udało.

Mimo trafności argumentu Kuba bił się z myślami.

– Co pana jeszcze niepokoi? – spytała pojednawczo Barska.

– Ekshumacja Schwartzmana – wypalił. – Zaczynam rozumieć, dlaczego chciała pani dokonać jej sama i nakłaniała mnie do wyjazdu do Warszawy.

Kapitan ABW znów zapaliła papierosa.

– No, teraz to pan przesadził. – Popatrzyła na niego z wyrzutem.
– Zaraz pan uknuje spisek, w którym udział wzięła pana żona,

akurat wtedy rodząc córkę. – Barska pokręciła głową. – Mam pana za bardzo inteligentnego człowieka i proszę mi nie psuć tego wizerunku.

– Ma pani rację, przesadzam, ale... zaryzykuję pewną teorię.

– Słucham pana.

– A gdyby chciała pani zamienić brylant...

Twarz Teresy Barskiej pozostała nieporuszona.

– Proszę mówić dalej – zachęciła. – To nawet ciekawe.

– Załóżmy taki scenariusz: doskonale pani wie, że kamień będzie się znajdował w grobie Schwartzmana. Kupuje pani replikę u jakiegoś jubilera lub zamawia ją, dla większej wiarygodności. Można takie świecełko wykonać, nawet niedrogo. Sprawdziłem.

– Co dalej?

– Podczas ekshumacji trzyma pani w ręce brylant ubrudzony ziemią. Nietrudno go podmienić, choćby upuszczając, a podczas podnoszenia ukryć w dłoni, w której trzyma się podróbkę. I to ona trafia do magazynu materiałów rzeczowych.

Teresa Barska zaciągnęła się papierosem i przez chwilę milczała.

– Załóżmy, że pańska teoria jest prawdziwa – powiedziała spokojnie, wypuszczając dym. – W jaki sposób udowodni pan, że w grobie Schwartzmana znajdował się prawdziwy brylant i że to ja go podmieniłam? A może replika była tam od początku? A może zamiany dokonał któryś z techników? Albo magazynierów? Każdy sąd uzna pańskie przypuszczenia za niemożliwe do udowodnienia, a w polskim prawie obowiązuje konstytucyjna zasada domniemania niewinności.

– Nie udowodnię – przyznał Kuba. – Dlatego chciałem się z panią spotkać.

Uśmiechnęła się.

– Chciał się pan przekonać, czy podjadę nowym porsche, w markowych ciuchach i ze złotym zegarkiem na rękę?
– Raczej chciałem spojrzeć pani w oczy.
– Lubię te pana chłopięce zachowania – stwierdziła Teresa Barska. – I nawet cenię. Proszę, niech pan spogląda. – Odwróciła twarz w jego stronę.

Kuba wytrzymał jej spojrzenie.

– Wie pan, co zdecydowało o tym, że Wilamowianie nadal tworzą zwartą, niezłomną społeczność mimo tylu stuleci prześladowań, niechęci i wrogości otoczenia? – spytała.

– Odrębność i poczucie tożsamości? – zaryzykował.

– To też, ale mam na myśli rzeczy mniej patetyczne, takie jak wierność zasadom i umiejętność trzymania języka za zębami. W naszej rodzinie od lat była tradycja, że tajemnic nie powierzano obcym, tylko Sole.

– Sole?

– Rzece, która płynęła niedaleko naszego domu w Wilamowicach. Była tam taka zatoczka, którą uważaliśmy za naszą. Od wieków przodkowie mojej babki chodzili w to miejsce zwierzyć się Sole. Czyli pobyć w samotności i przemyśleć trudne sprawy. Ja też tam chodziłam. Podobało mi się, że jest w tym jakiś pradawny rytuał, obyczaj czasów, w których nie było jeszcze bogów, tylko natura. Czasów, w których bogiem była rzeka. Widzi pan, mój dziadek doskonale znał historię Schwartzmana i uważał, że diamenty stały się jego klątwą. Odebrały mu Martę, przyniosły dwadzieścia lat życia w więzieniu, wreszcie doprowadziły go do obozu i do śmierci. Schwartzman wyrzekł się ich i wrócił do szlifowania dopiero na Annabergu, aby ratować życie mojego dziadka. On wielokrotnie powtarzał, że ten brylant powinien na zawsze pozostać w ziemi. Że

jest przeklęty i nigdy nie powinien się już znaleźć w ludzkich rękach.

Kuba wpatrywał się w nią dziwnym wzrokiem, a jego oczy rozszerzały się ze zdumienia.

– Podmieniła go pani, żeby... Żeby go zniszczyć?

– Brylanty są niezniszczalne.

– Czyli co? Wrzucić do Soły, aby na zawsze spoczął na dnie rzeki? Milczała.

– Przecież ten kamień musi być wart majątek – jęknął Kuba.

– Zasady nie mają ceny. – Teresa Barska się uśmiechnęła. –

A poza tym przypominam, że mówimy jedynie o pana teorii. Ale jeśli uważa ją pan za prawdziwą, to sprawa ma pewien pozytywny aspekt.

– Czyli?

– Założmy, że podmieniłam kamień. Czy pan wierzy, że Krupier, który doskonale wie, że znaleźliśmy brylant Schwartzmana, pozwoli mu pozostać w polskim magazynie dowodów rzeczowych? To człowiek bezwzględny, o bardzo długich rękach i bardzo grubym portfelu. Takich ludzi porażki jak ta na Górze Świętej Anny tylko zachęcają. Oni są jak bokserzy, których najbardziej rozjuszają i dopingują do walki zainkasowane ciosy. Krupier się nie cofnie. Odczeka chwilę, a potem znajdzie nowego Woronina, nowego Palucha i nowy sposób dobrania się do brylantu Schwartzmana, który dla niego ma magiczną moc panowania nad światem diamentów. Myśli pan, że to niemożliwe? Nie takie rzeczy wyparowywały z magazynów dowodów rzeczowych. Więc jeśli pańska teoria jest prawdziwa, to Krupier znów komuś zapłaci i... dostanie podróbkę. Przestępcy się bardzo zdenerwują, a on tym razem przegra na dobre.

Kuba podniósł się z ławki wyraźnie zaniepokojony.

– A jeśli moja teoria jest tylko teorią? Jeśli pani nie dokonała żadnej zamiany i nie wrzuciła pani brylantu do rzeki, to jak można zapobiec jego wykradnięciu?

Teresa Barska również podniosła się z ławki i wyciągnęła do niego rękę.

– Niech pan będzie spokojny, panie prokuratorze. Brylant Schwartzmana jest bezpieczny i jeśli rzeczywiście ciążyła na nim klątwa, tak jak sądził mój dziadek Adam Nagler, to nikomu już nie zagrazi – stwierdziła z przekonaniem, uśmiechnęła się i odeszła.

Kuba odprowadzał ją wzrokiem, zastanawiając się, dlaczego nie odrzekł ani słowa. Może dlatego, że nigdy nie lubił pożegnań, a może dlatego, że w tej samej chwili doszedł do wniosku, że czasami najlepszym sposobem na to, aby coś powiedzieć, jest tego nie mówić.

Nad skwerem powoli zapadał zmierzch.

POSŁOWIE

Opowieść jest fikcją literacką, a przedstawione w niej postacie i wydarzenia są wytworami wyobraźni. Inspirowanej faktami.

Obóz na Górze Świętej Anny istniał naprawdę. Szukając jego śladów pod koniec lat osiemdziesiątych, rozmawiałem z mieszkańcami Leśnicy i okolicznych wiosek, którzy byli zatrudnieni w lagrze jako pracownicy zewnętrzni. Kiloro z nich twierdziło, że w jednym z baraków funkcjonował ukryty warsztat jubilerski, w którym szlifowano diamenty. Mieli się tym zajmować więźni w obozie Annaberg jubilerzy z Holandii.

Skąpa dokumentacja obozu zachowana w aktach IPN-u milczy na ten temat, choć znajdują się w niej wypisy z księgi zgonów Urzędu Stanu Cywilnego w Leśnicy z czasów wojny, a w nich nazwiska Belgów i Holendrów pochodzenia żydowskiego, oznaczające specjalizacje wysoko kwalifikowanych szlifierzy. Na przykład Izidor Israel Schijvensschuurder (zmarł w obozie na Annabergu 29.11.1942 r.). *Schijvensschuurder* po niderlandzku oznacza fachowca odpowiedzialnego za jakość i stan specjalnej tarczy służącej do szlifowania diamentów.

Faktem jest, że Zwanarbeitslager Annaberg należał do sieci obozów Organizacji Schmelta, kierowanej przez brigadeführera SS o tym samym nazwisku, aresztowanego i sądanego przez Niemców w 1944 roku za niezdefiniowaną bliżej działalność na szkodę

Trzeciej Rzeszy. Z niewiadomym skutkiem, bo zachowały się trzy akty zgonu Schmelta z różnymi datami, wystawione w różnych miejscach.

Zgodne z prawdą jest także to, że po wojnie przeprowadzono dochodzenie przeciwko pochodzącym z Opolszczyzny strażnikom obozowym służącym w Wehrmachcie i oskarżonym o przestępstwa wojenne wobec więźniów. Zostało umorzone.

Czarny szlif, wokół którego toczy się akcja powieści, jest zmyślony, ale też nie do końca. Branża diamentowa od dziesięcioleci poszukuje techniki obróbki kamieni zdolnej rywalizować ze szlifem brylantowym oraz patentem Josepha Asschera z 1902 roku uchodzącym za szczyt osiągnięć. Rezultatem tych poszukiwań było wynalezienie w czasach współczesnych szlifu Princess o niebywałym, nieprawdopodobnym wręcz iskrzeniu, określanym w podręcznikach jako „genialny współczynnik załamania światła”. Brylanty wykonane tą techniką sprawiają wrażenie, jakby miały wewnątrz miniaturowe jarzeniówki o wyjątkowo silnym lśnieniu.

Wilamowice i ich niesamowitość istnieją naprawdę.

PODZIĘKOWANIA

Wdzięczny za okazaną pomoc ściskam dłoń przede wszystkim Wojciechowi Gawdzikowi, niegdyś współwłaścicielowi kopalni diamentów w Sierra Leone, który o branży, jej sekretach i rynku wie wszystko. Nigdy nie przypuszczałem, że rozmowy przy winie sprzed kilkunastu lat kiedyś zaprowadzą nas do tej powieści.

Nieocenioną przewodniczką po Amsterdamie i Holandii okazała się mieszkająca tam od dwudziestu pięciu lat moja szkolna koleżanka Dorota Grzesik, której niniejszym wręczam olbrzymie naręcze kwiatów. Nie tulipanów.

Konsultacją kwestii medycznych tradycyjnie zajął się Józef Bojko. Dziękuję.

Dziękuję również Kasi Łukasik oraz Wszystkim zamęczanym opowieściami o książce i zmuszanym do słuchania oraz czytania jej fragmentów, którzy z racji swych dobrych serc nigdy nie okazali zniecierpliwienia.

Prokurator Jakub Kania na tropie zaginionego obrazu Jana Matejki w powieści "444".

**Dlaczego obraz Matejki przepowiadający losy świata
do dziś pozostaje w ukryciu?**

Sensacyjna powieść oparta na prawdziwej historii



444

MACIEJ SIEMBIEDA



Miejsce i imię

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

ROZDZIAŁ 1. Amsterdam

ROZDZIAŁ 2. Warszawa/Ramla/Jerozolima

ROZDZIAŁ 3. Cosel/Annaberg

ROZDZIAŁ 4. Jerozolima/Warszawa/Amsterdam

ROZDZIAŁ 5. Amsterdam

ROZDZIAŁ 6. Gdynia/Sopot/Gdańsk

ROZDZIAŁ 7. Amsterdam

ROZDZIAŁ 8. Gdańsk/Warszawa

ROZDZIAŁ 9. Amsterdam/Roermond

ROZDZIAŁ 10. Warszawa/Gdynia/okolice Słupska

ROZDZIAŁ 11. Amsterdam/Annaberg

ROZDZIAŁ 12. Warszawa/Santa Fe

ROZDZIAŁ 13. Cosel/Annaberg

ROZDZIAŁ 14. Amsterdam/Warszawa/Gdańsk

ROZDZIAŁ 15. Annaberg/Davos

ROZDZIAŁ 16. Warszawa/Schwabmünchen

ROZDZIAŁ 17. Góra Świętej Anny

EPILOG

POSŁOWIE

PODZIĘKOWANIA

Karta redakcyjna

Projekt okładki
Mariusz Banachowicz

Ilustracja na okładce
Mark S. Johnson / Shutterstock


Redakcja
Maja Lipowska

Korekta
Teresa Zielińska
Monika Pruska

Copyright © by Maciej Siembieda, 2018
Copyright © Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2018



Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa
www.wielkalitera.pl

Odwiedź
nas na 

ISBN 978-83-8032-237-0



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: konwersja@elib.pl
www.elib.pl

Gdzie jest ukryty najcenniejszy diament świata?



MIEJSCE I IMIĘ

MACIEJ SIEMBIEDA

 WIELKA LITERA